# PRZEGLĄD

# POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
*Ps. 143.*

ROK DWUNASTY. — TOM XLVI.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1895.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1895.

**Errata.**

Str. 217, w. 6 z góry, zamiast: „hymn o św. Hippolicie“, ma być: „o św. Kassyanie“.

---

**Errata**

*do tomu poprzedniego (XLV):*

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| Str. 451, w. 11 z góry, | zamiast: | „zdraża“, | ma być: | „wzdraga“. |
| Str. 451, w. 17 „ | „ | „społecznej“, | „ | „spółczesnej“. |
| Str. 452, w. 13 „ | „ | „eutropia“, | „ | „entropia“. |

# WIELKI POETA CHRZEŚCIJAŃSKI

## z IV. wieku.

Si te forte tui nequeunt agnoscere cives,
Illis sermo tuus si peregrinus erit:
Interpres veniam.....
*(Ex prooem. ad opp. Prud. Edit. M. Caesaris Antv.).*

Odkąd protestantyzm podał rękę ultrahumanistom XVI. w., widzieliśmy aż nadto wyraźnie, jaka prawdziwa „tyrania“ zapanowała w krytyce, ilekroć chodziło o pisarzy, co otwarcie stanęli pod katolickim sztandarem. Dzięki Bogu — historya znalazła swoich Tezeuszów w Baroniuszu, Tillemoncie, Mabillonie, Janssenie, Hergenrötherze i innych; czas byłby wreszcie, by też naprawić i krzywdę wyrządzoną wielkiemu katolickiemu poecie i wydobyć go z zapomnienia. Mam na myśli Prudencyusza.

Choć nowsze badania, i to nawet przez protestanckich filologów [1] podjęte, wykazały wielkie jego zalety i nadzwyczajną

[1] Obbarius, *Aurelii Prudentii Clementis carmina.* Tübingae 1845. — *Corpus scriptorum ecclesiasticorum latinorum,* editum consilio et impensis Acad. Vindob. Gerold, Viennae (1867—1887). — Cl. Brockhaus, *Aurelius Prudentius Clemens in seiner Bedeutung für die Kirche seiner Zeit.* Leipzig 1872. — Adolf Ebert, *Geschichte der christl.-lat. Literatur im Mittelalter,* I. Leipzig 1880. — W. S. Teuffel, *Geschichte der römischen Literatur.* Leipzig 1890. — Arevalo, *Prolegomena ad opera Prudentii.* Migne (t. 59 i 60). — A. Puech, *Prudence. Etude sur la poésie latine chrétienne au IV. siècle.* Paris 1888. — G. Boissier, *Prudence poète. (Revue des deux mondes,* 1889). — Tenże, *Les origines de la poésie chrétienne. (Revue des deux mondes,* 1875). — A. Dressel, *Aurelii Prudentii Clementis, quae*

poetycką wartość: to przecież tak cicho o nim, jakby go dla miłości t. zw. „klasycznych“ pisarzy chciano zabić w ofierze — milczeniem. Dzięki temu traktowaniu, ogół społeczeństwa mniej wie o Prudencyuszu, niż o niejednym młodziutkim poecie, który jeszcze z ław szkolnych nie wyszedł, a jeżeli kiedy, i to w kołach wykształconych, obije się o uszy imię Prudencyusza, to chyba wtedy tylko, kiedy się wzmianka nadarzy o przecudnych jego strofach *Salvete flores martyrum.*

Nawet Ozanam i Chateaubriand, którzy z całym zapałem w obronie wiary i sławy Kościoła tak chwalebnie kruszyli swe kopie, bardzo lekko załatwiają się z naszym poetą. Jeden [1] ogranicza się do podziwu, a drugi ani nawet go nie wspomina [2]. Tak samo i pp. Chasles [3] i Digby [4] zdają się wcale nie znać Prudencyusza, choć się unoszą nad wielu niższymi od niego.

Oddajmyż sprawiedliwość talentowi i zasłudze człowieka, który i jako pisarz i jako natchniony szermierz w obronie wiary, na zawsze pozostanie chlubą chrześcijaństwa. Ale nie o to tylko nam tutaj chodzi.

Wobec tego powszechnego zamętu pojęć o ideałach sztuki i poezyi, wobec tego codziennego ich kalania i zacierania wszystkich ścieżek na ich jasne wyżyny, warto odetchnąć czystszą atmosferą i drugim dać nią odetchnąć. Czyżbyśmy tak już nizko upadli, żeby niepodobna nam było w innej smakować poezyi,

---

*exstant carmina.* Lipsiae 1860. — A. Rösler, *Der katholische Dichter, Aurelius Prudentius Clemens.* (Freiburg 1886). — Kayser, *Beiträge zur Geschichte und Erklärung der ältesten Kirchenhymnen.* Paderborn 1881. — Paul Allard, *Prudence historien* (*Revue des questions historiques*, 1884, t. 35). — *Nordamerikanisches Pastoralblatt* (1885), herausgegeben von mehreren kath. Geistlichen Nordamerikas 1885. — Paul Allard, *Rome au IV. d'après les poèmes de Prudence* (*Revue des questions historiques*, 1885, t. 36).

[1] *Civilization chrétienne au IV. siècle,* t. II, 18-me leçon.

[2] W swem dziele *Génie du christianisme,* tyle mówi o poezyi chrześcijańskiej dawnych wieków: „Sans recherchez quelques poèmes écrits dans un latin barbare, le prémier ouvrage, qui s'offre à nous, est la *Divina commedia* de Dante“. (II, part. I, I, c. 2).

[3] *Études sur les prémiers temps du Christianisme et sur le Moyen-age.*

[4] *Katholisches Leben im Mittelalter.* Kenelm Henry Digby (Innsbruck 1887). 1. B.

jak tylko w tej, co poszła w niechlubną służbę zmysłów? Czy nikt się między nami nie znajdzie, ktoby potrafił dostroić swą lutnię do strun, w które z takiem szczytnem natchnieniem uderzał niegdyś Prudencyusz? Tyle przecież widzimy wkoło siebie i chlubnego zapału i wiele obiecujących talentów nawet wśród naszej młodzieży, że doprawdy serce się kraje na myśl, iżby to wszystko dla braku ideału iść miało na marne. Takim ludziom często nie trzeba niczego więcej, jak tylko ponętnego wzoru, a żądny czynu geniusz rozwinie skrzydła do lotu. Im tedy przedewszystkiem poświęcamy tę pracę; ich pragniemy zwrócić ku tym czystym źródłom, z których tyle wyższych umysłów czerpało natchnienie przez piętnaście wieków... Wiem dobrze, że jeżeli polski Horacy, Sarbiewski, nie może sobie w polskich szkołach zdobyć prawa obywatelstwa, to tem mniej nie zdobędzie go sobie Prudencyusz. Wiem i to, jakie mu stawia się zarzuty, i dlatego chcę nasamprzód pokazać, jakie stanowisko wobec uczonych i w szkołach katolickich aż po czasy humanizmu zajmował Prudencyusz. Będzie to — choć nie wprost — odpowiedzią na czynione mu zarzuty, zanim na końcu wprost na nie odpowiemy, ale zwłaszcza będzie to uzasadnieniem naszego przedsięwzięcia. Następnie wspomnimy o jego osobie i życiu, a wreszcie rozbierzemy jego pisma i damy ich ocenę tak pod względem treści jak i formy.

Przedewszystkiem jednak niech nam wolno będzie zastrzedz się przed posądzeniem o stronniczość. Stając w obronie prawdy i sprawiedliwości, nie chcemy jej sami krzywdzić stronniczością. W tym celu sumiennie badaliśmy nietylko katolickich pisarzy i wielbicieli Prudencyusza, ale i wysłuchaliśmy uważnie zdania jego wrogów i obojętnych zresztą krytyków protestanckich.

* * *

Już to, jeżeli względem kogo kapryśne było szczęście i sława, to względem literatów i poetów. Ani wieki, ani ludzie, ani odmienne cywilizacye nic w tem nie potrafiły odmienić. Jednym — jak Petrarce i naszemu Rejowi z Nagłowic — niby z rogu obfitości sypały się dostatki i wawrzyny; drudzy, jeżeli

z Auzoniuszem nie zdobyli sobie konsularnej togi, to przynajmniej zdobyli sobie cześć i uznanie i skosztowali pociechy, jaką czuł Horacy, kiedy go sobie wskazywano palcem i szeptano z cicha:

Romanae fidicen lyrae!... [1]

Za to niejeden brat „po Apollinie“ darmo „sobie śpiewał i ludziom“; ludzi nie potrafiły oczarować dźwięki jego lutni, a sobie nietylko nie wyśpiewał pomnika po śmierci, ale ani chleba codziennego za życia. Niejeden na zawsze pozostał „bezimiennym autorem“, a byli i tacy — i bywa ich jeszcze dość wielu — którzy wtedy dopiero znaleźli zasłużoną sławę, kiedy — umarli. Takim był i Aurelius Prudentius Clemens.

Współczesny jemu św. Paulin Nolański, już za życia zajmuje swą poezyą i swoją osobą Włochy, Hiszpanię, Afrykę i Akwitanię; o Prudencyuszu żadnej w tych czasach wzmianki doczytać się nie możemy. Śmierć dopiero pozmieniała ich role. Niepospolity urok świętego życia otoczył i nadal aureolą szlachetną postać Paulina: za to sławą chrześcijańskiego poety zaćmił go Prudencyusz. Słusznie tedy wyraża się Rösler: „Prudencyusz tak się uwiecznił swojemi dziełami, jak żaden inny chrześcijański poeta dawnych wieków: ale jego życie w dziejach można — tak samo jak życie Kościoła — do owego ewangelicznego ziarna gorczycznego przyrównać“. Przeszedł niepoznany, a przecież niezadługo i aż po dziś dzień imię jego jaśnieć miało w literaturze chrześcijańskiej, jako imię największego łacińskiego wieszcza. Ciekawą będzie rzeczą przypomnieć sobie dzisiaj te koleje, jakiemi u potomnych przechodziła sława naszego poety.

Nasamprzód zadziwić może, czemu ani św. Augustyn ani św. Hieronim nic nie wspominają o współczesnym im Prudencyuszu; ten ostatni zwłaszcza powinien to był uczynić w swem dziele: *De scriptoribus ecclesiasticis.* Nawet i Paulin, którego tak wielce zajmowała poezya, poświęcając jej tyle czasu i miejsca w swych literackich stosunkach z dawnym swoim mistrzem Au-

[1] „Oto poeta rzymski“. Z ody III, ks. IV.

zoniuszem [1], o Prudencyuszu żadnej wzmianki nie czyni. A przecież, jeśli kto, to on powinien go był znać nawet osobiście, skoro zamieszkiwał te same okolice [2], w których, jak to zobaczymy, Prudencyusz aż nader dobrze znaną był osobistością, jako namiestnik cesarski.

Jest atoli na to odpowiedź. Św. Augustyn w swoich „Wyznaniach“ [3] kiedy się zastanawia nad hymnami św. Ambrożego, ma na celu nie literaturę, ale opisanie wpływu, jaki owe hymny na jego duszę wywarły. Św. Hieronim zaś nie mógł był znać utworów Prudencyusza, gdyż swoje dzieło: *De viris illustribus*, ukończył w r. 392, a — jak zobaczymy później — Prudencyusz zebrał był swoje poezye dopiero między rokiem 405 a 415... Dla tej samej przyczyny milczy i św. Paulin o Prudencyuszu: kiedy bowiem, jako świecki magnat i literat, zajmował się poezyą, nie były jeszcze ujrzały światła poezye Prudencyusza; a kiedy mógł je był czytać, zanadto był zajęty jużto apostolskiemi pracami, jużto dyecezyą swą nolańską, by znaleść czas jeśli nie na czytanie Prudencyusza, to przynajmniej na rozpisywanie się o nim. Były to przecież już czasy najazdów Alaryka i t. zw. wędrówek narodów, które sprowadziły straszne wstrząśnienia w całem społeczeństwie rzymskiem.

Dopiero w lat kilkadziesiąt po śmierci św. Paulina, za rządów

---

[1] S. Paulini Nolani Ep. *Carmina*. (Migne, t. 61).

[2] Świadkiem tego wiersz samego Paulina do Auzoniusza:

Nam quod in aversis habitacula ponis Hiberis
Urbibus et deserta tuo legis oppida versu
Montanamque mihi Calagurrim et Bilbilim acutis
Pendentemque scopulis collemque jacentem Ilerdae
Exprobras, velut his habitem laris exul et urbis
Extra hominum tecta atque vias: an credis Hiberae
Has talluris opes, Hispani nescius orbis,
Quo gravis ille poli sub pondere constitit Atlas
Ultima nunc ejus mons portio metaque terrae
Discludit bimarem celso qui vertice Calpen?
Bilbilis huic tantum, Calagurris, Ilerda notatur,
Caesarea est Augusta cui, cui Barcino amoena
Et capite insigni despectans Tarraco pontum.
(*Carmen* x, v. 221—233).

[3] *Confessiones*, t. ix, c. 6.

efemerycznych cesarzów: Awita, Majoriana i Anthemiusza, pośród okropnego upadku państwa i pośród chaosu, jaki wszystkiem owładnął, odezwała się głośniej lutnia łacińska. To Cajus Sollius Apollinaris Sidonius[1]. Wielki pan z południowej Francyi, która w V. stuleciu słynęła z t. zw. „gramatyków“ i „retorów“, całą duszą oddany był literaturze[2]. Jaki zaś urok wywierał na współczesnych swą, już naówczas bombastyczną muzą, to świadkiem tego posąg jego, jaki mu cesarz Awitus postawił na forum Trajana, obok najsławniejszych mężów. Anthemius zrobił go prefektem Rzymu; a w r. 472, podczas gdy bawił w swych dobrach we Francyi, *urbs Arverna* (dzisiejsze Clermont-Ferrand) wybrało go na swego biskupa[3]. Kościół policzył go w poczet świętych, a literatura łacińska musi mu przyznać pierwszeństwo wśród współczesnych mu pisarzy i znawców Romulowej mowy. Jego zaś zdaniem „Prudencyusza należało postawić obok Horacego“[4]; a kiedy — już jako biskup — zabrał się do religijnej poezyi i chciał opiewać chwałę św. męczenników, to za mistrza w tem obrał sobie Prudencyusza[5].

Gennadius, marsylijski kapłan i pisarz z drugiej połowy V. wieku, w dziele swem: *De scriptoribus ecclesiasticis,* które dalszym jest ciągiem takiegoż dzieła św. Hieronima, wspomina już Prudencyusza, jako znakomitego uczonego i poetę[6].

Że Prudencyusz w tym czasie znanym być już musiał powszechnie w Akwitanii, stwierdza to i poetyczny list św. Awita[7], biskupa z Vienne († około 525 r.) do swej siostry Fuscyny, gdzie wspomina i chwali Prudencyusza:

---

[1] C. Sollii Apollinaris Sidonii, *Opera omnia.* Edit. Migne, t. 58. — Ebert, *Geschichte der christl.-lat. Literatur,* I, 401.

[2] Obacz Auzoniusza, *Epistolae ad professores Burdigalenses.*

[3] Podobnie jak Medyolan wybrał sobie na biskupa swego gubernatora (św.) Ambrożego, a Auxerre (św.) Germana.

[4] ...„Similis scientiae viri hinc Augustinus hinc Varro, hinc Horatius, hinc Prudentius lectitabantur“. (Lib. II, cp. 9). Ed. Migne t. 58.

[5] Rösler, *Der kath. Dichter A. Prudentius Clemens,* str. 255.

[6] *De scriptoribus ecclesiasticis,* caput XIII (t. 58, edit. Migne). — A. Ebert, l. cit. 426. — W. S. Teuffel, *Geschichte der römischen Literatur,* II, 1119.

[7] Ebert, l. cit. str. 376.

Has virtutis opes, haec sic solatia belli
Describens mentis varias cum corpore pugnas,
Prudenti quondam cecinit Prudentius ore [1].

Podobnie odwołuje się na Prudencyusza i św. Grzegórz Turoneński (540—594) nieraz w swojem dziele: *De gloria martyrum* [2], zowiąc go przytem naszym, tj. katolickim poetą.

W kronice, znanej pod imieniem: *Prosperi Tironis*, czytamy znowu: *Prudentius lyricus poeta noster, Hispanus genere illustri* [3], a św. Fortunat, biskup z Poitiers [4], pisze przy schyłku VI. w.:

Martyribusque piis sacra haec donaria mittens,
Prudens prudenter Prudentius immolat actus [5].

Słusznie tedy powiada Rösler [6]: „Jeżeli tacy mężowie jak Grzegórz i Fortunat oddawali się studyom nad dziełami Prudencyusza i zalecali je do czytania, to już (tem samem) był im otwarty przystęp do wszystkich krajów chrześcijańskiego zachodu". To samo powiedzieć trzeba o Afryce, która zawsze ściśle miała stosunki z Hiszpanią, a po najściu Wandalów posiadała jeszcze poetów i „gramatyków", jak Florentinus, Flavius Felix, Luxorius, Mavortius, Coronatus i Calbulus. Wszak Mavortius — jak zapewnia A. Puech [7] — wydał nawet w Afryce Prudencyusza. W Hiszpanii poeta nasz nie potrzebował zalecenia; niemałym zaś jest to dowodem wziętości i szacunku u swoich,

---

[1] Tę to cnoty potęgę, te wśród walk pociechy
Opiewał niegdyś wymowny Prudencyusz,
Opisując przeróżne bitwy ducha z ciałem.

*Patrologia latina.* Migne. S. Aviti opera. *De consolatoria laude castitatis.* Porównaj uwagi Arevala nad temi wierszami. *Prolegom. in Prud.* (Migne) str. 751.

[2] L. I, c. 4: Sicut Prudentius noster in libro contra Judaeos... i c. 162: Juxta Prudentium crux pellit omne crimen.

[3] Arevalo, l. cit. str. 752.

[4] Ebert l. cit. str. 494 i W. S. Teuffel, *Geschichte der röm. Literatur,* II, str. 1278.

[5] I świętym męczennikom święte niosąc dary
Uczonym wierszem biegle śpiewał ich ofiary
Prudencyusz...
*De vita S. Martini,* Praef. Migne, t. 88.

[6] l. cit. str. 255.

[7] *Prudence, étude sur la poésie latine chrétienne au IV. siècle,* p. 289.

kiedy bez wątpienia największy uczony hiszpański siódmego wieku św. Izydor Sewilski[1] († 636), tak pisze o tym, jak go zowie, „miodopłynnym“ i „złotoustym“ poecie:

Si Maro, si Flaccus, si Naso et Persius horret,
Lucanus si te Papiniusque tedet,
Par eat eximio dulcis Prudentius ore
Carminibus variis nobilis ille satis[2].

Największy zaszczyt, jaki tylko chrześcijańskiemu poecie mógł się dostać w udziale, spotkał Prudencyusza, kiedy jego hymny Kościół św. przyjął do swych modlitw i śpiewów liturgicznych. Stało się to nasamprzód w jego ojczyźnie, w liturgii t. zw. mozarabskiej[3]. I tak np. w *officium* za umarłych znajdu-

[1] Ebert, l. cit. str. 555.

[2] *Codex Murator*, t. II, Aneid. p. 208. Sub titulo: *Vetustissimi versus, qui olim in bibliotheca S. Isidori Hispalensis legebantur.*

Jeśli wstręt budzi Maro, Horacy, Owidiusz lub Persyusz,
Jeżeli ci się znudzi Lukan i Papiniusz;
Weź do rąk równego im złotoustego Prudencyusza,
Wszak sławnym jest on z rozmaitych wierszów.

[3] Kiedy Wizygoci w V. wieku najechali Hiszpanię, przynieśli byli ze sobą — jak utrzymuje Le Brun i Jan Pinius w swoim traktacie *Liturgia antiqua Hispanica* — jakąś liturgię wschodnią. Powstało stąd zamieszanie w kościołach Hiszpanii, które św. Leander ze św. Izydorem w ten sposób mieli usunąć, że liturgię Gotów poprawili i zastosowali do potrzeb wszystkich katolików hiszpańskich. To atoli jest pewnem, że na synodzie toletańskim IV. (633 r.) tak poprawioną liturgię wszystkie dyecezye Hiszpanii i Galii Narboneńskiej przyjęły. Była to tedy liturgia gocka. Kiedy atoli w 711 r. najechali Hiszpanię Arabi i wśród nich mieszkać przyszło chrześcijanom, nazwano ich Mozarabami (czyli Mixt-Arabami) dla odróżnienia od chrześcijan Galicyi hiszpańskiej, do których się Arabi nigdy dostać nie mogli. Stąd i nazwa liturgii mozarabskiej. Z biegiem czasu wiele błędów wkradło się do niej, gdy Feliks z Urgelu i Elipandus (w VIII. w.) błędy swe z niej popierali. W XI. w. Aleksander II., Grzegórz VII. i Urban II. starali się obrządek ten zamienić na rzymski. Kiedy atoli synod toletański z 1088 r. wydał znoszącą go ustawę, powstała silna opozycya i aż przez używaną w średnich wiekach próbę pojedynku a potem ognia rozstrzygano tę sprawę. Dwie takie próby wypadły na korzyść obrządku mozarabskiego, lecz Alfons VI. obrawszy, pośrednią drogę, kazał obie liturgie, rzymską i mozarabską, w państwie swojem zachować. I rzeczywiście, odtąd w jednych kościołach trzymano się liturgii rzymskiej a w innych mozarabskiej, ta ostatnia atoli z czasem zupełnie upadła. Dopiero sławny kardynał Ximenes, chcąc pamiątkę jej zachować, wydał w r. 1500 mszał

jemy[1] hymn Prudencyusza z *Cathemerinon* (X.), a w t. zw. *Sanctorale*[2] czyli *officium* o Świętych Pańskich prawie wszystkie hymny z *Peristephanon* jużto w całości, jużto w części wyjęte.

Wnosząc z tego, jak wielkie w Galii miał wzięcie Prudencyusz, trzeba przypuścić, że i w liturgii gallikańskiej musiał być przyjęty; nie mam atoli na to dowodów, gdyż nie udało mi się dotąd naocznie z dawnych gallikańskich mszałów i brewiarzy o tem przekonać[3]. Za to Kościół rzymski dał hymnom Prudencyusza wstęp do swojej liturgii, i po dziś dzień, jak świat szeroki, usta i serca kapłanów powtarzają te prześliczne wiersze, które miłość boża stworzyła w czystej duszy poety[4].

Stając u progu VII. stulecia, z osobliwem spotykamy się zjawiskiem. Geniusz nauk wyzwolonych, ze wszystkiemi ich mu-

---

i brewiarz mozarabski z poprawkami, ustanowił i uposażył fundacyę 13 kapłanów przy kaplicy Najśw. Sakramentu przy katedrze toletańskiej i w 5-ciu czy 6-ciu parafiach, obowiązanych i Mszę św. odprawiać i godziny kapłańskie odmawiać w obrządku mozarabskim. Juliusz II. wydał dwie bulle, potwierdzające te instytucye.

W Patrologii Migne'a (t. 135 i 136) znajdujemy ten mszał i brewiarz wydane przez arcybiskupa toletańskiego, Lorenzanę. Brewiarz składa się z 3 części: właściwe *officium divinum*, *psalterium*, *ymni* (sic) *mozarabici*, *horae diurnae*, *commune* i *sanctorale* czyli modlitwy, antyfony, wersykuły i hymny o różnych świętych.

[1] *Liturgia Mozarabica* (t. 86, Migne), str. 978. Z hymnu *Circa exequias defuncti*, spotykamy tu cztery pierwsze strofy, następnie dwunastą, piętnastą aż do ośmnastej, czterdziestą i dwie następne.

[2] Tamże, str. 1031 i nast.

[3] Zwłaszcza, że od czasów jak gallikanizm za Ludwika XIV. rozwielmożnił się we Francyi, prawie każda dyecezya posiadała własne brewiarze aż do ostatniego soboru watykańskiego, gdzie wprowadzono wreszcie w całej Francyi jednolitą liturgię rzymską. Z tej liturgii, jaką znajdujemy na końcu dzieła św. Germana (*Patrol. lat.* Migne, t. 70) przekonywamy się, że była pokrewną liturgii mozarabskiej. Więcej, kto ciekawy, znajdzie w Döllinger's *Lehrbuch d. Kirchengeschichte* (I, 255).

[4] Są to ustępy z hymnów *Cathemerinon*. I tak: strofy 1, 2, 21 i 25 z I. hymnu. Z II. hymnu strofa 1 i 2, a z wierszów 48, 49, 52 i 58 — a następnie z 59, 60, 67 i 68 zrobione 2 inne strofy. Z hymnu XII, w. 1 i następne, 77 i następne, 95 i nast., 125 i następne. Jak bowiem hymny św. Ambrożego, pisane dla ludu, są króciuchne, tak Prudencyusza przeciwnie bardzo nieraz długie. *Nordamerikanisches Pastoralblatt* (1885). *Die Verwendung der Hymnen des Prudentius in der Liturgie.*

zami, jakby spłoszony chrzęstem broni, krzykiem bitew i dziką grozą ustawicznych wojen, uleciał z południa Europy na jej północ. I tak — kiedy ze św. Grzegorzem turoneńskim zamiera we Francyi literacka działalność z końcem szóstego stulecia, a ze św. Grzegorzem Wielkim we Włoszech, kiedy w Hiszpanii gaśnie ostatnia wielka pochodnia, św. Izydor Sewilski, i zostają tylko ciasne kółka wykształconych, jak oazy w pustyni: to w Afryce i te nawet zniknęły. A za to uderza nas niezwykły i niespodziewany rozrost nauk na północnym zachodzie [1]. Anglosasi stają się przedstawicielami oświaty, a równocześnie sprawdza się i tym razem, że nie kto inny, jak tylko wiara katolicka i Kościół katolicki były tym zdrojem, z którego owe ożywcze wypłynęły strugi.

Odkąd stalowe topory hord anglosaksońskich Hengista i Horsy rozbiły (449 r.) państwo Bretonów, zdawało się, że chrześcijaństwo na tych wyspach skazanem zostało na zagładę. Trzeba było dopiero gorliwości Grzegorza Wielkiego, poświęceń i cudów Augustyna, żeby chrześcijaństwo na nowo odżyło. Rzeczywiście wstąpienie tego ostatniego w r. 597 na ziemię angielską, było początkiem nowego jej życia. Kościoły, klasztory i szkoły wśród wzrastającej liczby wiernych, zasiały te ziemie, gdzie niedawno jeszcze panował Wodan i Freja.

Na schyłku VI. stulecia, z bretońskiego klasztoru Bangor [2], puszczał się w misyjną podróż jeden z jego mnichów na ziemie Germanów. Był to Kolumban św. [3]. Jeden z tych nadzwyczajnych ludzi, co w zaraniu życia nie znani światu, zjawiają mu się płomienni jak meteory, w południu swej działalności —

---

W uroczystość św. Wincentego męczennika czytamy (22 stycznia): „...cujus passionis nobilem triumphum Prudentius luculenter versibus exequitur“. Podobnie 16 kwietnia o ŚŚ. Męczennikach Saragossy i o św. Kwirynie 4 czerwca.

[1] Ebert, l. cit. str. 582.

[2] By sobie módz utworzyć pojęcie o wielkości tego klasztoru i jego wpływie, wystarcza przypomnieć, że około r. 605, pogański król Northumbryi Edelfried wymordował 1200 zakonników tego klasztoru.

[3] Ebert, l. cit. str. 582. — Scherer, *Helden und Heldinnen des christl. Glaubens aus dem Schweizerlande.* Schaffhausen 1857. — Muelinen, *Helvetia sacra.* Bern 1858. — Knottenbelt, *De Columbano.* Lugd. Batav. 1859. — Greith, *Geschichte der altirischen Kirche.* I. B., str. 261 i nast.

umiał połączyć z nadzwyczajną świętością i surowością życia jak niemniej apostolskiemi pracami także i szczery zapał do poezyi i nauk klasycznych, nawet i w sędziwej starości. Przechowały nam o tem pamięć rękopisy znalezione w założonym przez niego bobbieńskim [1] klasztorze. W jednym z nich [2] np. zachęca przyjaciela do porzucenia wszystkich przemijających przyjemności ziemskich, a natomiast zaleca mu „zatapianie się w dogmatach bożych przykazań, w czystem życiu Ojców świętych, w tem wszystkiem, co uczeni mistrzowie napisali, albo co opiewali wymowni poeci". Że się to i Prudencyusza tyczy, dowodzą owe *Versiculi familiae Benchiur* [3] (Bangor), opiewające dzieje klasztoru, z którego pochodził Kolumban, a naśladujące swym metrem jeden z hymnów prudencyuszowskiego *Cathemerinon* [4]. Do tego panowania Prudencyusza w klasztorach i szkołach bretońskich odnoszą się i słowa Alda w przedmowie do wydania dzieł Prudencyusza, kiedy o nich mówi, że „od Bretonów do nas przybyły" [5].

Ten wpływ pism Prudencyusza jaśniej jeszcze przebija się w „ojcu anglosaksońskiej poezyi", opacie Aldhelmie, biskupie z Sherburn († 709) [6]. W poemacie *De laudibus virginum* [7], poświę-

[1] Bobbio nad Trebią w północnych Włoszech. Prócz tego tak później słynnego klasztoru założył św. Kolumban w Burgundyi trzy klasztory: Anegrates (Anegrai), Fontanae (Fontaines) i najgłośniejszy z nich Luxovium (Luxeuil) a pod Bregenz klasztor Mehrerau *(Augia major seu brigantina)*, najdawniejszy klasztor w Niemczech (około r. 610).

[2] *Epistola ad Hunaldum* (*Patrologia lat.* Edit. Migne t. 80, str. 285):

Sint tibi divitiae Divinae dogmata legis
Sanctorumque Patrum casta moderamina vitae,
Omnia, quae dociles scripserunt carmine vates.

[3] Ebert, l. cit. 584.

[4] Hymn VI, pisany w metrze *dimeter jambicus catalectus.*

[5] *Prudentii poëtae opera,* in 4 to Venetiis apud Aldum. 1501.

[6] „Nicht mit Unrecht hat man Aldhelm als den Vater der angelsaxonischen Dichtung bezeichnet: in der That geht auch ein poetischer Zug durch sein ganzes Schriftthum, wenn es auch Lehrzwecke verfolgt... Noch mehr spricht aber für Aldhelms dichterische Natur, dass er trotz seines grossen Interesses und Verständnisses *für die antike Metrik, auch in* volksmässigen rythmischen Formen lateinisch, sowie in der angelsächsischen Muttersprache dichtete". (Ebert, l. cit. 595).

[7] *Patrol. lat.* (Migne, t. 89, kol. 281), ustęp p. t.: *De octo* (sic) *principa-*

conym ksieni Maksymie, opisuje on w ostatnich 450 wierszach alegoryczną walkę dziewictwa z występkami, w czem — jak to już i Ebert [1] spostrzega — wzorem mu była *Psychomachia* Prudencyusza. Bo też to dzieło, nie wspominając już *Cathemerinon* ani *Peristephanon*, wybitną w średnich wiekach odegrało rolę, będąc najpoczytniejszą książką nietylko ze względu na poezyę, ale i ze względu na ascezę. Dlatego to św. Beda (672—735), ten drugi Hieronim północy i wytrawny znawca literatury, nazywa Prudencyusza w swojem dziele *De arte metrica* „najznakomitszym klasykiem szkolnym“ [2], i odwołuje się na niego, jak na znanego wszystkim autora.

I znowu Anglo-Sas, duchowy wnuk Bedy, miał nietylko zaszczepić znajomość i zamiłowanie nauk klasycznych w środkowej Europie i na jej zachodzie, ale i stworzyć potężne ognisko umysłowego ruchu w wieku dziesiątym. Kiedy inni jego bracia z wysp bretońskich nieśli na ląd stały światło Chrystusowej wiary, Alkuin [3] wyprawiał się w ich ślady z pochodnią nauk wyzwolonych. Jego zapałowi w tej mierze [4] odpowiedziało powodzenie. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Alkuin w naukowych swoich podróżach spotyka w Parmie Karola Wielkiego i wnet dwa te podobne sobie twórcze i przedsiębiorcze geniusze [5] czy-

*libus vitiis.* Odrębny od tego jest jego traktat prozą: *De laudibus virginitatis* (l. cit. kol. 103).

[1] *Geschichte der lateinischen Literatur im Mittelalther,* I, 509.

[2] „...Nobilissimus Hispaniarum scholasticus, Aurelius Prudens Clemens“...

[3] Dümmler, *Allgemeine deutsche Biographie (Alkuin).* Tom I, Lipsk 1875. *Alkuin* znaczy przyjaciel świątyni (od *alh* świątynia i *wine* przyjaciel).

[4] Ur. w hrabstwie Jorku r. 735 ze szlachetnego domu, od dziecka rwąc się całą duszą do nauk, dla ich nabycia został oddany do klasztoru, gdzie mu się dostali za nauczycieli Egbert i Aelbert. Zwłaszcza ten ostatni wywarł na młodego Alkuina wpływ nadzwyczajny. Już w młodzieńczych latach z ucznia stał się najlepszym pomocnikiem Aelberta i z nim wyprawiał się nieraz do Europy dla naukowych poszukiwań. Stwierdzają to i własne jego wiersze:

Non semel externas peregrino tramite terras
Jam peragravit ovans, sophiae deductus amore,
Si quid forte novi librorum seu studiorum
Quod secum ferret, terris reperiret in illis.

[5] Rohrbacher, *L'hist. univ. de l'Eglise,* VI, l. 54. — Hergenröther, *Kirchen*

nią cesarski dwór w Akwizgranie siedliskiem wiedzy i pierwszą jakoby wszechnicą *(academia palatina)*. Jej twórcą, rektorem i owszem „ministrem oświaty“ w całem nowem „rzymskiem“ cesarstwie zostaje Alkuin, a najgoręcej oddanym tej sprawie mecenasem — sam cesarz Karol Wielki. Zajmujące rzeczy w tej mierze opowiada nam historya o tych nadzwyczajnych ludziach, co wśród krwawych zapasów z Sasami i Normanami, wśród wojen z Longobardami, Saracenami i hordami Awarów mieli dosyć chęci i czasu, by studyować Cicerona, by deklamować Wirgiliusza i obok zagłębiania się w teologii i filozofii, w matematyce i astronomii, walczyć o lepsze w naśladownictwie klasycznych poetów [1].

Pod taką opieką szkoły [2], biblioteki i odpisywacze ksiąg [3] rozmnożyli się wtedy z niebywałą dotąd szybkością w Europie, i nietylko nowa powstała epoka w dziejach oświaty, ale nawet i nowy rodzaj pisma w kaligrafii, która tak wielką wówczas odgrywała rolę [4]. Wtedy to i nasz Prudencyusz z kaligraficznych zakładów w Tours i w Akwizgranie, w Lugdunie, Rheims, Tuluzie, w klasztorach Korbei, St. Gallen, Reichenau i indziej wy-

---

*geschichte*, t. I, 512. — Weiss, *Weltgeschichte*, II. Band. (*De Sanctis Euboricae urbis*, w. 1154 i nast.).

[1] Jak wysoce klasyczna atmosfera panowała na dworze Karola Wielkiego, to dość przypomnieć imiona, jakie tam poprzybierano. Karol W. zwał się Dawidem (a Alkuin zwie go nawet i Anicius Flavius Carlus), Alkuin zwał się Albinus Flaccus, Eginhardt nosił imię Belzelela (dla jego estetycznego smaku), Theodulf Pindara, Adelhard Augustyna, Arno Aquili, Rikulf zwał się Flavius Damötas, Angilbert (po którym się spodziewano epopei o Karolu W.), zwał się Homerem, Rikbod Makariuszem, Adalberta zastąpił Magus Niger; nawet Gizela i Gunthrada zwały się Lucia i Eulalia. (Dr. J. B. Weiss, *Weltgeschichte*, tom II. *Das christl. Kaiserthum*).

[2] Hergenröther, *Allgemeine Kirchengeschichte*, I. 511. Wtedy to urządzono ostatecznie niższe i wyższe kursa nauk czyli t. zw. *trivia* (gramatyka, retoryka i dyalektyka) i *quadrivia* (arytmetyka, geometrya, astronomia i muzyka).

[3] Jak ich Alkuin kształcił i jak pilnował „interpunkcyi“, poucza o tem wiersz jego do nich (*Patrol. lat.* Migne, t. 101, kol. 745).

[4] *L'art d'écrire et les calligraphes.* (W *Revue des questions historiques*, 1884, t. 36, str. 176 i nast.). — *Revue des deux mondes*, 1875, t. 11. *(Les origines de l'écriture)*, str. 121.

chodził w coraz to nowej pargaminowej szacie, by służyć za wzór w klasztornych i katedralnych szkołach. Sam Alkuin w tej formie[1] odlewał swe poetyckie dzieło: *De patribus, regibus et sanctis Euboricae*[2], z którego tyle życia wieje i młodzieńczej świeżości. Kto rad, znajdzie tam żywy obraz klasztornej szkoły w Jorku, prac uczniów i nauczycieli, jak niemniej wyobrażenie o stanie bibliotek ówczesnych.

Obok Alkuina żył na cesarskim dworze inny jeszcze teolog, pisarz apologetyczny i poeta, Theodulf[3], biskup orleański († 821). Rohrbacher liczy go do największych uczonych, a w rozporządzeniach jego stawia go za wzór biskupów[4]. Jeden z najzaufańszych Karola Wielkiego i zaszczycony paliuszem od papieża Leona III., czynnym był i jako gorliwy biskup i jako prawdziwy literat. W jednym ze swych wierszów, opisując ulubionych przez się autorów, Prudencyusza o j c e m swym w poezyi nazywa:

Diversoque potens prudenter promere plura
Metro, o Prudenti, n o s t e r es ipse p a r e n s (l. IV, car. 1)[5]

I rzeczywiście widocznym jest wpływ Prudencyusza, a mianowicie jego „Psychomachii“ na poezyę Theodulfa, jak to się pokazuje bodaj z ks. V. jego wierszów; gdzieindziej znów, jak np. w traktacie *De Spiritu Sancto*, dosłownie go przytacza.

O wiele ważniejszym na polu literatury jest uczeń Alkuina[6],

[1] Obbarius, *Prudent. carm. Prolegomena,* p. XXIII. — Ebert, l. cit. t. II, str. 25 i 26.

[2] *Patrol. lat.* (t. 101, kol. 802). Z treści samej przekonać się można, że dawany temu poematowi tytuł: *De sanctis ecclesiae Eboracensis*, lub: *De pontificibus et Sanctis*, jest niewłaściwy, bo mniej zapowiada w danym razie niźli daje.

[3] Rzehulka, *Theodulf, Bischof von Orleans.* Breslau 1875. — Rohrbacher, *L'hist. univ. de l'Église,* VI, l. 54. — Weiss, *Weltgechichte* (1862), II. B., 575. — Hergenröther, *Kirchengeschichte*, I, (1879), 511. — Ebert, *Geschichte der lat. Literatur im Mittelalter,* II, 70 i nast. — *Patrol. lat.* (Migne, t. 105, kol. 345), carm. II. et III.

[4] *L'histoire universelle de l'Église Catholique* (1872), t. VI, l. 54.

[5] „Przez wskazanie nam drogi, jak bogactwo myśli w wiersz przyodziać różnolity: ojcem (w sztuce) nam się stałeś, Prudencyuszu“.

[6] Schannat, *Historia Fuldensis* (Francofurti 1729): „T e r t i u s abbas Ratgar H r a b a n u m et H a t t o n T u r o n i s direxit ad Albinum magistrum liberales discendi gratia artes“.

Rabanus Maurus [1] (776—856). Potężna to postać i bez wątpienia ze współczesnych największa, po dziś dzień chlubą jest Niemiec. „Uniwersalnym“ swym geniuszem objął wszystkie gałęzie wiedzy tak, że trudno powiedzieć, o czemby był nie pisał i czegoby był nie zgłębił [2]; a na polu szkolnictwa tak się ojczyźnie swej zasłużył [3], że słusznie dano mu przydomek *Praeceptor Germaniae* [4]. Łatwo tedy zrozumieć, czemu szkoła klasztoru w Fuldzie doszła pod jego kierunkiem do takiej świetności, iż w całej Europie zdobyła sobie na długie czasy imię rozgłośne [5]. A otóż i Raban widać, jak wszczepiał w swych uczniów zamiłowanie do Prudencyusza, kiedy nietylko w swych dziełach nieraz odzywa się o nim z nadzwyczajną pochwałą i jużto umieszcza go między najsławniejszymi chrześcijańskimi mężami [6], jużto wprost go nazywa: „najwymowniejszym i najbardziej chrześcijańskim poetą“ [7]: ale i sam go naśladuje. Proszę porównać z hymnem Prudencyusza [8] o św. Eulalii, hymn Rabana o św. Młodziankach [9]:

---

I sam Alkuin odzywa się w swej *Intercessio Albini pro Mauro* do św. Marcina o Rabanie:

Hunc puerum docui divini famine verbi
Ethicae monitis et sophiae studiis,...
Abbas namque suus Fuldensis rector ovilis
Illum huc direxit ad tua tecta, pater.

[1] Zdaniem Eberta, właściwe jego nazwisko było Hraban; że zaś pochodził z Moguncyi, zwał się wedle mody zaprowadzonej przez Alkuina Magnentius.

[2] *Rabani Mauri opera omnia.* (*Patrol. lat*, Migne, t. 107—112).

[3] Kunstman, *Hrabanus Magnentius Maurus. Eine histor. Monographie.* Mainz 1841.

[4] Bach, *Hrabanus Maurus, der Schöpfer des deutschen Schulwesens.* — Fulde 1835.

[5] Chr. Broweri, *Antiquit. Fuld.*, l. IV. (Antwerpia 1612). — Schwarz, *Über Gründung und Urgeschichte des Klosters Fulda.* 1856. — Köhler, *Hrabanus Maurus und die Schule zu Fulda.* Leipzig 1870.

[6] *De clericorum institutione* (l. III, c. 18). *Patrol lat.*, Migne, t. 107, kol. 396.

[7] *De sacris ordinibus*, c. 12. (Cfr. Arevalo, *Prolegomena.* Migne, kol. 753).

[8] *Peristephanon* III., w. 85—95 i 181—185.

[9] Strofa 6, 7 i 9 z hymnu *De natali Innocentium.* (*Patrol. lat.*, Migne, t. 112, kol. 1652 i 1653).

| Prudencyusz. | Rabanus. |
|---|---|
| Dux bonus, arbiter egregius | Dux bonus, arbiter egregius |
| Sanguine pascitur innocuo, | Sanguine pasceris innocuo |
| Corporibusque piis inhians | Corporibus minimis inhians |
| Viscera sobria dilacerat | Viscera sobria delaceras. |
| Gaudet et excruciare fidem. | Gaudia, mors aliena dabit. |
| Ergo age, tortor, adure, seca, | Ergo age, tortor, adure, seca, |
| Divide membra coacta luto, | Divide membra coacta luto, |
| Solvere rem fragilem facile est. | Solvere rem fragilem facile est. |
| Non penetrabitur interior | Non penetrat dolor interius, |
| Exagitante dolore animus. | Mentis in arce manet Dominus. |
| Cedat amor lacrymantum hominum, | Cedat amor lacrymantum hominum |
| Qui celebrare suprema solent, | Qui celebrare suprema solent, |
| Flebile cedat et officium: | Flebile cedat et officium; |
| Ipsa elementa jubente Deo | Martyribus quia regna patent |
| Exequias tibi, virgo, ferunt. | Gaudia perpetuoque manent. |

Ten hymn Prudencyusza o św. Eulalii i jego Rabanowa przeróbka, przywodzą na myśl jeszcze inną okoliczność, która dowodzi, jak poczytnym był Prudencyusz w „nadwornej wszechnicy“ Karola W. i w jego otoczeniu. Z tych mniej więcej czasów posiadamy najstarszy wiersz północno-francuski o św. Eulalii [1]. Ależ skąd się wzięła święta ta męczenniczka hiszpańska w poezyi francuskiej, kiedy historya literatury nas uczy, że popularnymi świętymi, opiewanymi w poezyi pierwszych wieków, byli zazwyczaj święci „krajowi“?... Takimi byli we Francyi: św. Dyonizy, św. Łazarz, św. Hilary, św. Marcin, św. Remigiusz, św. Genowefa i inni, ale nigdy św. Eulalia. Oto pieśń ta wyszła bez wątpienia z jakiegoś klasztoru lub szkoły: a studyum Prudencyusza zrodziło tę szczególną cześć i miłość dla hiszpańskiej męczenniczki... Wszak i sama córka Karola W. a uczennica Alkuina, Gunthrada, przybrała była imię Eulalii. Ale dość o tem.

Z modrych wód Bodeńskiego jeziora wyłania się wyspa z bielejącym już w dali zamkiem i wieżami jego kościoła. To Reichenau. Cicho tu w nim dzisiaj, jeszcze ciszej o nim po świecie, ale w dziewiątym i dziesiątym wieku roiło się tu jak

[1] Rösler, l. cit. str. 258.

w ulu, w benedyktyńskim klasztorze. Kiedy w świątyni rozbrzmiewały pienia modlitw i hymnów kościelnych; kiedy po wszystkich celkach i salach to wrzała praca nad stosem książek i pargaminów, to wychodziły z pod pendzla barwne rękopisy i wzorzyste miniatury; po falach jeziora raz po raz przesuwały się łodzie jużto z ludźmi, co zdala garnęli się do tego ogniska wiedzy i cnoty, jużto z tymi, co spieszyli nieść je w odległe strony. Tutaj to wychował się wielki uczeń św. Rabana, Walafryd Strabo [1] (806—849), przedstawiciel „literatury nadobnej“ we wschodniej części frankońskiej monarchii. Żaden może z dawnych poetów nie ukochał tak Prudencyusza i tak go nie naśladował, jak on i Notker Balbulus [2].

Osobliwszy był to talent. Kiedy współcześni poeci byli raczej „rymotwórcami“, on posiadał zmysł poetyczny w wysokim stopniu. Klasyczne studya i smak wielce estetyczny, łączyły się w nim z wielkiem także zamiłowaniem piękna w przyrodzie. Był to romantyk IX. w. Obok tego przedziwna jest jego łatwość w panowaniu nad wierszem łacińskim i w naginaniu go do każdej myśli wedle potrzeby. Już w piętnastym roku życia zostawszy mnichem w Reichenau [3], od razu pod sławnymi mistrzami Wettinem [4] i Tat-

[1] Nazwa ta stąd pochodzi, że Strabo był zezowaty *(strabus)*; sam się też podpisywał Strabus, bez żadnego dodatku. — König, *Über Walafrid Strabo von Reichenau* (we *Freiburger Diöcesanarchiv*), t. 3. 1860. — A. Ebert., *Zu der Lebensgeschichte Wolafrid Strabo's* (w *Sitzungsbericht der k. sächs. Gesellschaft d. Wiss.*, 1877, str. 100 i nast.). — Tegoż, *Geschichte der christlich-lat. Literatur im Mittelalter*, II, 145 i nast. — *Walafridi Straboni opera. Patrol. lat.*, Migne, 113 i 114.

[2] W rocznem sprawozdaniu zakładu wychowawczego w benedyktyńskim klasztorze Maria-Einsiedeln (z r. 1856/7) znajdujemy dziennik Walafryda z czasów jego młodzieńczych studyów w klasztorze Reichenau; a w dziele Kellner'a, *Erziehungsgeschichte* (3 wyd. t. 1), najbardziej może zajmujący stanowi to rozdział. Wyraźnie jest tam mowa o studyum Prudencyusza.

[3] Reichenau zwało się wtedy po łacinie Augia dives. Po różnych losu kolejach został Walafryd i mistrzem i opatem w ukochanem przez siebie gnieździe. Tutaj też złożono jego zwłoki, kiedy w drodze do swego niegdyś wychowanka, Karola Łysego, umarł był we Francyi.

[4] Zwany także Guettinem († 824 r.).

tonem a następnie w Fuldzie [1] pod Rabanem Maurem takie czynił w naukach postępy, że wnet wszystkich prześcignął. Mając lat ośmnaście, napisał poemat: *De visionibus Wettini*, w którym opisał widzenia swego kochanego mistrza, jakie tenże miał był przed śmiercią [2].

Co za niespodzianka dla każdego znawcy i miłośnika Dantego, kiedy czytając ten utwór z IX. wieku, odnajduje w nim pierwowzór „Boskiej Komedyi"! Ze zdziwieniem spotyka się kolejny opis piekła, czyśca i nieba z podobnemi akcesoryami, jak u florenckiego wieszcza, a nawet pierwszy wątek do owych aluzyj z polityki, historyi i filozofii, jakiemi Dante wiekopomne swe dzieło zapełnił [3]. Zarazem, jak i Ebert [4] to spostrzegł, znać w tym poemacie Walafryda naśladownictwo „Psychomachii" Prudencyusza [5]. Że to twierdzenie jest uzasadnione, dowodem liczne wiersze Walafryda, które tak treścią jak i metrem przypominają hiszpańskiego mistrza. I tak np. — wstęp do życia św. Mammasa [6], jest naśladowaniem wstępu do I. ks. *Contra Symmachum;* w hymnie o św. Maurycym czuć *Peristephanon* [7], tak samo, jak w wielu innych; w utworach zaś lirycznych, pisanych metrycznym a nie rytmicznym wierszem, przebija wszędzie prudencyuszowski *Cathemerinon*. Oto, czemu wyżej wspomniany autor utrzymuje [8], że „Walafryd przed wszystkimi innymi chrześcijańskimi poetami

[1] Ponieważ dłuższy czas tam bawił, stąd nosi nieraz, tak jak i w wydaniu dzieł jego przez Migne'a, nazwę *Fuldensis monachus*.

[2] Jest to w wiersz ujęte opowiadanie Wettina, które dawny opat jego Haito spisał był zaraz na miejscu. Obacz w *Patrol.* Migne'a, t. 105, kol. 770.

[3] Kiedy Wettina oprowadza jego Stróż-Anioł, nasamprzód w purpurze a następnie w bieli: Dantemu służy za przewodnika (maëstro) Wirgiliusz a potem Beatrycze. Jest jeszcze inny wiersz Walafryda a mianowicie: *De imagine Tetrici* (tj. *Teodorici*, po niemiecku *Dietrich*), gdzie sam już Walafryd rozmawia ze swym geniuszem *(Scintillla)*, i żąda od niego wyjaśnień.

[4] L. cit. II, str. 152.

[5] Wiersz 40. i następne.

[6] Metrem asklepiadycznym mniejszym.

[7] *Hymnus de Agaunensibus Martyribus*, w wierszu falecyjskim jedenastozgłoskowym (hendekasyllaby).

[8] L. cit. II, str. 162.

wziął był sobie Prudencyusza za wzór, a zwłaszcza pod względem ‚metryki' wiersza"...

Sądźmy z tego o wziętości i wpływie Prudencyusza w szkole reichenauskiej [1], którą Walafryd w ciągu krótkiego swego zresztą życia [2] napełnił swą nauką i sławą opromienił.

A teraz w literackiej naszej pielgrzymce zwiedźmy inne jeszcze ognisko nauk w IX. stuleciu. Niedaleko ono od Reichenau, bo w Kantonie St. Gallen, który swoje nazwisko i istnienie temu klasztorowi św. Gallusa czyli St. Gallen [3] zawdzięcza. Piękny to przedmiot do zajmującej monografii, historya tego słynnego klasztoru, i od tysiąca lat niejedno już pióro mu się poświęcało. I dzieje tego klasztoru i ludzie, co go zamieszkiwali, to wszystko tak niepospolite a tak związane z oświatą, z której teraz przecie dumni jesteśmy, że jeżeli jakiemu klasztorowi, to temu, należy przyznać, iż przez kilka przynajmniej wieków był „arką Noego" dla cywilizacyi Zachodu. Jeden z najstarszych — bo już w r. 613 założony przez towarzysza św. Kolumbana — gromadził długo w swych murach zastępy ludzi oddanych Bogu i nauce.

Z prawdziwą rozkoszą przerzuca się stare dziejów jego karty. Jakież tu podniosłe panowało życie, jaka wiedza, jaka cnota, jaki zapał do nauk! Kiedy się wczytujemy w kroniki tego starego opactwa, staje nam przed oczyma i ten klasztor olbrzymi jak miasto wśród ogrodów na tle szumiących lasów i Alp śniegiem wysrebrzonych; i te poważne postacie nauczycieli, co nietylko z Niemiec i Francyi, ale nawet aż z Włoch ściągali

[1] Ob. Staiger's, *Die Insel Reichenau.* Constanz 1860. — Schönhuth *Chronik des ehemaligen Klosters Reichenau.* Freiburg 1863.

[2] Umarł w 43 r. życia.

[3] *Casus Sancti Galli,* Ratperto auctore. (Pertz, *Monumenta Germaniae,* II.). *De Casibus monasterii S. Galli,* Ecckehardto auctore. Lipsiae 1730. — *Vita S. Galli,* auct. Walafrido Strabo. (*Patrol. lat.,* Migne, t. 114). — *Monachus Sangallensis.* (Pertz, II, 726—763). — *Scriptores rerum allemanicarum,* Goldasti (t. I). Francof. et Lipsiae 1730. — *Urkunden der Abtei S. Gal.* Zürich 1863. — *Mittheilungen zur vaterländischen Geschichte.* St. Gallen 1869. — *Kloster St.-Gallen,* von Henne. 1864.

uczniów swą sławą; i to liczne grono młodziutkich oblatów[1] w habitach św. Benedykta, wprawiające się do cnoty i nauki pod takimi mistrzami; i te sale rozliczne zapełnione skrzętnymi pracownikami na polu nauk i sztuki. Prawdziwy to ul, którego miodów po tylu wiekach dziś jeszcze kosztujemy, nie wiedząc nawet, komu je zawdzięczamy. Niema takiej umiejętności, którąby tam nie była miała swych przedstawicieli i mistrzów. Obok teologii i filozofii kwitły tam nauki przyrodnicze; studya klasyczne nie przeszkadzały świętej ascezie ducha, a śpiew i muzyka, rzeźba i malarstwo szły chętnie w jej usługi i czerpały z niej urok i życie[2].

Z St. Gallen wychodzili przez czas pewien najgłośniejsi malarze i rzeźbiarze, jak np. ów Tutilo[3], o którym legenda nam mówi, że sama Najświętsza Panna pomagała mu w pracy[4]. Tu było źródło owych przepysznych rękopisów, często złotem i srebrem pisanych na purpurowym pargaminie, któremi teraz szczycą się biblioteki i na wagę złota przepłacają[5]. Tu kolebka wzniosłego śpiewu kościelnego wedle metody Grzegorza Wielkiego, kiedy tenże śpiew zatracił się był na Zachodzie i zwyrodniał[6]; dlatego też St. Gallen dla większej części Zachodu, a zwłaszcza dla Niemiec, było najpierwszą szkołą[7] w śpiewie i wyrocznią

---

[1] Zwyczajem było już od czasów św. Bazylego na Wschodzie, a od św. Benedykta na Zachodzie, że w młodziutkim już wieku oddawano synów do klasztoru. Chłopcy tacy zwali się *oblati* i nosili już habit zakonny i z nich zazwyczaj rekrutowali się zakonnicy. (Reguły św. Benedykta, r. 59). J. N. Seidl, *Die Gottverlobung von Kindern in Mönchs- und Nonnenklöstern.* Passau 1871.

[2] Ild von Arx, *Die Geschichte des Cantons St.-Gallen*, 1810. — Greith, *Der hl. Gallus.* St. Gallen 1864.

[3] Umarł w r. 912.

[4] Miało się to wydarzyć przy malowaniu kościoła w Metz. Obacz Basnage, *Observatio de carm. patr. mon. S. Galli. Patrol. lat.,* Migne, t. 87, kol. 29.

[5] Zwłaszcza Pismo św., mszały i kancyonały. Klasztor ten posiadał razem sekret wyrabiania pargaminu białego jak mleko a tak cieniuchnego, jak najdelikatniejszy nasz papier listowy.

[6] Canisius, in notis ad opp. *S. Notkeri* i *Patrol. lat.,* Migne, l. 87, kol. 37.

[7] Ecckehard IV., *De casibus mon. Sangallensis.* W bibliotece klasztoru jest antyfonarz z tamtych czasów, najdawniejszy, jaki dotąd odszukano,

w tej mierze. Śpiewowi i muzyce podała tu rękę i poezya, by wspólnemi siłami stworzyć te zbiory różnorodnych pieśni i hymnów, jakie nam jeszcze po tylu wiekach zostały [1].

Kiedy wiek dziewiąty pośród burzliwych czasów i wojen szedł jak po huczącym wulkanie, druzgocąc żelazną stopą sztuki i ich siedliska; poezya obok nauk ścisłych kwitła tutaj w najlepsze, a taki np. Izo († 871) mógł się był szczycić, że stworzył całą niemal szkołę poetów. Notker, Ratpert, Tutilo, Salomon i inni z pod jego wyszli ręki. Wnosząc z tego, co nam o nim opowiadają dziejopisowie klasztoru St. Gallen, łączył on z głębokiem wykształceniem porywający wykład i nadzwyczajny wpływ na umysły swych uczniów. Ecckehard pisze o nim, że „ktokolwiek w Burgundyi całej a nawet i Gallii szczerze łaknął wiedzy, ten całą duszą pragnął słuchać wykładów Izona. Byli nawet i tacy, którzy się mieli za szczęśliwych, jeżeli choćby przez jedną godzinę słuchać go mogli. To bowiem było o nim zdanie powszechne, że i z tępych nawet rozumów potrafił wykrzesać naukę". Otóż i ten wielki uczony swego wieku tak sobie cenił Prudencyusza, że do jego poezyj osobną „glossę" czyli objaśnienia napisał [2], które bez wątpienia były notatkami do jego szkolnego wykładu.

Tak tedy i tutaj znajdujemy Prudencyusza, jako autora szkolnego, studyowanego przez największych uczonych, naśladowanego przez uczniów i wywołującego w ich duszach święty zapał poezyi.

Nie potrzeba daleko szukać nam na to dowodów. Oprócz

nie wyjmując tych przepysznych trzynastu, jakie po dziś dzień pozostały w chórze. Nad wytłumaczeniem t. zw. neumatycznych jego znaków, długie wieki napróżno się siliły, a zwłaszcza Gerbert i Kiesewetter. Dopiero ks. Lambillote, Jezuita z Brugelette, odnalazł klucz do nich ze wskazówek, jakich się doszukał w pewnym manuskrypcie z XI. wieku.

[1] *Hymni SS. antiquorum PP. mon. S. Galli.* (Migne, t. 87 i t. 131).

[2] *Glossa in Prudentium* (w wydaniu dzieł Prudencyusza przez Weitz'a. Hannower 1613). — A. Rösler, l. cit. str. 259. — Dümmler, *Geschichte des Ostfränkischen Reiches* (w *Jahrbücher d. deutschen Geschichte*). Berlin 1862—1865.— Tegoż, *Sanct Gallische Denkmale aus der Karolinger Zeit* (w *Mittheilungen der antiq. Gesellschaft,* XII, 6), r. 1859.

wyżej wspomnianych, między uczniami Izona znajdował się i Notker Balbulus [1] (830—912). Przedziwny to człowiek — ten, jak go zowią — święty śpiewak z St. Gallen! Z rodu Karola Wielkiego po mieczu, z domu saskiego po kądzieli, już w dwunastym roku życia oddawszy się Bogu w klasztorze św. Galla, pozostał — jak pisze Ratpert — całe życie raczej aniołem niż człowiekiem. Anielski też to był umysł, a dusza tak poetyczna, że każda rzecz i każde zdarzenie wywoływało z niej najwznioślejsze myśli i pieśni najrzewniejsze [2]. Powtarzała je cała Europa, wojska nawet krzyżowców śpiewały przed bitwą — na wzór naszej „Bogarodzicy“ — jego hymn: *Media vita in morte sumus.* Zbiór jeden swoich pieśni, składający się z 50 hymnów i sekwencyj, ofiarował biskupowi warcelleńskiemu Liutwardowi; ile zaginęło, trudno ocenić, ale te, które nam pozostały, jasno mówią swą treścią, gdzie szukać ich wzoru. Znowu Prudencyusz; proszę je tylko porównać z hymnami *Cathemerinon.* Zresztą i sam Notker wyznaje, co najbardziej był pokochał i którego z poetów nad wszystkich innych przenosił. „Si vero etiam metra requisieris, non sunt tibi necessariae gentilium fabulae: sed habes in Christianitate prudentissimum Prudentium de mundi exordio, de martyribus, de laudibus Dei, de patribus novi et veteris testamenti dulcissime modulantem; virtutum et vi-

[1] Kanonizowany za Leona X. w r. 1514. Zwał się Balbulus dlatego, że się jąkał w mowie. Sam to o sobie wyznaje w hymnie o św. Szczepanie:

Aeger et balbus vitiisque plenus
Ore polluto Stephani triumphos
Notker indignus cecini volente
Praesule sancto.

Oprócz tego Notkera byli jeszcze dwaj inni, a mianowicie: Notker Labeo (Wargacz) albo Theutonicus († 1022) i Notker zwany Physicus albo Medicus, tak samo Czarny lub Ziarnko pieprzu. Poeta, malarz, lekarz i mechanik († 1008).

*Vita Notkeri Balbuli,* auctore Ekkehardo minimo. — Fétis, *Biographie universelle des musiciens.* Paris 1860—1865. — Bolland, *Acta SS. 6. april.* — E. Dümmler, *S. Gallische Denkmale aus der Karolinger Zeit.* (Ob. wyżej) 1859, str. 244 i nast., 258 i nast. — Pertz, *Monum. Germ. Scr.* II, 731—763. — Mabillon, *Acta SS. ord. S. Benedicti,* t. 7, str. 11.

[2] *Patrolog. lat.,* Migne, t. 131 i t. 87. (*Carm. antiq. PP. mon. S. Galli*), zwłaszcza str. 58.

tiorum inter se conflictus tropologica dulcedine suavissime proferentem, contra haereticos et poganos acerrime pugnantem“ [1].

W okrzyczanym, przez protestanckich zwłaszcza pisarzy, wieku dziesiątym, mimowoli zwraca na się oczy wielka postać św. Brunona [2], kolońskiego arcybiskupa. Syn św. Matyldy i cesarza Henryka I., a brat rodzony Ottona Wielkiego, i co do cnót i co do wiedzy godnie odpowiedział rodowej swej wielkości. Miłośnik nauk i sam niepospolicie uczony, sprowadzał z najdalszych stron jużto klasycznych autorów, jużto nauczycieli, zakładał liczne szkoły i akademię nadworną na nowo otworzył. Ile zdziałał dla Kościoła i dla swego kraju, opowiada nam historya, a Ruotger, pisarz jego życia, i to także zaznacza, że „skoro tylko nauk klasycznych zakosztował, zaraz z pomocą i przy wskazówkach swego nauczyciela zabrał się do odczytywania pism Prudencyusza. Ten zaś, ponieważ i co do wiary, i co do uczuć nawskróś jest katolickim, świetny wymową i nauką a w wierszu najwykwintniejszy: tak od razu sercu jego zasmakował, że już odtąd nietylko z jego poezyi pił duszą zewnętrzne piękno artystyczne, ale i chciwie nad wszelki wyraz ssał tę wewnętrzną słodycz, jaka tkwi w pismach poety“ [3]. Prócz tego wiemy, że wedle sił starał się roz-

[1] „Jeżeli zaś żądny jesteś i piękna sztuki metrycznej, to nie trzeba ci szukać aż bajek pogańskich: bo w chrześcijaństwie znajdujesz najuczeńszego Prudencyusza, który ci opiewa przesłodko stworzenie świata, męczeńskie walki, uwielbienia Boga i Ojców tak Nowego jak i Starego Testamentu; walkę cnót z występkami obrazowo i wdzięcznie maluje, z heretykami zaś i poganami zacięcie się potyka“. (*De interpretib. div. Script. liber.* w *Patrol. lat.*, Migne, l. 131, c. VIII).

[2] *Vita Sanctorum*, Bolland, t. v. October. — Pertz, *Monumenta Germ.*, t. IV, str. 252. — Ranke, *Jahrbücher des deutschen Reiches unter dem sächsischen Hause.* III. B. — Hergenröther, *Kirchengeschichte*, I, 649.

[3] „Ubi prima grammaticae artis rudimenta percepit, uti ab ipso hoc saepius ruminante didicimus: Prudentium poetam, tradente magistro, legere coepit. Qui sicut est fide intentioneque catholicus, et eloquentia veritateque praecipuus et metrorum librorumque elegantissimus: tanta mox dulcedine palato cordis ejus complacuit, ut jam non tantum exteriorum verborum scientiam, verum intimi medullam sensus et nectar liquidissimum, majori quam dici potest, aviditate hauriret“. *Vita S. Brunonis*, auctore Rotgero, *aequali et domestico ejus*, w dziele Bolland, *Vitae SS. ad diem 11. octobris*

powszechniać pisma Prudencyusza, i z ogromnym nakładem kazał sporządzać jego odpisy, by każdemu kościołowi módz je w darze ofiarować.

Obok uczonego królewicza-biskupa słynęła w dziesiątem stuleciu, jako cud swego wieku, i uczona zakonnica, Roswitha[1] czyli Hrotswitha (około r. 970). Wykształcona w klasycznych naukach w Gandersheimskim[2] klasztorze, gdzie się była od lat najmłodszych Bogu poświęciła: już wcześnie poczęła dawać dowody nadzwyczajnego swego uzdolnienia. Przedziwny atoli i do dziś dnia podziwiany był jej talent poetycki. Zaczęła od hymnów łacińskich na cześć Najśw. Panny i Świętych Pańskich, a skończyła na poematach epicznych i utworach dramatycznych[3]: wszędzie przypominając słowy zapożyczonemi od Prudencyusza jego *Peristephanon*, a zarazem dając niezaprzeczone dowody, jak u schyłku tego „ciemnego" stulecia wysoko stało nawet w żeńskich klasztorach znawstwo i zamiłowanie Wirgiliusza, Owida, Plauta i Terencyusza. Sama Roswitha[4] opowiada to w przedmowie do swych komedyj.

Nie jest to wcale odosobniony przykład. Gdybyśmy się nie obawiali znudzić czytelników, przypomnielibyśmy jeszcze błogo-

[1] Helena von Rossow.

[2] Sławny klasztor w Saksonii (Gandersheim) założony w r. 852 przez saskiego hrabiego Liutolfa i jego żonę Odę dla panien szlacheckiego rodu.

[3] Mamy jeszcze po niej komedye na wzór Plauta i Terencyusza, pisane w tym celu, by wyrugować z rąk inteligencyi ówczesnej niemoralne utwory wspomnianych poetów. Prócz tego hymny i poematy: *De gestis Odonis I. imperatoris* i *De primordiis coenobii Gandersheimensis*. Oba utwory są ważnemi po dziś dzień dokumentami historycznemi. Inne dzieła obacz niżej.

[4] Löser, *Hrotswitha und ihre Zeit (in den wissenschaftlichen Vorträgen)*. München 1858. — Pertz, *Documenta Germ.* IV. *(Roswithe)*, str. 302 i nast., 317 i nast. — Barack, *Die Werke der Hrotswithe*. Nürnberg 1858. — Harenberg, *Historia Ecclesiae Gandersheimensis*. Hannower 1734. — *Opera Roswithae*, edit. Conr. Celtes. Noremb. 1501. — Stanisław Koźmian, „Dzieła wierszem i prozą". Tom II. Rozprawa o Konradzie Celtesie i o sprawie wydawnictwa dzieł Roswitty. — *Patr. lat.*, Migne, t. 137, gdzie znajdujemy (kol. 971) sześć komedyj (Gallicanus, Dulcitius, Callimachus, Abraham, Paphnutius, Sapientia). *Historia Nativitatis laudabilisque conversationis Intactae DEI Genitricis.* — *Historia ascensionis Domini.* — *Passio S. Gangolfi martyris.* — *Passio S. Pelagii, pretiosissimi martyris, qui nostris temporibus Cordubae martyrio est*

sławioną Herradę (z XII. w.)[1] i jej nauczycielkę ksienię Regilindę († 1169); Dominikanki z XII. wieku[2], Charitas Pirkheimer († 1532)[3] i inne. Przeszlibyśmy razem „Boską komedyę“ Dantego i wykazali w niej owoc studyów nad *Apotheosis*, „Hamartigeneą“ i „Psychomachią“ Prudencyusza. Dość atoli niech będzie na tem, co o owych czasach aż po wiek XVI. mówi Rudolf von Raumer: „Między książkami, które (prócz Pisma św.) służyły do nauki w szkołach, stoją trzy na czele wszystkich innych, a mianowicie: Poezye Prudencyusza, *Canones Apostolorum et Conciliorum*, i dzieło św. Grzegorza o urzędzie duchownym[4].

„Był tedy Prudencyusz — jak powiada Rösler — aż po wiek XVI. nauczycielem chrześcijańskiej młodzi, a hymny jego i św. Ambrożego wraz z innymi chrześcijańskimi lirykami stanowiły pod pewnym względem ‚śpiewnik‘ duchowieństwa średnich wieków; czemu świadectwo dają Siegebert z Gembloux, Rupert z Deutz, Wincenty z Beauvais i Jan z Tritenheim. Dlatego nie można się dziwić, jeżeli glossy Prudencyusza z owych czasów, pisane w dyalekcie *althochdeutsch*, tak są liczne, że li tylko Pismo św. wyprzedza je w tej mierze“... A jednak nie same wędrówki narodów i wojny bez liczby w ciągu tych piętnastu wieków niszczyły księgozbiory, zamieniając je w perzynę wraz z miastami albo klasztorami; protestantyzm jeszcze i sekciarstwo z barba-

*coronatus. — Lapsus et conversio Theophili Vicedomini. — Historia de conversione desperati adolescentis Proterii per S. Basilium. — Historia passionis S. Dionysii martyris. — Historia passionis S. Agnetis virginis et martyris. — De primordiis caenobii Gandersheimensis. — De gestis Ottonis I. Imperatoris.*

[1] Zmarła w r. 1195. Prócz dzieła *Hortus deliciarum*, w którem pomieściła kwestye z teologii, astronomii, filozofii, geografii, historyi i sztuki, pisała pieśni łacińskie i dorabiała do nich muzykę, a do tego sama rytowała i malowała pełne poezyi ilustracye. Oryginał spłonął przy oblężeniu Strassburga w r. 1870. — (Obacz Engelhardt'a *Herrad von Landsberg und ihr Werk. Ein Beitrag zur Geschichte der Wissenschaften, Literatur, Kunst, Kleidung des Mittelalters.* Stuttgart 1818. — *Kirchenschmuck* z r. 1857 (1. Heft). *Über die Abtissin Herrade.*

[2] A. Rösler, l. cit. str. 265.

[3] Binder, *Charitas Pirkheimer*. Freiburg 1873.

[4] *Liber regulae pastoralis.*

rzyństwem, godnem Hunneryka i Omara, paliły nieraz masami najbardziej drogocenne dzieła, jeżeli te sprzeciwiały się ich błędom [1]. Takiego losu musiały bez wątpienia doświadczać i dzieła Prudencyusza, w których tak wiernie znajdujemy odmalowane życie i nauki Kościoła pierwszych wieków, że się na nie i pisarze i apologeci Kościoła już od V. wieku, i historycy i archeologowie odwołują.

Z tego wszystkiego każdy nieuprzedzony musi wyciągnąć wniosek, że bądź co bądź niezwykłą wartość muszą mieć przecie pisma Prudencyusza i co do treści i co do formy poetyckiej. Bardzo zaś zajmujący rozdział mogłoby tu jeszcze stanowić wyliczenie samych li tylko typograficznych wydawnictw pism Prudencyusza już od r. 1492 i ich komentarzy: co oczywiście dowodzi wielkiej ich wziętości i poczytności. Odsyłamy atoli ciekawych w tej mierze do Arevala [2], Dressela, Obbariusa i Brockhausa, kończąc tę pierwszą część naszej pracy słowy uczonego protestanta [3]: „Nie ulega wątpliwości, że w Prudencyuszu znajdujemy nadzwyczajny poetycki talent. Między chrześcijańskimi poetami swych czasów wyróżnia się on stanowczo jako najznakomitszy z ich grona“... I dalej: „Znajdujemy tu rzeczywiście talent poetycki pierwszego rzędu i to nam tłumaczy, czemu Kościół [4]... przyznał Prudencyuszowi zaszczytne miano chrześcijańskiego Horacego i Wirgiliusza“.

(C. d. n.).

*Ks. Władysław Czencz.*

[1] A. Arndt S. J. *(De libris prohibitis Commentarii),* str. 85 i nast.

[2] L. cit.

[3] *Aurelius Prudentius Clemens in seiner Bedeutung für die Kirche seiner Zeit,* str. 163.

[4] To co Brockhaus mówi, iż „Kościół mu przyznał zaszczytne miano chrześcijańskiego Horacego i Wirgiliusza“, rozumieć należy o chrześcijańskich uczonych i pisarzach.

# KSIĄDZ KAROL ANTONIEWICZ.

## IX.

### Na gruzach Krakowa.

Na poczcie w Tarnowie obiła się o uszy Antoniewicza straszna, nieokreślona jeszcze, z ust do ust podawana nowina: Kraków się pali! W pierwszej chwili wierzyć nie chciał; łudził się, że to może bajka, jak tyle innych, krążących w tym czasie, o jakichś powstaniach, wojnach, rzeziach; wetknięty do ręki przez kogoś usłużnego, świeżo nadeszły numer *Czasu*, przekonał go, że to, niestety! nie bajka, lecz gorzka prawda. Krakowski dziennik, wyszły w połowie zwykłej objętości, wyłącznie i jedynie opisowi pożaru poświęcony, zawodził jęk rozpaczy [1]:

„Przeżyliśmy dzień straszliwy, a nie przewidujemy końca naszych cierpień. Wokoło nas bucha straszliwy ogień, okropna łuna świeci nad całem miastem, ciężkie dymy walą się. Morze ognia zalało ulice i rynek... Godzina ostateczna wybiła dla miasta...

„O godzinie pierwszej z południa (18 lipca) uderzenia z wieży i alarm na rynku dały znać o pożarze, chociaż trwał on już podobno od niejakiego czasu. Wnet ujrzeliśmy straszny ogień w Dolnych Młynach przy ulicy Krupniczej. Wiatr dął mocny, natychmiast zapaliły się sąsiednie domki... O kwadrans na drugą

[1] *Czas* z 19 lipca 1850 r.

dano znać, że dom p. Bartynowskiej przy ulicy Gołębiej i plantacyach zaczął się palić... Lecz nowy krzyk: ulica Wiślna się pali!... Nowy krzyk: pałac Wielopolskich się pali! Pędzim w tamtą stronę i od Grodzkiej ulicy widzimy z dachu dobywający się ogień. Pożar naraz w czterech miejscach... ani jednej sikawki, ani ratunku, ani nawet drabin! Nic, zgoła nic, wszystko oddane na łaskę niszczącego żywiołu... Pożar od plantacyj postępuje, zajmuje się technika, drukarnia uniwersytecka, kościół unicki. Cała Bracka ulica w ogniu... Ogień się łączy: od plantacyj przy ulicy Gołębiej, Wiślnej, Franciszkańskiej do plantacyj przy Małym Rynku, ulicy Szerokiej, Św. Józefa, wszystko się pali. Naraz palą się cztery kościoły...

„Z północnej części Rynku zostały się tylko dwa domy; z ulicy Wiślnej połać od św. Anny i Rynku; z ulicy Gołębiej gmachy akademickie (wyjąwszy technikę) i dom narożny; z ulicy Brackiej część domu księcia Jabłonowskiego; z ulicy Grodzkiej aż do św. Józefa trzy czy cztery domy od Poselskiej ulicy; z ulicy Stolarskiej nic. Taki jest najogólniejszy obraz spustoszenia“...

W chwili, w której Antoniewicz strasznemu obrazowi temu okiem duszy się przyglądał, w rzeczywistości wyglądał on jeszcze straszniej. Przez dziesięć dni z rzędu „nie było ani jednej nocy, któraby nie była oświecona łuną pożarów, ani jednego prawie dnia nie przerwanego alarmem“ [1]. Każdy silniejszy wicher rozrzucał na wszystkie strony gorejące głownie; lada wietrzyk rozdmuchiwał tlejący pod popiołami ogień, zwiększając ogrom i tak ogromem swym przerażającej klęski, wzniecając nie do opisania panikę, przyczyniając się do rozszerzania najniedorzeczniejszych pogłosek o hufcach płatnych podpalaczów, o olbrzymim jakimś spisku, nie wiedzieć tylko przez kogo i w jakim celu uknutym. Wielu sądziło i nie uważało za stosowne kryć się z tym sądem, że dla dawnej stolicy Polski wybiła stanowczo ostatnia godzina. Ci nawet, co najgłośniej i najenergiczniej nawoływali: „Nadziei nie traćmy — bierzmy się wszelkiemi siłami do odbu-

[1] *Czas* z 27 lipca 1850 r.

dowania miasta!“ — nie mogli się oprzeć czarnemu pesymizmowi. „Jakiekolwiek będą ofiary — pisał *Czas*, oddając wiernie myśli i słowa Krakowian [1] — niepodobna się łudzić nadzieją, aby tyle szkód, choćby w części pokryć były w stanie. Można z pewnością powiedzieć, że ulica Stolarska, Gołębia i Szeroka już się więcej nie podniosą... Ogólna ilość szkód doszła 20 do 30 milionów. Kto znał w ostatnich czasach nędzę naszego miasta; kto widział, że właścicielom trudno było nawet zdobyć się na zewnętrzne odświeżanie domów, kto przypatrzył się, jak okropnym był brak kapitałów, jakie niemal niepodobieństwo podania uboższym klasom zarobku, ten przyzna, że owe 30 milionów dla nas więcej znaczą, niż dla bogatych miast sta i tysiące milionów; ten zrozumie, że klęska poniesiona przez jedną część mieszkańców, upadek drugich za sobą pociągnąć musi, że w końcu cały gród czeka ostateczna ruina“...

Bronić się trzeba było przeciw temu zwątpieniu, wkradającemu się do serc, ubezwładniającemu energiczną akcyę, a tem samem niebezpieczniejszemu od samegoż pożaru. Już w czasie pierwszego nabożeństwa, urządzonego 22 lipca w kościele P. Maryi w celu uproszenia miłosierdzia bożego nad nieszczęśliwem miastem, pytał, zaklinał biskup Łętowski [2]:

„Damyż upaść tym domom bożym? Wyciągają one do nas ramiona, niby kości przodków naszych z grobów swych; w nich leżą pięciowiekowe zabytki pobożności i zamożności ojców naszych... Uderzył Bóg prawicą swoją w miasto nasze, a my się zbiegli do ołtarzów Jego“... Tę samą myśl, dzień później, Antoniewicz powtarza [3]: „Bóg uderzył w samo serce biednej Polski, bo chce, aby się sercem do Niego nawróciła“. Tak! — dobrze i pierwsi zrozumieli i wytłómaczyli to dwaj ci mężowie, bożej służbie poświęceni — Bóg dopuścił to nieszczęście, jak wogóle dopuszcza wszelkie nieszczęścia i cierpienia; nie — aby pod niem się ugiąć i ręce opuścić, ale aby hartu w niem nabrać, za winy

[1] *Czas* z 22 lipca.
[2] *Czas* z 26 lipca.
[3] Do ks. Sapieżyny. 23 lipca. Ze Staniątek.

popełnione odpokutować i z tym większym zapałem wziąć się do leczenia ran, im one cięższe.

„To teraz moje posłannictwo — powiedział sobie, snać od samego Boga natchniony zakonnik — budzić ufność, wzniecać energię w sercach“... Wzniecał ją w długich rozmowach, na które zewsząd zbiegali się stroskani, pociechy łaknący, dawni i nowi przyjaciele do ubogiej celki „u Marków“, gdzie znalazł tymczasowy przytułek; budzić ją miał niebawem gorejącem słowem na ambonach krakowskich kościołów. Przedtem, drugiego zaraz dnia po przybyciu do Krakowa, przypatrzył się sam widokowi, który dotąd znał tylko z wstrząsających opowiadań; odtwarzał sobie w myśli, co dziać się musiało przed paru dniami, gdy wespół z innymi gasić próbował ogień, wybuchły na najbardziej opuszczonem, najbiedniejszem, i kto wie czy nie najbrudniejszem w tym czasie przedmieściu — na Kleparzu.

„Jeszczem niewiele — zdawał nazajutrz sprawę ze swych uczuć, prac, pragnień [1] — dla Krakowa mógł uczynić; kilka spowiedzi, com wysłuchał, kilka iskierek miłości Boga, com rozniecił; kilka płomieni, com przy wczorajszym nocnym ugasił pożarze. O! straszna to była noc wczorajsza. Chciałem właśnie list pisać, gdy jak głos sądu bożego, to straszne słowo: G o r e! zagrzmiało na ulicy — a nasz dom bardzo blizko pożaru. W jednej chwili całe miasto zaświeciło odblaskiem palącego się Kleparza. Ratunek był dzielny przy wielkim niedostatku wody, siekier i konewek. Łaska boża, że ani powiewu wiatru nie było; niebo było jasne, a księżyc świecił tak cicho i pięknie; płomień, jak płomień ofiarny wznosił się w górę... Dopiero koło trzeciej wróciliśmy do domu. Planty naokoło przedstawiają widok obozu“...

„Zostanę, zostanę teraz w Krakowie i będę pracował wszystkiemi siłami, gdzie i jak Bóg rozkaże... Nie wiem jeszcze z pewnością, co ze mną dalej będzie, a tymczasem będę tu wśród gruzów i popiołów Krakowa pracował, aby i w sercach ten ogień się rozżarzył — bo w sercach zimno, zimno jak lód... W poniedziałek (29 lipca), da Bóg, będę tu miał kazanie na

[1] Do ks. Sapieżyny. 27 lipca.

solennem nabożeństwie w kościele Panny Maryi, na dziękczynienie Panu Bogu za ocalenie reszty miasta. A w piątek (2 sierpnia) zacznę trzydniówkę, jak Bóg da, na żądanie księdza Administratora[1]. Także zacznę wkrótce katechizm w naszym kościele, tj. u Marków, dla ludu, żeby tylko piersi i gardło wydołały, bo serce wydoła przy łasce bożej"...

W parę dni później lakonicznie donosi[2]: „Pan Bóg pobłogosławił poniedziałkowemu kazaniu". Pobłogosławił jeszcze hojniej trzydniówce w Maryackim kościele, która rozniosła po całym Krakowie, po Polsce całej imię nowego Jeremiasza, płaczącego nad gruzami ojczystego miasta; która wszystkie serca dlań pozyskała.

„Powstań! — wołał mówca — powstań z grobu twego Jeremiaszu proroku, weź okowy żelazne na ręce i nogi twoje, przepasz biodra twoje włosiennicą i po tylu wiekach milczenia uderz w złotą Izraela arfę. Oto masz przed sobą nową Solimę, oto masz przed sobą lud boży, zgięty i złamany pod ciężkim krzyżem boleści i udręczenia. Patrz! oto ten Wawel, to święta dla Polski Syonu góra; patrz, oto ten Kraków, to nowa ludu bożego Jerozolima — w dymie i popiołach. Wieszczu boży, my nowej nie chcemy pieśni, ale powtórz, powtórz nam ten lament nad miastem nieszczęśliwem, a twoim słowom łzy polskie wtórować będą i popłyną z Wisłą i odbiją się echem boleści...

„Dwa tygodnie jeszcze nie minęło, a to miasto poważne wiekiem, czcigodne pamiątkami, promienne aureolą świętych patronów narodu, których ciała tu spoczywają — w swobodzie cnoty, przemawiało do każdego serca polskiego, serca katolickiego... O miasto tylu Świętych pańskich, o miasto tylu pamiątek chwały i boleści, o matko ziem polskich, o jakżeż dziś w grubej stoisz przed nami żałobie. Twoje pamiątki, to garść popiołów, twoje nadzieje z dymem znikły. Tyś była matką naszą, dobrze tu było modlić się, dobrze tu nam było marzyć, dobrze tu nam było płakać. O! tym popiołem posypawszy głowy nasze, wołajmy:

[1] Ks. Mateusza Gładyszewicza.
[2] Do ks. Sapieżyny. 2 sierpnia.

Panie! zlituj się nad nami... Panie! dzięki Ci składamy za tę resztę miasta, żeś ją ocalić raczył, dzięki za ten przybytek, czci Najśw. Maryi Panny, ocalony, który Ona jak i innych płonących płaszczem swojej opieki osłonić raczyła. Łączymy dzięki nasze z tą bezkrwawą ofiarą jednorodzonego Syna Twego, którą Ci w tej świątyni uroczyście dziś składamy. A z dziękczynieniem zanosimy prośbę: Panie! zlituj się i nie karz nas w przyszłości naszej, nie odbieraj nam przeszłości naszych, oszczędź kościoły nasze, oszczędź groby ojców i matek naszych, bo w tych kościołach, w tych grobach — tleje iskra nadziei nawrócenia naszego.

„Panie! czyliż nie wysłuchasz jęków serc naszych. Wszak myśmy dzieci tych ojców, którzy w tych kościołach niegdyś głosili niebu zwycięstwo za pomocą Twoją nad nieprzyjacielem wiary Twojej świętej, a zwycięstwo łzami i krwią ich okupione. Panie! tu więcej jak groby, tu spoczywają ciała wybranych i świętych sług Twoich. Oni kochali Polskę, za nią prosili i żebrali miłosierdzia Twego, a dziś proszą i żebrzą o zlitowanie u stóp majestatu Twego, duchy ich unoszą się nad tem miastem. Tu Stanisław, biskup nasz i męczennik, wyciąga z Wawelu błogosławiące ręce za swoim Krakowem — tu Jacek patrzy na te okopciałe domu swego mury, w których przez tyle wieków grzmiała chwała boża. Polsko! ugnij kolana przed królową twoją; patrz — to Salomea unosi się nad rozburzonym domem, ale płomień nie ważył się nawiedzić kaplicy Jej. To Szymon, ubogi zakonnik, którego głos grzmiał niegdyś, do pokuty wzywając po rynkach i ulicach Krakowa — to Jan Kanty, ta droga perła w koronie świętej chwały polskiej — to te całe zastępy, w purpurze i siermiędze, w habicie i pancerzu — otoczyły Cię niewidomie, wstawiając się o zmiłowanie Twoje. Ach! gdyby oni płakać mogli, gorzkąby łzą nad tobą zapłakali, wołając chórem: Jeruzalem, Jeruzalem, o Krakowie! Krakowie, nawróć się do Pana i Boga twojego“.

W ostatniem, trzeciem kazaniu znów do pokuty nawołuje, wielbi Ojca niebieskiego, i wtedy miłosiernego, gdy najsurowiej karze:

„Na gruzach spalonego miasta, posypmy popiołem głowy

nasze. Ukarał nas Bóg, bośmy Go kochać nie chcieli, ale ukarał nas w miłosierdziu swojem, i tą iskrą, którą spalił i skruszył kamienie, zapalił ogień miłości w sercach ludu naszego, w sercach nas wszystkich. Siał Bóg błogosławieństwa swoje, ale na wyschłej ziemi wschodzić nie mogły; sieje je dzisiaj w gorące popioły. O! skropmy je tylko łzami pokuty, a zejdą wobec nieba i ziemi, pełne owoców żywota! Bóg dał, Bóg wziął, Bóg da! Milczały te mury, pokąd w nich szczęście żyło — ale dzisiaj wymownie do nas przemawiają, że tylko ze śmierci zmartwychwstanie, z boleści radość rozwinąć się może... Raduj się Krakowie, wśród łez i boleści twojej!"

Wrażenie było niezmierne. Jeden z najpilniejszych słuchaczów, tak bardzo dla Krakowa, dla ojczyzny, dla ożywienia w niej religijnego ducha zasłużony Walery Wielogłowski, nie miał dość słów dla podziękowania Bogu za takiego apostoła.

W liście pisanym w ostatnim dniu trzydniówki, powtarza mimowoli przewodnie myśli kaznodziei, które tak mu przeszły w krew i kości, że za swe własne już je uważał, a potem dodaje [1]: „Jeśli wyrok boży był straszny, surowy, ale sprawiedliwy, to wielką jest też pociecha nasza, bo kościoły są pełne ludu przerażonego gniewem bożym i tłok przy konfesyonałach. Nasz najdroższy ksiądz Karol jedną ręką gasi ogień kary, a drugą zapala ogień miłości bożej. Wielki to podpalacz ten nasz Ojciec Karol, a razem wielki ratownik. Już nam trzy kazania powiedział, a raczej nie on, ale Duch Święty przez niego; i w niejednem sercu ogień piekielny w ogień niebieski przemienił, w ten ogień, który nie niszczy, ale buduje; który pali, ale nie człowieka, lecz grzech ludzki. Bogu dzięki za tę pociechę, jaką nam w tym cudownym kapłanie posłał; Bogu dzięki, iż go dał w tej ważnej chwili, gdzie i śmierć starego człowieka i odrodzenie nowego się stykają. Bogu dzięki za sąd i za miłosierdzie i za wszystko, co nam z ręki bożej przychodzi".

Sam Karol dziękował również Bogu z głębi serca za moc z góry słowom swym użyczoną [2]:

[1] Do br. Stefanii Konopczyny. 4 sierpnia.

[2] Do ks. Sapieżyny. 9 sierpnia.

„Opisywać życie moje tu w Krakowie, to byłoby opisywać miłosierdzie po miłosierdziu bożem. Czuję w sobie jakiś ogień święty, żebym chciał ten cały Kraków w sercu pomieścić i rozegrzać i do Boga zaprowadzić i czuję siłę, siłę w piersiach... Jakie to uczucie dziwne widzieć ten lud cały tłumnie w tym wielkim Panny Maryi kościele zgromadzony, pod wpływem słowa bożego aż do ziemi zgięty, starty i we łzach tonący. Te trzy dni były tak święte i wielkie dla mnie. Ach! ile to łez widziałem przez te kratki konfesyonału przez dzień cały!...

„Kraków pokazał się Krakowem, święty, skruszony, żebrzący i bijący się w piersi. Bo to Kraków, bo to serce polskie! Prawda, jest złych ludzi wiele, ale to właśnie Bogu chwała, że pomimo tych ludzi bez wiary, nadziei, miłości, Kraków kocha, wierzy i ufa. Dziwny to widok popiół i łzy, skruszony kamień i skruszone serca; duch boży i duch szatański, jeden zapala serca, drugi zapala domy. Bóg zwycięży! codzień konfesyonał w oblężeniu! O piękne to były trzy dni cośmy przeżyli! grzmiała chwała boża, cieszyło się niebo, a głupi djabeł zwijał się z zapałkami, aby gdzie fajerwerk wyprawił, ale mu się nie udało, bo Bóg wszędzie jego ogień gasił łzami ludu! Walne było żniwo, wyczyściła się niemało rola Chrystusowa. Wszystko się spowiadało, generalnych bardzo wiele spowiedzi.

„Miałem dwa kazania grzmiące i długie, a piersi tak się spisały, żem ani odrobinę nie ochrypł. O jaki to Bóg dobry! Kościół Panny Maryi nabity ludem, żeby i szpilki nie było gdzie rzucić. Oświadczeń miłości najserdeczniejszych od trzeźwych i pijanych, w kościele i w domu i na ulicach, nasłucham się do woli".

Biskup Łętowski pytał: „Damyż upaść tym domom bożym?", kończył przemowę swą okrzykiem: „Oby zabrzmiała jeszcze chwała Pańska po tych świątyniach Jego spustoszałych!" Pytanie nie pozostało bez odpowiedzi, okrzyk potężnem echem w sercach się odezwał. Nie upłynęło trzy tygodnie od katastrofy z 18 lipca, a już po mieście, po kraju rozeszła się odezwa, wzywająca do odbudowania spalonych kościołów[1]:

[1] *Czas* z 7 sierpnia.

„Ratujmy byt i domy miasta naszego, ale ratujmy i jego duszę, wiarę, dzieje, sztukę! Niema przyszłości dla tych, co przeszłości zrozumieć i uszanować nie umieją. Obok szczodrej ręki dla potrzeb nieszczęśliwych, niech się otworzy szczodra ręka dla naszych kościołów. Niech się nie zrażają ogromem szkody; wieki budowały, wieki odbudują. U Dominikanów, Franciszkanów największych potrzeba wysileń, ale nie pomijamy kościoła św. Norberta, braci naszych Rusinów, ani św. Józefa. Wszystko, co upadło, niechaj powstanie, jako dowód, iż siła żywotna nie jest nam odjęta i że zaczerpniemy jej z nieprzebranego źródła miłości Boga i ojczyzny".

Odezwa ta zamknąć powinna była usta małodusznym wątpliwościom, trwożliwym pytaniom: Czy damy radę, czy nie wystawimy się na śmiech, zabierając się do dzieła, któremu nie podołamy; czy myśli o odbudowaniu kościołów nie należy zostawić na późniejsze, szczęśliwsze, zasobniejsze lata? Tymczasem pytania te, dotąd po cichu w ciaśniejszych kółkach stawiane, odezwały się teraz właśnie głośniej, szerzej. Z żalem donosi o tem Antoniewicz [1]: „Chwała boża grzmi po całym Krakowie, Kraków dzień cały się modli. Ale i djabeł nie śpi, ale strasznie głupi, niewiele może uzyskać. Jednak zebrał potężną partyę przeciwną odbudowaniu kościołów, starą piosnkę Judasza powtarzając: ‚Lepiej ten olejek sprzedać i pieniądze dać ubogim'. Nie rozumieją, że kto Bogu daje, ten na lichwę pożycza. Dzieliła się dawniej Polska z Bogiem i kościoły były, a nędzy nie było; dziś jest nędza, bo kościołów niema. My milczymy i Bóg milczy; my skąpi dla Boga, a Bóg skąpy dla nas. Jednak przeważająca partya między świeckimi, a na ich czele kochana pani Arturowa [2], jest za odbudowaniem kościołów — i kościoły będą, da Bóg!"

Kościoły stoją, bo znalazło się na szczęście kilku energicznych ludzi, którzy w dyskusye się nie wdając, wprost przy-

[1] Do ks. Sapieżyny. 18 sierpnia.

[2] Zofia z Branickich hr. Potocka, prezesowa zawiązanego 20 lipca „Komitetu pogorzeli miasta Krakowa", znana i powszechnie ceniona dla wielkiej swej cnoty i dobroczynności, „duch opiekuńczy naszego miasta"— jak ją nazywali Krakowianie (por. *Czas* z 29 lipca 1850).

stąpili do czynu. Pierwsi Dominikanie, którzy najwięcej może od ognia ucierpieli, rozpoczęli wielkie dzieło uroczystem nabożeństwem, a znając wpływ i miłość, jaką całe miasto Antoniewicza otaczało, udali się do niego z prośbą, aby kilku gorącemi słowami zawezwał wiernych do składek.

„W poniedziałek (12 sierpnia) mieliśmy nabożeństwo u księży Dominikanów[1]. Na gruzach był ołtarz, pod cudownie uchronionym krucyfiksem... Cały Kraków się zebrał, jak pod tęczą kolorowych parasolek, bo słońce jak płomieniem paliło. Na kopcu popiołu i rumowiska, który aż do pierwszego piętra wypalonej dostawał kamienicy, naprzeciw wieży dzwonniczej postawiono mi stół i z tego stołu potężnie zagrzmiało słowo boże. Taki był upał, że mi się, gdym stanął na stole, w głowie kręcić poczęło, ale na szczęście stanął przy mnie sążnisty Reformat, ksiądz Feliks świeżo z Jerozolimy przybyły, i ramię jego potężną było mi podporą. W czasie nabożeństwa zbierano składki na kościół i z tych wdowich groszów do 800 złotych się zebrało. Poczem w procesyi wniesiono na korytarz wyratowany obraz Matki Boskiej Różańcowej; poświęcono i wywindowano ankry, z których jeden 600 złotych kosztuje. Aż strach bierze pomyśleć, jakie to sumy wyjdą na odbudowanie tej świątyni, ale odbuduje się, bo Bóg bogaty".

Płynęły obfite dary, płynęły z oczu słuchaczów gęste łzy, i nie dziw, bo ta ruina, na którą mówca ręką wskazywał, sama do łez, do ofiarności pobudzała; bo z ust jego płynęły słowa do dna duszy wstrząsające:

„Jakiż to widok[2] bolesny i smutny przedstawia się oczom naszym? Ściany okopciałe, walące się mury, gruzy, proch i popiół! Przez otwory wypalonych okien wyziera zgroza, spustoszenie i śmierć, jakby mówiąc: ‚patrzcie, co to są dzieła ludzkie pod ręką gniewu bożego!' Padła jedna iskra, gniew boży ją rozdmuchał i w morzu płomieni stopiły się kruszce i kamienie, a każdy przechodzący potrząsa głową, palcem wytyka i milcząc

[1] Do ks. Sapieżyny. 14 sierpnia.
[2] „Kazania", t. IV. str. 325 np.

patrzy i patrzy, że ledwo oka łzami nie wypatrzy! a jeśli ma wiarę, zawoła: o Boże! jakże wielkim jesteś w miłosierdziu Twojem, ale jak straszny w sprawiedliwości Twojej!

„Wejdźmy, wejdźmy w środek tej świątyni!

„O nie, nie wchodźmy! Bo po cóż? tam głucho, tam pusto, tam grób; a stróżami tego grobu, to te cztery kaplice, których płomień nie śmiał tknąć, to te posągi, które zakamieniałem okiem i sercem zdają się przemawiać i pytać: Cóż to się wokoło nas stało? A to grobowe milczenie przerywa tylko ta cegiełka, która oderwana pada od sklepienia jako łoskot łzy kamiennej!

„Jak widmo grobowe stoi ta wieża przed nami.

„Ach, wieżo! gdzie dzwony twoje? Dzwony moje milczą! długo dzwoniły, jęcząc groźbą i prośbą do ludu całego, aby się nawrócił, bo gniew boży nad głowami naszemi, nad miastem naszem, ale napróżno! nikt jęku ich nie słuchał, nikt jęku ich nie rozumiał. O! te dzwony stopiły się w upale ognia, jak dusze wasze w upale cierpienia; pękło ich serce, jak serce narodu!

„Ściany świątyni! gdzież ołtarz, gdzie ofiara? O! ileż ten ołtarz razy, ta ofiara zelżona była, a dziś ołtarz, to garść popiołu; ofiara, to łza.

„O! niedawno, niedawno temu dzwoniły dzwony po raz ostatni; tak wdzięcznie i silnie, jakby całą Polskę tu zwołać chciały; może niejednemu dzwoni jeszcze w sercu echo tego dźwięku. Po raz ostatni huczały te organy na chwałę bożą i może jeszcze nie przeschła ta łza, którą wywołały z duszy.

„Po raz ostatni... o nie! któż się odważy to wyrzec? Czyż ten Bóg, który świat z niczego wyprowadził, nie podoła wznieść obalonej świątyni swojej? Sześć wieków pracowało nad tem dziełem, sześć godzin zburzyło je! Pamiątka tylko została, ale w tej pamiątce zaród nadziei na przyszłość. Skąd ta nadzieja, skąd? Patrzcie, oto na tej przepalonej ścianie świeci krzyż. Wszystko runęło, krzyż nie runął; wszystko ogniem spłonęło, krzyż nie spłonął. A nad tym krzyżem zdają się błyszczeć one słowa na chorągwi legionu piorunującego: *In hoc signo vinces!* W tym znaku zwyciężysz! Bo gdzie krzyż stoi, tam stoi nadzieja; gdzie krzyż, tam zwycięstwo!

„Gdy lud Izraela po długiej i ciężkiej niewoli wrócił do ojczyzny, patrząc na zburzony po pierwszy raz kościół, starcy gorzkiemi płakali łzami i przypominali sobie dawną świetność i blask jego. Tak dziś, ludu krakowski! patrzysz na te gruzy i przypominasz sobie dawną piękność tego domu bożego. I matka córce i ojciec synowi w najpóźniejsze pokolenie opowiadać to będzie. Chodząc po tych przysionkach wygorzałych, staniesz i westchniesz: Ach! tu, tu stał ten ołtarz, przed którym klęcząc, wzdychałem do Boga, a westchnienia moje wysłuchane zostały. Tu był ten obraz Bogarodzicy, przed którym tylem łez przelała, a Ona łzy moje otarła. Tu stał ten konfesyonał, u którego pojednałem się z Bogiem. O! ileż to przez sześć wieków tu i łez spłynęło i ofiar świętych się odprawiło! Ileż tu modlitw ojców i matek waszych słyszały te mury, a dziś wszystko pusto i cicho! Zagasła lampa przed Przenajświętszym Sakramentem, bo zagasła lampa wiary w sercach naszych. O! zapalmy ją na nowo, a Bóg zapali lampy swoje!

„Wiara polska wybudowała ten kościół, wiara polska odbudować go potrafi. Jeszcze ogień tleje w popiele, jeszcze gruzy nie wywiezione, a już ochoczo biorą się do pracy ręce. Nie, nie ręce, ale serca; bo kościoły to nie ręce, ale serca budują. Kiedy nieraz cały naród jęczał w boleści i tu przychodził szukać pociechy, to ten kościół jakby ręką matki krwawe łzy ocierał, a dzisiaj to ta matka płacze i czeka, aby ręka narodu otarła łzy jej.

„Ręka narodu, ale nie pojedyńczych osób tylko. Ofiarami całego narodu niechaj powstanie ten dom boży, jako ofiara błagalna całego narodu Bogu uczyniona; niechaj będzie pomnikiem, że wiara w polskich jeszcze nie wygasła sercach. O! nie żałuj i twojej dać cegiełki do gmachu tego, stanie się ona kamieniem węgielnym domu twego; nie żałuj choć jednego grosza, bo to będzie grosz wdowi z błogosławieństwem bożem.

„Sercem i groszem, ręką i modlitwą zacznijmy ten kościół budować, ale zarazem weźmy się szczerze do odbudowania kościoła wewnętrznego w duszy naszej, bo i ten kościół ogień namiętności wypalił, bo i tam tylko popioły i gruzy. Miłość

niechaj będzie architektem tych kościołów, wiara kamieniem węgielnym, a wkrótce zabłyśnie krzyż na wieżach tego domu i na sercach naszych nadzieja zmartwychwstania, na czas i na wieczność. Na kolana bracia, do stóp ukrzyżowanego Chrystusa Pana!"

W tydzień po dominikańskim rozpoczęły się prace koło kościoła franciszkańskiego, i znowu Antoniewicz otwierał je żarzącem przemówieniem. Jednocześnie, chwili wytchnienia nie dając, zapraszano go z kazaniami, naukami, nauczkami do coraz to innych kościołów, kościołków, kaplic, klasztorów. „Wczoraj rano — opowiada pod datą 18 sierpnia te w części przebyte, w części zamierzone misyjne wyprawy [1] — rozpoczęliśmy fabrykę u Franciszkanów; miałem stosowną naukę. Po obiedzie, przy tak nabitym kościele, jakem jeszcze tu nie widział, zakończyłem u Panny Maryi nowennę, wieczorną naukę misyjną. Jutro mam naukę przy profesyi paru zakonnic na Zwierzyńcu, a w niedzielę [2] na gruzach dominikańskich przy rozpoczęciu nabożeństwa do św. Jacka. Ułożyłem małą misyjkę przez trzy dni z naukami, katechizmami i t. d. u Franciszkanów [3]; ja tylko jednej codziennie podjąłem się nauki"... „W tym miesiącu [4] 18 nauk tu miałem".

I w następnych niemniej często, z niemniejszym pożytkiem opowiadał słowo boże w kościołach, kaplicach, bywało że i w salonach i w skromnych pokoikach. „Przez ten cały tydzień — pisze w początkach października [5] — miewam przy bardzo licznem gronie słuchaczy codziennie nauki u Dominikanów na krużgankach" .. „Ośmiodniowe to nabożeństwo bardzo się udało w skutkach błogosławionych dla wielu, za co Bogu chwała i dzięki [6]. W niedzielę [7] zaczynam, za pomocą boską, nauki po-

[1] Do ks. Sapieżyny.
[2] 25 sierpnia.
[3] Por. „Kazania", t. IV. str. 305 np.
[4] W sierpniu. Do ks. Sapieżyny 1 września.
[5] 10 października.
[6] 14 października.
[7] 20 października.

ranne do ludu i katechizm u pp. Michałowskich. Tłumaczę im tu — aby naprożno nie gadać — Ewangelię, a zbiera się liczne gronko“... „Na ten miesiąc (październik) mam już siedm kazań. Jutro [1] mam kazanie u św. Józefa, u Bernardynek, gdzie, za pomocą boską, przed zimą cały kościół wyrestaurowany i dachówką pokryty będzie; gdzie największe ubóstwo, tam i pomoc boża najprędsza“. „Jak Bóg pozwoli — projektuje z końcem listopada[2] — Panu Jezusowi na kolędę, chciałbym, oprócz rannej nauki dla ludu, zacząć z pierwszą niedzielą adwentu wieczorne katechizmy. Dominikanie zaprosili mię na nowennę do Dzieciątka Jezus z codzienną wieczorną nauką“.

„Nadspodziewanie — czytamy w dalszym ciągu tego jakby dzienniczka [3] — wiele ludzi się zbiera na katechizmy i na nauczki, a co mię bardzo cieszy, że bardzo wielu mężczyzn“. „Ta nowenna [4] do Narodzenia Chrystusa Pana dziwnie mię i nastroiła i rozstroiła; rozstroiła co do czasu i świata, nastroiła do wieczności i Boga. Nieszpory były na tym długim, pięknym, szerokim krużganku, gdzie jest jeden ołtarz, ambona i konfesyonał: krew boża, słowo boże i sąd boży... Przy organach lud śpiewał nowennę, a gdy już ściemniało i tylko kilka lamp ten posępny korytarz oświecało, zaczynałem naukę... W kościołach ciągle ruch wielki; żeby nie kościoły, toby nawet trudno wiedzieć, że ludzie są w Krakowie“.

Z początkiem Nowego Roku ta sama piosnka: „Kraków [5], dobre, kochane miasto nad wyraz! Ma swoje ‚ale‘, lecz i one jakoś tej uroczej harmonii nie psują. To całe miasto, jak jedna polska rodzina, gdzieś na odludnej zabłąkana wyspie — a Boga kocha, a modli się szczerze. My tu z odpustów, nowen, czterdziestogodzinnych nabożeństw nie wychodzimy; a wszędzie ludzi pełno, wszędzie się modlą, wszędzie płaczą. Ja w tym miesiącu miałem 22 nauk z ambon, a 8 w domu, i na ten miesiąc nazbiera

[1] 4 października.
[2] 29 listopada.
[3] 20 grudnia.
[4] 26 grudnia.
[5] 8 stycznia 1851.

się dość, jeśli Bóg zdrowia i życia użyczy — a lud jakoś przywykł do mego sposobu mówienia i chętnie słucha, i nie słucha nadaremnie, bom z tego powodu dużo miał pociech".

Wielki Post nowe, gęstsze jeszcze tłumy słuchaczów do kościołów ściągał[1]: „Duch Krakowa w czasie postu tak się pięknie objawia: kościoły pełne, serca pełne i oczy pełne łez! Krzyż Chrystusa bardziej niż kiedy panuje w tych dniach i prostuje niejedną myśl i goi niejedną ranę, ale łez nie ociera, bo to dobrze, że płyną, ale je poświęca... W trzech kościołach mam co tydzień pasyjne kazania; proszono mię i do Panny Maryi, alem nie ufał piersiom swoim i możem źle uczynił, bo dotychczas bardzo mi dobrze służą, chociaż bardzo głośno trzeba mówić, przy bardzo wielkim natłoku ludzi. Oprócz tego mam co niedziela postne nauki poranne, nie pasyjne, ale z Ewangelii niedzielnej".

Kiedy bardzo na ambonie się zmęczył, szedł O. Karol, „aby użyć trochę rekreacyi" — jak pół na seryo, pół na żarty się wyrażał — do licznych chorych, których cieszył, na duchu krzepił, do świątobliwej śmierci przygotowywał. „W Krakowie istny szpital — pisze do Nagoszyna[2] — a ja na szarą siostrę się wykierował. Lubię być koło chorych, bo tam gdzie cierpią, zwykle więcej Boga kochają — i cóż dziwnego, że Pan Bóg, chcąc nas gwałtem do siebie przyciągnąć, musi nas krzyżem podpędzać!"... „Nigdzie[3], nigdzie tak skutecznie słowo boże, słowo prawdy nie przemawia do serca, jak przy łóżku chorego; przy boleści ciała i dusza mięknieje i prawda życia bierze górę nad iluzyą".

Naturalnie, zasiawszy bujne ziarno na ambonie, u Dominikanów jak u Panny Maryi, u Franciszkanów jak u Marków, u Wizytek jak u Karmelitanek, jak u Norbertanek, u Klarysek jak u Bernardynek; zasiawszy niemniej dobre, bujne ziarno w katechizmach, w poufnych, pobożnych rozmowach, zbierać trzeba było z niemniejszym mozołem żniwo w konfesyonale.

[1] 13 marca.
[2] Do br. Konopczyny. 30 stycznia 1851 r.
[3] Do margr. Wielopolskiej.

„Walne było żniwo — cieszył się nasz żniwiarz po maryackiej trzydniówce [1] — wyczyściła się niemało rola Chrystusowa. Wszystko się spowiadało, generalnych bardzo wiele spowiedzi“... „Wczoraj, w dzień Matki Boskiej [2], w kościele Panny Maryi od szóstej z rana aż do kwadrans na drugą kołkiem siedząc słuchałem spowiedzi... Lud coraz więcej mię zna i przywiązuje się do mnie, a to mnie tak niewymownie cieszy. Jak idę przez ulicę, to przekupki zatrzymują mię, kiedy będę miał naukę“. „Dziś — pisze w kilkanaście dni później [3] — od szóstej do drugiej nie wychodziłem z kościoła, bo wysłuchawszy spowiedzi w domu [4], pojechałem na Zwierzyniec — gdzie święto bł. Bronisławy — miałem kazanie i słuchałem spowiedzi, a tak mi było miło, bo znajomi z różnych stron przystępowali do konfesyonału: od Sącza, Milatyna, Starejwsi, od Lwowa, Staniątek“... I znowu po kilku tygodniach [5]: „Ludzi teraz dużo i z przyjeżdżających zbiera się do spowiedzi; wiedzą, że mię zawsze u Marków zastaną, a czasem i do późna trwa spowiedź“. Tak ciągle, ciągle, tydzień po tygodniu, dzień po dniu, ta sama powtarza się strofka, aż monotonnością swą nudna w czytaniu, choć w życiu, w czynie wcale nudną nie była: „Spowiedzi dużo i dużo chorych i smutnych — i tak dzień po dniu schodzi jak błyskawica“ [6].

Jak błyskawica schodziły dnie, tygodnie, miesiące. Wytężona praca na ambonie, w konfesyonale, przy łożu chorych, w domach smutnych, pociechy kapłańskiej złaknionych, pochłaniała każdą chwilę; obfite błogosławieństwo boże, pracy tej towarzyszące, czyniło ją lekką i słodką. Podobnie, jak niegdyś na misyach po rzezi, tak teraz, wśród tych ciągłych apostolskich trudów na gruzach Krakowa, czuł się Antoniewicz w swoim żywiole, czuł się, do pewnego przynajmniej stopnia, szczęśliwym. Melancholijno-poetyczne dumania napróżno do serca pukały; —

---

[1] Do ks. Sapieżyny. 5 sierpnia.
[2] Do ks. Sapieżyny. 17 sierpnia.
[3] 5 września.
[4] W kościele św. Marka.
[5] 19 października.
[6] Do p. Kownackiej. 13 marca 1851.

czasu na nie nie było. Trochę nieuchwytne, z tych właśnie zbyt przeciągniętych dumań płynące projekty, wobec cisnących się ze wszech stron coraz nowych, zawsze arcyrealnych obowiązków, nie odważały się nawet natarczywiej pamięci przypominać. Raz wstrzymała pracę silna gorączka, przybyła w gościnę na kilka dni w bardzo niedogodnym czasie, bo w samym Wielkim Tygodniu, kiedy właśnie — jak sam się uskarża — „cieszyłem się na pracę, jak na bal“ [1]; drugi raz przerwała ją krótka wycieczka do Lwowa. Zresztą bez przerwy, bez wytchnienia, użyźniał w Krakowie znojem, poświęceniem rolę dusz, rzucał w nią hojne nasiona słowa bożego, a rola cierpieniem zorana, stokrotnym pokrywała się kłosem, spichrze ewangelicznego Ojca rodziny napełniały się bogatym plonem. Długo, długo jeszcze dobry nasz żniwiarz mógłby tu z korzyścią pracować; ale tymczasem otwierały się już inne pola, całe obszerne krainy, również białe, ku żniwu: otwierało się wielkie żniwo w sąsiednim Szląsku, w Poznańskiem. Tam Pan żniwa wysłał teraz robotnika swego na żniwo swoje.

*Ks. Jan Badeni.*

[1] Do pani Walentyny Horoszkiewiczowej, z domu Trojanowskiej. 14 kwietnia 1851 r.

# ROZSZERZENIE PODSTAW KONKURENCYI KOŚCIELNEJ.

Obie Izby Rady Państwa uchwaliły tuż przed Bożem Narodzeniem r. z. projekt ustawy, za który wdzięczny im będzie i Kościół katolicki i ludność wiejska, i ta część naszego społeczeństwa, która patrząc bystrzej i dalej w przyszłość, nie cofa się przed znacznemi nawet ofiarami materyalnemi, jeżeli tylko chodzi o umocnienie i utrwalenie harmonii społecznej, o podniesienie religijności i oświaty ogółu. Mamy tu na myśli ustawę uchwaloną na wniosek rządu [1], sankcyonowaną już przez Najj. Pana i ogłoszoną jako ustawa z 31 grudnia 1894 r. nr. 7, D. p. p. z r. 1895, a zmieniającą postanowienia § 36 ustawy z 7 maja 1874 r. nr. 50 D. p. p., o zewnętrznych stosunkach prawnych Kościoła katolickiego w ten sposób, iż obecnie będą mogły być pociągane do opłat na potrzeby gminy parafialnej szersze koła ludności niż dotychczas. Wdzięczną więc będzie za tę ustawę ludność wiejska, gdyż usunie się z jej barków znaczny ciężar przez rozłożenie go na większą liczbę osób, przedewszystkiem takich, którzy niesłusznie go dotąd nie ponosili. Kościół nasz nie będzie już odtąd opłakiwał *abominationem desolationis in loco sancto* [2], a każdy, kto głębszem okiem dokoła spoziera, cieszyć się będzie, że wszystkie warstwy i zawody społeczne w równej mierze współubiegają się o podniesienie wiary i chwały bożej.

[1] Nr. 991, *Beilagen zu den Stenogr. Protocollen des Abgeordnetenhauses.*

[2] Cytat z proroka Daniela (IX, 27), przytoczony przez posła ks. Pastora w jego przemówieniu w Izbie posłów z d. 18 grudnia 1894, posiedzenie 336, str. 16597 *Sten. Prot.*

Ustawa, którą się tu zajmujemy, nie odnosi się jedynie do konkurencyi kościelnej, ale obejmuje wszystkie potrzeby gmin parafialnych katolickich. Dowodem tego wyraźne jej postanowienia, i sam jej nagłówek: *betreffend die Bedeckung der Bedürfnisse der katholischen Pfarrgemeinden.* My jednak rozpatrywać tu będziemy tę rzecz jedynie z punktu widzenia konkurencyi parafialnej; a to z następujących powodów: bo po pierwsze, gmin parafialnych prawnie zorganizowanych dotąd nie mamy, i o „gminie parafialnej“ mówimy dziś tylko w przenośnem znaczeniu, rozumiejąc przez nią po prostu pewną grupę ludności, tj. ogół katolików należących do pewnej parafii; powtóre największym i najgłówniejszym wydatkiem, jaki ta gmina parafialna ponosićby musiała, gdyby kiedyś formalnie powstała, byłby wydatek na budowle kościelne i plebanalne; po trzecie właśnie potrzeba oparcia konkurencyi do *fabrica ecclesiae* na szerszych i silniejszych podstawach wywołała dzisiejszą ustawę i była pobudką ciągłych o nią starań — i tak też w dalszym ciągu będziemy się wyrażać. Chodzi nam tu zresztą jedynie o zmiany, jakie ustawa z 31 grudnia 1894 r. wywołała w naszej ustawie konkurencyjnej z r. 1866, nie znającej jeszcze gmin parafialnych, pod względem konkurencyi kościelnej.

Ustawa z 31 grudnia 1894 ma swoją dość długą historyę, spisaną po części i na kartach obrad naszego sejmu krajowego.

Wiadomo, że sejm galicyjski, korzystając z prawa przyznanego mu w § 18, II. 2. Statutu krajowego, uchwalił ustawę, obowiązującą dotąd jako ustawa z 15 sierpnia 1866 r. nr. 28 D. u. k. a normującą stosunki prawne pod względem budowy i utrzymywania budynków kościelnych i plebańskich. Wiadomo także, że duch tychże postanowień zgodny jest z uchwałami Soboru trydenckiego. Po ich myśli mają być powołani do konkurencyi kościelnej, o ile nie wystarczają środki wymienione w §§ 1 i 7 ustawy[1], parafianie dotyczącego obrządku.

[1] tj. fundusz przeznaczony specyalnie na te cele, osoby obowiązane mocą fundacyi, umowy, albo też z innego tytułu prawnego, wreszcie duchowne korporacye co do parochij do nich wcielonych.

Obowiązek *fabricae ecclesiae* ciąży więc według § 8 ustawy galicyjskiej z r. 1866 na parafianach dotyczącego obrządku. Ustawa nie określa jednak sama, jak daleko sięga pojęcie parafianina; dla wyjaśnienia więc, kto jest w myśl ustawy z r. 1866 parafianinem obowiązanym do *fabrica ecclesiae*, należy się udać do prawodawstwa kościelnego. To prawodawstwo zaś mówi nam, że pojęcie parafianina obowiązanego do *fabrica ecclesiae* nie zamyka się w ścisłem kole wyznawców pewnego obrządku, zamieszkałych w parafii, albowiem, jak mówi np. Rittner [1], obowiązek fabryki kościelnej przekształcał się często w ciężar gruntowy, tak iż za zobowiązanych uważa się wszystkich posiadaczy gruntów, choćby należeli do innej parafii *(forenses, extranei)*, jeżeli tylko naturalnie są tego samego obrządku, a tem bardziej tej samej religii. Konstatują to i motywa rządowe do będącego w mowie projektu ustawy, powołując się na Richtera i Schultego *Canones et decreta Concil. Trident.* (Leipzig 1853). Zgodnie z temi kanonami, mówią dalej motywa, wytworzył się w Austryi zwyczaj prawny, sięgający bardzo dawnych czasów, iż świadczenia na rzecz kościołów i parafij uważano za ciężar gruntowy, i że wszystkie krajowe ustawy konkurencyjne, wydane w latach 1863—1866 [2], stoją na tem stanowisku. Ale co więcej, na tem samem stanowisku stoją i dawniejsze dekrety nadworne, wydane z końcem zeszłego i początkiem bieżącego wieku dla Czech, Dolnej i Górnej Austryi, Tyrolu, Bukowiny, Dalmacyi i Tryestu; stwierdzając przez to dawne, niepamiętne już pochodzenie tego prawa zwyczajowego, iż obowiązek *fabricae ecclesiae* jest u nas rodzajem ciężaru gruntowego.

Że tak jest w istocie, najlepszym tego dowodem jest, dla Galicyi, urządzenie sposobu pertraktacyi konkurencyjnej, tj. rozprawy pomiędzy stronami konkurującemi, mającej orzekać o potrzebie budowy, o potrzebie zebrania funduszów w drodze konkurencyi, i o wysokości i sposobie wpłaty lub prestacyi, uiścić

[1] „Prawo kościelne katolickie", tom II., str. 225.

[2] W Galicyi, Gorycyi-Gradysce, Istryi, Karyntyi, Krainie, Morawii, Szląsku, Styryi i Vorarlbergu.

się mających przez konkurentów (§§ 15—19 ust. galic.). Ustawa mówi w § 16, że przy pertraktacyi każda strona obowiązana do konkurencyi ma po jednym *głosie*, a więc, pomiędzy innemi, z każdej gminy pełnomocnik, obrany bezwzględną większością głosów przez parafian tegoż samego obrządku, mających w gminie prawo wyboru (rozumie się do reprezentacyi gminnej).

Otóż nasuwa się pytanie, czy prawo wyboru do reprezentacyi gminnej mają tylko osoby w gminie zamieszkałe? Bynajmniej. Według naszej ustawy gminnej z 12 sierpnia 1866 r., gmina polityczna składa się z dwojakiego rodzaju członków. Najpierw z osób t. zw. przynależnych, czyli mających w gminie t. zw. prawo swojszczyzny, a następnie z t. zw. uczestników, tj. osób nie mających wprawdzie prawa swojszczyzny w tej gminie, ale posiadających tamże majątek nieruchomy, lub też opłacających bezpośredni podatek od dochodu, albo od samoistnie wykonywanego przedsiębiorstwa zarobkowego[1]. A więc już samo posiadanie nieruchomości w granicach gminy, lub opłacanie podatków bezpośrednich w jej obrębie wystarcza, aby być członkiem gminy w charakterze uczestnika, a zamieszkiwanie w tejże gminie nie jest bynajmniej do tego potrzebne. Według zaś naszej ordynacyi wyborczej gminnej, *członek gminy*, jeżeli płaci w niej taki podatek od nieruchomości (realny), od dochodu lub zarobku, przynajmniej od roku, ma już *eo ipso* czynne prawo wyborcze, czyli prawo wybierania do reprezentacyi gminnej. A więc nie potrzeba bynajmniej w gminie mieszkać, aby mieć w niej czynne prawo wyborcze; wystarcza być z nią połączonym węzłem uczestnictwa, tj. podatku opłacanego w jej obrębie; wiemy to zresztą wszyscy z codziennego doświadczenia, gdyż jeżeli ktoś ma np. realności opodatkowane w kilku gminach, to jest też w nich wszystkich uprawniony do brania udziału w wyborach gminnych, jakkolwiek mieszka tylko w jednej z nich, albo i w żadnej. To samo w wyższym jeszcze stopniu odnosi się do osób przynależnych do

[1] § 6 ust. gmin.

pewnej gminy, i mających tam realności lub przedsiębiorstwa opodatkowane, a mimo to tamże nie mieszkających. Skoro zaś pełnomocnika do rozprawy konkurencyjnej obierają wszyscy, mający czynne prawo wyborcze w gminie, a do tych wyborców gminnych należą także i osoby w gminie nie mieszkające; skoro dalej pełnomocnik ten reprezentuje stronę obowiązaną do konkurencyi, to rzecz oczywista, że i ci nie mieszkający w gminie ale uprawnieni w niej do głosowania członkowie gminy, są stroną obowiązaną do konkurencyi, wchodzą w skład jednego wielkiego czynnika konkurencyjnego, tj. parafian. Na nich więc także, jako na członków gminy, chociaż są tylko forensami, rozkłada się w myśl § 8 ustawy konkurencyjnej wydatki przypadające na parafian, według postanowień działu V. ustawy gminnej, w ten sam sposób, jak się rozkłada inne wydatki gminne. Wszystko to oczywiście pod zastrzeżeniem, że ci członkowie gminy należą do tego samego obrządku, dla którego *fabrica ecclesiae* zostaje zarządzoną.

Z drugiej strony bowiem tylko wyznawcy dotyczącego obrządku, czy to mieszkający w gminie, czy też będący jej członkami zamiejscowymi, mogą być pociągani do konkurencyi kościelnej. Jakkolwiek bowiem obowiązek ten przybrał formę ciężaru gruntowego, to jednak jest on tylko warunkowy, to znaczy: istnieje tylko ze względu na pewne osobiste przymioty osoby, będącej właścicielem gruntu lub przedsiębiorstwa, mianowicie ze względu na jej przynależność do wyznania. Gdy niema tych przymiotów, niema i ciężaru. Ze względu na galicyjską ustawę z r. 1866, nie ulega to wątpliwości; czytamy w niej zawsze tylko o „członkach gminy, którzy należą do dotyczącego obrządku". Ze względu na inne kraje utrzymywano kilkakrotnie w rozprawach parlamentarnych nad nową ustawą z 31 grudnia 1894, o której mówimy, iż obowiązek *fabricae ecclesiae* ciąży na gminie politycznej jako takiej. Z tego nie wynika jednak, aby każdy członek gminy, katolik lub też nie, był z tego już tytułu obowiązanym do konkurencyi kościelnej; należy te słowa rozumieć raczej w duchu, potwierdzającym powyższe nasze wywody o możności pociągania forensów do konkurencyi ko-

ścielnej, to znaczy, że jeżeli jaki katolik był członkiem gminy politycznej przez to, że w niej posiadał grunta lub opłacał podatek, to był obowiązany do konkurencyi kościelnej już z tytułu członkostwa gminy politycznej, chociaż nawet w niej nie mieszkał, lecz był członkiem innej parafii.

Natomiast pociągane bywają do datków konkurencyjnych, na mocy wyraźnego postanowienia § 10 galic. ustawy z 1866 r., i osoby moralne, jakoto: skarb państwa, fundusze publiczne, stowarzyszenia lub gminy, mające własność nieruchomą w obrębie jakiejś parafii katolickiej, w miarę podatków stałych, z tej własności opłacanych. Występuje tu znów widocznie na jaw charakter ciężaru gruntowego, właściwy obowiązkom konkurencyjnym; tylko na tej zasadzie bowiem można pociągać do świadczeń na rzecz potrzeb duchowych i religijnych osoby bez ducha i duszy, będące jedynie tworami prawodawstwa. Z drugiej strony leży w tem właśnie dla prawodawstwa znaczne ułatwienie; osoby prawne bowiem, jako bezwyznaniowe, zostają zobowiązane trwale, gdyż nie mogą się uchylać od obowiązku przez zmianę wyznania; a nadto co do nich, jako martwych i bezwyznaniowych, niema obawy ewentualnego naruszenia ich uczuć i przekonań.

Na podstawie tego prawnego stanu rzeczy, przyczyniali się w Galicyi i forenses, tak wielkich jak i małych posiadłości, i osoby prawne, do kosztów konkurencyi kościelnej; stwierdził to między innymi poseł ks. prałat Ruczka, tak w swym artykule ogłoszonym niedawno w *Czasie* [1], jak i w przemówieniu na posiedzeniu Izby poselskiej d. 18 grudnia 1894 r. [2]. Rzecz się zmieniła dopiero od wydania w r. 1874 ustawy o zewnętrznych stosunkach prawnych kościoła katolickiego. Paragrafy 35—36 tej ustawy orzekają, że gminę parafialną stanowią tylko katolicy pewnego obrządku, zamieszkali w okręgu parafialnym; i że o ile na potrzeby gminy parafialnej nie wystarczają jej własne środki, jej majątek, lub inne rozporządzalne kościelne dochody, ma być nałożoną na członków gminy parafialnej, i tylko na nich, odpowiednia opłata.

[1] „W sprawie konkurencyi kościelnej", nr. 33 z 1894 r.

[2] *336. Sitzung, Sten. Prot.* str. 16585.

Powrócimy jeszcze później do kwestyi gminy parafialnej, tudzież powodów, dlaczego gminy te, mimo zapowiedzi uczynionej w § 37 ustawy, nie zostały dotąd ukonstytuowane; na tem miejscu wystarcza skonstatować, że powyższe paragrafy ustawy z r. 1874 wykluczyły od konkurencyi kościelnej forensów wszelkiego rodzaju, jako nie mieszkających w okręgu parafialnym, a podały w wątpliwość obowiązek prawny osób t. zw. moralnych, czyli prawnych, jako nie należących do żadnego wyznania, a więc nie „katolików". Cały ciężar spadł na katolików zamieszkałych w parafii; inni poczęli się usuwać, ci, którym władze niższe zaprzeczały prawa usunięcia się od obowiązków konkurencyjnych, uzyskiwali opiewające na swą korzyść rozstrzygnienia władz wyższych, tj. Trybunału administracyjnego. Mówiliśmy o tem szczegółowo już w naszych dawniejszych pismach [1]. Nieliczni, którzy dobrowolnie poczuwali się do obowiązku przyczyniania się i nadal do kosztów budowy kościelnej, zastrzegali się wyraźnie, iż czynią to tylko z własnej woli, a nie z przymusu. Przyznać należy, na chwałę naszego społeczeństwa, co zresztą podnieśli posłowie księża Pastor i Ruczka w swych przemówieniach parlamentarnych, że ludzie bardzo zamożni, biskupi ze swych dóbr dotacyjnych, kapituły i t. d. ponosiły i obecnie chętnie ciężary konkurencyjne dobrowolne; ale tych wyjątków jest niewiele, a od mniej zamożnych trudno żądać, by się powodowali stale i wszędzie czystą ofiarnością, skoro w przeciwnym razie mają prawo po swojej stronie. Ustawa z r. 1874 zwolniła niezmiernie od ciężarów konkurencyjnych pewne warstwy społeczne, ale przez to samo w równej mierze obciążyła inne. Dość powiedzieć, że, według słów ks. Ruczki [2], w samej archidyecezyi lwowskiej jest 1026, w dyecezyach przemyskiej i tarnowskiej razem do 900 właścicieli obszarów dworskich, nie mieszkających w parafii, a przez to nie biorących

[1] „Sesya sejmu galicyjskiego w roku 1884" (*Ateneum* z r. 1885 i osobna odbitka). *Über den Antrag des Abgeordneten Ruczka betreffend die Abänderung der §§ 35 u. 36 des Gesetzes vom 7. Mai 1874 Nr. 50 R. G. Bl.* (Vering's *Archiv für katholisches Kirchenrecht.* 1890).

[2] *Sten. Prot.* str. 16586.

z tytułu parafialnej przynależności żadnego udziału w konkurencyi kościelnej.

Ten stan rzeczy nie mógł być obojętny sejmowi galicyjskiemu, który też w r. 1884, zajmując się reformą krajowej ustawy konkurencyjnej, uchwalił wezwać c. k. rząd, aby się postarał, by mocą ustawy krajowej mogli być pociągani do konkurencyi i katolicy odnośnego obrządku, nie mieszkający w parafii, jeżeli w jej obrębie posiadają majątki nieruchome; dalej, aby obowiązek osób prawnych do konkurencyi kościelnej żadnej nie ulegał wątpliwości. Nawiasem mówiąc, wspomniana reforma ustawy konkurencyjnej dlatego właśnie nie przyszła do skutku, — odmówiono jej cesarskiej sankcyi — iż wchodziła, zdaniem c. k. rządu, w kolizyę z rozmaitemi postanowieniami ustawy z r. 1874[1].

Rezolucya, dotycząca osób moralnych, odniosła po części pożądany skutek, gdyż Ministerstwo wyznań i oświaty odpowiedziało reskryptem z 9 sierpnia 1886, iż uznaje zawsze moc obowiązującą § 10 galicyjskiej ustawy krajowej (w którym obowiązek konkurencyjny nałożony jest na osoby moralne), że zatem nie zachodzi pod tym względem bezpośrednia potrzeba żadnej akcyi ustawodawczej. Ministerstwo skorzystało tu ze sprzeczności, jaka się w tej mierze wkradła w orzeczenia Trybunału administracyjnego. Gdy bowiem z jednej strony judykatura tego Trybunału postawiła zasadę, iż osoby prawne nie mogą być żadną miarą uważane za członków gminy parafialnej, i pociągane do datków konkurencyjnych — to z drugiej strony znalazły się i orzeczenia wypowiadające zasadę, iż jakkolwiek według ustawy z r. 1874 tylko członkowie gminy parafialnej mogą być pociągani do opłat konkurencyjnych, to jednak co do osób prawnych, nie należących do żadnej parafii i gminy parafialnej, nie uległy zmianie przepisy ustaw krajowych. Oparł się tu Trybunał administracyjny na art. 9 ust. z 25 maja 1868 nr. 49 D. p. p.

[1] Pisaliśmy o tem obszerniej w wyżwymienionym artykule *Ateneum* r. 1885.

o międzywyznaniowych stosunkach obywateli państwa, który chociaż zakazuje nakładać na wyznawców pewnej religii lub pewnego wyznania świadczeń na rzecz innego kościoła, jednak odnosi się tylko do osób fizycznych, żyjących, wyznających pewną religię, a i tu dopuszcza jeszcze wyjątki, a mianowicie: w razie istnienia prawno-prywatnego tytułu zobowiązania, zahipotekowanej pretensyi, lub obowiązków rzeczowego patronatu.

Ze sejmu krajowego przenieśli tę sprawę posłowie polscy, dbali o dobro Kościoła, nieodłączne od dobra narodu, do Rady Państwa. Poseł ks. prałat Ruczka w r. 1888, pomijając wniosek antysemickiego posła Schönerera, postawił wniosek imieniem Koła polskiego, i tak kwestyę konkurencyi kościelnej wprowadził na stół obrad parlamentarnych. Wniosek żądał takiej zmiany §§ 35 i 36 ust. z r. 1874, aby drogą ustawodawstwa państwowego, do członków gminy parafialnej zaliczyć i katolików tego samego obrządku, nie mieszkających w okręgu parafialnym, jeżeli tylko w tym okręgu posiadają dobra nieruchome; tudzież, ażeby tą samą drogą zaliczyć do nich osoby prawne (skarb państwa, publiczne fundusze, stowarzyszenia, gminy), posiadające nieruchomość w okręgu parafialnym. Pierwsze czytanie tego wniosku odbyło się jednak dopiero podczas dyskusyi nad budżetem wyznań w r. 1890, i wtedy odesłano go, w formie nagłości, do komisyi budżetowej Rady Państwa, skąd jednak już nie powrócił, gdyż w styczniu r. 1891 Izbę poselską rozwiązano.

O wniosku tym pisaliśmy, i znaczenie jego rozbieraliśmy obszernie w r. 1890 we wspomnianym już artykule w *Archiv* Veringa, a zarazem, analizując jego postanowienia, proponowaliśmy tam, w formie zupełnie skodyfikowanej, pewne jego zmiany w duchu autonomicznym, tj. aby rozwiązanie tej kwestyi pozostawić ile możności ustawodawstwom krajowym. Mianowicie proponowaliśmy, aby paragrafy 35 i 36 ustawy z r. 1874 zmienić w ten sposób, iżby pozostawiały ustawodawstwu krajowemu:

*a)* orzeczenie, czy i o ile katolicy tego samego obrządku, nie mieszkający w okręgu parafialnym, ale mający tamże nie-

ruchomości (domy lub grunta), mogą należeć jako członkowie do gminy parafialnej;

*b)* orzeczenie, czy i o ile katolicy tacy, jeżeli zostaną drogą ustawodawstwa krajowego zaliczeni do członków gminy parafialnej, podlegać mają obowiązkowi opłat parafialnych;

*c)* orzeczenie, czy i o ile osoby prawne, mające nieruchome posiadłości w okręgu parafialnym, podlegają opłatom na potrzeby gminy parafialnej w miarę opłacanych tamże podatków bezpośrednich.

Uzasadnienia, jakiem tam poprzedziliśmy propozycyę powyższych zmian, nie będziemy tu powtarzać.

Po nowych wyborach r. 1891, ks. prałat Ruczka powtórzył zaraz w nowej Izbie swój wniosek, stawiając go w dawnem dosłownem brzmieniu na posiedzeniu z d. 27 kwietnia 1891 [1].

Drugi wniosek w tym samym przedmiocie postawiony został przez posła Kaisera, z obozu niemiecko-narodowo-antysemickiego. P. Kaiser proponował, by do § 35 uczynić dodatek, iż „do gminy parafialnej, pod względem obowiązku przyczyniania się do wydatków wyznaniowych, należą też wszyscy katoliccy podatnicy z miejscowości leżących w okręgu parafialnym". Do § 36 zaś chciał dodać, iż „dodatek na potrzeby gminy parafialnej ma być rozpisywany także i na istniejące w okręgu parafialnym to-

[1] Nr. 81. *Beil. zu den Stenogr. Protocollen.*

Dla dokładności przytoczymy go tym razem w całości:

„Gesetz vom ... womit die Bestimmungen der §§ 35 u. 36 des Gesetzes vom 7. Mai 1874, Nr. 50 R. G. Bl., über die äusseren Rechtsverhältnisse der katholischen Kirche ergänzt werden.

„Mit Zustimmung der beiden Häuser des Reichsrathes finde Ich anzuordnen wie folgt:

„§ 1. In den Verband der Pfarrgemeinde gehören auch als Mitglieder die in dem Pfarrbezirke nicht wohnhaften Katholiken desselben Ritus, soferne sie in diesem Pfarrbezirke ein unbewegliches Gut besitzen (Forensen).

„§ 2. Juristische Personen, wie insbesondere das Aerar, öffentliche Fonde, Vereine, Gemeinden, welche in dem Pfarrbezirke ein unbewegliches Gut besitzen, unterliegen der im § 36 des Gesetzes v. 7. Mai 1874 festgesetzten Umlagepflicht, nach Massgabe der von diesem Besitze gezahlten directen Steuern.

„§ 3. Mit dem Vollzuge dieses Gesetzes sind der Minister des Inneren u. der Minister für Cultus u. Unterricht beauftragt".

warzystwa akcyjne i komandytowe, które jednak mają go opłacać tylko w stosunku liczby katolickiej ludności w miejscowościach należących do okręgu parafialnego, do ogółu ludności tegoż okręgu“ [1].

Zanim p. Kaiser postawił swój wniosek, interpelował on na 138 posiedzeniu Izby z d. 31 marca 1892 r. ministra br. Gautscha, czy rząd nie zamierza wystąpić sam z podobnym projektem; na co otrzymał odpowiedź, że rząd skłonnym jest do reformy w tym duchu, ale nie wniósł jeszcze żadnego przedłożenia, ponieważ Izba posłów ma już i tak przed sobą wniosek ks. Ruczki. Wniosek ten jednak nie dostał się był podówczas do komisyi, co nie świadczy o zbyt gorącej chęci i pośpiechu parlamentu do zajęcia się nim; a, aby nie przerywać dalszego toku opowiadania, zaznaczmy tu z góry, że odesłanie wniosków ks. Ruczki i p. Kaisera do komisyi administracyjnej *(Verwaltungsausschuss)* nastąpiło dopiero w grudniu 1894, i to bez pierwszego czytania i dyskusyi, i już wtedy, kiedy przedłożenie rządowe, z którego wynikła ustawa z 31 grudnia 1894, znajdowało się w komisyi, i było przedmiotem jej obrad.

Tymczasem napłynęło do Izby mnóstwo petycyj, proszących usilnie o reformę w duchu powyższym; z samej Galicyi miało petycyonować 250 wsi; wnosiły także petycye bractwa kościelne z Morawii; do rządu zaś wpłynęły przynaglające rezolucye sejmów: morawskiego, szląskiego i powtórnie galicyjskiego. Z początkiem bowiem roku 1894, sejm nasz zajmował się tą sprawą ponownie. Poseł Adam Jędrzejowicz i towarzysze wnieśli, aby wezwać c. k. rząd do wyjednania w drodze ustawodawczej zmiany ustawy państwowej z r. 1874. Zmiana ta miałaby ten cel, żeby mocą ustawy krajowej mogli być pociągani do konkurencyi kościelnej katolicy odnośnego obrządku, nie mieszkający w parafii, jeżeli w jej obrębie posiadają majątek nieruchomy. Z brzmienia wniosku widać, że w jego tendencyi zeszliśmy się z p. Jędrzejowiczem; i my bowiem we wspomnianym dawniej projekcie pragnęliśmy sprowadzić tę rzecz wyłącz-

[1] Nr. 501. *Beil. zu den Stenogr. Protocollen.*

nie na tory ustawodawstwa krajowego. Jako motywa wniosku przytoczono: upadek kościołów, niesłuszne przeciążenie katolików zamieszkujących parafię, naszą tradycyę narodową i przywiązanie do kościoła.

Komisya administracyjna, do której wniosek odesłano, przyjęła go w całości, dodała jako drugi punkt wezwanie do c. k. rządu, by w drodze ustawodawstwa państwowego obowiązek osób prawnych do konkurencyi kościelnej postawiony został jako nie ulegający żadnej wątpliwości; i złożyła w tym duchu sprawozdanie sejmowi, który na d. 5 lutego 1894 uchwalił oba wezwania do c. k. rządu znaczną większością głosów [1].

Wreszcie zajmowano się tą sprawą żywo w komisyi budżetowej Rady Państwa na wiosnę r. 1894, i uchwalono proponować Izbie rezolucyę, powziętą przez tęż Izbę d. 25 kwietnia 1894, a wzywającą c. k. rząd, by wziął pod rozwagę taką zmianę ustawy z 7 maja 1874, iżby nadal można było pociągać i forensów do konkurencyi kościelnej, nie czyniąc przytem żadnej wzmianki o osobach prawnych. Poruszono przytem w sprawozdaniu (referent dr. Fuchs) i kwestyę kompetencyi ustawodawczej; czy państwowe, czy krajowe ustawodawstwo byłoby do tego powołane; nie rozstrzygnięto jej jednak stanowczo. Popierał wtedy rezolucyę gorąco ze strony polskich posłów ks. Pastor [2].

Gdy wreszcie zebrała się Rada Państwa w jesieni r. 1894, zapytywało Koło polskie JE. pana Ministra wyznań i oświaty, jak sprawa stoi. JE. dr. Madeyski oświadczył, że, jak to jeszcze na wiosnę zapowiedział, tak i teraz może upewnić, iż wniesie projekt w najbliższym czasie, a zarazem wyjaśniał przyczyny zwłoki.

Tak się też stało; projekt rządowy został wniesiony do Izby posłów w listopadzie 1894; a z przemówień JE. ministra

---

[1] Patrz Alegata nr. 80 i 142 (referent Adam Jędrzejowicz), Stenograficzne sprawozdanie, str. 113—115 i 311/2; posiedzenie 7 i 13 z 23 stycznia i 5 lutego 1894.

[2] Patrz: *Nachtragsbericht zum Specialberichte über Capitel IX.: Ministerium für Cultus u. Unterricht, zu Nr. 800 Beilagen der Stenogr. Protocolle;* i str. 13416—13418, 13426 *Stenogr. Protocoll.*

Madeyskiego w Kole polskiem, z artykułu ks. Ruczki, i z przemówień referenta projektu w Izbie, d-ra Wiktora Fuchsa, dowiadujemy się, w czem tkwiła trudność sformułowania przedłożenia rządowego, i o jaki szkopuł rozbijały się dotychczasowe usiłowania. Pan Minister miał oświadczyć w Kole polskiem, jak donoszą dzienniki, że nie może akceptować wniosku ks. prałata Ruczki w jego dosłownem brzmieniu, albowiem narusza on autonomię kościoła, która nadaje mu prawo samoistnego oznaczania granic parafii. Jeżeli można polegać na dokładności sprawozdania dziennikarskiego, i jeżelibyśmy na tej podstawie mieli wyrozumiewać zamiar p. Ministra, to wytłumaczylibyśmy go w ten sposób, iż zdaniem jego ustawa z r. 1874 idzie za daleko, gdyż sama określa granice gminy parafialnej, nadając jej zarazem znaczenie odmienne od tego, jakie ma w prawie kanonicznem. Aby to zrozumieć, potrzeba sobie przypomnieć, że ustawa z 7 maja 1874 r. dąży do wprowadzenia gmin parafialnych w znaczeniu korporacyjnem, czyli jako osobowości prawnych, mających t. zw. zdolność prawną. Taż ustawa zamierza przenieść na te gminy wszelkie prawa i obowiązki, dotyczące spraw kościelnych i wogóle wyznaniowych, które dziś przysługują gminie politycznej lub miejscowej (z wyjątkiem prawa patronatu, które może i nadal przysługiwać gminie politycznej). Zakres działania gminy parafialnej byłby więc znacznie szerszy, aniżeli dzisiejsze prawa stron powołanych do konkurencyi kościelnej, przy rozprawie konkurencyjnej. Potrzeba dalej przypomnieć sobie, że ustawa określa już dzisiaj, z kogo się ta gmina parafialna składa, że pozwala nakładać świadczenia i opłaty wyznaniowe tylko na członków tej gminy, i że pozostawia przyszłości jedynie organizacyę gmin wyznaniowych, stanowiąc, iż orzecze o tem osobna ustawa. I dopiero ta przyszła ustawa nadać może gminom parafialnym charakter korporacyjny i osobowość prawną, gdyż przymioty te powstają i łączą się ściśle z chwilą prawnej organizacyi. Dopokąd zaś organizacya nie jest przeprowadzona, ani nawet ustawodawczo nie określone zasady, na których ona ma się opierać, dopóty niema osobowości prawnej; może być wprawdzie materyał, z którego ona ma powstać, ściśle określony, ale samej

osoby prawnej niema. Do dziś więc nie mamy gmin parafialnych — mamy jednak określenie, z kogo one się mają składać. A mieliśmy dawniej i w rządzie i w parlamencie silne dążenie do wprowadzenia ich w życie. Nie będziemy tu przytaczać wszystkich wniosków parlamentarnych, upominających się o gminy parafialne, ani wszystkich rezolucyj Izby posłów, powziętych na podstawie tych wniosków; wystarczy przejrzeć indeksa obrad Rady Państwa od r. 1874, tudzież dwie mowy d-ra Kronawettera, z 25 kwietnia i 17 grudnia 1894 r. Natomiast należy zauważyć, że dążenie do wprowadzenia gmin parafialnych nie mogło być miłe posłom, dbałym o to, by prawodawstwo państwowe nie wchodziło w kolizyę z prawem kościelnem katolickiem. „Kościelne prawo katolickie — mówi p. Fuchs — nie uznaje prawnej osobowości gmin parafialnych; gmina parafialna jako osobowość prawna została stworzona dopiero przez ustawę z 7 maja 1874 r. Prawo kościelne katolickie zna tylko ogół przynależnych do parafii, ale bez nadawania im prawnej osobowości, tylko jako *corpus ecclesiasticum*. Dlatego też nie można temu *corpus ecclesiasticum*, które jest-kościołem słuchającym, a nie kościołem rządzącym, przyznawać prawa mieszania się w rządy kościelne. Zeszlibyśmy przez to — mówię to jako katolik — na protestanckie stanowisko, zupełnie obce kościołowi katolickiemu, tj. iż żywioł świecki miałby równorzędne prawo rządu w sprawach kościelnych. Z tej przyczyny absolutnie nie możemy z katolickiego stanowiska popierać przyznania gminom parafialnym praw, któreby były poniekąd równe z prawami kleru, lecz musimy zachować się wobec tego odpornie“ [1]. A nie było to pierwsze oświadczenie się przeciw gminom parafialnym, ani nie wyszło ono jedynie z grupy posłów t. zw. klerykalnych, należących do klubu hr. Hohenwarta. Jeszcze w r. 1890, gdy imieniem komisyi budżetowej zaproponował referent p. Edward Gniewosz rezolucyę, wzywającą rząd, aby przedłożył ustawę o ukonstytuowaniu i reprezentacyi gmin parafialnych, sprzeciwił się jej w imieniu Koła polskiego,

[1] *Stenogr. Prot.*, str. 16596 z r. 1894.

a w porozumieniu z całą ówczesną prawicą izbową, poseł książę Jerzy Czartoryski, i rezolucya upadła [1].

Otóż wniosek ks. Ruczki nie dąży wprawdzie bynajmniej do wprowadzenia zapowiedzianych gmin parafialnych, ale pośrednio je uznaje, przyjmuje je bowiem za podstawę rozszerzenia koła osób obowiązanych do konkurencyi. I to właśnie miało być powodem, dla którego wniosek ks. Ruczki nia miał powodzenia w Izbie posłów. Jak się bowiem dowiadujemy z cytowanego już artykułu ks. Ruczki w *Czasie*, członkowie t. zw. konserwatywnego klubu, zostającego pod przewodnictwem hr. Hohenwarta, oświadczyli mu, że nie będą głosować za wnioskiem, gdyż nie uznają wogóle ustawy z r. 1874, jako naruszającej linię demarkacyjną pomiędzy państwem a kościołem, na niekorzyść kościoła; sam tylko hr. Hohenwart miał być przychylny wnioskowi. Konferencya zaś biskupia w Wiedniu miała, wedle ks. Ruczki, oświadczyć dwa razy, że boi się, iż inne znów stronnictwo parlamentu (lewica) poruszyłoby podczas rozprawy nad tym wnioskiem kwestyę laikalnej administracyi majątków kościelnych, czego księża biskupi sobie nie życzą; uznają jednak, że wniosek sam w sobie jest słuszny i pożyteczny, i że potrzeba pociągnięcia forensów i osób prawnych do *fabrica ecclesiae* istnieje we wszystkich krajach koronnych.

W jakiż sposób zadośćuczynić tej potrzebie przez zmianę ustawy z r. 1874? Dzisiejszy rząd koalicyjny, będący emanacyą zjednoczenia się trzech największych a umiarkowanych stronnictw parlamentu dla wspólnej pracy, nie może naruszać zasadniczego warunku i podstawy zjednoczenia, tj. poruszać żadnych kwestyj, któreby były wręcz przeciwne zasadom i podstawowym zapatrywaniom politycznym któregokolwiek ze skoalizowanych stronnictw. Nie mógł więc rząd ani sam wnosić, ani ewentualnie popierać wniosku, któryby dążył wprost do wykreślenia przyszłych gmin parafialnych z ustawy r. 1874, gdyż do tego nie dopuściłoby stronnictwo liberalne, którego dzieckiem jest całe ustawodawstwo r. 1874, a gminy parafialne może nawet dzieckiem

[1] *Sten. Prot.* 395. posiedzenie z 29 kwietnia 1890.

ulubionem. Nie mógł rząd z drugiej strony dążyć do wydoskolenia pojęcia i szybszego wprowadzenia gmin parafialnych w życie, gdyż temu sprzeciwiłoby się stanowczo stronnictwo konserwatywne hr. Hohenwarta, a zwłaszcza jego grupa posłów t. zw. klerykalnych. Trzeba było obrać drogę, którąby nikogo nie raziła. Rząd szukał takiej drogi i znalazł ją, czego dowodem, że jego projekt nie był pod tym względem zaczepiany przez żadne ze skoalizowanych stronnictw, a nawet, jak oświadczył referent p. Fuchs, opracowany został w porozumieniu z episkopatem, i zyskał jego aprobatę. Droga ta polega na tem, iż rząd nie tykał zupełnie § 35 dzisiejszej ustawy, określającego skład gmin parafialnych i ich granice, a zaproponował tylko rozszerzenie określonego w § 36 koła osób, mogących podlegać opłatom na potrzeby gminy parafialnej. Potrzeby te zachodzą i dzisiaj, gdyż chociaż niema gmin parafialnych, to jednak istnieje główny wydatek, któryby w przyszłości mógł te gminy obciążać, istnieje konkurencya kościelna, której trzeba uczynić zadość, chociaż gminy parafialnej niema i może nie będzie. Zaproponował więc rząd rozszerzenie obowiązku ponoszenia opłat „na potrzeby gminy parafialnej", na forensów katolików tego samego obrządku i na osoby t. zw. prawne. Przytem oparł się rząd stanowczo, jak zaraz zobaczymy, żądaniu, by do rzeczonych opłat pociągnąć i niekatolików, wogóle osoby fizyczne innego wyznania, opłacające jednak bezpośrednie podatki w okręgu parafialnym. W ten sposób rząd uczynił zadość wszystkim wymaganiom koalicyi i zadowolnił posłów, oceniających każdą t. zw. kościelno-polityczną ustawę ze stanowiska ściśle katolickiego przez to, że zaniechał szczegółowszego rozwijania istoty gmin parafialnych, a następnie przez oświadczenie JE. ministra Madeyskiego, iż „rząd ze względu na wielkie trudności, połączone z rozwiązaniem tej bardzo skomplikowanej kwestyi, dotykającej licznych a bardzo sprzecznych zakresów, nie jest obecnie w możności przystąpić do jej rozwiązania" [1]; zadowolnił stronnictwo

[1] W komisyi administracyjnej na posiedzeniu z d. 17 października 1894 r., złożył p. Minister to samo oświadczenie. Gdy mianowicie p. Ada-

wiernokonstytucyjne również przez stanowcze oświadczenie JE. ministra Madeyskiego, iż wciąganiu niekatolików lub katolików innego obrządku z tytułu opłacanych w gminie podatków do będących w mowie opłat, sprzeciwia się pozytywne postanowienie art. 9 ust. z 25 maja 1868 r. tak stanowczo, iż pod tym względem nie można bezwarunkowo nic począć przeciw dzisiejszej ustawie; zadowolnił wreszcie Koło polskie, raz przez sam fakt wniesienia ustawy, o którą Koło to i sejm krajowy najusilniej kołatały, następnie przez nadanie jej takiego brzmienia, które usunęło zupełnie skrupuły klubu hr. Hohenwarta, a wreszcie znów przez apel JE. ministra Madeyskiego, wystosowany do Izby, aby ustawę przyjęła i dopełniła w ten sposób dzieła będącego istotną zasługą, gdyż kilka krajów czeka już od wielu lat ze swem ustawodawstwem krajowem w tym kierunku i tęskni bardzo za tem, aby im raz nareszcie daną była możność p o p r a w i e n i a z i n i c y a t y w y s f e r w k r a j u r o z s t r z y g a j ą c y c h tych stosunków, które w niektórych krajach stały się już i pod socyalno-politycznym względem rzeczywiście nieznośnemi [1]. Okazuje się z tego, że przy dobrej woli, wzajemnem zrozumieniu się, poszanowaniu zasad i wzajemnego stanowiska, a wreszcie przy wzajemnem umiarkowaniu pod hasłem wyższych celów można zrobić niejedną rzecz istotnie pożyteczną, którąby inaczej przy rozgoryczonej walce stronnictw albo nigdy do skutku nie doszła, albo też dała się zrobić tylko kosztem jeszcze większego rozdrażnienia zmajoryzowanego przeciwnika. W tem leży zasługa i korzyść koalicyjnego systemu parlamentarno-rządowego.

---

mek użalał się, iż rząd nie wniósł równocześnie ustawy o organizacyi gmin parafialnych, odpowiedział JE. p. Madeyski, że rząd nie jest obecnie w tem położeniu, aby przystępował do ustawodawczego ukształtowania gmin parafialnych. Poseł Fuchs wyraził na to swą radość z oświadczenia p. ministra, i oświadcza się bezwarunkowo przeciw gminom parafialnym, pojmowanym w duchu ustawy z r. 1874. Partya konserwatywna, mówi on, ubolewała zawsze nad istnieniem tej ustawy, i reagowała przeciw niej, a dzisiaj, gdy się partya zgadza na uzupełnienie § 36, nie zamierza ona bynajmniej wzmocnić przez to ustawę z 1874 r., lecz tylko ma na oku dzisiejszy stan rzeczy.

[1] *Sten. Prot. ex 1894*, str. 16581—16584.

Zasady więc, na których rząd oparł swój projekt, odnośnie do kwestyi opłat na potrzeby gminy parafialnej, są:

*a)* pociągnięcie do opłat forensów tego samego wyznania, tudzież osób prawnych, w okręgu parafialnym opodatkowanych, o ile one nie są stworzone jedynie lub przeważnie dla celów innego wyznania lub obrządku;

*b)* warunkiem pociągnięcia jest posiadanie nieruchomości w okręgu parafialnym, a zatem podstawą i miarą opłat wyznaniowych są podatki realne (gruntowy i domowy);

*c)* osoby prawne nie mogą być pociągane do opłat na cele katolickie według tej samej skali procentowej, czyli stopy dodatku do podatku, co osoby fizyczne, gdyż mogłyby one zostać pociągnięte w drodze ustawodawstwa świeckiego i do opłat na rzecz innych wyznań i religij w tem samem miejscu się znajdujących, na co osoby fizyczne nie są narażone; w takim zaś razie byłyby te osoby prawne opodatkowane podwójnie, potrójnie i t. d. [1]. Tak np. ustawodawstwo państwowe ukonstytuowało u nas gminy parafialne żydowskie, ewangelickie obu wyznań; gminy te wprawdzie nie są jeszcze uprawnione do okładania osób prawnych opłatami wyznaniowemi; mogłoby jednak przyjść do tego w drodze ustawodawstwa państwowego, a wtedy mogłyby te osoby w miejscowościach, gdzie żyją obok siebie np. cztery wyznania, być opodatkowane cztery razy tak wysoko, jak osoby fizyczne, a w każdym razie byłyby chociaż o pewien procent wyżej opodatkowane, pomimo to, że same są bezwyznaniowemi. Rząd więc zaproponował, aby osoby prawne podlegały opłatom parafialnym katolickim tylko w tym stosunku, w którym stoi ilość katolików tego obrządku, żyjących w okręgu parafialnym, do ogółu mieszkającej tam ludności. Jeżeli więc opłata przypadająca na osoby fizyczne w pewnej parafii wynosiłaby 20% dodatku do podatku, a ilość katolików tam mieszkających przedstawia tylko czwartą część ogółu ludności, natenczas opłata, przypa-

[1] Patrz mowy ministra Madeyskiego, p. Kronawettera, motywa przedłożenia rządowego.

dająca na osoby prawne, równałaby się 20 : 4, czyli 5% dodatku do podatku;

*d)* jeżeli katolik *forensis*, tj. tego samego obrządku ale nie mieszkający w parafii, jest patronem, lub jeśli jest nim osoba prawna wogóle, w takim razie nie zastosowuje się w ich opodatkowaniu ścisłej konsekwencyi, wedle której musiałyby te osoby ponieść w pewnym czasie p e ł n e ciężary podwójne, raz z tytułu patronatu kościelnego, drugi raz z tytułu opodatkowania parafialnego, lecz pobiera się od nich przedewszystkiem należytości patronackie, a z opłat parafialnych tylko ewentualną nadwyżkę, tj. sumę, o którą opłata parafialna ewentualnie przewyższa ciężary patronackie. W przeciwnym razie, jeżeli należytość parafialna jest równą lub niższą od ciężarów patronackich, nie pobiera się nic. Niema w tem więc żadnego obniżenia ciężarów dla patronów, jak to utrzymywali pp. Kopp, Lienbacher i inni, gdyż patron taki nie zapłaci w żadnym wypadku mniej niż dzisiaj, a bardzo często zapłaci więcej. Według dotychczasowego bowiem stanu rzeczy, patron *forensis* lub będący osobą prawną, obowiązany był t y l k o do ciężarów patronackich; opłaty parafialne nie ciężyły na nim jako na nieparafianinie. Obecnie zapłaci patron taki te same ciężary patronackie, np. w kwocie 200 złr., a oprócz tego, jeśli należytość parafialna wynosiłaby np. 350 złr., zapłaci nadwyżkę jej nad należytość patronacką, czyli 150 złr., razem także 350 złr. Patron zaś będący równocześnie katolikiem tego samego obrządku, mieszkającym w parafii, zapłaci pełną należytość podwójną, tak jak dotychczas. Wprawdzie bez tego uwzględnienia, które rząd zaproponował, zapłaciłby patron *forensis* lub osoba prawna 200 + 350 czyli 550 złr.; ale nie można twierdzić, że zachodzi nieusprawiedliwione obniżenie tam, gdzie ma miejsce raczej tylko zaniechanie podniesienia ciężarów od razu do tej miary, do jakiej byłoby to prawnie możebnem. Sprawiedliwość nakazuje wyznać, że obłożenie kogoś n i e mieszkającego w pewnej parafii lub osoby prawnej p o d w ó j n ą opłatą w p e ł n e j w y s o k o ś c i k a ż d e j z n i c h, byłoby może krzywdzącem; wszak o s o b i s t y c h korzyści nie odnosi taki *patronus* ani z jednej ani z drugiej opłaty. Pisząc

swego czasu o wniosku ks. Ruczki w *Archiv* Veringa, wyraziliśmy nawet zdanie, że każdy katolik *forensis* powinienby być zobowiązany do opłacania tylko pewnej części tego, coby na niego przypadało, gdyby mieszkał w parafii; a tak samo każda osoba prawna. Według wszelkiego prawdopodobieństwa zaś opłaty parafialne, które będą spadać na patronów powyższego rodzaju, będą często znacznie wyższe, aniżeli każdoczesne ciężary patronackie, a im który patron bogatszy i wyższe podatki płaci, tem będą znaczniejsze, gdyż opłaty te wymierza się jako procentową część podatków, podczas gdy ciężar patronacki jest tylko jakąś częścią pewnej absolutnej cyfry, potrzebnej w tym lub owym czasie na fabrykę kościelną, i nie stoi z zamożnością patrona w żadnym stosunku;

*c)* autonomia ustawodawcza krajów została w projekcie rządowym o tyle uwzględnioną, iż pozostawiono sejmom możność wydania bliższych postanowień wykonawczych w ramach dopieroco zakreślonych. Nie wiemy, czy sejmom krajowym nie będzie się zdawać, że ramy są już tak zacieśnione, iż nie pozostało nic do zapełnienia; ale zapewne formalna strona sprawy, sposób wykonania zasad ustawy państwowej da jeszcze sejmom temat do uchwalenia ustaw krajowych.

Na tych zasadach oparty projekt dostał się do komisyi administracyjnej, i wyszedł stamtąd zmieniony tylko o tyle, że do opłat parafialnych można być pociągniętym nietylko z tytułu posiadania w parafialnym okręgu nieruchomości, a więc opłacania podatku gruntowego i domowego, ale także i z tytułu opłaty innych podatków bezpośrednich, tj zarobkowego i dochodowego. Rozszerzono więc obowiązek opłat parafialnych i na te osoby fizyczne, mieszkające poza parafią (katolików forensów), które podlegają w obrębie tej parafii podatkowi zarobkowemu lub dochodowemu od przedsiębiorstwa lub zatrudnienia. Odnosi się to także do osób prawnych, stowarzyszeń, spółek i t. d., czy to mających urzędową siedzibę w parafii czy też poza nią. — Jeżeli osoba taka, fizyczna lub prawna, podlega podatkowi zarobkowemu lub dochodowemu w kilku okręgach parafialnych, leżących w obrębie jednej gminy podatkowej, natenczas

ponosi ona opłatę parafialną w każdej parafii tylko *pro parte rata* powyższego podatku. A to w następujący sposób: osoba *A*, płacąca podatek w sumie *a*, płaci na rzecz kościoła danej parafii sumę odpowiadającą nie całemu podatkowi *a*, ale tylko takiej jego części, *x*, jaka odpowiada stosunkowi liczebnemu katolików tejże parafii do mieszkających w całej gminie podatkowej.

Rząd w swem przedłożeniu nie był zasadniczo przeciwny, żeby opłaty parafialne oprzeć na tej najszerszej podstawie; powiedział tylko w motywach, że do zaniechania tej myśli skłoniły go obawy zbyt wielkich komplikacyj, jakie byłyby połączone z jej wykonaniem. Gdy jednak w komisyi poseł Kaiser postawił wniosek, żądający podobnego rozszerzenia, gdy referent p. Fuchs za współudziałem reprezentantów ministerstwa skarbu sformułował go, i gdy komisya przyjęła to rozszerzenie (wprawdzie tylko 10 głosami przeciw 9), JE. p. minister Madeyski oświadczył, że się z tem zgadza, i powtórzył w pełnej Izbie, że na wypadek, gdyby w tym duchu zapadła uchwała obu Izb, rząd ją przyjmuje, gdyż trudności nie okazały się niepokonalnemi. I tak się też stało [1].

Prócz tej jednej zmiany, dokonanej na jeszcze większą korzyść kościołów, komisya a za nią i Izba posłów przyjęła d. 17 i 18 grudnia 1894 r. projekt rządowy niezmiennie co do treści, choć w zmienionej nieco stylizacyi. W ślad za nią poszła Izba panów, gdzie znany i zasłużony kanonista i historyk br. Helfert był referentem. W swem sprawozdaniu [2], oraz w swem przemówieniu powoływał się specyalnie na żądanie sejmu galicyjskiego. Już d. 21 grudnia 1894 Izba panów przyjęła uchwałę Izby poselskiej, po krótkiej dyskusyi, w niezmienionem brzmieniu [3], tak że najwyższa sankcya mogła zaraz nastąpić.

Poznawszy samą ustawę, musimy się jeszcze zastanowić nad pytaniem, czy oprócz poruszonych już wyżej względów: faktycznie złego stanu budowli kościelnych dla braku funduszów,

[1] Patrz motywa rządowe, sprawozdanie komisyi administracyjnej, mowę ministra Madeyskiego w Izbie posłów.

[2] Nr. 443. *Beilagen zu den Stenogr. Protocollen des Herrenhauses.*

[3] *Stenogr. Protocolle der 55. Sitzung des Herrenhauses,* str. 712—717.

przywiązania do kościoła, idei narodowej i t. d., nie zachodzą jeszcze inne jakie przyczyny, dające się ściślej określić, a usprawiedliwiające nałożenie opłat parafialnych na forensów i na osoby prawne. Przyczyny takie rzeczywiście istnieją, i dadzą się wyłuszczyć w prostych słowach. Oto, jakkolwiek właściciel pewnej posiadłości ziemskiej nie mieszka w niej, to jednak zatrudnia on tam zawsze pewną liczbę osób w charakterze oficyalistów, sług, robotników często przysłanych z innych okolic i t. d. To samo ma miejsce, jeżeli właścicielem nieruchomości jest osoba prawna, sama przez się nie należąca do żadnego wyznania, lub jeżeli wogóle osoba taka otwiera opodatkowane w obrębie parafii przedsiębiorstwo. Wszyscy ci pracownicy, o ile należą do jakiego wyznania katolickiego, potrzebują kościoła lub cerkwi, potrzebują nauki i duszstarownictwa ze strony duchowieństwa. Banalnością prawie byłoby powtarzać, że już w samym dobrze zrozumianym własnym interesie właścicieli tych obszarów leży, aby ci pracownicy nie byli pozbawieni umoralniającego i uszlachetniającego wpływu kościoła. Pracownicy ci najczęściej nie płacą sami nic na kościół, gdyż daniny parafialne oparte są u nas nie na systemie podatku pogłównego [1], lecz na systemie dodatków do bezpośrednich podatków rządowych. Kto więc, jak ci słudzy, robotnicy i t. d., nie płaci żadnych podatków rządowych, wolny jest i od opłat parafialnych. Mimo to korzystają oni z kościoła, z usług duchowieństwa, z nabożeństwa i kazania i t. d. Im więcej ich jest, tem szersza i wydatniejsza jest sfera wpływu kościelnego, a tem większą z drugiej strony jest moralna krzywda, jakiej kościół doznaje przez to, iż nie jest mu użyczaną żadna pomoc w jego potrzebach materyalnych ze strony tak znacznej części ludności. Rzecz prosta, że skoro ta ludność sama żadnych opłat parafialnych nie ponosi, musi ją ktoś w tem zastąpić, jeżeli wzmiankowana wyżej krzywda kościoła ma być wyrównaną. Do zastępstwa zaś powołani być mogą tylko ci, w których interesie

[1] Z tym podatkiem raz w Galicyi zrobiono niefortunną próbę w r. 1867, ale już w r. 1869 ją cofnięto. — Ustawą z 2 lutego 1867 r. wprowadzono pogłówne na utworzenie funduszu zapasowego na budynki kościelne, a ustawą z 12 grudnia 1869 zniesiono poprzednią ustawę.

ta ludność w danych miejscowościach przebywa, dla których tam pracuje, a więc właściciele, którzy tę ludność tam sprowadzili, i tam ją utrzymują. Oni bowiem, a nie kto inny, mają moralny obowiązek starać się o to, by ludność, w ich interesie zatrudniona, miała możność zaspokojenia swych potrzeb religijnych. Im więcej zaś ludności takiej pewien właściciel do parafii wprowadzi, w tem wyższym stopniu ciąży na nim ten obowiązek zastępstwa; a więc ustawa z 31 grudnia 1894 ugodziła w pierwszym rzędzie właścicieli większych posiadłości, tudzież fabryk i przedsiębiorstw na wielką skalę, zatrudniających całe legiony robotników; a w ostatnim dopiero rzędzie miała na oku nielicznych forensów włościańskich i małomiasteczkowych. Nie można dość silnego nacisku położyć na okoliczność, że właśnie nasi właściciele większych posiadłości byli tymi, którzy się o to samo obciążenie najusilniej dopominali; będzie to trwale zapisane w księdze ich zasług.

Ten obowiązek zastępstwa nazwał pan minister Madeyski w rozprawach parlamentarnych obowiązkiem prawnym [1]. A poseł Leon hr. Piniński, przemawiając jako mówca generalny za ustawą, wyraził się: *Diese zweifellos sittliche Pflicht zu einer rechtlichen zu erheben, ist vollkommen am Platze.*

Ale idąc dalej na drodze powyższej argumentacyi, musielibyśmy dojść do wniosku, iż do opłat parafialnych powinniby być pociągani z tytułu zastępstwa za swych katolickich robotników i funkcyonaryuszy również i właściciele dóbr n i e katolicy, lub katolicy innego obrządku. Do tej konsekwencyi jednak nie dojdziemy; konsekwencya ta byłaby bowiem, naszem zdaniem, tylko formalną, pozorną, a nie rzeczywistą. Nie można bowiem spuszczać z oka tego względu, iż osoba prawna, jako nieżyjąca i bezwyznaniowa, nie może być nigdy w swoich uczuciach religijnych i w swej wierze zadraśniętą, chociaż płaci da-

[1] „Das zweite Moment für den Verpflichtungsgrund ist rechtlicher Natur, und besteht darin, dass der Träger des Vermögens, zu dessen Gunsten der genannte Kreis der Beschäftigten arbeitet, rechtlich für dieselben zur Deckung derjenigen Bedürfnisse, für welche sie nicht selbst aufkommen können, einzutreten hat".

niny na kościół katolicki; tak samo niema mowy o takiem zadrasnięciu u wyznawcy tegoż samego wyznania, który, chociaż sam w parafii nie mieszka, a więc osobiście z usług tej właśnie parafii nie korzysta, to jednak jest z nią swą wiarą i uczuciem złączony, i całem sercem musi jej życzyć, by się ona rozkrzewiała jak najsilniej i najszerzej. Płaci on więc chętnie zastępczo za innych współwyznawców, by im ułatwić pociechę duchowną. Inaczej rzecz się ma z osobami innego wyznania. W duchu prawdziwej tolerancyi leży, naszem zdaniem, iż nie można np. na izraelitę albo protestanta nakładać prawnego obowiązku, by on płacił daniny na kościół i wyznanie, do którego sam nie należy, w zastępstwie za katolików, których w swoim interesie w obrębie parafii katolickiej zatrudnia[1]. Nie można go do tego zmuszać w drodze przymusu państwowego, gdyż miałby wtedy wszelkie prawo czuć się naruszonym w swych może najgłębszych przekonaniach i uczuciach.

Dlatego dobrze zrobiła komisya administracyjna, iż nie przyjęła wniosku posła Tschernigga, który chciał rozciągnąć obowiązek opłat parafialnych na wszystkich opodatkowanych w obrębie parafii bez różnicy religii i wyznania; i dobrze zrobiła Izba posłów, że nie poszła za głosem pp. Kaisera i Lienbachera, którzy się tego samego domagali. Pominąwszy bowiem, że szłoby tu nie o uregulowanie kwestyi otwartej, ale o postanowienie wprost sprzeczne tak z dzisiejszem prawodawstwem, jak i z prawnym stanem rzeczy przed r. 1874, a niemożebne w koalicyjnej sytuacyi politycznej — przemawiałyby jeszcze przeciw temu, naszem zdaniem, względy tolerancyi i słuszności[2]. Główny argument posła Lienbachera, iż obowiązki i ciężary płynące z patronatu kościelnego rzeczowego muszą być ponoszone przez właściciela majątku toż prawo patronatu posiadającego, chociaż właścicielem nie jest katolik, i jako taki nie korzysta z praw patronackich — nie da się tu zastosować dla braku dostatecznej analogii. Ciężary patronackie bowiem są prawdziwemi, bezwzględnemi cię-

[1] Odpowiedzialność za to zdanie zostawia Redakcya autorowi. *(Przypisek Redakcyi).*

[2] Patrz poprzedzający przypisek.

żarami realnemi, które mogłyby być zahipotekowane; a wszakże i dzisiejszy art. 9 ustawy z 25 maja 1868, ten sam, który nie pozwala pociągać nikogo do świadczeń na cele innego wyznania, czyni wyraźny wyjątek co do obowiązków płynących z rzeczowego patronatu, i co do świadczeń tabularnie zabezpieczonych, i w takim wypadku pozwala na ich pobieranie przymusowe.

Musimy jeszcze słówko poświęcić uwagom i obawom wyrażonym w Izbie ze względu na formalną stronę przeprowadzenia tej ustawy, mianowicie ze względu na pertraktacyę konkurencyjną. Kraje, w których pod względem konkurencyi kościelnej niema dotąd nowych ustaw krajowych, lecz obowiązują tylko stare normalia, nie mają dotąd urządzonej pertraktacyi konkurencyjnej, tak jak np. ona w Galicyi się odbywa, lecz panuje tam pod tym względem pewien chaos. Spodziewano się to uporządkować dopiero przez wprowadzenie w życie znanych nam już gmin parafialnych, zapowiedzianych w ust. z r. 1874. Tymczasem rząd widząc, że niema szansy, aby się tak rychło dało gminy te zaprowadzić, polecił rozporządzeniem z d. 31 grudnia 1877 r., ażeby aż do ukonstytuowania się gmin parafialnych, gminy polityczne miejscowe załatwiały nadal, tak jak dotąd, sprawy katolickich gmin parafialnych przez swoje własne organa, tj. reprezentacye i zwierzchności. Organa te mają więc i nadal orzekać o świadczeniach na katolickie cele wyznaniowe, obciążających lub obciążać mających gminy parafialne, i mają się starać o ich pokrycie lub ściągnięcie. Ze względu na tę okoliczność p. Kronawetter zaznaczał, że jeśli miejscowe zwierzchności gminne, więc administracyjne, a nie organa ciała wyznaniowego, orzekają o potrzebach kościelnych, to jest to naruszenie zagwarantowanego kościołowi w art. XVI. ust. zasad.[1] prawa samodzielnego zarządzania swemi wewnętrznemi sprawami. Jeżeli bowiem reprezentacya gminna, licząca w swem łonie i członków innych wyznań, rozstrzyga, i to może nawet głosami tych innowierców, o tem, co mają zrobić katolicy dla

[1] Ustawa z 21 grudnia 1867, o powszechnych prawach obywateli.

swego kościoła, to ci ostatni oczywiście muszą się czuć pokrzywdzonymi. Ten ostatni zarzut jest zresztą zupełnie słuszny. Dalej p. Kronawetter zarzucał, że gminy polityczne robią ciągłe zaliczki z budżetu gminnego na rzecz katolickich potrzeb wyznaniowych, i zapisują je wprawdzie na *conto* przyszłych gmin parafialnych, nie mając jednak nadziei odebrania czegokolwiek w przyszłości. Nie studyowaliśmy dokładnie tamtejszych urządzeń, ale możemy tylko stwierdzić, że jeżeli tak jest, to nie winno temu rozporządzenie z 31 grudnia 1877, gdyż ono nie rozstrzyga bynajmniej, czy gmina polityczna jako taka czy też wszyscy jej członkowie mają płacić na cele kościelne katolickie, lecz postanawia tylko, jak widzieliśmy, że reprezentacya gminna ma orzekać o tem, jakie świadczenia mają być nałożone, i starać się o ich pokrycie lub ściągnięcie, to znaczy, że ma je nakładać tylko na katolików, i tylko od nich je ściągać. A w Izbie panów hrabia Karol Chorinsky mówił, że nawet udział patrona w ciężarach *fabricae ecclesiae* nie jest dotąd prawnie unormowany, i dopiero JE. dr. Rittner wyjaśnił mu, że wprawdzie tak nie jest, ale że udział patrona jako takiego, jest zupełnie czemś różnem od udziału patrona jako parafianina w opłatach parafialnych.

Dr. Kronawetter wypowiedział jeszcze drugie twierdzenie, któremu już nie możemy przyznać słuszności, mianowicie, że cała ustawa, o której mowa, jest wdarciem się w wewnętrzne sprawy kościoła. Poseł ten stoi bowiem na stanowisku amerykańskiem, zupełnego rozdziału państwa od kościoła, i zupełnej obojętności obu tych potęg względem siebie. Trzymając się z zakostniałym uporem szablonu doktrynerskiego wedle idei, które w r. 1848 przesunęły się w jego latach dziecinnych nad jego głową, twierdzi p. K., że państwo nie powinno się troszczyć o kościół więcej, aniżeli o jakiekolwiek np. towarzystwo literackie lub artystyczne, i że przedłożenie rządowe było naruszeniem konstytucyi, albowiem konstytucya gwarantuje kościołowi prawo samoistnego zarządzania swemi sprawami wewnętrznemi, a kwestya *fabricae ecclesiae* jest właśnie taką czysto wewnętrzną kwestyą kościelną, co do której żadne ustawodawstwo świeckie nie jest

kompetentne. Uchwalając zaś podobną ustawę, parlament wchodzi na drogę gallikanizmu i józefinizmu, jedynej, zdaniem p. K., drugiej alternatywy pod względem stosunku państwa do kościoła. A jednak wkrótce potem przypomniał sobie p. K. i trzeci rodzaj stosunku (o czwartym, tj. o teokratycznej formie państwa, zapomniał), powiedział bowiem, że przedłożenie to rządowe nie jest stosowne dla Austryi, gdyż ona nie hołduje dziś józefinizmowi, lecz urządziła swój stosunek do kościoła na zasadzie równorzędnego istnienia na równych prawach, a w ścisłym związku.

Pomijając wywody pana K., z którym nie myślimy tu polemizować, zaznaczyć tylko musimy, że, jak słusznie powiedział pan minister Madeyski, uregulowanie formalnej strony kwestyi konkurencyjnej, a więc usunięcie wspomnianych dopiero co trudności spoczywa w ręku sejmów krajowych, które mogą każdego czasu zastąpić stare niedostateczne normalia krajowemi ustawami konkurencyjnemi, a rząd poda im chętnie w tej pracy pomocną rękę [1]. Mniemamy, że te kraje powinny być wdzięczne panu Ministrowi za dane przyrzeczenie, i życzymy im, by wkrótce już postarały się zeń skorzystać.

Reasumując powyższe uwagi, zaznaczamy raz jeszcze, że ustawa z 31 grudnia 1894 przedstawia podwójne korzyści. Najpierw zapewnia ona powstanie licznych budowli lub przynajmniej przebudowań kościelnych, które dotąd dla braku funduszów musiały być zaniechane lub powstrzymane. Ks. prałat Ruczka wspomniał w swej mowie, że wiele komitetów kościelnych powstrzymało budowle od r. 1888, tj. od chwili postawienia jego pierwszego wniosku, czekając na tegoż załatwienie, aby pozyskać nowe źródła, nowe fundusze budowlane. Rzecz ta, bardzo ważna ze stanowiska ściśle katolickiego, jest dla nas równie ważną na Rusi galicyjskiej ze względów narodowych, gdzie budowanie jak najliczniejszych kościołów jest najskuteczniejszą bronią przeciw pochłanianiu naszej narodowości przez element ruski. Dla braku kościołów i duchowieństwa toną jedni świadomie, drudzy nieświadomie, w otaczającej ich ruskiej masie. Drugą dodatnią

[1] *Stenogr. Prot.*, str. 16582.

stroną ustawy jest, że zdejmuje wygórowane ciężary z przeciążonych, a nakłada zobowiązania na dotąd nieobowiązanych. Oba zaś te przymioty czynią z tej ustawy dzieło wyrównawczej sprawiedliwości społecznej.

To też sejm nasz krajowy przyjął tę ustawę z radością i nie zaniedbał ani chwili czasu, by z niej skorzystać. Upominał się o nią, by w ten sposób usunąć przeszkody, jakie mu stały na drodze do urządzenia opłat wyznaniowych i konkurencyi kościelnej według własnej myśli; usunąwszy przeszkodę, przystąpił bez zwłoki do urzeczywistnienia celu, odtąd już nie trudnego do osiągnięcia. Na 7-em posiedzeniu ostatniego sejmu, poseł Zoll postawił wniosek, aby teraz, skoro prawne przeszkody przeprowadzenia żądań sejmu odpadły, c. k. rząd, po porozumieniu się ze wszystkiemi ordynaryatami biskupiemi, przedłożył sejmowi w jak najbliższym czasie projekt noweli do ustawy krajowej z 15 sierpnia 1866 r., w którymby uwzględnione były wszelkie życzenia, objawione w dotychczasowych uchwałach sejmu, o ileby one tylko dały się pomieścić w ramach ustaw państwowych z r. 1874 i 1894 [1]. Wniosek Zolla odnosił się zarazem i do drugiej kwestyi (konkurencyi filialistów), o której niżej będzie mowa. Po odpowiedniem uzasadnieniu przez wnioskodawcę, odesłano wniosek do komisyi administracyjnej, a na podstawie jej sprawozdania uchwalono odpowiednie wezwanie do c. k. rządu. Wychodziło ono ze słusznego założenia, że ze względów ustawodawczo-technicznych, w trudnej kwestyi rozłożenia ciężarów publicznych na różne kategorye osób i według różnej miary, jedynie c. k. rząd jest w stanie porozumieć się ze wszystkiemi wchodzącemi w grę czynnikami, posiada bowiem wszystkie urzędowe źródła. Tak więc c. k. rząd, sam jeden mając dokładny przegląd całości sprawy, sam tylko może przedłożyć odpowiednio opracowany projekt ustawy [2].

Ustawa z 31 grudnia 1894 r. obejmuje jeszcze formalnie

[1] Str. 108 Stenogr. Prot., 7 posiedzenie z 19 stycznia 1895, nr. 78 alegatów.

[2] Posiedzenie 8 z 22 stycznia b. r. i 13 z 30 stycznia b. r. Stenogr. sprawozd., str. 132 i 307, referent p. Adam Jędrzejowicz, nr. aleg. 128.

i drugą sprawę, tj. kwestyę współudziału filialistów w kosztach budowli i utrzymania kościołów macierzystych. Nie rozstrzyga jej jednak merytorycznie, lecz tylko, uznając w tej mierze w całej pełni kompetencyę ustawodawstwa krajowego, stanowi (w § 8), że orzeczenie, c z y i o i l e można przyznać filialistom zwolnienie od opłat na rzecz kościołów i parafij macierzystych, zwłaszcza wtedy, gdy przy kościele filialnym ustanowiony jest osobny duszpasterz, pozostawia się ustawodawstwu krajowemu. Jest to najwłaściwsza forma rozstrzygnięcia sprawy. Dotychczas zwolnienie filialistów w drodze ustawy krajowej było niemożebne, gdyż ustawa z r. 1874 zalicza ich także do członków gminy parafialnej, a opłaty parafialne każe nakładać na w s z y s t k i c h członków. Nie przesądzamy postanowień przyszłych ustaw krajowych, lecz zaznaczamy tylko, że podczas gdy co do forensów i osób prawnych szło o rozszerzenie grona osób, obowiązanych do opłat parafialnych, to tutaj, wobec dążności do pewnych zwolnień dla filialistów wśród pewnych okoliczności, chodzi o rzecz wprost przeciwną, o ograniczenie osób obowiązanych do ciężarów fabrycznych na rzecz kościoła macierzystego. I ta kwestya ma znaczną doniosłość społeczną, wobec wygórowanego istotnie niekiedy przeciążenia filialistów podwójnemi zobowiązaniami.

Z referatu posła Fuchsa dowiadujemy się, że jego zdaniem nie należało przyznawać sejmom kompetencyi do orzekania, czy wogóle można filialistów zwolnić, albowiem wedle prawa kościelnego zwyczajowego, filialiści są w zasadzie obowiązani do świadczeń na rzecz kościoła macierzystego; co najwyżej więc można było sejmom pozostawić możność określenia miary i granicy tego zwolnienia. Nie będziemy już w tę kwestyę wchodzić, gdyż do cennych wywodów, jakie niedawno fachowy autor, dr. Edwin Płażek umieścił w tem piśmie o stosunkach kościołów filialnych i o historyi tej sprawy w sejmie galicyjskim [1], nie mamy nic do dodania. Możemy tylko uzupełnić historyę sejmowych usiłowań tym szczegółem, że, gdy cesarska sankcya uchwa-

[1] „O obowiązku konkurencyjnym filialistów na rzecz kościoła i budynków plebańskich parafii matrycznej". *Przegl. Powsz.* t. XLIII, str. 153—177 i 337—358. Wyszło także w osobnej odbitce.

lonej w r. 1893 na korzyść filialistów noweli do ustawy konkurencyjnej nie nadchodziła, poseł Zoll interpelował na 11 posiedzeniu sejmu d. 1 lutego 1894 r. komisarza rządowego, czy powyższy projekt ustawy został przedłożony do najwyższej sankcyi, a jeżeli nie, to jakie przeszkody stoją temu na zawadzie. Na to odpowiedział reprezentant rządu na 13 posiedzeniu z d. 5 lutego 1894 r., że będący w mowie projekt ustawy przedłożony został ministerstwu wyznań i oświaty, skąd jednak dotychczas odpowiedź nie nadeszła; że temuż ministerstwu przedłożono także uchwaloną równocześnie przez sejm rezolucyę w tej sprawie, i że niniejsza interpelacya podaną także zostanie ministerstwu do wiadomości [1].

Rezolucya, o której mowa, opiewała: „Sejm wzywa c. k. rząd, aby jak najrychlej przeprowadził na właściwej drodze takie zmiany w ustawie państwowej z d. 7 maja 1874 r., któreby umożliwiły uchwalenie zmiany w krajowej ustawie z 15 sierpnia 1866 r., skierowanej do uwolnienia parafian tych miejscowości, w których znajduje się utrzymywany przez nich publiczny kościół nieparafialny, od obowiązku konkurowania do wydatków na budynek kościoła parafialnego (macierzystego)".

Odpowiedzią na powyższą rezolucyę, zupełnie zadawalniającą tak pod względem formy jak i treści, jest ustawa z 31 grudnia 1894, wobec czego uchwalony w r. 1893 przez sejm projekt ustawy krajowej nie nadawałby się już nawet do sankcyonowania.

W tem tak korzystnie zmienionem położeniu sejm krajowy zrobił bezzwłocznie użytek z nowo nabytego prawa, a posłowie Zoll i Okuniewski wystąpili w sejmie z odpowiedniemi wnioskami, aby filialistom, których dotychczas nie można było zwolnić od ciężarów na rzecz kościoła macierzystego, z powodu iż ciężary te musiały być nakładane na wszystkich współwyznawców zamieszkałych w okręgu parafialnym, poczynić odpowiednie ulgi. Wnioskodawcy poszli jednak różnemi drogami. Prof. Zoll połączył kwestyę filialistów z kwestyą forensów i osób prawnych, i objął to wszystko jednym, znanym nam już wnioskiem, do-

[1] Stenograficzne sprawozdanie sejmowe z r. 1894, str. 247 i 289.

magającym się od rządu, aby ten przedłożył projekt ustawy, obejmujący wszelkie dotychczas w sprawie konkurencyjnej objawione żądania sejmu. Poseł zaś Okuniewski podał skodyfikowany już projekt ustawy [1]. Dalej gdy prof. Zoll nie określił z góry rozmiarów i granic, do jakich miałyby iść ulgi dla filialistów, a natomiast krytykował dawniejsze uchwały sejmu i wnioski p. Okuniewskiego, to p. Okuniewski przeciwnie, określił zwolnienia filialistów w ten sposób, iż parafianie miejscowości, w których znajduje się odpowiedni kościół publiczny (cerkiew publiczna), choć nie parafialny, ich kosztem utrzymywany, mają być wolni od konkurencyi do budowy kościoła macierzystego bezwarunkowo, a od konkurencyi do budowli parafialnych plebańskich tylko warunkowo, tj. jeżeli istnieje w tej mierze osobna umowa, albo jeśli mają sami u siebie zastępcę proboszcza, tj. ekspozyta, przeznaczonego za zezwoleniem rządu przez biskupa do samoistnego wypełniania wszystkich funkcyj parafialnych.

P. Okuniewski powoływał się w uzasadnieniu swego wniosku na wspomnianą już pracę p. Płażka, umieszczoną w *Przeglądzie Powszechnym* w r. z., oświadczając, że z niej dopiero się dowiedział, w jak wysokim stopniu filialiści są dziś pokrzywdzeni [2]. Uzasadniał zaś swój wniosek okolicznością, iż nasze filie kościelne (cerkiewne) nie powstały przez wyposażenie ze strony kościołów (cerkwi) macierzystych, ale wskutek złączenia i podporządkowania samoistnych dawniej parafij pod inne parafie *(unio per subjectionem)*, że więc nigdy kościół macierzysty nie wyposażał u nas kościoła filialnego, i nie nabył wskutek tego prawa żądania od swej córy pewnej pomocy w razie potrzeby, ale odwrotnie dzisiejsze kościoły macierzyste dotychczas wzbogacają się niejako kosztem swoich filij, nie dawszy im nic w zamian. Zastrzegał się dalej przeciw warunkowemu tylko (tj. od istnienia samoistnej ekspozytury zależnego) zwolnienia filialistów od konkurencyi na

[1] Alegat nr. 80, posiedzenie 7 z dnia 19 stycznia b. r., str. 110 Sten. sprawozd.

[2] Stenogr. sprawozd. z 8 posiedzenia sejmu, dnia 22 stycznia b. r. str. 133.

kościół macierzysty, jak tego dawniej żądał Wydział krajowy i większość komisyi konkurencyjnej, gdyż takich filij jest w naszym kraju bardzo mało.

Komisya administracyjna oświadczyła w swem wspomnianem już sprawozdaniu, obejmującem łącznie wnioski pp. Zolla i Okuniewskiego, iż uznaje zupełnie słuszność motywów wniosku tego ostatniego, że jednakowoż uważałaby na razie uchwalenie gotowego projektu ustawy za przedwczesne, gdyż zachodzą jeszcze niektóre wątpliwości co do uregulowania stosunków prawnych pomiędzy filiami a kościołami macierzystemi, wymagające poprzedniego porozumienia się c. k. rządu z ordynaryatami naszego kraju. Zwróciła także uwagę, że kościoły filialne znajdują się przeważnie we wschodniej części naszego kraju, i że wyszły głównie z ramienia kościoła katolickiego obrządku greckiego, dlatego też ich stosunki, tj. stosunki cerkwi filialnych należy przedewszystkiem uwzględnić, i w drodze ustawodawczej załatwić. Dlatego też komisya, proponując sejmowi aby wystosował wezwanie do c. k. rządu, by swym przyszłym projektem objął przedewszystkiem życzenia sejmu, dążące do zmiany §§ 8 i 9 krajowej ustawy konkurencyjnej — wnosi jako punkt II.: „Tem samem załatwiony jest wniosek posła Okuniewskiego".

Sejm uchwalił powyższe wnioski po krótkiej rozprawie, w której p. Okuniewski wystosował apel do rządu i sejmu, by szczerze, gorąco i jak najrychlej zajęli się tą sprawą, a referent p. A. Jędrzejowicz upewnił go, że taka sama jest intencya komisyi, sejmu i całego kraju[1].

*Prof. Stanisław Starzyński.*

[1] Alegat nr. 128, Stenogr. sprawozd. z 13 posiedzenia sejmu, dnia 30 stycznia b. r., str. 307.

# PRZEZ CHINY I MONGOLIĘ.

Listy z podróży.

*Czi-fo nad morzem Żółtem, 16 czerwca 1889.*

Dziś rano zawitaliśmy tu według programu. Wczoraj pół dnia i noc lało — dziś pada. Ponieważ niedziela, muszę iść na ląd, dowiedziawszy się, że tu jest misya katolicka. Istotnie znajduję kościół; wszedłszy, przyznaję, musiałem sobie kilkakrotnie przypominać, że przed wejściem była tablica z napisem: *St. Mary cathol. Church.* Proszę sobie wystawić moje zdziwienie, gdy po chwili wychodzi z zakrystyi czterech chłopców, z chińska, ale biało w rodzaj komży ubranych; na głowach kapelusze, jak zwykle mandarynów wojskowych malują, z czerwonemi aż po brzeg kapelusza spadającemi jedwabnemi frendzlami. Za nimi wychodzi Chińczyk, w zwykłym chińskim stroju: po wierzchu rodzaj komży białawej, a na głowie coś, czego do niczego lepiej przyrównać nie mogę, jak do sześciokątnego daszka od lampy, wyszywanego bogato złotem. Był to misyonarz, Franciszkanin, Włoch, do tego z ogromnym z tyłu warkoczem. Wszystko to jeszcze nic; po *asperges*, wychodzi, tą razą prawdziwy Chińczyk, ksiądz, ze mszą. Ornat jak nasze, ale na głowie znowu ten daszek od lampy. Wyznaję, że wprost osłupiałem, gdy ksiądz ten, zresztą zupełnie naszą mszę odprawiający (tylko bez dzwonka, jak na całym prawie Wschodzie), podczas podniesienia nawet owego szczególnego beretu nie zdjął z głowy. Śpiew przy mszy

ludzki, łaciński. Po mszy pędzę do mieszkania misyonarzy. Otwierają mi; przyjmuje mnie, naturalnie za Chińczyka przebrany, misyonarz Alzatczyk. Nie mogę wytrzymać, i pytam zaraz na wstępie o znaczenie owych nakryć głowy u ministrantów i celebrującego. Opowiadają mi następującą historyę: Przed wiekami jeszcze był któryś z cesarzy chińskich obecnym na mszy św.; widząc księdza z odkrytą głową, zrywa się z siedzenia, spieszy do ołtarza, zdejmuje własne nakrycie głowy i wsadza siłą księdzu, mówiąc: że ponieważ to ofiara dla Boga i przed Bogiem, nie wypada, by ksiądz celebrujący okazywał tak mało uszanowania i zdejmował nakrycie głowy. Druga wersya, prawdopodobniejsza, jest taka: biskup katolicki idzie na audyencyę do cesarza chińskiego; naturalnie przez uszanowanie zdejmuje nakrycie głowy: cesarz niezmiernie zdziwiony pyta, czemu go biskup w ten sposób chce obrazić? Biskup tłumaczy, że to zwyczaj europejski; cesarz się dziwi i daje mu własny czepiec czy beret, prosząc, by nadal zawsze w tym berecie przed nim stawał. Wskutek tego Stolica apostolska nakazała, by misyonarze w Chinach celebrowali w owym daszku czy berecie, mającym formę cesarskiego kapelusza. Gdy biskup celebruje, w chwilach, kiedy podczas mszy św. zdejmuje mitrę, wkładają mu zaraz ów daszek, tak iżby nigdy nie pozostawał z odkrytą głową; bo według chińskich pojęć jest to dowodem najwyższego uszanowania.

W rozmowie z misyonarzami dowiaduję się wielu rzeczy o stanie katolickiej religii w Chinach; jest od czasu wojny tonkińskiej znowu o wiele gorszy. Chińczykom rogi urosły. Przy tem podniesiona przez Włochy i Niemcy kwestya protektoratu nad misyonarzami, którzy dotąd pod ogólnym byli protektoratem Francyi, wielce sprawie szkodzi i misyonarzom życie utrudnia. Mnóstwo faktów mi cytują, gdzie już dały się złe skutki tego odczuć. Nominacya nuncyusza w Pekinie równa się mniej więcej kupieniu zamku na księżycu; miałaby, w razie dojścia do skutku, najgorsze następstwa. Bo nuncyusz, nie mając za sobą siły zbrojnej, byłby zmuszony we wszystkich rewindykacyach, wobec powtarzających się zaczepek, oszustw, mordów przeciw misyonarzom wymierzanych, udawać się o pomoc do reprezentantów

niewiedzieć jakiego w Pekinie mocarstwa, gdyby raz Francya przestała być jedyną i główną podporą i protektorką katolicyzmu w państwie chińskiem. Wielce zawiła to i trudna kwestya; konstatuję tu tylko, że misyonarze bardzo są wogóle poruszaniu tych kwestyj przeciwni. Nienawiść przeciw Europejczykom rośnie z każdym dniem. Mandaryni nie opuszczają żadnej okazyi, żeby szpilkami kłuć katolików. Jakaż przyszłość? Trudno wiedzieć; nie trzeba rozpaczać, ale przyznać trzeba, że niezbyt wesoła. Miło słyszeć, jak ogólnie chwalą naszych poczciwych misyonarzy, i to wszyscy. Niech ich łaska boża na każdym kroku wspiera.

Te Chiny, po Japonii, doprawdy robią wrażenie ohydne. Brud, smród, niechlujstwo przechodzą wszelkie wyobrażenie. Powiadają, że Koreańczycy są jeszcze brudniejsi od Chińczyków— ci, których w Korei widziałem, nie byli jednak tacy. Przytem ta widoczna na każdym kroku niechęć, nienawiść do Japonii, w gruncie bezpodstawna, a tak ogólna! Spotkałem dziś tutaj Duńczyka, który zakładając telegraficzne linie w Chinach, zna doskonale rozmaite drogi ku Syberyi; radzi mi dosyć, bym próbował nowej, nieznanej Europejczykom drogi nie przez Kiachtę, ale przez Błagowieszczeńsk, tj. Pekin, Tien-sin, New-tchwang, Girin, Ajgun, Błagowieszczeńsk. Jest to droga, prowadząca przez Mandżuryę. Czekam z decyzyą tego, co mi powiedzą w Pekinie. Istotnie, jeżeli puszczę się na Sybir, to po części li tylko dlatego, że to trudniejsze, bardziej męczące, więc dla duszy i ciała zdrowsze.

Na tem dziś kończę; jutro rano odpływamy do Tien-sinu, gdzie staniemy pojutrze rano.

Boże drogi, żeby to już tylko raz być w domu! Zapakowałem się tak daleko, że teraz, mimo najszczerszej woli, nie mogę bez popełnienia głupstwa prędko do domu wracać. W Chinach bądź co bądź nie będę długo popasał — ohydny kraj.

### *Tien-sin, 19 czerwca.*

Więc jestem znowu w przestworzu, w morzu ludzkiem, w mrowisku bezmiernem, bez końca! Istotnie, po Japonii zwłaszcza

mąci się w głowie, oddychając tem powietrzem, patrząc na tego kolosa, który się mimowoli (może tylko w wyobraźni mojej) zdradza zaraz w pierwszych chwilach zetknięcia się z nim. Wszystko tutaj faktycznie wydaje się, boć chyba i jest większe, ba! ogromne, przygniatające wielkością; kontrast z Japonią istotnie niesłychany, nie do opisania. Wrażenie to podwojone naturalnie tą okolicznością, że porty otwarte, zamieszkane przez Europejczyków, w Japonii są, że tak powiem, na wymarciu, giną na suchoty — rzecz ta nie idzie; tu przeciwnie: handel szalony — wydaje się, ba i jest światowy. Już wjazd w ujście rzeki Pei-ho, koło Taku, dziwny, dziki, działa na wyobraźnię. Tyle się o tem czytało, tyle się słyszało; wreszcie to pierwsza, że tak powiem, brama stolicy, Pekinu.

Raniutko, równo ze wschodem słońca budzę się, słyszę ruch wielki na pokładzie; buch płaszcz na siebie, i tylko w czapce i pendżiamie wypadam na pokład, co prawda po lekkiej walce z Morfeuszem, który figlarz w tych rannych chwilach wszystkie swe wdzięki, wdzięki poduszeczki i łóżeczka podwaja, nęci, formalnie się prosi, by jeszcze chwileczkę... Ale nie, zwyciężyłem! Widok szalony — na oczy zaspane jak zimna woda działa. Pod nami bałwani się i przewraca jakoś dziwacznie i cudacko żółta, brudna woda, przypominająca ujście Jang-tse-kijangu. To ziemia chińska tak jedzie w morze! Przed nami w dali na samym krańcu horyzontu, jeszcze bardziej żółta linia — to ląd. W jednem tylko miejscu ta żółta wielka linia nad horyzont nieco się wznosi, to forteca chińska, mająca wejścia do rzeki Pei-ho bronić. Nad tem wszystkiem z pomiędzy dzikich, strasznych, poszarpanych chmur, słońce w całej świetności wstało i grzać poczyna. Bierzemy sternika na okręt; wkoło nas całe stado żaglowców, parowców, junk chińskich; wszystko to czekało ranka, przypływu, by módz ruszyć w górę rzeki. My, najmniejsi kalibrem parowca, więc najśmielsi, ruszamy naprzód. Po kilku kwadransach jesteśmy u ujścia rzeki; tutaj dalibóg niewiele szerzej jak San pod Przemyślem! Całe szczęście, że przypływ daje się czuć aż wyżej Tien-sinu, że wskutek tego i znaczniejsze statki znajdują dość wody.

Wjeżdżamy. Z dwu stron fortece. Boże dobry, dajże im raz iskierkę rozumu! fortece pełne, jak mówią, wojska i armat, ale z gliny jak klepisko od stóp do głowy wyglądają — jeden kartacz — i fortec niema. Stylem Kanton przypominają, tj. że żadnego nie mają stylu. Dalej aż do Tien-sinu ten sam pejzaż; jak daleko okiem sięgnąć, równo jak na stole. Nad samą wodą namuliska; uprawne wszystko; nawet mak na opium sieją. Co kilkaset kroków wieś, domy, domy z gliny, dachy z gliny, ziemia glinkowata, ludzie koloru gliny, wszystko żółtawo-brunatne, prócz pól, bo te zawsze i wszędzie jednakie, jedne zielone, a drugie poczciwsze, już do rznięcia gotowe.

Rzeka się kręci i wykręca, jakby natura sama chciała o ile możności utrudnić żeglugę i przystęp do wnętrza kraju. Płyniemy też jak żółwie. Co chwila słychać dzwonek kapitański, stajemy, cofamy się; nudne to okropnie, zwłaszcza, że coraz bliżej południa, coraz goręcej. Płynie się między niezmiernie wązkiemi brzegami, to jedynie wynagradza nieco nudę żeglugi. Typy ludzi, ich mieszkań, zaprzęgu, gospodarstwa rolnego i t. d. łatwo studyować. Chińczyki opalone od słońca, często nietylko bronzowe, ale prawie czarne, często powtarza się illuzya, że się jest gdzieś bliżej równika, czasem nieco Egipt się przypomina. Wkońcu około południa ścisk czółen, których setki spotykaliśmy ciągle, staje się jeszcze większy; krzyk i tumult — tak jednak niesłychanie od tumultu np. arabskiego lub europejskiego różny — coraz się wzmaga. Stajemy; cała awantura, nim statek we właściwem miejscu przywiązano; niewiele brakło, a bylibyśmy uderzyli o statek stojący przed nami. Proszę sobie wystawić na rzece nie szerszej jak San pod Krasiczynem, kilka dość wielkich parowców i dziesiątki całe mniejszych lub większych czółen, czółenek, sampanów — oto obraz tego, co się tu dzieje. Naturalnie czem wyżej, tem gorzej. Nad brzegami miliony pak, worów; między tem krzycząca, pocąca się i śmierdząca tłuszcza napół-nagich brudnych Koolisów; od czasu do czasu Europejczyk zapocony, mina zmęczona. Z jednej strony tego strumienia ludzkiego rzeka zawalona formalnie czółnami, statkami, z drugiej mur prawie nie przerwany; za murem mieszkania Euro-

pejczyków, dwa hotele, urzęda rozliczne; nad, i w tem wszystkiem kurz niesłychany, brudno okropnie i gorąco — oto wybrzeże Pei-ho, oto pierwsze wrażenie Tien-sinu.

Wyszedłszy z urzędu pocztowego, który nie bez wielkiego trudu znalazłem, raptem znajduję się wobec kanonierki i to francuskiej. Od czasu owych nieszczęsnych rzezi w r. 1870, zawsze tu stoi kilka statków wojennych europejskich. Uderza mnie, że ta kanonierka stoi o dwa kroki od brzegu, otoczona sampanami chińskiemi. Jakiż z niej pożytek? ruszyć się nie może, nic łatwiejszego jak ją podpalić. Widocznie się tego nie obawiają. Nareszcie po syeście popołudniowej ruszam z wizytami. Dżiuriksa zaprowadzona tu według modelu japońskiego, siadam więc i jadę. Rzucam karty u pp. Detringów — on Prusak, ona Wiedenka; on służy przy urzędzie cłowym, podobno wielki wicekróla przyjaciel, przez niego spodziewam się poznać wielkiego Li-Szung-Czao, wicekróla tutejszego, znanego z energii i rozumu, najmniej Europejczykom wrogiego wicekróla. Wkońcu wizyta u misyonarzy Lazarystów i Jezuitów.

Wchodzę na dziedziniec; tuż przy wejściu ogromny wspaniały muł z siodłem, zupełnie kirgiskie przypominającem, pięknym czaprakiem przykrytem; obok wyborna szkapa, widocznie z daleka przyszli. Jako groom w ogromnym słomianym kapeluszu okrągłym, biało ubrany Chińczyk; choć ma warkocz, twarz zupełnie inna, wyraz przyjazny, dobrotliwy, wesoły; wita mnie uśmiechem, a widząc, że się koniowi przyglądam, poprawia czaprak, cieszy się, że mi się chudoba podoba. Powtarzam kilkakrotnie *very well* i t. p... o głupi! nie wiedziałem, że przede mną stał człowiek z nad granicy Tybetu, ze środka Chin, o 32 dni drogi stąd. Był to człowiek misyonarza, który dopiero co tu przybył wprost z owych dalekich krain, *via* Pekin. Nagle zaczynam odczuwać w Japonii zupełnie zamarłe popędy, ku poznaniu środka Azyi! Coś w człowieku skacze i drga jakoś inaczej, jakoś dziwnie wobec tej matki Azyi. Jakaś niewypowiedziana tęsknota i ciekawość budzi się na widok człowieka, który z samego jej środka przybywa. Superyor Lazarystów *pater* Winhoven, Holender, przyjmuje mnie niezmiernie łaskawie; długo, długo gawędziliśmy. Znowu

inny pogląd na rzeczy, na sprawy katolickie w Chinach. Kilkakrotnie to spostrzegłem, że przełożeni misyi — ci co rezydują w punktach centralnych, mniej narażeni na codzienne walki — patrzą różowiej, niż owi biedacy, których walka powszednim chlebem. Nie może być inaczej. Lazaryści mieszkają na oko wspaniale; piękny kościół, św. Ludwikowi poświęcony, od czasu rzezi wystawiony. Jutro raniutko mam zwiedzić w towarzystwie ks. Winhoven ruinę dawnej katedry, spalonej w r. 1870. Wstać trzeba o wpół do piątej, więc tymczasem dobranoc. — Dobranoc moim drogim rodzicom! Niech ich Bóg i Matka Najświętsza w każdej życia chwili strzegą i błogosławią i same róże na ścieżki życia sieją. Dobranoc moim drogim braciszkom i siostrzyczkom, dobranoc moim wszystkim kochanym! O jakżeby się chciało już być w domu! Pojutrze Boże Ciało — spodziewam się już być w Pekinie. Dziś w chwili przyjazdu podano mi telegram Reutera, według którego nowe komplikacye, nowe chmury na naszym biednym horyzoncie. Telegrafowałem natychmiast, prosząc o wiadomości, i chcąc tym sposobem dać znać o sobie; w razie gdyby było potrzeba, mogę stąd w 35 do 40 dni być w Europie. Jaka też będzie odpowiedź?

*Zawsze Tien-sin, 20 czerwca.*

Wczoraj, skoro świt, idę do przełożonego tutejszej misyi Lazarystów, ks. Winhoven. Jest to otyły bardzo, ale też bardzo miły człowiek, wykształcony, pełen słodyczy i męskości; kładę nacisk na słowo męskości, bo czuć w nim może więcej żołnierza niż księdza. Wie o wszystkiem, interesuje się wszystkiem, Chiny zna jak swą kieszeń, od lat kilkunastu tu bawiąc. Po ubraniu ścian *parlatorium*, poznać, że Holender jest tu przełożonym. Obok krucyfiksu, kilka wcale niezłych pejzażów; na jednym jasnożółte, daleko widne krówki holenderskie, wszędzie czysto i porządnie. Kościół św. Ludwika piękny, zwłaszcza zewnątrz okazały. Raniutko, bo o wpół do 6-tej, w trzech riksach: ksiądz, Chińczyk, stary sługa kościelny, i ja, ruszamy na rodzaj pielgrzymki do owych miejsc prawdziwie świętych, gdzie przed 20 laty odegrała

się owa straszna tragedya, znana pod nazwą: „rzezi Tien-sinowskiej“ — tak dokładnie a pięknie przez barona Hübnera opisana. Trudno nie doznać ogromnego wzruszenia patrząc na te miejsca. Dziś ruiny i groby, gdzie ci biedni męczennicy, te nieszczęsne siostry poginęły z ręki siepaczów, gorszych od dzikich bestyj— co nie poprzestając na mordzie, jeszcze nad trupami się pastwili, ciała biednych sióstr rozszarpując w kawały tak, iż w grobach tylko szczątki, ręce, nogi, głowy pochowano, reszta zginęła w popiołach pożaru, w nurtach rzeki, w kanałach — tam bowiem z predylekcyą owe święte szczątki rzucano.

Najprzód zwiedzamy miejsce, gdzie stał szpital i kaplica Sióstr miłosierdzia św. Wincentego. Biskup La Place, podówczas wikaryusz apostolski w Pekinie, w kilka tygodni po mordach dopiero powracający z koncylium watykańskiego, by ochronić pozostałą z kapliczki ruinę od bezcześci i gwałtów pospólstwa, zasłonił ją od ulicy całym szeregiem bud, domków, które wynajmują kupcy chińscy. Wchodzimy do środka. Na przestrzeni morga lub dwóch, zupełnie zresztą pustej, w środku ruina kapliczki; wkoło rozrzucone słupki kamienne, u góry krzyżem zakończone, na każdym widne imię i nazwisko wyryte. To znaki miejsc, w których prawdopodobnie według opowiadań świadków i żyjącej jedynej jeszcze siostry, rówieniczki pozabijanych, święte owe panny pomordowano. Najbliżej wejścia imię przełożonej, która nie przeczuwając nic złego, sama poszła otworzyć wrota siepaczom. Kapliczka bez dachu, jednak przykryta, celem ochronienia wnętrza od deszczu i śniegu. Podłogi niema, to też dawna kaplica z kryptą tworzą jedno; w głębi nawy ołtarz kamienny, gdzie jutro właśnie w rocznicę owych strasznych dni odprawi się msza św.

Jedziemy dalej, wciąż opodal łożyska rzeki Pei-ho. Zdala widna pagoda, gdzie podpisano traktat w r. 1858, dziś arsenał; wreszcie dostajemy się na most rzucony przez ramię rzeki. Dziś most nowy; w r. 1870 istniał most pontonowy; przez zamknięcie tego mostu chciano ratować przed tłuszczą siepaczy, siostry i osadę europejską; ale stojący na czele tych łotrów eks-jenerał chiński (nazwiska nie pomnę) kazał most otworzyć, co się też

stało. Przed nami, kilkadziesiąt kroków dalej na prawo od mostu, nad samą rzeką, w miejscu dominującem nad miastem i rzeką, ruina katedry. Ponieważ cały front, a u szczytu krzyż, ostały się, zdala wydaje się, jakoby katedra stała nietknięta. Przestępując próg okalającego muru, widzi się dopiero, że to ruina! Za murem frontowym już tylko resztka krypt; wschody prowadzące do katedry istnieją; trawy starają się jak mogą opuszczenie ruiny zakryć. Z lewej strony katedry całe stosy gotyckich ornamentów z kamienia się piętrzą. Wokoło katedry pustka zupełna, trawy, kwiaty dzikie jedynie zaludniają to żałobne miejsce. Staruszek, Chińczyk, katolik, stróżuje tych ruin i grobów. Mur, okalający całość, nietknięty; mur zaś, który niegdyś oddzielał terytoryum misyi od terytoryum konsulatu francuskiego, zniesiony, tylko chodnik kamienny wskazuje między lasem traw, gdzie była granica. W miejscu, gdzie stał dom konsula, dziś groby; po prawej stronie leżą świeccy, po lewej księża i zakonnice. Widne fundamenta kapliczki, którą chciano tu postawić, zaniechano jednak wobec skrupułów Chińczyków. Nad wszelki wyraz smutne wrażenie robi ten cmentarz męczenników; groby nawet bez krzyżyków, zupełnie chińskie, całość opuszczenia obrazem; jedyna pociecha, to ten krzyż sterczący w górze, na wieży kościelnej, którego ni pożar, ni ręka owych łotrów obalić nie zdołały.

Wracamy czółnem przez Pei-ho, wśród tysięcy rozmaitych czółen i czółenek, wśród istnego mrowiska ludzi, do misyi. Wczoraj poznałem pp. Detringów; bardzo mili, uprzejmi, ona Austryaczka, wskutek czego dom ich jest rodzajem schroniska dla przejezdnych Austryaków; proszą mnie na obiad, dziś znów prosi mię konsul angielski mstr. Bullock. Jak to tam będzie z konwersacyą? Raniutko, jako w dzień Bożego Ciała, msza święta; poczem na chwilkę idę do ks. Winhoven; wśród gadu-gadu, wracamy znowu mimowolnie do owych strasznych scen z r. 1870. Ks. Winhoven pokazuje mi kopię autentyczną listu, który biskup La Place w styczniu 1871 r. wystosował był do ówczesnego ministra Francyi w Pekinie w sprawie ofiarowanej przez rząd chiński indemnizacyi za popalone budynki i, o zgrozo! za pomordowanych! Nie dziw, że nietylko biskup tych pieniędzy nie

przyjmuje, ale unosi się świętym gniewem i oburzeniem na samą myśl, na fakt, że minister Francyi mógł taki pieniądz, tak ofiarowany imieniem misyi, przyjąć. Wielką prawdę, stwierdzoną niejednokrotnie od owego czasu, wypowiada tu biskup. System przyjmowania indemnizacyi za pomordowanych Europejczyków wogóle, misyonarzy lub siostry w szczególności, strasznym być musi w skutkach, bo uzasadnia przez Chińczyków podnoszoną częstokroć teoryę: że białych można do woli mordować, byle mieć potem z czego zapłacić za ich głowy. Pyszny jest ustęp, gdzie biskup powiada, że tak misyonarz jak siostra miłosierdzia, ni dla chwały, ni dla zysku, ni z innych motywów swej sprawie i ludzkości służy, jak tylko, bo tak im każe głos sumienia, głos ich Pana i Boga; niechże przynajmniej wolno będzie sługom kościoła, deptanym i poniżanym wszędzie, w tym jednym kierunku stanąć ponad poziomem pospólstwa, niechże świat wie i pamięta, że życie misyonarza i życie siostry nie mają ceny! Może mi się uda od ks. Winhoven uzyskać pozwolenie przepisania choć paru owych ustępów tak wzniosłych, tak wspaniałych. Dobrze będzie módz je od czasu do czasu odczytać, bo tyle w nich siły, że czytającego choć upadłe siły krzepić są w stanie. Zupełnie zaś pojąć nie można zachowania się ministra Francyi. Dowód, jak ciasnota horyzontu moralnego może niesłychanie szkodzić. Nie ulega kwestyi bowiem, że to przyjęcie indemnizacyi za krew męczenników niesłychanie wobec 400 milionów Chińczyków, sprawie Kościoła, sprawie cywilizacyi, sprawie więc ludzkości zaszkodziło. Niestety, jest to system przez Anglię zupełnie przyjęty, żeby dalszych komplikacyj uniknąć. Anglia z zasady żąda i przyjmuje za krew—pieniądze.

Jako obraz prądów, usposobień Chińczyków służy następująca historyjka, arcykomiczna i prawdziwa: Towarzystwo kolei Tiensin-Taku uznało potrzebę połączenia lewego brzegu rzeki Pei-ho z osadą europejską, leżącą po prawym brzegu, a zwłaszcza z głównemi magazynami towarowemi tu się znajdującemi; budują więc wspaniały most za 35.000 dolarów. Ledwie most stanął, partya konserwatystów, wielce niekontenta, postanawia mostowi kark skręcić. Podmawiają więc *tan-tana* (naczelnika) miasta Tiensinu: ten podaje do wicekróla prośbę, by most ów zburzono;

za przyczynę służyć ma okoliczność, że wielkie junki (czółna) nie mogą pod mostem przepłynąć. Wicekról niekontent, ale każe badać kwestyę. Detring, dowiedziawszy się o sprawie, ofiarowuje się dowieść, że ani most junkom, ani junki mostowi nie przeszkadzają. Sprowadza istotnie za pomocą remorkera sto kilkadziesiąt junk. *Tan-tan* Tien-sinu jednak, i skoalizowany z nim *tan-tan* od soli, nie dają za wygranę; póty kręcą i nudzą, aż wreszcie wicekról znużony umywa ręce i pozwala im zrobić jak zechcą. Z szalonym kosztem rozbierają ów most; pomost rozebrano jako tako, gdy przyszło jednak do wyciągania z łożyska rzeki potężnych słupów żelaznych, wpuszczonych na kilkanaście sążni, Chińczyki się zacukały. Dziś stoją po bokach rzeki kawałki mostu, w środku słupy sterczą z wody; niema mostu, ale i junki długo jeszcze przepływać nie będą mogły z łatwością, bo przy każdym przypływie morza, dającym się tu znacznie czuć, słupy chowają się pod wodę, stąd niebezpieczeństwo zaczepienia i rozbicia. Wydano mnóstwo pieniędzy, chcąc coś cywilizowanego zrobić, poświęcono jeszcze więcej pieniędzy, by to dzieło Europejczyków zniszczyć: *pereat mundus*, byle Chiny Chinami pozostały!

### *Tien-sin, 21 czerwca.*

Wracam z audyencyi u wicekróla Li-Szung-Czao. Detring ofiarował mi się sam wyrobić tę audyencyę; naturalnie z radością przyjąłem. Jak we wszystkiem, tak i w tem niesłychanie grzeczny i uprzejmy. Poczciwy Detring osobiście mi towarzyszył i za tłumacza służył. Wjazd nasz, *Die Auffahrt*, podobny do tego, jakiśmy mieli w Kantonie, z tą różnicą, że zamiast policyi i wojska, które przed nami biegło, mieliśmy konnych z ogromnemi laskami bambusowemi, z przeznaczeniem liczenia kości nie usuwających się śmiałków. Na szczęście musiano dotychczas często owych pałek używać; lud, przechodnie, w pokornych postawach czekali naszego przejścia, już o 20 kroków przed nami ustępując w milczeniu. Wogóle musieliśmy mieć miny imponujące, bo pospólstwo, zresztą wrzeszczące, kłócące się lub śmiejące, przery-

wało zajęcia, zabawy, żarty lub nawet dyskusye ze zbliżaniem kułaków do nosa interlokutora połączone, by w głuchem milczeniu *laissez passer* nasz pochód, na którego czele ja, dobrze schowany w swej lektyce, paradowałem.

Jedyny tubylec, nie znający etykiety i nie ustępujący nam z drogi — to niestety smród. Wkońcu przynoszą nas przed wielkie wrota. Detring wysiada, mnie nie pozwalają. Czekamy, aż główne, wielkie wrota otwarto; jedynie przez te środkowe wolno osobie takiej godności jak ja wejść i wyjść. Nareszcie pozwalają mi wyleść z tej szkatuły, wcale niewesołej. Znowu Detring musi iść bocznemi drzwiami, mnie popychają formalnie przez wielkie wejście. Idziemy przez całą amfiladę krużganków; wszystko drzewo, wszystko ubogie, wszystko brudne. Styl, struktura podobna do pałacu w Kantonie. Przed nami pędzi jakiś famulus, w prawej ręce wzniesione wysoko niesie nasze karty— moja po chińsku na czerwonym papierze wypisana. Praktyczny zwyczaj! Niosąc je, obraca prawą stroną do idącego za nim gościa, by tenże jeszcze raz mógł swe imię przeczytać, aby snać z wielkiej emocyi własnego nie zapomniał nazwiska. Czekamy znowu w salce, europejskim stylem okropnie umeblowanej. Po kilku chwilach zjawia się ów famulus, oznajmiając wicekróla. Chłop jak dąb, lat 69, prosto się trzyma, rękami macha, wielkie kroki robi, całkiem *à la chinoise* zresztą. Rękę mi podaje, przechodzimy do drugiego pokoju, siadamy, ja zawsze po lewej stronie: bo to miejsce honorowe. Detring pali rozliczne frazesa; następnie formalne inkwizytoryum, ale nie banalne, nie nudne jak w Kantonie. Nie mogło się obejść oczywiście bez zapytania, jaki majątek posiada mój ojciec, jak wysoki urząd piastuje w Austryi? Zresztą jednak głównie historya Polski, jej stosunków dawniejszych i dzisiejszych do mocarstw podziałowych, jej stosunków do Mongołów; czy przypadkiem nie pochodzą Sarmaci od Mongołów, jak Węgrzy; jakie były granice dawnej Polski, jakie uczucia żywią Polacy wobec cara i cesarza Austryi? Głównie pytał o stosunki Polski do Rosyi. Pytał mnie też o zawód, o zatrudnienie, radził zostać wielkim jenerałem i czekać chwili, kiedy mógłbym decydować o losach (nie dodał

czyich, ale domyśleć się było łatwo, co myślał). Ciekawy frazes o Polsce: „Polacy, powiada, czekają zawsze jeszcze rozwiązania definitywnego kwestyi polskiej — w tem są podobni do Chińczyków; uczucia, które żywią Polacy wobec mocarstw podziałowych, są zapewnie podobne do uczuć, które żywią Chińczycy wobec mongolsko-mandżurskiej dynastyi, która Chiny ujarzmiła. Kwestya polska rozwiąże się sama przez się w chwili wybuchu wielkiej europejskiej wojny, która przyjść musi". Nie dodał, że wtedy zapewne spodziewają się Chińczycy uregulować z jednej strony rachunki z Mandżurami, z drugiej może z Rosyą. Wypytywał bardzo pilnie, czy wiadomości rozgłoszone znowu w gazetach, jakoby car rosyjski zamierzał odnowić tradycye swych przodków i koronować się w Warszawie, są prawdziwe. Wyznaję, że w djablim byłem kłopocie, co odpowiedzieć. Z wszelkiemi detalami musiałem rozpowiedzieć, jakim sposobem rodzina nasza dostała się pod berło Austryi. Opowiadanie to widocznie go niesłychanie zainteresowało.

Po godzinie przeszło odeszliśmy z fotografią wicekróla, którą mi ofiarował, prosząc o moją. Odprowadził nas aż do drzwi wchodowych swego niby pałacu, znowu rękę podał i czekał, aż wsiadłem do lektyki. Wyznaję, że obok wizyty u ks. Tokugawy, wizyta wczorajsza należy do najciekawszych zdarzeń mej podróży. Bez kwestyi, samo poznanie największego umysłem i pozycyą z pomiędzy 400 milionów, jest faktem niezmiernie ciekawym. Nigdy jednak nie spodziewałem się tej rozmowy, okazującej dowodnie, że człowiek ten interesuje się w wysokim stopniu wszystkiem, co się w Europie dzieje. Detring mnie uprzedził, że chińscy politycy, zwłaszcza jednak wicekról, wielce się sprawą Polski interesują — nietrudno zrozumieć, dlaczego.

Detring porusza nowe projekta, chce mnie koniecznie wyprawić przez Mongolię do Kaszgaru. Rzucam jednak ten najbardziej może interesujący projekt; trzebaby na to dużo pieniędzy, dużo czasu. Zdecydowałem się jechać na Kiachtę, Irkuck, Semipałatyńsk, Taszkent, Samarkandę, Merw, Władykaukaz, Batum. Mniej więcej powinna podróż ta zająć mi 3 miesiące z czubem; a czub ten od tego zależeć będzie, czy i jak długo

w pojedyńczych ważniejszych stacyach zatrzymywać się zechcę. Przez Sybir dmuchnę jak będę mógł najszybciej; bo tam istotnie nie mogąc zatrzymać się tygodni, wcale stawać nie warto. Nowe zaś zdobycze Rosyi o wieleż piękniejsze, malownicze, historycznie ciekawe. Telegrafowałem o aparat fotograficzny do Szanghaju; powinien tu być niebawem. Niestety, będę zapewne musiał płynąć powoli czółenkiem do Pekinu; drogi wskutek deszczów nadto rozmiękły, zwykle jedzie się czółnem 3 dni. Za pomocą dziengów można nakłonić ludzi, ciągnących czółno pod wodę, do zrobienia tej drogi w półtora dnia. Ostatni kawałek od rzeki do Pekinu naturalnie godzin 3. Mieszkać będę u barona Kettelera, siostrzeńca arcybiskupa mogunckiego, *chargé d'affaires* niemieckiego w Pekinie, więc w poselstwie, które ma gerencyę austryackich interesów; ma być bardzo miły i grzeczny człowiek, zupełnie jeszcze młody.

Na tem dziś kończę.

### *Pekin, 30 czerwca.*

Aż strach pomyśleć: jestem w Pekinie od 24 godzin! Słyszałem od wielu tak zwanych *Glob-tretter*'ów, że Pekin nic ciekawego dla turysty nie przedstawia, że jadąc tam, jedynie na oku ma się cel: módz powiedzieć, że się było w Pekinie. Żałuję serdecznie tych biedaków — prawdziwi nędzarze duchem. Cóż w takim razie ciekawego można widzieć na świecie, jeżeli Pekin nie ciekawy? Biedacy ci zasługują, by ich przezywano owem, równem impertynencyi przezwiskiem *Glob-tretter*. Prawda, że w czerwcu, przy posusze i upale, Pekin jako miejsce pobytu okropnym nazwać trzeba. Ulica tutejsza, to wielkie śmiecisko, kurz warstwą kilka stóp na drogach leży i chwilami na parę kroków przed sobą nie widzi się nic zgoła: rzeczy, twarze, ręce, kolorem czekoladę przypominają; temperatura szalona, a co gorsza, powietrze tak gęste, ciężkie, że często istotnie niema czem oddychać; straszne słupy prochu jak czarty po ulicach uganiają. Wszystko to prawda; ale czyż nie można z łatwością znieść tych wszystkich niedogodności, choćby tylko dla wrażenia, którego

każdy doznać musi stanąwszy przed murami miasta, przed którąkolwiek z bram.

Udało mi się przyjechać tu z Tien-sinu nie wodą, ale pojazdem. Dnia 26 czerwca wyjechałem o godzinie trzy kwadranse na szóstą dżiuriksą w towarzystwie Mandla. O kwadrans na siódmą stanęliśmy na granicy przedmieść Tien-sinu. Tu czekał nas *mafu* z powozem. Po drodze, jakiej w mojem życiu nietylko nie widziałem, ale nawet nie przypuszczałem, by coś podobnego mogło egzystować, stanęliśmy o 8-mej z rana w miejscu, gdzie nas czekały czółna i ludzie nasi. 29 b. m., napociwszy się dokumentnie w czółnach, stanęliśmy o 5-tej z rana w Tung-szan. Tu czekał powozik *la Sibirienne* Kettelera i moje konie. Siadamy, i jazda. Około 10-tej ni stąd ni zowąd miałem przed sobą mury Pekinu. Tuż za Tung-szan (miasteczko liczące 500.000 mieszkańców), most kamienny, szerokości, mało powiedzieć 10—15 sążni, za nim jeszcze resztka owej słynnej drogi, brukowanej płytami kilkostopowemi w kwadrat. Wszystko to setne razy opisane, opowiedziane — nigdy, mojem zdaniem, nie było dość podniesione w opisach. Prawda, że ten most nie naprawiany może od 100 lat; prawda, że z owej drogi połowę płyt ukradziono; prawda, że mury Pekinu dział Krupa niezdolne wytrzymać — ale któryż z narodów Azyi może się poszczycić tych rozmiarów budowlami z tych czasów pochodzącemi? Darmo! widząc to, niepodobna nie zawołać: pany-ć to być musiały! i były i są. Zupełna mongolia w tych budowlach przeziera, w tych rozmiarach czuć dzicz, ale czuć tę niesłychaną potęgę, co nad połową Azyi i setkami milionów panowała. Później może o tym temacie więcej. Dziś rano po mszy poznałem ks. Favier, owego słynnego znawcę Chin, Lazarystę.

Popołudniu wizyta u Kumany'ego, rosyjskiego posła, gdzie decydują się losy mojej podróży. Poseł bardzo grzeczny i uprzejmy — ale... są i ale. Najpierw nadzieja, którą mi Starzew w Tien-sin zrobił, że pocztą rusko-chińską do Kiachty pojadę, okazuje się płonną. Poczta idzie na wielbłądach raz w miesiąc, a reprezentowana jest przez Kozaka i Mongoła, którzy konno w 15-tu dniach przelatują przestrzeń między Pekinem a Kiachtą. Muszę

więc mieć swoją osobną okazyę, i Bóg wie, kiedy stanę w Kiachcie. Dalej dowiaduję się, że jenerał Ignatiew mianowany został pomocnikiem ministra spraw wewnętrznych, zapewne go już więc nie zastanę; jego następcy także jeszcze pewnie nie będzie. Dalej gubernator Irkucka przeniesiony do Jakucka. Słowem, albo będę miał do czynienia jedynie z podrzędnemi figurami, albo z ludźmi, którzy ledwie na swoje stanowiska przybyli, nie rozpatrzyli się jeszcze, w złych humorach będą, i tłumaczyć się będą przede mną, że „bardzo im przykro, iż dopiero co objąwszy urzęda, nic dla mnie uczynić nie mogą“ i t. d., ten pewien rodzaj wymówek nader dogodnych. Wkońcu straszy mnie trochę Kumany gorącem, moskitami, niewygodą. Jazdę przez Samarkandę nieco odradza; nie wiem, czemu robi na mnie wrażenie, jakoby nie bardzo im w smak było, że chcę oglądać te nowo zdobyte kraje. Może zresztą się mylę.

Najważniejsza dla mnie w tej chwili osobistość, to tutejszy dyrektor poczty rosyjskiej. Mongoł rodem, szwagier Starzewa. Ten musi mi wyszukać i urządzić podróż do Kiachty.

Rano Mandel ma odjechać; wyciągam go na mury miasta, by Pekin z góry zobaczyć. Pogoda, słońce, kurz więc niesłychany, powietrze tak zawalone, że mało co widać. Przytem punkt niedość wysoki; widok więc nieosobliwy. Widzimy zdala żółte dachy żółtego miasta — rezydencyi cesarskiej; tuż obok pawilonów stąd widocznych, wieża w formie butelki, Bóg wie co oznacza: dalej pagórki „węglowe“, trzy koło siebie, ubrane u góry pagodami czy kioskami. Miasto, o ile je widać z pod kurzu, to wielki ogród, zieloności mnóstwo, z pomiędzy drzew tu i ówdzie przeglądają dachy. Przed nami miasto mandżurskie; za nami na lewo, więc na południe, miasto chińskie. Obu jeszcze nie widziałem. Idziemy wkoło wieży nad bramą wjazdową. Tu rzeczywiście widok wspaniały; nie okolica, ale te mury, istne mury cyklopów. Szerokość muru, zapewne wału ziemnego obmurowanego z dwóch stron i od góry, równa się mniej więcej szerokości gościńca cesarskiego. Pod naszemi nogami rodzaj schronienia, między dwoma murami i dwoma bramami, w formie czworoboku, którego dwa boki są zaokrąglone. W miejscu tem z łatwością

zdaje mi się, zmieściłby się rynek krakowski. Wszystko w rozmiarach ogromnych, kolosalnych. Wyobrażam sobie, że Babilon lub Niniwa takiemi musiały być murami otoczone. Cóż, kiedy kurz taki, że nietylko widzieć, ale oddychać nie można. A czemu ten kurz? bo nikomu na myśl nie przychodzi o cokolwiek w Chinach się troszczyć; wszystko zostawione na łaskę bożą, a co gorsza, nikt nie śmie ni naprawić, ni nowo zrobić.

*Pekin, 5 lipca.*

Przedwczoraj ekspedycya, z moim małym Francuzikiem Paul Robert, do świątyni Konfucyusza i do świątyni Lamy, położonej za murami miasta. Wielkiej świątyni Lamy nie można widzieć, jak zresztą wszystkich innych świątyń i znaczniejszych budynków. Jak zwykle, tak i w tem przysłużyli się Europie Amerykanie. Prawdziwi ci barbarzyńcy, póty łamali, psuli, niszczyli wszystko co oglądali, wyłamując i odtrącając pojedyńcze głowy, główki, kafle w pałacach i świątyniach, świstali i śpiewali w miejscach uświęconych, aż wkońcu Chińczycy mieli dość tej zabawy i wykluczyli Europejczyków, czyli białych, bez wyjątku od zwiedzania czegokolwiekbądź. Jedynie obserwatoryum astronomiczne, założone przed wiekami przez Jezuitów, pozostało i nadal otwarte dla przyjezdnych.

Zajechawszy pojazdem Kettelera z dwoma konnymi *mafu* przed świątynię Konfucyusza, zastajemy bramę zamkniętą. Posyłamy pytać, czy można zwiedzić świątynię? nie! Zbliżamy się do bramy zamkniętej; przez szpary rozmowa i pertraktacye z kilkoma stróżami. Tłumaczą nam, że dziś niemożliwe, bo mandaryn jakiś siedzi w świątyni. Po dziesięciu minutach pertraktacyj odjeżdżamy z kwitkiem. W chwili opuszczenia bramy Robert zwraca mą uwagę na ogród koło świątyni. Bez namysłu wyskakujemy z powozu, muła boskiej polecając opiece, i pędzimy w stronę ogrodu. Złowrogie krzyki całej bandy Chińczyków chcą nas zawrócić, ale na szczęście ci wołający i krzyczący są w tyle, przed nami tylko kilka bab tatarskich. Po chwili stajemy wśród ogrodu, przed bramą przymkniętą tylko, prowadzącą do świątyni.

Tego nam trzeba było! Buch ku bramie. W tej chwili owa banda widzów, co została z tyłu, poczyna ryczeć! Jedna z kobiet tatarskich rzuca się ku bramie, a że była bliżej niż ja, dosięga bramy przede mną, wrzeszczy, zapewne klnie, i podobna do tygrysicy, zapiera wcześnie wrota. Na szczęście, moje ramiona były nieco silniejsze od ramion tej megery. Jedno silne pchnięcie w bramę wystarcza; baba wraz z wrotami ustępuje; chmara stróżów i widzów wkoło nas, krzyczy, miota się, ale z daleka. Jedyna rzecz, przed którą Azyata każdy się cofa, to fakt dokonany; byliśmy w pierwszym przedsionku świątyni, zdecydowani ani krokiem się nie cofnąć. Teraz każę pytać, którędy droga do wnętrza i wiele to kosztować będzie. Dolar srebrny, choć rzekomo moneta w Chinach nie uznana, otwiera i usuwa dalsze zapory; bez przeszkody zwiedzamy całą świątynię. Naturalnie mandaryna żadnego ani śladu.

Świątynia Konfucyusza stąd ciekawa, że to miejsce, gdzie kandydaci na mandarynów, ostatni, najwyższy, najtrudniejszy składają egzamin. Imiona tych doktorandów od 800 lat zapisywano na drewnianych, podłużnych tabliczkach, podobnych do tablic pośmiertnych. Jedyny to więc uniwersytet na świecie, posiadający imiona swych doktorandów od 800 lat. Ciekawego zresztą, tem mniej pięknego, niema tu nic. Kilka pięknych drzew, tui kolosalnych rozmiarów, i na tem koniec. O wiele piękniejsza i ciekawsza świątynia, a raczej klasztor Lamy; właściwie zaś tak zwana świątynia Konfucyusza, wcale świątynią nie była i nie jest; stąd zupełny brak tego, co stanowi charakterystykę świątyń w wewnętrznem ich urządzeniu.

Miał racyę ten ktoś, co mi mówił: Nie jedź do Pekinu w lecie. Istotnie, nic okropniejszego jako pobyt wystawić sobie nie można. Tego, co się zresztą nazywa wygodami i zabawami, niema tu dla białego ani śladu. Poza nudnemi salonami znudzonych Europejczyków, tych kilkudziesięciu ludzi, którzy są zmuszeni zajęciem, karyerą pozostawać w Pekinie, nic zwiedzać nie można, bo wszystko co ciekawsze zamknięto dla białych barbarzyńców. A choć niektóre rzeczy otwarte, jakże zwiedzać przy upale 28° Reaumura w cieniu, przy tych niesłychanych

odległościach, przy tym kurzu, o jakim pojęcia nikt mieć nie może, kto go nie zaznał. Ludzie i bydlęta przerażone, stają wobec takich przeszkód. Wszystko co europejskie: czy dyplomaci, czy urzędnicy celni chińscy, czy młodzi czy starzy, wszystko siedzi dzień cały schowane za setnemi żaluzyami i dusi się od kurzu i upału.

Wspomniałem cła chińskie. Jest to u nas naturalnie, jak i wogóle w Europie nieznana dokładnie, a bądź co bądź udana instytucya. Przed laty zdaje mi się 20 przybył do Chin Robert Hart, po prostu jako *èlève interprète* legacyi angielskiej. Po krótkim już przeciągu czasu dał dowody niezwykłego zmysłu organizacyjnego; dowody te rosły w liczbę i znaczenie; dziś sir Robert Hart, oblepiony wszystkiemi zewnętrznemi oznakami łaski rządu chińskiego, miliony ma w kieszeni, jeszcze większe miliony wpędza corocznie w kieszeń państwową, stoi na czele instytucyi, jedynej w swoim rodzaju, jako wszechwładny pan zarządu ceł chińskich, mający pod swemi absolutnemi bez apelacyi rozkazami falangę kilkaset dusz liczącą urzędników celnych, rekrutujących się w całym świecie, bo tak w Europie jak i Ameryce. Każdy z tych urzędników składa, czy w Pekinie czy w Londynie, egzamina, musi biegle po chińsku mówić, poczem wstępuje do służby p. Harta. Tu pod względem pieniężnym jest traktowany hojnie, ale w zamian winien jest przełożonemu, tj. sir Robertowi, absolutne posłuszeństwo. Dziś przenoszą go z Pekinu np. do Kantonu, jutro, skoro zajechał do Kantonu, może otrzymać rozkaz natychmiastowej jazdy do Czimelpoo w Korei. Prosi o urlop, mianowicie po każdem pięcioleciu służby ma prawo do dwuletniego urlopu — tymczasem sir Robertowi nie chce się dać urlopu — i nie daje. Sir Robertowi siada mucha na nosie, pan X. lub Y. będący w służbie nie czesze włosów tak, jakby sir Robertowi się podobało — won z nim — apelacya do Pana Boga; pan X. traci służbę, dostaje rozmaite indemnizacye, podróż do Europy mu płacą; ale o pozostaniu w służbie ani mowy nawet być nie może.

Pojąć łatwo, jaką potęgą jest dziś sir Robert Hart, który celną służbę stworzył Chinom. W chwili gdy zaczynał swe dzieło

Chiny miały około 2,000.000 dolarów z ceł eks- i importowych, dziś około 30-stu kilku milionów dol. sir Robert im daje. Dziś jest on jedynym pod słońcem białym, który zachował pewną, nawet może dość znaczną dozę wpływu na Czengli-Jamen, na rząd chiński. Przed laty, naturalnie sfera wpływu sir Roberta była dwa, jeżeli nie trzykroć znaczniejszą; dziś reakcya, zdaje mi się, i pod tym względem panuje. Słyszałem, zwłaszcza ze strony misyonarzy francuskich, skargę przeciw Hartowi, iż wpływów swoich, np. w czasie wojny tonkińskiej, w najniekorzystniejszy sposób dla Francyi używał, tłumacząc Chińczykom, że Francya nie jest w stanie długą wojnę prowadzić i t. d. Nie wiem czy to prawda, ale w każdym razie dość prawdopodobnie to brzmi, bo wiadomo, że w całej sprawie tonkińskiej, jak wogóle we wszystkich innych, tak Anglia jak Niemcy szły o tyle ręka w rękę, o ile chodziło o podkopanie interesów francuskich. Naturalnie przyjaźń ta niemiecko-angielska trwa póty, póki kochają się jak pies z kotem; wystarczyło to jednak, by interesa francuskie, przez rząd francuski najgorzej prowadzone, skompromitować do reszty. Wogóle od tej wojny tonkińskiej duma, pycha, zarozumiałość chińska urosła o setkę procentów; stąd trudność niesłychana w stosunkach; tu przyczyna, czemu wpływ europejski jako taki maleje z dniem każdym. Jeżeli kiedy, to w tym wypadku sprawdza się przysłowie: kto pod kim dołki kopie i t. d. Owi oficerowie niemieccy, pruscy, którzy w czasie wojny z Francyą ćwiczyli i prowadzili wojska chińskie, którzy dzisiaj dalej uczą Chińczyków obwarowywać wybrzeża i miasta, strzelać celnie z armat i karabinów, kręcą bicz sami na siebie, a zwłaszcza na angielską skórę. Dziś zamiarem Niemiec nie co innego, jak wzmocnić o ile możności Chiny, zrobić z Chin mocarstwo, rozporządzające o ile możności znaczną siłą zbrojną, i popchnąć ją wtedy na Rosyę. Z chwilą rozpoczęcia wojny chińsko-rosyjskiej, armia niemiecka przekracza granicę francuską i ostateczna eksterminacyjna walka się rozpoczyna.

(C. d. n.).

*Paweł Sapieha.*

# Z LISTÓW SYBIRSKIEGO MISYONARZA.

Przed dwoma laty na tem miejscu snuliśmy dzieje sybirskiego proboszcza, z jego własnych listów kreśląc obraz tej największej w świecie parafii, złożonej z rozproszonych po bezbrzeżnych obszarach biedaków naszych. Wśród prawosławia i pogaństwa, pośród muzułmanów i buddystów, oni jedni na tej roli bożej, na tej jałowej i zmarzniętej cząstce winnicy Pańskiej stanowią *semen christianorum* — choćby krzyżami grobów swoich znacząc nadzieję ostatecznego podboju tych odludnych kresów przez prawdę i wiarę. Mistyczniejsze umysły wieku naszego upatrywały osobne, pogrobowe ojczyzny naszej posłannictwo, w tej bolesnej pielgrzymce jej wygnańców po sybirskich przestrzeniach. Nawrócenie Rosyi, zbawienie samychże nieprzyjaciół i prześladowców, miało być mytem tych wszystkich łez, tęsknot, udręczeń tułaczych. Któż odgadnie, ile w tej szlachetnej idei, we wzniosłem pojęciu przebaczenia i okupu tkwi przeczucia i wróżby? Krótkowidzeniu naszemu nie odsłaniają się tajemnice boże, zagadki przyszłości. Kiedyś dopiero, gdy lepsza dla Polski i dla Rosyi zaświta jutrzenka, gdy się przybliży królestwo boże na ziemi, połączeniem w jedność odpadłego wschodniego kościoła, ocenimy działanie naszych wygnańców i męczenników, zmierzymy ich zasługi, zrozumiemy wolę bożą i drogi boże, których oni byli pionierami...

* * *

Szczęśliwa, bo święta Żmudź, ubłogosławioną została w ciężkich latach ciężkiego ucisku pasterzami wedle serca bożego, którzy łączyli roztropność wężową z prostotą gołębicy. Dość wymienić z kolei biskupów Wołonczewskiego i Bereśniewicza. Otóż blizkim przyjacielem, doradcą, prawą ręką świątobliwego ks. Macieja Wołonczewskiego, był ks. Józef Sylwester Dawidowicz, zaufaniem swego biskupa naznaczony rektorem seminaryum żmudzkiej dyecezyi w Worniach. Sprawował on rządy owego seminaryum w najcięższej dobie religijnego i narodowego ucisku. Żarliwość kapłańska, nie od wczoraj przez rząd prawosławny poczytywaną bywa za zbrodnię stanu. Wkrótce srogie kary zwróciły się przeciw zacnemu wornieńskiemu rektorowi. Oskarżono go o zły wpływ na alumnów i na samegoż biskupa, i niebawem skazano na wieczne wygnanie, z pozbawieniem wszelkich praw. Wyrok po rosyjsku wyraźnie opiewał: *Za wrédnoje wlijanije na episkopa.*

Jeśli ś. p. ks. Dawidowicz stosunkowo lżejsze miał wygnanie, stało się to niezaprzeczenie wskutek bijącej od niego świętości i poświęcenia, niewolących nietylko lud rosyjski i sybirski, lecz samychże czynowników, którzy bez wyjątku głowę przed nim ugiąć musieli. Wszakże gdziekolwiek zagościł, nie nazywano go inaczej, jak *swiatòj*, święty. A z tej świętości promieniał dokoła, nietylko pokój czystej i prostej duszy, lecz i wesołość, ten owoc Ducha Św., mieszkającego w sercu zacnego kapłana. Na wzór św. Pawła: „weselił się z weselącymi się, a smucił ze smutnymi". Z listów jego prześwieca, nie już samo cierpliwe poddanie, lecz nadto pogoda i swoboda synów bożych, nie znających „świeckiego smutku", bo ufających Opatrzności. Lepiej od słów naszych, cecha ta przewodnia usposobienia świątobliwego wygnańca z listów się jego wyłoni, wprzódy wszelako cofnąć się musimy do jego przeszłości kapłańskiej, tak bardzo budującej i przykładnej. Z łaskawie udzielonej nam notatki dowiadujemy się, iż ks. Józef Sylwester Dawidowicz urodził się 31 grudnia 1825 r., we wsi Montwiliszkach, parafii szawlańskiej, z biednych lecz bogobojnych rodziców. Obrany mu za ojca chrzestnego starzec, jakoby proroczym tknięty duchem, odezwał się po odbytym obrzędzie

do rodziców, że nietylko oni, lecz i Kościół mieć będzie wielką pociechę z nowonarodzonego.

Już w dzieciństwie, późniejszy wyznawca odznaczać się miał dziwnem skupieniem i pobożnością, służąc za przykład rówieśnikom. Najmilszą jego pociechą było służyć do Mszy św., a wyuczywszy się wcześnie ministrantury, marzył tylko o stanie kapłańskim. Lecz zacieśnione stosunki rodzinne, zwłaszcza po utracie dobrego ojca, nie dawały mu środków koniecznych na szkolne studya. Musiał tedy, mimo najżywszego zapału do nauki, pozostać pod wiejską strzechą aż do ośmnastego roku życia, dopomagając rodzeństwu w pracy około roli i gospodarstwa. W niektórych tylko miesiącach roku, kiedy mniej było w polu i podwórzu roboty, pozwalano mu mieszkać przy kościele i uczyć się od księży po trochu łaciny i innych nauk niezbędnych dla przyszłego seminarzysty. Atoli skoro tylko wiosna nastała, zmuszony był co prędzej wracać do zajęć gospodarczych i znojnego chodzenia koło roli. Pałając wszakże niewygasłą żądzą wstąpienia do seminaryum, szukał w modlitwie pomocy, a wróciwszy z pola znużony, nie udawał się wraz z innymi na zasłużony spoczynek, lecz rozścielony krzyżem na ziemi, godzinami całemi wołał do Boga o ziszczenie najdroższych pragnień swoich.

Tak gorących modłów Pan wysłuchać raczył. W ośmnastym roku życia przyjęty został do gimnazyum w Szawlach, zwracając na siebie uwagę profesorów nadzwyczajnemi zdolnościami i pilnością, a potrafił sam się utrzymywać z korepetycyj i nadzoru studentów, od matki nie żądając nic, prócz zezwolenia na nowy zawód i życie, w którem podobnie jak w dawniejszem świecił pobożnością i dobrym przykładem.

Przyjęty do seminaryum duchownego, po dwóch latach otrzymał pierwsze święcenia kapłańskie z rąk biskupa Macieja Wołonczewskiego, i jako zdolniejszy i celujący uczeń został wysłany do akademii duchownej w Petersburgu. Rektorem tejże był naonczas późniejszy metropolita, ks. Ignacy Hołowiński, który porywającym wykładem homiletyki i Ojców Kościoła wywarł potężny wpływ na całe życie ś. p. Józefa, zapalając w jego duszy lepsze zrozumienie i gorętsze ukochanie Kościoła. Miłość

tę przelewał w serca współtowarzyszów, głównie przyjaźniąc się z Szczęsnym Felińskim i Henrykiem Kossowskim, późniejszymi dostojnikami polskiego kościoła, oraz z ks. Wincentym Majewskim, dziś mohilewskim kanonikiem. Wybrana ta garstka stała się duszą akademii, przyczyniając się skutecznie do wyparcia z niej resztek józefinizmu, oraz do rozbudzenia wśród kleryków wszystkich świętych zapałów.

Ukończywszy wyższe studya z tytułem magistra św. Teologii, oraz otrzymawszy wyższe święcenia, ks. Dawidowicz wrócił na Żmudź, naznaczony wnet wikaryuszem w Iłłukszcie, gdzie jego brat był proboszczem i dziekanem Semigalii. Filia zwana Stelmużża, dalsza i bardziej przez to zaniedbana część parafii, stała się głównem polem pracy nowego kapłana, który własnym kosztem i zachodem urządził tam szkółkę dla dzieci, sam po nabożeństwie ucząc czytać i pisać, oraz wykładając katechizm tak skutecznie, iż po dziś dzień ślady jego pracy znaczą się w gorętszej pobożności tej cząstki iłłukształskiej parafii.

Po roku iście misyonarskiej pracy, naznaczony został z woli biskupa kapelanem pięcioklasowej szlacheckiej szkoły w Poniewieżu, oraz wikarym przy tamecznym kościele. Przez trzy lata pozostał na tem stanowisku, nieporównanym taktem w postępowaniu z dziećmi i miłością tak sobie zyskując przywiązanie i ufność uczniów, że go nad wszystkich swych nauczycieli szanowali i słuchali. Jednem słowem umiał opanować najniesforniejszych, wywierając jednaki wpływ i na grono nauczycieli, usuwając nadużycia, nie szczędząc pracy osobistej. Taką były między innemi konferencye, gromadzące co niedzielę i święto tak uczniów jak i nauczycieli do studenckiej kaplicy, gdzie jego namaszczone słowo błogi wpływ wywierało na słuchaczy. To też gdy go biskup Wołonczewski powołał do Worń na swego kapelana, zdawało się, jakoby cały Poniewież najlepszego tracił ojca, i młodzież ze łzami żegnała ukochanego przewodnika.

Było to w r. 1857, a więc w okresie względnej zapewne, lecz w porównaniu z dzisiejszą epoką, nadzwyczajnej jeszcze swobody Kościoła. Korzystając z przygodnej wolności działania, jął ks. Józef nakłaniać gorąco swego biskupa do zaprowa-

dzenia w dyecezyi bractwa trzeźwości, w którem upatrywał najskuteczniejszy środek umoralnienia nietylko ludu, lecz i samegoż duchowieństwa. Gorliwy biskup z zapałem podjął myśl swego kapelana i sekretarza; na głos jego pasterski, Żmudzini tłumnie zaczęli w kościele zobowiązywać się uroczyście do ścisłej trzeźwości i zaniechania palonych trunków. Jak wszędzie, tak i tam żydowscy szynkarze podnieśli krzyk straszliwy, do którego na nieszczęście przyłączyli się i niektórzy właściciele gorzelń, oraz i rząd ciągnący olbrzymie dochody z akcyzy wódczanej. Rozpoczęła się istna kampania przeciw trzeźwości. Biskup polecił ks. Dawidowiczowi odpierać wszelkie napaści na dobroczynne bractwo. Wywiązał się on świetnie z powierzonego sobie zadania. Korespondencya jego w tej mierze z władzami administracyjnemi budziła podziw rosyjskich urzędników; listy pasterskie, okólniki parafialne, pochodzące z jego redakcyi, rozszerzały wciąż trzeźwość i coraz bardziej utwierdzały wiernych w ich świętych zobowiązaniach. Każdego lata towarzysząc swemu biskupowi w jego dyecezalnych wizytach, w każdym z kolei kościele miewał pełne namaszczenia nauki, lud wierny do wytrwania w świętej trzeźwości nawołując. Nadto, wydawał w żmudzkim języku peryodyczne pismo p. t.: *Szian lenkiszkis Senelis*, z wielkim talentem przez jego jednego redagowane, a rozchodzące się w tysiącznych egzemplarzach. Czasopismo to pozostanie na zawsze arcydziełem żmudzkiej literatury.

Jako spowiednik seminaryjski, poznał wówczas i ocenił olbrzymie zdolności i piękne przymioty duszy alumna Antoniego Baranowskiego, dziś żmudzkiego biskupa-sufragana. Własnym kosztem wysłał go ks. Dawidowicz do akademii duchownej i sam w Petersburgu przez cztery lata utrzymywał. Rok przedtem podobnie postąpił był względem innego alumna, ks. Klemensa Kajro, wielkiej też zacności kapłana, zmarłego na wygnaniu w Wierchoturju.

Złośliwi ludzie daremnie pragnęli osłabić jego wpływ na biskupa, którego rządy mieniono być: *regnum Davidicum*, aby wsiać nieufność i zazdrość w serce najzacniejszego ks. Wołonczewskiego. Głuchy na niegodne podżegania, mianował owszem

dotychczasowego sekretarza swego rektorem seminaryum w Worniach.

Ks. Józef zastał regułę i rygor tegoż seminaryum nieco rozluźnione, zaczem musiał zrazu dość ostro wystąpić, kilku nawet mniej karnych wydalić. Rychło atoli młodzież poznała go i pokochała, a w zamian za bezgraniczne jego poświęcenie, całkowicie mu ulegała. Wziął-bo na siebie obowiązki kapelana seminaryjskiego, którego wówczas nie było wcale. Sam co niedzielę miewał do kleryków konferencye, sam przewodniczył rekolekcyom, odmawiał choralnie brewiarz z alumnami. To też ci ostatni odnosili się do niego z każdym kłopotem czy trudnością, nie jako do zwierzchnika, lecz raczej do prawdziwego ojca. Co więcej, z prawdziwem namaszczeniem wykładał Pismo św., porywając słuchaczów przejęciem się świętością przedmiotu.

Rektorstwo ks. Dawidowicza przypadło na ciężką nad inne dobę, gdy w całym kraju rozpoczęły się polityczne po kościołach demonstracye, i kiedy, niestety! niektórzy kapłani poddawali się nawet wpływom rozegzaltowanej przez zagranicznych agitatorów młodzieży uniwersyteckiej. Przeczuwając, do czego owe demonstracye kraj popchną, jakie nań klęski sprowadzą, ks. Józef otwarcie przeciw nim powstawał, nazywając je karnawałową swawolą, po której musi nastąpić koniecznie wielki post, to jest większa jeszcze niewola. I dlatego wszystkiemi siłami wrażał w młodzież seminaryjską, w jej umysł i serce, to przekonanie, „że najlepszym patryotyzmem jest *szukać naprzód królestwa bożego i sprawiedliwości jego,* to jest ożywiać w sobie i w drugich przywiązanie do Kościoła św. i jego nauki, poprawiać obyczaje ludu za pomocą trzeźwości, rozniecać w duszach miłość ku Panu Bogu i bliźnim, nie wyłączając samychże nieprzyjaciół, i tak postępując, spokojnie czekać reszty od Boga, który co jeno obiecuje, spełniać nie zaniedba". Klerykom nadto przypominał usilnie słowa apostolskie, że *nemo militans Deo implicat se negotiis saecularibus,* zalecając, aby nie wdawali się w żadne demonstracye ani tajemne knowania, jako przeciwne duchowi i przepisom Kościoła. A snać jego przestrogi nie szły na marne, skoro na 150 alumnów worniańskich, ani jeden w czasie powstania

skompromitowanym nie został, kiedy w innych naukowych zakładach, prawie wszyscy starsi uczniowie udali się do powstania.

Wszelako wróg dobrze wie, jakiego rodzaju opór skuteczniej wstrzymuje upadek i zagładę narodowego ducha. To też ks. Dawidowicz nie miał uniknąć wygnania, owszem surowiej został karany od wielu z tych, co w zbrojnym uczestniczyli ruchu.

Jak to już wspomnieliśmy wyżej, rozszerzony wpływ gorliwego kapłana, równa się zbrodni stanu pod rządem rosyjskim. Już tedy samąż przewagą swoją i powagą, ks. Dawidowicz wystawiony był na pociski prześladowców, gdy nowy powód się nadarzył, aby upozorować jego wywiezienie z kraju w Sybir daleki. Arcybiskup Feliński, objąwszy rządy warszawskiej dyecezyi, zwołał swoich księży na naradę o potrzebach Kościoła, i dawnego przyjaciela wezwał też na owo poufne zebranie. Korzystając z feryj świątecznych, ks. Dawidowicz pojechał do Warszawy, a ugoszczony przez ks. Felińskiego, brał udział we wszystkich posiedzeniach i naradach stołecznego duchowieństwa. Mianowany biskupem sejneńskim ks. Konstanty Łubieński, zapragnął mieć ks. Dawidowicza sufraganem swej dyecezyi, i w tym celu przedstawił go z kolei margrabiemu Wielopolskiemu i dyrektorowi oświaty Krzywickiemu. Tymczasem owa wycieczka, w połączeniu z błogą działalnością w dyecezyi żmudzkiej, starczyła, by na świątobliwego kapłana najsroższe ściągnąć ciosy. Aczkolwiek stale występował przeciw rewolucyjnym knowaniom, policya oskarżyła go o przywiezienie z Warszawy podburzających proklamacyj, po które rzekomo miał tam jeździć.

Obwiniano go nadto o ukrycie naczelnika powstańców, ranionego w czasie potyczki pod murami samegoż worniańskiego seminaryum, a później schwytanego i powieszonego w Szawlach — Bohdanowicza. Ale na śledztwie pokazało się, że donos ten był najfałszywszy, gdyż ks. Józef przez cały czas potyczki był pod okiem wojska, a po jej skończeniu całą noc spowiadał rannych powstańców, ujętych na placu bitwy przez Rosyan. Oskarżono go równie fałszywie, iż poszedł do lasu, gdy tymczasem, jak

to śledztwo wykazało, pojechał do matki, by uniknąć gniewów dowódcy rosyjskiego oddziału, któremu nie dał jako rektor zrabować seminaryum worniańskiego. Najwięcej szkodził ks. Dawidowiczowi pewien ksiądz-odstępca, nazwiskiem Lutostański, uwięziony za kradzież i fałszywe donosy, który ustawicznie czernił przed władzami zacnego kapłana.

Wskutek tych oskarżeń, aresztowany w marcu 1865 roku ks. Dawidowicz przez żandarmów odwieziony został z Worń do Kowna. Ani na chwilę nie tracąc spokoju, upatrując w tem wszystkiem zrządzenie boże, zniósł pogodnie przeszło dwudziestomilową podróż wśród najokropniejszego wiosennego roztopu, przez wezbraną Wilię małem czółenkiem przeprawiany wraz z aresztowanym jednocześnie lekarzem, którego po swojemu uspakajał żartami, iż nie należy się bać utonięcia, skoro odpowiedzialność za to nie na więźniów lecz na żandarmów spadnie.

Niedługo siedział w turmie kowieńskiej. Sam Murawiew, ulegając prośbom biskupa Wołonczewskiego, pozwolił wypuścić ks. Dawidowicza z kaźni, pod warunkiem, iż się z miasta nie ruszy. Do lutego następnego roku, z względnej korzystając swobody, w Kownie słuchał pilnie spowiedzi, służył chorym i odprawiał w chórze godziny kanoniczne wespół z wikaryuszami katedralnymi; a śpiewał bardzo pięknie, mając głos wprawdzie nie silny, ale dziwnie rzewny i harmonijny. Całe też miasto jednozgodnie go uwielbiało. Ustawicznie za nim wnoszono do gubernatora instancye o zupełne uwolnienie. Zdziwiony taką ogólną sympatyą gubernator, proszących zapytywał, dlaczego się tak o niego troszczą. „Czy to wasz święty, czy patron, że tak wam pilno go ratować?“

Wobec komisyi śledczej i wojskowych instygatorów, z taką stawił się godnością i spokojem, iż sami później opowiadali, jako im się nigdy nie zdarzyło podobnego spotkać podsądnego. Przekonawszy się też o jego zupełnej niewinności, mieli sobie za punkt honoru, aby go całkiem od zarzutów uwolnić. Wszelako gdy wyrok uniewinniający posłali na konfirmatę do Wilna, następca Murawiewa, jenerał-gubernator Kaufmann, inny, podsunięty

sobie przez jenerała Niełojowa wyrok, skazujący ks. Dawidowicza na wywiezienie w Sybir, nie czytając nawet, podpisał.

Niespodzianie zaskoczone tą wieścią Kowno, oraz życzliwiej usposobione dla ks. Józefa władze, jeszcze próbowały odmienić jego losy. Daremnie! osadzono go ponownie w turmie kowieńskiej, dokąd się udał najspokojniej, podczas gdy odprowadzające go i żegnające po raz ostatni tłumy we łzach tonęły. Taki hart duszy i spokój umysłu zaczerpnął był ze świeżo odbytych rekolekcyj pod przewodnictwem swego dawnego ucznia, ks. Antoniego Baranowskiego, który rad się swemu dobroczyńcy odwdzięczyć, całem sercem mu podczas owych ćwiczeń duchownych służył.

W lutym 1866 r. nastąpiło wywiezienie szlachetnego wyznawcy. W Wilnie zatrzymano go jeszcze przez dni kilka, dla skompletowania partyi wygnańców. Wtedy smutnej pamięci prałat Niemeksza, przez pamięć na dawne stosunki w akademii duchownej, uprosił gubernatora Paniutina, aby pod pozorem braku cieplejszej odzieży, zatrzymał do wiosny skazańca w Wilnie. Gdy tedy wyprowadzano z turmy więźniów, by ich odstawić na kolej żelazną, przybył Paniutin i zagadnął ks. Józefa: „Powiedziano mi, żeś ksiądz źle odziany i nie jesteś w stanie w zimie tak dalekiej drogi odbyć. Czy prawda, że nie masz cieplejszego ubrania?“ Na co ks. Józef, widząc iż wśród obdartych współtowarzyszów wygląda jakby jaki jenerał, odrzekł tylko: „Proszę uważać, jakem ubrany“. „A więc jechać możesz?“ „Jeśli tak trzeba, to mogę“. I oto w jaki sposób starania ks. Niemekszy na niczem spełzły. Na uczynioną sobie za to wymówkę, ks. Józef odpowiadał zasmuconym przyjaciołom, iż lękał się z wolą bożą rozminąć, popełniając tego rodzaju kłamstwo. „Snać Pan Bóg chce, abym był na Syberyi, skoro bez kłamstwa nie mogę jej uniknąć. Zresztą rzecz to najmniejszej jest wagi, przez Żmudź czy przez Syberyę do nieba dojść, byle tylko tam trafić!“

Niemal dosłownie jednakie zdanie usłyszeć nam się zdarzyło z ust czcigodnego biskupa wileńskiego, ks. Adama Krasińskiego, gdy na parę lat przed zgonem, darząc nas swemi aforyzmami, osobną zwracał uwagę na dwuwiersz określający czas i przestrzeń

wobec Boga, dodając, iż z Wiatki, Wilna czy Krakowa, zarówno dojść do nieba można.

I znów w Petersburgu dwie miłosierne orędowniczki próbowały wystarać się, aby został w stolicy aż do zupełnego uwolnienia, byle się tylko podał za chorego. Sfukał swe opiekunki więzień powtarzając, iż żaden wzgląd na świecie nie zniewoli go do kłamstwa, a skoro zdrów, cierpiącego udawać nie myśli. Zresztą najlepiej z własnych listów poznać możemy piękną duszę ks. Dawidowicza. Pisze on pod datą 14 lutego 1866 r. i opisuje początek drogi, wiodącej na długie lata ku północy.

„*Laudetur Jesus Christus!* Dziś o godzinie 8-ej stanęliśmy na naszej kwaterze. To nie Wilno, gdzie wygnańców jak spędzone do jednej stajni bydełko na ziemi się lokuje, tu mamy łóżka w dużym pokoju, gdzie nas dziesięciu się mieści. Zmówiwszy paciorki po herbacie porządnie zasnąłem, a dobywszy materyałów, piszę do was siedząc na łóżku i oparty o poduszkę, bo tu stolików nie widać. Chcielibyście wiedzieć o szczegółach podróży, która z Wilna trwała trzy nocy i dwa i pół dnia. W Wilnie chciano mnie zatrzymać na dwa tygodnie i sądziłem że się uda, bo ważną miałem instancyę. Powiedziano p. gubernatorowi, żem lekko ubrany. Było to najokropniej ubliżyć moim niedźwiedziom. Butów tylko ciepłych nie miałem, ale i tych kupionych, umyślnie mi nie przysłano, abym w ostateczności bez kłamstwa mógł powiedzieć, że nie są opatrzone nogi. Wielka analogia z katarem w Kownie, gdzie mię chciano zatrzymać jako chorego, choć rzeczywiście byłem zdrowszy od połowy turmy.

„Przyszedł czas o d p r a w k i, i ja stanąłem w rzędzie pielgrzymów ubrany w burnus, niedźwiedzie zapakowałem, żeby nie kompromitować życzliwej instancyi. Przychodzą urzędnicy i dopytują się o mnie, jako źle odzianym; przybywa wreszcie p. Paniutin i prezentuję mu się jak jestem; bez wahania się zdecydował, żem dość ciepło ubrany, że mogę jechać. Także bez wahania się oświadczyłem gotowość do podróży ze swojej strony, i wyszliśmy z turmy, szykując się do *powierki*. Było nas z cywilnymi koło sześćdziesiąt osób; stanąłem na samym końcu dwóch szeregów, i wyglądałem jak jenerał na czele armii gotowej do walki

i pewny zwycięstwa. Na hasło marsz! ruszyliśmy wesoło, alić przeraził nas rozpaczliwy krzyk matki Mackiewicza, żegnającej może na zawsze syna zasądzonego na lat dwanaście do rot aresztanckich. Napróżnośmy wołali, że powrócimy, staruszka może dopiero w niebie miała się widzieć z synem. Szliśmy między strażą, a więc przystępu nie spodziewając się, znakiem krzyża żegnała. I nie mogła lepiej pożegnać; syn pełen rezygnacyi jedzie, pewien, że przez Archangielsk do nieba trafi, skoro z Bogiem żyć będzie. Mówił, że nie chciałby ratować się ucieczką z narażeniem się. Po chwili, boleśniej dotknął nas jęk współwięźnia, idącego w kajdanach. Jeszcze nie zagojone rany odświeżyły się prędko, i okropnie jęczał. Oficer pozwolił nająć dorożkę, do której siadłem z nieszczęśliwym". (Dworzec bowiem kolei oddalony był o trzy wiorsty od więzienia). „Kilkorazową ucieczką wywołał taką surowość. Inni szli po większej części z rękoma zakutemi.

„...Niedługo zajęliśmy miejsca w wagonie i każdy prawie z nas cieszył się z wygodnego kątka. Wesoło też gwarzyliśmy, jeden tylko odezwał się z rozpaczą, na niesprawiedliwość narzekając. Od razu wiele ozwało się głosów usiłujących rozproszyć rozpacz, i wszyscy opierali się na pobudkach nadprzyrodzonych. Ucichł biedny, ale się nie dał pocieszyć, bo dla ocalenia się odstąpił od prawej wiary i nie ocalał — prawdziwie to nieszczęśliwy. Inny młody chłopaczek mówił: My nie chcemy kajdan na rękach dźwigać, a Pan Jezus nosił na najświętszej swej szyi. — Niepodobna było nudzić się, ani przykrzyć w takiem towarzystwie. Wreszcie ruszył pociąg i w wagonie naszym zabrzmiała pieśń Ostrobramska „Witaj Panno", potem „Kto się w opiekę", potem pasyjne, i choć mrok zapadł nocny, w duszy było światło i pogodnie, i wdzięczny byłem gubernatorowi, że nie dał się zachwiać, tem bardziej że doprawdy ciepło było w wagonie. Wreszcie po pieśniach i pacierzach posnęliśmy snem spokojnym jak w domu. Często wybiegałem myślą do Wilna i do Kowna, was wszystkich polecając Najśw. Pannie Ostrobramskiej. Dziękowałem Bogu za wszystkie łaski, i za tę, że za mną niegodnym tak wielu się modli bez żadnej mojej zasługi..."

Już w drodze czynne apostolstwo słanego w głąb Rosyi

i Sybiru misyonarza miało znaleść pole otwarte dla swej gorliwości. Tejże nocy wagon się napełnił przybyłymi z Święcian więźniami, między nimi w kajdanach żołnierze i burłacy. „Nie wiedząc, w jakiem są towarzystwie, zaczęli nadedniem rozmawiać, ale tak brudnie i paskudnie, że znosić nie wypadało. Przyczepiłem się do jednego, który się bezczelnością odznaczał w swoich opowiadaniach o wypadkach przeszłości. Zacząłem tak: *pasłuszaj ty; skatina-li ty ili czełowiék?* Na takie zapytanie odpowiedział milczeniem. Biedny w całem znaczeniu, zląkł się, a widząc, że pora po temu, uznałem w nim człowieka i radziłem, aby się wstydził swych występków, żałował i pokutował, bo inaczej zginie i Bóg nie przebaczy. Wszyscy inni zamilkli, a bohater bezwstydu aż do Dynaburga ust nie otworzył. Przybył mi na pomoc jeden z nich, z powiatu nowo-aleksandrowskiego, jadący do domu po dwuletniej przy fortecach pokucie. Zdaje się kierowany myślą aby Moskalom dać przykład przyzwoitej rozmowy, odezwał się polskim ale bardzo połamanym językiem: — Powiedziałbym wam bajkę, ale nie zechcecie słuchać, bo ja po rusku nie umiem. — *Skaži skazku, pojmiòm,* odezwało się kilka głosów. — Uciszyło się i Litwin rozpoczął bajkę. Po bredniach moskiewskich, słuchałem bajki uważnie i wszyscy słuchali, a była powiedziana ze wszystkiemi prawidłami, z powtarzaniami i naiwnością trudną do naśladowania, co mi żywo przypominało czasy dziecinne, kiedy się słuchało powieści z większą uwagą, niżeli się kazania dziś słucha... Tymczasem rozedniało znacznie, wszyscy moi towarzysze powstawali i rozpoczęliśmy godzinki, czem do reszty zapewniliśmy sobie zwycięstwo, tak że już wogóle nadal duch przyzwoitości panował. W drodze przybywali nowi, ale tak prędko odczuwali wpływ dobry, że już łajać nie było potrzeba; jeden tylko w niedzielę coś zbredził, ale się spostrzegł i prosił przebaczenia: *Ja zabýł szto prazdnik!* sądziłbyś, iż inne dni rozwiązują język na głupstwa, a jednak i w poniedziałek był przyzwoity.

„...Dla was te szczegóły może niczem się zdadzą, ale mnie żywo obchodziło całe towarzystwo, bo przedstawiało świat nowy, w którym długie może lata przyjdzie mi spędzić. Widzia-

łem naraz świat politycznych przestępców (do któregom i ja zaliczony) i przestępców cywilnych, zwanych pospolicie złodziejami, rozmaitej wiary i narodowości, mogłem więc rozmaite czynić spostrzeżenia. Pierwsi, choć na równi z innymi zowią się aresztantami, a nawet nieraz są skuci, pozostają jednak swobodni i weseli, snać w duszy wszystko spokojnie i harmonijnie. Cywilni prawie wszyscy bez energii i smętni, myliłby się jednak, ktoby wszystkich posądzał o zbrodnie. Upadek ducha pochodzi stąd, że każdy z nich jest niejako odosobniony, nikt go nie podtrzymuje, jak to się między politycznymi dzieje. Innego mała wina, lecz przygniata go jako słabego. Wiara słaba lub żadna przywodzi go do stanu bierności, a jeżeli popełnił jaką zbrodnię, to rozpacz lub cynizm panują w jego duszy. Trudno z oblicza wyczytać, jakiej kto wiary, rzadko uchwycisz wyraz znaczący, ale gdy wpływ się rozpoczyna, wtenczas niezmierna między nimi różnica: katolik rozpłynie się z żalu i radość zajaśnieje na jego obliczu, prawosławny posłucha i wkrótce zadrzemie, luter i Żyd głębiej się w sobie zamknie, starowierca lodem się odgrodzi, a wszyscy ci ostatni cierpieć będą jako koniecznością fatalną przyciśnieni, lecz jedni katolicy i rzadcy prawosławni zdobędą się na rezygnacyę chrześcijańską. Żal mnie było Michałka: został w Wilnie, za mało było czasu do rozbudzenia w nim duchownego życia, nic nie zasiano w duszy i prędko rzucone ziarenko może być zagłuszone i zaduszone w zgniłej więziennej atmosferze. A jednak śliczna to duszyczka; kłamać nie umie! Kiedym korzyści cnotliwego życia mu przedstawiał, zwłaszcza nagrodę w niebie, dodając że mi podziękuje przy spotkaniu się, odpowiadał naiwnie: Wiadomo! — dając do zrozumienia, że nie będzie niewdzięcznym. Ale za to wielką miałem pociechę ze Żmudzina Janka, o którym wspomniałem w przeszłym liście. Rósł znacznie na duchu, przypomniał cały pacierz, zrozumiał najpotrzebniejsze prawdy, i postanowił nauczyć się czytać. Skuty, a jak mało potrzebuje do szczęścia! Obdarzyłem obu medalikami i z żalem pożegnałem. Polecam ich waszym modłom. Nie mogę zamilczeć o kilku jeszcze katolikach z nowo-aleksandrowskiego powiatu. Przyprowadzono ich do wagonu w Dynaburgu z wielu łotyszami i posa-

dzono opodal. Uderzyła mnie fizyonomia chłopaka dwudziestokilkoletniego, który się patrzał na mnie znacząco. Rozumiałem, że miło mu było patrzeć na nas to śpiewających, to modlących się, to gwarzących wesoło, alem to przypisał młodemu raczej uczuciu niż jedności wiary; aż tu raniutko zbliżył się do mnie ów młodzian, ciągnąc za sobą drugiego z nim skutego, i po litewsku prosił o krzyżyk lub medalik. Inni trzej mówili po białorusku. Pokazało się, że biedakom na dwa dni brakło zupełnie żywności, bo ich nad termin przetrzymano w turmie, a byli to zagnani do gubernii archangielskiej na roboty; sprzykrzyła się im po trzech miesiącach praca i drapnęli. Odszukanych znowu tam posyłają, i nie licząc pierwszej roboty, na nowo rozpoczną. Po posiłku ciała, pomyśleliśmy o pokarmie duszy. Pacierz umieli, ale nic prawie nie rozumieli; a zrozumieli prędko znaczenie krzyża, i cenę cierpień i wielkość szczęścia za cierpienia. Wszyscy byli wzruszeni, ale chłopak ów zalał się łzami, a łzami radości. Wszyscy przyrzekli żyć cnotliwie, modlić się gorliwie, zaraz się spowiadać jak tylko przyjadą do Petersburga, bo im niebo urokiem swoim zaimponowało. Żal mi było, że już nie miałem medalików, ale miałem jeden co mi dała pani W. dla zawieszenia u Ostrej Bramy jako wotum za uleczenie dziecka. Zapomniałem w Wilnie to zrobić za pośrednictwem innych, bo sam nie mogłem. Teraz dopiero nie wahałem się zawiesić na szyi rozrzewnionego młodzieńca i pewny jestem, że pani W. mi to wybaczy. Opowiedziałem o intencyi, z jaką się dostał w moje ręce medalik i zaleciłem modlić się za fundatorkę. Tak więc gorąca modlitwa łączyć będzie rodzinę, o tysiąc wiorst odbitą, z biedakiem w oczach świata, ale bogatym u Boga. Mamże dodawać, że wśród takiego żywiołu nie miałem czasu nudzić się ani przykrzyć sobie? Zapewniam was, że mi łzy radości obficie płynęły i dziękowałem Bogu za święte jego łaski.

„Nie zamilczę i o przykrościach dla uzupełnienia opisu podróży. Przykre wrażenie robi różnorodne towarzystwo. Są obok siebie zbrodniarze, przeważnie złodzieje. Ale to stosowniejsze dla nas towarzystwo, niżeli my względem Boga, a jednak przebywa z nami i łączy się z nami. W pierwszą dobę okna nie było można

odemknąć. Można sobie wystawić, jakiem oddychaliśmy powietrzem! a jednak Pan Bóg podtrzymał i żyjemy zdrowi i weseli. A Chrystus Pan, czy wygodnie nocował w piwnicy? Za krótkie było łóżko, tj. ławeczka na 5 ćwierci łokcia, ale można i pod spodem się ulokować i dalej nogi rozciągnąć; trochę zdepcą przechodzący, ale kto od tego był chory? Tego się ze mną nie zdarzyło, bo spałem na ławeczce, rozumie się skurczony, a jednak wygodniej prawie od wszystkich, bo niewielu przywilej ten miało siedzenia pojedyńczo. Inni musieli siedząc drzemać, zwłaszcza ci co w okowach, a co dopiero mówić o innych wygodach. Czułem, że jestem „Tyszkiewiczem Birż dziedzicem“ między jadącymi. Bo też mnie szanowano nad wszelkie moje zasługi, nawet, mogę powiedzieć, rej wodziłem. Innowiercy mimo przechodząc czapkę uchylali przede mną, a gdy kluczyki traciłem, co się dla mego gapiostwa często trafiało, to mi pomagali szukać, nadskakiwali w pilnowaniu i przenoszeniu rzeczy, nie dozwalając mi nawet poduszki nieść. Niektórzy tak mnie pokochali, że się rozdzielić z trudnością przyjdzie. Owoż mniemane te niewygody! Prawda i to, że o wszystkiem p. K. Z. pamiętała i we wszystko zaopatrzyła. Żaden student, ukochany od matki syn, z takiemi zapasami nie jedzie do szkoły, jak ja jadę. Teraz dopiero, gdy patrzę na drugich, oceniam jej niewypowiedzianą troskliwość. A jakaż to pociecha wiedzieć, że wy się modlicie, że pamiętacie o mnie w Bogu! O, rzadko kto tak bogato wyposażony pielgrzymuje! Dajże wam Boże stokrotną odpłatę. Już mi niepodobna wszystkich wyliczyć, coście świeżo w mojej pamięci, a widzicie jak papieru oszczędzam. Zapomniałem podziękować za szkaplerzyki i relikwie; ponawiam podziękowanie ksieni i wszystkim modlącym się za wygnańców. Dziś to dobrodziejstwo oceniam w całej rozciągłości, i gotów byłbym wszystkich do takiej modlitwy zachęcać, a mianowicie młodych lewitów, którzy tyle dobrego serca mi okazali, ostatniem dzieląc się ze mną... Do widzenia; tu aż do soboty następnej zostanę, dalej niepewne mieszkanie...

„Nie mogę lepiej zakończyć listu, jak zwróceniem uwagi na modlitwy kościelne w tym czasie; każda zdaje się do naszego położenia stosować. Po wyjeździe z Wilna odmawiałem nieszpory

i uderzyła mnie modlitwa: *Tuere Domine populum tuum...* ‚Ochraniaj Panie lud Twój i od wszelkich grzechów łaskawie oczyszczaj: albowiem żadna mu nie zaszkodzi przeciwność, jeżeli żadna nad nim nie zapanuje nieprawość. Przez Pana naszego Jezusa Chrystusa' i t. d."

Powtórzyliśmy niemal w całej rozciągłości ten pierwszy z pośród powierzonych nam listów, okazyą przesłany do kraju, ponieważ nam się zdało, iż cały charakter i całe też posłannictwo ks. Dawidowicza się zeń wychyla, że wszystkie miarodajne tętna jego duszy na wstępie tu odnaleść można: i miłą swobodę, i apostolską żarliwość, i cierpliwe poddanie, i tę prostotę bożych kmieci, którą on, dziecko ludu, syn włościanina żmudzkiego, posiadał w całej pełni i przejrzystości, obok nadzwyczajnego uzdolnienia i przyrodzonej bystrości umysłu, którą się cała jego rodzina odznaczała. Teraz przyjdzie nam urywkowo tylko czerpać z tej przedziwnej korespondencyi, acz żal każdego ominiętego ustępu, tak jaskrawo tu odmalowane misyonarstwo wygnańca i więźnia, który jak książęta apostolscy w mamertyńskiej kaźni, wśród pęt własnych, usiłował zdobywać dusze ku wolności synów bożych, jedynej, której świat ani ludzie odebrać nie potrafią.

Z d. 21 lutego tegoż roku 1866 jeszcze mamy przed sobą list z Petersburga pisany: „Zapowiedziano w tej chwili, że jutro do Moskwy wyjeżdżamy. Korzystam ze zręczności do pisania listu i piszę powtórnie. Wielka pociecha gdy się wygada człowiek, zdaje się że dzieląca nas przestrzeń znika i znowu z wami obcuję. Cały tydzień upłynął od zamieszkania w tym kątku, niewiele jednak zaszło wypadków, godnych zakomunikowania. Pewnego rodzaju monotonia nastąpiła po podróży pełnej życia: być może, wina też żywiołu, wśród którego się mieszka. Mieszkałem w kamerze arystokratycznej, gdzie osobistości samodzielne nie naginają się tak łacno jak prostaczkowie ku stronie duchowej, a bez przewagi duchowego życia, musi nastąpić monotonia w świecie zamkniętym kamerą i korytarzem. Nie jest jednak między nami bardzo źle i pod względem religijno-duchownym. Żaden nie śmie przeciw wierze lub Kościołowi pisnąć, bo w kamerze na dziewięć osób jesteśmy trzej kapłani, a jeden od drugiego zawziętszy

w obronie prawdy. Modlimy się przeto po swojemu, rozprawiamy najotwarciej o prawdach świętych i cudach, a najzajadlejszy z pośród nas pozwala sobie niekiedy aluzyj praktycznych, i wszystko nam to bezkarnie uchodzi. Niektórzy modlą się klęcząc, nie wstydząc się tych, co jeszcze nie pojmują, że pacierz zmówić z ugiętem kolanem, to nie hańba. Nie śmiem nawet utrzymywać, że inny żegnać się wstydzi, bo chociaż nie byłem naocznym świadkiem takowego aktu, gdy się kładą spać lub wstają, kto jednak wie, czy się pod kołdrą nie żegnają lub niepostrzeżenie jakoś nie czynią znaku krzyża. Ostatnie przypuszczenie tem prawdopodobniejsze, że wczoraj, w niedzielę, widziałem wchodzącego N. do naszej kaplicy, ani wątpię z zamiarem pomodlenia się. A był nim ten, którego skądinąd wziąłbyś za poganina, tak wszystko w nim trąci leśną dzikością, i modlitwy poranne prawie zawsze od świstania zaczyna. Gdy to piszę, jest już 12-ta, a on jeszcze w łóżku śwista. Prawda, że mu wychowanie takie źle się odpłaca, bo pierwszego po przybyciu wieczora, widziałem go rozpaczą miotanego i grożącego odjęciem sobie życia. Jakkolwiek niewieściuch ten niezdolny zdobyć się na najmniejsze męstwo, wierzę jednak, że przy pomocy złego ducha, odjąłby sobie życie, gdyby go nadzieja uwolnienia nie podtrzymywała. Rzuca się jak ptaszek w klatce, duszno mu i tęskno, biega po kamerze i wzdycha głęboko, odmyka okno i wciąga powietrze, jakby chciał wciągnąć ze świeżem powietrzem utraconą swobodę. Wszystko naprożno. Wstyd go nareszcie naciska: widzi jak inni mocni, nawet szczęśliwi, choć surowiej osądzeni, ale zamiast tam szukać pociechy skąd inni czerpią, on się mozoli nad tem, jakby czas zabić i jako tako zapchać czczość otwierającą się w duszy. Zamiast więc zwrócić się do Boga, źródła żywota, przez odrodzenie się duchowne, zwraca się ku rzeczom znikomym przez odświeżanie pamięci o nich. Stąd chęć słuchania o zaszłych wypadkach, czytanie romansów i książek zmysłowością trącących. Na szczęście jednego tylko tak nieszczęśliwego mamy wśród siebie, i o tym nie dla zabawy piszę, ale aby wam przedstawić rozmaite nasze potrzeby duchowne, zachęcić do gorliwszej za nami modlitwy. Nie uważajmy dziś i takich za straco-

nych, niedarmo Bóg zacina rózgą, snać chce poprawy naszej, i ku wspólnej pociesze widzę i na tym biednym wpływ łaski bożej... Wychowanie winno, mało do niego wchodzi żywiołu religijnego, którego się potem potrzeby nie czuje, chyba Bóg gwałtem karku ugnie przez rozmaite utrapienia, a usposobiwszy serce, dotknie go łaską swoją, zapalając świętą miłością. O tę łaskę błagajcie, tą nas jałmużną zasilajcie pozostali w kraju, a Bóg wasze miłosierdzie swojem miłosierdziem nagrodzi.

„Do ważniejszych tego tygodnia wypadków zaliczamy pożegnanie sześćdziesięciu przeszło współpodróżnych w dalszą podróż. Było to we środę. Ksiądz Dominikanin był ze Mszą. Pięciu tylko spowiadało się i komunikowało. Smutno patrzeć, jak te dusze, skądinąd wierzące i zacne, nie mają w sobie rozbudzonego życia religijnego; gdyby to przemówić i zachęcić, byłoby więcej ochotników. Nie było jakoś ani zręczności ani czasu, bośmy dniem przedtem przybyli. Po Mszy odczytano *Itinerarium*, a wieczorem już żegnaliśmy wywoływanych pojedyńczo. Brzęk kajdan bolesne sprawiał wrażenie, a jednak wszyscy mocni byli na duchu, choć nie wszyscy jednostajnie weseli. Wielu szło z ranami jeszcze nie zagojonemi, które przed komisyą ukrywać musieli, by uniknąć srogości wyroku. Żal mi było rozstać się z tymi, z którymi trzy dni w podróży z Wilna przeżyłem, mianowicie z trzema chłopakami, którzy się do mnie przywiązali. Gdyby można było, chętniebym się z nimi zabrał. Wspieraj ich Panie Boże łaską swoją i osładzaj cierpienia. W kaplicy, klęknąwszy przed obrazem M. Boskiej Częstochowskiej, poleciłem Bolesnej Matce tę dziatwę, którą żegnałem ze ściśniętem sercem. Po dwóch dniach byliśmy świadkami pocieszającego widoku: 75 Koroniarzy z robót aresztanckich po skończonym terminie wracało do domu; widok wcale odmienny, bo na żadnym nie ciężyły łańcuchy, i wesołość naturalniej jakoś świeciła z oczu. Na pamiątkę spotkania się wpisałem swoje imię do dwóch sztambuchów, życząc spotkania się w niebieskiej ojczyźnie, i widziałem jak jeden rozrzewnił się gdy to przeczytał. Jeden z kapłanów odmówił *Itinerarium* i życzył szczęśliwego powrotu w towarzystwie Boga i Aniołów Stróżów, a po powrocie pobożnego żywota.

„Wczoraj długom się przysłuchiwał śpiewakom w więziennej cerkwi, do której się wchodzi z korytarza, na którym mieszkamy. Głos wdzięcznie rozlegał się na korytarzu i mogliśmy oceniać całą przedziwną harmonię, zachwycającą prostotą swoją. Powtarzane: Panie zmiłuj się, Panie udziel *(Gòspodi pomiłuj, Gòspodi podáj)*, prześliczne w swoim rodzaju, przypominało mi tych ewangelicznych chorych, błagających Pana Jezusa o uleczenie. Tuż obok w swojej kaplicy, kędy głos śpiewaków rozlegał się, błagałem Boga o miłosierdzie, by wysłuchał rzewnego wołania i zjednoczył z nami jedną św. katolicką wiarą. Gdyby zajaśniała tolerancya religijna i można było nauczać świętych zasad wiary, najchętniej całe życie spędziłbym w głębi Rosyi, poświęcając się prostaczkom, ucząc ich zasad wiary, moralności i innych cnót. Godny to przedmiot modlitwy wszystkich miłośników Boga— przyspieszenie tego pożądanego czasu".

Ale już w następnym liście ks. Dawidowicz miarkuje wyrażony tu zachwyt śpiewem cerkiewnym, uważając, iż „temu śpiewowi braknie powszechności. Dobrze, gdy artyzm okrasza obrzęd, ale ten jest powszechniejszy, który tyle ma w sobie ducha, że się może wybornie obejść bez artyzmu... Prócz tego życie ludzkie rozmaite, samo tęskne wołanie, choćby najpiękniejsze, mu nie wystarcza. Radość i wesołość przedziwną mają harmonię, gdy po smutku następują. Wszystko to w naszym obrzędzie znajdziesz, rozmaitemu stanowi pobożności odpowiada rozmaitość nabożeństwa, od godzinek do nieszporów. A głównie lud powinien mieć swój udział, inaczej prostym będzie widzem i zobojętnieje na wszystko". Uwag tych swoich nie rozszerza, bo list idzie pocztą, ale wie, że kapłan, do którego pisze, uzupełni w duchu uwagi nasuwające się z powodu cerkiewnego śpiewu. Dla choroby zatrzymano go dłużej w Petersburgu, lecz już 4 marca pisze z Moskwy, że mu podróż wyszła na dobre, bo mu ruch, zapewne po dłuższem zamknięciu w więzieniu, najpotrzebniejszy. Wracając pamięcią do świeżo opuszczonego Petersburga, nie tęskni za towarzyszami kamery, którzy mimo uprzedzającej grzeczności, nie zbliżyli się do księdza, jakby unikając jego wpływu. „W czasie mojego tam pobytu przybył z Wilna pan H., który zbudował mię gruntownem

pojęciem ducha Chrystusowego. Człowiek majętny, z liczną rodziną, wielce zdolny; czuł okropnie cios wygnania, wzdychał co moment, gdy się zamyślał, ale w tych jękach było wołanie do Boga z rezygnacyą chrześcijańską. Na Msze św. regularnie uczęszczał co dnia, gdy inny dnia niedzielnego nie zdołał sobie zadać zbawiennego gwałtu, porzucając pościel dla oddania czci Bogu, co nasz zakątek raczył odwiedzać. Prawda, że była 10-ta godzina, a jeden z więźniów z tem dał się usłyszeć, iż za punkt honoru uważa przeleżeć na łóżku do 11-tej. Na takie oświadczenie ks. P., dzielny proboszcz z Lubelskiego, odezwał się: ‚Od wieków nie słyszano i żadna historya nie podaje, aby kto w łóżku dobijał się honoru'. Trudno było co przeciw temu powiedzieć. Za to pan H. wcale inaczej pojmował rzeczy. Razu jednego młodzież wracająca do kraju chlubiła się, że i na wygnaniu dzielnie tłukła donoszczyków. Zrobiono uwagę, że to nie po chrześcijańsku, że przeciwnie miłością możnaby ich odrodzić, mianowicie gdy już cierpią, i cierpią z udręczeniem. Młodzież tego nie rozumiała, i już się zabierała do dysputy, ale stary H. tak zaczął: W Wilnie znajdowałem się w areszcie i zmuszony byłem często spotykać się z denuncyatorem, od którego wiele moja żona ucierpiała i mieliśmy wiele straty. W ciągu sześciu miesięcy nie wyrzucałem mu złego postępku i unikałem o tem rozmowy. Przyszła chwila pożegnania, kapłan nakazał wszystkim na kolanach zmówić litanię do Matki Boskiej na intencyę denuncyatora, który już we łzach leżał krzyżem na ziemi i całował się prawie ze mną z bratniem uczuciem, już odrodzony prawdziwie. — Prawdę mówi ksiądz, dodał p. H., że miłością a nie nienawiścią mamy zwyciężać nieprzyjaciół... Rozumiem, że takie wypadki rozradowują kapłańskie serce i zostawiają pamięć niezatartą. Wiele rzeczy zastanawiających innych przemija dla mnie bez śladu, i tęskno mi wśród tłumu ludzi i olbrzymich murów, skoro nie spotykam człowieka ducha: bez ducha a ducha Chrystusowego wszystko tak marne, nędzne, liche".

(C. d. n.).

*M.*

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

## Z piśmiennictwa krajowego.

**Rzecz o roku 1863.** *St. Koźmian.* T. II. Część druga. W Krakowie. Nakładem Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1895. (Str. 326).

W sześciu rozdziałach tomu drugiego opowiada p. Koźmian wypadki w ziemiach polskich pod panowaniem Rosyi aż do wybuchu powstania w r. 1863. W rozdziale pierwszym robi uwagi ogólnej natury nad upadkiem politycznym państw i narodów, a następne rozdziały poświęca stanowi społeczeństwa polskiego od r. 1831 po rok 1859 i genezie ruchu narodowego od r. 1859—1863. Rozdział czwarty jest w toku opowiadania epizodem, wtrąconym całkiem zbytecznie i psującym harmonię całości, albowiem w rozdziale następnym przychodzi mu się cofnąć wstecz i nawiązywać wątek opowiadania, przerwany w rozdziale trzecim, a kończyć ponownie rozdział szósty tem, na czem zakończono rozdział czwarty.

Nie potrzeba na tem miejscu powtarzać, co o wartości i znaczeniu pracy p. Koźmiana mówił recenzent *Przeglądu Powszechnego,* z powodu tomu pierwszego. Nazwał ją wówczas „wyznaniem wiary“ jednego z najwybitniejszych przedstawicieli t. zw. stronnictwa krakowskiego; kładł nacisk na jej wyjątkową wartość, jako nauki i przestrogi dla przyszłych pokoleń, aby nie popadły w błędy podobne, przy podobnych *mutatis mutandis* okolicznościach, skoro smutnych następstw błędu samego odmienić nie jest już w czyjejkolwiekbądź mocy.

I my z powodu tomu drugiego „Rzeczy o roku 1863“ nie możemy nic innego powiedzieć, jak się zgodzić na przewodnią myśl polityczną, zarówno samego autora, jak i naszego recenzenta tomu pierwszego. Wątpimy nawet, aby w chwili obecnej ktoś z ludzi poważniej myślących a szczerych w swych opiniach politycznych mógł być innego zdania o wypadkach i ludziach z lat 1859—1863, jak autor „Rzeczy o roku 1863“. W tomie drugim swej pracy sądzi o nich z umiarko-

waniem i spokojem, dalekiemi od stronniczości publicystycznej. Umie rozdzielić odpowiedzialność za katastrofę pomiędzy wszystkich, zaczynając od władz rządowych rosyjskich, aż do Hotelu Lambert i kółek emigracyjnych.

Zawinił najpierw rząd rosyjski brakiem wszelkiej konsekwencyi w postępowaniu; tracił bowiem głowę, gdy trzeba było działać z rozwagą i energią; a gdy zrywał się do akcyi energicznej, stawał się drażniącym i brutalnym. Zawinił również margrabia Wielopolski, który w Petersburgu umiał być prawdziwym mężem stanu: zdołał bowiem przekonać cara Aleksandra II. o konieczności reform i ustępstw narodowych dla Królestwa, złamał tam wpływy wrogie Polakom, osłabił wpływ polityczny pruski na stosunki polsko-rosyjskie, ale nie zdołał ani przekonać własnych współziomków o potrzebie obrania innej drogi w polityce, ani przezwyciężyć uprzedzeń względem swej osoby. Kardynalnym warunkiem powodzenia misyi Wielopolskiego było — zdaniem autora — złamanie i ubezwładnienie spisku czerwonych różnych odcieni. Tymczasem margr. Wielopolski odnosił łatwe tryumfy nad białymi: zniszczył Towarzystwo rolnicze, — dodajmy bez istotnej potrzeby i korzyści politycznej — usunął z widowni działania hr. Andrzeja Zamoyskiego; ale nie umiał zadać stanowczego ciosu konspiracyi. Ilekroć występował z nią do walki, dosięgał tylko narzędzi, lecz nie sprawców i kierowników; a gdy ostatecznie zdobył się na krok stanowczy, uczynił to w sposób zdumiewająco niezręczny i osiągnął skutek wręcz przeciwny zamierzonemu: przyspieszył katastrofę zbrojnego powstania, wśród której i jego własne dzieło runęło. Obowiązkiem prawdziwego męża stanu nie było — zdaniem naszem — ani drażnienie przeciwników, a tem samem potęgowanie antagonizmów, ani rozpoczynanie walki domowej wśród tak trudnych okoliczności, w jakich wówczas znajdowało się nasze społeczeństwo, lecz raczej zręczne i umiejętne zaprzężenie wszystkich stronnictw do swego rydwanu politycznego, jak to uczynił Bismarck pomiędzy rokiem 1866—1870, co nie było bynajmniej rzeczą łatwą po głośnym konflikcie w latach poprzedzających.

Biali popełnili tyle błędów politycznych, iż w szczupłych ramach recenzyi wyliczać ich tutaj niepodobna. P. Koźmian w II. tomie swej pracy wystawił im istne świadectwo ubóstwa politycznego. Co do celów ostatecznych godzili się oni najzupełniej z czerwonymi; w użyciu zaś środków odpowiednich swemu stanowisku i programowi politycznemu nie mogli z nimi się mierzyć. Nadzieje białych polegały na rachubie na pomoc zagraniczną, których źródłem była jakaś mistyczna

wiara w Napoleona III., spotęgowana do stopnia pewności po kampanii włoskiej r. 1859. Niemniejsza odpowiedzialność ciąży i na Hotelu Lambert, który wespół z białymi dzielił wiarę i złudzenie, co do zamiarów Napoleona III. względem Polski. Chociaż autor z wielką względnością traktuje politykę Hotelu Lambert w tym okresie czasu, to jednak z jego przedstawienia rzeczy wynika w sposób oczywisty, iż stała się ona tylko echem dwuznacznych frazesów i nieokreślonych obietnic, w których tak się lubował sfinks tuileryjski. Polityce Hotelu Lambert zbywało na przezorności, co tem większe wywołuje zdziwienie i tem większy budzi żal, iż przy rozległych stosunkach łatwiej mu było poznać istotny stan Francyi i blichtr polityki polskiej Napoleona III., niż koryfeuszom różnych stronnictw i frakcyj politycznych w kraju. Z dziwną łatwowiernością łudzono siebie samych i kraj cały, który miał przecież prawo spodziewać się lepszych informacyj po swej „ambasadzie paryskiej". Zarówno w samej Francyi, jak i za granicą odzywały się już głosy bardzo poważne, wskazujące niedwuznacznie na chwiejące się podwaliny drugiego cesarstwa i piętnujące politykę meksykańską cesarza mianem awanturniczej [1]. Wszelkie natomiast zbliżenie się do jednego z trzech rządów rozbiorowych natrafiało w organie Hotelu Lambert *Wiadomości Polskie* na mniej więcej surowe potępienie, chociaż to była jedynie właściwa droga, wiodąca do dodatnich dla narodu rezultatów, bez żadnego ryzyka.

Nareszcie głównym winowajcą był spisek i organizacya czerwonych, które mniej więcej świadomie dążyły do wywołania w kraju zbrojnego ruchu. Odpowiedzialności czerwonych wogóle nie zmniejsza okoliczność, iż pomiędzy nimi znajdowali się umiarkowańsi, głoszący potrzebę rewolucyi moralnej, jak np. kółko Edwarda Jurgensa. Rewolucya moralna, przy naszym temperamencie narodowym, pierwej lub później skończyćby się niewątpliwie musiała na zbrojnej. Kierownikom spisku przyznaje p. Koźmian niezwykłą zręczność w akcyi przedpowstańczej: zarówno wtenczas, gdy aranżowali demonstracye uliczne, jak i później, gdy je przenieśli do kościołów.

Z przedstawienia autora „Rzeczy o roku 1863" wynika najdowodniej, iż wszystkie stronnictwa, wszystkie kółka i grupy polityczne, w większej lub mniejszej mierze, ponoszą winę za katastrofę roku 1863. Jest to zatem wina całego narodu. Z jednej strony była ona następ-

[1] Mowy parlamentarne Thiers'a. Szybki wzrost opozycyi od znanej „grupy pięciu" w roku 1857 do stanowczego jej zwycięstwa we wszystkich miastach i miasteczkach Francyi przy wyborach w r. 1862.

stwem położenia politycznego naszego narodu po r. 1831, a z drugiej — produktem porozbiorowej tradycyi, wychowania ówczesnego pokolenia, dalej fałszywego pojmowania historyi własnego narodu, która stała się tem samem fałszywą mistrzynią życia, a wreszcie wpływu poezyi. „Naród, który w swem życiu daje przewagę poezyi — pisze p. Koźmian — skazuje się dobrowolnie na bezużyteczne ofiary". Bez obawy posądzenia o wiarę w fatalizm dziejowy, twierdzić można, iż podobny stan rzeczy musiał sprowadzić w konsekwencyi katastrofę roku 1863. Pan Wł. Spasowicz nie bez pewnej słuszności wyraził się w „Historyi literatur słowiańskich", iż polska literatura porozbiorowa była tem laboratoryum, w którem kuła się broń do wypadków roku 1831 i 1863. Następstwa tej ostatniej katastrofy otwarły oczy najprzedniejszej części społeczeństwa polskiego i wywołały w niem zbawienną reakcyę, która z biegiem czasu staje się coraz widoczniejszą na całej przestrzeni ziem polskich. Doniosłość klęski roku 1863 zmniejszać się będzie w stosunku do nauki, jaką z niej społeczeństwo wyciągnąć potrafi. Nie byłoby ani potężnych Prus, ani zjednoczonych Niemiec w dzisiejszej formie, gdyby nie klęski pod Jeną i Auerstädtem i idące w ślad za niemi straszne upokorzenie dzisiejszych hegemonów niemieckich. Sedan zaś i dni majowe komuny paryskiej powinny były stać się przestrogą i nauką dla społeczeństwa francuskiego, iż kroczyło po zgubnej drodze.

O ile godzimy się wogóle z poglądami autora na wypadki r. 1863 i na ocenę ich następstw narodowo-politycznych, o tyle zastrzedz się musimy przeciwko niektórym jego sądom i wnioskom ogólnej, historyozoficznej natury. P. Koźmian wysnuł sobie teorye o trzech kategoryach państw, tracących byt niepodległy: jedne z przyczyn zewnętrznych, drugie wewnętrznych, a trzecie — z jednych i drugich zarazem. Ten trzeci rodzaj upadku politycznego nazwał „największym" i pod jego rubrykę podciągnął Polskę. Powyższa teorya nie ma wcale uzasadnienia w nauce dziejów i autor dla jej poparcia nie przytoczył ani jednego przykładu z historyi. Wszystkie upadki polityczne, jakie tylko znamy w historyi powszechnej, pochodziły zarówno z przyczyn zewnętrznych, jak i wewnętrznych, a różnice mogły tylko zachodzić w ich wzajemnym stosunku. Wszystkie państwa wschodnie, dalej starożytna Grecya i starożytny Rzym, Ruś kijowska, cesarstwo bizantyńskie, Polska, dawne cesarstwo niemieckie i t. d., upadały z przyczyn i wewnętrznych i zewnętrznych. Z tych ostatnich wyłącznie traciły byt niezależny tylko drobne organizmy państwowe i szczepowe, będące jeszcze w fazie tworzenia się, jak to miało miejsce szczególniej w pierwszej połowie wie-

ków średnich. Drzewo wewnątrz spróchniałe stać może przez lat szereg, zanim nie zerwie się silniejsza burza i nie powali go o ziemię. Coś podobnego bywa i z większemi organizmami państwowemi. Jeżeli jakieś państwo upada pod ciężarem głębokiego rozstroju wewnętrznego, to upadek bywa tak stanowczym, iż wszelkie próby wskrzeszenia byłyby po prostu galwanizowaniem trupa, jak to miało miejsce z Grecyą starożytną, a taki „Irydyon“ Krasińskiego jest oczywiście wytworem czystej fantazyi.

Czyż słusznemi są twierdzenia autora (str. 5), iż „ze wszystkich upadłych państw najtrudniej powstać było Polsce i odzyskać utracony kształt i stanowisko państwowe“ dlatego, iż na jej upadek „złożyły się nie jedna, nie kilka, ale wszystkie przyczyny, które spowodować mogą znicestwienie państwa i to w stopniu dotąd wyjątkowym?“ Nie chcemy tutaj posądzać autora o tendencyę zniszczenia w narodzie polskim wiary w możliwość odzyskania bytu politycznego, skoro nieco niżej (str 6) powiada tak wymownie, iż „dla społeczeństwa, które przestało istnieć w kształcie państwowym, najwznioślejszym, najszczytniejszym celem musi być odzyskanie tego kształtu, a siłą ożywczą myśl i dążenie do niepodległości“. Wątpimy zatem, aby p. Koźmian chciał całkowicie pozbawiać naród nasz tej „siły ożywczej“, która jest zarazem duszą narodu. Chcemy wierzyć, że wszelkich używa tylko argumentów, aby wiarę w możliwość odzyskania niepodległości osłabić, a utorować drogę dla swej przewodniej myśli, snującej się, jak nić czerwona, przez całą jego pracę, iż przedewszystkiem ratować należy zagrożony byt narodowy. Myśl ta — jego zdaniem — toruje drogę dla polityki kompromisów; marzenia zaś o niepodległości czynią ją niemożliwą i wiodą ostatecznie naród na manowce konspiracyjne.

Czyż naprawdę troska o zachowanie bytu narodowego nie da się pogodzić w życiu powszedniem z najszczytniejszemi ideałami narodowemi, które, jak ów słup ognisty, prowadzą naród nasz przez pustynię smutnej rzeczywistości? Słusznie p. Koźmian powiedział w jednem miejscu tej pracy, iż „w sprawach politycznych nie istnieją nierozwiązalne zadania, dopóki ich rozwiązanie zależnem jest od woli i rozumu ludzkiego“. Niema obecnie narodu w Europie, któryby nie żywił w swej piersi daleko sięgających ideałów narodowo-politycznych. Każdy prawie inteligentny Niemiec marzy o tem — aczkolwiek nie wyjeżdża z tem przy każdej sposobności, a w pierwszej lepszej mówce toastowej nie zaciera „kresek granicznych“ — aby przyszłe granice państwa niemieckiego sięgnęły, *so weit die deutsche Zunge klingt;* Włoch nie zrzeka

się bynajmniej nadziei rewindykowania Trientino i pobrzeży Adryatyku; każdy prawie Rumun odczuwa pożądania panrumuńskie i sięga po spuściznę starożytnych Daków, — co wszystko nie przeszkadza jednak tym państwom i narodom wchodzić np. z Austryą w bliższe związki polityczne lub przynajmniej utrzymywać dobre stosunki sąsiedzkie. Niechże więc i narodowi polskiemu wolno będzie podumać i pomarzyć w uroczystych chwilach życia o Polsce, jaką stworzyła historya.

Zresztą czy wyparcie się ideałów narodowych jest rzeczą wogóle możliwą i czy może czegoś podobnego żądać od nas nawet rozsądny nieprzyjaciel? Na to trzeba byłoby, abyśmy całkowicie zapomnieli o naszej przeszłości, przestali czytać naszych historyków i boleć wraz z nimi nad upadkiem ojczyzny naszej; pojmować naszych wielkich poetów i zachwycać się dziełami pendzla naszych pierwszorzędnych artystów. Czyżby to był środek ratowania naszego zagrożonego bytu narodowego? Nie! byłby to chyba początek końca; początek całkowitej zagłady naszego narodu. Jeżeli wrogowie powiadają nam, iż zmienić względem nas systemu rządzenia nie można, dlatego, iż my nie wyrzekamy się marzeń o niepodległości, to kłamią bezwstydnie. Nie o abstrakcyjne, nieuchwytne nasze ideały im chodzi, lecz o samą naszą egzystencyę narodową. Stoimy im na zawadzie już tem samem, że jesteśmy Polakami i być nimi chcemy. Gdyby w nich uderzył „grom dziejowych zdarzeń“, nie omieszkaliby zwrócić się wówczas ku nam, bez względu na nasze aspiracye polityczne.

Zaprzeczyć nareszcie musimy p. Koźmianowi, aby upadek nasz wewnętrzny był tak strasznym, tak stanowczym i nieodzownym, jak on to przedstawia. W okresie pierwszego rozbioru byliśmy istotnie w stanie okropnego upadku. Pomiędzy jednak pierwszym a drugim rozbiorem weszliśmy już na drogę, wiodącą stopniowo i powoli do wszechstronnego odrodzenia. P. Korzon w „Wewnętrznych dziejach Polski za Stanisława Augusta“ przedstawia mnóstwo dowodów naszego odrodzenia. Nawet tak krytyczny historyk, jak ks. Kalinka, przyznaje w swym „Sejmie czteroletnim“, iż poprawa była w narodzie widoczną, jakkolwiek nie była jeszcze całkowitą. Ten krótki, kilkunastoletni przeciąg czasu, dzielący orgie sejmu rozbiorowego i delegacyi sejmowej od sejmu czteroletniego, świadczy chyba najwymowniej o naszej żywotności. Gdyby nasz upadek wewnętrzny był istotnie tak głębokim i beznadziejnym, jak twierdzi p. Koźmian, to nie byłoby chyba możliwem przywrócenie częściowej niepodległości w dwanaście lat później. Na to może ktoś podnieść zarzut, iż tylko niezwykle potężna dłoń Napoleona I. w stanie

była coś podobnego uczynić. Lecz nie zapominajmy, iż dłoń ta tylko niechętnie i z ociąganiem się przystępowała do dźwigania z ruin upadłej Polski. Narzucało mu się ono, jako konieczność polityczna; poszedł za jej głosem w latach 1807 i 1809, a odrzucił ją w roku 1812, zarówno z naszą, jak i własną szkodą. Czasy Księstwa Warszawskiego, jego patryotyczne wysilenia i ofiarność, chyba także nie świadczą o głębokim wewnętrznym upadku naszego narodu.

W końcu zawsze i wszędzie, w każdem położeniu i wśród różnych okoliczności, należy zachować w pamięci aksyomat Z. Krasińskiego, wypowiedziany w „Niedokończonym Poemacie“, iż „od przyjścia Chrystusa żaden lud, który stał się narodem, nie umiera“. Na Grekach nowożytnych, Serbach i Bułgarach historya stwierdza wymownie prawdziwość tego aksyomatu [1]. *A. Szarłowski.*

**O naczyniach i sprzętach eucharystycznych.** Studyum archeologiczno-liturgiczne *ks. Corblet.* Spolszczył i wiadomościami swojskiemi uzupełnił *ks. A. Brykczyński*, członek Komisyi arch. i Komisyi sztuki Akad. Umiej. (Z 3-ma stylowemi rysunkami). Warszawa, u Niemiery.

Dzięki Bogu, przestaje u nas panować owa obojętność pod względem liturgii i czci zewnętrznej N. Sakramentu, którą wielka rewolucya a potem czasy józefińskie tak szeroko i u nas rozpostarły. Wymieniona w nagłówku książeczka zasłużonego już na tem polu autora, jest tego niezbitym dowodem.

Treść (bo spisu rzeczy niema) tak nam sam autor podaje: 1) o naczyniach i sprzętach eucharystycznych w ogólności, 2) o misach i czarach ofiarnych, 3) o patenach, 4) o asteryskach, 5) o kielichach, 6) o przydatkach do kielichów (palka, welum i t. d.), 7) o cedzidełku, 8) o monstrancyach, 9) o ampułkach i miednicach do *lavabo.*

Badanie i poznawanie tych tak różnych w różnych czasach i miejscach naczyń, w których przechowywano Przen. Sakrament, jakże bardzo oświeca i, że tak powiem, uplastycznia naszą wiarę i miłość ku tej przedziwnej Tajemnicy! Z tych naczyń poznajemy całą historyę nabożeństwa, nieraz tak rzewnego i wspaniałomyślnego naszych przodków w wierze, ku Bogu Ukrytemu.

Co się tyczy szczegółów, to bardzo ciekawą szan. tłumacz podaje wiadomość o monstrancyi Stefana Batorego, darowanej OO. Jezuitom

[1] Teraźniejszość jest w naszych ręku, i tę starajmy się pracą swą ulepszyć — przyszłość jest w ręce Bożej. *(Przyp. Redakcyi).*

w Płocku [1], która obecnie znajduje się w Włocławku. Wielkiej zalety dodają dziełku trzy tablice, przedstawiające trzy główne style naczyń: romański, gotycki i odrodzenia. Dobrze także, że szan. tłumacz napiętnował zwyczaj, choć już dzięki Bogu coraz rzadszy, podawania pateny do pocałowania kolatorowi przez kapłana odchodzącego od ołtarza.

Co do usterek, nie tak może szan. tłumacza, jak raczej francuskiego autora, to najprzód można podać w wątpliwość mniemanie, że „pierwotnie służyły do Mszy św. zapewne też same naczynia... jakich codziennie używali *Żydzi, Grecy i Rzymianie*. Później przez uszanowanie dla Najśw. Sakramentu przeznaczono na ten cel osobne naczynie“ (str. 32). Mybyśmy sądzili, że od samego początku tak apostołowie jak i pierwsi chrześcijanie tylko co z Żydów nawróceni, wyróżniali naczynia święte od świeckich. Bo i owo „uszanowanie dla N. Sakramentu“ nie mogło dopiero „później“ powstać, gdy już św. Paweł [2] mówi wyraźnie o rozsądzaniu Ciała i Krwi Pańskiej od zwyczajnych pokarmów. Na stronie 42 mówi autor, że pewien synod „zabrania celebrować w kielichach *de pelle*, to jest pokrytych skórą wyprawną“. *De pelle* nie znaczy: pokrytych skórą, ale zrobionych ze skóry. Zdaje nam się przeto, że naturalniej byłoby przypuścić, że musiały to być tak zwane dawniej u nas bukłaki, tj. worki skórzane do wina, jakich i dzisiaj jeszcze w krajach południowych używają. Na str. 48, to już nie autora, ale szan. tłumacza nieuwaga; mówi tam bowiem: „We Francyi na stopie kielicha zawsze jest znak krzyża wypukły lub okrągły, i tą stroną stawia się kielich do celebransa. U nas tego zwyczaju niema, i bardzo słusznie, gdyż w ten sposób prędzej niszczyłaby się pozłota i wogóle cały kielich od ciągłego z jednej strony używania“.

Najprzód był i u nas ten zwyczaj, jak tego oczywiście dowodzi „kielich z grobu Biskupa Włocławskiego z XIV. wieku“, przedstawiony przez samego tłumacza na tablicy drugiej. Powtóre, wcale nie „bardzo słusznie“ byłoby od tego zwyczaju odstępować, doradza go bowiem uszanowanie dla Krwi przenajświętszej, żeby kapłan mógł zauważyć, którą stroną ją pił, aby potem tą samą stroną pić ablucyę. Jeśli się zaś kielich przez to niszczy, to spełnia tylko cel, na jaki go ofiarodawca przeznaczył.

[1] Przypuszczamy, że zamiast „w Płocku“, miało być „w Połocku“, bo tam to Stefan Batory okazał się tak hojnym dla Jezuitów. Domyślamy się, że to względy cenzuralne nakazały taką omyłkę drukarską.

[2] I. Kor. XI. 29.

Według str. 65 (ostatnie 3 wiersze), wypadałoby, że ornat niekoniecznie ma być jedwabny, co jest podług najnowszych dekretów Kongr. Obrz. błędem.

Nawet o cedzidełkach i rurkach, ampułkach i miedniczkach jest wzmianka, i to pod osobnemi tytułami, a czyż nie więcej zasługiwały na uwagę *custodiae* do wiatyku, i opis, jakie one być powinny a jakie u nas są? A jeżeli miednice do umywania rąk zaliczono do sprzętów eucharystycznych i opisano je, toć daleko słuszniej trzeba było coś powiedzieć o kadzielnicach, a także o lampkach przed N. Sakramentem. Stądby się może okazało, jak daleceśmy zatracili smak liturgiczny, kiedy sypialniane krótkie knotki stawiamy jako wieczne lampki przed *Sanctissimum*. Ale nadewszystko trzeba było powiedzieć o foremkach do pieczenia opłatków. Mówimy nadewszystko, bo właśnie z Francyi-to rozszerza się coraz bardziej i u nas szkaradne nadużycie wyrabiania ich z mosiądzu. Wszakże nawet do gotowania lub pieczenia zwykłych pokarmów niktby nie używał naczyń z takiego materyału, a cóż do pieczenia chleba eucharystycznego? [1]

Na str. 101, gdzie jest mowa o pewnej puszce na komunikanty ozdobionej emalią, przedstawiającą Chrystusa w grobie, szan. tłumacz „dodaje od siebie, że jest to antyliturgicznie, gdyż w N. Sakramencie jest Chrystus żywy, a więc naczynia do Eucharystyi i *tabernaculum* nie powinny mieć oznak śmierci". Jest wprawdzie dekret Kongr. Obrz. zabraniający oznak śmierci, tj. trupiej głowy na palce, ale nie oznak śmierci Chrystusowej! Wszakże Kongr. Obrz. nie mogła się sprzeciwiać św. Pawłowi, który mówi: *ilekroć będziecie ten chleb jedli i kielich pili, śmierć Pańską będziecie opowiadać aż przyjdzie* [2].

Na str. znów 106, szan. autor twierdzi, że w pewnej monstrancyi, mającej $2\frac{1}{2}$ łokcia wysokości a 40 funtów wagi, „ciężar jej tak jest umiejętnie rozłożony, iż można nią dać benedykcyę". Jakim sposobem rozłożenie ciężaru może go zmniejszyć, tego chyba żaden fizyk nie odgadnie!

Na następnej stronie, szan. tłumacz słusznie mówi, że „powaga pojedyńcza autora, choćby wielka, nie jest jeszcze prawem" (choć nie jednego, ale dwóch wymienił autorów: de Herdta i św. Karola Boromeusza); jednak zapomina, że jeśli ta powaga ma za sobą przekony-

[1] Widzieliśmy na własne oczy, jak przy pieczeniu na takiej foremce biały fartuch piekarza miał duże zielone plamy od grynszpanu, który trzeba było obcierać wśród roboty.

[2] I. Kor. XI. 26.

wające dowody wewnętrzne *e visceribus rei*, to nietylko można, ale i trzeba za nią iść, a to tem bardziej, kiedy zdanie przeciwne nie ma ani powagi ani dowodów wewnętrznych. A więc kiedy chodzi o to, czy melchizedech ma być rozsuwany, żeby można było zeń wybierać partykułki, to oczywiście że taki ma być nawet w naszym klimacie, choć w nim, jak mówi szan. tłumacz, „w zimie palce zmarznięte z trudnością przykręcają śrubkę!“

Co do ampułek (str. 122), to bardzo proste doświadczenie uczy, wbrew zdaniu szan. tłumacza, że „szerokie u góry“ daleko są dogodniejsze „zarówno do nalewania wody do kielicha jak i do polewania palcy“ — niż z wązką szyjką i małym otworem.

W każdym razie, bardzo to zajmująca dla kapłana i archeologa książeczka, i warto ją kupić, choćby tylko dla przekonania się, czy nasza krytyka nie jest zbyt drobiazgowa. *Ks. H. P.*

**Wielkie bankructwo umysłowe.** Rzecz o nowoczesnym skrajnym sceptycyzmie naukowo-filozoficznym. Z dodaniem studyum: Koniec wieku XIX. pod względem umysłowym. Charakterystyka znamion szczególnych. *Ks. Władysław Michał Dębicki.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1895. (Str. 236).

Dziewiętnasty wiek dobiega swego kresu. Czas już powoli zabierać się do obrachunku zdobyczy i strat, odniesionych i poniesionych na wszystkich polach działalności ludzkiej. Książka niniejsza stanowi jednę z prac wstępnych, ułatwiających zabranie się do tego obrachunku. Zaznajamia ona czytelnika z wynikami, do jakich doszła ludzkość dzisiejsza w ogólnych poglądach na świat i życie, w najważniejszych zagadnieniach filozoficznych.

Z natury rzeczy wypada, że takie ogólne zestawienie kursujących dziś w filozofii i literaturze poglądów i należyte ich scharakteryzowanie jest pracą bardzo mozolną i trudną, wymagającą prócz znakomitej erudycyi, przedewszystkiem zdrowego a wytrawnego sądu krytycznego. Autor w szczęśliwem jest posiadaniu obu tych warunków. Na świat patrzy trzeźwo i zdrowo, a erudycyi daje w tej książce dowodów bez liku. Z sposobu pisania i z bardzo sumiennego cytowania dzieł uwzględnionych widać, że nie wydaje sądu o rzeczach na podstawie encyklopedyi czy jakiejś historyi filozofii, lecz na podstawie własnego czytania.

Dwie są części tej książki, w tytule wyraźnie zaznaczone. Pierwsza obejmuje rzut oka na teorye dzisiejsze o samej wiedzy, jej

istocie, podstawach i możliwości: druga część jestto charakterystyka pewnych szczególnych cech spółczesnego ruch umysłowo-moralnego.

Co do teoryj o wiedzy, to autor, opierając się na najznakomitszych dziełach, i największą cieszących się sławą, stwierdza fakt nader smutny, że poglądy na wiedzę najcelniejszych jej adeptów są rozpaczliwie sceptyczne. Sceptycyzm występuje dziś powszechnie. Różne są jego nazwy i postacie (illuzyonizm, nihilizm poznania, krytycyzm, fenomenalizm, subjektywizm, idealizm, nominalizm, solipsyzm czy solegoizm, agnostycyzm), ale jądro jest wszędzie to samo, jądro wstrętnie jałowe. Sceptycyzm to cecha prawie ogólna filozofii dni naszych. Materyalizm i pozytywizm nie stanowią tu wyjątku, gdyż pierwszorzędni ich przedstawiciele skrajnymi stają się sceptykami. Tylko gmin materyalistów umysłowy, może się jeszcze łudzić i upajać filozofią zmysłowej pewności. Moleschott, J. S. Mill, Faine, Huxley są równie skrajnymi sceptykami w swych konkluzyach, jak Berkelej lub Hume.

Niewesoły ten objaw autor przypisuje rozbratowi między wiedzą a wiarą. Umysł filozofa-sceptyka, nie chcąc się ukorzyć przed wyższą prawdą, punktu oparcia szuka w własnem li tylko ja — nic więc dziwnego, że, znajdując taki punkt oparcia, jakiego szuka, to jest własną nicość, tonie w zgniłych nurtach wstrętnego nihilizmu sceptycznego.

Sceptyk mimo to nie przestaje być człowiekiem, wyzuć się z natury ludzkiej nie jest w jego mocy. Natury tej nierozłączną cechą jest dążenie do szczęścia. Serce ludzkie pragnie czegoś, coby przyrodzone jego aspiracye zaspokoić było w stanie — uśpić się nie da bredniami, do których doszedł rozum spaczony, szuka strawy rzeczywistej, sobie właściwej — mrzonki nihilistyczno-sceptyczne nie stłumią wrodzonego mu popędu do szczęścia. Biada jednak sceptykowi, jeśli w tych poszukiwaniach za szczęściem podobnemu ulegnie złudzeniu, jakiemu uległ w dążeniu do prawdy.

Niestety i w tym kierunku stwierdzić należy smutny objaw w dążeniach i działalności ludzkiej, objaw charakterystyczny naszego wieku. Zbłądzony rozum i serce sprowadził na manowce. Pesymizm umysłowy wydał na świat godne siebie dziecię, pesymizm moralny. Z tym płodem sceptycyzmu rozprawia się autor w drugiej części swej pracy. Nihilizm wiedzy pociąga za sobą nihilizm moralny, oba razem spółczesną zarażają literaturę. Jako symptom chorobliwy ostatniego jej okresu autor stwierdza dekadentyzm i cynizm. Nihilizm nauki i etyki wyradza

w sercu ludzkiem niezgłębioną próżnię, wobec której wzdryga się natura człowieka, do szczęścia stworzonego. Znękany i zniechęcony do życia apatycznemi teoryami, sceptyk odnajduje na dnie swej duszy słabo tlącą się iskierkę wyższego pochodzenia, która zdaje mu się wzniecać pewną otuchę i zwracać straconą ochotę do życia; to też budzi się zrozpaczony sceptyk ze snu strasznej apatyi, skwapliwie rozdmuchuje tlące się zarzewie, szukając w bladem jego świetle i cieple tego, czego mu nie dał sceptyczny subjektywizm. Serce sceptyka, parte przyrodzoną koniecznością, chce zadośćuczynić rozbudzonemu popędowi religijnemu, przeto ogląda się za tem, co religią nazywamy. Sceptycyzm jednak tak dalece owładnął i spętał nieszczęsną swą ofiarę, że nie dozwala się jej zwrócić tam, gdzie prawda i życie, w stronę mianowicie wiary prawdziwej i boskiej, objawionej w religii katolickiej, lecz każe innych szukać sobie bogów.

Sceptyk, nie uznając wyższej nad własną powagi, nie chcąc oddać hołdu swemu Stwórcy, działa raczej przeciw wrodzonemu popędowi religijnemu, stara się go wykorzenić z serca i rozumu, byle nie ukorzyć się przed Panem i Bogiem swoim. Daremne usiłowania! Człowiek, walcząc przeciw przyrodzonemu popędowi religijnemu, tem samem działa przeciw swej naturze, a gwałcąc ją, sprawia w niej nieład, którego uczucie ciągle go niepokoi. Niepokój ten nurtuje człowieka niemiłosiernie, tak iż go zniewala albo do powrotu do religii, albo do wymyślenia sobie czegoś, coby mu ją zastąpiło, wspomniany nieład choć na pozór uporządkowało, a głos rozumu i serca, domagającego się praw swoich przyrodzonych, przygłuszyło.

Sceptyk, odwróciwszy się od Boga i religii prawdziwej, zwraca się do magii i zabobonu. To jest geneza spirytyzmu doby obecnej!

Autor źródłowo i w sposób bardzo zajmujący przedstawia nam historycznie i krytycznie tę nową religię, religię zabobonu. Dowiadujemy się o niej i jej wyznawcach wiele szczegółów bardzo dosadnie charakteryzujących ludzi dni naszych.

Książka mająca na celu skreślić charakterystykę ruchu umysłowo-moralnego ostatnich lat dziewiętnastego wieku, nie mogła pominąć cechy bardzo wybitnej tego ruchu, wyraźnie się zarysowującej w chwili obecnej. Cechą tą jest silna reakcya w kołach liberalnych przeciw bezbożności i brutalnemu materyalizmowi. Reakcyi tej na korzyść religii i idealnego na świat poglądu autor poświęca ostatni rozdział swej pracy, nieco dłużej zastanawiając się nad t. zw. neochrystyanizmem, jako reakcyą przeciw bezbożności, i nad t. zw. ascenden-

tyzmem, jako reakcyą przeciw dekadentyzmowi w literaturze. Tym jaśniejszym promykiem i wiążącemi się z nim refleksyami kończy autor swą książkę.

Śmiało i bez przesady możemy powiedzieć, że praca ks. Dębickiego jest drogocennym skarbem naszej literatury filozoficzno-społecznej. Może co do jednego lub drugiego szczegółu nie zgodzilibyśmy się z autorem w zapatrywaniach, ale sądzimy, że krytyka małoznaczących szczegółów wobec głównego zadania tej pracy nie byłaby na miejscu. Z zadania bowiem swego głównego autor wywiązał się znakomicie.

Książka ks. Dębickiego może wszystkim czytającym ją oddać niemałe przysługi, byle mieli trochę dobrej woli i trzeźwego sądu. A czytać ją może nietylko uczony badacz lub nawykły do spekulacyj umysłowych filozof, lecz równie dobrze najzwyklejszy śmiertelnik. Autor nie sadzi się na wyrażanie swych myśli ciemno i w sposób zagmatwany, jak to lubią czynić pozujący na filozofów pisarze; owszem, jak najusilniej stara się o to, aby go każdy zrozumiał.

*S. K.*

**Trzy doby dziejów naszych.** *Margert.* Obrazy sceniczne. Kraków 1895. (W 8-ce, str. 144). Cena 1 złr. 50 ct.

Uznania i pochwały godną myśl powziął autor tej świeżej publikacyi, by w trzech prześlicznych obrazach przedstawić najświetniejsze (a jeśli ostatnia bolesna bardzo — to przecież zaszczytna) chwile naszych dziejów. „Jadwiga“, „Królowa Korony Polskiej“, „Unici“ — oto tytuły tych obrazów. Każdy z nich opiewa moment historyczny, ważny swemi następstwami i skutkami, a przedstawiony jest o ile możności ze ścisłością prawdy dziejowej.

Unia z Litwą, wszystko co ją przygotowało, co jej towarzyszyło, udział w niej życzliwych, wyżej sięgających wzrokiem umysłów, niechęć Krzyżaków, zwycięstwo i tryumf sprawy bożej, oto treść pierwszego utworu. Drugi wprowadza nas do Częstochowy, na Jasną Górę, z chwilą, kiedy ta ostatnia warownia stawia jeszcze czoło najazdom szwedzkim. Wśród powszechnego zwątpienia, ucisku, wyłania się jak z za chmur czarnych promyk słoneczny, pomoc Maryi... cuda waleczności obrońców Jasnej Góry, widoczna Jej opieka nad tym zakątkiem, wlewają ducha, krzepią nadzieję upadających. Przyznajmy, że moment to arcydramatyczny i do ułożenia scenicznego trudny — a jednak autor wywiązał się z założenia swego świetnie, a co na uznanie zasługuje,

to uszanowanie tego religijnego pietyzmu, tej czci, jaką obronę Częstochowy dotąd nasz naród otaczał.

Trzeci obraz, to sceny rzewne i bolesne, a zbyt świeże, by o nich szerzej się rozpisywać, bo przecież znane są każdemu — to chwile ostatnie prześladowań Unii na Podlasiu. O ile możności autor dobierał szczegółów do obrazu z rzeczywistości (co w odsyłaczach zaznacza), więc niema tam przesady, ale i ta rzeczywistość jest sama w sobie straszną. Myślą autora i zamiarem było, podać młodzieży polskiej kilka nowych utworów, któreby szlachetną swą tendencyą i wyższą ideą owiane, mogły jej służyć do amatorskich przedstawień. Czy w zupełności temu celowi odpowiedzą te sceny, nie wiemy. Wydają się nam one za długie, wymagają wiele przygotowań i pracy, bo do każdego obrazu wchodzi poważna ilość osób. Cokolwiekbądź jednak, wartość sama dziełka jest wielka i na pochwałę szczerą zasługuje. Ma ono wykończenie, ma piękne, poezyi pełne miejsca, ma świetny język i formę staranną — ma, co najważniejsza, nastrój szlachetny, wyższy, owiany religijnem ciepłem.

*Ks. A. B.*

**Pisma Jordana (Juliana Wieniawskiego).** Tomów 6. Kraków. Nakład Gebethnera i Spółki. 1894.

Z prawdziwą przyjemnością i radością wzięliśmy do ręki Pisma Jordana i doznaliśmy przy ich przeglądaniu uczucia podobnego temu, jakie się budzi przy spotkaniu z dawnym, dobrym znajomym, z którym przeżyliśmy lat kilka w niezakłóconej przyjaźni, którego charakter nauczyliśmy się cenić, którego usposobienie przypadło nam do serca z powodu swej równości, wesołości i optymizmu życiowego. Te i inne jeszcze przymioty posiada autor pism, o których mowa. Człowiek to niemłody, karyerę literacką rozpoczął gdzieś z początkiem drugiej połowy bieżącego stulecia i, o ile wiemy, zdobył sobie zaraz uznanie publiczności. Potem nieco zapomniany, chociaż zawsze witany życzliwie przez pewną część społeczeństwa, wyparty przez nowe prądy i ich objawy na polu powieściopisarskiem, znajdował zawsze takich, którzy go czytali z przyjemnością, którzy przeglądając czasopisma literackie i znalazłszy w nich jego utwory, od nich poczynali lekturę. I byli to czytelnicy nietylko równi mu wiekiem, nietylko starsi i poważniejsi, którym nie przypadała do gustu analizująca i gorączkująca powieść francuska lub rosyjska, ale i młodzi, którzy chętnie od sprawiających ból głowy, napełniających nieraz niesmakiem, a prawie zawsze denerwujących, psychologicznych przetworów powieściowych uciekali do skro-

mnych opowiadań Jordana, w których znajdowali nieznane im w większej części typy naszego społeczeństwa, nieznane, a więc ciekawe, ożywiające wyobraźnię, pełne humoru spokojnego, nie zgryźliwego, dowcipne, o dowcipie nie olśniewającym wprawdzie, ale i nie zdawkowym lub niesmacznym, w których widzieli wielki zmysł obserwacyjny, doskonałe wystudyowanie i znajomość figur przedstawianych.

Nie należy również zapominać o języku autora, w którym przechował się ów talent narracyjny naszych przodków, obecnie coraz bardziej zanikający, a dający się jeszcze odnaleść gdzieś w zapadłym kącie u ludzi, u których książka nowsza rzadkim gościem, u szlachty, odciętej od świata, zadawalniającej się jednym dziennikiem, nieświadomej nowych ewolucyj społecznych czy literackich; nie rozprawia też ona o nich, opowiada tylko albo o swych kłopotach, albo o rozrywkach, a opowiada tak, jak ich dziadowie opowiadali, zachowując dawne frazy, żywość i obfitość giestów, czerpiąc swe porównania z przyrody otaczającej, z języka ludu, z którym się zżyła. Takim to ludziom przypatrując się, z takimi żyjąc i ich studyując, przejął się Jordan sposobem ich wyrażania się i nadał swemu stylowi prostotę języka ludowego, obrazowość porównań, tok i rytm gawędziarza, który każdemu podobać się musi, bo, nie wiem skąd, ale wszyscy bez wyjątku rozmiłowani esteśmy, tak jakbyśmy byli dziećmi Wschodu, w opowiadaniach, pobudzających naszą fantazyę, których fabuła obfita w wypadki, bogata w treść. Konia z rzędem stawię, że Pisma Jordana wszyscy przeczytają od deski do deski, chociaż znajdują się w nich „Listy do p. Jana", traktujące o kwestyach poważnych, kiedy tymczasem połowa polskich czytelników opuszcza z francuskiego romansu psychologicznego te kartki, na których autor wypowiada swe przekonania, przedstawia analizę umysłu czy serca bohatera.

A musimy uszanować w Pismach Jordana jedno jeszcze, z czem się coraz rzadziej spotykamy, mianowicie szlachetną tendencyę, zdrową myśl społeczną, pierwiastek etyczny w całej swej czystości, o który się teraz mało dba, stawiając za ideał artyzm w wykonaniu i opracowanie obranej tezy, nie bacząc wiele na to, czy sama teza jest dobra, czy piszący nie sieje zepsucia. Wszakże i krytyka nowoczesna postawiła sobie za zadanie badać: jak coś napisano, jaka robota, a nie co jest przedmiotem roboty. Nie zapuszczajmy się jednak w kwestye, któreby nas za daleko poprowadziły, a odwiodły od omawianej rzeczy.

Galerya osobistości i sprawy, któremi się Jordan w swych powieściach i obrazach zajmuje, nieliczne i brane one z jednej warstwy

naszego społeczeństwa, szlacheckiej, i to przeważnie z tłumu tej braci herbownej, która siedzi na jednej lub dwu wioskach, która w dni powszednie pracuje w pocie czoła na zagonie, doglądająca wraz z ekonomem, karbującym na kiju snopy, swego majątku, która odrywa się, ile razy tylko może, od gumien i stodół, aby ze strzelbą i pieskiem poszukać zająca, która też chętnie jeździ na polowania do sąsiadów, goni zapalczywie na koniu za lisem, która często odwiedza jarmarki lub udaje się do poblizkiego miasteczka po pożyczkę do Żyda, która wreszcie musi mieć swego faktora i bez niego nie umie sprzedać swych płonów, ani kupić czy to inwentarza, czy nawet sprawunków dla jejmości. Mamy w tych pismach obraz smutków i radości, kłopotów i wesela, buńczuczności, humoru, naiwności, dobrej wiary w ludzi i w los, zaufania w szczęśliwą gwiazdę i w „jakoś to będzie“, dumy i zacofania, niegospodarności i skrzętności, rozrzutności i skąpstwa, nieuctwa i szlachetnych usiłowań, ślepoty i bystrości — tej, pomimo swych wad nieraz przedstawianych nieco karykaturalnie, sympatycznej i chwytającej za serce szlachty.

Pierwszy tom Pism mieści „Wędrówki delegata“, znane, czytane przez wszystkich i często wspominane, drugi „Przygody panów Marka i Agapita“, wywołujące zawsze uśmiech na twarzy, nieco skarykaturowane, niemniej jednak prawdziwe, obecnie przedstawiające się jako kopalnia przedpotopowych mastodontów; gdyby jednak dobrze poszukać, to *mutatis mutandis* i teraz znaleźlibyśmy może nie tak naiwnych, ale za to równie dobrze dających się wyzyskiwać i wpadających w pułapki wielkiego miasta. Tom III.: „Listy Jordana do pana Jana“, drukowane przed laty mniej więcej dziesięciu, godne zawsze odczytania, tyle w nich zdrowych rad, poczucia obywatelskiej pracy, tyle przytem żywcem pochwyconych, pysznych figur szlacheckich, że tylko wspomnimy charciarza p. Fulgentego. Na dwa następne tomy złożyły się szkice i obrazki pod ogólnym tytułem: „Z boru i dworu“; w niektórych z nich (układ o służebności) uderza doskonałą charakterystyką naszego chłopa.

Z żalem, że więcej nie napisał, zamykamy tom III., w którym pomieścił autor swe wspomnienia szkolne („Ze wspomnień Marymonckich“) i trzy dowcipne i zgrabne jednoaktowe komedye: „Partya winta“, „Wśród lasu“ i „Polowańko“.

*Dr. A. M. Kurpiel.*

## Z piśmiennictwa zagranicznego.

**Zmarłej matce.** Poświęcił *Ryszard Katalinić-Jeretow*. Zagrzeb 1894. (Mrtvoj Majci. Posvetio *Rikard Katalinić-Jeretov*).

Że boleść, silnie i głęboko odczuta, staje się dla wielu wyższych umysłów i szlachetniejszych serc źródłem istotnego poetyckiego natchnienia, że z łez, skrapiających groby ukochanych, rodzą się niekiedy najpiękniejsze kwiaty poezyi, o tem przekonywa nas długi szereg swojskich i cudzoziemskich pieśniarzy, których duszom dopiero po oczyszczeniu się w ogniu cierpienia wieszcze urosły skrzydła. Świeży tego dowód stanowi cykl lirycznych utworów, poświęconych pamięci zmarłej matki przez znanego już czytelnikom *Przeglądu* chorwackiego poetę, p. Katalinića-Jeretowa.

W dzieciństwie straciwszy matkę, którą maluje w swych utworach jako anioła dobroci, zbyt jasnego i czystego, aby mógł żyć długo na skalanej ziemi, poeta został tak dalece wierny jej pamięci, że z wyjątkiem miłości ojczyzny, którą za drugą matkę uważa, zamknął swe serce dla wszystkich ziemskich uczuć. Naturalnie gwałtowny z początku żal za ukochaną zmarłą przerodził się stopniowo w cichy, skryty ból i tęsknotę, wyrazem zaś tego bólu, nurtującego w duszy wśród długich lat dwudziestu, jest powyższy zbiór rzewnych i uroczych pieśni. Są to jakby ujęte w poetycką formę dzieje biednego sierocego serca, dość pospolite wprawdzie, lecz bądź co bądź wielce sympatyczne, bo prawdziwe, a jak powiedział słusznie Mickiewicz: „jest prawda w poezyi — jest poezya w prawdzie“. Aby je zrozumieć, trzeba sobie wyobrazić małą, z natury tkliwą dziecinę, otoczoną od kolebki serdeczną pieczą matki, której miłość jak promienie słońca ozłociła i ogrzała najmłodsze jej lata. Nagle dziecię traci tę ukochaną istotę, której nieocenioną wartość dla siebie następującemi daje poznać słowy:

| | |
|---|---|
| Miałem kiedyś prosty pierścień,<br>Lecz w nim brylant był ujęty,<br>Który blaskiem czarodziejskim<br>Zaćmił wszystkie dyamenty. | Ja sam imô prosti prsten,<br>Na njemu je alem bio,<br>Taj je alem svojím sjajem<br>Sve alemje nadmašio. |
| I dziś mam ten pierścień jeszcze,<br>Ale brylant mi wydarto...<br>Żadnej wagi do klejnotu<br>Przywiązywać więc nie warto. | Još i danas prsten imam,<br>Al mi alem ugrabiše...<br>Prost je prsten sad bez sjaja,<br>Bez ikakve ciene više. |
| Mym pierścieniem — życie puste,<br>Tyś brylantem, matko, była, | Moj je prsten: život pusti,<br>Alem ti si, majko, bila, |

Więc mój klejnot wartość stracił,
Odkąd kryje cię mogiła!

Moj je prsten baš bez ciene,
Odkad te je raka skrila!

Łatwo zrozumieć, jak bolesny i straszny przełom w życiu dziecięcia stanowiła śmierć tak gorąco i głęboko ukochanej rodzicielki. Z właściwą sobie, pełną wdzięku prostotą maluje poeta pierwsze chwile swego sieroctwa:

Pomnę jeszcze: spała sobie
Wpośród kwiecia, wpośród woni,
Mnóstwo świec płomieniem jasnym
Wciąż paliło się koło niej.

Jakby w grobie, panowała
W domu cisza nieprzerwana,
Jam się dziwił i pytałem:
— Czemu mama tak ubrana?

To pytanie jakaś dobra
Kobiecina usłyszała:
— Ona zmarła, biedne dziecię —
Do sieroty wyszeptała.

Jam nie pojął i gdy ojciec
Przyprowadził czarnych ludzi,
Rzekłem do nich: — Tylko cicho,
Niech się mama nie obudzi!

Još se sjećam: spavala je
Posred čara, posred cvieća,
A oko nje plamtilo je
Svetim plamom bezbroj svieća.

U sobi je bilo tiho
(Nit u grobu nije tiše),
Ja se čudih, pa se pitah:
— Čemu li ju nakitiše?

Taj je upit nevin čula
Neka dobra, stara baka:
— Ah mrtva je, biedno čedo —
Pa me ljubnu siromaka.

Ne razumjeh i kad došli
S mojim ocem crni ljudi,
Ja im šapnuh: — Tiho samo,
Da se majka ne probudi!

Odtąd potoczyły się powoli ciężkie, smutne dni sieroctwa, przypominające nam poniekąd również posępne dzieciństwo naszego poety, Kazimierza Brodzińskiego. I tu, jak tam postać zmarłej przedwcześnie matki coraz bardziej idealne w oczach dziecięcia przybierała kształty, coraz silniej do siebie niewinną przykuwała duszę. Wśród burz życiowych i bolesnych doświadczeń, to właśnie uczucie synowskiej miłości uszlachetniło młodzieńca, nie pozwalając mu ze ścieżki cnoty na zgubne zboczyć manowce.

W lazurowej niebios toni
Widzę gwiazdę blasków cudnych,
Co mię drogą prawdy, dobra
Wśród chwil życia wiedzie trudnych.

Kiedy w ziemskiej tej wędrówce
Zaczną grozić chmury, burze,
Wciąż mi świeci, bym nie upadł,
Złota gwiazdka na lazurze.

Ty po śmierci nawet, matko,
Lśnisz jak gwiazda memu oku,

Na nebeskoj na vedrini
Vidim zviezdu čudna sjaja,
Što me puti stazom pravde
I poštenja sred tog kraja.

Na zemaljskoj tuj na stazi,
Kad mi priete crne tmine,
Da ne srnem očuva me
Zlatna zviezda sred vedrine!

Ti si, majko, zasinula
Zviezdom iza smrti same,

Byś mię wiodła, byś mię strzegła,
Przyświecając wpośród mroku!

Da me vodiš, da me čuvaš,
Da mi svietliš sred te tame!

Podniósłszy wzrok syna ku górze, duch matki wiedzie go do stóp Najwyższego, aby tam z pokorą i rezygnacyą złożył swoją boleść. Szkoła cierpienia staje się więc dla niego zarazem szkołą modlitwy, z której czerpie on jedyną dla siebie pociechę.

Matko moja pogrzebana,
Ja się modlę tu za ciebie
W głuchej ciszy, samotności,
Kiedy gwiazdy lśnią na niebie.

Ja se molim često za te,
Majko moja zakopana,
U tišini, u samoći,
Kad se gubi svietlost dana.

Wówczas postać twoja droga
Schodzi ku mnie, patrząc mile,
Zdaje mi się, że mię tuli...
To są słodkie dla mnie chwile.

U sumraku tvoja prikaz
Na tu molbu slazi k meni,
Čini mi se, da me grli...
To su za me sladki treni.

Lecz chwile takie, to niby króciutki spoczynek w oazie, w której wędrowiec musi się uzbroić w siły i odwagę do dalszej wędrówki na pustyni życia. W pielgrzymce tej czekają nań liczne troski, obowiązki i trudy, przed któremi matka nie pozwala mu się cofać, bo inaczej nie dopnie celu, nie połączy się z nią kiedyś u Boga. Zwracając przeto myśl i duszę syna ku niebu, duch matki każe mu się wystrzegać nietylko gnuśnej bezczynności i płochego bujania po obłokach, lecz nawet biernego poddawania się smutkowi, natomiast zaś zaleca „grzebać dłonią w ziemi“, pracując wytrwale dla dobra rodzinnego kraju:

Nie zasępiaj, synu, czoła,
Bo ojczyzna już cię woła!

Nemoj tužit, mili sine,
Eno tebi domovine!

Oto w krótkim zarysie główny motyw, na który młody chorwacki poeta wyśpiewał smętne swe pieśni. O charakterystycznych cechach ich formy świadczą najlepiej przytoczone przez nas urywki; to tylko dodać należy, że dźwięczny, śpiewny i dziwnie melodyjny język chorwacki, jakby stworzony dla poezyi, szczególnego dodaje im uroku. Ponieważ zaś p. Katalinić już nie po raz pierwszy w poetyckich występuje szrankach, zaznaczyć więc musimy, że w porównaniu z dawniejszemi utworami cykl *Mrtvoj Majci* stanowi spory krok naprzód w rozwoju jego talentu. Piękną tę poetycką równiankę, złożoną na grobie zmarłej matki, kończy następujący wiersz, który też niech stanowi epilog naszej oceny:

Ja wciąż wierzę, że mój naród
Ze snu swego się obudzi,

Ja vjerujem, da će rod moj
Iz težkog se sanka prenut

I wolności płaszczem złotym
Zajaśnieje wpośród ludzi.

A Chorwacya, jego matka,
Znów się stanie silną, wielką,
Jak przystoi tej, co była
Bohaterów rodzicielką.

I że kiedy śmierć rozwiąże
Egzystencyi mej zagadkę,
Za chmurami, za gwiazdami
Ujrzę drogą moją matkę.

I slobodnim, zlatnim plaštem,
Još da će se zaodjenut;

A Hrvatska njegva majka,
Da će postat opet jaka,
Košto patri veljoj majci
Silnih diva i junaka.

Još vjerujem, da ću jednom,
A za onim plavetnilom
Nać se tamo iza zviezda
Opet s mojom majkom milom!

*H. Sopodžko.*

**Quatre portraits de femmes.** Épisodes des persécutions en Angleterre. Par *la Comtesse R. de Courson.* Paris. Firmin Didot. 1895.

Osobne dla nas miewają znaczenie, osobny a rzewny urok, karty wyrwane z martyrologium angielskiego. Tak blizkie to względnie czasy, tak podobne warunki ucisku i prześladowania, że porównania narzucają się same z siebie. Razem krzepiąca otucha wstępuje w serca z tym jednym dowodem więcej, iż wszystko wytrzymać i przetrzymać można, że ziarno wsiane w ziemię, acz obumarłe ludzkiem zdeptaniem, po latach setny owoc wydaje i przynosi.

Przez dłuższy czas nic zgoła nie wiedziano o męczennikach angielskich. Zazdrosny rząd przejmował korespondencye, niszczył świadectwa, przykrawał samąż historyę do wymagań własnej samowoli. Za dni naszych dopiero błysnął dzień swobody, wyswabadzający zarazem i sumienia i prawdę dziejową. Posypały się wydawnictwa, rozświecające ciemnię dni ucisku. Atoli przeważnie są to obszerne i wyczerpujące dzieła, uwite z archiwalnych dokumentów, przeciążone nieraz mnóstwem szczegółów i wiadomości, nie dozwalających jasno rozpoznawać pojedyńczych postaci. To też pożądane bywają osobne wizerunki ludzi żyjących w tym męczeńskim okresie, ażeby dokoła nich skupiać i ześrodkowywać epokę, a z ich przykładów lepiej korzystać wśród okoliczności dzisiejszych, nieraz dorastających uciskiem owej krwawej dobie prześladowania katolików w Anglii.

Zwykle i przeważnie męską cnotę, męskie zwycięstwa i męczeństwa historya rylcem swoim uwiecznia. Kobiece zasługi, jak to ich skromności przystało, niknąć zwykły, bezimiennem tylko utrwalając się promienieniem i wpływem. Rzadko kiedy wyraźniejsza postać niewieścia zarysowuje się na fali dziejowej, zaczem tem skwapliwiej godzi się

podchwytywać wizerunki i przykłady hartu, poświęcenia i wytrwałości, które nie zatonęły w niepamięci potomnych, a i nam dostarczyć mogą krzepiącej zachęty. Oto książka, przynosząca czytelnikom cztery starannie wykończone portrety takich niewiast mężnych, którym żyć przypadło w najcięższych dniach srogiego ucisku, a których wielkie dusze umiały się zdobyć na wielkie też ofiary i podnieść się na wysokość służby samemże położeniem i utrapieniem chwili wymaganej.

Autorka, pani de Courson, Angielka rodem, pracę swą składa w hołdzie pamięci matki, która „pochodząc od dawnych wyznawców wiary, pierwsza nauczyła ją znać je i miłować". Z kolei idą cztery postacie, odmalowane z miłością.

Pierwsza z rzędu, to Joanna Dormer, zaślubiona Hiszpanowi, księciu Feria. Wielka pani, powiernica królowej Maryi Tiudor, dzieliła nadzieje tej ostatniej co do blizkiego powrotu Anglii na łono katolickiej jedności. Wstąpienie na tron Elżbiety rozwiało owe złudzenia. Księżna Feria znajdowała się wówczas w Londynie, jako małżonka posła hiszpańskiego. Gdy w 1559 r. ambasador z żoną odpływał do Flandryi, do orszaku ich przyłączyło się niemało osób świeckich i duchownych, które pod osłoną dyplomatycznej nietykalności, opuszczały ojczyste wybrzeża, ażeby na obcej ziemi szukać bezpieczniejszej przystani, oraz swobody sumienia. Nad wszystkie bowiem uciski, prześladowani w Anglii katolicy stawiali brak ołtarzy i Sakramentów, i ta tęsknota za Eucharystyą więcej od wszelkich innych względów wywodziła z kraju dobrowolnych tułaczy. Najprzód we Flandryi, później w Hiszpanii, księżna Feria przez całe pół wieku, od r. 1560 do r. 1611, stała się prawdziwą opatrznością dla wygnańców angielskich. W Rzymie, w Lowanium, w Valladolid powstawały seminarya, przyspasabiające Anglii nietylko misyonarzy, lecz i męczenników. Kardynał Allen, który głównie przykładał rękę do zakładania owych zagranicznych seminaryów, w znacznej części był jałmużnikiem księżnej Feria. I tak przeważnie za pieniądze hiszpańskie utrzymywały się rozsadniki kleru, dostarczanego Anglii pomimo surowości praw i najostrzejszych zakazów, mających na celu pozbawienie Chrystusowej trzody wszelkiej duchownej pomocy.

Po wizerunku wielkiej damy, ambasadorowej obcego państwa, autorka snuje nam dzieje Małgorzaty Clitherow, żony rzeźnika w Yorku. Północne prowincye odznaczały się osobną tęgością i przywiązaniem do wiary ojców. To też królowa Elżbieta postanowiła wyplenić tam „papizm" za pomocą niebywałych srogości. Więzienia Yorku przepełnione

były wyznawcami wiary. Małgorzata Clitherow nawiedzała skwapliwie więźniów, a co więcej, choć mąż jej był innowiercą, w domu swoim ukrywała kapłanów, chowała kościelne przybory i naczynia, i nawet samą przechowywała Eucharystyę. Takich zbrodni stanu rząd Elżbiety nie przebaczał. Wydane na tortury dziecko, wskazało skrytki w domu Małgorzaty, która życiem przypłaciła swe dotychczasowe poświęcenie. Przywalona ciężkiemi wierzejami i na śmierć zgnieciona, uszczknęła wieniec męczeński r. 1586. Dzieci jej, synowie i córka, w zakonnem życiu przechowały macierzyńską spuściznę wiary.

Marya Ward innemi drogami miała się uświęcić i zasłużyć. Patrząc na wyplenienie zakonnego życia w Anglii, marzyła o założeniu na obczyźnie klasztorów żeńskich, kędyby dziewczęta angielskie, prześladowaniem z ojczyzny wywołane, znaleść mogły przystań bezpieczną, bądź aby otrzymywać chrześcijańskie wychowanie, bądź aby folgować wyraźnemu powołaniu zakonnemu. Zakosztowawszy bogobojnego żywota Klarysek, po kilku latach wahania się i szukania właściwej drogi, Marya Ward założyła podwaliny zgromadzenia, które pod nazwą „Pań angielskich“ *(Dames anglaises)*, dziś rozeszło się po olbrzymich dzierżawach Albionu, po całym katolickim świecie, spełniając ideał fundatorki, która, w świeckie pozory myśl swą ubierając, pragnęła ułatwić dostęp do protestanckiej Anglii dziewicom poświęconym Bogu i chrześcijańskiemu wychowaniu dziatwy. Trudności, piętrzące się na drodze Maryi Ward, z tej nawet strony, skąd największego mogła się spodziewać poparcia, zaiste mogą dodać otuchy, widokiem ostatecznego powodzenia i skuteczności jej zamiarów i dzieła.

Czwarta z kolei bohaterka książki pani de Courson, powszechniej jest znaną, dzięki biografii, którą jej poświęciła Lady Fullerton. Doña Luiza de Carvajal y Mendoza nie była Angielką. Z urodzenia Hiszpanka, miłością Boga i bliźniego, oraz żądzą męczeństwa zawiedziona na obce wybrzeża Anglii. Wcześnie zaprawiona w heroizmie cnót i życia chrześcijańskiego przez pobożnego wuja, namiestnika Nawarry, niebawem w Madrycie skupiła dokoła siebie wybrane grono niewiast, aby wspólny a najostrzejszy wieść żywot, pracując usilnie około dusz zbawienia. Atoli apostolstwo wśród przychylnych warunków i pokoju nie wystarczało tej gorącej duszy. W r. 1605 pospieszyła do Anglii, gdzie prześladowanie wrzało w najlepsze. Osiadła tedy w Londynie, aby przez lat dziewięć służyć całą duszą i wszystkiemi siłami uciśnionym, tworząc istne ognisko wiary, kędy wszyscy oświecać się i ogrzewać spieszyli. Światłem była dla żyjących, opatrznością dla umierających, w da-

nym razie nawet grabarzem zwłok męczeńskich. Jako cudzoziemce, wolno było Doñie Luizie przechowywać księgi teologiczne i liturgiczne, do których powracali chętnie kapłani pozbawieni wszelkich środków zbrojenia się w światło i argumenta kontrowersyjne. Jednocześnie listy dzielnej Hiszpanki dawały poznać katolickiemu światu cierpienia i uciski współwyznawców angielskich; ściągała też z ojczyzny jałmużny dla prześladowanych, nieraz osobistem apostolstwem nawracała błądzących, ukrzepiała idących na śmierć męczeńską, wątpiących i chwiejnych oświecała i na prawą naprowadzała drogę. Ze względu na Hiszpanię, rząd angielski nie odważał się zaczepiać obcej poddanki. Wprawdzie niekiedy odbywały się u niej rewizye, przyczem nie oszczędzano jej osoby, ale wstawienie posła hiszpańskiego wystarczało, by jej wrócić swobodę. Ten też ambasador zaraz na wstępie ostrzegał Luizę de Carvajal, że wszystko znajdzie w Anglii, wszystko — okrom męczeńskiej korony. Usiłowano pozbyć się jej jakimbądź kosztem. Ta cicha kobieta tak potężnym z czasem stała się była agentem katolicyzmu, że toczyły się o nią rokowania dyplomatyczne pomiędzy dwoma mocarstwami. Serce moje — odpowiadała wtedy — zostało hiszpańskiem, lecz wola boża chce mnie mieć w Londynie. W chwili gdy Filip III., zniewolony żądaniami angielskiego rządu, zaprosił Luizę de Carvajal, aby przeniosła się do Flandryi i zamieszkała raczej przy dawnej z dzieciństwa przyjaciółce, arcyksiężnie Izabelli, padła na wyłomie swego poświęcenia, w czterdziestym szóstym roku życia wypełnionego miłosierdziem i posługą chrześcijańską.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad książką pani de Courson, nietylko z powodu przyrównań, nasuwających się ilekroć wejrzeć nam przyjdzie w dzieje prześladowania religijnego w Anglii, lecz i z innego jeszcze względu. Coraz trudniej zaspokoić się daje głód wrażeń w czytającej młodzieży; zwłaszcza wśród dziewcząt; literatura bieżąca i nowoczesna, coraz mniej dostarcza zdrowego pokarmu. Tem skwapliwiej należy witać, wskazywać, polecać i rozszerzać książki, niosące z sobą szlachetne pobudki i zachęty, wiążące uwagę podniosłością treści, i budzące w duszach wyższe pierwiastki i poloty.

*M.*

**Der glaciale und tertiäre Mensch.** Von *Dr. Bayberger* in Kaiserslautern. Himmel und Erde. Dezember 1894.

Na samym początku zauważyć należy, że nie ma to być nowelka, jeno studyum popularne z dziedziny nauk przyrodniczych.

Autor przenosi nas w zamierzchłe czasy rodzaju ludzkiego, kiedyto ni historyków, ni historyi jeszcze na świecie nie było. Zdawaćby się niejednemu mogło, że o człowieku pierwotnym nic dzisiaj pewnego powiedzieć nie można. Tymczasem pan Bayberger opowiada nam o praojcach naszych mnóstwo przeróżnych szczegółów, owszem zaznacza nawet, że niejedna scena z życia ludzi pierwotnych jest nam dokładniej znana, aniżeli sposób życia ludów klasycznej sławy (105).

Treść tego studyum możemy dla jasności podzielić sobie na dwie części: jedna obejmie wszystkie szczegóły nieciekawe, druga ograniczy się do samych zajmujących rzeczy.

Do pierwszej części należą następujące fakty. Człowiek *(homo sapiens)* chadzał po tej ziemi już w epoce lodowej, znajdujemy bowiem najstarsze ślady człowieka paleolitycznego już w kilku punktach okresu międzylodowcowego. Człowiek lodowcowy nie wykazuje wcale najmniejszego zbliżenia do jakiejkolwiek małpy (118), jego mózgowiem mogliby się poszczycić i Paryżanie dzisiejsi (124), co więcej, on występuje zawsze i wszędzie, gdziekolwiek się z nim spotykamy, jako prawdziwy pan i król stworzenia (124). Szczegóły te, które nauka nowożytna chcąc niechcąc coraz bardziej podkreślać musi, znane były od dawna, autorowi jednak należy się prawdziwe uznanie, że ich w szkicu swoim nie pominął ani nie przekręcił.

Doktor Bayberger atoli nie chce być nudnym ani nużącym. Dlatego ubrał i ozdobił ten szkielet nagiej prawdy rozmaitemi pstremi dodatkami — i tym przyznać należy, że są arcyciekawe.

I tak pospolicie przyjmuje się, że człowiek istnieje na skorupie ziemskiej co najwięcej kilkanaście tysięcy lat; wspomniane wyżej przypuszczenie, że już istniał w epoce lodowcowej, bynajmniej nie daje powodu do przypisania mu większej dawności. Jest rzeczą prawie pewną, jak dobrze uważa znany francuski geolog Lapparent, że ostateczne cofnięcie się płacheci lodowcowych w północnej Ameryce datuje się ledwie od kilku tysięcy lat. Kiedy bowiem Lyell wymagał na wytworzenie się Niagary, tj. od cofnięcia się lodowców, co najmniej 35000 lat, a niektórym geologom nawet miliony lat nie wystarczały, nowsze prace geologów amerykańskich: Winchell'a, Andrews'a i Gilbert'a, wykazują jednozgodnie, że skromny przeciąg 7—10000 lat mógł owej pracy najzupełniej podołać. Cóż stąd za wniosek? Jeżeli człowiek miał być naocznym świadkiem przewrotów okresu lodowego, to musi już istnieć na ziemi od kilku, dajmy na to kilkunastu tysięcy lat. Niestety, zdaje się, że zapatrywanie nasze jest całkowicie błędne, pan Bayberger

nie raczył nawet wspomnieć o niem. Jego zdaniem wiek ludzkości jest nieco dłuższym, stosunek jego do epoki historycznej równa się w przybliżeniu stosunkowi odległości gwiazd do wielkości naszej ziemi. Nie kilkanaście zatem, ale setki i tysiące tysięcy lat króluje człowiek na ziemskiem poniżu! Czyż to nie ciekawe? Szkoda tylko, że autor, być może z wielkiej skromności, żadnych dowodów, ni specyalnych badań na poparcie swego twierdzenia nie przytoczył.

Są jeszcze i ciekawsze rzeczy w tym szkicu. Od człowieka lodowcowego czyli wogóle czwartorzędowego, przechodzi autor do człowieka trzeciorzędowego, i stawia pytanie, czy ludzie istnieli w epoce kajnozoicznej, tj. w pliocenie, miocenie i t. d. Rozebrawszy dosyć trzeźwo najznakomitsze rzekome ślady ludzkie z tych formacyj, dochodzi do następującego rezultatu: „Also der vielgesuchte, so oft gefunden geglaubte tertiäre Mensch ist weder in seinen Werken, noch in seinen Werkzeugen und noch weniger in seinen Knochenresten entdeckt worden“ (124). Proszę teraz zgadnąć, jakie jest następujące zdanie. Jest to punkt kulminacyjny całej powiastki: *Und doch muss er existiert haben!* Prawda, że to nawet przewyższa wszelką ciekawość? To jest logiczna zagadka nielada, którą jedynie psychicznie możnaby w pewien sposób rozwiązać. Ciekawym tylko, czemu np. człowiek nie istnieje na słońcu, kiedy tam również nikt jeszcze żadnych śladów ludzkich ni odkrył ni obserwował.

Atoli nie odbierajmy nikomu wiary w zamroczoną przeszłość, kto innej mieć nie może — w ciemną noc łatwo każdy zobaczy to, co mu fantazya stawi przed oczyma. Zresztą cóż autor winien, że ciekawe dodatki jego mijają się z prawdą. Przecież gdyby Horacy dzisiaj żył, byłby może nietylko poetom i malarzom, ale także pewnego rodzaju przyrodnikom popularnie piszącym pozwolił nie zważać na prawdę!

*J. N.*

# SPRAWOZDANIE Z RUCHU

## religijnego, naukowego i społecznego.

### Sprawy Kościoła.

Węgierska walka kościelna. — Rozprawy w sejmie pruskim. — Nowy wniosek Centrum. — Program Rudiniego.

WĘGIERSKA WALKA KOŚCIELNA.

Przez parę lat powtarzano w Węgrzech na wszystkie tony w parlamencie, w gazetach, na ulicy: „Niech tylko Izba niższa uchwali prawa kościelne, zmieniające kraj w państwo bezwyznaniowe, niech je Izba wyższa potwierdzi, niech im cesarz udzieli sankcyi, a wiek złoty wróci na ziemię, a całe królestwo madziarskie zabrzmi jednym rozgłośnym hymnem radości. Prawa uchwalone, sankcyonowane; wiek złoty zjawić się jakoś nie chce, siłą, kolbą, bagnetem tłumaczyć trzeba ludowi, jakie dobrodziejstwa nań spłynęły. Każdy wybór do parlamentu zmienia się w groźne, krwawe zapasy, między świeżo zorganizowaną, ale już potężną chrześcijańską „partyą ludową“, a masońsko-żydowskiem stronnictwem rządowem. Po wsiach i miastach, miasteczkach występują policyanci, żandarmi, gdy potrzeba to i wojsko, do walki z partyą ludową; w parlamencie obrzucili ją zniewagami, osławiony hr. Albin Csaky i wierny ministeryalny satelita, Emeryk Vargics. Pierwszy krótko z katolickim programem się załatwił, utrzymując, że zrodziła go najkompletniejsza ignorancya, bo ten tylko wojować może z wpro-

wadzanemi dziś w życie kościelnemi reformami, kto ich zgoła nie rozumie. Drugi nie wysilał się nawet na tego rodzaju argumenta; zadecydował po prostu, naturalnie o jakimbądź dowodzie nie wspominając, że partya „ludowa“ dąży do przewrotu i kokietuje z socyalistami. Dalej posunął się kalwiński poseł, Emeryk Uray; w charakterystycznej, wręcz do gwałtów przeciw katolikom zachęcającej przemowie, wyrzucił on wszystko, co mu na sercu ciążyło, i niedyplomatycznie obwieścił Węgrom i światu, co dotąd szeptano sobie wyłącznie w poufnych kółkach.

„Złożyć tu muszę oświadczenie, — mówił Uray wśród ożywionych oklasków jednej części skrajnej lewicy i całej prawicy rządowej — że zdaniem mojem dałoby się od samego początku wprowadzić w życie kościelno-polityczne reformy w daleko łatwiejszy sposób, niż za pośrednictwem Csakowskiego reskryptu. Należało po prostu — boć mamy przecież państwo i państwową potęgę — ustanowić odnośne prawo, a ktoby się temu prawu nie poddał, począwszy od ostatniego lewity, aż do ostrzyhomskiego księcia-prymasa, wypisałbym mu je na plecach. Gdybym miał był w ręku władzę, dałbym ją uczuć wszystkim bez wyjątku od żebraka do księcia. Niechby księża spróbowali nie słuchać; poszliby do więzienia i lewici i prymas, z tą tylko różnicą, że kazałbym w fortecy w Munkaczu urządzić trojakiego rodzaju więzienia; w najwyższem pokutowaliby niżsi lewici, w najgłębszem sam prymas“.

Wszak ładna perspektywa na przyszłość, w której tacy Uraye dorwaliby się do rządów; pięknie wygląda — nie opozycyjne, ale rządowe stronnictwo, które tego rodzaju wywodom nie szczędzi rzęsistych oklasków! I to charakterystyczne, że na ministeryalnych fotelach, na rządowych ławach, nikt się nie znalazł, ktoby przywołał do porządku bezczelnego mówcę. Zadania tego podjąć się dopiero musiał radykał Ugron:

„Polityka kościelna dołączyła wyznaniową walkę do dawnych narodowościowych waśni... Wczoraj podniósł się tu mąż, tak skądinąd wykształcony, jak Emeryk Uray, i ujrzeliśmy, jak wschodzi i rośnie od dawna w ziemi pogrzebane, zatrute ziarno; posłyszeliśmy formalne pociągnięcie do odpowiedzialności kato-

*lików* za biedy, za cierpienia z przed dwustu lat. I oto Uray podaje nam nieomylne lekarstwo na wszystkie choroby: zaleca wpakować lewitę do najwyższej więziennej celi, prymasa wrzucić do najgłębszej nory. Niech Bóg zachowa nasz kraj od takich ostateczności! Bo państwo, które więzi, czy lewitę, czy arcybiskupa dla *religijnych* przekonań, zrzekło się wolności i cienia wolności. Poseł Emeryk Uray może być święcie przekonanym, że choćby ów lewita na najwyższem piętrze, zniknął, zgnił, nie pozostawiając po sobie śladu, jak jedynie w sercach ludzi idealnie miłujących wolność; to jednak i wtedy wrzucony do najgłębszego więzienia ostrzyhomski arcybiskup nie przestałby być niebezpiecznym, owszem, właśnie wtedy byłby najniebezpieczniejszym. Bo nie wtedy biskup jest potężnym, a może być niebezpiecznym, kiedy wychodzi ze swego pałacu w otoczeniu różnokolorowej służby, ale wtedy, gdy dla swej wiary wchodzi do więzienia. Tak! wtedy jest strasznym; wtedy rozporządza olbrzymią potęgą!"

Zarzutom, oszczerstwom, hojnie miotanym na partyę ludową, stawił śmiało czoło w pismach publicznych hr. Ferdynand Zichy, w parlamencie — hr. Karol Pongracz.

„Kto zna historyę, — tłumaczył ten ostatni w odpowiedzi na mowę ultraliberalnego posła Sretera — ten nie może się dziwić, że czternaście milionów chrześcijan, dotkniętych głęboko w religijnych swych uczuciach, łączy się, aby przy najbliższych wyborach wysłać do Pesztu takich mężów, którzy domagaliby się na legalnej drodze rewizyi ustaw kościelno-politycznych. Nie dolewajcie oliwy do ognia; starajcie się raczej o uspokojenie umysłów; usuńcie pozostałe jeszcze bezwyznaniowe przedłożenia; podajmy sobie dłonie do zgody! Sreter wzywa i woła: ‚Nie ustępujcie! Niech ojczyzna ginie, niech brat brata morduje, byle nasza zasada stała górą!... Dzisiejsze ministeryum odziedziczyło w inwentarzu, pozostawionym przez swych poprzedników, korrupcyę, nepotyzm, zwyrodnienie giełdy, bałwochwalczą cześć dla złotego cielca, najniższy serwilizm, a wreszcie ciężką, nieubłaganą walkę między chrześcijaństwem, a między wolnomularstwem, zagrażającem równie tronowi, jak Kościołowi... Mu-

sicie pozbyć się tego inwentarza, jeśli nie chcecie doprowadzić ojczyzny do ruiny!“

ROZPRAWY W SEJMIE PRUSKIM.

W sejmie pruskim toczyły się znowu — po raz nie wiedzieć który — długie i ożywione rozprawy o katolickich zakonach; prawdziwie byłby czas, aby rządowi sprzykrzyły się wreszcie te debaty, i aby choć dla miłego spokoju nie stawiał nadal najróżnorodniejszych zapór, tak pożytecznej dla samegoż państwa, dla porządku społecznego zakonnej działalności. „Dlaczego — pytał członek Centrum, poseł Dasbach — nie chcecie pozwolić zakonnicom osiedlić się w Poznańskiem? Czy dlatego, aby nie prowadziły polskiej agitacyi i dzieci nie polonizowały? Tak zabawny to zarzut, że odpowiadać na niego nie warto; pruskie państwo za silne, aby wstrząsnąć niem miało w fundamentach, choćby, dajmy na to, kilkaset dzieci więcej, niż dzisiaj, rozumiało i mówiło po polsku“. Inny, gorący katolik, poseł Hauptmann, skarżył się w gorzkich wyrazach na upośledzenie, z jakiem katolicy we wszystkich rządowych posadach się spotykają. Stara to piosnka, ale niemniej aktualna; nie nową też była odpowiedź ministra Bossego, obracająca się w zaczarowanem kole wrzekomo mniejszego uzdolnienia i wykształcenia katolików. Za rok, na nowe fakty przytoczone przez katolickich posłów, spotkamy się niezawodnie z temi samemi, obracającemi się w wygodnych ogólnikach insynuacyami; spotkamy się znów bez najmniejszego wątpienia z zarzutem wygłoszonym przez p. Friedemanna i towarzyszów: „Władza duchowna w W. Księstwie Poznańskiem niedosyć się stara o zaradzenie duchownym potrzebom katolików niemieckiego pochodzenia“. Zarzuty te zbiją dosadnie mówcy z Centrum i z „Koła Polskiego“; pokaże się, jak pokazało się przy obecnej dyskusyi, że katolicy niemieccy, mieszkający w Poznańskiem, nigdy przed nikim nie żalili się na postępowanie polskiego arcybiskupa i polskiego duchowieństwa; pokaże się, że fakty i cyfry, przytaczane przez niemiecko-protestanckich szowinistów, wręcz z prawdą się kłócą; — wszystko to i wiele innych rzeczy na jaw wypłynie, ale czy przeszkodzi nowym oszczerstwom, nowym, a właściwie tym sa-

mym zarzutom na najbliższej sesyi sejmowej? Kto nie chce w żaden sposób dać się przekonać, tego nikt i nic na świecie przekonać nie zdoła.

NOWY WNIOSEK CENTRUM. Centrum złożyło do laski marszałkowskiej ważny wniosek, domagający się przywrócenia zmienionych przed 20 laty, w czasie najgorętszej walki kulturnej, artykułów 15, 16 i 18 konstytucyi pruskiej. Artykuły te gwarantowały wolność swobodnego wyznawania i rozwoju religii katolickiej, a zniesienie ich było ciężkim policzkiem wymierzonym równości wobec prawa wszystkich pruskich obywateli. W dawnem brzmieniu, którego przywrócenia Centrum a z niem jednomyślnie wszyscy katolicy się domagają, brzmiały one:

Art. 15. Kościół ewangelicki i rzymsko-katolicki, jakoteż wszelkie inne stowarzyszenia religijne, kierują i administrują samodzielnie swemi sprawami, i pozostają w posiadaniu i używaniu zakładów, legatów i funduszów, przeznaczonych na cele wyznaniowe, szkolne i dobroczynne.

Art. 16. Porozumiewanie się stowarzyszeń religijnych ze swymi zwierzchnikami nie ulega żadnym prawnym ograniczeniom. Ogłaszanie rozporządzeń kościelnych podpada pod wspólne prawo, regulujące wszelkiego rodzaju ogłoszenia.

Art. 18. Przysługujące państwu prawo nominowania, wyboru i potwierdzania przy obsadzaniu stanowisk kościelnych, znosi się, o ile nie wypływa z patronatu, lub osobnych tytułów prawnych.

Łatwo zrozumieć, jaką wagę teoretyczną i praktyczną miałoby przywrócenie tych artykułów. Byłoby to ostateczne uprzątnięcie fundamentów, na których stanął smętnej pamięci gmach ustaw majowych. Z gmachu zostały gruzy; czas, aby wywieść i gruzy, aby i po fundamentach śladu nie zostało.

PROGRAM RUDINIEGO. Wychodząca w Medyolanie katolicka *Lega Lombarda* ogłosiła ciekawy „interwiew“ swego redaktora z margrabią Rudinim, byłym prezesem ministrów, a który bardzo łatwo i to w niedługim czasie zastąpić może znowu w prezesowskim fotelu serdecznie przez siebie nielubianego Crispiego. Re-

daktor rozpoczął rozmowę od krążących wieści, o usiłowaniach Crispiego, aby Papież, ze względu na niewesołe moralne i materyalne położenie Włoch, zniósł lub przynajmniej zawiesił przy majowych wyborach do Izby, obowiązującą dotąd katolików zasadę: ani wybierać, ani dać się wybrać. „Nie bardzo w to wierzę, odparł Rudini. Stolica Apostolska nie ustąpi zapewne naleganiom jednego ministra i dla jego przyjemności nie odwoła zakazu wydanego katolikom co do głosowania przy wyborach, i to w chwili, kiedy z powodu wzmagania się żywiołów przewrotu, rząd włoski zaczyna się niepokoić nieobecnością katolików przy urnach. Aby zrzec się owoców walki, która tyle lat trwała, i aby zmienić postawę, Kościół musiałby mieć wielkie wynagrodzenie.

„Tylko trzy rodzaje stosunków — mówił dalej margrabia — być mogą między Kościołem a państwem: albo prześladowanie Kościoła przez państwo, albo konkordat, albo zupełna wolność.

„O prześladowaniu niema co mówić tutaj, nikt go sobie nie życzy u nas i do tego w XIX. wieku. Byłoby to absurdem i niesprawiedliwością, gdyż obraziłoby uczucia najdroższe i najwznioślejsze wszystkich (?) Włochów. Należy również stwierdzić, że tendencya uspokojenia przekonań religijnych bardzo się wzmogła w ostatnich czasach we Włoszech, tak, że wszelka polityka, obrażająca Stolicę Apostolską, stała się niemożliwą. Trzebaby jednak, aby to uspokojenie przyniosło trwałe i obopólnie korzystne owoce i dla religii i dla państwa, i dlatego winno być przeprowadzone w sposób organiczny i na podstawach, któreby miały racyę bytu w warunkach politycznych włoskiego społeczeństwa.

„Konkordat — oto stosunek, jaki z punktu widzenia politycznego byłby mi najwięcej sympatyczny. Waga polityczna formalnej zgody ze Stolicą świętą byłaby tak wielką, że nie wahałbym się zaproponować Stolicy świętej, aby wybrała ten rodzaj konkordatu, jakiby jej najwięcej dogadzał: czy na wzór zawartego z Francyą, czy też z Austryą, albo jakikolwiek inny. Więc już powiem w tym przypadku: konkordat państwa najmniej faworyzowanego.

„Ale konkordat musi być uznany przez obu kontrahentów.

Otóż tu jest trudność. Kościoł nie wdałby się dzisiaj w pertraktacye co do umowy z rządem włoskim w Rzymie.

„Pozostaje tedy trzeci sposób — wolność i swoboda Kościoła. To jest, utrzymując w mocy dyspozycye zasadnicze, zawarte w „Prawie o gwarancyach", trzebaby zastosować do wzajemnych stosunków państwa i Kościoła tę doktrynę liberalną, którąbym chciał widzieć stosowaną i rozciągniętą do wszelkich sposobów tłumaczenia i rozumienia funkcyj państwowych: tę doktrynę liberalną, która, wyłączając mieszanie się państwa do drażliwych spraw sumienia i myśli, wydaje mi się najstosowniejszą aby sprawiedliwie zorganizować i rozwiązać w naszem społeczeństwie kwestye, odnoszące się do życia rozmaitych stowarzyszeń, do ich prawnej osobistości, prawa posiadania, zdolności nauczania, propagandy i apostolstwa. W Ameryce Kościół tak jest uważany i dobrze mu z tem.

„Stronnictwo umiarkowane, przynaglone ważnemi względami, zeszło z tej drogi — z fundamentalnej doktryny, i zgrzeszyło może przeciw Kościołowi. Naprzykład prawo o zniesieniu korporacyj duchownych, tak, jak je przeprowadzono, było może i błędem.

„Trzeba koniecznie liczyć się z siłą uczucia religijnego, będącego wysokim czynnikiem cywilizacyjnym, postępowym, i nie należy zwalczać i uchybiać instytucyi, która jest podstawą tegoż uczucia. I tutaj, przyznać trzeba, smutne jest, że często zdarzają się opóźnienia w przyzwoleniu otrzymania probostw przez proboszczów i stąd przez lata i miesiące lud jest bez pasterzy swoich, a to z powodu biurokratycznych trudności, często niebezinteresownych, a rzadko dla jakichkolwiek ważniejszych względów.

„Nie da się zaprzeczyć, że uczucie religijne podniosło się znowu w ostatnich czasach i że ono to właśnie jest skuteczną tarczą przeciw wtargnięciu idei przewrotu. Pokój z Kościołem może bardzo pomódz w tym celu, jak tego dowodem Francya, gdzie postawa Papieża, bądź co bądź, natchnioną była najwznioślejszemi dążnościami i przyniosła też obfite owoce: pomoc rzeczywistą ze strony katolików, utwierdzenie Rzeczypospolitej i wzmocnienie żywiołu konserwatywnego republikańskiego.

„Podczas mojej prezydentury ministrów nie zrobiłem nic, coby mogło zaognić spór ze Stolicą świętą; to też stosunki moje z Watykanem były oparte na uczuciach życzliwości: z powodu np. *exequatur*, zawarłem *modus vivendi*, spisany w protokóle, niepodpisanym zresztą, który godził prawa historyczne państwa z interesem religijnym. Ale co do pokoju z Kościołem, musiałbym powtórzyć to, co wyżej powiedziałem: wobec istniejących stosunków, pomimo postawy pojednawczej Watykanu, położenie, zdaniem mojem, nie dojrzało do podobnego przedsięwzięcia i nie próbowałem go dokonać, gdyż byłem przekonany, że tego rodzaju próby, bez przygotowania umysłów, nie udadzą się, zostawią owszem jeszcze większe rozgoryczenie, niż przedtem było.

„Gdyby Crispi doszedł do zawarcia pokoju, zasłużyłby sobie na wdzięczność kraju, i możnaby mu tego pozazdrościć. Katolicy przyklasnęliby, pamiętając, że w podobnej kwestyi nie chodzi już o jednego człowieka i że zapełnienie przepaści i uczciwy program polityczny zmażą rychło to, co było niezupełnie czystem w jego życiu politycznem.

„Mam wielkie wyobrażenie o umyśle Leona XIII. Kiedy przemawia, jak sam powiada, z oczami zwróconemi ku niebu, jego słowa nabierają znaczenia i wagi, pewno daleko większej od innych mów. W każdym razie, gdybym wrócił do władzy, chciałbym zastosować do Kościoła politykę liberalną, o jakiej wzmiankowałem, i która mu pozwoli rozwinąć całą swoją siłę na korzyść ludu. Ta bezinteresowna postawa uspokoiłaby także i katolików, odejmując wszelką rzeczywistą racyę ich abstencyi od życia publicznego. Byłaby to, wogóle, droga nakreślona przez Cavoura i dałaby rzeczywiste korzyści, które ten wielki człowiek przepowiadał".

Zbyt wielkiej wagi przypisywać do tych wynurzań oczywiście nie można, choćby ekspreżes powołanym nawet został za jaki tydzień lub miesiąc do władzy; w każdym razie są one bardzo charakterystyczne. Czerwone widmo socyalistycznej anarchii coraz gwałtowniej pod oczy się podsuwa i zniewala do zastanowienia się: co robić? Bez Kościoła, bez pomocy Papieża rady sobie nie damy, wyznaje otwarcie włoski mąż stanu; bez kato-

lików nie zorganizujemy poważnej partyi, któraby przewrotowi mogła na seryo stawić opór. Zrozumienie prostej tej zresztą prawdy, dobrze świadczy o politycznym zmyśle Rudiniego; szkoda tylko, że idąc dalej w swych wywodach, nie przedstawił, jak praktycznie wystawia sobie warunki przyszłego konkordatu Włoch z Papieżem, w jaki sposób i w jakich granicach Włochy mogłyby i chciały nagrodzić Kościołowi wyrządzone krzywdy, wrócić Papieżowi przynależne jego władzy i moralnemu wpływowi stanowisko. W tem leży właśnie największa trudność; tu staje znowu, niestety, i najlepszym chęciom na drodze przekleństwo, ciążące na złym czynie — na bezprawnym zaborze Rzymu przed ćwierćwiekiem!

*Ks. Jan Badeni.*

## Argon, nowo odkryty składnik powietrza [1].

Ziemię naszą otula ze wszech stron przejrzysta ale gruba opona — powietrze. Wszystkie żywiny istniejące na skorupie ziemskiej pogrążone są w tej powłoce, dźwigają na sobie znaczny jej ciężar, wszystkie do życia koniecznie powietrza potrzebują, bo bez niego oddychać nie mogą. Z czego się składa to najniezbędniejsze i najpospolitsze środowisko ustrojów żyjących?

Całe tysiące lat uważano powietrze za pierwiastek niezłożony i umieszczano je między znanemi czterema elementami. Naprawdę dopiero pod koniec zeszłego stulecia stare zapatrywanie poszło do kośnicy pomysłów ludzkich. Po odkryciu tlenu przez Priestleya i Scheelego, azotu przez Rutherforda, po epokowych pracach Lavoisiera i Cavendisha, po wielorakich analizach i doświadczeniach w ciągu naszego stulecia dokonanych, przekonano się dosadnie, że gazowa osłona naszej planety

[1] Cfr. A. Étard, *La Chimie au Congrès d'Oxford. Revue générale des Sciences,* 30 Décembre 1894. — Berthelot, *Sur l'argon, nouveau constituant de l'atmosphère, decouvert par MM. Rayleigh et Ramsay.* Comptes rendus, 1895. 4 Février. — Lord J. W. Rayleigh et William Ramsay, *La Préparation et les Propriétés de l'Argon, nouveau constituant de l'Atmosphère. Revue générale des Sciences,* 15 Février 1895. — William Crookes, *Les Spectres de l'Argon.* Ibid. — K. Olszewski, *La Liquéfaction et Solidification de l'Argon.* Ibid. — *Discussion sur l'Argon à la Société Royale de Londres.* Ibid. — L. Olivier, *L'Argon et le système des éléments.* Ibid. 28 Février, 1895.

wcale nie jest pierwiastkiem, że nie jest nawet ciałem chemicznie złożonem, ale prostą mieszaniną różnych gazów.

Istotnemi składnikami tej opończy ziemskiej są tlen i azot. Pomiary, wykonane w różnych szerokościach geograficznych, w różnych czasach i wysokościach, przez najrozmaitszych eksperymentatorów, wykazały, że stosunek dwu tych pierwiastków w powietrzu jest stały, mianowicie że w stu objętościach powietrza znajduje się mniej więcej 21 objętości tlenu, 79 azotu. Tlen jest bezsprzecznie składnikiem najważniejszym, jest to gaz życia *par excellence, conditio sine qua non* rozwoju energii ustrojowej, utleniania. Pod tym względem azot zachowuje się obojętnie, biernie, hamując tylko zbyt energiczne działanie swego sąsiada, tlenu. Prócz tych są w powietrzu inne jeszcze składniki, jakby przypadkowe, które atoli w ekonomii planety naszej odgrywają pierwszorzędną rolę, więc przedewszystkiem bezwodnik kwasu węglowego i para wodna. Nieodzowny dla roślin a pośrednio dla zwierząt i człowieka bezwodnik węglowy występuje w powietrzu w stosunkowo bardzo małych ilościach, bo mniej więcej w 3—4 objętościach na 10000 objętości powietrza. Procent pary wodnej w powietrzu jeszcze bardziej jest zmienny. Jeśli do tych składników dodamy jeszcze bardzo małą ilość amoniaku, trochę ozonu i nieco wody utlenionej, to będziemy mieli wszystkie ciała gazowe występujące w powietrzu. Wiemy jednak wszyscy z własnego doświadczenia, że powietrze zawiera też ciała stałe w postaci pyłu i kurzu nadzwyczaj miałkiego. Niema zdaje się w przyrodzie powietrza prawdziwie czystego. Stąd atmosfera nasza, posiadając w pyle swoim mnóstwo najrozmaitszych miazmatów i mikroorganizmów, jest jednocześnie główną dźwignią życia i śmierci rozsadnikiem.

Do takiego poglądu na złożenie powietrza doszła nauka w XIX. stuleciu. Po klasycznych i sumiennych badaniach Lavoisiera, Cavendisha, Gay-Lussaca, Dumasa, Regnaulta, Bunsena i tylu innych znakomitych chemików można było sądzić, że nasze poznanie składu atmosfery zostało ustalone na zawsze—tymczasem i na tym punkcie wiedza ludzka okazała się niekompletną.

Na zeszłorocznym mitingu sławnej *British Association*, który tą razą odbył się w starych gotyckich murach oksfordzkich, lord Rayleigh i profesor Ramsay ogłosili naukowemu światu wielkiej doniosłości fakt: odkrycie w ziemskiej atmosferze nowego gazu, najprawdopodobniej nawet nowego pierwiastku. Wiadomość ta rozeszła się z prędkością pismom codziennym właściwą po całym niemal świecie i wywarła niemałą sensacyę nietylko w kołach uczonych, lecz u wszystkich wogóle czyta-

jących ludzi. Ponieważ atoli obaj odkrywcy podali początkowo bardzo skąpe szczegóły o swoim nowym gazie, wielu chemików zachowało się wobec niego z pewną rezerwą i sceptycyzmem. Dlatego też, kiedy niedawno temu obaj uczeni angielscy postanowili rezultaty swoich poszukiwań zakomunikować królewskiemu Towarzystwu w Londynie, wszyscy przyjęli wieść tę z nietajoną radością.

*Royal Society* naznaczyło na wysłuchanie memoryału odkrywców jakoteż na odczytanie referatów dwu ich przyjaciół, W. Crookesa i K. Olszewskiego, osobne posiedzenie, które odbyło się pod przewodnictwem prezesa Towarzystwa, lorda Kelwina, i przy licznym współudziale całego uczonego świata angielskiego, w dniu 31 stycznia r. b. Posiedzenie zakończyło się zajmującą dyskusyą i przemową prezesa, przerywaną hucznemi oklaskami. Wszystkie prace odczytane na styczniowem posiedzeniu wraz z dyskusyą wydrukowała w tłumaczeniu francuskiem, jeszcze przed *Proceedings*'ami Towarzystwa, *Revue générale des Sciences* w zeszycie z 15 lutego.

Po tem wszystkiem da się już dzisiaj o *argonie* — tak nazwano świeżo odkryty składnik atmosfery — wiele, chociaż nie wszystko, powiedzieć; a niektóre o nim szczegóły zainteresują zapewnie czytelników *Przeglądu*.

W jaki sposób lord Rayleigh i profesor Ramsay wpadli na trop nowego składnika? Przedewszystkiem od dłuższego czasu zauważyli, że azot wydobyty z połączeń chemicznych był zawsze o $^1/_2\,^0/_0$ lżejszy od azotu pochodzącego z powietrza, że gęstość ich wykazywała stałą różnicę. Kiedy ciężar azotu otrzymanego z rozmaitych tlenków i azotanów wynosił w różnych doświadczeniach 2,2984, to ciężar azotu otrzymanego rozmaitemi drogami z atmosfery był zawsze większy, mianowicie równał się 2,3102. Innemi słowy, litr azotu chemicznego waży 1,2505 g, podczas gdy litr azotu atmosferycznego waży 1,2572 g.

Wątpić o tej różnicy po bardzo wielu próbach i doświadczeniach nie było można. Trzeba się było obejrzyć za właściwem jej źródłem. Autorowie przekonali się najpierw, że różnica ta nie może pochodzić ze zwykłych zanieczyszczeń; wprowadzając bowiem umyślnie niektóre z nich do doświadczeń i postępując następnie tak samo jak w poprzednich badaniach, otrzymywali zawsze te same rezultaty.

Lekkość azotu chemicznego mogła jeszcze pochodzić z częściowej dyssocyacyi drobin azotu ($N_2$) na atomy. Aby to przypuszczenie skontrolować, obie odmiany gazu wystawiono na działanie prądu elektrycznego, żaden jednak nie zmienił swojej gęstości.

Pozostała więc tylko jedna hipoteza: że któryś z tych dwu gazów nie jest czystym azotem, ale mieszaniną zawierającą ciało lżejsze lub cięższe od normalnego azotu. W gazie pochodzenia chemicznego trudno było upatrywać mieszaninę, więc najprostsze tłumaczenie było przypuścić w powietrzu istnienie jakiegoś nowego ciała.

Aby się przekonać, czy jakiś gaz jest czysty czy też przedstawia mieszaninę składników o różnych gęstościach, używa się pospolicie w tym celu dyfuzyi gazów. Odkrywcy zastosowali tę metodę do zwykłego powietrza. Powietrze wnikało do wody umieszczonej w odpowiednim aparacie, z którym połączony był aspirator zbierający część powietrza wsiąkniętego przez wodę. Z otrzymanem w taki sposób powietrzem postępowano tak samo, jak z powietrzem zwyczajnem w poprzednich doświadczeniach. Zabrano mu tlen, parę wodną, bezwodnik kwasu węglowego. Jeśli azot powietrza nie jest mieszaniną, to gaz otrzymany teraz z powietrza, które przeszło przez wodę, winien wykazać tę samą gęstość, co azot atmosferyczny. Tymczasem wszystkie doświadczenia wykazały, że gaz zebrany był o wiele cięższy nietylko od azotu chemicznego, lecz i od atmosferycznego. A więc z tych samych obserwacyj można było wnosić, że azot powietrzny jest mieszaniną a nie ciałem niezłożonem.

Do całkowitej pewności o istnieniu argonu potrzeba było jeszcze jednej rzeczy — odosobnić nowy składnik atmosfery. Nieznużona cierpliwość uczonych angielskich i w tym względzie została uwieńczoną pomyślnym skutkiem.

Mając mieszaninę azotu z innym pierwiastkiem, czyli w naszym przypadku azot atmosferyczny, możemy drugi składnik odosobnić przez zabranie czystego azotu. Otóż pierwiastki, łączące się bezpośrednio z azotem, są: bor, krzem, tytan, lit, stront, bar, magn, glin, rtęć, a pod działaniem iskry elektrycznej — wodór w obecności kwasów i tlen w obecności alkaliów. Rayleigh i Ramsay użyli najpierw ostatniej metody, tj. tlenu, do zabrania azotu. We wszystkich doświadczeniach przekonali się, że po wyrugowaniu azotu, a następnie i resztek tlenu, pozostawała zawsze pewna ilość gazu, która pod działaniem wyładowań elektrycznych i w najlepszych warunkach nie wchodziła już w połączenie z tlenem. Ilość tego gazu zostawała zawsze w stałym stosunku do ilości wziętego powietrza, nadto spektroskop wykazywał, że to nie jest azot. Był to więc nowy składnik atmosfery — argon.

Badaczom angielskim udało się również odosobnić nieznane dotąd ciało powietrza inną drogą, odbierając mianowicie azotowi atmosfe-

rycznemu czysty azot za pomocą rozżarzonego magnu. Tym sposobem mogli zebrać dość znaczną ilość argonu i przekonać się, że nowy składnik jest około 20 razy gęstszy od wodoru. Wprowadziwszy do obu metod różne poprawki i modyfikacye, ulepszyli je tak, iż mogli następnie otrzymywać argon na wielką skalę.

Tak więc: i różnica w gęstości między azotem atmosferycznym a chemicznym i doświadczenia z dyfuzyą i odosobnienie wykazują dostatecznie istnienie argonu.

Zostawało jeszcze jedno możliwe pytanie: czy czasem i azot chemicznie otrzymany nie zawiera również w sobie tego gazu nieznanego? Autorowie zrobili kilka analogicznych doświadczeń i z azotem chemicznym, by przeprowadzić jeszcze negatywny dowód ze swoją tezą. Wprawdzie otrzymywali ostatecznie zawsze trochę argonu, ilości te jednak tak były małe, że można je było śmiało policzyć na karb przypadkowo wciśniętego argonu powietrza, a nie azotu chemicznego. Tak np. w jednem doświadczeniu otrzymano z 15 litrów azotu chemicznego 3,5 $cm^3$ argonu; tymczasem 15 litrów azotu atmosferycznego dałoby 150 $cm^3$ argonu. Zważywszy jeszcze, że w ciągu samego doświadczenia mogło wejść do przyrządu około 200 $cm^3$ powietrza, że nadto woda, nad którą zbierano azot chemiczny, mogła również część argonu wydzielić, łatwo zrozumiemy taki wynik doświadczenia.

Skonstatowawszy z wystarczającą dokładnością i pewnością obecność argonu w powietrzu i odosobniwszy go, autorowie starali się także zbadać przynajmniej niektóre jego własności. Przedewszystkiem przekonali się, że nowy składnik atmosferyczny, otrzymany różnemi drogami, te same wykazuje własności, jest więc jednem i tem samem ciałem.

Gęstość argonu (przyjmując jako gęstość tlenu $O_2 = 16$, azotu $Az_2 = 14$) okazała się w różnych próbach $20{,}_6$—, $19{,}_7$—, $19{,}_{90}$—, $20{,}_{38}$—, czyli w przybliżeniu równa 20.

Argon jest $2\frac{1}{2}$ raza więcej rozpuszczalny w wodzie, aniżeli azot, gaz więc wychodzący z wody naturalnej, winien zawierać więcej argonu niż powietrze. Doświadczenia, przeprowadzone umyślnie w tym celu, potwierdziły najzupełniej to spostrzeżenie.

Rayleigh i Ramsay próbowali również wprowadzić argon w jakiekolwiek związki chemiczne. Liczne usiłowania, poczynione w tym kierunku, kończyły się dotychczas zawsze negatywnym rezultatem. Argon opiera się nawet działaniu boru i krzemu *in statu nascendi*. Jeśli więc dotąd zwykliśmy byli uważać azot za najbierniejszy z pierwiastków, to teraz w tym punkcie argonowi należy przyznać pierwszeństwo. Ten

charakter bierności i nieczynności spowodował właśnie nazwę nowego składnika atmosferycznego (ἀργός = ἀεργός = nieczynny), a jednocześnie tłumaczy nam dostatecznie, czemu ciało występujące w takich masach w ziemskiem powietrzu (1 %), uszło baczności dotychczasowych chemików.

Do wyświecenia natury argonu przyczynił się niemało nasz rodak, prof. K. Olszewski. Badacze angielscy przysłali polskiemu chemikowi 300 $cm^3$ argonu, aby się zajął jego skropleniem i zestaleniem. Z jednego i drugiego zadania, jak to z dotychczasowych prac przewidzieć było można, wywiązał się profesor krakowski znakomicie. Argon w stanie płynnym przedstawia ciecz bezbarwną o gęstości w punkcie wrzenia 1,5 — w stanie stałym jest masą krystaliczną, podobną do lodu, która bieleje i staje się nieprzejrzystą, jeśli się jeszcze zniża temperaturę. Stałe fizyczne argonu podług Olszewskiego są następujące: temperatura krytyczna — $121^0$, ciśnienie krytyczne 50,6 atmosfer; punkt wrzenia pod ciśnieniem zwyczajnem — $186{,}9^0$, punkt topnienia bardzo blizko poprzedniego punktu, bo — $189{,}6^0$.

Dokładniejszem zbadaniem widma argonu zajął się znowu Crookes. Argon podobnie jak azot daje dwa różne widma. Kiedy jednak widma azotu różnią się tem, że jedno przedstawia wstęgi, drugie linie delikatne, oba widma argonu składają się z samych delikatnych linij. Różnica za to między widmami argonu jest ta, że jedno przedstawia 119 linij błękitnych, drugie 80 linij czerwonych, co daje razem 199 linij — zdaje się atoli, że 26 linij jest wspólnych obu widmom. Dodawać nie potrzeba, że żadne linie argonu nie schodzą się z liniami widma azotu lub innych gazów.

Z tego wszystkiego widzimy, że argon przedstawia nam nietylko nowy składnik powietrza, ale nowe ciało wogóle. Czy jest to jednak jeden pierwiastek, czy znowu mieszanina dwu różnych elementów? Z samych badań spektralnych Crookesa możnaby ostatecznie pójść za drugą hipotezą; na tę też stronę zdaje się przechylać sam Crookes. Zważywszy jednak, że oba widma argonu mają 26 linij wspólnych, że nadto wiele ciał uważanych za pierwiastki, jak azot, wodór, tlen, posiada również więcej niż jedno widmo, łatwo się przekonamy, że na tej samej racyi, jak słusznie większość chemików zabierających głos w tej mierze zaznacza, budować hipotezy o złożeniu argonu nie wypada. Trzeba się więc uciec do innych faktów. Otóż przeciwko przypuszczeniu, że argon jest mieszaniną, przemawiają w wysokim stopniu obserwacye Olszewskiego, wykazujące u argonu określone stałe fizyczne, co zawsze jest oznaką czystości gazu.

Najwięcej jednak światła na naturę nowego ciała rzuciły całkiem niespodziane spostrzeżenia samych odkrywców. Autorowie oznaczyli, znaną metodą z prędkości rozchodzenia się głosu w gazie, stosunek właściwego ciepła argonu przy niezmiennem ciśnieniu do ciepła właściwego przy stałej objętości, i przekonali się ze zdumieniem, że stosunek ten wynosi 1,66 czyli $1\frac{2}{3}$. Lecz cóż w tem tak bardzo dziwnego? Zaraz się to wyjaśni. Stosunek ten u innych gazów jest zawsze mniejszy· gdzie zaś tego rodzaju stosunek występuje, tam niema energii międzyatomowej, czyli drobiny tego ciała muszą być jednoatomowe. Argon więc jest gazem jednoatomowym. Skoro zaś gęstość argonu wynosi, jakeśmy widzieli, 20, czyli, jak teraz powiedzieć możemy, jeden atom argonu cięższy jest 20 razy od drobiny wodoru ($H_2 = 2$), to ciężar atomowy argonu nie będzie 20, ale 40. Dotychczas znaliśmy tylko pary rtęci w wysokiej temperaturze jako gaz jednoatomowy.

Jednoatomowość argonu i wiążący się z nią wysoki ciężar atomowy nastręczyły dopiero pełno kwestyj, trudności i wątpliwości wszystkim chemikom i fizykom. Wiadomo, że dziś przyjmuje się powszechnie w chemii Mendelejewa system peryodyczny pierwiastków i uważa się go za wyraz rzeczywistego prawa, rządzącego w świecie atomów. Jak długo nieznaną była jednoatomowa natura argonu, tak długo atomowy ciężar jego wynosił 20, i można było wcale wygodnie a nawet zgodnie z innemi wymaganiami peryodyczności umieścić argon w systemie naturalnym zaraz po fluorze, którego ciężar atomowy wynosi 19; przeciwnie z argonem o ciężarze atomowym 40, nie wiedzieć gdzie się podziać w systemie Mendelejewa, zwłaszcza że, jak uważa dr. Gladstone, argon o tak znacznym ciężarze i swoich znanych własnościach byłby prawdziwą anomalią w tym systemie i psułby na każdym kroku prawo peryodyczności. Dlatego niektórzy woleliby pozostać przy ciężarze atomowym 20; inni mają ochotę podejrzywać, że argon nie jest mieszaniną dwu nieznanych dotąd pierwiastków; de Boisbaudran znowu przypuszcza, że argon należy do całkiem nowej rodziny elementów, której istnienie jego teorya, jeszcze nie ogłoszona, suponuje; inni wreszcie nie wahają się nawet powątpiewać, czy genialny system rosyjskiego chemika odpowiada faktycznie rzeczywistości, i wskazują na argon jako na jego próbę ogniową.

Jednoatomowość argonu tłumaczy również jego obojętne zachowanie się wobec innych pierwiastków, z drugiej strony atoli nasuwa niemałe trudności w pojęciu atomu o stosunku ciepła właściwego $1\frac{2}{3}$. Prezes Towarzystwa fizycznego w Londynie, Rucker, sądzi, że taki

atom musi być kulisty; natomiast lord Kelwin uważa, że i atom sferyczny nie uczyni zadość tym wymaganiom, bo nie będzie absolutnie gładkim, że takim atomem może być jedynie punkt matematyczny podług systemu głośnego Jezuity Boskowicza. — Widzimy, jak naturalnie nauka pozytywna przeprowadza umysły do spekulacyj rozumowych, tj. do właściwej metafizyki.

Odkrycie argonu przynosi niewątpliwie zaszczyt niemały bystrości i precyzyi badaczy angielskich, jest prawdziwym tryumfem nauk eksperymentalnych, a może w niedalekiej przyszłości ważną odegra rolę w filozofii przyrody.

*J. Nuckowski.*

## Nowe wyjawienia z łona masoneryi.

Mimo wolności, a raczej panowania, jakiem się dziś cieszy masonerya, nie przestaje ona rozmyślnie okrywać się nimbem tajemniczości; ale przez ten nimb przebijają się od czasu do czasu ciekawe rewelacye, spowodowane najczęściej wewnętrznemi sporami i osobistemi zawiściami. Boć i masonerya rozkładać się musi, skoro i ona, jako dzieło ludzkie, stopniowo tej dziejowej *temporum injuriae* podlega.

Świeżo powodem takich godnych uwagi rewelacyj, a równocześnie nawrócenia się wielu członków sekty, i scysyi niebezpiecznej w łonie lóż, był niefortunny wybór nowego mistrza całej masonii.

Od lat kilku naczelna głowa włoskiej masoneryi, żyd Lemmi, obrany został 30 września 1893 r. najwyższym wodzem wszystkich wolnomularzy, ich najwyższym niejako kapłanem. Wybór ten jednak, o czem może nie wszyscy wiedzą, przyjęto już podówczas z entuzyazmem tylko w kołach masonów pochodzenia semickiego, gdzieindziej sądzono go nieprzychylnie, przyjęto obojętnie prawie, jeżeli nie z niechęcią. Najsilniej swe niezadowolenie objawiła wysoka rada w Charleston, którą oburzał nietyle wybór osoby Lemmi'ego, ile pretensye wysokiej rady rzymskiej, iżby jej odtąd przypadał zarząd nie samej już masonii włoskiej, lecz całego świata. Miało to być imitacyą wszechświatowej władzy i wpływu, jakie sędziwy starzec-Papież wywiera na wsze strony ziemi z Watykanu, łącząc różne plemiona, narody i języki w zgodną jedność i całość. Amerykańska masonia na taką zależność nie chciała przystać i stąd powstała schyzma. Niejaka Miss Dyana Vaughan, bardzo wysoko w tajnych sektach stojąca postać, odmówiła

posłuszeństwa nowemu wielkiemu mistrzowi i odsłoniła przed światem wcale niepochlebną i brudną jego przeszłość. Z tych rewelacyj dowiadujemy się, że przeszłość Lemmi'ego nader interesujące zawiera szczegóły. W Liwornie urodzony, acz nie z rodziców żydowskich, przeszedł Lemmi sam na judaizm i poddał się obrzezaniu. W 22 roku życia zasądzonym już został na rok więzienia a 5 lat policyjnego dozoru, za to, iż lekarza, który z litości biedaka bez utrzymania przyjął był do siebie, okradł dość znacznie. Taki jest początek karyery przyszłego wielkiego mistrza masonii.

Dziwić się zatem niema czemu, że wiadomość o tym wyborze sprowadzała coraz nowe odstępstwa i zrywania z rządem centralnym. Główna kasa masońska w Berlinie odmówiła Lemmi'emu zwykłej zapomogi i gdyby nie pośrednictwo niejakiego Findel'a, byłby wielki mistrz skazany na przykre kłopoty finansowe w swym przepysznym pałacu Borghese. Nadto w łonie samejże masonii włoskiej zapanowała też niezgoda i doszło do tego, że obok wielkiej rady rytu szkockiego w Rzymie sformowała się nowa „wielka rada" w Palermo, koło której oczywiście poczęli się grupować malkontenci. W tym peryodzie nastąpiło publiczne oderwanie się od loży a szczere i gorące nawrócenie jednego z członków owej schyzmatyckiej „wielkiej rady" w Palermo, p. Dominika Margiottego.

Margiotti w sferach politycznych włoskich znanym był od dawna jako nieprzyjaciel Crispiego i jego polityki trójprzymierza. Skoro jednak loże rzymskie otwarcie się oświadczyły za trójprzymierzem, został przez nie Margiotti z najwyższej rady usuniętym. Tem obrażony do żywego w swych uczuciach patryotycznych, a nadto dotknięty wyborem Lemmi'ego, którego przeszłość znał wybornie i nie obce mu były fałszerstwa, jakie ten wybór ułatwiły, wpadł na szczęśliwą myśl zbadania raz przecież gruntownie katolickiej religii, przeciwko której dotąd tak zacięcie walczył. Skutkiem tego szczerego badania były rozmowy i dyskusye z kardynałem Rampollą i Parocchi, a ostateczne nawrócenie się Margiottego. Dla naprawienia zaś złego, jakie posiał swą smutną przeszłością, wydał on dzieło pod tytułem: „Adriano Lemmi, naczelny mistrz masoneryi", gdzie opisuje swe nawrócenie i przyczyny, które je spowodowały. Jako przedmowę umieścił list swój do Lemmi'ego, w którym go powiadamia o swem stanowczem zerwaniu z lożą. Oto kilka ustępów z tego listu:

„Pan wiesz, iż wyboru jego, przekupstwem i oszukaństwem dokonanego, od początku uznać nie chciałem, i że panem gardzę od

chwili, jak poznałem pańską brudną przeszłość. Wiesz pan, iż po raz pierwszy wystąpiłem z rytu szkockiego, kiedyś pan przekupstwem osiągnął dymisyę pp. Tamajo i Ribaldi, by módz swobodnie szachrować pieniędzmi masoneryi włoskiej, i że wstąpiłem do innego rytu z myślą, iż tam natrafię na uczciwość; niestety, błąd tylko pierwszy pogorszyłem drugim".

Książkę tę posłał Margiotti również zbuntowanej pannie Vaughan, przyłączając list, w którym z całą siłą przekonania i oburzenia człowieka dotąd oszukiwanego, maluje przewrotność masoneryi i zachęca dawną przyjaciółkę do pójścia za jego przykładem. Cytujemy z niego kilka zdań:

„Słowa przyjaźni i rozsądku do Miss Dyany Vaughan, byłej mistrzyni wielkiej [1] doskonałego trójkąta, Febe-Róży, w Nowym Jorku.

„Kochana Przyjaciółko!

„Książka, którą pani posyłam, utwierdzi ją w tem, co już pani oznajmić kazałem, że ja się nawróciłem.

„Proszę nie oburzać się, ale wysłuchać mego tłumaczenia. Jak pani byłem oddany, i w jaki sposób pracowałem nad poparciem jej usiłowań przeciw rządom Lemmi'ego we Włoszech, wiesz o tem najlepiej sama. Skoroście tylko wy podnieśli sztandar buntu, przeciwnicy włoscy Lemmi'ego utworzyli związek narodowy lóż niezależnych z najwyższą radą w Palermo, ja zaś razem z innymi szerzyłem ten protest po półwyspie włoskim, pragnąc, jako uczciwy i wierny sprawie mason, wyswobodzić naszą masoneryę z rąk złodzieja i oszczędzić nam próby nie ognia, ale błota.

„A teraz pytam panią, czyśmy się grubo nie omylili — i ja i pani, i nasi towarzysze i siostry? Oczywiście, że nie co do wartości pana Adriana Lemmi, ale co do szczerości postępowania, i uczciwości masoneryi! Wszak nasi nieprzyjaciele zgwałcili wielkie konstytucye Palladynu, sfałszowali wota przy głosowaniu, nawet przed zbrodnią się nie cofnęli, by pozbawić niektórych delegatów udziału w obiorze wielkiego mistrza — no i przytem wszystkiem któż zwyciężył w wyższej masoneryi? złodziej — kto złamał upór uczciwych niby masonów? morderca! Dziś sam Graveson, przewódca nasz w opozycyi przeciw Lemmi'emu, przeszedł już na jego stronę, dziś wszyscy, chociaż świadomi są szachrajstw i przekupstwa wielkiego mistrza, poddali się z hańbą Żydowi z Liworno. W opozycyi pozostała dotąd tylko federacya włoska, na czele której stoi Figlia, bo nawet najwyższa Rada paryska i W. Oryent

[1] Ex-Grande-Maîtresse du Parfait Triangle Phébé-la-Rose, de New-York.

francuski oddały się zupełnie intruzowi, który jest otwartym wrogiem Francyi. Wiadomo bowiem, że w planie wyższej masoneryi stoi dziś na porządku dziennym przeprowadzenie nowego podziału Francyi.

„Jeśli Lucyfer ma się opiekować masoneryą, czemuż jej losy powierzył na hańbę tylko i upokorzenie sekty ostatniemu z najgorszych? Widać, że chyba on nie jest bogiem dobrym, ale tym, jakim go Pismo święte przedstawia, upadłym aniołem, i nie może czynić więcej niż mu Bóg prawdziwy pozwoli. A kiedy wszechmocny Pan Bóg katolickiego Kościoła popuści mu wodze, by ludziom dać sposobność do większej zasługi na niebo, wonczas idzie on za popędami swej złości, odsłaniając czarną swą duszę, cieszącą się z tryumfu takiego człowieka, jak Lemmi.

„Tak, to Pan Bóg, widząc jak wyższa masonerya przygotowywała w pałacu Borghesów tajne zgromadzenie, rzekł do szatana: Czyń, co możesz! — a ten oddał najwyższe kapłaństwo piekielnego swego kościoła człowiekowi najprzewrotniejszemu, by tym sposobem ohyda najwyższych rządów loży raz zajaśniała w całej pełni, a ludzie uczciwi, zbłąkani między sekciarzami, mogli przejrzeć i wrócić do prawdy.

„Dziś, gdy uznawszy swój błąd, wyrzekłem się wszystkiego, gdym odprawił rekolekcye pod kierunkiem zakonników, którzy są wzorem cnoty — czuję, jakby mi kamień spadł z piersi... Och! gdybyś i pani na chwilę chciała zapomnieć o swych przesądach, gdybyś mogła słuchać nauk ludzi, którzy mię ku dobremu naprowadzili, pewno zrozumiałabyś, kto jest Świętym Świętych, i upadłabyś na twarz przed Stwórcą i Ojcem, szukającym tylko naszego dobra“...

Tak głębokie a ważne rewelacye wywarły doniosły wpływ w szerszych kołach masońskich. Popłoch powstał między lożami nie do opisania. Masonerya tak wpływowa jak francuska, tak potężna jak belgijska, zdumiały się, kiedy im wyjawiono, że poza niemi i nad niemi istnieje wyższy rząd międzynarodowy, rozciągający swój wpływ tajemny na masonów całego świata i kierujący nimi ślepo do swoich, jak się pokazało, nietylko bezbożnych ale i nieuczciwych celów; że na czele tej wyższej masoneryi stoi Żyd, oszust i złodziej, wrogo względem Francyi usposobiony; a nadewszystko, że na utrzymanie tego Żyda, na popieranie jego planów składają rocznie masoni francuscy kolosalne pieniądze, o których użyciu dotychczas nie wiedzieli.

Wobec tak kompromitujących rewelacyj Margiottego, naczelna władza masońska chwyciła się praktyki uprawianej od dawna przez siebie: przeczy gołosłownie wszystkiemu po pismach sobie oddanych.

Oto ważne zeznanie w tej materyi B.·. Goblet'a d'Alviella, miano-

wanego przez Lemmi'ego emerytowanym patryarchą masońskim w Belgii, w liście do wielkiego mistrza w Brukseli pod d. 30 czerwca z. r.: „Zewsząd dochodzą mię wieści o wzrastającem niezadowoleniu lóż przeciwko trójkątom i rządom zagranicznym. Skrzynka redakcyi pełna jest zapytań i interpelacyj co do istnienia wyższej masoneryi. Jeżeli zapytany nie jest całkowicie wtajemniczony (!) w nasz ustrój, przeczymy pogłoskom po prostu, a ta droga zwraca nam napowrót zaufanie (?!). Ale gdy, co się też zdarzyło, zapytany należał do najwyższego rytu, jesteśmy wówczas prawdziwie w kłopocie, zwłaszcza jeśli go znienacka zagadnięto i nie mógł dać wystarczającej odpowiedzi, powodujemy wiele osób do opuszczenia loży. Sytuacyę tak opłakaną a pogarszającą się z dniem każdym przypisać należy wystąpieniu siostry amerykańskiej: 141 (tak się w loży urzędownie nazywała panna Vaughan). Kobieta ta powiadamiając jakiegoś dziennikarza francuskiego, najnieprzyjaźniej dla nas usposobionego, o swej dymisyi i jej powodach, podeptała tem samem najświętsze przysięgi i nie zasługuje odtąd na żadne miłosierdzie. Ogłoszeniem tej dymisyi sprowadziła nam szkody niepowetowane. Ponieważ więc zgubna demoralizacya szerzy się pośród lóż belgijskich, i toż samo powtórzyć się może w innych krajach, trzeba nam się bronić, a ku temu posłuży, mojem zdaniem, jeden środek: należy się porozumieć, by wręcz wszystkiemu zaprzeczać, co tylko przeciw nam będą mówić“...

List ten, przeznaczony do rąk najwyższego zarządu sekty w Rzymie, dostał się do rąk prof. Margiottego, a ten ogłosił go natychmiat w dzienniku *La Croix* z 21 września 1894 r. Że treść jego jest dla masoneryi i niemiła i niepochlebna, to pewna, ale bądź co bądź jest prawdziwa, a p. Goblet, zdemaskowany w tak niespodziewany sposób, nie będzie miał nawet odwagi zaprzeczyć Margiottemu, bo znając dawne jego stanowisko w loży, lęka się snać, by coś jeszcze gorszego o swych dawnych braciach nie wyśpiewał.

Samo zatem zaniepokojenie wśród lóż, hasło dane do obrony, systematyczne okłamywanie swoich „braci“ i obcych, stwierdzają prawdę rewelacyj panny Vaughan i p. Margiottego.

*Ks. A. Boc.*

Druk ukończony 29 marca 1895 r.

# PRZEBIEG POJĘĆ RELIGIJNYCH U CHIŃCZYKÓW [1].

## IV. Najdawniejsze pojęcia religijne w Chinach.

Chińczycy w najdawniejszych czasach na oznaczenie Istoty, która rządzi światem, używali wyrażeń *Ti*, *Szang Ti* i *Tien*. — Co przedstawiają znaki obrazowe tych wyrażeń? — Ti używany był w podwójnem znaczeniu: czasami oznaczał „cesarza", czasami „najwyższego rządcę"; Szang Ti brany był zawsze w ostatniem znaczeniu. — Wyraz Tien, dosłownie „niebo", używany był przenośnie w tem samem znaczeniu co Szang Ti. — Dowody, że Szang Ti jest osobą duchową, nadziemską: Teksty wskazują, że Szang Ti nie jest rządcą ziemskim; cnotliwi tylko królowie mogą być porównani do Szang Ti; Szang Ti rządzi światem a królowie są wykonawcami jego woli; królowie czczą Szang Ti i składają mu ofiary; ofiary składane Szang Ti były proste, patryarchalne. — Dowody, że Szang Ti jest Istotą Najwyższą: Szang Ti jest Stwórcą; jest wszystkowidzącym; jest nieomylny; jest sprawiedliwy, dobry, pełen miłosierdzia. — Zdania komentatorów. — Odpowiedź na zarzuty. — Geneza wyrażeń Szang Ti i Tien: wyrażenie Szang Ti było wprowadzone do Chin przez Baków; tubylcy chińscy na oznaczenie Najwyższej Istoty używali wyrazu Tien. — Cześć, jaką Chińczycy oddawali duchom, da się pogodzić z pojęciami o Najwyższej Istocie. — Najdawniejsze pojęcia religijne Chińczyków zbliżały się bardzo do pojęć jednobożnych, świadczą o tem teksty klasyczne, wiara w nieśmiertelność duszy i ich pojęcia etyczne.

Chińczycy dzisiejsi, obywając się bez Boga, nie używają żadnego znaku pisemnego, a co za tem idzie, żadnego wyrazu do oznaczenia pojęcia Najwyższej Istoty; stąd też pierwsi misyonarze chrześcijańscy w Chinach znaleźli się z tego powodu w wielkim kłopocie. Ponieważ rzecz była nader zawikłana, niełatwo można było przyjść do zgody. Spory toczyły się wiele lat, aż wreszcie Stolica św. położyła im kres, postanawiając, iż odtąd dla ozna-

[1] Patrz zeszyt z listopada 1894, str. 222.

czenia Boga w języku chińskim ma być używane wyrażenie *Tien Czeu*, tj. „Pan nieba“ [1].

Od chwili, w której *Roma locuta est*, kwestya praktyczna, przynajmniej dla katolików, została rozwiązaną, lecz nie została rozwiązaną kwestya historyczna, mianowicie, czy Chińczycy w dawniejszych czasach uznawali Najwyższą Istotę i jakie imię Jej dawali — dokładne zbadanie tej kwestyi pozwoli nam dopiero wnioskować o pierwotnych pojęciach religijnych Chińczyków. Zajrzyjmy do dokumentów chińskich.

Najdawniejsza wzmianka, odnosząca się do naszego przedmiotu, znajduje się w Szu King, mianowicie w księdze, która nosi tytuł „Kanon Szun'a“; czytamy tam, że Szun po wstąpieniu na tron w r. 2283 przed Chr., „złożył szczególne ofiary, lecz w sposób zwykły *Szang Ti*“ [2]. Ostatnie wyrażenie w tekscie chińskim oznaczone jest przez dwa znaki 上 帝, które się wymawia Szang Ti.

Powyższy tekst jest nader ważny, świadczy bowiem, że w XXIII. wieku przed Chr. królowie chińscy składali ofiary Szang Ti. Nabożeństwo do Szang Ti trwa po dziś dzień, prawdopodobnie trwało ciągle bez przerwy, nie mamy przynajmniej żadnych dowodów historycznych, któreby wskazywały jego zaniechanie, pomimo tylu zmian dynastyj, pomimo zmian, jakim uległy pojęcia religijne w Chinach przez ciąg tego czasu.

Kto jest Szang Ti? jakie pojęcia przywiązywali Chińczycy do tego imienia?

Sinologowie europejscy wielokrotnie zadawali sobie powyższe pytanie, a po mozolnych badaniach przychodzili do wnio-

---

[1] „Cum Deus Optimus Maximus congrue apud Sinas vocabulis Europeis exprimi nequeat, ad eumdem verum Deum significandum, vocabulum *Tien Chu*, hoc est, Coeli Dominus, quod a Sinensibus Missionariis, et Fidelibus longo, ac probato usu receptum esse dignoscitur, admittendum esse: nomina vero *Tien* Coelum, et *Xang Ti* Supremus Imperator, penitus rejicienda“. Const. Bened. XIV., *Ex quo singulari*.

[2] *Szu King*, cz. II, ks. I, roz. III, n. 6. Wszystkie niemal teksty, które tu podajemy z chińskich ksiąg klasycznych, wyjęte są z wydania angielskiego, mającego największą powagę naukową, a które nosi tytu: *The sacred books of the East*, edited by F. Max Müller.

sków, które różnią się między sobą całą istotą rzeczy. Przyczyna tych nieporozumień leży głównie w tem, że uczeni chińscy nie zajmowali się nigdy specyalnie tym przedmiotem, a nadto, że nie posiadamy dawniejszych opisów nabożeństwa, jakie sprawowali królowie ku czci Szang Ti. Jednakże nie można powiedzieć, że jesteśmy pozbawieni całkiem dokumentów; bogate piśmiennictwo chińskie, sięgające co najmniej XX. wieku przed Chr., powinnoby nam dostarczyć, i rzeczywiście dostarcza potrzebnych wiadomości, nietylko do wyjaśnienia kwestyi, ale nadto do stanowczego rozwiązania zadanego pytania.

Pisarze klasyczni dla oznaczenia Istoty, która rządzi światem, używali trzech następujących znaków i wyrażeń: 帝 Ti, 上帝 Szang Ti, i 天 Tien. Ti znaczy dosłownie „rządca", Szang Ti „najwyższy rządca", Tien „niebo". Jakie pojęcia przywiązywali do tych znaków i wyrażeń?

A najprzód co do samych znaków. Ponieważ pismo chińskie jest obrazowe, przeto znaki piśmienne przedstawiają poniekąd myśl przewodnią samego pojęcia. Uczeni chińscy i europejscy w ten sposób tłumaczą powstanie tych znaków. Znak 帝, według komentatorów Hsu Szan i Tai Tung, oznacza to, „co jest ponad wszystkiem". Chalmers sądzi, że znak powyższy wyraża tego, „który jest wielki, który wzrokiem swym ogarnia niebo i ziemię" [1]. Według Legge'a znak ten wyraża „panowanie", znak zaś 上 Szang, który znaczy „najwyższy", dodany do poprzedniego, „uosabia i wywyższa" Ti [2], tak że znak złożony 上帝, tj. Szang Ti, oznacza Najwyższą Istotę [3].

Znak 天 wymawia się *Tien*, a znaczy dosłownie „niebo". Według Hsu Szan znak ten jest złożony: kreska pozioma górna oznacza „jedność", reszta znaku wyraża „wielkość". Inny uczony

[1] *The origine of the Chinese*, p. 12.

[2] „That addition, meaning Supreme, individualises and exalts the Ti". *The rel. of China*, p. 10.

[3] „Ti was to the Chinese fathers, I believe, exactly what God was to our fathers". *Ibid.* p. 11.

chiński, Tai Tung, utrzymuje, że kreska górna wyraża to, „co jest ponad wszystkiem".

Tłumaczenie samych znaków niewiele nas poucza, a w każdym razie nie byłoby przekonywające, wiadomo jest bowiem, że pismo chińskie, a przynajmniej niektóre jego znaki uległy zmianie, kształt zaś ich pierwotny został zatracony. Właściwe znaczenie znaków i ich odnośne brzmienie należy odszukiwać w dziełach klasyków i komentarzach uczonych Chińczyków.

Wyraz *Ti* znaczy dosłownie „rządcę". Pisarze kronik Szu King używali wyrazu Ti do oznaczenia cesarza. Pierwsi panujący w Chinach, włącznie do Szun'a, noszą tam tytuł Ti, tj. „cesarza"; późniejsi panujący mają tytuł *Wang*, tj. „króla". Lecz te same księgi używają wyrazu Ti w innem znaczeniu, mianowicie zaś w znaczeniu „Rządcy", który panuje nad całym światem, i dlatego zwyczajnie dodają do tego wyrazu przymiotnik *Szang*, tj. „najwyższy" [1]. Całe wyrażenie *Szang Ti* nie odnosi się n i g d y do władcy ziemskiego; teksty ksiąg klasycznych wskazują niewątpliwie, że to wyrażenie należy brać w znaczeniu Istoty duchowej, nadziemskiej [2].

Wyraz Tien, dosłownie „niebo", oznacza właściwie niebo materyalne, sklepienie niebios, jak i u nas; lecz również jak i u nas [3], wyraz ten używany był w najdawniejszem piśmiennictwie chińskiem w znaczeniu przenośnem. W klasykach chińskich napotykamy często wyraz Tien w znaczeniu identycznem z wy-

[1] Japończycy, którzy wiele zapożyczyli od Chińczyków, używają wyrazu *Kami* w tem samem znaczeniu. B. H. Chamberlain przesłał na ręce Tylor'a ciekawą o japońskim *Go-hei* zapiskę, w której czytamy: „*Kami*, ‚god', is a native word meaning ‚above', ‚superior', and hence applied to ‚governors of provinces', the ‚government' in general, and to the ‚gods' themselves". *Journ. of the Anthrop. Inst.*, vol. XVIII, p. 27.

[2] „Les lettrés nombreux et savants qui réunis à la cour et sous les yeux du souverain ont traduits les Kings en mandchou, il ya deux cents ans, ont rendu l'expression *Hoang-tien Shang-ti* par les mots suivants: *Dergi Abka-i Shang-Di* ‚Szang-ti, le Souverain Maitre du ciel suprême'". De Harlez, *Les religions de la Chine*, p. 31.

[3] „In Chinese, Tien denotes sky or day, and the same word, like the Aryan *dyu*, is recognized as the name of God". M. Müller, *Lect. on the science of language*, II, p. 480.

razami Ti i Szang Ti; w jednem i tem samem zdaniu wyrazy Ti, Szang Ti i Tien wzajemnie się zastępują. Dowody na powyższe twierdzenie czerpiemy z Szu King i Szi King.

Kroniki Szu King, jak to już wiemy, posiadają wszelkie znamiona wierzytelności, a obejmują przeciąg czasu, wynoszący jakie szesnaście wieków, od XXIII. do VII. wieku przed Chr. Szi King jest zbiorem poezyj, zawiera ody ułożone w różnych czasach, począwszy od r. 1766 przed Chr. do epoki Konfucyusza. Obie te księgi otrzymały aprobatę Konfucyusza; powołuje się on często w swych dziełach na te księgi i całe z nich ustępy przytacza. „W obydwu księgach, pisze Legge [1], Szu i Szi, mówi się w bardzo wielu miejscach o Tien, Ti i Szang Ti, jako o jedynym i prawdziwym Bogu. On jest rządcą ludzi i całego świata. O człowieku zwłaszcza ma osobliwą pieczę. Dał on ziarno na pożywienie wszystkim. Szczególniejszą zwraca uwagę na królów, których wyniósł do tej godności dla dobra ludów. Jeżeli okazują mu cześć, spełniają swe powinności według jego woli, postępują drogą wskazaną przez niego, wówczas utrzymuje ich na tronie, przyjmuje chętnie ich ofiary i udziela tak im jak i ich ludowi pomyślności. Jeżeli zaś przestają być bogobojnymi, zaniedbują się w swych obowiązkach, wówczas zrzuca ich z tronu i powierza go innym".

Zdanie tak znakomitego sinologa, jakim jest Legge, ma bez wątpienia wielką powagę, jednakże ponieważ znaczniejsza część sinologów i historyków sprzeciwia się temu zapatrywaniu, należy je poprzeć wyraźnemi dowodami, mianowicie tekstami wyjętemi z klasyków.

Przedewszystkiem należy się załatwić z wyrazem *Tien*, albowiem tak on często przychodzi w tekstach, które tu jako dowody przytaczać zamierzamy, że bez uwzględnienia jego właściwego znaczenia, teksty nie byłyby zrozumiałe.

Wyraz *Tien* ma podwójne znaczenie. A najprzód, jak to wspomnieliśmy, bierze się we właściwem, potocznem znaczeniu,

[1] *The Chinese Classics*, Prolog., vol. II, pp. 193, 194; vol. III, p. 152.

i wówczas odnosi się do „sklepienia niebios“. Powtóre, wyraz *Tien* bierze się w znaczeniu przenośnem i to dwojako: raz oznacza miejsce, w którem przebywa Szang Ti [1], innym razem, i to najczęściej, bierze się w znaczeniu samego Szang Ti. Teksty, które tu niżej kładziemy, dostatecznie popierają i przekonywają o prawdziwości naszego twierdzenia: w jednem i tem samem często zdaniu wyraz *Tien*, „Niebo“, nietylko odnosi się do Szang Ti, ale po prostu zastępuje ten wyraz.

Czytamy w „Iih Ceih“ [2]:

Ju mówi do cesarza: jeżeli będzie spełniał dobrze swe obowiązki, wówczas „otrzymasz jawnie dary od Szang Ti; czyż Niebo poskąpi ci swych łask i błogosławieństw“.

W „Obwieszczeniu Czung-Hwuja“ znajdujemy co następuje [3]:

Król Hia był przestępcą, przypisując kłamliwie Wysokiemu Niebu rozporządzenia, jakie głosił wśród ludu; z tego powodu Szang Ti odrzucił go i obdarzył naszego króla swemi łaskami.

Król Wu mówi w „Wielkiem Oświadczeniu“ [4]:

Teraz niech Niebo opiekuje się ludem, niech mu da rządców, niech mu da nauczycieli, takich, aby byli godnymi pomocnikami Szang Ti.

Książę Czeu w „Wielkiej mowie“ pisze [5]:

Nie mogę lekceważyć obowiązków, włożonych na mnie przez Szang Ti. Niech Niebo, które okazało tyle łask królowi, zechce zesłać pomyślność na nasz mały kraj Czeu... Kraj został oświecony dzięki mężom rozumnym, co więcej, mężom, którzy znali wyroki Szang Ti i byli im posłuszni, dzięki szczególnej opiece Nieba.

Tenże sam książę Czeu, w przemowie mianej do urzędników i zwolenników upadłej dynastyi Jin, mówi [6]:

Niebo nie było po stronie Jin, nie mogło bowiem uprawnić ich nieporządków i dlatego nam dopomogło; czyżbyśmy sami śmieli ubie-

[1] Odnośny tekst przytoczymy nieco dalej.
[2] *Szu King.* II, ks. IV, 2.
[3] *Szu King,* IV, ks. II, roz. III, 3.
[4] *Szu King,* V, ks. I, cz. I, 7.
[5] *Szu King,* V, ks. VII, 9, 13.
[6] *Szu King,* V, ks. XIV, 3 i następ.

gać się o tron? Szang Ti nie był po stronie Jin, co jasno widać z zachowania się naszego niższego ludu, w którym tkwi bojaźń Nieba. Przysłowie mówi, że Szang Ti prowadzi ludzi do spokojnej ufności, lecz tej ufności nie wzbudzał panujący Hia i dlatego Szang Ti zesłał kary, które były napomnieniem. Këe (nazwa króla) nie zastosował się do ostrzeżeń Szang Ti, lecz brnął w coraz większą rozpustę, lenistwo. Wówczas Niebo nie chciało już nań patrzeć, ani być powolnem na jego głos, odwołało go z jego wysokiego stanowiska i wymierzyło ostateczną karę.

Teksty powyższe uchylają wszelką wątpliwość i namacalnie stwierdzają, że wyraz Niebo bierze się zamiast Szang Ti; uczeni europejscy w znacznej części na to się godzą [1].

Teraz należy nam wyszukać w tekstach klasyków, w jakiem znaczeniu brali oni wyrażenie Szang Ti.

A najprzód, teksty stwierdzają, że wyrażenie Szang Ti nie odnosi się do rządcy ziemskiego, do cesarza; i tak:

Szang Ti nie przebywa na ziemi lecz w Niebie, on jest panem Nieba; dobrzy królowie zasiadają po prawicy Szang Ti.

Czytamy w „Obwieszczeniu" księcia Czeu [2]:

Szang Ti, który przebywa w wysokiem Niebie, odmienił swój wyrok na korzyść najstarszego swego syna [3].

[1] „We find it (Shang-te) constantly interchanged with the term *Heaven*, by which the ideas of supremacy and unity are equally conveyed, while that of personality is only indicated vaguely, and by an association of the mind". Legge, *Op. cit.*, vol. III, Prolog., p. 193.

„Il est vrai que les noms du Shang-ti et du T'ien sont fréquemment employés l'un pour l'autre comme parfaitement synonymes ou comme pouvant se remplacer l'un l'autre sans aucune difficulté, il est vrai que maintes choses qui sont dites du premier le sont également du second et que ces termes s'échangent dans une seule et même phrase". Mgr. de Harlez, *Les religions de la Chine*, p. 35.

Za panowania słynnego cesarza K'ang-hi, misyonarze jezuiccy złożyli u stóp tronu w języku mandżurskim memoryał, w którym przedstawiają swoje zapatrywanie, mianowicie, że tak *Ti* jak i *Szang Ti* oznacza jedną i tęż samą osobę Najwyższego Rządcy, a *T'ien* oznacza również toż samo pojęcie. Cesarz rozkazał przetłumaczyć memoryał na język chiński, umieścić go w urzędowej *Gazecie Pekinu*, z dodatkiem, iż zupełnie podziela to zapatrywanie. Remusat, *Notices des Manuscrits*, pp. 414, 415.

[2] *Szu King*, V, ks. XII, cz. 9.

[3] Legge tłumaczy: „O God dwelling in the great heavens has chan-

Wen-Wang przebywa obecnie w miejscach wysokich, świeci w Niebie wielkim blaskiem... Jakkolwiek Wen-Wang wstępuje do Nieba lub zeń zstępuje, jest zawsze po prawicy lub lewicy Szang Ti [1].

Tang mówi: „Ja, małe dziecko, otrzymawszy rozkaz Nieba... nie śmiem darować zbrodniarzowi. Pozwoliłem sobie złożyć czarną żertwę i oświadczyć duchowemu Panującemu w najwyższem Niebie..." [2].

Szang Ti, najwyższy władca Nieba, wybrał ich (Czing'a i Kang'a) na królów [3].

Najwyższe Niebo, które jest panem i władcą wszechrzeczy, gotuje już nam zagładę i szerzy śmiertelność [4].

Dlaczego dostojne Niebo, najwyższy pan i władca wszechrzeczy, zdaje się nas nie znać i nie okazuje nam swej pieczołowitości?... Wszyscy zwracają swój wzrok ku dostojnemu Niebu, do najwyższego pana i władcy wszechrzeczy [5].

Najlepsi tylko królowie ziemscy mogą być porównani z Szang Ti.

Książęta z dynastyi Jin z powodu swych dobrych rządów, mogli być porównani do Szang Ti [6].

---

ged his decree in favour of his eldest son". Tym najstarszym synem jest król z dynastyi Czeu. Chińczycy nazywają często króla „Synem Nieba", tutaj nazwany jest synem Szang Ti. Uczony chiński K'ang-szing taki daje komentarz: „Wszyscy ludzie mogą być nazwani synami Niebios; król jest głową albo najstarszym z nich". *The Chin. Clas.*, vol. III, p. 425.

[1] *Szi King*, III, c. I, p. 1. Pieśń ta według komentatora Khung Ying-ta pochodzi z XII. w. przed Chr. Wen-Wang był założycielem dynastyi Czeu. Lieu Hiang z I. w. naszej ery, daje następujący komentarz: „Wysokie niebo umieszczone jest w sferach wyższych i duch Wen-Wanga przebywa w tychże sferach. Ti jest najwyższym Panem nieba; co się tyczy ducha Wen-Wanga, wstąpił on tam i umieścił się po prawicy i lewicy Ti. Tam bowiem przebywa Ti, a stąd i Wen-Wang tam przebywa. Skąd możemy wiedzieć, że tam jest Wen-Wang? Albowiem posiadał takie cnoty, jakie posiada Niebo i to wystarczy". (Tłum. p. Pauthier). Dalszy ciąg tejże pieśni podaje istotną przyczynę, dla której Wen-Wang dostał się do nich, czytamy mianowicie w strofce 4-tej według tłumaczenia O. Lacharme: „Maximum rerum dominum et dominatorem (i. e. Szang Ti) colebat singulari cultu".

[2] *Szu King*, IV, ks. III, roz. II, 4.

[3] *Szi King*, IV, c. I, p. 9.

[4] *Szi King*, III, c. III, p. 4.

[5] *Szi King*, III, c. III, p. 4.

[6] *Szi King*, III, c. I, p. I, w. 6.

Ostatni król (Tang) starał się gorliwie o nabycie cnót, tak iż był towarzyszem Szang Ti [1].

Szang Ti rządzi światem, królowie są jego zastępcami i wykonawcami jego woli. Królowie panują w imieniu Szang Ti, tem samem obowiązani są do sprawiedliwości. Dopóki król rządzi sprawiedliwie, dopóty Szang Ti udziela mu swych łask i zlewa pomyślność na kraj; skoro zaś przeniewierzy się, wówczas Szang Ti upomina go karami, a gdy one nie skutkują, składa go z tronu i wynosi na tron innego.

Wu, wypowiadając wojnę królowi Szou, mówi: Szou, król Szang'a, jest bez zasad, jest on okrutny i gnębi stworzenia Nieba... Ja, który jestem małem dzieckiem, otrzymawszy pomoc od ludzi cnotliwych, idąc z uszanowaniem za wolą Szang Ti, dufam położyć koniec jego bezprawiom [2].

Tang mówi [3]: „Niebo poleciło zgładzić władcę Hia dla wielu jego zbrodni... a ponieważ ja się boję Szang Ti, dlatego nie śmiałem go nie ukarać".

„Niebo dla opieki ludu postawiło nad nim rządców i kierowników, którzy wspomagani przez Szang Ti, starają się o zaprowadzenie spokoju w państwie" [4].

Wu w „wielkiej przemowie" wylicza zbrodnie, jakich się dopuścił ostatni król Szou, i dodaje: „Szang Ti nie chce mu już przebaczać i wraz z przekleństwem zsyła mu upadek" [5].

Słyszałem przysłowie: Szang Ti prowadzi ludzi do spokojnego bezpieczeństwa. Lecz król Hia nie dopomagał do tego bezpieczeństwa, dlatego Ti zesłał kary... Ki nie chciał iść za przestrogami Ti... Dlatego Niebo nie chciało na niego patrzyć ani go słuchać, wypowiedziało mu jego stanowisko i wymierzyło ostateczną karę [6].

Król Puan-Kang mówi: „Szang Ti chcąc przywrócić moc mego wysokiego przodka, i zapewnić dobry rząd naszemu krajowi..." [7].

[1] *Szu King*, IV, ks. V, cz. III, 3. Legge tłumaczy *fellow* w ten sposób: „As a sovereign upon earth, the one correlate of the Supreme Sovereign above". *The Chin. clas.*, vol. III, part. I, p. 211.

[2] *Szu King*, V, ks. III, 7.

[3] *Szu King*, IV, ks. I, rozd. I.

[4] *Szu King*, V, ks. I, 7.

[5] *Szu King*, V. ks. I, cz. III, 3.

[6] *Szu King*, V, ks. XIV, 5, 6.

[7] *Szu King*, IV, ks. VII, cz. III, 6.

Niech król przybędzie tutaj jako wice-regens Szang Ti i niech sam obejmie rządy w środku kraju [1].

Ti oświadczył swe zamiary królowi Wan [2].

Książę Czeu w imieniu małoletniego króla Czing mówi: „Jestem sługą Nieba, które mi wskazało wielkie zadanie i włożyło ten ciężki obowiązek na mnie... Nie śmiem lekceważyć brzemienia, jakie włożył na mnie Szang Ti“ [3].

Królowie czczą Szang Ti, składają mu szczególne ofiary:

Ponieważ ten książę (Czin-tang) czcił bardzo nabożnie Szang Ti, dlatego Ti umieścił go na czele dziewięciu prowincyj i dał mu władzę nad życiem swych poddanych [4].

Kiedy jego (Ju) dom był w sile (u władzy), wyszukiwał on ludzi zdolnych, którzyby oddawali cześć Szang Ti [5].

Ti nie był po stronie Jin, jak się to pokazuje ze stanowiska, jakie zajął względem niego nasz lud, który jest przejęty bojaźnią Nieba [6].

Tang mówi: Ja, dziecię Li, pozwalam sobie złożyć czarną żertwę, pozwalam sobie oznajmić Tobie, o wszechwładny i najwyższy Ti, że nie śmiem darować zbrodniarzowi, a Twoich ministrów, o Ti, nie trzymam w ciemnościach, Ty sam, o Ti, najlepiej ich znasz... [7].

---

[1] *Szu King,* v, ks. xii, 14.

[2] *Szi King,* iii, cz. i, p. 7. Komentator Czu-hi mówi: „Ti objawił zamiary Nieba królowi Wan“. Jen Czan pisze: „Niebo nie mówi, lecz swe zamiary objawia przez myśli. Należy całkiem zaufać temu, co Ti w ten sposób oświadcza“.

[3] *Szu King,* v, ks. vii, cz. 9.

[4] *Szi King,* iv, c. v, p. 4.

[5] *Szu King,* v, ks. xix, cz. 2. Legge po przytoczeniu komentarzy chińskich do tego ustępu, pisze: „Te trzy ustępy dostarczają ścisłego świadectwa, że w tych czasach Bóg uważany był za rządcę całego świata. Ju, Tang i królowie Wan i Wu, założyciele trzech dynastyj słynnych po dziś dzień, uważali za swój obowiązek oddawać cześć Bogu i służyć Mu. Jakkolwiek mieli już spaczone pojęcia o wierze, stale jednak stali przy zasadzie, że byli wezwani i wzniesieni do swej wysokiej godności przez Najwyższego Rządcę, i że mieli sprawować swe obowiązki według Jego woli“. *The Chin. Clas.,* vol. iii, part. ii, p. 511.

[6] *Szu King,* v, ks. xiv, 4.

[7] *Lun-ju,* xx, 3. Dr. Gutzlaff, rozbierając mowę króla T'ang'a, który panował w XVIII. w. przed Chr., pisze: „Jego częste wzywania Szang Ti dają do myślenia, że był pobożnym księciem i miał niejakie pojęcia o prawdziwym Bogu“. *China Opened,* vol. i, p. 306.

Co się tyczy ofiar składanych Szang Ti, widzieliśmy już, że wszyscy cesarze i królowie chińscy, począwszy od najdawniejszych czasów po dziś dzień, składają ofiary Szang Ti, jednakże ponieważ składali i składają również ofiary swym najdawniejszym przodkom, zachodzi wątpliwość i pytanie zarazem, czy ofiary składane Szang Ti nie odnosiły się właściwie do jakiegoś ich dawnego przodka. Otóż, na mocy świadectw klasyków dajemy na to pytanie odpowiedź przeczącą.

Cesarz i królowie różnych dynastyj w Chinach wyprowadzali ród swój od przodków przedhistorycznych, jednakże w swych przesadnych genealogiach żadna dynastya nie przypisywała sobie pochodzenia od Szang Ti. Z tego też powodu panujący w Chinach, po wsze czasy, składali osobne ofiary Szang Ti a osobne dawnym swym przodkom: oddzielne były świątynie i obrzędy dla Szang Ti, a oddzielne dla zmarłych przodków. Klasycy w wielu miejscach o tem nas pouczają; przytoczymy tu tylko słowa Konfucyusza; oto co mówi[1]: „Przez obrzędy składane Niebu i Ziemi służyli oni Szang Ti, a przez obrzędy w świątyni przodków składali żertwy swym przodkom".

Świadectwo Konfucyusza jest nader ważne, raz dlatego, że stwierdza różnorodność obrządków, a nadto, iż wyróżnia w szczególny sposób pierwszy z nich.

Konfucyusz w swych dziełach niechętnie mówi o rzeczach nadnaturalnych, a nawet czysto duchowych; zapytywany pod tym względem przez swych uczniów, daje wymijające odpowiedzi, a przyparty koniecznością mówi o Najwyższej Istocie nieosobiście, używa wyrazu Niebo a nigdy Szang Ti, chyba że przytacza dosłownie ustępy z Szu King i Szi King. Otóż, mówiąc o ofiarach składanych „Niebu i Ziemi", tj. o ofierze składanej przez cesarza w świątyniach Tien-tang i Ti-tang, jeden, jedyny raz Konfucyusz używa wyrazu *Szang Ti*. Już za czasów Konfucyusza pojęcie o Szang Ti było zamglone a raczej zatarte, nie rozumiano jego znaczenia, nie rozumiano również znaczenia ofiary składanej Szang Ti

[1] *Czung-jung*, XIX, 6.

przez cesarza. Konfucyusz przyznaje się do tego. Czytamy w Lunju [1]: „Zapytał ktoś o znaczenie wielkiej ofiary. Mistrz odrzekł: ‚Nic nie wiem. Ten, któryby znał jej znaczenie, mógłby łatwo rządzić światem, miałby wszystko jak na dłoni'". Niepospolity umysł uczonego chińskiego domyślał się tylko wielkiego znaczenia ofiary, ale się nie wzniósł do jej rzeczywistego pojęcia. Dzisiejszy rytuał, według którego cesarze chińscy składają ofiary Szang Ti, jest bardzo wymowny; słowa, jakie cesarz wygłasza, wyrażają dobitnie, że Szang Ti jest Najwyższą Istotą, pojętą na modłę prawie chrześcijańską, lecz, niestety, rytuał ten pochodzi dopiero z XVI. w. naszej ery, a stąd nie można być pewnym, czy pojęcia chrześcijańskie nie wpłynęły na jego układ.

Teksty wyżej przytoczone przekonywają dostatecznie, że wyraz Szang Ti nie był używany w znaczeniu „rządcy ziemskiego"; co więcej, pokazują, że Szang Ti był nietylko rzeczywistym „Rządcą", lecz „Rządcą Najwyższym", a przebywał w niebie. Na ten wynik zgadzają się niemal wszyscy sinologowie i historycy europejscy; przyznają, że Szang Ti był jednym z duchów, lecz odmawiają mu znaczenia Najwyższej Istoty; otóż obecnie poszukamy w klasykach tekstów, któreby nam wskazały dodatniejsze atrybuty Szang Ti.

Jeżelibyśmy mogli stwierdzić tekstami klasycznemi, że Szang Ti uważany był za Stworzyciela, wówczas nie byłoby wątpliwości, że pojęcie Szang Ti odnosi się do Najwyższej Istoty; lecz wobec stanowczych twierdzeń biegłych bardzo sinologów [2], czyż można liczyć na powodzenie! Spróbujemy jednakże, pomimo przewidywanych trudności.

[1] Ks. III, XI.

[2] ... „So ist es nicht zu verwundern, wenn wir in den King nirgends von einer Theorie der Schöpfung etwas lesen. Wenn nun Wuttke sagt: Die Idee eines frei der Natur gegenüber stehenden weltschöpferischen Gottes ist den Chinesen völlig fremd, für Schöpfer und Schöpfung hat die chinesische Sprache kein Wort und der erste Vers der Genesis lässt sich in's Chinesische gar nicht übersetzen, so kann man Ersteres zugeben". Dr. J. H. Plath, *Die Religion und der Cultus der alten Chinesen*, p. 761. Plath

Główne źródła klasyczne, na których oprzeć się możemy, są Szu King i Szi King; otóż, ponieważ pierwsza z tych ksiąg, jako kronika historyczna zajmuje się jedynie działalnością panujących, druga zaś zawiera apologetyczne pochwały mędrców i mężów stanu, nie było zatem wielkiej nadziei znalezienia w nich ustępów odnoszących się do naszego przedmiotu. Nadspodziewanie jednakże, tak w jednej jak i w drugiej księdze znajdujemy teksty, nieliczne wprawdzie, ale które i same przez się, a szczególnie dzięki komentatorom, przekonywają, że Tien albo Szang Ti powołał lud do życia, dał mu dary przyrodzone i zmysł moralny.

Niebo rodzi lud [1].

Niebo, powołując do życia mnóstwo ludzi, uposażyło ich darami przyrodzonemi, do których przywiązało pewne prawa [2].

Tang mówi: Dostojny Szang Ti dał najniższemu nawet ludowi zmysł moralny i dlatego natura jego dobra jest; obowiązkiem jest panującego ułatwić ludowi postępowanie według tych wskazówek [3].

Niebo niewidzialne dało przywileje ludzkości i dopomaga do ich harmonijnego rozwoju w różnych okolicznościach [4].

Jakże jest wielki, niezmierzony jest najwyższy Pan i Stworzyciel wszechrzeczy, ten który dzierży człowieka pod swą władzą! jakże jest

zna gruntownie piśmiennictwo chińskie, dzieła jego są wzorem ogromnej, mrówczej pracy, na jaką człowiek zdobyć się może, z tem wszystkiem nie przedstawiają rzeczywistego stanu dawnych pojęć religijnych Chińczyków. Plath miesza razem wszystkie stadya, jakie przechodziła religia w Chinach, przytacza mnóstwo ustępów pisarzy chińskich, bez rozróżnienia epok, stąd też wnioski, jakie wyprowadza, nie są ani jasne, ani prawdziwe.

[1] Te słowa mają pochodzić z ust Czung-hui, ministra cesarza T'ang z XVIII. w. przed Chr., a zapisane są w *Szu King*, IV, ks. II, 2.

[2] Ob. *Szi King*, III, ks. III, pieśń 6, pochodzi z IX. wieku przed Chr. Legge tłumaczy: „Heaven gives birth to mankind"; Pauthier zaś: „Les mortels ont été tous crées et engendrés par le ciel".

[3] *Szu King*, IV, ks. III, 2.

[4] *Szu King*, V, ks. IV. Komentatorowie w rozmaity sposób wykładają ten ustęp; bardzo ciekawy jest wykład uczonego chińskiego Jing-ta. „Lud był stworzony przez Najwyższe Niebo; tak ciało jako i dusza są darami Nieba. Ludzie mają ciało materyalne a duszę rozumną, Niebo dopomaga im, wspiera ich w życiu. Słowa ich i czynności, ubranie i pożywienie, wszystkie ruchy powinny odpowiadać darom przyrodzonym, które im Niebo udzieliło".

straszny, godny jest, żeby się go bano i czczono zarazem... Niebo udarowało nas życiem [1].

Niebo i Ziemia jest rodzicielem wszystkich istot; ze wszystkich zaś istot człowiek jest najwyżej uposażony [2].

Pozostaje nam jeszcze księga Yi King.

Yi King nie jest wprawdzie najstarszą księgą, sięga bowiem XII. tylko wieku przed Chr., ale jest księgą najwierzytelniejszą, nie uległa bowiem wraz z innemi zniszczeniu, dokonanemu na rozkaz osławionej pamięci Czin-sin w 213 r. przed Chr. Jednakże, jak wiadomo, sam tekst tej księgi jest enigmatyczny, a „Dodatki" *(Appendices)*, które mają pochodzić od Konfucyusza, a niektóre z nich może od wcześniejszych autorów, jakkolwiek odsłaniają nieco rąbek tajemnicy, nie są wszakże dość jasne, komentatorzy dopiero późniejsi przyczyniają się do wyjaśnienia wątku.

Dodatek V., paragr. 8—10, objaśniający heksagramy tekstu, mówi o „dziełach dokonywanych przez Boga w przyrodzie w ciągu całego roku". Autor Dodatku używa wyrazu Ti. Według komentatora Czu-Hi, „przez wyraz Ti, autor rozumiał Pana i Rządcę Nieba". Inny kronikarz Wang-Pi, z III. w. naszej ery, mówi wyraźnie: „Ti jest Panem, który wyprowadza (wszystkie) rzeczy, jest sprawcą pomyślności i wzrostu". Podobne wyrażenia znajdujemy w dziele słynnego komentatora Wan-Khung-czung: „Ti nie może być widzialnym, widzimy go tylko w rzeczach (które wyprowadza)".

Paragraf 9 tegoż Dodatku mówi o działalności Szang Ti w przyrodzie; „daje on świadectwo, pisze Legge [3], że Bóg odnawia postać ziemi na wiosnę i nie przestaje jej udzielać darów w ciągu roku".

W paragrafie 10 czytamy: „Kiedy mówimy Duch, rozumiemy przez to obecność subtelną we wszystkich rzeczach". Na

[1] *Szi King*, III, ks. III, p. 1. Plath tłumaczy ostatni ustęp: „Der Himmel hat dem Menschen das Leben gegeben". *Op. cit.*, p. 765.

[2] *Szu King*, V, ks. I, cz. I, 3. Legge pisze w komentarzu, że wyrażenie Niebo i Ziemia wzięte jest tutaj w znaczeniu „Nieba" *Tien*, albo Boga Szang Ti.

[3] *The sacred books of China, The Yi King*, p. 52.

te słowa komentator Liang Jin, z XIV. w. naszej ery, pisze: „Duch znaczy tu po prostu Ti. Ti jest osobowością Ducha; w czynnościach swych Duch jest Ti. Ten, który jest Panem ponad wszystko i rządzi wszystkiem, jest Ti; subtelna obecność i działalność Ti we wszystkich rzeczach dokonywa się przez jego Ducha“ [1].

Tien albo Szang Ti jest wszystkowidzącym:

Niebo śledzi uważnie wszystko, co się dzieje poniżej [2].

Dostojny Szang Ti zwrócił swe oczy ku ziemi i pogląda majestatycznie na przebieg wypadków... spostrzegł, że rząd nie spełnia swego obowiązku... postanowił nadać lepszych rządców [3].

Tam wysoko, gwiaździste niebo krąży około nas, przyglądając się naszym czynnościom, piętnuje te wszystkie, które nie są oparte na prawdzie i sprawiedliwości [4].

Szang Ti tak mówi do króla Wan: Przypatrywałem się uważnie twej świetnej cnocie, nie stara się ona o swą wielkość przez szerzenie próżnych słów i powierzchownych zalet; nie nadyma się wielkością, nie żąda nowości; nietylko nie chce być chwaloną, ale nawet nie chce być znaną od ludzi; (tym sposobem) stara się iść w ślady (swego) Szang Ti [5].

Szang Ti albo Tien jest nieomylny:

Rozporządzenia Nieba są nieomylne [6].

Najwyższe Niebo nie myli się i nie może być oszukane [7].

Drogi Szang Ti są niewzruszone [8].

Szang Ti jest dobry, pełen miłosierdzia, lecz zarazem sprawiedliwy, wynagradza dobrych a karze złych:

Któż może powiedzieć, żeby dostojny Szang Ti mógł kogo nienawidzieć [9].

[1] Ob. Legge, *Op. cit.*, Introduction.
[2] *Szi King*, III, c. I, p. 2.
[3] *Szi King*, III, c. I, p. 7.
[4] *Szi King*, IV, c. III, p. 3.
[5] *Szi King*, III, c. I, p. 7.
[6] *Szu King*, IV, ks. III, roz. 3, n. 3.
[7] *Szi King*, III, c. I, p. 7.
[8] *Szu King*, IV, ks. IV, roz. 3, n. 8.
[9] *Szi King*, II, c. IV, p. 8.

Niebo obdarzyło nas bardzo obfitem żniwem i bogatemi zbiorami [1].

Postępowanie Szang Ti nie jest jednakowe (ze wszystkimi ludźmi): dobrym zsyła tu wszelkie błogosławieństwa, złym zaś zsyła tu wszelkie nieszczęścia [2].

Drogą (rzeczą) jest dla Nieba, błogosławić dobrym i karać złych [3].

Ju daje różne rady cesarzowi Szun i obiecuje mu, skoro je wypełni: „otrzymasz świetne dary od Szang Ti. Czyż Niebo nie odnowi ci swych względów i swych błogosławieństw“ [4].

Niebo, które jest pełne miłosierdzia, wzbudza w nas trwogę... mści się, otacza nas splotami nieszczęść [5].

Najwyższe Niebo prowadzi nas statecznie, na podobieństwo rwącego potoku porywa złych i przywodzi na zatracenie [6].

Jakże wielki jest Bóg, który rządzi tu ludźmi na ziemi! Jego surowe postępowanie jest dla nas niezrozumiałe, ze drżeniem uchylamy się od jego biczów. Lecz ludzie wzięli z Nieba swój byt, do którego przywiązana była zmienność. W dzieciństwie wszystkie serca są dobre i prawe, czas dopiero i okoliczności zmieniają te serca [7].

Do tych tekstów ze starych klasyków dodać tu należy zapatrywania komentatorów czasów późniejszych, mianowicie zaś, co oni utrzymują o wyrażeniu *Szang Ti,* które po raz pierwszy wymienione było w „Kanonie Szun'a“.

Uczony chiński Kang-szing pisze, że „Szun złożył wówczas ofiary Szang Ti na okrągłym pagórku, tj. na miejscu, w którem cesarze zwykli odbywać nabożeństwo w czasie jesiennego porównania dnia z nocą i takimże samym co cesarz obrzędem“. Gan-Kuo mówi, że przez Szang Ti należy rozumieć „Niebo i Pięć Ti“ [8]. Wang-Suh utrzymuje, że Szang Ti wzięty jest tu w zna-

[1] *Szi King,* IV, c. V, p. 2.
[2] *Szu King,* IV, ks. IV, roz. III, 8.
[3] *Szu King,* IV, ks. III, roz. II, 3.
[4] *Szu King,* II, ks. IV, roz. I, 2.
[5] *Szi King,* III, c. III, p. 11.
[6] *Szi King,* III, c. III, p. 2.
[7] *Szi King,* III, c. III, pieśń 1.
[8] Doktryna o *Pięciu Ti* powstała za dynastyi Czeu; co miały oznaczać te Pięć Ti, nie jest dobrze dziś wiadomo: niektórzy utrzymują, iż ta osobowość była manifestacyą Szang Ti, inni że jest całkiem różną od Szang

czeniu Tien. Komentator Ma-Jung pisze: „Szang Ti jest J e d e n W i e l k i; duch jego przebywa w pałacu Ce-nej... jest najpotężniejszy między niebieskimi władcami“ [1].

Zbierając razem świadectwa klasyków widzimy, że Szang-Ti jest Panem nieba i ziemi, przemieszkuje w niebie wraz z wybranymi, powołał ludzi i wszystkie inne istoty do życia, widzi wszystko, nie myli się i nie może być oszukany, królowie składają mu ofiary i modlą się do niego; rządzi światem, nazywany jest „Najwyższym Rządcą“, przeznacza na królów lub ich usuwa z tronu, jeżeli byli złymi, nienawidzi złego, sprowadza pomyślność na kraj a karze go klęskami. Jeżeli nadto weźmiemy na uwagę, że pisarze klasyczni nie wspominają żadnej innej osobistości, którąby posiadała takie atrybuty; jeżeli sobie przypomnimy, że Chińczycy nie znali bałwanów, nie przedstawiali Szang Ti pod żadną postacią (antropomorfizm był im całkiem obcy, o boginiach nie było mowy); jeżeli sobie przypomnimy, że ofiary, jakie król składał Szang Ti, były proste a i wzniosłe zarazem, podobne do ofiar pierwszych patryarchów, że ofiary z ludzi i obrzędy bezecne, jakie charakteryzowały religię chamicką [2], nie były znane Chińczykom: wówczas musimy zawnioskować z Legge'm, że „Ti był dla przodków chińskich tym sa-

---

Ti. Doktryna o Pięciu Ti od dawna zniknęła w Chinach, pozostały tylko o niej ślady w Taoizmie. Dr. Edkins w *Companion on the Shanghái Almanac* mówi, że według Taoistów „Pięć Ti przebywają po lewej stronie gwiazdy Tai-yi, dlatego należy składać ofiary tej gwiaździe“.

[1] *Record of Rites,* Pt. IV, 4. Ob również Legge, *The Chinese classics,* vol. III. pt. I, p. 34.

[2] „Eine Würdigung der alten chinesischen Religion u. s. w. gegenüber denen anderer Culturvölker möchte ihr nicht zum Nachtheile gereichen. Wir finden hier nicht die Gräuel der Menschenopfer Mexiko's, noch des Phönicischen Molochdienstes oder die wollüstigen Ausschweifungen der Religionen Syriens und Kleinasiens, nicht die Fratzen der indischen Götzen mit ihren überschwenglichen Fabeln, noch den Thierdienst und die wunderbaren Göttergestalten der Aegypter; selbst die griechischen Göttergestalten mit ihren Fabeleien, die schon Plato aus seiner Republik verbannt haben wollte, würde er hier nicht zu bekämpfen gehabt haben“. Plath, *Die Religion und der Cultus der alten Chinesen.* Zw. Abth., S. 960.

mym, co Bóg dla naszych ojców, kiedy po raz pierwszy usta ich wymówiły to imię“ [1].

Nie wszyscy sinologowie podzielają to zdanie; pozytywiści szczególniej utrzymują, że lud chiński w tak starej dobie nie mógł dojść do tych wzniosłych pojęć religijnych, co się potwierdza i tem, jak mówią, że jakkolwiek Chińczycy oddawali podówczas cześć Szang Ti, lecz w tymże samym czasie oddawali cześć również innym duchom czy bożkom. Na te zarzuty dajemy taką odpowiedź:

A najprzód, pozytywiści wychodzą z założenia, że pojęcia religijne rozwijały się wśród ludów z postępem czasu w tem znaczeniu, że pierwotnie istniały jakieś niedość uchwytne pojęcia bóstwa, którego wyrazem był fetyszyzm, następnie dopiero uszlachetniały się te pojęcia i przez wielobożność ludy wreszcie dochodziły do pojęć jednobożnych. Otóż, ta przesłanka, całkiem apryorystyczna, sprzeciwia się wprost Pismu św. i nigdzie nie została stwierdzoną faktami historycznemi — dlatego odrzucamy ją jako całkiem błędną.

Drugi zarzut znajduje podstawę w piśmiennictwie chińskiem. Prawdą jest, że Szun, jak wspominają klasycy, składał ofiarę Szang Ti, a zarazem składał również ofiary bożkom i duchom.

Czytamy mianowicie [2]:

Potem, ofiarował on (Szun) przedewszystkiem, lecz w zwykły sposób, Szang Ti, złożył ofiary sześciu Świętościom, ofiarował odpowiednie żertwy pagórkom i rzekom; i rozciągnął swe nabożeństwo do pocztu duchów.

[1] *The Religions of China,* p. 11. To samo utrzymuje profesor uniwersytetu w Lowanium: „Les premiers Chinois n'adoraient ni le ciel matériel, ni des objets de terreur, ni les monts, les rivières ou les arbres. Ils croyaient à un Dieu personnel, souverain du ciel et des hommes, maitre des empires qu'il donne ou enlève à son gré, selon les mérites ou les fautes des princes, providence veillant sur les bons pour les combler de bien et punissant les méchants sur cette terre... Ce Dieu, qu'ils apellaient ‚le suprême Empereur', *Shang Ti,* était bien, pour eux, le seul personnage divin“... Mgr. de Harlez, *Les religions de la Chine,* p. 86.

[2] *Szu King,* II, ks. I, roz. III, 6.

O innych panujących kroniki zapisują to samo, stąd musimy przyjąć, że najdawniejsi królowie i cesarze chińscy obok Szang Ti czcili inne jakieś duchy. Otóż wobec tego wyniku, czyż można przypuścić, żeby pojęcie Szang Ti mogło być tak wzniosłe, jak zdają się pokazywać teksty, że Szang Ti był uważany za Istotę Najwyższą? Odpowiedzi na to pytanie poszukamy w dziejach innych ludów.

(Dok. nast.).

*Ks. W. Zaborski.*

# KSIĄDZ KAROL ANTONIEWICZ.

## X.

### Misye na Szląsku.

W czasie parokrotnego pobytu Antoniewicza w niemieckich Piekarach, toczyły się raz po raz między polskim gościem, pracującymi stale w Piekarach Jezuitami, a znanym już nam ich gospodarzem, ks. Fieckiem, ożywione rozprawy na apostolski temat: co i jak zrobićby jeszcze można, należało, dla ożywienia wiary i pobożności na Górnym Szląsku. Antoniewicz opowiadał o misyjnych swych wyprawach po galicyjskiej rzezi i odnoszonych przez nie cudownych zwycięstwach, dziwnych tryumfach łaski bożej; O. Lipiński, gotujący się do brazylijskiej wycieczki, rozczytywał się w sprawozdaniach tamtejszych misyonarzów i cieszył się z góry na czekającą go za oceanem misyonarską pracę; ks. Fiecek odczytywał ze szląskich gazet pocieszające sprawozdania o błogich skutkach misyj, dawanych w sąsiedniem hrabstwie Kładzkiem przez Redemptorystów. Z rozmów tych, z czytań nietrudno już było przyjść do praktycznego wniosku: co dobre dla Galicyi, dla zamorskich krajów, dla sąsiednich czesko-niemieckich powiatów, czemuż dobremby być nie miało dla polskiego ludu na Szląsku, czemuż i jemu tej uczty dla duszy nie zgotować? Ks. Fiecek — jak na „apostoła Szląska“ przystało — chwycił się całem sercem tej myśli, i jak poprzednio, postępując sobie niejako wbrew wszelkiej ludzkiej roztropności,

wziął się do budowania wspaniałej świątyni dla N. Panny i świątynię wybudował, tak teraz, na trudności nie zważając, nie lękając się ani grasującej wokoło cholery, ani gorszej od niej ludzkiej niechęci, ludzkiej małoduszności, misyami Szląsk zasiał.

Ogólny plan przyszłej letniej i jesiennej kampanii ułożony został w klasztorze staniąteckim, gdzie ks. Fiecek zjechał się w styczniu 1851 r. z Antoniewiczem i paru innymi ojcami. Zdaje się, że początkowo zamierzano rozpocząć pierwszą z rzędu misyę w Piekarach już w maju; później zdecydowano się na lipiec. Prócz Antoniewicza, naznaczonego przełożonym misyi, mieli brać w niej udział: OO. Praszałowicz, Wojtechowski, Peterek, Kurowski, Załęski, Czeżowski. „Ja stąd — uwiadamiał nasz misyonarz przyjaciół[1] — wyjeżdżam w poniedziałek, 14 lipca. Smutno mi porzucać Kraków, bo ja Kraków tak całem sercem kocham, a w tej chwili jest to miasto tak urocze, bo ciche, smutne; jest to miasto Jeremiasza: ‚Jako siedzi sama i płacząca'. Jadę wprost stąd do Piekar i z wagonu wprost na ambonę. O! żebym tak mógł całe życie podzielić między amboną, ołtarzem, konfesyonałem; gdybym ciągle mówić mógł o miłosierdziu bożem, jak dobry jest Bóg i jak drogi i słodki krzyż Jego; modlić się za ludzi i w imieniu bożem odpuszczać grzechy ich!“...

Pragnienia te i marzenia spełniły się. Jeśli i dotąd całe życie O. Karola od lat kilku dzieliło się do pewnego stopnia między ambonę, ołtarz, konfesyonał, to teraz opowiadanie miłosierdzia bożego, odpuszczanie grzechów w imieniu bożem, modlitwa za grzeszników i zbłąkanych bez żadnej już ujmy miała je wypełnić. Misye rozpoczęte w Piekarach, szły nieprzerwanym ciągiem jedne po drugich; błogosławieństwo, łaska boża, wytrysnąwszy jakby ze źródła u stóp cudownego przybytku Maryi, płynęła bez przerwy coraz głębszą, coraz szerszą rzeką przez Szląsk, potem przez Poznańskie. Wszystkie stany jednoczyły się i kupiły koło krzyża, dobra nowina przez misyonarzów głoszona wstrząsała wsiami, miastami, odbijała się stokrotnem echem po najdalszych zakątkach; nowy duch wstąpił w tłumy, nowe wielkie światło

[1] Do ks. Sapieżyny. 12 lipca.

zajaśniało na niebie, światło wiary i miłości. Błogosławione, szczęśliwe były to miesiące, prawdziwie jubileuszowe; miesiące, w których dzieło religijnego odrodzenia szybszym krokiem postąpiło naprzód, niż kiedyindziej przez długie szeregi lat; miesiące łaski i miłosierdzia bożego, o których po dziś dzień przechowała się w pałacach i pod strzechami, przekazywana z pokolenia pokoleniu, rzewna pamięć.

Co to jest misya, jaki jej cel, czem i jaki wpływ wywiera na umysły, na serca, na życie? Pytania te obijały się raz po raz o uszy naszemu misyonarzowi; obijały się i odpowiedzi bardzo różnorodne, nieraz bardzo oryginalne, podobne do tych, które i dziś słyszeć można o parę zaledwie mil za rosyjskiemi granicznemi słupami, dokąd misyonarski pług napróżno przedrzeć, przekraśćby się kusił. Jak dzisiaj, niestety! tam, tak wtedy w całej niemal Polsce, słowo: „misya", „misyonarz", wzbudzało jakieś bliżej nieokreślone pojęcie, przerażające tajemniczością, wyrwane z krainy mitów i legend. Antoniewicz podniósł tę tajemniczą, szkodliwą dla sprawy zasłonę, odpowiedział na stawiane pytania, na tłoczące się, jeśli nie zawsze do ust, to do umysłów wątpliwości, w paru, w tym mniej więcej czasie wydanych broszurach [1]. Szły one przed misyonarzami, drogę im gotując; przypominały po ich odjeździe otrzymane nauki i głębiej w sercach je wypisywały.

„Aby obudzić — poucza i przypomina — nowe zbawienne życie, trzeba obudzić wiarę; trzeba działać i na myśl, i na serce i na wolę — wstrząść całym człowiekiem, aby go z tego ospałego ocucić stanu; bo jako w gwałtownej chorobie łagodzące tylko środki nie są dostateczne do przywrócenia zdrowia choremu, tak

[1] „Misya czyli przysposobienie się do misyi, jej działania i skutki". W Lesznie 1852. Pierwsze wydanie tej książeczki opuściło prasę również w Lesznie p. t.: „Misya w Krobi r. 1852 od 1 do 10 maja".

„Misya wiejska". Kraków 1851. W wydawnictwie dzieł katolickich. Drukiem Teodora Heneczka w N. Piekarach.

„Pamiątka misyi górno-szląskiej odbytej r. 1851". Piekary Niemieckie 1851. Broszurę tę przełożył na język niemiecki Antoni Schwarzmann i wydał p. t.: *Karl's Antoniewicz, Vorgesetzten der im Jahre 1851 in Oberschlesien abgehaltenen Missionen, Missions-Erinnerung, aus dem Polnischen übersetzt.* Breslau. Aderholz. 1852.

i w dzisiejszej gwałtownej ludu chorobie, trzeba energiczniejszych użyć środków do wykorzenienia złego, do zaszczepienia dobrego. Pojedyńcze, choćby najstosowniejsze i najgorliwsze kazania niedzielne i świąteczne, toż samo i katechizacye najjaśniej wyłożone, nie są dostatecznemi środkami do dopięcia tego celu; są to albowiem wrażenia chwilowe, przemijające, które od niedzieli do niedzieli zatrą się w sercu i pamięci; serce rozegrzane prędko wystyga i dobre postanowienia nikną, nie wydawszy żadnego owocu, gdy tymczasem też same nauki, związane, złączone w jedną całość, i jakby jednem nieprzerwanem ośmiodniowem pasmem wysnute, najzbawienniejsze mogą wydać owoce...

„W takiej ciągłej siedmiodniowej nauce, cała istota wiary i prawodawstwa chrześcijańskiego łatwiej i zwięźlej może być wyłuszczoną jak w pojedyńczych odrębnych wykładach — a przy roztrząśnieniu dokładnem sumienia wedle przykazań boskich, każdy w swojem sumieniu jakby w zwierciedle przejrzeć się potrafi! Przy takiem nabożeństwie i ciągłem rozważaniu prawd wiecznych i nieustającej modlitwy, łaska boża widocznie działa — co się zawsze okazuje z licznych i zadziwiających częstokroć nawróceń! Mówią niektórzy: ‚lud zepsuty, ciężko tyle złego wykorzenić'; ach, właśnie dlatego, wszelkich do uskutecznienia tego potrzeba użyć środków! A czego pojedyńcze pojedyńczych, choćby najświatlejszych, najgorliwszych kapłanów starania i prace uskutecznić nie zdołały, to wspólne połączenie i skupienie sił i modlitw dokazać może"...

Taki cel, takie skutki misyi; następne stronice malują nam jej obraz. Rozpoczyna się zazwyczaj w sobotę wieczorem. Umajony kwiatami, rzęsiście oświecony kościół ściągnął pobożnych i ciekawych; odzywają się organy i cały zebrany lud śpiewa litanię do Matki Boskiej, błagając Jej pomocy, o błogosławieństwo prosząc. Po litanii miejscowy proboszcz zdejmuje ze siebie stułę i wręcza ją przełożonemu misyonarzów, powierzając mu niejako w ten sposób zarząd parafii na cały czas misyi. Przełożony przemawia do ludu, ogłaszając, co to jest misya i jakie jej korzyści; zwraca się najprzód do całego ludu, potem do gospodarzów i gospodyń, do przełożonych gminy i poddanych, do

ojców i matek, do dzieci, czeladzi, okazuje, jak każdy potrzebuje tego zbawiennego czasu do zebrania swych myśli, lepszego poznania swych obowiązków i pojednania się z Bogiem. Po nauce jeden z kapłanów udziela błogosławieństwa Najśw. Sakramentem, a jednocześnie kaznodzieja z ambony głośno się modli, a lud za nim powtarza:

Chwała i dziękczynienie bądź w każdym momencie
Jezusowi w Najświętszym, boskim Sakramencie!
Ile minut w godzinie, a godzin w wieczności,
Tylekroć bądź pochwalon Jezu — ma miłości!

Podobnem wieczornem nabożeństwem i błogosławieństwem udzielonem na środku kościoła, lub z ambony, gdy misya odprawia się na cmentarzu kościelnym pod gołem niebem, kończą się każdego dnia misyjne nauki. Opuszczając kościół, lud śpiewa pieśń nabożną; zazwyczaj rzewną: „Dobranoc Głowo święta...“ i t. d.

Z pierwszemi promieniami wschodzącego słońca, kościelne dzwony budzą pobożnych i do modlitwy wzywają: „Oto znak wielkiego króla, chodźcie, pokłońmy się Panu!“ Na wszystkich drogach, dróżkach wiodących do kościoła, rojno, ale cicho, bo każdy zatopiony w myślach o ważnych, najważniejszych sprawach, od których zależy wieczne zbawienie jego duszy. Przed ołtarz wychodzi kapłan i śpiewa Mszę św.; zebrani gorąco razem się z nim modlą, bo dobrze czują, że w tem dziele łaski bożej, wszystko od łaski, od miłosierdzia boskiego zawisło. Cztery, czasem pięć nauk dziennie odświeża w pamięci najgłówniejsze prawdy wiary; zmusza do zastanowienia się: dlaczego żyjesz, jak żyjesz, a jak żyć powinieneś? Jeden z misyonarzów odsłania groźne tajemnice rzeczy ostatecznych; pokazuje, czem jest odstąpienie od Boga, czem grzech i jakie jego skutki, prowadzi przed oblicze śmierci, na sąd boży, przed bramy piekła. Drugi poucza, jak żyć, aby śmierci się nie lękać, na sądzie bożym zostać usprawiedliwionym, ogni piekielnych uniknąć; przechodzi kolejno przykazania boże i kościelne, zastosowuje je do potrzeb, do sposobu życia swych słuchaczów i wespół z nimi do najgłębszych tajników sumienia zagląda. Trzeci, skruszonego już grzesznika, poznającego dobrze swą biedę, za rękę niejako bierze i prowa-

dzi do miłosierdzia bożego; uczy, jak ma z grzechów swych w szczerej spowiedzi się oczyścić, jak za nie serdecznie żałować, jak na przyszłość chronić się nietylko od grzechów, ale i wszystkich okazyj do nich wiodących. Czwarty lub któryś z poprzednich wykłada w przystępny sposób raz, albo i dwa razy na dzień naukę katechizmową, o ile można, osobno małym dzieciom, osobno podrastającym chłopcom i dziewczętom, a osobno starszym parobkom, dziewczętom, gospodarzom i gospodyniom [1].

Jednym z najgłówniejszych celów misyi jest oczyszczenie sumienia przez gruntowną, a jeśli tego zachodzi potrzeba, przez generalną spowiedź. W pierwszych paru dniach nie dozwala się biorącym udział w misyi, do spowiedzi przystępować, ponieważ i serce ich niedość jeszcze skruszone, i rozum niedość oświecony, z czego i jak się spowiadać; w następnych dniach równie misyonarze, jak i przybyli z okolicy do pomocy kapłani, przebywać muszą dzień cały, często do późnego wieczora, w konfesyonale, aby zbierać owoce z rzuconego na ambonie nasienia. Na końcu misyi, czasami w środku i na końcu urządzona bywa genaralna Komunia św. z osobną przemową, tłumaczącą, czem jest Sakrament Ciała i Krwi Pańskiej, jaką miłość Pan Jezus nam w nim okazuje, jak do niego się przygotowywać, jak zań dziękować należy.

Wśród ciągłej modlitwy, rozmyślania o Bogu i duszy, zagłębiania się we własne sumienie, szybko zbiega tydzień misyjny. I oto nadchodzi znowu niedziela, która jak rozpoczęła, tak zakończyć ma ten niezapomniany czas łaski. Na przedpołudniowej nauce misyonarz zachęca do wiernego wytrwania w powziętych przedsięwzięciach; pyta, kto Bogu chce przyrzec, że odtąd nigdy, zwłaszcza pijaństwem, Stwórcy swego nie obrazi. W czasie uroczystej Mszy św. lud staje pod czterema chorągwiami: młodzież, nadzieja kraju i Kościoła, pod zieloną; mężczyźni, stali, stateczni

[1] Porządek ten w głównych zarysach zachowywany bywa po dziś dzień na misyach ludowych, naturalnie z pewnemi zmianami zależnemi od pory roku, liczby misyonarzów, wyższego lub niższego stopnia wykształcenia słuchaczów i t. p.

pod niebieską; panny pod białą, bo kolor ten symbolem niewinności; mężatki i wdowy pod czerwoną, bo ta znowu barwa jest znakiem męczeństwa, cierpliwości. Wieczorem, po nieszporach, wyrusza z kościoła uroczysta procesya, na miejsce gdzie ma być wzniesiony krzyż misyjny, jako trwała pamiątka łask otrzymanych w tych dniach miłosierdzia, jako ustawiczne przypomnienie obietnic złożonych w tym czasie u stóp Jezusowych. Krzyż to wielki, zazwyczaj dębowy, z wizerunkiem przybitego doń Zbawiciela, z blaszanym obrazkiem Matki Boskiej Bolesnej, pod stopami Chrystusowemi przytwierdzonym. Niżej, lub na ramionach krzyża wyryty napis: Pamiątka misyi, odbytej w roku...; dalej dzień postawienia krzyża i nazwisko wioski. Lud staje jakby w czterech oddziałach pod czterema swemi chorągwiami i słucha słów kaznodziei, wykładającego z polnej ambony tajemnicę krzyża, dzielność krzyża, chwałę krzyża. Po skończonej nauce pada na kolana i raz jeszcze za otrzymane łaski dziękuje, obietnice swe powtarza. A tymczasem krzyż wzniesiony w górę, wpuszczony w ziemię, wyciągnął już swe ramiona do błogosławieństwa nad tłumem klęczącym, modlącym się, pieśniami, łzami wychwalającym Pana.

Właściwa misya skończona; ale wśród zwycięskiego tego pochodu wojującego Kościoła, nie należy o cierpiącym zapominać. Dlatego nazajutrz, w poniedziałek, zbiera się raz jeszcze lud pobożny bądź w kościele, bądź przed cmentarną kaplicą, bądź przed wystawionym na cmentarzu ołtarzem na żałobne nabożeństwo za wszystkich na parafialnym cmentarzu odpoczywających. Po uroczystej mszy żałobnej wstępuje ksiądz na jedną z wyższych mogił i w krótkiej nauce streszcza katolicką naukę o czyścu, zachęca do pomagania duszom cierpiącym w ogniach czyścowych modlitwą, postem, jałmużną. Jeszcze krótka, wspólnie odśpiewana pieśń, krótka wspólna modlitwa, i z cmentarza rozchodzi się lud do swych domów i domków, wraca do dawnej codziennej pracy, ale z jakże innem usposobieniem wraca, z jaką radością, że z Bogiem się pojednał, z jaką ochotą, bo ze zrozumieniem, że pracuje z woli bożej, dla bożej chwały, dla własnego szczęścia.

Tak odbyła się misya w Piekarach; tak później wszędzie,

gdzie zawitała misyonarska gromadka, niosąc ze sobą pokój, błogosławieństwo. „Prawda, ludu górnoszląski — pytał Antoniewicz w serdecznej „Pamiątce misyjnej“ dla Górnoszlązaków ułożonej — prawda, piękny był czas, ten czas misyi?... To tak, jak kiedy kto drzewem potrzęsie, a krople deszczu gęsto spadają z gałęzi: tak w tych czasach Bóg wstrząsnął sercami naszemi, a oczy wydały łez pokutnych zdroje. Jakie to w tych czasach obudziło się między nami życie wiary, nadziei, miłości! Z blizkich i odległych wiosek i miasteczek ciągnęły liczne procesye, święte śpiewając pieśni, że te głosy po całym Górnym rozchodziły się Szląsku i aż do nieba się wzbijały. Wszyscy się witali, kochali, radowali w Panu. To było tak, jak niegdyś, za czasów Pana Jezusa, gdy wielkie rzesze szły za Nim, aby posłyszeć słowo Jego; tak też i w tej misyi lud szedł tłumnie za słowem Jego...“

„Misya rozpoczęła się w Piekarach. A gdzież indziej lepiej i zbawienniej rozpocząć się mogła, jeśli nie tam? Komuż na Górnym Szląsku zamieszkałemu te Piekary nie są znane? O znają je i dalej i aż za morzem. Gdzież więc lepiej ta misya rozpocząć się mogła, jeśli nie tu, pod błogosławieństwem Najśw. Maryi Panny, która sobie to miejsce obrała, aby pełną dłonią łaski i dary swoje tu rozdawać? Oj! Ona to, Ona zapewne dla ciebie ludu górnoszląski wyprosiła tę łaskę misyi świętej, jakoby chciała wynagrodzić tobie, żeś z krwawo zarobionego grosza twego przyczynił się do wystawienia, tak wspaniałego, na Jej cześć i chwałę, kościoła!“

„Misye w Piekarach — pisał pod świeżem wrażeniem jeden z misyonarzów [1] — widocznie Bóg błogosławił. Pożytki, jakie przyniosła, samemu tylko Panu Bogu wiadome; ile jednak ze skutków po ludzku sądzić możemy, my, cośmy do niej należeli, są niezmierne. Trwała dni ośm. Ponieważ Piekary położone są na samej granicy polskiej, bo odległe tylko o paręset kroków, a i od Szląska austryackiego niezbyt oddalone, przeto mieliśmy lud z Rosyi, Prus i Austryi. Przychodził tłumnie ze wsi odległych o 15, 20 mil i z wielkiem zadowoleniem i pociechą powracał.

[1] O. Antoni Kurowski do pani Julii Kownackiej. 23 lipca 1851.

Nauki mieliśmy na cmentarzu koło kościoła; tylko przez dwa dni trzeba się było cisnąć w kościele dla słoty. Od ośmiu do dziesięciu tysięcy ludzi znajdowało się zawsze; pod koniec nierównie więcej. Na zakończeniu, przy stawianiu krzyża na pamiątkę misyi, przeszło 20.000 ludzi; miał podówczas kazanie ks. Antoniewicz. Płacz i jęk ludu, zgłodniałego słowa bożego, był nie do opisania przez cały czas misyi; spowiedzi po największej części generalne; radość i oświadczenia ludu ufać nam dozwalają, że prace nasze nie były daremne. Od rana do dziesiątej w nocy i później konfesyonały w oblężeniu. Jest nas tu teraz razem Jezuitów dziesięciu; wspierani przez trzech księży miejscowych i czasami przez księży z poblizkich parafij, nie możemy podołać natłokowi.

„Teraz dopiero poznajemy jasno wielką potrzebę misyi w tych stronach i dziwne zmiłowanie boże. Ludek bardzo łagodny, miłego charakteru. Tyle lat psuty przez Niemców, gorszony przez urzędników, protestantyzmem wokoło otoczony, dziwnym sposobem zachował swój język, swą narodowość, swą wiarę, potrzebował jednak nadzwyczajnego wstrząśnienia, aby to co już słabnieć poczynało, ożywiło się, co do upadku pochylone było, powstało. Zostając w dobrym bycie, mając urodzajną ziemię i tak obfitą sposobność zarobku w licznych fabrykach i kopalniach, łatwo mógł lud od Boga się odwrócić i zapomnieć o swem przeznaczeniu; dziś zrobione wszystko co było w siłach ludzkich, użyte wszystkie środki, któremi Kościół rozporządza dla podźwignięcia upadłego człowieka, i da Bóg, ziarno rzucone owoc przyniesie.

„Z różnych stron nadeszły zaproszenia na dawanie misyi...; wszędzie potrzeby wielkie, nalegania nieustanne. Ze strony rządu wszelka wolność, podczas misyi nie widać było ani komisarzów, ani policyjnych agentów; nie proszono o pozwolenie i nie było potrzeby dziękowania rządowi, czy za protekcyę jaką, czy za utrzymanie porządku, który bez żandarmów był jak najpiękniejszy. Masy ludu, czy to w czasie nabożeństwa, czy procesyi, na jedno skinienie kapłana poruszały się, stawały. Protestanci zrozumieć nie mogą, co to się dzieje...

„Kiedy podczas zimy — ciągnie Antoniewicz dalej pa-

miątkowe swe opowiadanie[1] — dużo się nazbiera lodu i śniegu, potrzeba długiego czasu, aby się stopił; ale kiedy raz słońce gorąco przygrzeje, wtedy ze wszystkich stron pęka zimowa skorupa, a wody pełnemi sączą się źródełkami, ziemia zieloną pokrywa się murawą, kwiaty kwitną, owoc dojrzewa. Tak to i z nami zwykle się dzieje... Misya, to jak wiosna po zimie. Łaska boża jako słońce rozgrzała serce i w pierwszych dniach słuchałeś ludu tych nauk z pilnością, ciekawością: co to nam nowego ci księża powiadają? I słowo szło do ucha, a ucho słuchało. I słuchałeś przez cały drugi dzień i słowo szło do rozumu, a rozum słuchał i chcąc niechcąc wyznać musiał: Oj! prawda to, co oni mówią, tak jest, a nie inaczej. I słuchałeś przez dzień trzeci i słowo szło do serca, a serce mówiło: Panie Jezu Chryste, już niepodobna mi dłużej opierać się tej łasce, którą mię ciągniesz do Siebie; — i lody pękły i potokami łez pokutnych przez oczy się przelały — serce nadzieją ożyło i zakwitły kwiaty dobrych postanowień. Daj Boże! aby jak najprędzej owoc dobrych uczynków wydały!

„Tak jak kupiec chciwie się dopytuje, kiedy i gdzie będzie jarmark, na którym spodziewa się wiele zysków uzbierać, tak też i ty ludu górnoszląski pytałeś skwapliwie: a kiedy, a gdzie będzie misya, na której spodziewałeś się sprawić wielki interes zbawienia duszy twojej. Gdzie? W Górach Tarnowskich. O jakież to miłe, ciche i swobodne miasteczko, te Góry Tarnowskie, w tej pięknością i bogactwem tak ubłogosławionej od Boga okolicy!...

„Wieczorem (26 lipca) przybyliśmy do Gór Tarnowskich. Miasto czyste, piękne, a kościół duży i wspaniały; jednak na czas misyi nie mógł objąć wszystkich, którzy do niebieskiego garnęli się Ojca, i dlatego ten Ojciec inne dla dzieci swoich nagotował miejsce. Pod gołem niebem stanął ołtarz i ambona i konfesyonał. Ołtarz, na którym ciągła, nieustająca odbywa się ofiara Nowego Zakonu, ambona, z której słowa prawdy do ludu się głosi, i konfesyonał, gdzie na syna marnotrawnego najmiłosierniejszy czeka Ojciec! Na cmentarzu obszernym, koło kościołka

[1] „Pamiątka misyi górnoszląskiej“, str. 17 np.

św. Anny, odbyło się to misyjne nabożeństwo, które wiem, że niewygasłą w duszach waszych zostawiło pamiątkę! I przez ten cały czas trwania misyi, niebo było tak błękitne i pogodne, stare lipy nie zaszumiały, i zdawały się z uszanowaniem przysłuchiwać słowom w imieniu Boga wyrzeczonym, i gęstym liściem ocieniały i mówiących i słuchających! Gorąco grzało słońce i gęste krople potu czoła pokrywały, ale goręcej grzała łaska boża i gęściejsze z ócz sączyły się łzy! Cicho było na cmentarzu, cicho jako w tych grobach, na którycheśmy stali...

„Mówią gospodarze: Dzięki Bogu teraźniejsze żniwa dobrze się udały, każde ziarnko obfity plon wydało; pełne będą gumna i stodoły nasze! A wy, o bracia, po tarnowskiej misyi, cóż powiecie? Aniołowie wasi powiedzieli z radością: Dzięki Tobie, Panie i Boże, żeś pobłogosławił tej ziemi! Żniwo misyjne na Górach Tarnowskich dobrze się udało. Każde ziarnko, każde słówko obfity plon w sercach wydało! Gumna i stodoły niebieskiego Gospodarza będą napełnione! O Panie, Tyś sam to uczynił, twoje to jest dzieło; Panie, Tyś kazał, a myśmy rozsiali słowo twoje, Ty mu daj wzrost i dojrzałość na żywot wieczny! O mieszkańce Gór Tarnowskich i poblizkich miejsc! czy pamiętacie, jako mając już po ukończonej misyi od was wyjeżdżać, jeszcze po raz ostatni w popołudniowej godzinie zebraliśmy się w domu bożym, a dając wam błogosławieństwo Przenajświętszym Sakramentem, ostatnie pożegnawcze do was wyrzekłem słowa; a serce było tak pełne wdzięczności ku Bogu, miłości ku wam! Obcy, nieznani przybyliśmy do was, a żegnaliśmy was jak ci, którzy się znają od pierwszych lat życia swego; więcej, jako brat od brata, siostra od siostry się żegna, jako dzieci jednego Ojca, Boga, i dzieci jednej Matki, Kościoła świętego“...

Po ukończonej misyi, Antoniewicz w listach pisanych do przyjaciół, do zakonnych braci, wzywał ich:

„Podziękujcie ze mną Bogu za to wielkie miłosierdzie, jakie nad tym ludem szląskim ukazał. To jest coś niepojętego; tylko w konfesyonale poznać można te niedocieczone drogi łaski i Opatrzności bożej... Tu każda chwila waży się jak złoto, bo w niej można Bogu duszę zbawić. Bawimy tu już od dwóch

tygodni; słuchamy spowiedzi jak przykuci od rana do nocy, a kościół dziś jeszcze jak w oblężeniu...

„W niedzielę, w późny wieczór, po postawieniu krzyża misyjnego, górnicy, których tu jest kilka tysięcy, w świątecznych strojach, z pochodniami sprawili nam *Fackelzug*, śpiewając górnicze pobożne pieśni, a gromada dzieci wieńcami nas zasypała. W poniedziałek zakończyłem tu misyę nabożeństwem żałobnem i nauką, i zaczęliśmy zaraz we dwóch trzydniówkę u kryminalistów. Jutro w więzieniu msza solenna, komunia i trzy nauki, poczem zaraz wyjeżdżamy do Woźnik, miasteczka na samej granicy nieszczęśliwej Polski, i zaczynamy misyę..."

Misya w Woźnikach „trwała krócej, niż po innych miejscach[1], ale nie mniej niż gdzieindziej błogosławieństwa bożego nam przyniosła, bo Pan Bóg jak chce, to i w jednej chwili może przemienić serca nasze!"... „Z miłosierdzia bożego skutki są nadzwyczajne[2] i każdego uderzające, a cóż dopiero, gdyby ludzie mogli wiedzieć, co się w konfesyonałach dzieje. Od początku misyi wysłuchałem do 2000 spowiedzi — a jakich spowiedzi! — wszelkiego stanu i wieku ludzi, gdyż od półtora miesiąca, od świtu do późnej nocy siedzimy jak przykuci... Ostatniego dnia cały lud z kościoła solennie nas odprowadził na rynek, gdzie mieszczanie ze świecami w ręku w wielkiem kole czekali, aby nas pożegnać...

„W sobotę (23 sierpnia) zjechaliśmy do Biskupic...[3] Pojedyńczych szczegółów tej misyi nie opisuję, bo zawsze to samo się powtarzało, a jednak było zawsze nowe; bo miłosierdzie boże zawsze jedno i toż samo, w rozmaitych sposobach, wedle rozmaitych usposobień człowieka się pojawia.

„Nie odprawialiśmy[4] misyj naszych w kościele dla szczupłości miejsca, ale pole, cmentarz dla nas w kościół się przemieniał; tak było i w Mysłowicach. Był ołtarz, była ambona, był konfesyonał, a przy cichych, późnych wieczorach, jako lampa kościelna świecił księżyc, a za miliony świec gwiazdy nam służyły... Tuż

[1] „Pamiątka misyi górnoszląskiej", str. 36.
[2] Do ks. Sapieżyny. W sierpniu.
[3] „Pamiątka misyi", str. 47 np.
[4] „Pamiątka", str. 69 np.

przy tem polu, gdzieśmy misyę odprawiali, była kolej żelazna, i nie raz jeden wśród wielkiego milczenia, które panowało w czasie nauk, świst przeraźliwy odbił się o uszy nasze i pociąg jak błyskawica mignął przed oczami naszemi. A wtedy niejednemu może ta myśl przyszła do głowy: Oto obraz życia naszego! Ludzie jeżdżą to w prawo, to w lewo, jeden za pieniędzmi, drugi za zabawą, trzeci za chwałą; jednego chciwość, drugiego rozpusta, trzeciego duma do wozu wsadziła. Jeżdżą, jeżdżą, póki na cmentarz nie zajadą — bo cmentarz to wielki dworzec dla całej ludzkości".

W misyi mysłowickiej brało udział przynajmniej 10.000 pobożnych, w części przybyłych z Galicyi i Królestwa Polskiego; około 7000 przystąpiło do śś. Sakramentów. Równie „pełne, dorodne kłosy" — aby użyć wyrażenia Antoniewicza — wydała rozpoczęta 14 września „cicha, serdeczna, zbawienna" misya w Ćwiklicach, niewielkiej wiosce, położonej o pół mili od Pszczyny; piękniejsze jeszcze, dorodniejsze w samejże Pszczynie. Jednocześnie odbyły się tu w pierwszej połowie października dwie misye: w parafialnym kościele dla Niemców; na cmentarzu okalającym kościołek św. Jadwigi dla Polaków.

„W Pszczynie [1], tem gnieździe protestantyzmu, pietyzmu, frankmasoneryi, było z początku ciężkie położenie nasze; ale w pośrodku tych brudów, co się jak szych świecą, jest klejnot, lud polski, w którego sercu wiary nic zachwiać nie zdoła. Mówią ludzie, że to u ludu naszego tylko forma. Ale duch musi formą rozwijać się. Kościół jest widzialny i Sakramenta są widzialne, a ci najmniej ducha mają, którzy samym duchem chcą żyć... O! piękna to forma, kiedy cały lud nasz padnie na kolana, krzyżem leży i we łzach tonie; piękniejsza od tych, co to bez formy jak żerdzie stoją w kościele, i pycha im głowy do góry zadziera. Polska i tu wiarę wyratowała. Polski język wiarę zachował — i protestantyzm napróżno się wysila zabić na duszy lud, w którym żyje polska wiara i polska mowa...

„Pamiętacie [2], jak świetnie, przy licznem zgromadzeniu roz-

[1] Do ks. Sapieżyny. Z Pszczyny. 10 października 1851.

[2] „Pamiątka misyi górnoszląskiej", str. 87 np.

maitego ludu i z pruskiego i z austryackiego Szląska rozpoczęliśmy tę misyę? Z kościoła farnego przy najpiękniejszej pogodzie, udaliśmy się w procesyi z Przenajśw. Sakramentem przez ulice miasta i wspaniałe książęce ogrody do kościoła św. Jadwigi. Lud cały z licznie zebranem duchowieństwem śpiewał pieśń chwały i dziękczynienia Panu i Zbawicielowi naszemu. A kto ten kościołek św. Jadwigi wpośród cmentarza raz widział, ten już w całem życiu swojem o nim nie zapomni. Kościołek przed kilkuset laty wybudowany, a na ołtarzu wizerunek tej świętej księżnej, tej matki i opiekunki kraju całego; a wokoło cmentarza stare lipy i dęby mchem wieków porosłe i te grobowe kamienie, krzyże, pomniki; a widok z cmentarza daleki, daleki na te góry Karpackie, których szczyty śniegiem pokryte, w dzień pogodny tak uroczo jaśnieją...

„Po ukończonych naukach, gdy jeszcze trwały spowiedzi misyjne, wypadła uroczystość św. Jadwigi, patronki Szląska. O! to był dzień radosny dla nas, jasno było na niebie, jasno było i w sercu! Trzy nauki były dnia tego, a dwie na cześć tej świętej — jedna w jej drugim kościołku przedpołudniem, a druga po nieszporach w rzęsisto oświeconym kościele parafialnym. O! jakże mi miło było mówić o tej świętej, a wiem, że wam miło było o niej słyszeć.

...„Już późna nadeszła jesień [1], szczyty gór śniegiem przysypane, zboże z pola zebrane, rano i wieczór zimne nastały przymrozki. Cała natura przybrała cichą, ale tęskną postać... Ale ta późna jesień nie była przeszkodą, abyście się tłumnie i w Tożku [2] nie zgromadzili. Którzy się nie bali upałów, ci i zimna się nie przelękli. W upale łaska boża nas chłodziła, przy zimnie ona nas grzała, bośmy w tym czasie więcej duszą, niż ciałem żyli.

„Opodal od probostwa i farnego kościoła [3] jest mały kościołek, zwany kościołem św. Barbary. Naprzeciw tego kościołka jest dość znaczny pagórek, a między kościołem a pagórkiem dolina, która przed niedawnemi czasy była cmentarzem. Na

[1] „Pamiątka“, str. 103 np.

[2] Małe miasteczko w okręgu gliwickim.

[3] W kościele tym odbywała się misya dla Niemców.

wierzchołku tej góry stanęła ambona, z której śmy do was na dolinie zgromadzonych przemawiali; cały ten obraz przypominał nam te czasy, o których wspomina Ewangelia, gdy Chrystus Pan wstąpiwszy na górę, tę boską o ośmiu błogosławieństwach wykładał naukę...

„Z tej to ambony słowo prawdy do was przez niegodne usta nasze się odzywało. Z tej to góry błogosławił kapłan Przenajświętszym Sakramentem lud zgromadzony. Po tych pagórkach odbyła się krzyżowa procesya. I z tej to góry wezwał was kapłan do uczynienia publicznego wyznania wiary świętej w obliczu nieba i ziemi. A gdyście wszyscy, podniósłszy rękę w górę, głośno, śmiało i pokornie zawołali: ‚Wierzę!' — Bóg wyciągnął rękę swoją i pobłogosławił wierzącym...

„W niedzielę[1] (26 paźdz.) zakończyliśmy misyę w Tożku... To zakończenie miało coś nadzwyczajnie uroczystego. Ludzi było więcej jak w Pszczynie i do dwudziestu księży. Gdyśmy wracali z Przenajśw. Sakramentem, całe miasto z własnego popędu rzęsiście iluminowano; wokoło rynku szła procesya, a przed kamienną statuą św. Jana dane było błogosławieństwo ludowi. Spowiedzi ciągle trwają, już przeszło 5000 wyspowiadało się, — ale jakie spowiedzi, jakie nawrócenia!... Ja nie pojmuję, jak można jeden dzień żyć zewnątrz kościoła, nawet co do życia doczesnego, bo takie życie jakby w ciemnym, zimnym lochu, gdzie niema widoku na niebo — poza grób; a światełko rozumu ludzkiego to nie zagrzeje, nie zastąpi słońca łaski bożej. Kościół wlewa strumienie światła w duszę, w serce, w myśl, w życie, w całego człowieka; a my stworzeni do światła, szukamy, kochamy się w ciemności; stworzeni do nieba, w błocie się walamy!...

„My tu jak stare, szczerbate, zardzewiałe łopaty kopiemy rolę bożą... Zimno już aż do kości przechodzi, ale do serca się nie dostanie, bo inny ogień kości, a inny serce grzeje. Jedziem, da Bóg, jutro do Bytomia, aby i tę rolę bożą nie zostawić niezasianą. Jeszcze ziarna podostatkiem, a siewacze jakie takie siły mają, aby siać — siać — siać!...

---

[1] Do mgr. Wielopolskiej. 29 października.

....„Bolesne było rozstanie się z Tożkiem [1], bo tak serdecznym lud się tu ukazał, nie dla nas, bośmy na to nie zasłużyli, ale dla Boga; — a jakże tego nie kochać, który Boga kocha?!... Z takąż serdecznością przyjęto nas w Bytomiu, to jest nie nas, ale słowo boże, które z sobą przynosimy. Miasto wyszło naprzeciw nam, na drodze hutnicy i górnicy z obrazami czekali, a wszystkie dzieci z miasta stanęły przed domami z zapalonemi świecami i razem z ojcami i matkami odśpiewywały pieśni pobożne. A to wszystko z własnego popędu serca!“

Ostatni krzyż misyjny w tym roku niezapomnianym dla mieszkańców Górnego Szląska, stanął dnia 9 listopada na cmentarzu, przy kościele Św. Trójcy w Bytomiu [2]... O! piękny, święty i uroczy był ten wieczór niedzielny!... O! któżby mógł o chwilach tych zapomnieć, kiedy to wspomnienie to nie ręka ludzka, ale palec boży wyrył w sercach naszych! Słońce już było zaszło w krótkim dniu jesiennym — i ciemnieć już poczęło, ale inne słońce zabłysło w duszy naszej: w mroku wieczornym zajaśniał krzyż misyjny wpośród nas. Krzyż wpośród cmentarza, osadzony na kościach i popiołach ojców i matek waszych, wierzchołkiem ku niebu sięga, a ramiona w prawo i lewo wyciągnione, jakby całą szląską chciały objąć krainę!“...

Stanęły krzyże misyjne w Piekarach, Górach Tarnowskich, Woźnikach, Biskupicach, Mysłowicach, Ćwiklicach, Pszczynie, Tożku, Bytomiu. Antoniewicz każdą z misyj w miejscowościach tych odbytych odmalował nam już w osobnym obrazku; ogólny ich obraz, streszczający w sobie charakterystyczne cechy wszystkich misyj szląskich, naszkicował w liście napisanym na wezwanie tak bardzo dla katolickiego naszego piśmiennictwa zasłużonego *Przeglądu Poznańskiego* [3].

„Ten rok zeszły był zaiste rokiem błogosławieństwa i zli-

[1] Do mgr. Wielopolskiej. 31 października.

[2] „Krzyż misyjny. Pamiątka z r. 1851 dla ludu górnoszląskiego“, przez ks. Karola Antoniewicza S. J., przełożonego misyi. Piekary Niemieckie. Nakładem I. ks. kanonika J. A. Fietzek. Str. 23.

[3] *Przegląd Poznański*, r. 1852. Tom XIV. „Misye w Górnym Szląsku“, str. 169—176.

towania nad biednym górnoszląskim ludem. Każdy z nas doznał i doświadcza tego w życiu, że są chwile szczególniejszego zlitowania boskiego, chwile nawiedzenia łaski, chwile, w których Chrystus, wedle słów Pisma św., stoi u drzwi i kołacze. W takiej to chwili człowiek prosty odgadnie tajemnice mędrcom niepojęte i każda prawda, do której rozum po wieloletnich męczarniach dojść nie mógł, tak jasno się nam pojawia, iż sami nie wiemy, skąd się biorą łzy w oczach i westchnienia w sercu i jaka siła ugina kolana i otwiera usta do kornego wyznania; — a pojąwszy prawdę, pojmujemy i życie. — To co się dzieje z pojedyńczym człowiekiem, to się dzieje i z ludem całym; i on ma chwile szczególniejszego zlitowania i nawiedzenia łaski bożej: Chrystus stoi i kołacze do serca narodu.

„Taką chwilą była dla górnoszląskiego ludu przeszłoroczna misya. Cały lud łzą pokuty zapłakał, cały lud wydał jęk żalu, bijąc się w piersi, cały lud ugiął kolana i wyznał winy swoje.

„Słowa, któreśmy do tego ludu mówili, były tak proste i tak dobrze mu znajome; powtarzaliśmy stare prawdy. Któż nie wie, na co stworzony, że go śmierć czeka, że jest sąd po śmierci, a gdzie sąd, tam piekło i niebo? Któż nie zna przykazań boskich? A jednak te prawdy w czasie misyi stały się jakby nowemi dla tego ludu prawdami; stały się jakby ostrem żelazem, które otworzywszy zaskorupiałe wrzody, na jaw wykryło wszystkie obrzydliwości serc ich! A lud ujrzawszy wewnętrzne spustoszenie, zadrżał na widok ten i byłby zwątpił o sobie, gdyby miłosierdzie boże rozpaczy w żal nie przemieniło. Kapłan tylko w konfesyonale może ocenić i pojąć owoce takiej misyi. Tam to najłatwiej można się nauczyć kochać Boga, kochać człowieka — Boga, bo tak miłosierny; człowieka, bo tak biedny. W istocie widok to uderzający, nowy dla wielu widzieć taki zapał pomiędzy ludem. Ciągnął lud o 12 do 20 mil na plac misyjny. Żadna trudność wstrzymać go nie mogła. — ‚Jakżeś tu się dostał — spytałem jednego — przez zamkniętą granicę?‘ — ‚O dobrodziejaszku, — odpowiedział — jabym się przecisnął przez ucho igielne, żeby tu być‘... Byli, co przebywali wpław dobrze strzeżone rzeki; byli, co nie mając chleba, w nocy się do roboty najmowali,

aby we dnie być na nabożeństwie. Górnicy i hutnicy kilkudniowych znacznych wyrzekali się zarobków. Zimno i słota nikogo nie wstrzymywały; wielu musiało po dni kilka do jedenastej w nocy czekać, zanim do stołu Pańskiego zdołali się docisnąć!

„A jakież owoce! Związki niegodziwe zerwane, krzywdy i szkody nagrodzone, wrócone, śluby wstrzemięźliwości odnowione. Tu mąż z żoną się godzi, tam sąsiad z sąsiadem, dzieci z rodzicami, nieprzyjaciele podają sobie dłonie pojednania. Nowe życie obudza się w sercach przez chrzest łez i pokuty odrodzonego ludu. Tysiące, tysiące ludzi razem skupionych, koczuje pod namiotem nieba, a nie posłyszałeś przekleństwa, bluźnierstwa; żadna nie wszczęła się kłótnia, żadne nie wydarzyło się zgorszenie, nikt upitego nie ujrzał. Lud cały błogosławił i ze łzami wdzięczności dziękował. Za co? Tu się nie pochlebiało namiętnościom jego, tu go nie łudzono próżnemi obietnicami wymarzonej równości. Uczono go posłuszeństwa, uczono szanowania prawd i własności cudzej. Tu mu suche, twarde, gorzkie wykładano prawdy, tu mu rozbierano błogosławieństwa łez, krzyża i cierpienia! A lud słuchał, pojmował, kruszył się i był szczęśliwy i uspokojony w sumieniu; jednał się z Bogiem, z bliźnim, z sobą i powracał do domu i do pracy swojej. I tu się okazuje cała moc i siła prawdy, na słowie bożem ustalonej, która musi przełamać i skruszyć siłę kłamstwa tam, gdzie rozum nie jest jeszcze zupełnie zwichnięty w zdaniach, a serce wygorzałe namiętnością...

„Serce ludu naszego — to bryła złota, nieprzetopiona, nieoczyszczona, zabrudzona i oszpecona, ale w tem sercu jest wiara, tylko ją obudzić potrzeba i wprowadzić w życie; ale gdzie niemasz wiary, tam praca próżna! Lepsze zaiste złoto choć zabrudzone, jak brud choć pozłocony! Lud nasz polski ma jeszcze przyszłość swoją, tylko wypracować, wymodlić, wykochać w nim potrzeba to nowe święte życie, którego zaród w sobie nosi. Do tego najskuteczniejsze są misye, — i lud sam czuje tę potrzebę! Tyle przewrotnych zdań natrąbiono mu w uszy, tyle fałszywych światełek zapalono mu przed oczyma; — rozumu mu nie dano, a wiary, jeśli nie wydarto, to przynajmniej za-

chwiano ją. Lud, jakby instynktowo ocknąwszy się z szału, wytrzeźwiwszy się z upojenia moralnego, czuł potrzebę powrotu na drogę bożą, ale trafić do niej nie może, i pojedyńcze najgorliwszych, najświętszych kapłanów usiłowania, tego dokonać nie zdołają. Trzeba na nowo cały obraz wiary i życia w związku, w jedności i całości rozwinąć przed oczyma jego; nauczyć i wskazać, jak życie z wiarą pogodzić się daje. Bo nasz lud polski jest katolicki co do wiary, ale nie jest katolicki co do życia; — wiara i życie są rozłączone. Mówię to o ludzie galicyjskim i górnoszląskim wedle doświadczenia i przekonania mego...

„Kościół wysyła misyonarzy do pogańskich pokoleń, aby zatykali krzyż zbawienia na gruzach obalonych pagod; ale oraz nie zapomina o krajach chrztem świętym odrodzonych, aby obumarłą do życia obudzić wiarę i gasnący płomień miłości rozniecić... O! daj Boże, aby takie owoce okazały się na niwach wielkopolskich i w sercach wielkopolskiego ludu. Z krzyżem w ręku i rószczką oliwną w ręku przybędziem do was, opowiadając słowa pokuty — i pokoju! A Bóg dobry tym słowom pobłogosławić raczy — bo choć siewacz lichy, ale ziarno dobre!“...

Zanim wiosna w nową tę, równie żyzną, poznańską rolę pozwoliła pług misyonarski zapuścić, nie zabrakło roboty na dawnej, na szląskiej niwie. Już w czasie ostatniej, bytomskiej misyi, dowiedział się Antoniewicz, że przełożeni polecą mu prawdopodobnie przebyć zimowe miesiące w Nissie, aby tu urządzić zakładający się właśnie jezuicki klasztorek, na ciele i na duchu się pokrzepić, po pracy, ile i jak się da, odpocząć.

„Co się tyczy Nissy — pisał pomiędzy dwoma kazaniami[1] — to ani proszę, ani się wypraszam; gdzie posłuszeństwo każe: ‚Idź!‘ — tam pójdę. Sądzę, że tam będę posłany, czekam więc przybycia i rozkazu prowincyała. Wszędzie jest krucyfiks, wszędzie Bóg, aby go kochać, i wszędzie człowiek, aby dla niego pracować“.

Posłuszeństwo powiedziało: „Idź!“ „Jutro — donosił jeszcze

[1] Do mgr. Wielopolskiej. Bytom, 7 listopada.

z Bytomia pod datą 25 listopada[1] — jadę do Nissy. Pierwszy nasz domek, pod najlichszy mój zarząd oddany. I tylko ta myśl mię pociesza, że Pan wybrał najlichszego sługę swego, aby się lepiej okazała Jego dobroć.

„Muszę domek nasz urządzić[2], kupić garnek i miskę, stołek i dzbanek. Dziwnie mi na sercu, że znów będziem mieli po rozproszeniu pierwszy nasz kącik. W kilka dni po mnie, dwóch księży i jeden braciszek przyjedzie. Wiem z różnych stron, że niejeden krzyżyk mię tam czeka".

Nowy misyjny klasztorek oddano pod szczególną opiekę patrona misyonarzów, św. Franciszka Ksawerego. Ubogo w nim było, bardzo ubogo, ale miło, bo miło zakonnikowi we własnym swym domu — w klasztorze, choć najbiedniejszym. „Mamy furtę i dzwonek; czy pojmujesz, jaka to pociecha?" — pyta w jednym liście[3], a w drugim obszerniej z uczuć swych się tłumaczy[4]: „Po tylu latach błąkania się i ciałem i duchem po tym wielkim bożym i niebożym świecie, po raz pierwszy, pierwszy wieczór spędzony w gniazdeczku swojem; to gniazdeczko nie puchem, ale cierniem wysłane i dla tego samego tak drogie. Wczoraj tuśmy przybyli; dziś rano poszliśmy do kościoła, a wyspowiadawszy się sami, słuchaliśmy spowiedzi do późna po obiedzie. Św. Franciszek, pomimo rozmaitych przeszkód, pozwolił, abyśmy się do jego domku sprowadzili, — bo to nie nasz, nie nasz, to tylko jego dom, a my jego własnością. Jak nas tu wprowadził, tak niechaj nami rządzi; my jego sługami tylko jesteśmy... Jeszcze i zimno i śmierdzi, bo drzwi świeżo malowane, ale tak nam dobrze. Tylko nas dwóch: O. Harder i ja w tym ciemnym, staroświeckim domu. Poświęciliśmy już sobie izbiny nasze, a mamy ich aż trzy. Wiem, że mię tu rozmaite krzyżyki czekają — a jakże za to Bogu nie dziękować?! Nasz św. Ksawery ciężej miał, umierając na odludnej wyspie, patrząc przed sobą na te kraje, które chciał a nie mógł już Bogu pozyskać. I ja patrzę

[1] Do mgr. Wielopolskiej. 25 listopada.
[2] Do mgr. Wielopolskiej. W listopadzie.
[3] Do br. Konopczyny. 20 grudnia.
[4] Do mgr. Wielopolskiej. W pierwszych dniach grudnia.

na tę drogą Polskę naszą — ach! czemuż ona taka biedna i nie chce kochać Pana Boga?!"...

Pobyt w Nissie miał niby dla misyonarzów być wypoczynkiem; tymczasem z dnia na dzień przybywało pracy. Nie gniewał się z tego powodu Antoniewicz. „Dzięki Bogu pracy przybywa!" — cieszy się przed świętami Bożego Narodzenia i znowu ten sam wykrzyknik po świętach powtarza. „Mamy nauki w szpitalu u dzieci i wykład katechizmu w konwikcie tak zwanym ‚biskupim' i spowiedzi coraz więcej"... „Cały klasztor Sióstr Miłosierdzia pod moją oddany dyrekcyę" [1]. „Myślałem trochę w Nissie odpocząć [2], ale poznaję, że tylko w grobie odpocznę. Zaczniemy tu misyę w lutym; na trzech miejscach będzie się odbywać, a mnie oddano prowadzenie wszystkich; — niemało mam stąd zajęcia. Nadto jadę na 14 dni do Wrocławia, dla rekolekcyj u Urszulanek"...

Ludowa misya wstrząsnęła całem miastem. „Nie my, ale Bóg [3] wstrząsł potęgą ręki swojej duszami, jakby liściem na drzewie; rzucił morze światła w rozum, uderzył młotem sądu w serca, i jak szkło pokruszył złość i dumę. Głowy się nachyliły, oczy zapłakały, kolana się ugięły i nastąpiło wielkie pojednanie człowieka z Bogiem. Cała inteligencya, wielu z loży masońskiej, oficerowie wyżsi i niżsi klęknęli przed kratkami z dożywotniemi spowiedziami. Było nas siedmiu Jezuitów, do dwudziestu księży świeckich, ale niepodobna było wszystkim zadośćuczynić, chociaż od czwartej rano do dwunastej, a od pierwszej do ósmej wieczór słuchaliśmy siedząc kołkiem w konfesyonale, a nieraz w późną noc jeszcze spowiadaliśmy mężczyzn po pokoikach naszych. Na prośbę garnizonu daliśmy w drugim kościele trzydniowe rekolekcye żołnierzom po polsku i po niemiecku, a po misyi, trzydniowe rekolekcye studentom na usilną prośbę profesorów.

„Teraz (w marcu) mieszkam w małej celce przy szpitalu Elżbietanek, którym daję przez czternaście dni rekolekcye. Tym-

[1] Do br. Konopczyny. 20 grudnia.
[2] Do ks. Sapieżyny. 23 stycznia 1852 r.
[3] Do ks. Sapieżyny. Z Wrocławia. 10 marca.

czasem niemiecka misya w Olawie się odbędzie i wszyscy razem po polsku i niemiecku zaczniemy w pasyjną niedzielę misyę w Opolu...

„W Opolu bardzo Pan nam pobłogosławił...[1] Poczciwy nasz lud polski[2] na uderzenie dzwonów, jak fala pchnięta łaską bożą, potoczył się do kościoła. I tu nie trzeba czekać długo, aby lód pękł na sercach, bo już dziś, w pierwszym dniu misyi, choć nie było czego, serdecznie na cały kościół szlochał. Skończyliśmy polskie nabożeństwo, niemieckie się rozpoczęło w drugim kościele. Jest nas tu ośmiu, a jutro przyjedzie z Nissy O. Candau na rekolekcye dla zakonnic i studentów".

Napływ pobożnych obydwóch narodowości tak był wielki, że zaraz już pierwszego dnia i Niemcom było za ciasno w przeznaczonym dla nich podominikańskim kościele i Polakom jeszcze ciaśniej w wielkim kościele parafialnym. Odstąpili więc Polacy kościół parafialny niemieckim współbraciom, a sami gromadzili się koło polowej ambony, wystawionej pod gołem niebem na jednym z miejskich placów. „Ojciec Antoniewicz — notowała krótko, ale wymownie *Szląska Gazeta Kościelna*[3] — wywierał wpływ prawdziwie cudowny".

Cudowny wpływ, wywierany przez misye, któremu oprzeć się nie mogli nietylko katolicy, ale nawet innowiercy, tryumfalny rozgłos, jakiego nabrały w Szląsku i daleko poza jego granicami, musiał być solą w oku i protestantyzmowi i rozsypanym stosunkowo dość gęsto na szląskiej ziemi, wolnomularskim lożom. Pierwsza, a w każdym razie najgłośniej uderzyła na alarm protestancka duchowna Rada berlińska. W okólniku, ogłoszonym pod koniec maja, zwróciła się Rada do wszystkich protestanckich pastorów, wzywając ich do gorliwej walki z katolickim prozelityzmem, a jednocześnie w gorących słowach zaklęła rząd, aby postawił tamę zaborczym zapędom katolickich misyonarzów, przedewszystkiem Jezuitów.

[1] Do br. Konopczyny. Z Wrocławia. 19 kwietnia.
[2] Do mgr. Wielopolskiej. Z Opola. 27 marca.
[3] *Schles. Kirchenblatt* z 1852, nr. 16.

Rzucone oskarżenia i podejrzenia domagały się odpowiedzi. „Przedsięwziął — czytamy w współczesnym artykule *Czasu* [1] — i zwycięsko dokonał tego kardynał Diepenbrock, książę-biskup wrocławski. Ten sam głos, który w tak groźnych chwilach ostatnich wypadków zebrał owieczki swej dyecezyi pod chorągiew porządku i posłuszeństwa, nakazując, aby to co było cesarskiego, było oddane cesarzowi; ten sam głos przemówił dziś z tą samą siłą, aby to co było bożego, było oddane Bogu. Złożony ciężką chorobą... podniósł się z łoża cierpienia czcigodny prałat i wydał list pasterski, będący odpowiedzią na rzeczony dokument duchownej Rady berlińskiej. Jak wszystko, co wychodzi z pióra kardynała Diepenbrocka, owego świecznika Kościoła katolickiego w Niemczech, tak również i list ten, oprócz wyższego namaszczenia, apostolskiego prawdziwie ducha, prostoty i miłości, wykazywał nadto nicość zarzutów, katolikom uczynionych, jakoteż oznaczał dobitnie stanowisko, jakie zachowali i nadal zachowają“...

Okólnik berlińskiej „Rady“ zaręczał, że katolicy wypowiedzieli nagle „namiętną walkę wszystkim, którzy do innego należą wyznania“. Kardynał protestuje przeciw tej insynuacyi, prostuje fałszywe zapatrywania o katolickich misyach, dowodzi ich potrzeby, maluje w jednym obrazie widoczne ich błogie skutki [2].

„Tysiące i tysiące wiernych, którzy bez uprzedzenia uczestniczyli w tych misyach nietylko na Szląsku, ale w całych Niemczech, zgadzają się na to, że misyonarze głosili zasady gruntowne i prawdy zbawienne, z gorliwością prawdziwie apostolską, unikając wszystkiego, coby mogło obrazić niekatolików; a kazali ze skutkiem, który jawnie się objawił, gdy dawni nieprzyjaciele publicznie się godzili, gdy ci, co sobie cudze dobro przywłaszczyli, zwracali je właścicielom... Przypomnijcie sobie stan Szląska, gdy przed siedmiu laty na to biskupstwo powołany zostałem. Odszczepieństwo nieszczęśliwego księdza Rongego uważano i obchodzono jako tryumf; podłe jego szyderstwa z religii,

[1] *Czas* z 7 października 1852.
[2] *Czas* z 8 i 9 października 1852.

którą zdradziecko porzucił, uchodziły za przemądre wyrocznie: jego samego obsypywano owacyami wszelkiego rodzaju, wszędzie, gdzie się pokazał, obdarowywano go, raczono, pieszczono, wieńczono wśród śpiewów białostrojnych dziewcząt... A wszystko to dlatego, że występował jako wróg katolickiej wiary... Lecz odwróciła się karta w księdze czasu...; poznano rozkładającą truciznę: poznano czem jest, czem grozi radykalizm i socyalizm. I właśnie w celu zapobieżenia tym niebezpieczeństwom udzieliłem pozwolenia na misye... Wyrzucają nam ciągle, z upodobaniem, a wbrew wszelkiej prawdzie i słuszności, że zaniedbujemy religijnego wykształcenia ludu, że go pozostawiamy w wierze martwej i czysto mechanicznej. A otóż teraz wobec bijących w oczy objawów żywotności katolicyzmu, które dlatego właśnie w nieszczęśliwych naszych czasach tak zajaśniały, że do samego dna duszy ludzkiej dosięgły; teraz znowu uroczystym aktem oskarżają nas o niewłaściwą gorliwość!"...

Misyonarze nie pytali o oskarżenia, o prześladowania; wiedzieli, że gorliwych uczniów Chrystusowych minąć one nie mogą i że są właśnie pewnym znakiem skuteczności dotychczasowej pracy, zadatkiem błogosławieństwa bożego na przyszłość. Do przyszłej tej wiosennej, pełnej najpiękniejszych nadziei pracy, zewsząd ich wzywano. „Biskup Sedlag — pisał Antoniewicz z Wrocławia pod koniec marca [1] — na gwałt prosi o polską misyę w Gdańsku i okolicy, ale musimy odmówić, bo nie mamy już kim orać". Na Szląsku z góry ułożonych i zapowiedzianych było kilka misyj, Wielkopolska o swoją część natarczywie się upominała. Do upomnień tych, do ciągłych wezwań przyłączyło się życzenie jenerała zakonu, który uproszony o to, jak się zdaje, przez Morawskich z Oporowa, polecił żądaniom ich, wedle możności i jak najprędzej odpowiedzieć. Podzieliła się więc misyonarska gromadka na dwa odrębne hufce. Pięciu Polaków i pięciu Niemców pozostało na Szląsku; pięciu Polaków pod przewodnictwem Antoniewicza wyruszyło w Poznańskie. Bawił tu już

[1] Do br. Konopczyny 25 marca.

nasz misyonarz parę styczniowych tygodni dla przygotowania gruntu; teraz z pierwszym dniem miesiąca Maryi rozpocząć się miała pod szczególną Jej opieką ośmiodniowa misya w Krobi. Misyjne krzyże, zatknięte w świeżo krwią zbroczonych galicyjskich wioskach, rozsiane po szląskich siołach, miasteczkach, miastach, rozciągnęły z kolei błogosławiące swe ramiona nad wielkopolską ziemią.

*Ks. Jan Badeni.*

# WIELKI POETA CHRZEŚCIJAŃSKI

z IV. wieku.

---

## II.

Z niekłamaną ciekawością pytamy tedy o życie tego niezwykłego człowieka. Co też o nim powiadają dzieje? Wszak nie od dzisiaj umie ludzkość cenić i szanować swych wieszczów. Z prawdziwym nieraz pietyzmem zbiera się wszystkie po nich pamiątki, zapisuje każde ich lub o nich wyrzeczone słowo i wchodząc nawet w tajniki ich życia, wydobywa się każdy jego szczegół, by jak najwierniej odtworzyć potomnym nietylko życie i rysy oblicza, ale i duchową stronę drogich tych osób. W ten to sposób o Getem, Szyllerze lub o Mickiewiczu osobną stworzono już literaturę, a przecież jeszcze nie mówią sobie dosyć.

Naprożnobyśmy czekali na to i dla Prudencyusza. O jego życiu tyle tylko wiemy, ile sam wspomniał o niem: wspomniał zaś bardzo niewiele. Ale przecież na tle dziejowem tak się to skromne życie uwypukla a w świetle współczesnych wypadków tak się tłumaczy i dopełnia, jak — jeśli wolno przyrównać — do niedawna dopełniał Rossi z lada okruchów nieraz całe i najdłuższe katakumb napisy. Stąd też ktoby chciał życie Prudencyusza oderwać od tego tła historyi, tenby je zrobił tak suchem i niezrozumiałem, jak luźne zdanie wyrwane z jakiego okresu, albo z krajobrazu Lorrain'a wycięta która z tych postaci, co takie

klasyczne nadają mu piętno. I naszego wieszcza tedy dotyczy to, co niemiecki napisał poeta:

Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen.

Jakżeż więc wyglądała za czasów Prudencyusza ojczysta jego Hiszpania?

Już to Rzymianie nie zawiedli się na niej i jeżeli dwa niemal wieki poświęcić musieli na jej poskromienie, to za to żadna może ze zdobytych prowincyj tak prędko nie przejęła się ich duchem i cywilizacyą, jak ona [1]. Zawdzięczyć to trzeba podobieństwu narodowych charakterów i taktownemu postępowaniu Rzymian. Przyszło wreszcie do tego, że ta niegdyś śmiertelna nieprzyjaciółka Rzymu, dostarczała mu takich pisarzy, filozofów i retorów, jak Porcius Latro, nauczyciel Owidyusza, jak dwóch Seneków, jak Lukan, Martialis, Silius Italicus i Kwintylian, a nawet trzech największych cesarzy: Trajana, Hadryana i Marka Aureliusza [2]. W ostatnich czasach dała nawet Rzymowi całą dynastyę cesarzów z Teodozym Wielkim na czele. Już Klaudyan pisze o tem. Wspomniawszy, że Egipt i Afryka zboża dostarczają Rzymowi, Gallia doskonałej piechoty a Illyryjska prowincya przewybornej jazdy; Hiszpanii jednej przyznaje przywilej dostarczania mu cesarzy:

Sola novum Latiis vectigal Hiberia rebus
Contulit Augustos... [3]

Kiedy krzyż Chrystusowy zajaśniał na koronach Cezarów, Hiszpania mogła być dumną z tego, że i od najdawniejszych czasów była uczennicą krzyża i że nie ustąpiła żadnej prowincyi w gorącem jego wyznawstwie.

Jak św. Paweł pragnął dostać się do Hiszpanii i jak zamierzał wnieść do niej naukę Ewangelii, to widać z jego listu

[1] Mommsen, *Römische Geschichte*, t. v, (1885), str. 68—70.

[2] Paul Allard, *Sur les persécutions religieuses en Espagne.* (*Revue des questions historiques*, 1886).

[3] *Laus Serenae*, 50.

do Rzymian[1], że zaś cel swój osiągnął, o tem świadczy cała tradycya chrześcijańska, nietylko Ojcowie święci z IV. wieku i czasów następnych[2]. Jak długo tam przebywał, tego nie wiemy; czas ten atoli pobytu w Hiszpanii, przypada między r. 63 (po oczyszczeniu się przed Neronem) i r. 67, który był rokiem męczeństwa „Apostoła narodów".

Niewiele więcej wiemy z tradycyi o owych siedmiu biskupach, którzy w I. w. po Chrystusie przybyć mieli z Rzymu i głosić wiarę świętą w Hiszpanii; chyba to, że Torkwat z towarzyszami apostołował w okolicach Grenady. Pewną atoli jest rzeczą, że Tertulian, sąsiadujący z Hiszpanią, pisze o niej w II. w. p. Chr., iż wszystkie jej krańce poddały się Chrystusowi[3].

Bezwątpienia, prześladowania Domicyana, Trajana, Hadryana i Septyma Sewera musiały tam znaleść liczne gminy chrześcijańskie i niemało ofiar za wiarę; ale dopiero krwawe prześladowanie Decyusza w połowie III. w. p. Chr. odkrywa w Hi-

[1] „Gdy się puszczę do Hiszpaniej, spodziewam się, że tamtędy idąc ujrzę was" (XV, 24).

„To tedy wykonawszy... przez was pójdę do Hiszpaniej" (tamże 28).— Hergenröther, *Handbuch der allgemeinen Kirchengeschichte*, I, n. 37.

[2] Św. Atanazy (Ep. ad Dracont, 4); św. Cyryl Jerozolimski (Catechesis XVII, 25); św. Epifaniusz (De haeres., XXVII, 6); św. Jan Chryzostom (in II, Timot. homil. X, 3); Theodoret (In Philipp. I); św. Hieronim (in cap. XI, Isaiae); św. Grzegorz W. (L. moral. in Job. XXXI, 53). Dodajmy, że już św. Klemens (około r. 96) pisze do Koryntyan (V) o św. Pawle, że „doszedł do ostatnich kresów na zachód".— Ob. Pearson, *Annales Paulini*, Londini 1688 i *Canon Muratorianus*, n. 37, 38, w *Manuel biblique* par Vigouroux, t. I, p. 80.

Co do drogi, jaką do Hiszpanii obrał był Paweł św., pisze św. Hieronim: „Ad Hispaniam alienigenarum portatus est navibus". (In Isaiae XI). Była to oczywiście droga wiele wygodniejsza, niż lądem. Zwykłe w owych czasach *itineraria* hiszpańskie widzieć można na trzech naczyniach srebrnych w Muzeum Kircheryańskiem. (Orelli-Henzen 5210). Pliniusz opowiada (*Nat. hist.* XIX, 1), że z Ostyi do Marsylii płynęły statki w 3 dniach, do Tarrakony (w Hiszpanii) w 4 dniach, do Kadyksu w 7 dniach. (Gams, *Kirchengeschichte von Spanien*, t. I, str. 1—17).

[3] *Adversus Judaeos*, 7. „Hispaniarum omnes termini Christo vero subditi".

szpanii całą hierarchię katolicką [1] i rozświeca bohaterskie walki Chrystusowych wyznawców, które aż po czasy Dyoklecyana rumienić miały krwią męczeńską starożytne ziemie Iberów [2]. Chwalebny to zastęp. Widzimy w nim św. Feliksa z Gerony, św. Eulalię i św. Kukufata z Barcelony, św. Wincentego lewitę [3] i 18 innych męczenników [4] z Saragossy, dwoje dziatek męczeńskich z Alkali: Justa i Pastora, św. Leokadyę z Toledo, Wincentego, Sabinę i Christeta z Awili, św. Eulalię z Emerity [5], chrześcijańskich żołnierzy: Chelidoniusza i Hemeteryusza z Kalahorry [6], jak niemniej Marcella, Kassyana z Tingis, św. Fruktuosa ze swymi dwoma dyakonami z Tarrakony [7] i t. d. i t. d. Wielu z pomiędzy nich wylicza Prudencyusz w hymnie o św. męczennikach Saragossy [8], wielu podaje nam martyrologium rzymskie, ale nierównie więcej musi być takich, o których tegoż martyrologium

[1] Przypominamy głośną sprawę libellatyckich biskupów: Bazylidesa z Leonu (Legio) i Marcyalisa z Meridy (Emerita). Obacz list św. Cypryana, 68.

[2] Gams, *Kirchengeschichte von Spanien*, 1862, (t. I, str. 280—409), ks. IV.— *Die Kirche in Spanien während der grossen Verfolgung unter Diocletian und Maximian.*

[3] Prudencyusza *Peristephanon* V.

[4] *Peristephanon* IV.

[5] *Peristephanon* III.

[6] *Peristephanon* I.

[7] *Peristephanon* IV.

[8]
Afra Carthago tua promet ossa,
Ore facundo, Cypriane doctor;
Corduba Acisclum dabit et Zoellum
Tresque coronas.

Tu tribus gemmis diadema pulchrum
Offeres Christo, genitrix piorum,
Tarraco, intexit cui Fructuosus
Sutile vinclum...

Parva Felicis decus exhibebit
Artubus sanctis locuples Gerunda,
Nostra gestabit Calagurris ambos,
Quos veneramur.

Barcino claro Cucufate freta
Surget et Paulo speciosa Narbo,
Teque praepollens Arelas habebit
Sancte Genesi.

Lusitanorum caput oppidorum
Urbs adorate cineres puellae
Obviam Christo rapiens ad aram
Porriget ipsam.

Sanguinem Justi, cui Pastor haeret
Ferculum duplex geminumque donum
Ferre Complutum gremio juvabit
Membra duorum.

Ingeret Tingis sua Cassianum
Festa Massylum monumenta regum:
. . . . . .

IV. *Peristephanon*, v. 17—46.

słowa wyrzecby trzeba: *quorum nomina scit ipse Deus* [1], lub powtórzyć wiersze Prudencyusza [2]:

Chcesz imion? Trudno wszystkie wyliczyć imiona,
Są groby, co ci mówią imię męczennika,
Lecz jest i takich grobów ilość nieskończona,
Co milczą, i gdzie imię męczeńskie zanika,
A sama liczba tylko na głazie wyryta
Aż nader wymownemi opowiada głosy,
Że tutaj spoczywają ciał męczeńskich stosy.
Widziałem osłupiały, jak pod jednym głazem
Sześćdziesiąt takich ofiar spoczywało razem:
Ich imiona wie tylko Chrystus i niebiosy [3].

Z tego posiewu krwi męczeńskiej obfite zeszły plony. Sobór Elwirański w r. 305 czy 306 [4] zastał w Hiszpanii ugruntowane już chrześcijaństwo, a panowanie kilku takich cesarzy, jak Konstantyn Wielki, Walentynian I., Gracyan albo Teodozy Wielki, złamało stanowczo i na zawsze pogaństwo i zapewniło krzyżowi chwalebne panowanie na Iberyjskim półwyspie. Prudencyusz mógł już z tryumfem wskazywać na wielkie miasta hiszpańskie, jak np. na ukochaną przez się Saragossę, gdzie „Chrystus niepodzielnie panował“:

Christus in totis habitat plateis
Christus ubique est [5].

---

[1] Których imiona li tylko samemu Bogu są wiadome. — Ob. Moehlera *Kirchengeschichte*, t. I, r. 1, § 10.

[2] *De passione S. Hippoliti. Peristephanon*, XI.

[3] . . . . . Singula quaeris
Nomina? Difficile est, ut replicare queam...
Plurima litterulis signata sepulcra loquuntur,
Martyris aut nomen aut epigramma aliquod.
Sunt et muta, tamen tacitas claudentia tumbas
Marmora. quae solum significant numerum.
Quanta virum jaceant congestis corpora acervis,
Nosse licet, quorum nomina nulla legas?
Sexaginta illic defossas mole sub una
Relliquias memini me didicisse hominum.
Quorum solus habet comperta vocabula Christus.
(V. 3—15).

[4] Hefele, *Conciliengeschichte*, t. I.

[5] Hymnus IV. *Peristephanon* (v. 71—72). — Potwierdza to i Seduliusz,

Nie trzeba stąd wnioskować, że pogaństwo było już nieliczne; owszem posiadało ono jeszcze swoje świątynie, kapłanów, swe stowarzyszenia czyli *collegia* i mnogie do nich należące dobra, któremi szafowali rozmaici *pontifices* rozmaitych bogów, utrzymując w ten sposób licznych zwolenników, żądnych grosza albo używania. Pod bardzo łaskawem panowaniem chrześcijańskich cesarzy, nawet takich jak Gracyan albo Walentynian I., Betyka czciła jeszcze Marsa w najlepsze [1], a nawet w nierównie bardziej chrześcijańskiej prowincyi tarrakońskiej obchodziło pogaństwo w Barcelonie jeszcze przy końcu IV. wieku *calendas Januarii* z całą wystawnością [2]. Po wsiach *(pagi)* zwłaszcza, swobodniej mu było: stąd też poszła w IV. w. nazwa „pogan“ *(pagani)* w miejsce dawniejszej *ethnici*, *gentes* lub *gentiles* [3].

Ale przecież i ślepy mógł był poznać, że to już ostatnie błyski bałwochwalstwa; że pozbawione dawnych przywilejów, zwolna wypierane z urzędów i odzierane z blasków, co mogły tłum oślepiać i nęcić: chyliło się do upadku, jak drzewo spróchniałe.

Za to chrystyanizm świętością nauki, wpływem swoim na wszystkie gałęzie społecznego ustroju i powagą katolickich a gorliwych cesarzy, przedziwny wywierał urok.

Dodajmy do całości obrazu, że życie w takich prowincyach zachodnich, jak Gallia i Hiszpania, jeżeli już od początku cesarstwa poczęło wyrabiać w sobie właściwe narodowe odrębności; to w wieku IV. przedstawiało gotowe a wybitne krystaliczne formy i wyrobiony zmysł narodowościowy. Nie przeszkadzał

---

kiedy wyznaje, że w większych miastach są już tylko sami wyznawcy Chrystusa:

„Magnis qui colitur solus in urbibus“. — *Carmen Bucolicum*, 106.

[1] Macrobius, *Saturnalium conviviorum*, t. I.

[2] Św. Pacyan w *Bibliotheca maxima Patrum*, t. IV, str. 316.

[3] W niedostępnych górach jeszcze dłużej trzymało się pogaństwo. Podobnie jak św. Benedykt znalazł był we Włoszech jeszcze w połowie VI. wieku na szczycie góry (dzisiaj *Monte Cassino*) świątynię Apollina i jego czcicieli, tak i w Pirenejach jeszcze w IX. wieku Mars posiadał świątynię i swoich kapłanów. (Obacz *Acta Sanctorum*, t. I. *Vita S. Leonis Rhotomag. Eppi.*, p. 95.

temu wpływ i potężny czar stolicy *(Urbis)* italskiej; mody, nowiny i zapatrywania Romy przepływały przez prowincye jak potok, zostawiając po sobie mniejsze lub większe napływy, ale nie zmieniając twardego już łożyska.

Patryotyzm ten hiszpański czuć i w Prudencyuszu. Jak św. Hieronim chętnie przyznawał się do tego, że był Dalmatyńcem; tak i Prudencyusz korzysta z każdej sposobności, by uwielbić swoją Hiszpanię i wyznać, że jest jej synem. „Nasze" miasta[1] i „nasz" naród[2] raz po raz brzmią w jego ustach, a Hiszpania w jego oczach, to kraj ubłogosławiony od Boga:

Hispanos Deus aspicit benignus[3]
(Pan Bóg łaskaw na Hiszpanów).

Ten też patryotyzm tłumaczy nam, dlaczego cała prawie ta prześliczna księga *Peristephanon*, opiewająca tryumfy męczeńskie, poświęcona jest przeważnie hiszpańskim męczennikom[4].

A jakże tam wyglądał ówczesny ruch umysłowy? Choćby to nawet nie był powszechny w całem *imperium* a uderzająco wzrastający zanik sztuki i dawnej klasycznej mowy, to i bez tego musiałaby była Hiszpania po świetnych swoich czasach odczuć ową reakcyę i osłabienie, jakie się objawia w narodach po okresie ich literackiego wysilenia. Wiek czwarty wykazuje owszem w Hiszpanii, w stosunku do wieku poprzedniego, pewien postęp w tym umysłowym ruchu. Roiło się jeszcze od retorów, filozofów i pisarzy, bawiono się jeszcze literaturą, zwłaszcza w klasach wykształconych i w kołach arystokracyi; ale

[1] O Tarrakonie tak się odzywa:

O triplex honor, o triforme culmen,
Quo nostrae caput excitatur urbis
Cunctis urbibus eminens iberis!
Hymn VI. *Peristep.* (V, 142—145).

[2] Bis novem noster populus sub uno
Martyrum servat cineres sepulcro.

I znowu:

Nostra gestabit Calagurris ambos,
Quos veneramur.
Hymn IV, *Peristephanon*, w. 1, 30 i w. 1.

[3] Hymn VI, *Peristephanon*, wiersz 4.

[4] G. Boissier, *Prudence poète.* (*Revue des deux mondes*, 1875), p. 371.

dawna świetna mowa rzymska złotego okresu, coraz więcej zachodziła rdzą tworzących się barbaryzmów i naleciałości prowincyi, a świeży dorobek duchowy nie musiał być zbyt wielki, kiedy Auzoniusz tak niemiłosiernie zeń szydzi w swych listach do św. Paulina.

Tem mocniej od tego szarego tła literatury ówczesnej odbija jasna postać Prudencyusza, który stać się miał i chlubą Hiszpanii i swoich czasów okrasą.

Posłuchajmy, co on sam o własnem życiu opowiada w przedmowie do dzieł swoich:

Pięćdziesiąt siedm niemal lat przepływa[1];
Nim przyjdzie koniec, idzie starość siwa:
A jakiż owoc tak długiego życia?
Dziecięcym latom świst wtórował bicia,
W młodzieńczej todze uczono mię kłamać,
I z wstydem teraz przychodzi się łamać

---

[1] Per quinquennia jam decem,
Ni fallor, fuimus: septimus insuper
Annum cardo rotat, dum fruimur sole volubili.
Instat terminus et diem
Vicinum senio jam Deus applicat:
Quid nos utile tanti spatio temporis egimus?
Aetas prima crepantibus
Flevit sub ferulis: mox docuit toga
Infectum vitiis falsa loqui non sine crimine.
Tum lasciva protervitas
Et luxus petulans (heu pudet ac piget!)
Foedavit juvenem nequitiae sordibus ac luto...
Exin jurgia turbidos
Armarunt animos et male pertinax
Vincendi studium subjacuit casibus asperis.
Bis legum moderamine
Frenos nobilium reximus urbium:
Jus civile reddidimus bonis, terruimus reos.
Tandem militiae gradu
Evectum pietas principis extulit
Adsumptum propius stare jubens ordine proximo.
Haec dum vita volans agit
Irrepsit subito canitias seni
Oblitum veteris me Saliae consulis arguens.

*Praefatio*, v. 1—24.

I pierś — niestety — wzbiera od żałości
Gdy wspomni młodość i plamy młodości.
Nastały czasy, gdzie w słowne turnieje
Człek stawał hardo niosąc swe nadzieje
Na to, by nieraz zdobywać zawody.
Dwakroć mi dano rządzić wielkie grody
I wedle stałej praw cywilnych miary
Dobrym nieść pomoc, złym postrach i kary.
Wreszcie cesarskie odziały mię łaski
W najwyższych stopni i dostojeństw blaski
I w pierwszym rzędzie stawiły przed tronem.
Tymczasem włosy wiek osypał szronem
I przypomina, żem zrodził się światu
Za Salliusza jeszcze konsulatu...

Trudno treściwiej skreślić pamiętnik bądź co bądź niepowszedniego życia. Ascetycznej skromności Prudencyusza tak się niemal udało zasłonić przed okiem ciekawych tajniki swego życia, jak owym egipskim Ramzesom, co przez lat kilka tysięcy potrafili ukryć przed ludźmi miejsca wiecznego swojego spoczynku. Tę głęboką pokorę chrześcijańską Prudencyusza jeszcze nieraz przyjdzie nam zobaczyć. Dopiero w kombinacyi dziejów powszechnych z mimowolnemi wyrażeniami się poety, odnajdujemy nitkę Aryadny, co nam odkrywa — jeżeli nie wszystkie — to przecież dość liczne a nader zajmujące szczegóły. Dotknijmy ich po kolei.

* * *

Z tego, co Prudencyusz pisze, że przyszedł na świat za konsulatu Sallii, wynika, że się urodził w r. 348, gdyż tego roku Filip i Sallia[1] byli konsulami. Skoro zaś powiada, że „ma

[1] Wszystkie napisy, jakie był Rossi pozbierał, wymieniają na r. 348 tych dwu konsulów (ob. *Inscriptiones christianae urbis Romae*), wyjąwszy jednego n. 104, który tylko Sallię samego wspomina.

Oto np. u św. Pawła za murami znajdujemy napis:

MIRI BONITATI ATQ. SANCTITATI
ESUBIAE IANUARIAE CONIUGI QUE VIXIT MECUM
ANNOS XVIII. M. V. D. XXV. ARRADIUS MELISSUS MARITUS
ET SIBI FECIT O DEPOSITA. IN. PACE. III. KAL. APR.
FILIPPO ET SALLIA COSS.

już niemal lat pięćdziesiąt siedm", przeto w r. 405 zabrał się był do wydania pism swoich.

Już to samo jest osobliwością, jak wszyscy wyznają[1], że człowiek, co lat sześćdziesięciu dobiega, oddaje się poezyi i pisze z taką łatwością[2]; ale tem dziwniejszą byłoby rzeczą i wprost nie do uwierzenia, by wszystkie dzieła Prudencyusza nietylko w r. 405, ale nawet i w paru poprzedzających latach mogły były wyjść z pod pióra jednego, nawet genialnego człowieka. Przemawia przeciw temu i rozmiar prac i nawet treść ich sama. W czasach najzaciętszych walk z herezyami, gdzie w rzeczach wiary każde źle użyte lub dwuznaczne słowo mogło nieobliczone szkody i dla czytających i dla piszącego wywołać; człowiek świecki i do tego prawnik roztropny a świątobliwy, jak Prudencyusz, nie byłby się nigdy odważył na oddanie z pośpiechem w ręce publiczności pism tak głęboko teologicznych, jak np. *Apotheosis* lub *Hamartigeneia*. I długie, gruntowne studya teologiczne musiały je poprzedzać i każde ich słowo po wielekroć musiało być odważone.

Że Prudencyusz przyszedł na świat w północnej Hiszpanii, która była wydała Kwintyliana i Martialisa a wreszcie Teodozego Wielkiego: o tem nikt nie wątpi; spierają się tylko wszyscy o miejsce urodzenia. W tej mierze — podobnie jak to było niegdyś z Homerem — aż trzy miasta walczą o Prudencyusza, tworząc w ten sposób trzy obozy pośród literatów i historyków. Jedni, jak Ebert[3], są zdania, że Saragossie *(Caesara-Augusta)* zaszczyt

---

[1] Obacz np. Schröckh, *Christliche Kirchengeschichte,* VII. Bd. i A. Rösler, *Der kath. Dichter Aurelius Prudentius Clemens,* p. 7.

[2] Mimowoli przypomina się nam Naruszewicz ze swą odą do króla Stanisława Augusta, w której uznaje, że po ukończeniu lat czterdziestu trudno jest być poetą i że w tym wieku Muzy opuszczać zwykły swych wybrańców:

„Lecz wiek na czole piąty krzyżyk pisze,
Febowe dziewy nie chcą bawić ze mną;
Długo się człowiek głową nakołysze,
Nim mu myśl zrządzą do rymu przyjemną".

[3] *Geschichte der christlich-latein. Litteratur,* t. I, str. 243. — Kayser, *Bei-*

ten się należy; drudzy przechylają się na stronę Kalahorry *(Calagurris)* albo Tarragony *(Tarraco)*; inni wreszcie przyznają, że jedno z tych miast musi być gniazdem ojczystem Prudencyusza, że atoli niepodobna nic stanowczego orzec w tej mierze. Obecnie po tylu badaniach i sporach ostatnie to zdanie powszechnie bierze górę.

Że z Hiszpanią tarrakońską łączyły się najmilsze wspomnienia poety, przemawiają za tem jego pisma; poza ten pas Hiszpanii zamknięty Ebrem i Pirenejami rzadko kiedy myślą się wychyla. Bo też to była uprzywilejowana w jego oczach ziemia! Pierwsza szczyciła się wyznawstwem Chrystusowej wiary, najliczniejszych dała Mu męczenników i za czasów Prudencyusza prym trzymała w całej Hiszpanii pod względem swej „katolickości". Stąd wnosićby także wypadało, że nasz poeta urodził się już z katolickich rodziców. Na poparcie tego twierdzenia słuszną robi uwagę Puech[1], że gdyby inaczej było, byłby o tem niezawodnie sam Prudencyusz wspomniał, tak jak to czynił Tertullian i Commodianus, i nie byłby tak gładko przebiegał po stromych ścieżkach teologicznych zagadnień. Dowodem tego taki nawet Laktancyusz, Arnobiusz i Claudius Marius Victor, którzy po nawróceniu swojem, choć im bynajmniej nie zbywało na talencie i na dobrych chęciach, w rzeczach dogmatu mimowoli utykali. A Rösler i to dodaje: Każdy uważny czytelnik pójdzie pewnie za zdaniem Gamsa, że „nieśmiertelne dzieła Prudencyusza same są świadectwem, iż już od pierwszej młodości tem i w tem żyć musiał, co pod wieczór swojego żywota tak niezrównanie opisał i wyśpiewał"[2].

O rodzinie Prudencyusza nic nie wiemy, lubo o nim mówi kronika *Prosperi Tironis*[3], że „pochodził ze znakomitej rodziny",

*träge zur Geschichte und Erklärung der ältesten Kirchenhymnen*, str. 251. — Gams, *Die Kirchengeschichte von Spanien*, t. II, część 1. — Rösler, l. c., str. 14.

Arevalo obszernie tę kwestyę omawia w swoich *Prolegomena ad opp. Prudentii* (ed Migne, t. 59), kol. 578—591.

[1] *Prudence*, p. 46.

[2] *Der katholische Dichter, Aurelius Prudens Clemens*, str. 24

[3] *Prudentius lyricus poeta noster, Hispanus genere illustri* (Arevalo, *Prolegomena ad opp. Prud.* Kol. 752.

a Paweł Allard [1] popiera to zdanie wykwintnem wychowaniem poety, szybkim jego postępem w dostojeństwach i ową „lojalnością", jaka przebija, kiedy przychodzi mu mówić o Julianie Apostacie... I kto wie, czy nie ma w tem Allard słuszności. Prudencyusz, wychowany w najczystszych tradycyach chrześcijańskich, owianych jeszcze chwałą tryumfów męczeńskich; syn czasów, co dyszały walką o ukochaną wiarę jużto w zapasach z pogaństwem, jużto z manicheizmem i Aryanami; szczęśliwy świadek najświetniejszego zastępu wielkich Ojców Kościoła tak we wschodnim jak i w zachodnim Kościele: byłby powinien z iście hiszpańskim ogniem miotać pioruny na haniebnego odstępcę i kata swej wiary. Ale nie; Prudencyusz tego nie robi, choć w swoich pismach tyle krwi psuje protestanckim pisarzom [2], porywającym swoim zapałem, z jakim się zawsze o wiarę zastawia. Jakże to wytłumaczyć?

Zdaje się rzeczywiście, że tylko jedno zostaje najprawdopodobniejsze przypuszczenie [3], a mianowicie, że na Prudencyuszu odbił się wpływ domowych i towarzyskich stosunków. Dwunastoletnie pacholę — syn niezawodnie jakiegoś dostojnika cesarskiego — słysząc — jak widać z jego opowieści — ciche szepty o bałwochwalczych szaleństwach cesarza, o jego nienawiści do chrystyanizmu i o cudach, jakie przerywały pogańskie jego ofiary: zarazem nasłuchać się musiał głośnych uwielbień dla jego talentu, sprężystości i męstwa... [4]

Że Prudencyusz z lat dziecinnych wyniósł wspomnienie — rózgi, temu się nikt nie dziwi, kto wie, jakim się wzięciem cieszył

[1] *Prudence historien*, p. 347. (*Revue des questions historiques*, 1884).

[2] Brockhaus, *Aurelius Prudentius Clemens in seiner Bedeutung für die Kirche seiner Zeit.* — Obbarius, *Aurelii Prudentii Clementis carmina.*

[3] Paweł Allard, l. cit., str. 348.

[4] Principibus tamen e cunctis non defuit unus,
Me puero, ut memini, ductor fortissimus armis,
Conditor et legum, celeberrimus ore manuque,
Consultor patriae, sed non consultor habendae
Religionis, amans tercentum millia Divum.
Perfidus ille Deo, quamvis non perfidus Urbi.
*Apotheosis*, v. 449—454.

w tamtych czasach ten system surowego wychowania. Wszakże już Horacy tak wzdychał:

> Ach, pamiętam ja jeszcze, jak w dziecięce mózgi,
> Wbijał wiersze Orbiliusz nie szczędzący rózgi [1].

Martialis i Auzoniusz to samo nam mówią [2], a hymn o św. Hippolicie [3], nauczycielu, nawet w szkole świętego tego męczennika taki sam — i zresztą wcale dobry — opisuje system.

Więcej i z większą boleścią mówi Prudencyusz o latach młodzieńczych. Że adwokacką r e t o r y k ę ma na myśli i przesadę w mowie, kiedy pisze, że wtedy „uczono go kłamać“ [4], na to zgadzają się wszyscy; za to różni różnie wykładają owe łzami przesiąkłe wyznania o błędach młodzieńczego wieku [5]. Jedni z nich domyślają się li tylko tego, że utartym owych czasów zwyczajem (za którym prócz Konstantyna W. poszedł Teodozy W., a nawet św. Ambroży ze św. Paulinem jako ludzie świeccy): i Prudencyusz w późniejszym dopiero wieku chrzest św. był przyjął. Drudzy, jak np. Kayser [6], biorą rzeczy dosłownie; inni wreszcie, jak Gams i Arevalo [7], widzą w tem wyraz głębokiej pokory poety, podobnie jak to odnajdujemy w Świętych, którzy się zawsze mieli za największych grzeszników [8]. Allard tak się wyraża:

[1] . . . . Memini... plagosum mihi parvo
Orbilium dictare.
(*Epist.*, II, 1, 70—71).

[2] Martialis (Lib. X, epigram. 62), zowie rózgę „berłem pedagogów“:
F e r u l a e q u e t r i s t e s s c e p t r a p o e d a g o g o r u m.
A Auzoniusz:
Q u o d s c e p t r u m v i b r a t f e r u l a e, q u o d m u l t a s u p e l l e x
V i r g e a...
*Protrepticon*, ad Ausonium nepotem.

[3] *Peristephanon*, IX, 21—29.

[4] . . . . Mox docuit toga
Infectum vitiis falsa loqui... *Praef.*, 8—9.

[5] Tum lasciva protervitas
Et luxus petulans (heu pudet ac piget!)
Foedavit juvenem nequitiae sordibus ac luto (v. 10—12).

[6] *Beiträge zur Geschichte und Erklärung der ältesten Kirchenhymnen*, str. 252.

[7] *Prolegomena*, n. 44 i nast.

[8] Barth (*Advers.*, l. IV, c. 11) tak mówi: „Modestia Christianis priscis usitata, quam aliquot locis invenies et apud Prudentium“.

„Mimo chrześcijańskiego wychowania, zdaje się, że młody adwokat bodaj przez lat jakich kilka wolniejsze wiódł życie; jeżeli wierzyć mu mamy, młodość jego nie obyła się bez wielkich nawet zboczeń, o czem nam opowiada w wyrazach pełnych i żalu i wstydu... Wyznaję, że w tej mierze nic pewnego nie wiem, a sądzę zarazem, iż najlepiej będzie wierzyć Prudencyuszowi w tem, co sam wyznaje i za co w piersi się bije“ [1].

Koniec końcem ogień młodości a może i szał młodości prędko przeminął, a młody retor pełen zapału, talentu i żądzy sławy „hardo stawał na arenie“ wymowy, która go miała, mimo jakichś tam zawodów [2], na wysokie w państwowej hierarchii doprowadzić stopnie. Była to zwykła do nich droga, a i to warto napomknąć, że w tej pogoni za szczęściem, adwokaci IV. wieku, zdaniem Ammiana [3], nie najlepszą cieszyli się sławą. Prudencyusz nie marzył o konsulacie; na to trzeba było być patrycyuszem; ambicyi Auzoniusza [4] nie posiadał; ale w administracyi rządowej

[1] L. cit. str. 349.

[2] Exin jurgia turbidos
Armarunt animos et male pertinax
Vincendi studium subjacuit casibus asperis. (L. cit. v. 13—15).

Podobnie pobożne wyznania czytamy na wielu innych miejscach, jak np.:

Esto cavernoso, quia sic pro labe necesse est
Corporea, tristis me sorbeat ignis Averno,
Saltem mitificos incendia lenta vapores
Exhalent aestuque calor languente tepescat.
Lux immensa alios et tempora vincta coronis
Glorificent, me poena levis clementer adurat.
*Hamartigeneia* (v. 961—966).

I w hymnie o św. Fruktuozie (*Peristeph.*, VI, v. 97—102):

Olim tempus erit ruente mundo
Cum te, Tarraco, Fructuosus acri
Solvet supplicio tegens ab igni.
Fors dignabitur et meis medelam
Tormentis dare, prosperante Christo
Dulces hendeca-syllabas revolvens.

[3] Między pochwałami, jakich nie szczędzi Walentynianowi, i ta się także znajduje, że twardy ten żołnierz uporał się i z adwokatami i nałożył im wędzidła. (XXX, 4).

[4] Który chcąc dowieść, że literacki talent wszystko może osiągnąć, wspiął się do godności prefekta pretoryum.

gotowe były dlań miejsca i, wedle własnych słów jego, najpierwsze z nich osiągnął. Czy można wiedzieć, co to była za godność?

Powszechne jest zdanie, iż dwakroć był namiestnikiem prowincyi [3] i to nie innej, jak tarrakońskiej [4], bo o żadnej innej nigdzie wzmianki nie czyni. Przeciwne twierdzenie sprzeciwiałoby się usposobieniu Prudencyusza; wszakże skoro tylko udał się do Rzymu, zaraz o tem niemało zostawił pamiątek... Od czasów Dyoklecyana Hiszpania, należąc do prefektury Gallii, dzieliła się na pięć prowincyj [3], których namiestnicy, zwani także *judices provinciae*, dzierżyli najwyższą władzę sądową w kraju i prawo nawet miecza [4]. Z tej to godności cesarz Teodozy Wielki wyniósł Prudencyusza na wyższy jeszcze szczebel dostojeństwa [5].

Nie ulega wątpliwości, że Prudencyusz należał odtąd do najbliższego otoczenia cesarskiego; czy to atoli była godność wojskowa czy dworska, trudno na pewne orzec. W hierarchii tej — jak przypomina Allard [6] — wszystkie stopnie skrupulatnie były oznaczone, i cała jedna księga „kodeksu Teodozyusza“ [7] poświęcona była li tylko tej sprawie. Jakiż stopień zajmował Prudencyusz?... Obbarius mniema, że była to godność patrycyusza, a mianowicie w tym stopniu, który dawał tytuł *patricius praesentalis, patricius codicillaris* albo *honorarius*. Allard wraz z Arevalem sądzą, że to oznaczało *comes*'a pierwszego rzędu [8] *in militia*

---

[1] Bis legum moderamine
Frenos nobilium reximus urbium
Jus civile bonis reddidimus, terruimus reos (v. 16—18).
Co do tego obacz Tillemonta (*Mém. eccl.*, x, p. 819, nota 1, Sur Prudence), Vossius (*Historici latini*, II, 10), A. Puech (l. cit. p. 48), P. Allard (l. cit. 349, 350), Ebert (*Geschichte der christl.-lat. Litteratur*, I, p. 244).

[2] Arevalo (*Prolegomena*. n. 51), Ebert (l. cit.) i Allard (l. cit. p. 350).

[3] Marquard (*Römische Staatsverwaltung*, t. I, p. 260).

[4] Mommsen (*Römisches Staatsrecht*, t. III).

[5] Tandem militiae gradu
Evectum pietas principis extulit
Adsumptum propius stare jubens ordine proximo. (V. 19—21).

[6] L. cit. str. 351, 352.

[7] *Codex Theodosii*, VI, 1—37.

[8] Czyli „honor proximatus cum jussione (seu evocatione) augusta accedendi ad comitatum principis“... Videlicet post magistratus

*palatina*, jakim mógł zostać namiestnik prowincyi za nadzwyczajne zasługi...[1] Że Prudencyusza w tej wysokiej godności przydzielił Teodozyusz Wielki do swego otoczenia wojskowego, przemawia za tem hymn poety o św. Kwirynie[2].

Słusznie czytelnika zadziwićby mogło, skąd się wzięło Prudencyuszowi pisać hymn na cześć illyryjskiego męczennika. Otóż bardzo prawdopodobnie taki był jego stosunek do biskupa Syscyi[3], św. Kwiryna... Po tragicznej śmierci Gracyana, uzurpator Maximus spieszył na czele legionów zająć coprędzej Włochy. Pod Sisseg (Siscia) zabiegł mu drogę Teodozyusz Wielki i w krwawej walce na głowę poraził w r. 388. Widocznie Prudencyusz był już naówczas w wojskowej świcie Teodozego i jako taki brał udział w tem świetnem zwycięstwie; wdzięczność tedy podyktowała mu zaraz odpłacić się swoją monetą świętemu tego miejsca Patronowi, gdzie za jego pewnie wstawiennictwem odniesiono tryumf nad tyranem...

Ze śmiercią swego dobroczyńcy i przyjaciela, Teodozego Wielkiego, Prudencyusz najprawdopodobniej usunął się w zacisze domowe i wtenczas to oddał się ascezie, studyom i poezyi; w tym bowiem czasie nic nie słyszymy o nim i nic o wypadkach, w których byłby brać musiał mniejszy lub większy udział. To dopiero tłumaczy należycie czas powstania jego dzieł teologicznych.

* * *

Najbarwniejsza może w życiu Prudencyusza przychodzi teraz karta: jego podróż do Rzymu. Był to ideał i rozkoszne

scriniorum, qui in tribus prioribus scriniis „militabant", succedebant alii his proximi, qui proximi scriniorum dicebantur. Hi deposita militia seu post depositum actum clarissimis aggregabantur, ad comitatum principis sine evectione venire poterant. (Cfr. *Codex Theod.* VI, toto titulo 26, leg. 2 et 14).

[1] *De comitibus, qui provincias rexerunt.* (*Codex Theod.*, VI, 27). — Czy rzeczywiście posiadał senatorski tytuł *vir clarissimus*, jak na wielu manuskryptach znajdujemy, ob. Arevalo (*Proleg.*, 51) i Allard (l. cit. 352).

[2] *Peristeph.*, hymn VII.

[3] Dzisiejsze Sisseg koło Zagrzebia.

marzenie ludzi, co się urodzili na prowincyi: dla Prudencyusza ziścić obecnie miał się sen ten złoty. Ale w jaki sposób?...

Powszechnie przypuszczano dotąd, że Prudencyusz udawał się do Rzymu dla usprawiedliwienia się przed cesarzem z czynionych mu jakichś zarzutów. Przypuszczenia te opierano na hymnie o św. Kassyanie, gdzie Prudencyusz wyznaje, że u grobu męczennika w Imoli pośród łez gorących składał ciężkie swe troski i losy niepewne [1]... O co chodziło, co mu zarzucano, ani słowem — lubo taki pokorny — nie wspomina Prudencyusz, tryumfująco tylko dodaje z wdzięcznością:

Wysłuchanym i w Rzymie ma sprawa wygrana!
Wracam śpiewając rzewnie cześć dla Kassyana... [2]

Tymczasem obecnie dowiedzioną jest rzeczą, że nie co innego było przyczyną ostatniej [3] rzymskiej podróży, jak sprawa „pryscyliańska".

Zbyt dalekoby nas zaprowadziło opowiadać czytelnikom jej początek i rozwój; ciekawych odsyłamy do Hergenröthera [4], Gamsa [5] i kroniki Sulpicyusza Sewera. Tutaj dość będzie wspomnieć, że sprawa ta czysto religijna, przez wmieszanie się w nią

---

[1] Hic mihi, cum peterem te, rerum maxima Roma,
Spes est oborta prosperum Christum fore.
Stratus humi, tumulo advolvebar, quem sacer ornat
Martyr dicato Cassianus corpore.
Dum lacrymans mecum reputo mea vulnera et omnes
Vitae labores ac dolorum acumina,
Erexi ad coelum faciem... *Peristeph.*, IX, v. 3—9.

I niżej:

. . . Complector tumulum, lacrymas quoque fundo:
Altar tepescit ore, saxum pectore.
Tunc arcana mei percensens cuncta laboris,
Tunc, quod petebam, quod timebam, murmuro:
Et post terga domum dubia sub sorte relictam
Et spem futuri forte nutantem boni... (Ibid., v. 99—104).

[2] Audior, Urbem adeo, dextris successibus utor
Domum revertor, Cassianum praedico. (Ibid., v. 105—106).

[3] Mówię: „ostatniej", bo chociaż nikt się z tem nie odzywa, przecież prawdopodobną jest rzeczą, że Prudencyusz po zwycięstwie nad Maksymem w r. 388 odbył z Teodozyuszem Wielkim wjazd tryumfalny do Rzymu.

[4] *Handbuch der Kirchengeschichte*, I, n. 104 i nast.

[5] *Kirchengeschichte von Spanien*, II.

uzurpatora Maksyma, przybrała cechy narodowości i stronnictwa i całą zapaliła Hiszpanię... Nas teraz dziwi i zgrozą przejmuje myśl, że w r. 400 wszyscy biskupi Galicyi (hiszpańskiej) przeszli na stronę pryscylianizmu: za czasów Prudencyusza, choć bez wątpienia nie można się było odjąć bolesnemu wrażeniu, ale przecież nie dziwiono się temu. Chciwość Maksyma, czyhającego na zagrabienie ponętnych majątków i niechęć do Galicyan, jako rodaków jego rywala, Teodozyusza Wielkiego; brak taktu u Idacyusza a wcale nie budujące życie Ithacyusza [1] (dwóch głównych oskarżycieli Pryscyliana): wszystko to przysparzało stronników Pryscylianistom. Pryscylian ścięty w Trewirze, wyrósł na męczennika. Dodajmy do tego, że w ślad idąc swego herezyarchy, który przy całej ukrytej przewrotności, przedziwny czar wywierał na swe otoczenie łagodnością, nauką i pozorem wielkiej kontemplacyi: Pryscylianie starali się o te same pozory. Jak zwykle bywa w chwilach gorącej religijnej lub partyjnej walki, rozpalona wyobraźnia wszędzie zdawała się dostrzegać (podstępną zresztą) herezyę; wystarczało oględnie mówić o niej, a z pewną względnością wyrażać się o jej zwolennikach albo oddawać się czytaniu Pisma św. i książek religijnych, by ściągnąć na się podejrzenie o pryscylianizm. Wszakże nawet św. Marcin przed takiem posądzeniem nie uszedł [2], a historya biednego Bacchiarius'a [3] wymownym jest tego dowodem. „Położenie w Hiszpanii (około r. 400) — użala się Gams [4] — stało się nieznośnem"; a Sulpicius Sewerus, nie obwijający niczego w bawełnę, tak pisze w r. 402: „Właśnie teraz większość opętana szalonemi planami i zaciekłością namiętną, walczy z mniejszością, co przy dobrej ostała się sprawie; tymczasem atoli lud boży i każdy prawy człowiek podlega złorzeczeniom i za głupca go mają".

Gotowe tedy podejrzenia i na Prudencyusza. I on poświęcił

[1] Sulpicius Severus, *Chron.* II, c. 50. (Edit. Halm., p. 103).

[2] Reinkens, *Der wunderthätige Mönch und Bischof* (str. 160), w Herzoga *Real-Encyklopädie für protestantische Theologie.* — Sulpicius Severus, *Vita S. Martini*, c. 27.

[3] Porównaj jego *De fide. Libellus adversus querulos et infamatores.*

[4] Loco cit.

się studyom teologicznym i ascezie; i on wyrażał się nader oględnie o swych przeciwnikach, jak mu dyktowała jego wielka chrześcijańska łagodność; i on wreszcie był całą duszą Teodozemu Wielkiemu oddany: a być Teodozyaninem — choć to teraz śmiesznie wygląda — znaczyło wtedy niemal tyle, co być Prysscylianistą [1]. Był tedy i Prudencyusz oskarżony w Rzymie o prysscylianizm i w Rzymie trzeba się było zeń oczyścić; tam też się udał.

Była to właśnie ta doba dziejowa, co patrzyła na „walki olbrzymów". Pierwsza z nich rozegrała się w r. 403 w sam dzień wielkanocny na równinach Pollencyi, gdzie Stilikon zwycięsko odparł Alaryka dążącego na stolicę Italii. Że Prudencyusz drugą księgę *Contra Symmachum* w Rzymie był napisał, przyjęte jest mniemanie [2], i na podstawie tekstu niepodobna nawet powątpiewać o tem; że ją napisał wkrótce po bitwie pollentyńskiej, to sam o tem świadczy [3]:

[1] Rösler, *Der kath. Dichter A. Prudentius Clemens* (str. 17).

[2] Arevalo, *Prolegom.*, 55 i 72, i ze słów Prudencyusza to widać: Huc Christo comitante veni! (L. II, c. Symm., v. 732).

[3] Tentavit Geticus nuper delere tyrannus
Italiam, patrio veniens juratus ab Istro,
Has arces aequare solo, tecta aurea flammis
Solvere, mastrucis proceres vestire togatos.
Jamque ruens, Venetos turmis protriverat agros
Et Ligurum vastarat opes et amoena profundi
Rura Padi, Tuscumque solum victo amne premebat.
. . . . . Dux agminis imperiique
Christi — potens nobis juvenis fuit et comes ejus
Atque parens Stilico: Deus unus Christus utrique.
Hujus adoratis altaribus et cruce fronti
Inscripta, cecinere tubae: Prima hasta dracones
Praecurrit, quae Christi apiceam sublimior effert.
Illic ter denis gens exitiabilis annis
Pannoniae poenas tandem deleta pependit.
Corpora famosis olim ditata rapinis
In cumulos congesta jacent. Mirabere seris
Posteritas, saeclis inhumata cadavera late
Quae Pollentinos texerunt ossibus agros.
(L. II, contra Sym., 695 i nast.).
Zob. Allarda, l. cit. p. 363, 364.

Niedawno temu z ponad Dunaju
Dziki Got przywiódł swe hordy,
I na zagładę Romula kraju,
Rozpostarł gwałty i mordy.
I przysiągł w duszy swojej nieczystej,
Że Rzym rozbije w okruchy,
A dawnych panów Romy złocistej
W grube odzieje kożuchy.
Już padli przed nim starci Weneci
Północ Włoch dymi pożogą:
A Got zwycięski jak burza leci...
. . . . . .
Są, co zwyciężyć go mogą,
Na czele szyków cesarski młodzian,
Stiliko także na czele:
Każdy z nich w wiarę Chrystusa odzian,
Chrystus zwycięstwa im ściele...

Krzyżem Chrystusa znaczą swe czoła
Pośród gorącej modlitwy,
Krzyż ich do zwycięstw dzisiaj powoła...
Zagrały surmy do bitwy.
Poprzed sztandary, co z wiatrem płyną,
Sztandar Chrystusów szeleści.
Patrzcie, jak łotry pannońskie giną,
Za lat łupieżczych trzydzieści!
Widzisz te wielkie krwawych cielsk
Z pieczęcią śmierci na czole? [kupy
To ci, co wlekli te wielkie łupy
A w duszy wlekli swawolę.
Dziwić się będą kiedyś potomni,
Dziwić się będzie świat cały,
Pól pollentyńskich gdy ogrom wspomni,
Gdzie kości Gotów leżały...

Że to zaś pisał przed r. 404, dowodzi i wezwanie skierowane do Honoryusza, by w tryumfalnym wjeździe stary Rzym odwiedził, i prośba, by zniósł gladyatorskie igrzyska, które — jak wiemy — Honoryusz w r. 404 istotnie zakazał.

A jakże się Prudencyuszowi ówczesny Rzym przedstawił? Rzymianina zachwycił, chrześcijanina zabolał... Żywa jego wyobraźnia tworzyła sobie od lat już chłopięcych cudowny obraz światowładnej Romy; ale to, co teraz na własne oczy zobaczył, przeszło jego oczekiwanie.

Jeszcze Alaryk i Genzeryk nie złupili stolicy świata całego i barbarzyńskie młoty Witygesa jeszcze jej nie tknęły. Bogactwo tedy i przepych gromadzony z całego imperyum przez lat przeszło tysiąc, wypełniał Rzym po brzegi. Już sam wstęp do stolicy był osobliwością. Te szerokie i iście królewskie gościńce, otoczone dokoła mauzoleami, kolumbaryami i świątyniami „bogów podziemnych“ (prawdziwe miasto umarłych), przyspasabiały umysł do tem większego wrażenia, wciągając go przedtem w zaklęty jakiś świat marzeń.

Nagle — jak we śnie, Rzym błysnął. *Aurea Roma*![1] — zawołał zdumiony poeta, nie wiedząc, na co wprzód patrzeć. Te

[1] *Apotheosis*, v. 385, c. Sym. II, 698, 832, 1114. — Porównaj Klaudyana *Fescennina*, 19, 20, i Auzoniusza *Ordo nobilium urbium*, l. 1.

pałace o portykach z białego marmuru i dachach złocistych, te świątynie walczące ze sobą o pierwszeństwo w bogactwie i smaku, te niezliczone bohaterów i bogów posągi [1], te olbrzymie i zbytkowne termy, przepyszne *forum*, cyrki, *propilea* i tryumfalne łuki więcej mówiły, niż mowa mogła wyrazić. Dla kogo „poezya słońca i światła“ nie jest tajemnicą, ten niech sobie wystawi to wszystko skąpane w czarodziejskich promieniach słonecznych, w ogrodach pełnych kwiecia i zieleni, palm, laurów, pinij, cytryn i cyprysów, a w górze ponad tem rozpięte *velum* niebios z czystego szafiru.

Tak przemawiał do Prudencyusza Rzym martwy. Cóż dopiero Rzym kipiący życiem, szumiący jak morze — gwarem tego olbrzymiego rojowiska, co się tu zbiegło ze wszystkich krajów, narodów i części znanego wówczas świata. Od Armoryki i „ostatniej Thule“ aż po grzbiety Atlasu, od Burdigali po tajemnicze kraje Sericum gdzieś na końcu ziemi; wszystko było jak u siebie; pośród tych gmachów, świątyń, posągów i kolumnad krzyczało, kupczyło albo bawiło się rozmową lub słuchaniem. Wśród rozbrzmiewającej muzyki widziałeś tam przechadzających się zwolna, to znów biegnących albo niesionych w lektykach przez żylaste ramiona białych lub też czarnych niewolników. Wszelkie możliwe i twarze i stroje w najrozmaitszych kolorach: istna wystawa bogactw i ludzi całej kuli ziemskiej.

Niedarmo Rutilius Rzym „nazwał światem przekształconym w miasto“:

Urbem fecisti, quod prius orbis erat [2].

Poganin mógł w tem myślą i sercem utonąć; Prudencyusz, chociaż zdumiony, wybiegał duchem gdzieindziej. On szukał miejsc uświęconych stopą Apostołów, szukał ich świątyń i grobów, pragnął ujrzeć zastępcę Chrystusa na ziemi i spieszno mu było upaść na kolana w krużgankach katakumb i całować krwią Świętych zlane piaski Kolosseum...

Nie brakowało wtedy jeszcze żadnej z tych drogich pa-

[1] Porównaj C. Symm. I, w. 215 i nast. i II, c. Symm. w. 53 i nast.
[2] *Itinerarium*, I, 66.

miątek, a od czasów Konstantyna Wielkiego wciąż rosła liczba katolickich świątyń i to nieraz bardzo okazałych, lśniących się od złota i drogich marmurów. Prudencyusz opisał nam niektóre, a przyznać trzeba, że opis ten zgadza się zupełnie z architekturą IV. wieku i ze świadectwem św. Paulina.

Zanim wstąpiłeś przez „świętą“ bramę [1] do obszernego przedsionka *(ingens atrium)*, spotkałeś otwarty portyk [2] z kolumnadą a nieraz i poręczami wśród kolumn, gdzie wsparty, przyglądać się mogłeś szumiącym wodotryskom [3]. Tutaj czekano na nabożeństwo, albo się przechadzano; w czasie zaś mszy św. tutaj stali „pokutujący“ grzesznicy. Przedsionek nie zawsze bezpośrednio wprowadzał do kościoła. Między nim a samą świątynią spotykałeś nieraz czworoboczny dziedziniec otoczony krużgankami [4].

Ale wejdźmy do wnętrza. Prudencyuszowi zawdzięczamy także wierny obraz kościołów św. Pawła, św. Hippolita i św. Agnieszki w Rzymie, a prócz tego św. Kassyana w Imoli, św. Eulalii w Meridzie i św. Fruktuoza w Tarragonie. W bazylice np. św. Pawła (wystawionej przez Konstantyna W. a przebudowanej przez Teodozego W. i Honoryusza [5]), wnętrze przedstawiało przepych iście królewski [6]. „Całe belkowanie pokryte było złotem, tak, że kiedy tylko promienie słoneczne strzeliły przez okna, cała niemal świątynia jasnością gorzała. Od złota belkowań wdzięcznie odbijały cztery rzędy kolumn z białego marmuru, (niezawodnie o złocistych także kapitelach), a wszystkie łuki

[1] *Sanctissima janua.*

[2] *Patentes porticus,* (Hymn II. *Peristeph.*), w. 172—175, 177.

[3] S. Paulinus, *Natale S. Felicis,* X.

[4] Eusebius, *Hist. eccles.,* X, 4.

[5] Pamięć tego uwieczniono napisem na tryumfalnym łuku głównej nawy:

THEODOSIUS COEPIT PERFECIT HONORIUS AULAM
DOCTORIS MUNDI SACRATAM CORPORE PAULI.

Łuk ten (r. 1823) w pożarze zniszczony, odbudowano z mozaikami i napisem wedle dawnych planów, które zachowały się w *Codex Palatinus,* i w kopii Grutera, *Inscr.* p. 1170, 6. — Poniżej widnieje drugi napis, świadczący o tem, że św. Pulcherya cesarzowa wraz ze św. Leonem W. kończyła budowę tej przepysznej bazyliki Apostoła narodów.

[6] *Peristeph.,* XII, 45, 48 i *Peristeph.* XI, 49, 54.

wyłożone szklaną mozaiką *(opus vermiculatum)* w artystyczne wzory, zdawały się patrzącym łąką strojną w najśliczniejsze kwiecie".

Prudencyusz odetchnął na ten widok. Kiedy widział gmachy pogańskiego Rzymu i jego bożnice, smutne już naprzód czynił porównania ze świątyniami prawdziwego Boga; tymczasem się omylił. A nie samych tylko obu „książąt Apostolskich" wspaniałe takie obaczył świątynie; to, co nam w spuściźnie zostawił o innych kościołach[1], pięknie mówi o hojności chrześcijańskich cesarzy i gorliwości ludu.

Chęć bierze powtórzyć za poetą te pełne wesela opisy, jak tłumnie już wówczas i z jakim zapałem garnęły się do tych świątyń i do tych grobów świętych tłumy nietylko Rzymian, ale i pielgrzymów z najdalszych stron świata. Oto bodaj zdań kilka:

Ledwie nad Rzymem świt ranny błyśnie,
A już się wszystko w te progi ciśnie;
Wszystko całuje te progi;
Z bliska i z dala — z wschodu, zachodu,
Idą, wracają tłumy narodu;
Jeden ich wiedzie cel drogi.
Gorąca wiara świeci im z oka;
Rzewna modlitwa i cześć głęboka
Żadnej nie znajdzie tu tamy:
Ten niesie złoto, a ten nadzieje,
Ten leje balsam, a ten łzy leje
Droższe nad wszystkie balsamy.
Tu wszyscy równi[2] . . . . . .

Ale najradośniejszym był dla Prudencyusza widok tych wraz z ludem cisnących się w kościoły dawnych pogańskich kapłanów, senatorów z najstarszych rodów rzymskich i czem tylko dawny Rzym się szczycił.

Nie ma pogaństwo na to już rady,
Dawni czciciele Westy, Pallady
Biegną w Chrystusa świątynie;

[1] Prudencyusza hymnom z jego pobytu w Rzymie zawdzięczamy odnalezienie śladów dawnej bazyliki św. Hippolita a nawet jego grobu. Obacz Rossi'ego *Bulletino di archeologia cristiana,* 1882, p. 176, i 1883, p. 60 — i Kraus, *Roma Sotteranea,* str. 107 i 548).

[2] Hymn XI, *Peristeph.,* (w. 189—194 i 201—202).

Kwiryt, co pijał z Numowej czary,
Dziś z Chrystusowej pija ofiary
I hymn dlań z ust jego płynie.
Ojcowie nawet senatu sławni,
Dawni Luperci, Flamines dawni,
Pany rodowej purpury,
Przed Apostołów spieszą ołtarze
Lub w katakumbach padłszy na twarze,
Zimne całują marmury.
Patrzym — a głośne ojce i matki
Dostojne swoje prowadzą dziatki
I za największe zaszczyty
I za najsłodszą życia ostoję
Proszą, by w służbę przyjął ich swoję
Chrystus do krzyża przybity [1].
Gdy przy chrzcielnicy padł na kolana
*Pontifex* dawny, i z rąk kapłana
Chrzest brał na skronie gorące:
Po marmurowych kościoła schodach,
Szły po chrzest wielkie w najstarszych rodach
Dawne Westalki milczące [2].

Niema w tem żadnej przesady. Wszak to jest pewnikiem historycznym, stwierdzonym przez współczesnego Prudencyuszowi Ambrożego św. [3], że większa część senatu należała do Chrystusowej wiary. I tak np. Gracchus, prefekt Rzymu w r. 376 i 377, za swego urzędowania zniósł świątynię Mithry u stóp Kapitolu i strzaskał wszystkie bałwany. Ród Bassi'ów, Eusebius i Hipatius konsulowie, ród Paulinów i Olybryuszów, gałęzie wielkiego drzewa *gentis Aniciae*; konsulowie Anicius Probinus i Anicius Hermogenianus Olybrius, synowie Aniciusa Petroniusa Proba, który pod Konstancyuszem był prokonsulem Afryki, cztery razy prefektem pretoryum Italii a wreszcie konsulem. Dodajmy rody: Principii, Valentii, Florentii, Artmii, Turci; Pammachiusza, Kastoryusza i tylu innych, o których nam mówią jeszcze zachowane napisy i współcześni pisarze [4]. Do nich to należały i owe śliczne

[1] O tem poświęceniu synów i córek Chrystusowi, czytaj Paulina św. *In natali* 13 (w. 64 i nast.) i *De Asterio* (w. 261) i *Muratoriego* w koment. do w. 523, z h. II, *Peristeph.*

[2] Hymn II, *Peristep.* (w. 511—528).

[3] *Epist.*, 17 i 18.

[4] Hieron. *Epist.* 107. — Rossi, *Inscript. christ. urbis Romae*, p. 185, i ko-

postacie niewiast, jak: Pauli i Eustochium, Aselli, dwóch Melanij i Marcelli. Był to właśnie czas, gdzie po energicznem wystąpieniu Teodozego Wielkiego w senacie, rozpoczął się nadzwyczajny ruch w tym kierunku. Po nieustraszonym szermierzu wiary, św. Ambrożym, przybył równie waleczny Hieronim św. i uczony a wielce pociągający papież, św. Damazy, co tyle uroku dodał Kościołowi i światu katakumby rozświecił.

Prudencyusz, obchodząc Rzym jak pielgrzym i jak archeolog, dopytując się o wszystko [1] i skrzętnie zapisując, czytał [2] — świeże jeszcze wówczas — wierszowane napisy Damaza, podziwiając papieża-poetę i artyzm Philocalus'a, który z takim wdziękiem wiersze św. papieża w napisach katakumb uwiecznił... Piękne to były chwile życia. A przecież... dużo było, co je zachmurzało.

Ta świetna chrześcijańska większość senatu dała się rządzić mniejszości pogańskiej z Symmachem na czele [3]. Do niedawna stał jeszcze w przedsionku senatu złocisty posąg bogini Wiktoryi razem z jej ołtarzem, na którym przechodzący senatorowie pogańscy, a nawet nieraz i chrześcijanie *lapsi* — na cześć bogini ziarno kadzidła palili. Nie dziwmy się temu; i wtedy już byli katolicy z brakiem cywilnej odwagi i tacy, co dla karyery i wielkich dochodów piastowali nawet godności różnych kapłanów pogańskich [4]. I wtedyś widział całe senatorskie rodziny, co z gorliwością nieraz pierwszych wieków oddane były Chrystusowej wierze, podczas gdy ich ojcowie odkładali chrzest św. albo nawrócenie na godzinę śmierci. Prócz tego szalony zbytek wyniszczał ciała i dusze. Prudencyusz oburzył się na to i choć taki pobłażliwy dla drugich, szuka przecież gryzących słów Juwenala na tę zniewieściałość i rozrzutność. Życie było dla wielu igrzyskiem a igrzyska życiem. Nie wiedziano co robić z wielkim dostatkiem. Kobiety wyglądały jak bożyszcza, mężczyźni jak kobiety.

mentarz Rossiego do n. 423. — Tillemont, *Histoire des Empereurs,* t. v, p. 42; *Bulletino di archeologia cristiana,* 1863, p. 86; 1868, p. 34, 35; 1872, p. 152; 1873, p. 93, 114; 1875, p. 153; 1880, p. 105.

[1] Prudencyusza *Peristeph.*, hymn XI i XII.

[2] Ob. P. Allard, *Rome au IV. siècle* p. 42, 53.

[3] Allard, *Prudence historien,* p. 370.

[4] Paul Allard, tamże, p. 371.

Z ludem rzymskim nie lepiej wtedy się działo. Choć podniesiony przez chrześcijaństwo i zrehabilitowany przez pracę, co w IV. wieku zaczęła przechodzić z rąk niewolników w ręce robotników wolnych [1], nie ważył jeszcze na szali społecznego wpływu ani polityki. Zła organizacya ekonomiczna, owoc długich wieków pogaństwa i niewoli, wycisnęła na nim pewne piętno zwyrodnienia, co nie pozwalało mu od razu pozbyć się dawnych upodobań i narowów. Próżniactwo, zasilane skarbową żywnością, owym głośnym *panis gradilis* [2] — domagało się jeszcze zabaw — *Circenses!*... Zabaw tych miało do zbytku.

Ale niestety — były to zabawy w dawnym smaku pogaństwa: bezwstydne pantominy i komedye, których tytułów niepodobna tu nawet powtórzyć, a którym lud z takim oddawał się szałem, że raz w czasie głodu wydalono z Rzymu mnóstwo retorów, by módz zatrzymać tłum komedyantów i trzy tysiące tancerek. Ubóstwiano błaznów i linoskoczków, powożenie na arenach i gorsze od tego krwawe igrzyska gladyatorów [3]. Dopiero bohaterskie (w r. 403) wystąpienie mnicha Telemaka, który wbiegłszy na arenę, chciał temu przeszkodzić i zginął pod kamieniami motłochu, położyło z rozkazu Honoryusza koniec tej okropności [4].

Choć cesarz Teodozyusz W. już w r. 392 zakazał był czci ohydnych bogów domowych *(Lares* i *Penates)* [5], a w r. 395 ofiar wszystkim innym bogom, stały przecież jeszcze dosłownie „niezliczone“ bożyszcza całego świata i ze względu na sztukę zachowano bogów posągi całym lasem na forum, po ulicach, w świątyniach, w pałacach i ich ogrodach. Trzeba tylko było nowego Arbogasta i Eugeniusza, a — choć już nie było Flawiusza Nikomacha [6] — gotowy był materyał do nowej reakcyi pogańskiej.

[1] Paul Allard, *Les esclaves chrétiens* etc. i *L'esclavaye au IV. siècle.*

[2] *Codex Theod.* XIV, XVII.

[3] Tertullian, *Apolog.* 15; Prudentius, *Hamart.*, 361—364; 367—370; 309—311; 371—374. *Peristeph.* X, 226 i nast. *Peristeph.* VI, 64—66. — Ammianus Marcellinus XIV, 6.

[4] Przyczynił się do tego zakazu i Prudencyusz swem dziełem *Contra Symmachum*, w którem Honoryusza o to zaklina.

[5] *Codex Theodosii,* IX, X, 10—11 i XVI, X, 12, i Prudentius, *Contra Sym.*, I.

[6] Allard, *Prudence historien,* p. 372.

Prudencyusz tedy, unosząc z Rzymu prócz zadowolenia z szczęśliwie załatwionej sprawy, pamięć świętych pamiątek i urok podziwianej stolicy, wracał do swojej Hiszpanii z tą gorącą modlitwą na ustach:

O Chryste, . . . . . .
. . . . . z jakiemż szczęściem czołem ci uderzę,
Gdy Romul krzyż twój uczci, Numa krzyknie: wierzę![1]

* * *

Ostatnie dni życia poety pokrywa gruba zasłona. Choć już od V. wieku utrzymuje się twierdzenie, że żył mniej więcej do r. 415, a nawet 423, to przecież brak nam pewnej daty w tej mierze. Pewnem atoli się zdaje, że teraz wykończył swe dzieła, dając im *ultimam limam*. Ujrzał wtedy, czego się może przedtem nawet nie spodziewał, że poetyczne jego prace aż w sześć dzieł urosły; a musiał to być słodki tryumf nietylko poety ale i chrześcijanina, kiedy mu wreszcie przyszło pisać do tych dzieł epilog, które on w świat wysyłał, by niemi serca zdobyć Chrystusowi, a sobie — niebo z Chrystusem.

Tak pisał Prudencyusz w tej chwili:[2]

Przed twoim tronem staje, wielki Boże,
Sługa twój wdzięczny bez miary,
Dań swego serca niosąc Ci w pokorze
I swoich pieśni ofiary.

Kiedy ci inni do stóp sypią złoto,
By biednym twoim dać chleba:
To ja napróżno złota szukam oto,
By niem dokupić się nieba.

W domach bogaczów i w pałacach panów,
Gdzie bursztyn, kości słoniowe,
Gdzie złote misy i moc srebrnych dzbanów:
Są i naczynia dębowe.

Gdy w domu Pańskim dano grzesznikowi
Być prostą czarą do picia,
To przecie szczęśliw, jeśli Chrystusowi
Jakkolwiek służył za życia.

[1] *Peristeph*, II, 442—444.
[2] *Epilogus* (ed. Migne, t. 60) opp. Prudentii, kol. 591—594.

Więc idźcie, pieśni moje, między ludzi,
Choć milczeć radzi pokusa:
Dźwięk wasz świat cały niech do czci rozbudzi
Naszego króla Chrystusa.

Takie było *Exegi monumentum* chrześcijańskiego poety. Inni sobie stawiali pomnik w swych pismach: on stawiał Bogu, którego tak wdzięcznie opiewał i którego ukochał nad życie...

Nie dano mu było atoli widzieć spełnienia świetlanych swych marzeń o zjednoczeniu narodów pod berłem chrześcijańskiej Romy...

Niechże, Panie, świat cały kolana uniża
U stóp twej wielkiej Romy, a Roma u krzyża!
*Peristeph.* II. 437—440.

Serce się ściska od boleści, kiedy się pomyśli, co tam za krwawy grot przeszył naszego Rzymianina duszę, gdy hiobowe nadciągnęły wieści, że Rzym przez Gotów wzięty i złupiony. Cóż dopiero gdy Prudencyusz ujrzał zstępujące z śnieżnych Pirenejów hordy jasnowłosych Wandali, Swewów i Alanów, a w ślad za nimi i Gotów, co nieśli łupy Rzymu na sobie, a krew Rzymian na swoich dzirytach!

O, ciężko bardzo iść myślą za nimi i nasłuchiwać huku stalowych ich berdyszów niszczących rzymskie pamiątki! Ciężko oglądać potop, jaki sprawiła ta „Czartowska skała“, rzucona wypadkami w huczący potok dziejowy! Tylko cudowna ręka Opatrzności, co skały przenosi i rozprasza potopy, potrafiła tym nowym falom nowe wyżłobić łożyska...

Napróżno głowę łamiemy sobie dzisiaj, gdzie śmiertelne szczątki Prudencyusza spoczęły albo gdzie stało jego mauzoleum; ale przecież za dni naszych powinnaby Hiszpania wspaniały wystawić mu pomnik w ukochanej przezeń Saragossie i w cieniu Chrystusowego imienia z *labarum* Konstantyna te słowa złotem wypisać:

ŚPIEWAK CHRYSTUSOWY.

(C. d. n.).

*Ks. Władysław Czencz.*

# PODANIA Z SZCZEPANOWA,

## RODZINNEJ WIOSKI ŚW. STANISŁAWA.

Nic dziwnego, że historyczne miejsca historyczną przechowały tradycyą, która żyje jeszcze, lecz więdnie z dniem każdym, suszona troską o chleb powszedni i wzrastającą u młodego pokolenia polskiego ludu obojętnością dla przeszłości. Własnemi wspomnieniami przeszłości przeżytej — i nieprzeżytej, dawnej, odziedziczonemi po pradziadach, żyją jeszcze starzy, lecz młodzi... nie słuchają tego, o czem gwarzą starzy, woląc słuchać „bojd“ weselszych lub codziennych, pospolitych plotek. Wolą, gdy się zejdą na papiéruska gdzieś na przyśbę domu, lub na gorzałkę do karczmy w niedzielę, zadawać sobie wzajemnie zagadki lub łamigłówki tego rodzaju: „Po co wrona do lasa leci?“ [1], lub lać baje, że tam lub ówdzie widziano nocą późną Kaśkę lub Marynę, że starą Błażkową przydybali dworacy na kradzieży kapusty pańskiej i chustkę jej z głowy zdarli...

Podania o królu Kazimierzu Wielkim lub Bolesławie Śmiałym, albo o śpiącem w górze polskiem wojsku, podania, które starzy czasem sobie opowiadają, nie bawią młodych, młodzi nie słuchają ich, nie znają ich — a przeto nie będą mogli podać ich przyszłemu pokoleniu.

Nić tradycyi historycznej dziś zrywa się...

Tylko nić biadań na coraz gorsze czasy, nić wspomnień,

[1] Odpowiedź: Bo las do niej nie przyleci.

że dawniej lepiej bywało, „bo to tak i tak było za naszych czasów“, nie zerwie się pewnie i młodzi dalej ją piastować i prząść będą... Bo ta tradycya odnosi się do ich powszedniego życia, do ich codziennych potrzeb, a na nie młodzi nie są obojętni.

Szukać więc należy u starych tego, co jutro zginie — tradycyi historycznej miejscowej. „Pieśń ujdzie cało“, lecz kwiaty tradycyi omdleją i uschną, jeżeli nie podlewa i ożywia się ich wiarą i miłością przeszłości.

Miejscowości, będące kolebką wielkich ludzi, świętych, lub posiadające pamiątkowe kościoły lub historyczne zamki, choćby ich gruzy, dłużej przechowują tradycyę przeszłości. Zaznaczyć wypada, że tradycya historyczna ludu rzadko wychodzi z obrębu pewnej miejscowości; sięga w dalszą przestrzeń, obejmuje fakta historyczne, oddalone od tej miejscowości wtedy tylko, gdy te fakta odnoszą się do osoby historycznej, dla tej miejscowości szczególnie drogiej. Tradycya historyczna ludu jest prawie zawsze miejscowa.

Kolebka św. Stanisława biskupa, sławny Szczepanów w powiecie brzeskim, posiada i piastuje historyczną tradycyę, która w kilku pięknych legendach okrasiła nietylko samą tę miejscowość, lecz także najbliższą jej okolicę. Lud, który wydał z siebie św. Stanisława, przechował bardzo piękne wspomnienia nietylko o tym świętym męczenniku, ale i o przeszłości narodu. Wyobraźnia jego buja w nich tajemniczo, uroczo.

Oto naprzód wspomnienie lepszej przeszłości tego miasteczka:

„Dáwniéj za cały Polski, to Scepánów był miastem. Było to miasto grodowe, bardzo handelskie[1] miasto, miało duze jarmaki, dzisiáj jest zchudobniane[2], ani podobne do tego, co było dáwniéj. Ale jesce i dziś w Scepánowie kázdy prawie musi sie jakiemsi hanglérstwem[3] trudnić, choć kramarstwem temi obrázkami, skalpiérzami[4], rózáńcami, pá-

[1] Handlowe.
[2] Zubożałe. Chudobny w gwarze miejscowej znaczy biedny.
[3] Handlarstwem. [4] Szkaplerzami.

ciórkami — choć fasecke s cemś weźnie i niesie. „To juz z famielije idzie“. Co drugi w Scepánowie, to h a n g l i r z“ [1].

Zaraz potem zacznie opowiadać Szczepanowiak o tem, co jest chlubą miasteczka, czem, póki istnieć, szczycić się będzie — o św. Stanisławie.

„W Scepánowie urodził się święty Stanisław, biskup krakoski, co go to zabił król Bolesław Śmiały. Ojcowie św. Stanisława prawie w tem miejscu mieli gront i dom, gdzie teráz stoi kościół św. Stanisława i cmentárz w Scepánowie.

Święty Stanisław urodził sie pod dębem na polu. Przy tem dębie był stáwek [2], tak go zaráz w tem stáwku matka omyła, i od tego casu woda w tem stáwku jes cudowná. W tem miejscu postawili murowaną kaplice, tego dęba obcieli u góry, obciesali i pomalowali — i ten dąb jes w środku kaplicy. Ludzie naokoło tego dęba chodzą na kolanach na o c h f i a r e [3]. Ta kaplica zawse jes zamknietá.

O tem dębie to syroko daleko w cały Polsce wiedzą, ze on taki w á z n y. Jedna pani chciała się o tem przekonać i jaz z Prus tu przyjechała i prosiła księdza, zeby jéj choć trzásecke dál z tego dęba. Tak jéj ksiądz dál páre trzásecek, ona se je wziena do papiérka i pojechała“.

Resztę tego dęba oprawiono w drzewo, aby go ocalić od zupełnego zniszczenia, gdyż go ludzie pobożni szczerbali na pamiątkowe krzyżyki i inne przedmioty, a także na lekarstwo, bo starty na proszek i wypity z winem, uzdrawiać ma od febry.

„Na rynku w Scepánowie stoi ogromná lipa, grubá, a w środku jes z b u t n i a łá. Ta lipa m á p r z e g n a n e o s i e m s e t r o k ó w i pamietá jesce świętego Stanisława, bo na nią święty Stanisław wyłaził, jak jesce do skoły chodził.

Jak święty Stanisław do skoły chodził, tak sie bardzo dobrze ucuł (uczył) i nigdy nijakie nie dostál kary. Inne chłopáki źli byli na niego o to, bo oni nieráz dostali bicie od prefesora,

[1] Handlarz.

[2] Inni mówią, że w źródle, na którego miejscu jest obecnie studnia kamienna.

[3] Ofiarę.

a on nigdy. Tak se ráz coś wysukali na niego i naskardzyli [1] na niego przed prefesorem i miáł być kárany. I prefesór go kciáł bić, a święty Stanisław zacął go prosić, zeby mu pozwolił zdjąć sukienke: zeby go bez sukienke nie bił, bo mama jego biédná niéma za co drugiéj sprawić. I zdjął sukienke i na promyku słońca, co wpádáł do izby bez okno, zawiesił te sukienke. Prefesór sie z a d u m i á ł [2] i powiedział:

— Oj Stasiu! nie já ciebie mám kárać, tylko ty mnie!"

„Święty Stanisław sed(l) ráz z ojcem do Krakowa do skół bez Niepołomską pusce. Tam przyśli na bardzo błotnistą droge. Wtedy święty Stanisław brál kamyki i rzucál przed siebie i z tego tworzyła sie mu bitá, kamienná ściézka, i mówił do ojca:

— Tata takiem błotem idzie, a tu taká dobrá ściézka.

Ale sám tylko przechodził taką ściézką".

„Za Wisłą urwál ráz święty Stanisław, jak był jesce studentem, grochu i za to go chłopi zbili. Za kare nie było trzy miesiące dysca. Wtencás chłopi pomiarkowali, ze to pewnie za to niéma dysca, i pośli świętego Stanisława przeprosić. On przyjął ich, jakby nigdy nic, i powiedział:

— No idźcie! juz on tam bedzie w n e t k i [3].

I ledwo uśli z pięć s t a j o n e k, wysła taká małá chmurka i zlál dysc rzęsisty".

„W B u c u [4] jes przy drodze kaplicka, w niéj jes duzá figura świętego Stanisława, a p o d l e [5] jest płytká studnia. Tam miáł święty Stanisław, jak przechodził ze skół do domu i uźrál [6] juz scepánoski kościół, odpocywać — siadnuł se i odpocywál. Wyjął téz kawálek chleba, zeby sie posilić, ale chléb był suchy i dopiéro go rozmocył w tem źródle, co było podle, tam, gdzie dzisiáj jes ta płytká studzienka".

[1] W gwarze miejscowej = naskarżyli.

[2] Gw. miejsc. = zdumiał.

[3] W gw. miejsc. zdrobn. w n e t.

[4] B u c z e, przysiołek należący do gminy Mokrzyska, przyległej Szczepanowu.

[5] W gw. m. = obok, w pobliżu.

[6] W gw. m. = ujrzał.

„W łąkach na północ od Scepánowa — łąki te nazywają „na Chobocie“ — jes studzienka, a właściwie śtyry kawałki deski, wstawione w fose zárośniętą, co przecináł małe bagno. Tam bierą ludzie wode, a ta woda dobrá jes na suchoty. Ta woda nigdy nie zamarzá w ty studzience. Po ty wodzie mozná zaráz poznać, cy kto wyzdrowieje na suchoty, cy téz umrze, bo jezeli ma wyzdrowieć, to jak sie jéj napije, obmyje sie nią, albo jak małe dziecko ukąpią, to zarumienieje, a jezeli má umrzéć, to zaráz zblednie. To téz chory po tem wnet albo umrze albo wyzdrowieje. Jak má umrzéć, to zaráz umrze, jak má wyzdrowieć, to zaráz do zdrowia przychodzi. Niejedna matka, kiedy jéj kumoski dorádzają, zeby chore dziecko ukąpała w ty wodzie albo jéj dała dziecku wypić, boi sie uzywać ty wody, ze jak téz suchoty śmiertelne, toby dziecko zaráz umarło.

Mozná téz poznać, cy chory wyzdrowieje juz bez to, ze ten, co nabiérá te wode (d)lá chorego wyléwá ją ze dzbanka nazád do studzienki, a jezeli wyjdą na wode bąble, to chory wyzdrowieje, a jak má umrzéć, to sie bąble nie pokázą na wiérzchu wody.

Ta woda pomogła téż jedny kobiécie na frébre[1]. Miéwała ona cwártacke, to jest co cwárty dzień, i od wiosny nicem nié mogła jéj zgubić; dopiéro umyśliła uzyć ty wody z Chobotu. Przyniesła ty wody i jak ją frébra napadła, napiła sie jéj, potem nalała do cebrzyka ty wody i zanurzyła w nią głowe. Frébra trzęsła ją jaz woda pluskała, ale jéj pomogło — i frébra przestała ją trząś.

A ta studzienka bez to jes taká cudowná, bo święty Stanisław ráz przechodził tamtędy i chciał sie napić wody, tak wbiuł láske w łąke i woda cysta wypłyneła. Inni powiadają, ze matka świętego Stanisława w słabości w ty wodzie sie tam obmyła i stąd ta woda jest taká cudowná“.

„W Scepánowie na tem miejscu, gdzie stoi kościół Maryi Magdaleny, był przed tem las i na tem lesisku zbudowali kościół,

[1] Febrę. Tak zrobiła ciotka (siostra matki) opowiadającego Adama Marca w Szczepanowie.

(d)látego ludzie podcás nábożeństwa tajak las kfieją[1] sie na wszystkie strony".

„Jak w Scepánowie budowali kościół, budowali téz kościół „na Bocheńcu"[2]. Cieśli w Scepánowie popsuła sie siékiéra, tak zawołáł na drugiego cieśle na Bocheńcu, zeby mu swojéj siékiéry pozycył. Tamten rzucił mu siékiére, siékiéra sie wbiła w drzewo i miáł cieśla zaráz siékiére".

„Dáwniéj opowiadali, ze w leśsie Scepánoskiem są w ziemi zákopane wielgie skarby na budowe kościoła. Był téz w dáwnem leśsie jeden kij cały od ziemi obrośnięty gałęziami; ludzie gádali, ze pod tem kijem są wielgie skarby, bo nikt niémóg(ł) na tego kija wyléź, zeby gałęzie obciąć, a inni mówili, ze ji wykopać sie nie dá. Ale potem las wykorcowali i kija wykopali i skarbów nie náleźli".

„Gádają starzy, ze w tem leśsie jes i cegła na kościół przygotowaná. Jeden chłop był w leśsie i zobácył te cegłe. Zebrała go chętka i wziął dwie tych cegieł do domu, a potem zaprzągnął ciołki i pojechál do lassa nabrać ty cegły. Jak zajechál, nawrócił, uwiązál ciołki i sám posed(ł) brać te cegłe, bo była w jakiemś podziemiu, ale tam tylko klamka „trzas"! i juz nie było nic. Przyjechál do domu próżno i miál tylko te dwie cegły, co przyniós(ł)".

Według innego opowiadania „posed(ł) ráz chłop do scepánoskiego lassa na grzyby. Chodzi po leśsie i zbiérá te grzyby, jaz przysed(ł) w jedno miejsce, patrzy — zadryg(ł) sie i zadumiáł: tu naokoło lezą równe kupy wypálony cegły, takie duze stosy, a na drugi stronie same doły z wypálonem wapnem, gotowe do budowy — ino brać i budować! Pożrál[3] w inną strone, oglądá sie na to miejsce, gdzie była ta cegła i to wapno — a tu juz niéma tego, tylko same krzáki i tráwa".

„Powiadają starzy ludzie, ze to jes fondus na odbudowanie obu kościołów w Scepánowie. Bo nastaną jesce wielgie wojny, przyjdą nieprzyjáciele, obydwa kościoły runą, ale je

[1] W gw. m. = „chwieją się".
[2] Wyniosła góra w Jadownikach, sąsiedniej wsi Szczepanowa.
[3] W gw. miejsc. = spojrzał.

odbudują zaráz, bo na to jes ten fondus ukryty w leśsie scepánoskiem".

„W scepánoskiem leśsie mają być ukryte wielgie skarby, ale kto ich dostanie? Więcy majątku jes w ziemi, jak na ziemi, ale cy to ludzie są godni tego, zeby to dostali?"

„Jeden chłop w Scepánowie miáł skárb w tem miejscu, gdzie postawił stodołe. Zawdy mu ż w i ę c a ł o [1] pod b o j i s k i e m w stodole, jak młócił. Chłop domyślál sie, ze to pewnie piéniądze żwięcą. Ráz nawet śniło sie mu o tem skárbie i coś mu powiedziało:

— Są tam w stodole piéniądze, dostanies je, ale jesce pocekáj!

Ale co sie nie dzieje! Ráz ten chłop namówił jakiegoś młocka — młócą, a piéniądze żwięcą coraz głośniéj; widać dobywały sie ku wiérzchowi. Młocek nie wiedziál o nicem, dziwił sie, co to tak żwięcy, i gádá do tego chłopa:

— A kis ta djábli tak tu żwięcą w tem rogu!

I zaráz potem przestało żwięceć i nigdy juz więcy nie żwięcało, bo pewnie od záklęciá piéniądze sie głęboko západły".

Z osobą św. Stanisława łączą oczywiście w podaniach postać króla Bolesława Śmiałego; odpowiadają one znanym ogólnie historycznym pamiętnikom, powtarzać ich zatem nie potrzeba, jak np. szczegóły o zabiciu św. Stanisława przez Bolesława Śmiałego.

Ale jedno jako oryginalne i piękne zasługuje na przedstawienie. Opiewa ono dosłownie, według opowiadania ludu w Szczepanowie:

„Król Bolesław Śmiały jak zabił świętego Stanisława, tak na niego takie w a r y j a s t w o przysło i uciekál ze swojem wojskiem — z polskiem wojskiem — sám nie wiedział kej [2], uciekál i uciekál, jaz dojechál do S a d y g ó r y [3], ta Sadágóra sie nágle przed niem otworzyła, on tam wláz(ł) ze swojem wojskiem i ta

[1] W gw. miejsc. = d ź w i ę c z a ł o.

[2] W gw. miejsc. = d o k ą d.

[3] S a d á g ó r a jes k a j s i (gdzieś) w Polsce, jes to duzá góra, całá lasem wielgiem porośnietá a śniég na niéj ciągle lezy.

Sadágóra sie za niem zaráz zamknęła. On tam pokutuje ze swojem wojskiem do dzisiejsego dnia i pokutować bedzie za swój ciezki grzéch, ze zabił świętego Stanisława, ale jak przyjdzie cas wyznacony, to on wstanie ze swojem wojskiem, pobije nieprzyjáciela i odbierze swoje Polske. I bedzie Polska Polską, jaką piérwy była. Choćby na trzy dni przed Sądem Pańskiem, to on wstanie i odbierze swoje Polske.

Był koło ty Sadygóry jeden ubogi kowál, nimiał co jeś(ć), tak posed(ł) do lassa na ty Sadygórze, — bo ta Sadágora jes całá lassem porośnietá — zeby sobie grzybów nazbiérać. Chodzi po tem leśsie, chodzi, zbiérá te grzyby, jaz ráz podniós(ł) głowe, patrzy — a tu pod sosną stoi zołniérz polski uzbrojony na warcie. Zaráz sie do niego odezwál i pytá sie go:

— Cybyście cłowieku pośli do mnie na robote?

A on mówi:

— (D)lácego nie! posedbym, bom jes biédny.

— A jakizwyście prefesyji są?

On odpowiedział, ze jes kowál. A ten zołniérz powiedział:

— A ji owsem, mnie właśnie kowála trzeba. To chodźcie ze mną, to bedziecie kuć konie.

Nágle otworzyły sie przed niemi w górze drzwi zelazne i weśli w głąb góry, a drzwi za niemi zaráz sie zatrzasnęły. Weśli jakby do drugiego świata. Tyle tam było koni, ze ani zrachować, wojska moc nieprzebraná, wszystko sie krzątá, robi koło koni, jeś(ć) daje, poi, był tyz stáw wielgi do pojeniá koni. Ten zołniérz zaráz go przyprowadził przed króla Bolesława, a ten król był taki młodziusieńki, bo to było na nowiu. Przedstawił go królowi, ze jes kowál, ze go do roboty najął — król kiwnął głową, powiedział, ze dobrze: bedzies — pádá — rok i sześ niedziel konie kuł!

Potem go ten zołniérz zaprowadził do koni i kázál mu je kuć, ale mu przykázál, zeby koni nie uderzál młotkiem w krzyze, jak to wy — pádá — kowále mácie zwycáj (kázdy kowál má taki zwyk, ze jak okuje konia, to go wytnie młotkiem w krzyze, zeby rusył z kopyta i mozná było widzieć, cy dobrze

pójdzie, cy go dobrze okuł)[1] — a struzyny s kopyt składáj se na jedne kupke!

On kuje te konie i kuje, cas mu chyzo leci, ani sie nie spodziál, a tu juz ostatniego má kuć konia. Rok i sześ niedziel tak mu zleciało jak jeden dzień. Jak juz tego ostatniego kuł konia, tak mu przysło do głowy:

— Cego mi ten zołniérz tak przykazował, zebym koni nie bił młotkiem w krzyze? coś w tem być musi! Já sie tu muse przekonać!

I jak podkuł tego konia, tak go wyciął młotkiem w krzyze. A tu sie nágle zrobiła strasná wrzawa, jak konie nie zacną rdzeć (rżeć), a trompetery trąbić jak na wojne. Lecą zołniérze, kázdy do swojego konia, przylecieli do kowála i pytają sie jeden za drugim:

— Co to! Co to! Cy juz cas?

A kowál jem mówi:

— Nic! nic! cicho! cicho!

Dopiéro jak jem tak powiedział, uspokoili sie i zaceli sie go pytać:

— A jakiez tam wrony na świecie? cárne?...

— Cárne.

— A sroki? srokate?...[2]

— Srokate.

— O! to jesce nie nadesed(ł) nas cas, jesce daleko.

I porozchodzili sie.

Bo oni cekają tego casu, kiedy wrony i sroki bedą całe białe tajak śniég — wtedy wyrusą na wojne i odbierą Polske.

Ten zołniérz, co tego kowála przyprowadził, przysed(ł) zaráz do niego i pytá sie go:

— Mozebyście juz pośli do domu...

— A juścibym i posed(ł), bom zostawił w domu zone i małe dzieci.

— No to chodźcie do króla po zapłate!

[1] Słowa nawiasem objęte dodał opowiadający dla objaśnienia.

[2] Pstre.

Jak przyśli do króla, to ten król taki był siwiutki z długą, biáłą brodą, taki starusek jak grzybek; bo to było na skóńceniu miesiąca, jak księzyca ubywało — a on na nowiu zawse był młodziutki, a na skóńceniu miesiąca, jak sie miesiącek kończył, to sie w takiego staruska grzybka obracáł. Ten król siedziáł za stołem i głowe miáł podpartą obóma rękami.

Jak ten kowál stanął przed królem, to mu tak ten król powiedziáł:

— Mój cłowieku! já nimám piniędzy, zebym ci zapłacił za to, coś kuł konie, ale se weź te struzyny z kopyt do worka.

Kowál sie zamarkocił i mówi do zołniérza:

— Já tego nie bede brál, cóz mi po struzynach?...

A zołniérz mu powiedziáł:

— Kiej wám król kázál, to weźcie!

Kowál rad nie rad wziął te struzyny do worka i zabrál na plecy, a zołniérz ten sám, co go wprowadził, wyprowadził go na świat — i góra za niem sie zawarła, ze ani śladu nie było. Ciężko mu było niéś(ć) te struzyny, bo tego duzo było, tak se myśli:

— Co já to bede dźwigál do domu, kiej mi z tego nic nie przyjdzie!

Wziął worek, wysuł z niego struzyny pod sosną, tylko troche zostawił, i posed(ł) do domu.

Jak przysed(ł) do domu, opowiadá o tem wszystkiem zonie i mówi:

— Dzis![1] za te moją robote przez rok i sześ niedziel dostáłem struzyn z kopyt końskich. Más! — i wysuł z worka struzyny na ziemie.

A tu nie struzyny, ino samo sypie sie złoto!

Zdumieli sie obydwoje i uradowali — a on mówi:

— Dzis ty! já tego miáł cały worek, alem myślál, ze to struzyny, tak wysypálem w leśsie pod sosną, bo mi za ciężko było dźwigać.

---

[1] W gwarze miejscowej skrócone: widzis.

— O ty głupi! a idze, moze trafis pod te sosne, to weźnies i przyniesies!

I posed(ł) do lassa, natrafił na te sosne, ale tam juz nic nie było.

Ale to złoto, co miał, to mu juz wystarcyło do śmierci, ze sie dobrze miał i juz biédy nie ciérpiał".

Z historycznej przeszłości Polski mało co wie i opowiada Szczepanowiak. Wie, że Polska „przegrana", że jej niema, że „część wziął Moskál, część Prusák, a część Austryják, że sie Polską podzielili". Z pomiędzy znanych mu historycznych postaci, zarysował się w jego pamięci najbardziej król Bolesław Śmiały, niemniej chętnie i często wspomina o mitycznej królowej Sabie i św. Hannie.

„Królowá Saba była to królowá polská, ta królowá przepowiadała rózne wypádki, co jéj na śnie przysło, to prorokowała, a miała swoich pisarzy, co to wszystko zapisywali i durkowali. Jes(t) duzá księga tych proroctw królowy Saby, ale mało kto mógł te księge przecytać. Bóg racy wiedzieć, kej ona sie podziéwá ta księga. Te proroctwa królowy Saby musą sie wypełnić.

W ty księdze stoi, ze bedzie strasná wojna od zachodu na wschód słońca, ludzie sie wyniscą, kościoły bedą zburzone, wszystko — a ksiądz nie bedzie miał gdzie Msy św. odprawiać, dopiéro piérsá Msa św. bedzie pod wielgiem dębem, co stoi na wschodzie słońca. Dąb ten jes(t) ogromnie wielgi, jes(t) teráz suchy i nie rozwijá sie nic, dopiéro jak po wojnie ksiądz przyjdzie i zacnie pod tem dębem odprawiać Msę św., dąb ten sie rozwinie i róść bedzie.

Ludzi tak mało wtedy bedzie, ze, jak sie jeden z drugiem spotká, to dziw bedzie. A jak człowiek uźry na ziemi ślád stopy drugiego człowieka, to ją bedzie z radości całował i pójdzie za tem śladem sukać tego człowieka, jak zbawienia:

— Mój Boze kochany! tędy sed(ł) człowiek, trza iś(ć) za niem — on tam kejś[1] musi być..."

[1] W gw. miejsc. = gdzieś.

Zaś święta Hanna, królowa polska, panowała niegdyś tuż nad Szczepanowem na górze Bocheńcu.

„Góra Bocheniec „patrzy“ [1] do Jadownik [2]. Ten Bocheniec to straśnie cudowny. Starzy ludzie gádają, ze tam było dáwniéj duze miasto, stolica, ale bez wielgie wojny całkiem zniscało, tak ze ani śladu po niem nie zostało. To było jesce „za cały Polski“, „jak Polska stała Polską“, bo to za dáwnych casów strasne były wojny, nieprzyjáciele Tatary, Turki i Swedy straśnie napádali i niścili te Polske. Tak tyz i tu było, Tatary wpadli na Bocheniec i całe miasto zniścili. Wtedy świętá Hanna, która była w tem mieście królową, usła na Węgry, ale sie w jakiś cas potem w obrazie cudownem sposobem objawiła.

Było to tak:

Na Bocheńcu jes studnia i do ty studni chodzili zawse ludzie z Jadownik po wode, bo w ty studzience była bardzo dobrá woda. Ráz posła jedna kobiéta z Jadownik po wode do ty studzienki, spuściła konewke, jak to dáwni ciągneli wode „na kuli“ [3], ciągnie te konewke i wyciągá obráz „święty Hanny“. Ten obráz sie jéj do konewki przycepił, jak ciągneła wode. Wszyscy ludzie widzieli, ze to cud boski, wybudowali na Bocheńcu kościół i tam ten obráz święty Hanny zawiesili. W tem kościele dáwni wszystkie śluby z Jadownik sie odbywały.

Podcás wielgich ulew jak woda spływała z góry, tak wyrobiła w Bocheńcu doś(ć) duzą dziure, pokázało sie, ze ona prowadzi do bardzo głębokiego dołu, bo, jak to zwykle pastuchy ciekawe, jak paśli bydło na Bocheńcu, kcieli kóniecnie wiedzieć, cy ten dół głęboki i co tam w niem jes. Tak brali zérdki i zérdki wpuscali do tego dołu, ale i nájdłuzszą zérdką nimogli dna dostać. Jak zaś ciskali kamienie do tego dołu, to te kamienie

---

[1] W gwarze miejscowej znaczy: należy.

[2] Jadowniki, pierwsza wieś za miasteczkiem Brzesko przy drodze do Wojnicza.

[3] Kula jest to drewniana żerdka zagięta u dołu, jakiej jeszcze często we wsiach naszych używają do czerpania wody z małych studzienek.

z hukiem spádały na dół, jakby spádały na jakieś drzwi zelazne. I tak tyz mówią, ze tam są drzwi zelazne do wnątrza góry".

„Bedzie temu juz bardzo dáwno, wydawała sie jedna stará dziéwka z Jadownik, a jak sła do ślubu na Bocheniec, tak se wdziáła na głowe ruciany wiánek. A ludzie, jak ludzie! po dródze zaceli jéj pomiędzy sobą dogadywać i wytykać, ze stará dziéwka, ze juz nie jes panna, ze nie powinna w wiánku chodzić. A ona była bardzo porządná i pobozná dziéwka. Ona to dosłysała, rozzáluła sie, w tem razie zdarła se wiánek z głowy i cisneła na mur na kościół na Bocheńcu. I powiedziała:

— Kiej mi nie wierzycie, to sie przekonájcie!

I ten wiánek ruciany uchycił sie muru i od tego casu na murze rośnie, rozwijá sie. Do dzisiejsego dnia rośnie tam taká piekná ruta na tem murze od wschodniéj strony, a ludzie uważają ją za skutecną na rózne bóle: na zimno (febrę), na ból w krzyzach — idą tam i skubią te rute".

Dziś Bocheniec cichy, niemy, poważny, jak grób...

„W Bocheńcu jes zaśnięte wojsko polskie; wojsko to obudzi sie, jak na niego wyznacony cas przyjdzie, stocy wojne i odbierze swoje Polske i Polska bedzie Polską, jak piérwy była. Choćby na trzy dni przed sądem Pańskiem to to wojsko obudzić sie musi i Polske wygrá".

Nad szczepanowską ziemią unoszą się nietylko złociste mgły wspomnień odwiecznych, lecz błądzą po niej pewnie więcej niż gdzieindziej, różne duchy i widma, a w łonie jej kryją się wielkie skarby. Zaczarowana ziemia!

„Pomiedzy granicami jadownicką a dziekanoską[1] miedzy lassami była taka łąka — na ty łące było wielgie koło nazwane od niepamietnych casów: karcma! Pastyrze na ty karcmie tajcowali, jak paśli bydło. To sie nazywała „djabla karcma", bo tam djábeł miáł wielgą „rekracyją"[2] na ty karcmie, bo na niéj zawse tajcował. Byłem tego sám naocnem świadkiem,

[1] Wieś Jadowniki graniczy lasem ze szczepanowską ziemią; Dziekanów przysiołek, należący do gminy Sterkowiec i przytykający do Szczepanowa.

[2] W gw. m. = zabawę (z łać. *recreatio*).

bom tam pásál bydło: jak wysed(ł) z lassa panic młody w ubraniu przez połowe cerwonem, a przez drugą połowe zielonem, káskiet zielony, na jedny ręce miáł cerwoną rękawicke, opásany był grubem węzem — staneł na wale i gwiznął n a p a l i c a c h.

I wsed(ł) na jedny nodze do ty karcmy i tajcował ogromnie, tylko sie p i á c h kurzy od niego; jak tajcował, to na palicach gwizdáł. Jak sie wytajcował, to wyskocył na wál z podpartemi bokami i okropnie sie śmiáł i przeginál sie na wszystkie strony. Jak sie juz upląsál, to gwiznął na palicach i posed(ł) w las z o g r o m n e m w i c h r e m, a pastyrze nie byli bojaźliwi, bo sie z tem oswoili".

„Takze miedzy granicami—tak zwano „p o d j a s i o n k ą"— miedzy lasem jadownickiem a scepánoskiem była m o g i ł a. Był tam pochowany niejaki S k a r y j á s, co sie w niem zápáliła wódka.

Pastyrze jak tam dopuścili bydło, to zaceno b o r u c e ć[1], tak sie pastyrze námówili, nabrali ze sobą bucków i pośli do ty mogiły i obtocyli mogiłe naokoło i buckami bili w te mogiłe i mówili tak:

— S k a r y j á s w y j d ź d o n á s! b e d z i e m y c i e ł u p! c u p!

Tak wciąz bili i mówili: „Skaryjás wyjdź do nás! bedziemy cie łup! cup!" Jaz sie mogiła zacena do góry znosić i powstál ogromny sum, a pastyrze z wielgi bojaźni pouciekali, a bydło sie do kupy zbiegało i ogromnie borucało — i tak trwało do pół godziny".

„W dáwniejsych casach w leśsie Scepánoskiem — t a k z w a n o p o d J a n u s o w e m — są tam po dziś dzień jesce te d r ó g i cyli c h o d n i k i.

Pewnego razu śli tamtędy d w i o j e ludzi i uwidzieli bardzo piekne pokoje, koło tych pokojów piekne, tylko małe planty i drzwi były otworzone zelazne. I przechodziło sie koło drzwi sześ młodych panien — bardzo pieknie ubrane — a nade drzwiami był (d)zwonek zółty i niemały, a ci ludzie stali jak wryci i na to patrzeli, potem sie zblizali do drzwi, ale panny wesły predko do pokojów, a starzec, siwe miáł włosy, drzwiami zatrzasnął —

[1] W gw. m. = r y c z e ć.

i w te razy wszystko znikło i żaden ślad nie pozostał na tem miejscu".

Tyle z dawnego Szczepanowa zostało: wieś pełna wspomnień i pamiątkowych, cudownych miejsc, otoczona dookoła mogiłami, duchami i zaklętemi skarbami. Z zamożnego miasteczka, pełnego ruchu i wrzawy, stała się wieś cicha, smutna, chudobna — a nad nią w niewielkiem oddaleniu drzemie poważny Bocheniec.

**Uwaga.** Wszystkie wyżej podane szczegóły etnograficzne są owocem własnych poszukiwań autora; zapisano je dosłownie według opowiadania włościan: Adama Marca z Szczepanowa, Katarzyny Habryło w Brzezowcu i wójta Pytla w Sterkowcu. Brzezowiec i Sterkowiec są wsiami przytykającemi bezpośrednio do Szczepanowa.

*Dr. Karol Mátyás.*

# PRZEZ CHINY I MONGOLIĘ.

Listy z podróży.

(Ciąg dalszy).

*Pekin, 15 lipca 1889.*

Wczoraj tak zwane święto narodowe, obchodzone w legacyi francuskiej. Sama śmietana Pekinu, razem osób 20 do 30-tu. Margrabina Tseng z dwoma synami, córką i zięciem; troszkę przypominają ci młodzi ludzie *coolis*'ów. Toast wniesiony przez dziekana dyplomatów, posła amerykańskiego. Z Tseng-li-Jamen jeszcze odpowiedzi nie mam — poród strasznie ciężki. Za to Kumany, poseł rosyjski, niemniej pam Klejmonow, pierwszy sekretarz legacyi rosyjskiej, niesłychanej dobroci dowody mi dali. Kumany obsypał mnie formalnie listami do gubernatorów, jenerał-gubernatorów i t. d. Zapowiedziano mój przejazd na całej linii, aż do Kiachty. Daj Boże, żeby już raz być w tej Kiachcie upragnionej, nie potrzebować gdzieś wśród stepu i głuchej puszczy przesiadywać.

Wielu ludzi twierdzi, że podróż przez Sybir, to zabawka; jak dotąd, nie zanosi się na zabawę. Przygotowania same, cóż za trudy i nudy z sobą przynoszą, ile dni i godzin trzeba się ujadać i kłócić, o wielu tysiącach rzeczy nudnych i małych myśleć! A koszt ogromny!

Oszustwo i złodziejstwo Chińczyków przechodzą rzeczywiście wszelkie granice przyzwoitości! Opędzić się formalnie nie można od czyhających, jak szakale, na gratkę złodziei;

pieniędzy wprost nie kradną, można na stole wszystko zostawić; ale przy każdej bułce, każdym kawałku chleba, każdej świecy, którą się spala, wszyscy koło gościa wiszący słudzy i *boye* ciągną swe zyski, co *squisem* tu zowią, a ciągną zyski te z niepojętą doprawdy bezczelnością.

Niezmierne stosy szczegółów o Chinach i Chińczykach przez kilka dni ostatnich w moje uszy wleciały! Jednomyślnie, wszyscy tu rezydujący odmawiają np. Chińczykom wszelkich własności charakteru, któreby pod miano c n o t y dały się podsumować! Ks. Favier tak się wyraża o nich: alfą i omegą każdej myśli, słowa i uczynku Chińczyka jest: egoizm i bezgraniczna pycha. Jeżeli Chińczyk okazuje rzekomo przywiązanie do swych dzieci lub rodziców, to powodem li tylko egoizm, boć i on kiedyś będzie starym, będzie pomocy dzieci potrzebował, więc kaptuje zawczasu dzieci. Przytem będąc niesłychanie zabobonnym, boi się, by złe obchodzenie się z ojcem lub matką nieszczęścia na dom jego nie sprowadziło.

Okrucieństwo Chińczyka przechodzi wszelkie wyobrażenie. W czasie egzekucyi setki tysięcy ludu przychodzi paść oczy mękami egzekwowanego! Jakiego rodzaju są egzekucye, niech przykład posłuży. Rok temu, kobieta ledwo 20-sto-letnia nie mogąc znieść dłużej szykan swego teścia, pchnęła go nożem — stary umarł. Kobietę chwytają mandaryni w swe krwawe szpony, i zastosowują z całą surowością literę prawa, wyprowadzają skazaną nad potok czy kanał płynący przez najludniejszą część miasta, gdzie przez trzech katów literalnie w kawałki pokrajaną została. Operacya ta zaczyna się od odcięcia paznogci, dalej następnych zgięć palców, dalej rąk i nóg w kostkach i t. d. Jeżeli skazana lub jej rodzina posiadała nieco grosiwa, wówczas ofiarowują pewną sumę katom, którzy zaraz z początkiem egzekucyi za pomocą wbicia nader długiej szpilki srebrnej w serce, ukrócają męki nieszczęsnej. Opowiadają, — ale w to prawdziwi znawcy Chin nie wierzą — że egzystuje towarzystwo filantropijne chińskie, które w razie gdy rodzina skazanych na śmierć, połączoną z torturami, jest niezamożna, przekupuje, za własne fundusze, katów, by cierpienia skracali.

Żebracy mają swego króla i organizacyę zupełnie unormowaną; niektórym powodzi się znakomicie. Straszną bronią przeciw zamożnym w ręku żebraczym jest powieszenie się, lub powieszenie jakiegokolwiek trupa u drzwi bogacza. Sam fakt znalezienia trupa u wrót czyichś, zwłaszcza jeżeli ten ktoś jednemu lub drugiemu z mandarynów jest solą w oku, wystarcza, by najzamożniejszego, najbardziej z rzekomej prawości znanego obywatela o utratę fortuny, ba, nawet wolności na całe życie przyprawić. Wobec absolutnego braku zasad moralności, najmniejszy poszlak wystarcza, by przypuścić o bracie lub przyjacielu, że zamordował lub otruł.

Katolicy widziani w kościele, istotnie budujące czynią wrażenie; z niezmiernie wielką regularnością uczęszczają do kościoła, przystępują do sakramentów. Ze łzami jednak w oczach mówił mi ks. Favier. „Niestety na tem koniec“. Favier nigdy inaczej o Chinach się nie wyraża, jak, że to „królestwo szatana“. Istotnie zdaje się, że ma racyę; studyując historyę, rzeczywiście przychodzi się do przekonania, że nigdzie tak powolnych katolicyzm nie czynił postępów, jak właśnie w Chinach; ilekroć się zaś wzmógł, tyle razy całe piekło jakby wypadało na ziemię, i burzyło, paliło i bezcześciło sług Chrystusowych.

Wielkiej zaiste łaski bożej, wielkiego zaparcia się siebie, jakiejże cierpliwości potrzeba, by w takim kraju żyć jako misyonarz, bez żadnych wygód, ba, często całe miesiące i lata wśród brudu i smrodu chińskiego chłopa, tylko o chińskiej strawie. Jakieś nieostrożne, czy raczej bezmyślne słowo moje wyrwało księdzu Favier skargę, która zapewnie nie często z tych ust daje się słyszeć: „Co tam dyplomaci, mówił, i inni urzędnicy! Dobrze płatni myślą o awansie i powrocie do Europy z pieniądzmi w kieszeni. Ale jaki jest los misyonarza? I on potrzebuje pewnej sumki wygody, rozrywki, potrzebuje zwłaszcza zachęty. A tej zachęty głównie brak nam w Chinach, bo zamiast wiernych, przywiązanych, wdzięcznych za prace kapłana, widzimy tylko naokoło siebie serca ciasne, małe dusze, którym wdzięczność i wszelkie szlachetne uczucia zupełnie są obce. Wobec tego, proszę mi wierzyć, życie misyonarza jest nie lek-

kie". Ale już chwilę potem, jakby wstydząc się tej słabostki, chcąc widocznie zatrzeć wrażenie tego zbyt głośnego westchnienia — skoczywszy z tego tematu na inny, opowiadał z całą siłą i zapałem młodzieńczym swego serca przejścia swoje jako misyonarza w Chinach, gdzie przybył w 1862 roku, podkreślając w opowiadaniu zasługi swego niegdyś konia tatarskiego, „który się nazywał Bayard" — i znowu miał łzy w oczach, ale tą razą łzy wesołości.

Piękny to typ ten *père* Favier Lazarysta, jak wszyscy w tej prowincyi. Wysoki, barczysty, z ogromną brodą, okiem wesołem, śmiałem, przenikliwem a dobrem; ruchy żołnierskie nieco; chodzi szybko, gra, śpiewa, rysuje, maluje, jest ukończonym architektem, boć drugi już kościół w Pekinie wystawił; konno jeździ jak kawalerzysta, chociaż cierpi na reumatyzmy i podagrę; wszystko czyta, zna się na biblotach chińskich, jak nikt inny. Gdy biskup tutejszy, staruszek, mówił mu ze skruchą i bojaźnią: ach! bracie, gdybyśmy mieli przynajmniej pewność dostania się do czyśca! Favier ze zwykłym uśmiechem i energią odparł: Niech Wasza Biskupia Mość sam w czyścu siedzi — ja tam iść nie myślę! — Jakto? tych 29 lat w Chinach nie miałyby nam starczyć za czyściec za nasze powszednie grzechy?

Notuję tę odpowiedź, wybornie człowieka charakteryzuje: ksiądz, żołnierz, typ, jakiego *ecclesia militans* zaiste potrzebuje. To też zdobył sobie stanowisko zupełnie wyjątkowe. Na całym Wschodzie znane jest nazwisko ks. Favier, a ostatni fakt odstąpienia cesarzowi dawnego Pei-tangu dostatecznie maluje sytuacyę.

Na tem dziś kończę. Popojutrze mam mieć nareszcie paszport chiński, zapewne więc 19-go lub 20-go, ruszę na dobre. Jedynie smutna okoliczność to, że deszczyk milutki, zdaje się trzydniówecczka się puszcza, drogi rozmiękną, a wtedy bądź zdrów kochanku — miesiąc się powlokę do Kiachty, zamiast dni 18—20.

### *Tadży-soe, 18 lipca.*

Przedwczoraj nareszcie wyjazd z Pekinu; doczekać się go nie mogłem. Musiałem jako gość stosować się do woli pana domu,

Kettelera; a głównie ów nieszczęsny paszport chiński był opóźnienia przyczyną.

Raniutko, o świcie, dla uniknienia skwaru ruszyliśmy konno z Kettelerem z legacyi. Po półgodzinnej jeździe przez owe tak niesłychanie brudne, pełne kurzu lub błota, ludzi, bydląt, zgiełku niezwykłego nawet w Chinach ulice Pekinu, dojeżdżamy nareszcie do stawów położonych w blizkości „miasta", *alias* pałacu cesarskiego. Stawy w tej chwili pokryte potężnemi przepysznemi kwiatami lotusu białemi i różowemi; są to po prostu wody deszczowe, zatrzymane w rowach fortecznych, okalających, jak wszędzie na Wschodzie rezydencye i miasta. Ketteler ledwo mi daje sekund parę na rzucenie okiem na te pyszne kwiaty, na wierzchołki drzew, co z poza niebotycznego muru pałacowego wyzierają, ciekawe widzieć co się na bożym zresztą świecie dzieje — dla mnie tem ciekawsze one, że ich konarów i pni nigdy mi oglądać nie będzie wolno! Ruszamy jednak dalej; Ketteler opowiada dla dodania mi dobrego humoru, że nic równie ciekawego ni pięknego, jak mało stąd odległy ów most marmurowy, którego już nie zobaczę! Po trzech kwadransach opuszczamy nareszcie ostatnią bramę miasta. W tej chwili słyszymy koło jednej z bram, w rodzaju tryumfalnych łuków, na codzień dla publiczności zamkniętych, niezmiernie oryginalny śpiew, z daleka nieco podobny do głośno przez kilkadziesiąt osób razem deklamowanej z patosem modlitwy. Zbliżamy się, i — o dziwo! — około 50 do 60 młodych chłopaków, lat 16 czy 17, klęczy na jednem kolanie; każdy w ręku trzyma łuk napięty; do pasa, ponieważ lato, nadzy, i śpiewają, śpiew monotonny, z kilku nut zaledwie się składający, o dziwnym, nieco patetyczne deklamacye chóru japońskich religijnych tragedyj przypominającym rytmie. Jedna część tego chóru głośniej śpiewając, wpada w śpiew cichy, przytłumiony drugiej. Arigo Bojto lub Wagner pysznieby mogli zużyć ten nadzwyczaj oryginalny materyał w jakiejś *Walpurgi's Nacht*. Pytamy, co to? Zdawało się bowiem, sądząc z rytmu owego chóru, że to modlitwa; bynajmniej; to młodzi wojownicy, których w ten sposób ćwiczą na przyszłych obrońców kraju. Rodzaj musztry ćwiczenie w trzymaniu łuku, wyrabianie siły muszkułów, wdra-

żanie młodzieży w rzemiosło łuczników. Ketteler przyznał mi się, że nic podobnego przez dziesięcioletni swój pobyt nie widział.

Na przeciwległych wzgórzach pomiędzy drzewami po chwili widnieje już letni pałac. Droga nasza ciągle do niego nas zbliża. Płakać się istotnie chce. Raz, że to takie wszystko poniszczone — powtóre, że go widzieć nie można. Pagody, wieże, zdala wśród zieloności ogrodów cesarskich widoczne, pojedyńcze pawilony rozrzucone tu i ówdzie po wzgórzach. Przejeżdżamy koło głównego wejścia: rozległe szopy, potężne kloce drzewa częścią z Ameryki, częścią z południa Chin sprowadzonego, setki robotników, robota gorączkowa: pałac letni restaurują. Przed głównem wejściem owe przepyszne dwa lwy brązowe, z liczby niewielu pozostałości po tej wspaniałej rezydencyi, zniszczonej najprzód przez Anglików i Francuzów w 1860 r. — doniszczonej przez Globtrotterów, którzy łamali, psuli co było można, by „zabrać pamiątki" — dalej przez pospólstwo chińskie, bezpośrednio po opuszczeniu pałacu przez wojska sprzymierzonych — wreszcie przez rozmaitych wiernych poddanych Jego cesarskiej chińskiej Mości, którzy zabudowań pałacu używali za kamieniołomy. Dziś pałac dla Chińczyków i białych zarówno zamknięty; mowy nawet być nie może o zwiedzeniu go.

Jedziemy dalej; mijamy wejście t. zw. tylne pałacu. Na stromej pochyłości wysokiego pagórka, nastawiane amfiteatralnie pagody, wieże, zabudowania jakby forteca schodzą aż do stóp. Nic równie oryginalnego nie widziałem. Budynek o kilku piętrach, terasach, kolumnach, coś nie coś przypominający z daleka maurytańskie budowle — może Escurial — nic dziwnegoby nie było, boć tu po większej części według jezuickich planów budowano. Wszak w rezydencyi letniej był i Frianon naśladowany — i to Frianon mały i wielki, tem ciekawszy, że między *roccoco* dekoracye wpleciony cesarski smok chiński z całą swą falangą obłoczków, psów, roślin. A wszystko w białym jak śnieg wykute marmurze; a wszystko wśród zieleni i drzew, jakich w Wersalu niema. Kto istotnie, czy Francuzi, czy Anglicy w 1860 roku rozpoczęli dzieło zniszczenia w tej pięknej rezydencyi, gdzie tak ciekawe pozostawili po sobie pamiątki Jezuici architekci i astronomowie

cesarscy, tego nie wiem dokładnie. Każdy naturalnie spycha winę na drugiego; obie strony dowodzą, że okoliczności zmuszały do tego barbarzyńskiego kroku. Fotografie, które kupiłem, dają doskonałe wyobrażenie o tej właśnie części pałacu.

Po półtoragodzinnej jeździe stajemy przed świątynią „wielkiego dzwonu". Tu rezyduje na lato pan Klejmonow, sekretarz legacyi rosyjskiej. Gości nas herbatą i jajami. Daje mi jeszcze rozmaite rekomendacye i polecenia na drogę. Po półgodzince ruszamy dalej. Około 11-tej stajemy w świątyńce, dotąd przez legacyę belgijską wynajmowanej. Pyszny basen murowany z wodą kryształową, ma zaszczyt chłodzić równie tłuste jak rozpalone od wielce ciepłego słońca członki barona Kettelera. O wpół do 1-szej jesteśmy na miejscu w Tadży-soe. Świątynia wynajmowana od długiego szeregu lat przez legacyę niemiecką. Położenie doskonałe, góry od południa i zachodu, od wschodu i północy ogromna, bezdenna równina Pekinu, owa zielona równina, która przed 5-ma czy 6-ma wiekami tak podobała się nadciągającym z północy Mongołom, iż zeszli do niej i zajęli ją na zawsze.

Instalujemy się w tak zw. świątyni. Mnie ofiarują mieszkanie w jednem z pobocznych zabudowań, Ketteler siedzi w najwyżej położonem, najchłodniejszem zabudowaniu, cierpiąc okropnie od gorąca. Nazajutrz, tj. wczoraj, ekspedycya na górę Miaofeng-szan, 3000 metrów. Ciekawa, bo dająca mniej więcej wyobrażenie o formacyi gór okalających dolinę Pekinu. Ze szczytu widok istotnie wspaniały. Niestety, niebo niezbyt sprzyjało; wracając dopiero, gdy dwie burze nad moim biednym kapeluszem przeleciały, rozerwały się chmury i literalnie u stóp moich jak kiedyś na Wezuwiuszu rozścieliła się płaszczyzna niezmierna, bez końca; w dali na wschód Pekin, dalej Tung-czau, na północ groby Mingów z dala widne, na zachód i południe góry, skały, przepaście, rozpadliny, widok rzeczywiście prześliczny. U stóp najwyższego szczytu naszej góry świątyńka niewielka, jakiejś bogini dotąd mi nie znanej, leczącej i strzegącej od wszelkiego rodzaju niemocy i chorób. To też mimo sceptycyzmu chińskiego, około 5—6000 pielgrzymów gromadzi się w pewnych dniach roku przed ołtarzem tej zacnej pani. Góry aż po ów najwyższy w oko-

licy szczyt; na którym siedzę, od stóp do głów jednakową roślinnością okryte, bardzo wysokiemi trawami, wśród których najcudniejsze kwiaty, lilie, róże dzikie i t. d.; czem wyżej, tem trawa lepsza, wonniejsza; tam też pędzą muły i krowy na paszę. Podnóża tych samych gór, tak żyznych, jedynie rodzajowi lewandy róść pozwalają; spodem bowiem szczery piaskowy kamień. Drzew naturalnie ani śladu, tem mniej lasu; gdzieniegdzie w niższych, jeszcze niby to uprawnych i zamieszkałych strefach pełno drzew owocowych, tu bowiem rosną sady, z których miliony brzoskwiń i moreli codziennie do Pekinu wędruje. Brzoskwinie prześliczne, ogromne, doskonałe, mimo że na dziczkach rosną. Drzewa te i krzewy nadają ten dziwny charakter okolicy, *semi*-cywilizacyi, odejmują dzikości tym skałom, co bryłami niezmiernemi tu i ówdzie rozrzucone leżą; stąd nawet pejzaż trudno nazwać dzikim. Patrząc z tej góry na ten cudny widok, na tę urodzajną równinę, zieloną i złotą w tej chwili od słońca, które wyczyściwszy promienie w chmurach, tem czystszem złociło światłem ziemię — patrząc pewnie już po raz ostatni na Pekin — mimowoli żal mi się zrobiło za nim, za wszystkiem co się z nim kończyło; jednej tylko części Pekinu najmniej żałowałem, to rezydencyi dyplomatów europejskich. Chciałem poświęcić krótką notatkę t. zw. ciału dyplomatycznemu w Pekinie — koniec końców nie warto; wszystko to, z dwoma może wyjątkami, tak podrzędne umysłowo figury... I nie może być inaczej. Wielki błąd popełniają niektóre rządy, zostawiając swoich reprezentantów długiemi latami lub przez całe życie w Chinach. Zgubne to pociąga za sobą skutki; skwaśnienie, stetryczenie, znudzenie bezgraniczne — bo też ciasno tu i nudno okropnie po dłuższym pobycie.

### *Chwaila, 21 lipca.*

Wczoraj nareszcie opuściłem o 7-ej z rana Tadży-soe; podróż sybirska więc rozpoczęta! Zaraz pierwszego dnia miałem przykład, jak to będzie na przyszłość w tej podróży, i że jakkolwiek nawet panie tę podróż odbywały (pan Berière z żoną w roku zaprzeszłym), to ani łatwą, ani wygodną ona nie jest; a w obecnej porze roku

nie zanosi się na to, by miała być suchą. Rzeczy, Chińczyka i Kozaka Mongoła zostawiam w Tadży-soe; sam ze starym *mafu* legacyi, wielce poważną osobą, puszczam się konno, by po drodze do Hankau, gdzie mam nocować, zwiedzić groby Mingów, ostatniej dynastyi chińskiej, która panowała na tronie pekińskim aż do inwazyi Mongołów w XVII. wieku. Deszczyk rosi w chwili odjazdu. Ketteler i baron von d. Goltz, dr. Lenz, żegnają mnie pod parasolami. Wszyscy mi w ostatniej jeszcze chwili odradzają tę ekspedycyę, na wyścigi jeszcze raz zachwalając wygody jazdy do Europy przez Amerykę. Wszyscy mają lekkie emocye żegnając się ze mną; widocznie moja figura nie bardzo im wiele zaufania wzbudzała. Dziwnym trafem ja emocyi zbytnich nie miałem, choć z natury żegnać się nie lubię, alem się z wolna przyzwyczaił i do tego. Deszczu się nie bałem, bo mając nowy w Jokohamie kupiony nadzwyczajny płaszcz od deszczu, zbudowany umyślnie do konnej jazdy, lekceważyłem niepogodę, i pewny siebie, puszczam się w drogę. Drogi oślizgły od wilgoci, więc stępa cały czas jechać musimy.

Po godzinach, jak obszył, pięciu, stajemy u wnijścia grobów. Szkapki doskonale tę fatygę wytrzymały. Położone w obszernej równinie, otoczonej znacznej wysokości górami i skałami arcymalowniczemi, zajmują one jako peryferya miejsce, na którem z łatwością miasta: Lwów i Kraków z okolicami pomieścićby się mogły, a nawet mogłyby jeszcze ofiarować gościnność paru innym towarzyszom niedoli galicyjskiej. Ogromnem półkolem otaczają nas góry piętrzące się amfiteatralnie wprost nad doliną bez żadnego przejścia, a góry wcale wysokie. Dziwne to robi wrażenie; mimowoli się wydaje, że ta dolina sztucznie musi być tak aż pod stopy tych wielkich gór wyrównaną. Pod nogami mamy najśliczniejszą, żyzną ziemię, wysłaną cudnej zieloności gazonem. Tu i ówdzie wkoło grobów, które u samego podnóża gór zdala bieleją, pyszne gaje prastarych drzew. — Grób, w naszem tego słowa znaczeniu, to najczęściej kilka stóp kwadratowych ziemi, kamień, krzyż — cesarze chińscy mają grobowce jak pałace, z bramami, pawilonami, dziedzińcami, wodotryskami, ogrodami. Grobu samego, owego czegoś, co kryje bezpośrednio

w swem wnętrzu szczątki nieboszczyka, sarkofagu — nie widać nigdzie; skryty on jest zazwyczaj pod murami jednego z licznych pawilonów i wież. Grób od grobu mniej więcej 4–5 kilometrów odległy. — Jadę do głównego, który kryje szczątki śmiertelne wielkiego, acz ostatniego z rodu imperatora. Z daleka widny łuk tryumfalny o trzech przejściach z białego marmuru, bogato płaskorzeźbą zdobny, dobrze utrzymany; przed nim most, widocznie niegdyś z pysznych płyt złożony — dziś w części rozebrany na materyał budowlany! — Dalej, niegdyś wspaniała, pysznemi płytami brukowana droga, dziś także przeważnie rozebrana. Mijamy drugą bramę; na czerwony, pompejański kolor malowana, z cegły murowana, formą dwory polskie z XVIII. stulecia przypomiaa, ciężka nieco szkatuła, kryta, jak wszystkie świątynie, rodzajem dachówki polewanej. Zdawało mi się, mijając tę drugą bramę, że dojechałem, a że słyszałem o trudnościach, które strażnik tutejszy obcym w zwiedzaniu stawia, przeto puszczam szkapę kłusem. Ale — o dziwo! — za tą bramą na odległości 2–3 kilometrów znowu tylko pola, a środkiem znowu resztki owej drogi niegdyś murowanej.

Dojeżdżamy do ogromnej kamiennej bramy; tym razem już tylko jeden ogromny, szeroki łuk. — Koń mi się płoszy w chwili, gdy chcę w środek wjechać: w środku łuku stoi kamień cesarski, kolos z jednej sztuki, wysoki najmniej 5 metrów, na którym wypisane imię historyczne nieboszczyka i główne daty, a zwłaszcza pochwały. Podtrzymuje tę kolosalną tablicę grobową kolosalnych również rozmiarów żółw, symbol długowieczności, wykonany z taką perfekcyą, taki klasycznie ohydny i straszny, że koń parska, spina się, nie chcąc wejść. Przejeżdżam nareszcie, i nareszcie też widzę ową z fotografij i opisów tak znaną aleję zwierząt i mędrców. Lekkim łukiem ciągnie się ta jedyna w swoim rodzaju aleja, aż ku wejściu istotnemu do grobowca. W odstępach mniej więcej 100 kroków siedzą, stoją i leżą, ale zawsze klęcząc na wszystkich czterech łapach, po obu stronach drogi, alegoryczne psy, wielbłądy, smoki jakieś (może wilki lub lisy), słonie, nareszcie konie, znowu psy, aż się poczynają ludzie — wszystko parami. Seryę ludzi zaczyna

stan najniżej od wieków w Chinach ceniony, stan wojskowy, dalej urzędnicy państwowi, wreszcie mandaryni najwyższej rangi i kapłani. Kostyumy niezmiernie ciekawe, bardzo jednak od dzisiejszych różne; ze zmianą dynastyi i kostyumy dworskie zmieniono. Jadę dalej; znowu trzyłukowa brama, tym razem o pięknych w chińskim stylu ornamentach. Przy bramie w czterech rogach, cztery ogromne, białe marmurowe kolumny, na wierzchu każdej siedzi jakieś nieboskie stworzenie, z daleka jak lew wyglądające; kolumna sama ciężka, niezgrabna, okryta płaskorzeźbą, przedstawiającą smoka cesarskiego w morzu chińskich fal; mówię chińskich fal, bo te fale, które i na każdej dworskiej sukni się powtarzają, do rzeczywistych mało są podobne.

Po długiej jeszcze peregrynacyi, minąwszy kilka trzód wcale pięknych owiec — stajemy nareszcie na dość dobrze utrzymanej, kamiennemi płytami wykładanej drodze i przed bramą grobu głośnego reprezentanta dynastyi Mingów. Ogromny mur czerwono malowany, brama, ogród, portyk, znowu ogród, świątynia, w niej ołtarz z tablicą nieboszczyka, z jego imieniem historycznem (tj. przeznaczonem mu po śmierci). Znowu ogród, piękny chodnik kamienny prowadzi do jakiegoś ołtarza pod gołem niebem, a wkońcu do samego mauzoleum. Ogromny budynek, gdzie korytarzem, jak na wieżę św. Piotra, tylko prostym, wychodzi się na wysokie, trzecie piętro. Tu dopiero kamień grobowy z napisem i galerya, z której rozległy widok. Wszystko wszędzie czerwono malowane. Odnajduję napisy znajomych, np.: „Torlonia—Roma“; naturalnie podpisuję się: „Sapieha—Polonia“. Ciekawa jednak rzecz, że niewiele imion europejskich, a może żadna polska stopa tu jeszcze nie była.

Po siedmio czy ośmio godzinnej jeździe i zwiedzaniu, żołądek gwałtu krzyczeć zaczyna, jeść się chce okrutnie; więc wszystko rzucam i idę na *tiffing*, dziś bardzo skromny, który zjadam siedząc na kamiennej podłodze jednej z ogromych hal stojących po dwu stronach bramy wchodowej. Naprzeciw mnie w kuczki dzieci stróża tych przybytków, mało apetyczne swym wyglądem, jak na cudo na mnie i moje jedzenie oczy wytrzeszczają. Niebo tymczasem zaciągnęło się bardzo ponuremi chmurami; obawa

deszczu; zresztą już i niezbyt dalekiego wieczora, trzeba odjeżdżać. Na pożegnanie kłótnia z owym stróżem naturalnie, wiele mu mam dać! Ledwie dwieście kroków ujechaliśmy, gdy puszcza się deszcz, dalej ulewa straszna. W niespełna trzech kwadransach wszystkie drogi, rowy, zagłębienia w ziemi stały się potokami. Przyjeżdżamy nad jakiś prawdziwy potok, przed chwilą zapewne ledwo się sączył, teraz wezbrana, rwąca rzeka; co robić? Wbród ani myśli; w jednem, drugiem, dziesiątem miejscu chcemy próbować — konie nie chcą. Coraz lepiej leje; pod nogami tak ślizgo, że złażę i konia w ręku prowadzę; szukamy dalej brodu. Nareszcie na przeciwległym brzegu spostrzegam zalaną wieś. Sądząc po wysokości stanu wody w tej wiosce, ani myśleć o przebrnięciu przez ten strumień szalony; tymczasem za nami pomału morze formalne powstaje. Niema rady — albo nocować pod gołem niebem, wśród tych rozszalałych strumieni bez jednego drzewka, pod któremby się można schronić, w najlepszym razie po tej stronie w chińskiej stajni do połowy zalanej — albo ryzykować przeprawę. Na koniu niebezpiecznie, zresztą nie chce iść wcale do wody; trzeba więc próbować skusić kogoś, by mnie przeniósł. Więc pertraktacye, najpierw z moim *mafu*. Ale jak się tu z nim dogadać? jego francuszczyzna kończy się na trzech słowach: *monsieur*, *ici*, *labas*. Po chwili jednak pojmuje, że nie chcę tu nocować, (deszcz leje coraz lepiej), zostawia mnie konie, sam brnąc po kolana w wodzie, dopycha się jak może najbliżej przeciwległego brzegu i wrzeszczy; ludzie się schodzą, ale na moją propozycyę: 15 dolarów, kto mnie przeniesie — nikt jakoś zgodzić się nie chce. Woda ciągle przybiera! Mija pół godziny, zaczynają się trząść od zimna, *mafu* wraca bez niczego. Zjawia się tą razą po naszej stronie jakiś Chińczyk, który zaczyna od okrutnego wrzasku z twarzą ku mnie zwróconą (wszyscy ludzie myślą, że kto ich mowy nie rozumie, ten musi być głuchy), *mafu* go uspokaja, ja dolara pokazuję, potem drugiego. Chińczyk zaczyna się uśmiechać, mniej głośno krzyczy i pozwala ze sobą traktować, ale to trwa wieki. Nie mogąc końca się doczekać, puszczam się sam na eksploracyę głębokości rzeki. Kiedyś prowadził ku rzece i ponad nią stary, szeroki mur, rodzaj mostu,

niestety, dziś w miejscu najgłębszem i najbardziej rwącem, mur ten rozwalony. Darmo, próbować trzeba! Wśród wysiłków na wszelkie możliwe sztuki atletyczno-gimnastyczne, przekonywam się, że woda w tem miejscu za głęboka; wracam. Tymczasem *mafu* nie próżnował; wprawdzie ów obcy Chińczyk w ostatniej chwili nie chciał ani za 20 dolarów mnie przenosić, ale *mafu*, stary lis, pożyczył gdzieś tyki, i stojąc sam po kolana w wodzie, z widoczną trwogą, próbuje głębokości — raz, drugi, trzeci — ba, toć wcale nie tak głęboko! rwie co prawda, ale konie przejdą. Więc w imię Boże! Koniom wyżej brzuchów, ale poszło! Krzyk radości Chińczyków! ze stu ich patrzało, jak przejechaliśmy! Chwała Ci Panie! będę miał kolacyę ciepłą i łóżko!

Istotnie, jedno i drugie mnie wita w Hankau, gdzie tymczasem mój Chińczyk i Tatar przygotowali wszystko. Zjadam, wypijam i Boga chwalę na swoim materacu; łóżko w Chinach nieznane, ludzie śpią tu na rodzaju niezmiernie szerokich i głębokich ław murowanych, na które się kładzie materac. Ława ta spodem jest po prostu jak nasze *treibhauzy* w zimie ogrzewana. Pościeli naturalnie nie znają. I Bogu dzięki, bo coby to się działo w takiej pościeli!

Dziś rano wpół do 4-ej Tatar mnie budzi; deszczyk, zimnawo. O wpół do 6-ej wsiadam do lektyki. Z wielką biedą doszedłem do posiadania tej lektyki. Jest to budka drewniana, między 60 a 70 ctm. wysokości, przykryta zewnątrz i wewnątrz niebieskawym, wypłowiałym perkalem; jako ozdoba, kilka starych, napół obdartych kutasików i daszek jak na pagodzie. Cały ten budyneczek (z oknami z boków i z przodu) leży na długich dwóch drążkach, zaopatrzonych na końcu rzemieniem, pod który podchodzą z przodu i z tyłu muły, i tak lektykę dźwigają. Wewnątrz leżę na swoim materacu. Z początku miło było się jeszcze trochę wyleżeć, ale potem! 9 koni, *alias* osłów i mułów składa moją karawanę. Mijamy pierwsze mury, należące do kompleksu t. zw. wielkiego muru. Pyszne bramy sklepione, ogromne, wysokie; krocie murów i obwarowań wkoło. W jednej z bram istotnie piękne płaskorzeźby, przypominają łuk Trajana w Rzymie. Największa część dziś egzystujących murów jest widocznie niedawnej

daty; lecz obok tego widać prastare, wpół zjedzone granity, to resztki dawnych murów, które swego czasu przeciw Tamerlanom, Czyngishanom, Kublaikhanom stawiano. Wielki mur istotnie ogromne wrażenie robi. Nic równie imponującego! Szerokość 3 metry, wysokość miejscami niesłychana; 5, 6 piątr i więcej. Wysokość muru stosuje się do terenu; tam gdzie przechodzi przez przepaście, aby jego poziom górny mniej więcej w jednakowej utrzymać wysokości, musiano istotne wieże murować. Nigdzie nie jest niższy jak około 6 do 7 metrów. Górą kryty jest płytami kamiennemi. W miejscach, gdzie mur się na poły rozsypał, widać, że cały jest murowany z cegieł. Długość, rozległość jego niesłychana, boć jak obecnie dokładnie skonstatowano, zaczyna on się prawie od morza wzdłuż całej granicy Mandżuryi i ciągnie aż hen gdzieś ku stokom gór tybetańskich. Koło bramy, przez którą szlak kałgański, jedyny w tę stronę, prowadzi, dwa prastare żelazne działa w trawie spoczywają. Zdejmuję fotografię mojej karawany w tem otoczeniu.

Ruszamy. Odtąd wprost prawie i ciągle na wschód idziemy. Na zachód i południe dwa bardzo znaczne łańcuchy gór. Na południowym aż do wieczora ciągle widoczny mur, nie zawsze i wszędzie z pomiędzy gór się wychyla, bo zapewne ze względów strategicznych nie prowadzono go szczytami najwyższemi, chowając go raczej za takowe. W stronę Kałganu mijamy cały szereg zewnętrznych fortyfikacyj, wież, małych bastionów. Wszystko to się kończy z chwilą zbliżenia się do miasta, skąd piszę. Widocznie forteca trzykrotnie opasana murem i wałami.

### *Sien-si-fu, 23 lipca.*

Przedwcześnie zanotowałem wyżej, że forty się kończą; forty pojedyńcze, jak słusznie mój Tatar powiedział: „karauły kitajskich kozaków“, ciągną się bez przerwy wzdłuż doliny prowadzącej ku Kałganowi. Co chwila bliżej lub dalej, w dolinie lub na pagórku, często wysoko na skale wisi taki karauł czyli wieża, na której w czasach, kiedy się najazdu spodziewano, utrzymywano straż, z przeznaczeniem dawania znać o zbliżającym

się nieprzyjacielu — rodzaj telegrafu. Odfotografowałem jeden na pamiątkę, u jego stóp bowiem po raz pierwszy w tej podróży byłem zmuszony całej energii i siły gardła użyć na zapostrofowanie „Kitajców".

Raniutko 22-go ruszamy jak zwykle około 3 kwadranse na 5-tą; słońce jeszcze nie wstało na dobre; powietrze cudowne wszystko idzie znakomicie. Przychodzi jednak południe, upał nie do opisania. Wietrzyk mały mamy z tyłu; w mojej lektyce, tej maszynie wymyślonej przez ludzi z myślą leniwą a ciasną kieszenią, robi się temperatura 45° Reaum. Ciągłe rzucanie, szarpanie, szturkanie tej palnej machiny, robi czytanie niepodobnem. Chcę spać, nie można, bo co chwila, jak te muliska nieszczęsne ruszą równym krokiem z jednej nogi, tak miotają straszliwie lektyką od tyłu ku przodowi, że mimo zmęczenia, ani sposób zasnąć. Jedna jeszcze złowroga dola podróżnego w tych okolicznościach, to muchy! O ludzie, gdybyście wiedzieli, nigdybyście dzieciom nie bronili much torturować, męczyć, w żywym ogniu smażyć, w kawałki żywcem krajać! niechby choć tyle zemsty biednej ludzkości na tych przebrzydłych stworzeniach dozwolono! Nie mogąc wytrzymać dłużej, wyskakuję, siadam na osła. Po chwili spostrzegam ów karauł kitajskich kozaków; trzeba go odfotografować koniecznie, bo piękny, malowniczy, a nieźle jeszcze zachowany. Tu mimowoli przyszło mi na myśl, czy przypadkiem Chińczyki, uważając że szlakiem Tamerlana mógłby i biały car przyjść do Pekinu, nie utrzymują tych starych karaułów na wszelki wypadek! Dawaj aparat! cała karawana — 10 zwierząt czworonożnych, a 5 dwunożnych — nim się zatrzyma, nim się porozumie, nim zdoła przyrodzony wstręt do szybkich ruchów przezwyciężyć, mija naturalnie dobra chwila. Zaczynają wyciągać z pod mojego siedzenia ten aparat (który Opatrzność także na mnie jako bicz i ekspijacyjny środek zesłać raczyła), mija nas jakiś oślarz kitajski i woła coś. Nagle widzę ze zdumieniem, że mój *boy* blednieje i rusza się szybko, ba, nawet dość wyraźnie mi powiada: „woda idzie, nie można dalej". Chińczyki wszystkie spłoszone, naturalnie zaczynają od kompletnego stra-

cenia głowy; *notabene* dotychczas jeszcze ich nie rozumiałem, nie pojmowałem o co chodzi. W chwili kiedy Chińczyki, straciwszy resztki możności myślenia, bez ustanku coś mówiąc patrzą przed siebie, ja nie wiedząc o co chodzi, chcę kazać dalej rozpakowywać aparat. Raptem słyszę szum daleki, cichy, coraz głośniejszy; myślę: gdzieś woda płynie; widzieliśmy wielkie chmury w górach, musiało padać; trzeba zobaczyć. Nie ubiegłem 20 kroków, szum rośnie tak, że własnych słów nie słyszę, i nagle ni stąd ni zowąd widzę przed sobą w wyschłem łożysku potoku górskiego, które o 30 kroków przed nami przecinało drogę, po którejśmy się posuwali — widzę, mówię, jak w tem łożysku wielkie glisty, ślimaki, węże czekoladowo-czarne ku mnie z szumem i hukiem po kamieniach pędzą. Ha! do licha, co to? toć ku nam ta awantura leci! Istotnie nie glisty to ani ślimaki, ale woda z namułem, tak dziwaczne przybierająca kształty, wali ku nam. Wracam ku mułom, wskakuję do lektyki, każę ruszać. Ilość tej wody, a raczej błota, które nas dognało, przybiera z każdą chwilą. Mój mularz, z obawy, by trepek swoich nie zawalać, zamiast, jak należało, za pysk schwycić przedniego muła i przeprowadzić, siada sobie na osła; wrzeszczę, by prowadził; nim się zdecydował zleść, już było za późno. Znajdujemy się nagle w strumieniu pędzącej wody z błotem na poły. Muł przedni waha się — każda sekunda groźna. Chińczyk pcha muła naprzód, muł się chwieje, potyka, strumień coraz rośnie, nareszcie sięga powyżej kolan muła — nareszcie brzdęk — muł pada! Myśląc, że go jeszcze na czas podniosą, siedzę w swojej klatce, której przednia część wraz z mułem zaczyna niknąć w coraz głębszym strumieniu błota. Muła chcą ratować, bo tonie; na szczęście z tyłu mam drugiego, który całą sytuacyę ratuje i nas podtrzymuje. Mularz mój zaczyna odpinać muła, któremu ledwie jeszcze łeb wygląda z błota; muł wstaje, wali się raz jeszcze, na chwilę nikną obydwaj pod wodą. Widzę, że niema ratunku; w tej chwili przyskakuje, brnąc w błocie po pas, mój Mongoł *(boy* Chińczyk ani się ruszył): *Barinia złazit*! Chwytam za wiszącą koło mnie kamizelkę, bo w niej zegarek, za ka-

pelusz, *helmet* (nie mam drugiego) i worek, czyli kieszeń zrobioną umyślnie do przechowywania papierów wartościowych, noszę ją na piersiach a zdjąłem dla upału. Raz, dwa — stoję powyżej kolan w namule rwiącym strasznie; jak mogę brnę, klnąc strasznie — jestem na brzegu. Oglądam się, co się z mułem i Chińczykiem dzieje? O 20 kroków niżej leżą obydwaj w błocie, ratując się jak mogą. Teraz Mongoł wraca ratować lektykę. Chińczyki wrzeszczą co w piersiach sił, lektyka stoi na szczęście; zadni muł zaparł się jak skała i trzyma. Wrzask Chińczyków, szum wody, krzyk Mongoła — i ja wrzeszczę, bo spostrzegam się na lądzie, że zamiast owej kieszeni wartościowej, którą zwykle na piersiach noszę — porwałem worek z cukrem do herbaty; kieszeń, zawierająca cały mój majątek, została w zagrożonej lektyce! Na szczęście znajduje się dwóch czy trzech Chińczyków spektatorów, ci włażą w wodę, pomagają wyciągać lektykę — po chwili stoi na brzegu. Tymczasem Mongoł wpadłszy w święty gniew na powolność chińską, wskakuje w środek potoka i grzmoci co siły w żołądki, karki, siedzenia chińskie. W mgnieniu oka dwóch Chińczyków leży nosami w błocie; krzyk, gwałt niesłychany. Mongoł miał rękę ciężką, jak żelazo kułak! Nareszcie ostygł nieco i spokojnie, majestatycznie wraca na ląd czyścić i suszyć rzeczy; niestety moja torba i kuferek, umieszczone w dnie lektyki, zaszły mułem aż do dna... I jak burza wyszalawszy się słabnie i oddala się, a drzewa nie miotane już strasznym wichrem powolniej kiwać się zaczynają, a cała natura szukając spokoju po przesileniu cichnie, uspokaja się — tak ja i Mongoł podszedłszy ku lektyce usiedliśmy na chwilę po dwóch stronach, sapiąc i dysząc, a od czasu do czasu na kitajskie ludziska klnąc cicho.

Łatwo się dziś śmiać i żartować, kiedy wszystko skończone, ale proszę spróbować: Wyzywam wszystkich znajomych i pytam, czy nie będzie im djablo rzadko na sercu i żołądku, gdy pod wieczór między Chinami a Mongolią, między ludźmi, z którymi porządnie nawet porozumieć się nie można — staną przed huczącym i błotnym potokiem, który z pod ziemi zda się wyrósł, i przed pytaniem: czy woda naprzód iść pozwoli, czy nocować

trzeba będzie w karaule? Przez zemstę odfotografowałem owego karauła. Nie obeszło się jednak bez ofiar; zgubiłem moją ukochaną czarną bursztynową cygarniczkę, prezent od S. Sz. Nieszczęśliwy muł także silnie zeszwankowany, pokrwawiony, dolazł jednak aż do Kałganu.

Nocleg króciuchny, o wpół do 6-tej jesteśmy w drodze, mamy 120 *li* chińskich do zrobienia. Okolica ciągle od wielkiego muru mniej więcej taka sama, piękna prawie. Poruszamy się ciągle bardzo szeroką doliną, miejscami szyjowato ścieśnioną okalającemi ją pagórami. Z po za pagórów widne co chwila po obu stronach poważne góry, skaliste, gdzieniegdzie tylko krzewami pokryte. Idziemy po drodze, której jednak nikt nigdy nie budował i nie utrzymuje, prócz Opatrzności. Jest to po prostu szeroka ścieżka między łąkami i polami wydeptana. Ziemia wszędzie wydaje mi się bardzo urodzajną; zboża jeszcze miejscami stoją, wiele jednak ściernisk już mijam. Po ścierniskach pasą się trzody świń i rogatego bydła, zwłaszcza kozy i barany długowełniste, kozy białe i srebrno-szare — te same, których skóry za dość drogie pieniądze obecnie nawet i we Lwowie po magazynach się widuje. Gdzie okolica ludniejsza, a wszystko tu bardzo gęsto zamieszkałe, tam pasterzami dzieci, w stroju adamowym, zupełnie na czekoladowo-żółty kolor od słońca spalone. U stóp wielkiego muru, gdzie zupełna puszcza — gdzie człowieka nie ujrzy, puściwszy się sam jeden szczytem muru, by to cudo oglądać, spotkałem prawdziwego górala chińskiego ze stadem kóz t. zw. *angora*. Niewielki, ale barczysty, brunatno-żółty, z twarzy do starej renety podobny, przepasany wpół tylko dwiema koziemi skórami, z kijem w ręku i jakimś rodzajem dziwnej kobiałki, dziwnie mi przypomniał ten iście pierwotny pasterz, widziane kiedyś w monachijskim teatrze w 1-szym akcie Wagnerowskiego *Rheingoldu* dzikie olbrzymy, któregoś ze szczepów germańskich praszczury. I dlaczegóż, pytam, tylko Moskalom zarzucają, że mają krew mongolską w żyłach, kiedy wszystkie, dziś tak licznie odtwarzane typy przedhistoryczne germańskie daleko bardziej mieszkańców gór chińsko-mongolskich i tybetańskich przypominają?

Po sześciogodzinnym marszu stajemy w Sien-si-fu. Przed miastem widoczny obóz, chorągwie formą smoka naśladujące, stroje, niby mundury z 1000 i jednej nocy — feta to jakaś wojskowa, mnóstwo ludu ciągnie ku obozowi; chciałem z blizka to zobaczyć, odradzali mi ludzie, żeby się wojsku nie pchać w oczy.

(C. d. n.).

*Paweł Sapieha.*

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

## Z piśmiennictwa krajowego.

**Paweł Popiel jako pisarz.** *St. Tarnowski.* Kraków. Księgarnia Spółki Wydawniczej Polskiej. 1894.

Ludzie, którzy piórem przez lat wiele pracowali, zstępując do grobu mają zwykle wyrobione i ustalone stanowisko w literaturze współczesnej. Miara ich znaczenia w piśmiennictwie należycie jest oceniona. Inaczej się dotąd rzecz miała z duchową spuścizną Pawła Popiela. Publicystyczny i przygodny charakter jego pism sprawił, że całość ich, jako taka, niewielu była znaną, głęboka i rzetelna ich wartość niedosyć ocenianą. Gdy więc w roku ubiegłym ukazało się staraniem prof. Pawła Popiela zbiorowe wydanie pism ojca, wtedy otworzyło się przed tymi, którzy go znali dobrze, zaszczytne zadanie scharakteryzowania jego dzieła, osądzenia miejsca, które mu się z prawa i zasługi wśród pisarzy politycznych czasów porozbiorowych należy. Zadania tego podjął się pierwszy Stan. hr. Tarnowski.

Rozprawa zamieszczona w *Przeglądzie Polskim*, później w osobnej broszurze, streszcza znakomicie wszystkie ważniejsze publikacye Popiela, przygotowuje, a co najważniejsza zachęca do ich czytania, gdy ten, co ich dostatecznie nie znał, przez nią nabiera świadomości, ile one warte, jak wiele z nich nauczyć się można. Na wstępie wykazuje autor, że pod formą publicysty i dziennikarza jest Popiel „statystą o wielkiem filozoficznem i politycznem wykształceniu“, że pisma jego często ulotne, zawsze okolicznościowe, „w swych małych rozmiarach

mają za treść wielkie zasadnicze kwestye politycznego i społecznego bytu narodów“, że więc wartość ich jest trwałą, znaczenie i dla przyszłych pokoleń rzeczywistem, że choć upłyną wieki, zmienią się czasy, zagadnienia, które Popiel na tle współczesnych sobie wypadków omawia, pozostaną żywotnemi. — Następnie przechodzi do krytyki poszczególnych dzieł. Obejmują one wszystkie wybitne chwile naszych dziejów porozbiorowych, od konstytucyi 3-go Maja do socyalnej kwestyi ostatnich lat. Sąd Popiela o Sejmie czteroletnim uważa hr. Tarnowski jako ostateczną ocenę dla potomnych, zdanie jego o powstaniu Listopadowem — jako znakomitą krytykę ludzi i wypadków. Wysoko podnosi niedość swego czasu ocenioną rozprawę o roku 63-im, zawierającą „krótką ale stanowczą i zapewne niezmienną już na zawsze charakterystykę rządu narodowego“, tak samo różne broszury i publikacye Popiela w sprawie stanowiska, jakie Polakom pod zaborem austryackim zająć należało, oraz w różnych kwestyach wewnętrznych dotyczących Galicyi, np. w sprawie włościańskiej, kwestyi szkolnej i władz administracyjnych. Dobitnie zaś wskazuje, jak w całem jego działaniu, w każdem wystąpieniu znać trzeźwe i rozsądne wyrobienie zdania, sprawiające, że z pism jego, wydanych przed laty sześćdziesięciu i z tych, które w starości kreślił, wieje jeden duch, jedna prawdziwa miłość Boga i ojczyzny. Pierwiastek religijny i moralny nawskróś przeniknął całą twórczość Popiela. Zapał jego dla katolicyzmu, podniesiony jeszcze i ustalony za młodu przez stosunki z wybitnymi katolikami we Francyi, nie opuścił go nigdy. Odzywa się ten zapał najgoręcej w życiorysie Montalemberta, z którym ścisła łączyła go przyjaźń; po dwakroć w obronie podstaw rodziny: raz w r. 1843 w sprawie rozwodów, następnie w 1868 memoryałem do rządu, traktującym o bezreligijnem małżeństwie; wreszcie gdy w imię prawa i wolności odezwał się wobec zaboru Rzymu i zniesienia władzy świeckiej Papieża. Daje mu też hr. Tarnowski piękne świadectwo — pisarza katolickiego, któremu w dodatku obok wewnętrznych zalet służyła zdolność ujęcia myśli w formę piękną, estetyczną, który posiadał i wyrobił sobie styl jasny i jędrny, wyrażający w lapidarnych zdaniach szlachetne i wzniosłe zasady autora. — Takim się przedstawia w książeczce p. Tarnowskiego, Popiel jako pisarz. Przeczytawszy ją, podwaja się w nas pragnienie korzystania z nauk znakomitego statysty, a najlepszy to dowód, że książka spełniła swój cel.

*F. M.*

**Prawo zwierząt.** Studyum socyologiczne. Przez *d-ra Bronisława Łozińskiego.* We Lwowie. Jakubowski i Zadurowicz. 1895. (Str. 83).

Czy zwierzęta mają jakie prawa, którymby odpowiadały z naszej strony pewne obowiązki? Odpowiedź na to pytanie oczywiście w ścisłej pozostaje zależności od filozoficznych poglądów na prawo i stosunek człowieka do zwierzęcia.

Filozofia ewolucyjna spencerowska daje, rozumie się, odpowiedź twierdzącą: człowiek nie różni się co do swej istoty od innych zwierząt, zatem ma pewne względem zwierząt obowiązki, podobnie jak względem ludzi; zwierzęta mają więc odpowiadające tym obowiązkom prawa, za których zachowanie człowiek jest odpowiedzialny.

System filozoficzny, w którym pojęcie prawa i obowiązku nie jest ustalone, będzie się wikłał w odpowiedzi na powyższe pytanie, a z gmatwaniny tej nie wydobędzie się, dopóki zasadniczych tych pojęć nie postawi w świetle właściwem.

Filozofia scholastyczna rozstrzyga to pytanie w sposób zgodny z objawieniem chrześcijańskiem. Według niej, człowiek jest panem i bezpośrednim celem przyrody widzialnej, a to ze względu na swoją istotę, do której należy duszą rozumem i wolną wolą uposażoną, stawiającą go na nieskończenie wyższym szczeblu od wszystkich istot materyalnych. Cała przyroda materyalna jest dla człowieka tylko środkiem do osiągnięcia właściwego mu tu na ziemi przeznaczenia. A zatem człowiek ma prawo używać stworzeń materyalnych wogóle, zwierząt w szczególności, według swej woli i według potrzeby, jaką mu rozum wskazuje. Względem Stwórcy, jako najwyższego swego i wszystkich stworzeń Pana, jest człowiek odpowiedzialny za sprawowanie rządów nad przyrodą materyalną, ale względem istot nierozumnych nie ma żadnych obowiązków, żadnej odpowiedzialności.

Zwierzęta mogą być i są, podobnie jak przedmioty martwe, przedmiotem obowiązków człowieka, lecz nie mogą być podmiotem, względem którego człowiek moralnie lub prawnie jest związany; mogą być i są przedmiotem prawa, jakie mają istoty rozumne do człowieka, ale nie mogą być podmiotem prawnym *(subiectum iuris).*

Tak się na prawo zwierząt zapatruje filozofia.

Jurysprudencya nie tworzy sobie dowolnie pojęcia prawa i obowiązku, ale przyjmuje je, przynajmniej przyjąć winna, z filozofii prawa. Powtóre kwestya stosunku człowieka do zwierzęcia nie jest z natury rzeczy prawną, ale czysto filozoficzną. Jurysprudencya zatem nie jest w stanie rozstrzygnąć na własną rękę pytania, czy zwierzęta mają lub

mieć mogą jakie prawa, lecz winna się o to zapytać filozofii. W przeciwnym razie znajdzie się w takim kłopocie co do określenia przekroczeń, za przedmiot zwierzęta mających, w jakim rzeczywiście znajdują się już prawnicy, nie wiedząc, co z tym fantem zrobić, dokąd, pod jaką kategoryę przekroczeń go wpakować, jak te przekroczenia umotywować i t. p.

Autor, uznając wyższą powagę nad powagę prawa pozytywnego, wiedząc, że to prawo skądinąd czerpie swą moc obowiązującą, zastanawia się nad kwestyą prawa zwierząt właśnie jako filozof prawa, nie jako paragrafowy pozytywista; szuka jej rozwiązania nie w kodeksach karnych, lecz w filozofii, a kodeksy uwzględnia o tyle, o ile z nich można zaczerpnąć światła na filozoficzną stronę badanego przedmiotu.

We wstępie do swej pracy autor zbija taki sposób zapatrywania na rozjaśnienie stosunku człowieka do zwierzęcia, jaki się przejawia w Tarde'a *Les lois de l'imitation*. Tarde proponuje dla rozwiązania tej kwestyi cofnąć się wstecz aż do kolebki kultury ludzkiej, kiedy to jeszcze ludzie nie polowali na zwierzęta, lecz wiedli z niemi wojny, jako równi z równymi. Według p. Łozińskiego za punkt wyjścia nie takie fantastyczne mrzonki, lecz prawo rzymskie wziąć należy, tak bardzo zawsze filozoficzne. To też bierze je pod uwagę i wskazuje na pewne ślady, z których widoczną jest rzeczą, że nie wykluczało ono zwierząt z pod swej opieki, że owszem ochronę zwierząt opierało na powadze wyższej, nadziemskiej, która unormowała porządek i harmonię świata i nakazała, *ne quis re sua male utatur*. Jako dowód tego pojmowania rzeczy przez prawo rzymskie, autor przytacza zawartą w niem wzmiankę o podziale prawa na kategorye: *ius civile, ius gentium* i *ius naturale*. To *ius naturale* ma być właśnie owem „prawem wyższem, dziełem wyższej potęgi, w którego obrębie i ramach prawo ludzkie istnieje i rozwija się". Prawo to zakazuje „iść człowiekowi poza granice godziwego używania dzieł i darów przyrody" (str. 7), a zatem nie dozwala dręczyć zwierząt i brutalnie się z niemi obchodzić.

Jeżeli prawnicy rzymscy rzeczywiście tak szczytnie owo *ius naturale* pojmowali, to przyznać musimy, że nieskończenie wyżej stali od jurysprudencyi naszych czasów, w prawie pozytywnem widzącej jedyne źródło wszelkiego prawa, mniejsza o to słusznego czy niesłusznego. W każdym razie powinszować możemy autorowi tak trzeźwych na prawo i jego filozofię poglądów, z okazyi interpretacyi prawa rzymskiego przedstawionych.

Autor chce także widzieć ślady ochrony zwierząt w prawie staro-

niemieckiem, przypuszczenie swe opierając głównie na postanowieniu tego prawa, przyznającem okup właścicielowi za zabicie zwierząt domowych [1].

Średniowieczne ustawodawstwo z dziwacznemi swemi procesami karnemi, przeciw zwierzętom wytaczanemi, przedstawia pole li tylko do domysłów i ciekawych przypuszczeń, bez istotnego zaś jest znaczenia w rozjaśnieniu kwestyi o prawie zwierząt. O wiele więcej światła zaczerpnąć możemy w tym względzie z nauki i zachowania się Kościoła wieków średnich, którego opieka pokojowa obejmowała nietylko człowieka, ale pośrednio i zwierzęta, nie dozwalając źle ich używać czyli nadużywać, a zatem zasłaniając je przed brutalizmem i okrucieństwem ludzkiem.

Podawszy chrześcijańską naukę wogóle o stosunku człowieka do świata zwierzęcego, autor przystępuje do charakterystyki treściwej nowoczesnego ustawodawstwa o zwierzętach. Na podstawie tego szkicu stwierdza wielką chwiejność, jaka panuje w dzisiejszym świecie prawniczym, co do głównej podstawy postanowień prawnych o ochronie zwierząt, co do zasadniczych poglądów na stosunek prawny człowieka do zwierzęcia.

Chwiejność wspomnianą chciały choć w części usunąć niemieckie towarzystwa ochrony zwierząt, rozpisując konkurs na rozprawę o stosunku człowieka do zwierzęcia pod względem moralnym i prawnym. Autor wspomina o pracy Wetzlicha, nagrodzonej na tym konkursie, i dość obszernie ją zbija jako nową gmatwaninę pojęć o prawie wogóle, a prawie zwierząt w szczególności. Szkoda wielka, że nie zrobił wzmianki o innej pracy, odznaczonej na tymże konkursie pierwszą nagrodą, a zadowolnił się krytyką pracy mniej ważnej, a choć złej, to nieporównanie lepszej od tamtej [2]. Konkurs wypadł niepomyślnie i grubo skompromitował związek niemieckich towarzystw ochrony zwierząt, a przyczynił się do większego jeszcze zamieszania zasadniczych pojęć prawnych o stosunku człowieka do zwierzęcia.

Nie wyświetla ich także socyologia zwierzęca, nowa nauka, tem się różniąca od socyologii dotychczas znanej, że obejmuje nie-

[1] Tak np.: kto cudzego psa zabił, winien był właścicielowi usypać taki kopiec pszenicy, aby pokrył całego psa od ogona do głowy, postawionego w pozycyi pionowej.

[2] Ob. naszą recenzyę o Bregenzera *Thier-Ethik*, w niniejszym zeszycie w dziale: „Z piśmiennictwa zagranicznego“ (str. 290).

tylko ludzi i ludzkie społeczeństwa, ale nadto i społeczeństwa zwierzęce. Socyologia ta w dziełach jej rzeczników [1] śmiało już otwiera zwierzętom podwoje prawa, nie waha się zwierzętom przypisać odpowiedzialności i niedaleką jest od wznowienia średniowiecznych procesów zwierzęcych [2].

Niewiele od socyologów zwierzęcych różnią się w swych zapatrywaniach na prawo zwierząt kryminalogowie włoscy (Lombroso, Garofalo, Ferri), w zakresie prawa karnego na jeden poziom stawiający ludzi ze zwierzętami.

Autor zastanawia się następnie nad projektem nowego kodeksu karnego austryackiego, o ile się odnosi do ochrony zwierząt, wykazując jego braki i niedostateczność umotywowania przekroczeń przeciw tej ochronie. Sam pragnąłby podciągnąć te przekroczenia pod kategoryę zamachów, wymierzonych na psychiczne życie człowieka. Ochrona zwierząt ma właściwie mieć na celu ochronę człowieka pod względem psychicznym; ma go strzedz od brutalizmu i okrucieństwa względem zwierząt dlatego, że taki brutalizm źle oddziaływa na moralną stronę człowieka i usposabia go do przekroczeń przeciw swemu bliźniemu. Zdanie swoje popiera autor świadectwami Tarde'a i antropologów kryminalnych.

Gdyby towarzystwa ochrony zwierząt w ten sposób zadanie swoje pojęły, niezawodnie kierowałyby się pobudką nieporównanie szlachetniejszą i wznioślejszą niż dotychczas.

Cała książka napisana jest w sposób zajmujący i bardzo pouczający. Jasny i zdrowy rozum autora pozwala mu się oryentować z łatwością w kwestyach tak zawiłych dla prawnika, jak obecna. Łatwość ta w wysokim stopniu pochodzi także z filozoficznego usposobienia autora, wszędzie się oglądającego za podstawami filozoficznie pewnemi i niewzruszonemi, na których bezpiecznie możnaby budować teorye i wymagania prawne.

Życzymy tej książce szczerze, aby znalazła się w ręku każdego prawnika, a i poza światem prawniczym aby się jak najwięcej rozszerzyła.

*S. K.*

[1] Alfred Espinas, *Les sociétés animales;* Frédéric Houssay, *La sociabilité et la morale chez les animaux*; nawet znakomity Ihering w najnowszem wydaniu swego dzieła: *Der Zweck im Recht.*

[2] Por. Lacassagne: *De la criminalité chez les animaux.*

**Akta Rzeczypospolitej Babińskiej.** *St. Windakiewicz.* Wydawnictwo Akademii Umiejętności.

Odtwarzać mocą pióra dawne postacie, do życia przywracać minione objawy ruchu społecznego i towarzyskiego, trudnem jest zadaniem i niemałą zasługą. Prawdziwe też należy się uznanie p. St. Windakiewiczowi za jego znakomitą pracę o Rzeczypospolitej Babińskiej, tym ciekawym, znaczącym, a dość skomplikowanym i niełatwym do scharakteryzowania zbiorniku prądów i usposobień szlacheckich w drugiej połowie szesnastego wieku i pierwszej siedmnastego. Była to epoka, w której samowiedza średnich warstw ziemiaństwa małopolskiego doszła do najwyższego rozwoju i ujawniała jego odrębność tak wobec ambicyi partyi dworskiej, jak wobec rosnącej potęgi oligarchów. W łonie tego ziemiaństwa, na tle rodzimych właściwości, a za podnietą ożywionego nastroju czasów odrodzenia ugrupowało się wokoło domu Pszonków, dziedziców Babina, świetne i wesołe towarzystwo, którego myślą przewodnią była krytyka polityczna i społeczna, uprawiana w sposób humorystyczny. Uczestników łączyło ono po raz pierwszy w Polsce do życia salonowego w właściwem tego słowa znaczeniu. Podwójny ten charakter i cel Babina, towarzyski i krytyki politycznej, przedstawia nam autor zajmująco na podstawie nowych materyałów, zaczerpanych w bibliotece książąt Czartoryskich w Krakowie. Wykazawszy pokrewieństwo małopolskiej rzeczypospolitej z podobnemi instytucyami na Zachodzie, które stanowczo za pierwowzór jej służyły, oraz istnienie już dawniej u nas tego rodzaju stowarzyszeń, np. *sodalitium bibonum* na dworze Zygmunta Starego, podnosi uczony badacz wyższość Babina nad tamtemi, tak przez cały jego zakrój ogólno-narodowy, jak też przez tło rodzinne, wiejskie, spokojne i szlachetne, na którem żyje i rośnie.

Postacie trzech z rzędu przedstawicieli dynastyi Pszonków stają przed nami plastycznie oddane. Stanisław założyciel, dobry prawnik i gospodarz, trochę parweniusz, pragnący dom swój uświetnić i gromadzący w nim najinteligentniejszych ludzi w kraju; Jakób, syn jego, właściwy i główny Babina reprezentant, za którego poziom Rzeczypospolitej może nieco się obniżył, ale w najlepsze rozkwitł jej wpływ i znaczenie; wreszcie Adam, ostatni z rodu, wychowaniem od ojca i dziada delikatniejszy, ale też mniej od nich z szeroką masą szlachty mający łączności — wszyscy oni wybornie scharakteryzowani. Obok nich cytuje nam autor innych znakomitych Babina uczestników. Więc w pierwszej epoce, za Stanisława, widzimy tam Reja i Kochanowskiego,

dalej kanclerza Zamoyskiego, który powróciwszy z Padwy i Paryża, zobaczył w związku szlacheckim „materyał godny swego umysłu“ i decydująco a szczęśliwie na losach jego zaważył — i tylu, tylu innych wybitnych przyjaciół i członków Rzeczypospolitej, której sława i moralna potęga nawet królowi nie była obojętną. Rejestr dla pamięci urzędników babińskich, po raz pierwszy w całości wydany, zawiera perły humoru polskiego, zda się nam słyszeć echo tego zdrowego szczerego śmiechu, którym brzmiały komnaty lubelskiego dworku, dawna nasza wesołość, od której odwykły późniejsze pokolenia, wraca z zamierzchłych czasów, gdy polska szlachta w wolnej i wspaniałej ojczyźnie, w chwili rozkwitu ekonomicznego i umysłowego w całym kraju, ochocze uprawiała krotochwile.

Tłumaczy nam także autor, dlaczego Lubelskie właśnie było korzystnem polem rozwoju dla takiego ogólno-narodowego a bynajmniej nie prowincyonalnego związku towarzyskiego. Łączyły się tu konserwatywne zasady, górujące wówczas w ziemi krakowskiej, z najskrajniejszemi pojęciami sąsiednich Sandomierzan, a prócz tego stanowiło Lubelskie granicę etnograficzną pomiędzy żywiołem ruskim a polskim, wszystkie więc składały się warunki, by okolicy tej nadać typ uniwersalny, w którym łączyły się i spotykały właściwości i znamiona mieszkańców różnych okolic państwa. W tej okolicy, jak gospoda na krzyżujących się drogach z wschodu na zachód i z północy na południe, stał otworem zawsze gościnny, zawsze pełny dom Pszonków. Spotykałeś tam rycerza kresowego, wracającego z wyprawy tatarskiej, który zdziwionemu Mazurowi z pod Warszawy lub Krakowa opowiadał cudaczne przygody, a wszystkich przyciągała niesłychana rodziny gospodarza popularność. Babin trwał sto lat z górą, wywarł wielki cywilizacyjny wpływ na życie towarzyskie w Polsce, a że dziś po upływie dwóch wieków świeżo się nam przypomina, że ustrój jego i znaczenie ocenić i z nowa poznać możemy, za to wypada podziękować — życząc dalszych podobnych prac — autorowi.

*F. M.*

**Życie i dzieła Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów (Ozimków) na tle stosunków ówczesnego Lwowa.** *Heck Korneli Juliusz.* Część pierwsza. Kraków 1894.

Od lat niemal dziesięciu zbiera i wydaje p. Heck materyały do biografii obu Zimorowiczów, obecnie zaś dał życiorys i ocenę działalności literackiej Zimorowiczów, za co prawdziwą wdzięczność winniśmy

mu, gdyż monografie literackie do rzeczy powszechnych u nas nie należą.

W pracy p. Hecka życie i dzieła Zimorowiczów nikną i maleją na tle stosunków ówczesnego Lwowa. Zarzut ten przewidział autor, zaczynając swe „Słowo na zakończenie“ tem zdaniem: „Uważnego czytelnika musi uderzyć nieproporcyonalność tła do przedstawionej tu postaci Bartłomieja Zimorowicza — mówię Bartłomieja samego, gdyż ocena działalności Szymona przypadnie dopiero na ostatni rozdział części drugiej“. Z możliwego zarzutu tak się p. Heck uniewinnia: „Na podstawie przydłuższych studyów w miejskiem archiwum lwowskiem i rozczytania się w odnośnych źródłach i dotyczącej literaturze, wyrobiłem sobie o stosunkach dawniejszego Lwowa, pod niejednym względem wyobrażenie odmienne od tego, do którego dojśćbyśmy mogli po przeczytaniu niedawno wydanych utworów p. Władysława Łozińskiego... Osobnego dzieła o Lwowie ani nie mogłem, ani nie chciałem pisać, gdyż do tego trzebaby i głębszych jeszcze studyów i roztoczenia nierównie pełniejszego obrazu, niż ten, który w niniejszej książce się znajduje“. Za p. Łozińskim autor iść nie chciał, bo różni się z nim w zanadto wielu zasadniczych punktach. Chcąc tedy zużytkować zebrany do historyi Lwowa materyał, nakreślił autor dla monografii Zimorowiczów tło nad wyraz obszerne, mniemając, że w ten sposób przyczyni się „do zmiany utartych już poglądów na cywilizacyę dawniejszego Lwowa, i idealne przedstawienie przezacnego autora Patrycyatu sprowadzi do skromniejszego... właściwego poziomu“.

Dziwnego, mimo to wytłumaczenie, doznaje czytelnik wrażenia, gdy czyta kilkanaście kartek nieraz o uroczystościach obchodzonych w pierwszej połowie XVII. w., lub o zwyczajach ówczesnych, mających tylko tyle związku z Bartłomiejem Zimorowiczem, iż były mu współczesnemi. Bezwarunkowo cennym i oryginalnie opracowanym ustępem jest rozdział pracy p. Hecka, zatytułowany: „Lwów i jego mieszkańcy z początkiem XVII. stulecia“; ustęp ten przynosi bez wątpienia wiele nowych danych, ale do bliższego poznania Zimorowiczów wystarczyłaby część tylko mała tych wiadomości. Również zajmującym i charakterystycznym jest opis uroczystości, urządzonych w r. 1622 z okazyi beatyfikacyi św. Ignacego i Ksawerego; tem godniejszym uwagi jest ten opis, że autor jego, Węgier Albert Bałazy, wygotował go dla swego rodaka O. Jana Argentusa, prowincyała OO. Jezuitów. Inna rzecz atoli, o ile ta uroczystość oddziałała na B. Zimorowicza? Nie wiemy nawet na pewne, jak wielkim był udział Zimorowicza w tej uroczystości; a czyż dlatego, że Zimo-

rowicz całe życie gorliwym był katolikiem i nieprzejednanym przeciwnikiem nauki Lutra, należało umieszczać na 10-ciu stronicach dosłowny przekład tego opisu? W dalszych rozdziałach pracy p. Hecka tło historyczne ścieśnia się, i sylwetka Bartłomieja Zimorowicza wyraźniej się zarysowuje, w drugiej zaś części może już tej nie proporcyonalności nie znajdziemy, na czem niewątpliwie całość zyska.

Do życiorysu Bartłomieja Zimorowicza kilka bardzo ważnych, nowych szczegółów dodaje p. Heck, kilka innych znowu prostuje. Oto ważniejsze: „Rodzice Zimorowiczów, Stanisław i Katarzyna, wyznawali religię rzymsko-katolicką i wszelkie baśnie o ich obrządku ormiańskim należałoby już raz przecie zarzucić i z podręczników usunąć". Podanie o ormiańskiem pochodzeniu Zimorowiczów rozszerzył głównie ks. Sadok Barącz twierdząc, że „Zimorowicz był notaryuszem prawa ormiańskiego, i że istnieją księgi jego wprawną ręką pisane..." Bajka o zredagowaniu praw ormiańskich przez Zimorowicza stąd urosła, że do przekładu łacińskiego tych praw dołączono znacznie później „dwa przywileje, nadane mieszkańcom Lwowa przez papieża Sykstusa VI. i króla Jana Kazimierza, wyjęte z dzieła Bartłomieja: *Viri illustres civitatis Leopoliensis*".

Zimorowicz nie mógłby był będąc Ormianinem piastować godności miejskich, nie byłby nosił początkowo nazwiska „Ozimek", które do dziś jest pospolitem wśród ludu w okolicy Myślenic. P. Heck mniema, że przodkowie Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów, podobnie jak ojciec Szymonowicza, pochodzili z okolic czysto polskich i że dopiero Bartłomiej, dorosłszy lat młodzieńczych i zakosztowawszy większego nieco wykształcenia, zmienił rodzinne nazwisko Ozimek na milej dla niego brzmiące (podobne do nazwisk lwowskich patrycyuszów: Liskowiczów, Szymonowiczów i Wolfowiczów) — Zimorowicz.

Utworów Bartłomieja Zimorowicza jest p. Heck sprawiedliwym, a więc surowym sędzią; nietolerancya, płaskość dowcipów, licha łacina, forma niezbyt wytworna w polskich utworach, dostarczyły szanownemu autorowi dość sposobności do surowych ocen niezbyt wykształconego poety.

Wiele utworów Zimorowicza wydobył i wydał powtórnie dopiero p. Heck, przeto po raz pierwszy dopiero w jego dziele znachodzimy dokładnie działalność literacką Zimorowicza przedstawioną. Streszczenie sądów szanownego autora byłoby rzeczą zbyt długą i tem mniej pożądaną, że na te sądy każdy badacz naszego piśmiennictwa z małemi chyba modyfikacyami zgodzić się musi, przeto czytającą publiczność wypada mi zachęcić do przeczytania samego dzieła, tem więcej, iż mimo wy-

tkniętej nieproporcyonalności tła, do samej monografii, dzieło to jest nader zajmujące, a tło również godne poznania, jak rzecz o życiu i dziełach Zimorowiczów. O jednem dziele Bartłomieja Zimorowicza trzeba jednak sąd p. Hecka przytoczyć, a mianowicie o „Pamiątce wojny tureckiej“. Utwór ten uważano za zaginiony. Pan Żegota Pauli dostarczył jednak autorowi odpisu z egzemplarza, który ma się znajdować w niedostępnej dla publiczności (i nieuporządkowanej do dziś niestety!) bibliotece hr. Baworowskiego we Lwowie. „Pamiątka“, według mniemania p. Hecka, „nie wzbogaci osobnym typem polskiego piśmiennictwa i nie odmieni w niczem charakterystyki Zimorowicza“, gdy wyjdzie w powtórnem wydaniu. Ma to być panegiryk w szlachetniejszem tego słowa znaczeniu; składa go 500 wierszy, pozbawionych wykończenia formy artystycznej.

Wydobycie na jaw „Pamiątki wojny tureckiej“ jest nader ważnem, a zarazem przypomina nam, jak wiele utworów naszych poetów XVI. i XVII. wieku spoczywa w ukryciu, jak wiele mamy jeszcze do zrobienia, zanim całokształt historyi naszego piśmiennictwa na niewzruszonych podstawach będziemy mogli oprzeć.

*L. M. Dziama.*

**Pierwsze utwory Mickiewicza naśladowane w literaturze galicyjskiej.** *Wilhelm Bruchnalski.* Lwów. Nakładem Zakładu Narod. Im. Ossolińskich. 1894.

W rocznikach Towarzystwa im. Adama Mickiewicza napotykaliśmy niejednokrotnie wzmianki o naśladowanych utworach Mickiewicza. Część tych naśladownictw zebrał dr. W. Bruchnalski w umiejętną całość, mianowicie te, które się między r. 1822 a 1830 w Galicyi pojawiły.

Od czasu rozbiorów, nie było w Galicyi prawie żadnej literatury, dopiero w r. 1816 Adam i Walenty Chłędowscy założeniem „Pamiętnika Lwowskiego“ położyli kres tej strasznej apatyi. W sześć lat później pojawiły się dwa pierwsze tomiki poezyj Mickiewicza. „Pamiętnik Lwowski“ wraz z podobnemi mu pismami, zapoznały już były publiczność galicyjską, a przedewszystkiem lwowską, z utworami niemieckich romantyków, podając ustawicznie tych utworów tłumaczenia i naśladowania, teren więc był do pewnego stopnia przygotowany. Względy cenzuralne, które pozwalały na sprowadzanie książek do Galicyi tylko *zum eigenen Gebrauch, ohne weitere Verbreitung*, sprawiły to, że „szerzej zaczęto się zajmować i poznawać utwory Mickiewicza w Galicyi dopiero w r. 1824“.

Pierwszym wśród galicyjskich naśladowców Mickiewicza był Stanisław Jaszowski. Zanim on jednak ze swemi naśladownictwami wystąpił i zapragnął listkiem wawrzynowym uwieńczyć „natchnioną skroń barda Grażyny“, niemiecka *Mnemozyne* zapoznała czytającą galicyjską publiczność z dziełami Mickiewicza. Pismo to bowiem, umieszczając przekład „Świtezianki“ dokonany przez Franc. Pola p. t. *Das Mädchen von Switeź*, dało trafną charakterystykę litewskiego romantyka. Historya Mickiewicza w literaturze galicyjskiej rozpoczęła się od „pochwały niemieckiej“.

Po tej pierwszej wzmiance o Mickiewiczu, pryskają lody nieznajomości jego utworów, „wpływ Mickiewicza staje się widoczny na utworach młodych pisarzy Galicyi“. St. Jaszowski naśladuje „Kurhanek Maryli“ w romansie „Józia do Baranka“. „Dudziarza“ naśladują aż dwaj pseudo-poeci: Fr. Kowalski w „Letargu“ i Fel. Boznański w „Dzwonie“.

Przekład „Świtezianki“, dokonany przez Fr. Pola, wywołał cały szereg niemieckich naśladownictw. Wszystkie te naśladownictwa pojawiły się w *Mnemozynie;* oto ich autorowie i tytuły: J. Melzer, *Die Klagenstimme an der Popper* (Poprad), *Nixe* nieznanego autora, w r. 1827 Schiesslera *Die Wogenbraut*, a w r. 1831 Kunseka *Das Fischermädchen*.

Nie samą tylko treść ballad i romansów Mickiewicza naśladowano; forma, styl i zwrotka Mickiewicza znalazły również w Galicyi swych naśladowców, dowodem drukowana w *Rozmaitościach* z r. 1824 ballada nieznajomego twórcy „Anusia“, która formą swą przypomina „To lubię“. Wspomniany wyżej Fr. Kowalski przedstawił stosunek djabła do czarnoksiężnika w swym „Żołnierzu“ podług „Pani Twardowskiej“ Mickiewicza. Najnieudolniejszym w Galicyi naśladowcą Adama był August Kretowicz, którego ballada „Ermin i Laura“ jest „ideałem parodyi“ Świtezianki.

Grażyny treść i formę naśladował St. Jaszowski w trzech swych poematach, zatytułowanych: „Hajdamacy“, „Konfederat Barski“ i „Rozwida“.

Nie naśladowano tyko „Dziadów“ — „nikt nie ściągnął na nie ręki bo podziw, jakim je otaczano, był za wielki i za święty“.

Rozprawa d-ra Bruchnalskiego jest ze wszech miar cennym przyczynkiem nietylko do historyi Mickiewicza, lecz także do dziejów piśmiennictwa naszego kraju. Przepyszna odbitka (gdyż rozprawa ta jest odbitką ze sprawozdania Zakładu Nar. Ossolińskich) przynosi prawdziwy zaszczyt drukarni, z której wyszła.

*L. M. Dziama.*

**Zbawienie zapewnione przez nabożeństwo do Maryi.** Przez *O. Mayet*, ze Zgromadzenia Marystów. W Krakowie. Nakładem Spółki Wydawniczej. 1895.

Pod tytułem *Devotus Mariae nunquam peribit*, pobożny zakonnik i czciciel Maryi, napisał drobną książeczkę, dziwnie zagrzewającą do ufności i tkliwego do Najśw. Panny nabożeństwa. Wyciągnał z Ojców św. zdania i myśli, utwierdzające w nadziei pokładanej w Orędowniczce grzesznego świata, poparł takowe przykładami, mogącemi ze wszech miar umocnić synowskie zaufanie chrześcijan w wszechmocnem Matki Bożej pośrednictwie. A książeczce swojej nadał z umysłu szczupłe rozmiary, jakby doświadczywszy iż za dni naszych, gorączkowym naznaczonych pośpiechem, niekiedy szczuplejsze i treściwsze pisanie wymowniej przemówi, łatwiej się rozejdzie, ogólniej będzie czytanem od wyczerpujących ksiąg i długich wywodów. Podczas gdy się drukował ów polski przekład wonnego wianuszka składanego u stóp Maryi, czcigodny autor do lepszego przechodził żywota, w 85-tym roku życia a 55-tym kapłaństwa. Cały ten przedłużony zawód poświęcił był wyłącznie szerzeniu czci Przenajśw. Sakramentu i Najśw. Panny, radował się wielce, gdy które z jego pism na obce przekładano języki i ochotnego tłumaczom udzielał upoważnienia. Polska w nim miała jednego z owych sprzymierzeńców, co ustawiczną modlitwą przybliżają godzinę zmiłowania, przez miłosierdzie boże naznaczoną. Jeszcze na kilka tygodni przed zgonem, nakreślił własnoręcznie na odwrotnej stronie obrazka Matki Boskiej Częstochowskiej, rzewną za Polskę modlitwę. To też tłumacz niniejszej książeczki, który osobiście znał świątobliwego kapłana, wyraża pobożną nadzieję, iż zyskaliśmy w nim orędownika w niebiesiech.

W istocie, rzadko spotkaliśmy się z hołdem złożonym Maryi, któryby w równym stopniu do zaufania Jej pomocy skłaniał. A samże tytuł już poniekąd nam jest rękojmią doczesnych nawet łask i zbawienia. Bo jeśli tu poznajemy raz więcej dowodnie, iż *Devotus Mariae nunquam peribit*, rozszerzyć nam przychodzi ową niebieską obietnicę od osobników do narodów, i ufać, że jeśli pobożny czciciel Maryi nigdy zginąć nie może, to i lud co Ją ma za swą królowę dostąpi zbawienia ziemskiego i wiecznego, byle się nie sprzeniewierzył swej przynależności i poddaństwu, i nie przestał czcić i wzywać tej Pani anielskiej, którą niniejsza książeczka w serdecznych i świętych wyrazach sławi i błogosławi.

*M.*

## Z piśmiennictwa zagranicznego.

**Le Vatican, les Papes et la civilisation.** Par *Georges Goyan, André Pératé* et *Paul Fabre,* anciens membres de l'école francaise de Rome. Firmin Didot et C^ie^ Paris 1895. (W 4-ce).

Wszyscy ludzie prawie mają dzisiaj zwróconą uwagę na papiestwo, na tę instytucyę boską, bo założoną przez Chrystusa Pana, która ma trwać aż do skończenia świata, przemódz nawet bramy piekielne i wskazywać wszystkim drogę do nieba. Papiestwo, to druga arka Noego, która wśród powodzi namiętności tego świata ma ocalać nieszczęśliwych; to drabina Jakóbowa, po której wstępuje się przed tron boży; to latarnia morska, która wskazuje nam błądzącym niebezpieczne miejsca, a według której biskupi, kapłani i lud wierny oryentować się winien; słowem, całe chrześcijaństwo opiera się całkowicie na tej instytucyi, i bez papieża, jak pisze de Maistre, niemasz prawdziwego chrystyanizmu. Ileż królestw już runęło, ile domów panujących zniknęło bez śladu, ile możnych rodzin przesunęło się jak cień, odkąd istnieje ta instytucya. Papieże patrzyli na zniszczenie cesarstwa rzymskiego i im tylko zawdzięczamy Rzym ze wszystkiemi pamiątkami jego.

Podać losy tej instytucyi, jakie z biegiem lat przechodziła, wykazać jej wpływ na dzieje świata, na cywilizacyę narodów, oto zadanie dzieła co dopiero cytowanego, które ukazało się z początkiem bieżącego roku w Paryżu, a bez przesady można powiedzieć, iż ono jest najwspanialszem z dzieł literatury, jakie oglądały światło dzienne dotąd w tym roku. Sama już zewnętrzna strona dzieła bardzo jest zachęcająca. Papier i druk prześliczny, mnóstwo (prawie 500) ilustracyj pięknie wykończonych i rozrzuconych systematycznie po całem dziele, a rozpoczyna je portret Ojca św. Leona XIII., bardzo wierny. W zbiorze tym spotykamy najwierniejsze odbitki napisów, rycin i t. d. z katakumb, następnie wszystko to, co posiadają najpiękniejszego kościoły i muzea rzymskie, zgromadzono w tem dziele. Rawenna, Neapol, Florencya, Syenna, podobnie jak Awinion, Paryż, Londyn ze swemi skarbami przesuwają się przed okiem zdumionego czytelnika. Dodajmy do tego jeszcze portrety wszystkich obecnych kardynałów, a dalej wizerunki osób należących do dworu papieskiego, a przekonamy się, że niczego nie pominięto, co ma styczność z papieżem. Krótko mówiąc, strona zewnętrzna wypadła wspaniale. Podobnie i część wewnętrzna jest prześlicznie wykończona.

Dzieło to poprzedza przecudny wstęp, pióra kardynała Ernesta Bourreta, biskupa Rodez i Vabres, w którym mieści się krótka ocena całego dzieła i zasłużona pochwała na cześć Ojca św. Leona XIII. Po wstępie idzie pierwsza księga: *Le Vatican*, napisana przez Goyau'a, rozpadająca się na dwa działy. Pierwszy z nich nosi tytuł: *Vue générale de l'histoire de la Papauté* i obejmuje 6 rozdziałów. Autor zebrał w nich krótko historyę papiestwa. Podobnie jak w kalejdoskopie, tak i tutaj przesuwają się przed oczyma czytelnika postacie papieży. Przepięknie nakreślona jest postać św. Piotra i jego znaczenie w historyi, a oraz następców jego aż do czasów Konstantyna W., którzy tyle przecierpieli za wiarę Chrystusową. Głęboko pojęto czasy cesarzów wschodnich, napadów barbarzyńców na Rzym i zabiegów papieży podjętych około rozkrzewienia prawdziwej religii, a oraz odszczepieństwa Kościoła wschodniego; po mistrzowsku nakreślona postać Grzegorza VII. walczącego w obronie niezawisłości Kościoła i okazującego, że papież jest namiestnikiem Chrystusowym a nie kapelanem cesarzy, a biskupi są posłańcami Chrystusa a nie sługami i kapelanami możnych rodzin; wspaniale narysowany wpływ papiestwa na społeczeństwo w wiekach średnich i rola jaką odgrywało w czasie wojen krzyżowych; mądrze przedstawione czasy przesiedlenia się papieży do Awinionu, oraz działalność św. Brygidy i św. Katarzyny Seneńskiej; przecudnie też nakreślona czynność papieży w czasach reformacyi, oraz zakonu OO. Jezuitów, głównych jej przeciwników. Nie ustępuje tym obrazom znakomicie skreślony wizerunek działalności papieży w XVII., XVIII. i XIX. stuleciu, gdzie szczególnie podniesiono postacie Benedykta XIV., Piusa VI., Piusa VII., Grzegorza XVI., Piusa IX. i Leona XIII.

Drugi dział ma tytuł: *Le gouvernement central de l'Église* i zawiera również 6 rozdziałów. W nich autor opisuje początek i rozwój św. Kolegium Kardynałów oraz jego obowiązki; następnie przedstawia cel tajnych i jawnych „konsystorzów“ papieskich, obowiązki „kardynała wikarego“, kardynała „wielkiego penitencyaryusza“; dalej zajmuje się śmiercią papieża, rządami Kościoła aż do obioru nowego papieża w zwołanem „konklawe“ i do jego koronacyi; kreśli początek, rozwój i zajęcia różnych „kongregacyj“ rzymskich, jak: kogregacyi św. *Officium*, Indeksu, Biskupów i zakonników, Soboru, Obrzędów, Odpustów i relikwij, wreszcie Propagandy. Tłumaczy zadanie „Sekretaryatu stanu“, wplatając w to zręcznie wiadomości o „bullach“ i „brewach“ papieskich, o Dataryi, Sekretaryi brewów, o redagowaniu encyklik, gdzie słusznie podnosi rzadką znajomość języka łacińskiego, jaką się odznacza Ojciec

św. Leon XIII. Wreszcie zakończa autor tę księgę wiadomościami o dworze papieskim, o ogrodzie watykańskim, a oraz krótkiem *résumé*, w którem podnosi ważność różnych kongregacyj rzymskich, mających obowiązek wspierania papieża w rządzeniu Kościołem św. Czytając tę pierwszą księgę, czuje się mimowoli zachwycenie nad talentem pisarza, i nie wiadomo co trzeba tutaj bardziej podziwiać, czy głęboką znajomość dziejów, czy urok stylu, czy wreszcie wielkość i wzniosłość myśli, na jakie tu ciągle natrafiamy.

Druga księga nosi tytuł: *Les Papes et les arts*, napisana przez A. Pératé a mieszcząca w sobie 4 rozdziały. W dziele tem, po krótkiej wzmiance o Rzymie podziemnym czyli o katakumbach, znajdujemy prześlicznie przedstawione zasługi papieży około sztuk pięknych, a więc za czasów Konstantyna W., napadu barbarzyńców na Rzym, za czasów Karolingów. Starania ich na tem polu w dwunastem i trzynastem stuleciu, podczas pobytu w Awinionie jak i po powrocie do Rzymu w następnych wiekach, są tutaj pysznie opisane. Imiona papieży: Marcina V., Eugeniusza IV., Mikołaja V., Kaliksta III., Piusa II., Pawła II., Sykstusa IV., Innocentego VIII., Aleksandra VI., Piusa III., Juliusza II., Leona X., Klemensa VII., Pawła III., Grzegorza XIII., Sykstusa V., Pawła V., Urbana VIII., Aleksandra VII., wraz z mistrzami kwitnącymi za ich czasów, przesuwają się przed okiem czytelnika jakby w jakiej latarni czarodziejskiej. Księgę tę kończy autor wiadomościami o muzeach papieskich, założonych przez Klemensa XIV., Piusa VI., Piusa VII. i Grzegorza XVI., a wreszcie podnosi zasługi około sztuk pięknych, położone przez Piusa IX. i Leona XIII.

Księgę trzecią zatytułowano: *La bibliothèque vaticane*, a autorem jej jest P. Fabre. Cztery rozdziały ją stanowią. W tej przepięknej pracy czytelnik znajdzie wiadomości odnoszące się do losów biblioteki Stolicy świętej. Papieże od początku istnienia Kościoła starali się zawsze gromadzić księgi w pałacu swoim. Zapewne główna ich troska zwróconą była do skupiania ksiąg Pisma św. i Ojców, a oraz pisarzy kościelnych; na drugim planie było zbieranie innych ksiąg autorów świeckich. Odznaczyli się w tej mierze: Damazy, Grzegorz VII., Marcin V., Eugeniusz IV., Mikołaj V., Sykstus IV., Juliusz II., Leon X., Paweł III., Grzegorz XIII., Sykstus V., Grzegorz XV. (za którego wcieloną została do biblioteki watykańskiej biblioteka uniwersytetu heidelberskiego), Aleksander VII., który przyłączył bibliotekę książąt z Urbino, Aleksander VIII., który to samo uczynił z biblioteką szwedzkiej królowej Krystyny i biblioteką rodziny Altemps, Benedykt XIV.,

który nabył dla biblioteki watykańskiej bibliotekę familii Ottoboni; Pius VI., Pius VII., Pius VIII., Leon XII., Grzegorz XVI., Pius IX....

Autor wspomina także o archiwach papieskich i podnosi zasługi na tem polu Pawła V., Urbana VIII., Aleksandra VII., Klemensa XI., Benedykta XIII., Piusa VI. i Leona XIII.; następnie opisuje zabiegi Pawła V., Urbana VIII., Aleksandra VII., Klemensa XI., Benedykta XIII., Klemensa XII., Benedykta XIV., podjęte w tym celu, żeby wzbogacić bibliotekę watykańską jak największą ilością manuskryptów syryjskich, koptyjskich i arabskich. Dowiadujemy się tutaj, jakie to starania łożyli papieże na stworzenie tych zbiorów medali i monet, jakie teraz widzimy, w czem odznaczyli się Benedykt XIV., Klemens XIV., Pius VI., Pius VII., Pius VIII. Kończy wreszcie tę księgę osobnym rozdziałem, w którym podnosi słusznie zasługi Leona XIII. około biblioteki watykańskiej, najbogatszej na całym świecie, i zaznacza rolę, jaką ona odgrywa obecnie, kiedy przystęp do niej jest otwarty dla wszystkich uczonych.

Prześliczne to dzieło kończy niemniej piękny epilog pióra wicehrabiego Melchiora de Vogüé, członka Akademii francuskiej, w którym ten znakomity pisarz podnosi ważność Watykanu w dziejach świata, a wreszcie przepowiada, iż i w przyszłe lata Watykan będzie, podobnie jak dotąd, świadczył dobrodziejstwa rodzajowi ludzkiemu.

Oto treść tego znakomitego dzieła. Przykuwa ono całkowicie i porywa za sobą czytelnika, i bez wątpienia zasługuje na to, by je jak najspieszniej a równie pięknie na język polski przełożono.

*

**Vie de M. de Cissey.** *Par M-me L. Bastien.* Paris. Maison de la bonne presse.

Piękne są przykłady pracy i poświęcenia, któremi nie przestaje świecić Francya chrześcijańska. Wśród najcięższych warunków, w zmaterjalizowanem społeczeństwie, wobec wrogów, którym każdy środek dobry, byle wpływ i znaczenie religii podkopać, znaleźli się i dotąd się znajdują ludzie, którzy choć świeccy i regułą zakonną nie związani, jednak dobrowolnie całe swe życie, zawód i prace poświęcają dla sprawy wiary i w misyonarskiej iście pracy do zdumiewających częstokroć doprowadzając wyników; pokazuje się na nich co może dokazać zapał dla dobrej sprawy, połączony z zaparciem się siebie. Do rzędu tych postaci należy Ludwik Józef de Cissey, zwany apostołem niedzieli, urodzony w 1817 r., a zmarły przed kilku laty, którego życiorys, skreślony

przez panią Bastien, dziś leży przed nami. Spora książeczka, licząca trzysta z górą stronic, nie zawiera sensacyjnych wydarzeń wstrząsających nerwami czytelnika, lecz opowiada żywot prosty człowieka poczciwego a rozumnego, któremu w ciągu tego życia udało się dużo zrobić dobrego.

P. de Cissey pochodził ze starej burgundzkiej rodziny, istniejącej już w XIII. wieku, a spokrewnionej później z Bossuetem, która w nowszych czasach wydała znanego jenerała de Cissey. Matka odumarła go wcześnie. Po pierwszych latach dzieciństwa, spędzonych w starym zamku noszącym imię rodzinne, oddał go ojciec do gimnazyum w Plombières, a w roku 1840 dla dokończenia nauk do Paryża. Chłopiec rozwijał się dobrze, uczył znakomicie, a oprócz egzaminów prawniczych, do których się gotował, chwytał już za pióro, kreśląc zrazu tylko dla dla swoich, myśli i wrażenia młodzieńcze. Gorąca była to dusza i czuła na wszystko co piękne i szlachetne. Chwile zachwytu w starych gotyckich kościołach, gdzie odzywał się w nim miłośnik średnich wieków, obok uniesień nad pięknościami natury, a wreszcie wesoły dowcip, przechodzący czasem w lekką, wcale nie zjadliwą ironię, gdy mówi o otaczających go ludziach i wypadkach współczesnych — wszystko to odnajdujemy w jego listach z lat 1840—41. Najwybitniejszą atoli ich cechą jest w tak młodym wieku nader wyrobione poczucie obowiązku, panowanie nad samym sobą i brak zupełny sybarytyzmu, sobkostwa i miłości własnej, czyniący z niego człowieka dojrzałego wcześniej umysłem niż wiekiem. Wkrótce zaczęła zajmować go myśl o małżeństwie. Uważa je jako rzecz świętą, ważną, i nad którą warto się dobrze namyślić. Bo tak kobieta jak i mężczyzna powinni mieć zasób zalet, odpowiadający powinnościom obojgu. Od mężczyzn wymaga on dużo, ale nie mniej i od kobiet Śmieje się z przesadnej elegancyi niektórych panien, obawia się przemądrzałych, które czytały wszystkich autorów a żyją myślą tylko i logiką. Czy one dzieci wychować potrafią? — pyta się trafnie. — Nie czując powołania do zakonu, życie dla siebie pojmował w znaczeniu patryarchalnem, chciał założyć rodzinę chrześcijańską i jako godło obrał sobie familijne: *Quod Deus vult.* — Pomimo tych wzniosłych zasad, pierwszy wybór jego serca nie był szczęśliwym. Ojciec był mu przeciwny, a dla dobrego syna nastała ciężka chwila próby. Wyszedł z niej zwycięsko, za co sowicie wkrótce zostać miał wynagrodzonym. Na wsi w sąsiedztwie w domu rodziców, państwa de Veydel, poznał swą przyszłą żonę. 16 czerwca 1842 odbył się ślub, ku radości wszystkich a pociesze starego ojca, widzącego w związku tym zadatek szczęścia swego syna. Z małżeństwem rozpoczęła się dla p. de Cissey karyera i działalność

publiczna. Objąwszy administracyę rozległych dóbr rodzinnych, znalazł się od razu w styczności z miarodawczemi kołami na prowincyi, w których tradycyjne znaczenie jego familii niepoślednie mu zapewniało stanowisko. Skorzystał z niego, by energicznie rozpocząć akcyę rozbudzania ducha katolickiego, do której go wewnętrzny głos powoływał. Pierwszym zawiązkiem jego późniejszej działalności były jeszcze w studenckich latach stosunki z paryskiem Towarzystwem św. Wincentego a Paulo, założonem w roku 1833 przez Fryderyka Ozanama i siedmiu towarzyszy, w celu przeciwstawienia modnemu humanitaryzmowi, prawdziwie chrześcijańskiej miłości bliźniego. W Chalon założył Cissey w r. 1844 filię zakładu centralnego. 21 stycznia odbyła się ceremonia otwarcia i pierwsze wystąpienie publiczne p. Ludwika. W dziesięć lat później było w tej jednej dyecezyi stowarzyszeń św. Wincentego dwadzieścia!

Śliczne są opisy tych początków. W pewnem np. mieście właściciele fabryk klękają razem z robotnikami swymi wspólnie do Komunii św. W innem rada miejska, zrazu niechętna, później sama asystuje zebraniom towarzystwa. W szkołach cywilnych, wojskowych, w koszarach nawet wpływ Tow. św. Wincentego stawał się widocznym. Tworzono kółka pomocnicze dla terminatorów, dla uczniów, dla robotnic, zakładano szkółki wieczorne i biblioteczki dla wszystkich stanów. Chodzono do więzień, szpitali z pociechą i lekarstwem, organizowano kasy oszczędności dla robotników, a dla ich dzieci szkółki i schroniska, z których jedno w Chalon obliczone było na 300 osób. Jednym z najpiękniejszych objawów działalności Towarzystwa był dobry jego wpływ na wojsko. Przytoczmy opis naocznego świadka.

Wybuchła była wojna krymska. Pułk za pułkiem odchodził na plac boju. Powołano też część garnizonu z Chalon. Nadszedł dzień odjazdu. Wszystko było gotowe, miano dać sygnał do wyruszenia w drogę. Wtem zjawiają się w koszarach członkowie Tow. św. Wincentego, na ich czele p. de Cissey. Wśród uroczystej ciszy zabiera on głos, przypomina żołnierzom, że wielu z nich do Towarzystwa należy, że do spełnienia twardego obowiązku wypada się krzepić modlitwą i w tym celu rozdaje różańce, które żołnierze rozchwytują, ślubując codziennie je odmawiać. Mówca coraz goręcej przemawia, prosi, błaga obecnych, by pamiętali, że idą na wojnę, że może wkrótce staną przed Bogiem i że z Bogiem trzeba się pojednać. — Wszyscy słuchają w milczeniu, przejęci nastrojem chwili. Wtem stary sierżant, liczący 26 lat służby, a znany z rozpustnego życia, rzuca się na kolana przed krzyżem i wśród łez głośno przyrzeka poprawę życia. Przykład jego porywa cały batalion,

klękają oficerowie, żołnierze i wszyscy wspólną modlitwą gotują się na daleką wyprawę.

Tak pracował p. de Cissey przez lat 16, do roku 1860. Wtedy przeniósł się z Châlon, w którem dotąd głównie przebywał, do Cissey, gdzie go przesilenie rolnicze do ratowania grożącej upadkiem fortuny zmuszało. Tu zmieniła się cokolwiek jego działalność. Pole jej ograniczyło się na kółku sąsiadów i ludności powiatu. Obok reorganizacyi gospodarstwa, znajdował on czas do zajęcia się szczerego ludem wiejskim, z którym wkrótce najserdeczniejsze złączyły go stosunki. Restaurował też zamek Cissey, odwieczną przodków siedzibę, ciesząc się, że ją kiedyś upiększoną zostawi w spuściźnie ukochanemu synowi Józefowi, który najświetniejsze rokował nadzieje. Wychowanie dzieci, studya i gospodarstwo, wypełniały mu mile czas aż do 1874 r. Lata te nazywał on później wakacyami swego życia, przerwanemi tylko wojną niemiecką, która w różny sposób rodzinie jego dała się we znaki.

Z listów jego widzimy, że po zawarciu pokoju, mimo strat narodowych i osobistych majątkowych, nie upadł bynajmniej na duchu, lecz owszem ufał w lepszą przyszłość. Zdezorganizowany kraj wracał do porządku. Przywrócenie rządów monarchicznych na tle katolickiem zdawało się blizkiem, a pracujący w tym kierunku obóz zachowawczy posiadał większość w izbach i kraju. P. de Cissey pisał do swoich przyjaciół politycznych: dzieło nasze rośnie, zwycięstwo blizkie. — Lecz niezbadane są drogi boże. W chwili, gdy słowa te kreślił, gromadziły się już na horyzoncie ciężkie chmury, zbliżały się burze, które na długo kraj pogrążyć miały w rozstroju moralnym. Jego samego zaś czekał cios, mający wywrzeć stanowczy wpływ na resztę życia. W kwietniu 1874 r. odwołano go z Rzymu do łoża konającego syna.

Epidemia, panująca w okolicy, nie oszczędziła i jego domu i zabierała, co w nim było najdroższego. Cios był straszny i ugiął na chwilę strapionych rodziców. Ale w domu tym przedewszystkiem panował duch boży: nie było w nim tedy miejsca dla rozpaczy. Jak złoto w ogniu, tak dzielne i dobre natury w nieszczęściu jeszcze szlachetnieją. Pani de Cissey w modlitwie znalazła pociechę na swą boleść, mąż jej w ciszy i samotności pierwszych miesięcy żałoby przygotowywał się do nowego zadania, do którego się czuł powołanym. Zadaniem tem było przywrócenie zaniedbanego w wielu miejscach święcenia niedzieli. Jedno z pierwszych zgromadzeń publicznych, zwołanych w celu omówienia tej doniosłej sprawy, odbyło się w Arras. P. de Cissey, mający wystąpić jako główny mówca, nie łudził się co do uspo-

sobienia panującego w kraju. Wiedział, że oprócz otwartych wrogów przyjdzie mu walczyć z apatyą i ospałością we własnych szeregach, ale dodawała mu odwagi myśl, że w tem właśnie mieście przed pięciu wiekami jeden z przodków jego, jako pełnomocnik księcia Burgundzkiego, załatwił szczęśliwie spór swego monarchy z królem francuskim. „Czyż dla Boga pracując mniejsze miałbym mieć powodzenie?“ — pisze w liście do żony. Z Arras objechał całą północną Francyę, wszędzie budząc uśpionych, dodając odwagi, zawiązując Towarzystwa odpoczynku niedzielnego. Następnie przyszła kolej na Południe. W bogatej Marsylii, nad słoneczną Rivierą i aż u podnóża Pirenejów, wszędzie apostoł niedzieli rozwinął swą niezmordowaną czynność. Tysiące ludzi zbierało się na jego odczytach i przemowach, o których nawet niekatolicka prasa wyrażała się z uznaniem. Wprawdzie owładnięty świeżo wpływem sekciarstwa rząd przeszkadzał mu, ile mógł, zabraniając pod legalnemi pozorami niejednej takiej prelekcyi, ale on nie dał się odstraszyć, rozpoczynał na nowo w innym lokalu, i w końcu sprawę wygrywał. Rok 1877 zgotował mu słodką pociechę. Córkę jego Maryę, od śmierci syna jedyne dziecko, poślubił pan de Guinaumont z rodziny normandzkiej, odznaczającej się swem przywiązaniem do Kościoła. Po uroczystościach rodzinnych, zabrał się znowu do pracy. W Sabaudyi, w pięknej Prowancyi i w Lotaryngii odbyły się zgromadzenia zelatorskie obrońców niedzieli. Zapał na nich bywał ogromny. W Annonay, kobieta jedna publicznie ofiarowała Panu Bogu swe życie, byle tylko nawrócili się członkowie jej rodziny. W tydzień później zapadła w ciężką chorobę, lecz na łożu śmiertelnem z ust zebranych swych krewnych usłyszała szczere wyznanie wiary. Pan Bóg prośbę jej wysłuchał, i odtąd w miejscu tem nie zabrakło krzewicieli jego dzieła. — Oprócz porpagandy osobistej popierał też lub nawet redagował pisemka katolickie, mające myśl jego rozpowszechniać. Pisemka te, gorąco zalecane przez biskupów, rozszerzyły się wkrótce po całym kraju. Wśród takiej pracy zbliżała się dla p. de Cissey starość. Mając już siódmy krzyżyk na barkach, przemawiał jeszcze w r. 1886 w Dijon. Odtąd chory i osłabiony musiał się ograniczyć na pracy domowej. W marcu 1889 r. zapadł na ciężką i ostatnią chorobę, a 27-go umarł ten prawy chrześcijanin tak jak żył: spokojnie i z ufnością w Bogu. Ostatnie jego słowa były modlitwą do Bogarodzicy. Pochowano go w kaplicy zamkowej, którą własnoręcznie przyozdobił. Zostało zaś po nim jego dzieło: dziesiątki i setki stowarzyszeń katolickich, krzewiących dalej przedsięwzięcie, któremu on dał początek. *F. M.*

**Szkice Jana Tomaszycza.** W Pożedze 1893. (Crtice Ivana Tomašića. U Požegi 1893).

Niełatwa to rzecz zaiste być teraz powieściopisarzem! Z każdym dniem niemal kształci się smak czytającej publiczności, która coraz więcej stawia warunków autorom, pragnącym w dziedzinie beletrystyki zdobyć sobie sławę, coraz bardziej subtelne i skomplikowane rości do nich wymagania. Z drugiej jednak strony powieść w literaturze współczesnej, to wszechwładna królowa, odbierająca hołdy od znacznej większości tych co czytać umieją i lubią, i dlatego też dla młodych talentów stanowi ona najponętniejsze pole do popisu. Śledząc współczesny ruch piśmienniczy jakiegokolwiek narodu europejskiego, doznaje się wrażenia, jak gdybyśmy byli świadkami jakichś wyścigów z przeszkodami, jakiegoś pełnego zapału *steeple-chase*, w którym współzawodnicy na rączych literackich pegazach lecą naoślep do mety, to jest do popularności i rozgłosu. Daje się to zwłaszcza zastosować do młodych w dziejach cywilizacyi społeczeństw, lub też do tych, których piśmiennictwo skutkiem rozmaitych nieprzyjaznych okoliczności przez długi czas pozostawało w letargu i które teraz z gorączkowym pośpiechem starają się zapełnić lukę w tym kierunku. Już z pierwszych nieśmiałych i niepewnych kroków na literackim terenie można niekiedy odgadnąć, czy ten lub ów z wyścigowców zdoła przezwyciężyć trudności, i chociaż nie na czele, ale bądź co bądź szczęśliwie dotrze do celu.

Do tych ostatnich, jak się zdaje, należeć będzie kiedyś autor wymienionego przez nas powyżej zbioru nowel. Dziś znajduje się dopiero na początku swego toru i dużo jeszcze przeszkód — wyznajmy to szczerze — ma przed sobą do zwalczenia. Główną z nich stanowi wielka jednostronność w wyborze tematów. Z wyjątkiem paru ostatnich, z lekka zresztą tylko naszkicowanych obrazków: „Nie mów lecz działaj!“ *(Ne sbori — tvori!)* i „Kapral Józef“ *(Kapural Jose)*, we wszystkich innych utworach p. Tomaszycza dźwięczy jedynie słowo *amare*, odmieniane na wszystkie tryby i czasy. Sentymentalizm taki cechuje przedewszystkiem „Opowiadanie księżycowego promyka“ *(Pripoviest mjesečeva tračka)*. Jest to długa, nieprzerwana pajęcza nić, osnuta z patetycznych erotyków, które gdyby były ujęte w formę wiersza, możeby ładnie wyglądały, w prozie jednak nudzą i rażą. Bardziej zajmująca jest „Opowieść o grobie wiecznej miłości“ *(Priča o grobu vječne ljubavi)*, odznaczająca się wielką dramatycznością. Treść jej zaczerpnął autor z dawno minionej epoki tureckich najazdów na swoją ojczyznę, gdy barbarzyński żywioł muzułmański zetknął się z cywilizowanym chrześcijańskim Za-

chodem, starciu zaś temu towarzyszył rozlew krwi i pożoga. Dziś jeszcze na chorwackiej ziemi wznosi się dużo tureckich *kuć*, czyli samotnych wieżyczek i kurhanów, przemawiających do obecnych pokoleń językiem smutnej przeszłości. W powyższym utworze autor opisuje dzieje jednego z tych kurhanów, wznoszącego się ponad Sawą i kryjącego zwłoki pewnej chrześcijańskiej rodziny. Niegdyś na tem miejscu leżała wieś Motajica, w której najpiękniejszą dziewczyną była Stojka, córka starego Pera. Słysząc o jej piękności, basza Omar postanawia ją porwać do swego haremu i wraz z dworzanami napada w nocy na chatę Pera, morduje go wraz z dzielnym Władkiem, narzeczonym Stojki, sam zaś ginie z ręki jego pobratymca, Mirka. Ten ostatni umiera niebawem z ran zadanych mu przez Turków, Stojka zaś pod wrażeniem okropnej nocy, w której patrzyła na śmierć ojca i narzeczonego, dostaje obłąkania i wkrótce potem chrześcijanie znalazłszy ją martwą na grobie matki Mary, grzebią tam razem zwłoki biednego dziewczęcia, tudzież starego Pera, Mirka i Władka, oraz sypią kurhan na pamiątkę nierozerwalnej miłości rodziców, narzeczonych i pobratymców. Proste te dzieje, nader pospolite w krajach, które choćby przez czas krótki pod muzułmańskiem jęczały jarzmem, skreślił autor barwnie i zajmująco, nadając zarazem swemu opisowi zręcznie uchwycony charakter danej epoki. Wogóle też wszystkie utwory p. Tomaszycza odznaczają się lekkością i potoczystością stylu, bogactwem świeżych i pełnych wdzięku zwrotów, oraz silnem poczuciem piękna, rozlanego w przyrodzie. Należałoby mu jednak rozszerzyć i pogłębić znacznie zakres swoich spostrzeżeń, wówczas bowiem dopiero może się spodziewać, że niezaprzeczony talent, którego w swych Szkicach liczne złożył dowody, pozwoli mu zająć zaszczytne miejsce w rzędzie chorwackich powieściopisarzy.

Nawiasem dodać możemy, że jednocześnie ze *Crticami* wyszły z pod prasy tak zwane *Ljuboslavke*, czyli opowiadania dla młodzieży, zaczerpnięte przez tegoż samego autora z dzieł pani de la Faye-Bréhier i H. Lemaire. Wprawdzie powiastki te grzeszą nieco sentymentalizmem, właściwym poniekąd francuskiej literaturze dla młodocianego wieku, ale bądź co bądź pełne są pięknych i szlachetnych myśli, oraz owiane głęboko religijnym duchem, kreśląc je bowiem autor, postawił sobie za zadanie wpoić w młodych swych czytelników tę zasadę, że tylko cnota prowadzi do szczęścia. Młodzież więc chorwacka powinna mu być wdzięczną, że ją obdarzył tym zbiorem bardzo pouczających

powiastek i wyciągnąć z nich moralną dla siebie korzyść, stosownie do godła tej książki: *Prigrli duši dobar savjet!* (Przyjm całą duszą dobrą radę!)

*T. Sopodźko.*

**Thier-Ethik.** Darstellung der sittlichen und rechtlichen Beziehungen zwischen Mensch und Thier. Preisschrift von *Ignaz Bregenzer*, Landesgerichtsrath. Herausgegeben von dem Verbande der Thierschutzvereine des Deutschen Reiches. Bamberg 1894.

„Związek towarzystw ochrony zwierząt w państwie niemieckiem“ ogłosił w r. 1888 konkurs na opracowanie tematu: „Prawo zwierząt. Objaśnienie właściwego stosunku człowieka do zwierzęcia w moralnym i prawnym kierunku“. Pierwszą nagrodę otrzymał Bregenzer, radca sądu krajowego w Tybindze, za pracę, pod tytułem wyżej wymienionym. Związek zaszczycił nadto tę pracę wydając ją własnym kosztem, a przez to złożył niejako publiczne wyznanie, że własne jego poglądy w tym względzie nie są niezgodne z zapatrywaniami autora „Etyki zwierzęcej“. Przypatrzmy się przeto choć pobieżnie tej nowej etyce, abyśmy mogli zdać sobie sprawę z idei, jakiemi kierują się niemieckie towarzystwa ochrony zwierząt.

Bregenzer wychodzi z tego założenia, że wobec dzisiejszego postępu wiedzy nie należy filantropii tak ciasnych, jak dotąd, zakreślać granic, ma ona teraz nietylko obejmować ludzi, ale także zwierzęta. Według niego zwierzęta mają pewne prawa, podobnie jak ludzie; prawom tym odpowiada oczywiście szereg obowiązków naszych względem zwierząt: owe prawa winniśmy uszanować i przeciw nim nie wykraczać. Autor dowody swego twierdzenia czerpie w filozofii ewolucyjnej, darwino-spencerowskiej, w zwierzętach widzi naszych młodszych braci, co do istoty nie różniących się od nas. Bo i czemżeby się różniły? Może duszą rozumną? Ależ odróżnianie w człowieku dwu substancyj składowych, ciała i duszy, należy już do baśni, które dawno odrzuciła nauka. Życie polega na mechaniczno-chemicznym procesie równie dobrze u zwierząt, jak i u ludzi. Monistyczne pojmowanie życia jest zdobyczą wiekopomną naszych czasów... „Teorya duszy substancyalnej stanowi oczywiście dziedzictwo prastarego animizmu, czem się tłumaczy dostatecznie uporczywe jej panowanie; teorya ta znajduje silne poparcie w takich praktyczno-religijnych postulatach, jakiemi są: wolność woli, nieśmiertelność, dziecięctwo Boże“. W imieniu nauki, której jest przedstawicielem, autor wydaje wyrok kategoryczny: „Nie potrze-

buję tracić ani słowa więcej na wykazanie naukowej niemożliwości takiego mistyczno-fantastycznego pojmowania“ (str. 263).

Człowiek zatem powinien zstąpić z wyżyn, na jakich postawiła go naiwna jego zarozumiałość, powinien zniżyć się do właściwego swego poziomu, wspólnego mu ze zwierzętami. Na tem zniżeniu młodsi bracia człowieka, psy i koty, zyskają, raczej odzyskają, wolność i równość. Równouprawnienie zwierząt z człowiekiem powinno stać się ideałem nowoczesnej filantropii! (str. 304).

Uczony zwolennik emancypacyi zwierząt posuwa swe brednie do zenitu w następującem zdaniu, wstrętnie bluźnierczem: „Dla chrześcijanina naszych i przyszłych czasów prawdziwe naśladowanie Chrystusa polega na tem, ażeby, podobnie jak niegdyś Bóg zstąpił na człowieka, tak teraz człowiek zniżył się do zwierzęcia, wykupując je z dotychczasowej jego nędzy“ (str. 6).

Na takich podstawach zbudowany jest system etyki zwierzęcej. Wyłożone są tam obopólne obowiązki, moralne i prawne, ludzi względem zwierząt i zwierząt względem ludzi. Można się szczerze uśmiać, czytając żądania autora np. takie, jak o zakładaniu przytulisk dla osieroconych i opuszczonych psów i kotów, przepisy o wychowaniu zwierząt domowych, o myciu ich i kąpaniu, o ochronie przeciw pasorzytom i t. p. (str. 323—324).

Oczywiście względem wiwisekcyi Bregenzer bardzo wrogo jest usposobiony. Nie waha się z błazeńską wystąpić radą, ażeby uczeni raczej na sobie samych dokonywali wiwisekcyj: „Aureola chwały, jaka otoczy wiwisektora jako męczennika nauki, daleko go więcej ozdobi, niż smutna sława dręczyciela zwierząt z powołania“ (str. 401).

Ubliżylibyśmy sobie, gdybyśmy poważnie zbijali nieskończone brednie tego filozofa emancypacyi zwierząt. Poprzestajemy tylko na zaznaczeniu nowego tego objawu w dziejach zboczeń umysłowych XIX-go w., nowy w nim widząc dowód, do czego doprowadza rozbrat z wiarą jedynie prawdziwą i z zdrowym rozsądkiem.

*S. K.*

# SPRAWOZDANIE Z RUCHU

## religijnego, naukowego i społecznego.

### Sprawy Kościoła.

Trzechsetletnia rocznica Unii Brzeskiej. — Kolegium ruskie w Rzymie. — Niemieccy katolicy w Poznańskiem. — Wybory w Nitrze. — List i allokucya papieska o sprawach węgierskich. — Duch religijny w armii austryackiej.

TRZECHSETLETNIA ROCZNICA UNII BRZESKIEJ.

W przyszłym roku przypada trzechsetletnia rocznica uroczystego ogłoszenia na synodzie brzeskim zawartej w roku poprzednim unii Rusi ze Stolicą Apostolską; osobny ruski komitet, dawniej już wybrany we Lwowie dla przygotowania obchodu tego jubileuszu, ogłosił obecnie obszerną odezwę, w której wyłuszcza opatrznościowe znaczenie Unii i w religijnym i w narodowym kierunku, streszcza w krótkim obrazie dawne i nowe jej dzieje, kreśli przywiązane do obchodu pamiętnej rocznicy nadzieje:

Unia Brzeska — czytamy w pięknej tej odezwie podpisanej przez ks. prałata Bieleckiego, d-ra Izydora Szaraniewicza i ks. kanonika Piórka — stanowi epokę w naszem życiu cerkiewnem i narodowem...; jej rocznica, to jedno z najwspanialszych i najważniejszych świąt naszych cerkiewno-narodowych. O smutnym stanie, w jakim cerkiew i naród ruski znajdowały się przed Unią Brzeską, nie możemy wspominać bez głębokiego wzruszenia. Dziełu pierwszych apostołów naszych zabrakło tej życiodajnej siły, która szeroką i obfitą strugą płynęła zaw-

sze z Kościoła katolickiego. Ruś usunięto z pod dobroczynnego wpływu ogniska prawdziwego światła, które oświecało inne narody europejskie... Rusi naszej zabrakło tego od Chrystusa postanowionego Zwierzchnika, któryby silną i pewną dłonią prowadził stado duchowne do poznania prawd Chrystusowych i przepisów obyczajności chrześcijańskiej. Ruś utraciła Namiestnika Chrystusowego jako najwyższego sędziego, utraciła najwyższego kierownika wszystkich cerkiewnych i społeczno-moralnych stosunków, a nastali u nas przewodnicy, którzy uwolniwszy się od odpowiedzialności przed tym najwyższym sędzią i kierownikiem, chodzili własnemi drogami, dalekiemi od drogi nauki Chrystusowej...

Tylko jedna Opatrzność Boża, która kieruje według swych niezbadanych wyroków losami narodów, czuwała i wówczas nad narodem ruskim. Ona też dźwignęła ojczyznę naszą z największego upadku. Z pośród niegodnych wybrała najgodniejszych i wskazała im drogę do powrotu, drogę do odrodzenia i zbawienia...

Odezwa opowiada dalej dzieje zawarcia Unii w Brześciu i późniejsze jej, to pomyślne, to bardzo smutne koleje; wspomina dobrodziejstwa, któremi papieże obsypywali i obsypują ruską Cerkiew:

I teraźniejszy wielki Papież Leon XIII. podjąwszy wysokie zamiary swych sławnych poprzedników, przyjął Wschód, a tem samem i naszą Cerkiew pod swą ojcowską opiekę. On to uczcił nasz święty obrządek w osobie słowiańskich Apostołów Cyryla i Metodego, każąc całemu światu katolickiemu obchodzić osobnemi nabożeństwami błogosławioną ich pamięć; On to założył na Rusi trzecią stolicę biskupią w Stanisławowie; On to przywiódł zakon św. Bazylego W. u nas do tego stanu, że dziś zaczyna żywo przypominać dawniejszy swój blask na Rusi; On to zwołaniem Synodu lwowskiego po półtorawiekowej przerwie dał naszej Cerkwi możność powzięcia uchwał dla dobra jej samej i jej wiernych.

Że te i wszystkie inne dobrodziejstwa, które nasza św. Cerkiew otrzymała od Ojca św. Leona P. XIII., mają swe źródło jedynie w szczerej Jego życzliwości dla dobra tej naszej Cerkwi i obrządku, wspaniałem tego świadectwem są osobliwie najnowsze Jego encykliki: „Przesławne objawy powszechnych życzeń“ *(Praeclara gratulationis publicae testimonia)* z dnia 20 czerwca 1894 i „Godność wschodnich Kościołów“ *(Orientalium dignitas Ecclesiarum)* z dnia 27 listopada 1894, w których to pełnych ojcowskiej miłości i apostolskiej gorliwości encyklikach zwraca się ten Ojciec całego chrześcijaństwa do Cerkwi wscho-

dnich, do których i nasza Cerkiew swym obrządkiem należy, z serdecznem wezwaniem do ścisłego i silnego połączenia się ze św. Stolicą Apostolską, przyrzekając im z wszelką pewnością, że w tem połączeniu znajdą swą dawniejszą powagę, chwałę i stan kwitnący...

W tych szczerych, do dobra naszej Cerkwi i narodu ruskiego dążących, a zapewnienie dane naszej Rusi przy odnowieniu Unii cerkiewnej w zupełności sprawdzających usiłowaniach św. Stolicy Apostolskiej, biorą żywy udział od samego początku wszyscy Najjaśniejsi Monarchowie Austryi, aż do dziś szczęśliwie i chwalebnie panującego cesarza i króla naszego Franciszka Józefa I....

I oto — gdy nasza rusko-katolicka Cerkiew znalazła szczerze życzliwą opiekę Monarchów Austryi i przy potężnej a pobocznemi wpływami nie wstrzymywanej pomocy św. Stolicy Apostolskiej — pełną swobodę działania, widzimy, że już w pierwszych początkach harmonijnych usiłowań obu tych naszych najwyższych opiekunów, dzieło odrodzenia naszej Rusi cieszy się pięknemi owocami. W krótkim czasie poważny zastęp duszpasterzy i świeckiej inteligencyi ruskiej, wykształcony w świeżo założonych szkołach i seminaryach, wnosi światło prawdziwej kultury między nasz naród, a promienie tego światła dosięgają niebawem najdalszych zakątków naszej ojczyzny. Ten zastęp duchownych i świeckich patryotów, oświecających i dźwigających nasz naród, powiększa się i wzmacnia z każdym dniem, a w nowszych czasach przybyła mu w Zakonie św. Bazylego W. nowa, bardzo znaczna siła, oddająca się umoralnieniu naszego narodu według pewnego systematycznego planu — osobliwie co do misyj ludowych. To też nic dziwnego, że przy udziale wszystkich tych silnych a świętą sprawą przejętych czynników narodowego rozwoju, stają się owoce ich wspólnych prac z każdym dniem coraz widoczniejszemi.

Każdy, kto tylko przypatrzy się teraźniejszemu naszemu życiu, musi przyznać, że dziś na naszej Rusi rozwinął się niezwykły ruch na każdem polu. Na polu religijno-moralnem okazuje się ten ruch w powszechnem powstawaniu bractw cerkiewnych, wstrzemięźliwości i innych Towarzystw, których usiłowania bywają uwieńczone pięknemi rezultatami. Na miejscu karczem, tych ognisk rozpusty i wszelkiej biedy, powstają szkoły, czytelnie, sklepiki chrześcijańskie i inne pożyteczne narodowe instytucye; na miejscu dawniejszych ciasnych cerkwi drewnianych powstają nowe murowane świątynie, budowane z drobnych ofiar ubogiego, lecz do swej Cerkwi i obrządku ciałem i duszą przywiązanego ludu. Naród nasz ruski kształci się, oświeca się; z jego

wiejskich strzech i ciasnych chat mieszczańskich wychodzi coraz liczniejsza ruska inteligencya, która bierze żywy i czynny udział w coraz większym rozwoju narodowej, rodzimej literatury ruskiej, którą wspierają różne ruskie literackie Towarzystwa. Nasz naród ruski, zrzucając z siebie krępujące go dawniejsze pęta obojętności, lekkomyślności i duchowej ciemnoty, przychodzi coraz bardziej do poznania swej godności, swoich praw, których rozszerzenia i wzmocnienia na gruncie konstytucyjnym — jako naród samoistny z coraz większą świadomością się domaga.

I niech nikt nie mówi, że taki pomyślny rozwój naszego narodu byłby możliwy i bez wpływu rusko-katolickiej Cerkwi. My śmiało i otwarcie wyznajemy tę niezaprzeczoną prawdę, że bez katolickiej wiary, bez silnego przywiązania do rusko-katolickiej Cerkwi i obrządku, nie możnaby nawet myśleć o takim rozwoju naszego narodu w religijno-moralnym, umysłowym i społecznym względzie, — że nasza Cerkiew i nasz naród są dwoma nierozłączonymi sprzymierzeńcami, którzy sobie nawzajem pomagają do swego rozwoju i wzmocnienia — że tak jak indywidualność narodową Polaków ochrania Kościół katolicki w obrządku łacińskim, tak ruską indywidualność narodową może ochronić tylko Kościół katolicki w obrządku wschodnim.

Aby się o tem przekonać, wystarczy spojrzeć na dzielnice naszych braci, gdzie zniszczono Unię, gdzie usunięto dobroczynny wpływ rusko-katolickiej Cerkwi na życie cerkiewno-narodowe. Oto po krótkiem panowaniu prawosławia dziś niema tam już tej sławnej prowincyi cerkiewnej, która jeszcze w połowie XVIII. wieku miała 9 wielkich arcybiskupstw i biskupstw, do których należało przeszło 13 milionów wiernych; dziś te miliony ludzi stają się smutnemi ofiarami szerzącej się między nimi sztundy i innych sekt, wcale nie mogących zaspokoić sumienia i napełnić go spokojem bożym, który jest osnową prawdziwego szczęścia człowieka już na tym świecie; dziś te miliony ludzi wzdychają w kajdanach ducha i woli; dziś im prawie nie wolno w swym ojczystym języku odzywać się w cerkwi, ani w szkole, a tem mniej uprawiać i rozwijać swą małoruską narodową literaturę.

Bracia Rusini! Rozważając uważnie a bezstronnie te wielkie, nieocenione korzyści, które podała nam Unia Brzeska, złączywszy nas z prawdziwym Kościołem Chrystusowym, tem źródłem życia i ogniskiem światła, dając naszemu narodowi możność, w świetle prawdziwej wiary, a według naszego rodzimego obrządku doskonalić się religijno-moralnie i umysłowo, pielęgnować i rozwijać tę naszą drogą mowę, której nauczyły nas matki nasze, dobijać się tych praw narodowych, które nam

tak drogocenne: — czyż będziemy mówili, że zbliżający się 300-letni jubileusz tej Unii jest tylko cerkiewnem, a nie także narodowem świętem? Nie! Sprawiedliwość domaga się od nas, abyśmy to cerkiewno-narodowe święto obchodzili razem z naszą rusko-katolicką Cerkwią w sposób jak najuroczystszy. Tego domaga się od nas nasze przekonanie i poczucie czci, bo możemy się słusznie spodziewać, że raz na zawsze uwolnimy nasz naród od tak często niesprawiedliwie przeciw niemu podnoszonych, a dla niego tak szkodliwych zarzutów i uprzedzeń, jeśli wspaniałym a powszechnym udziałem w tym obchodzie, zamanifestujemy przed całym światem, że jesteśmy równie szczerymi, swą ojczyznę gorąco miłującymi Rusinami, jak i wiernymi wyznawcami św. katolickiego Kościoła, widzącymi nasze duchowne i narodowe skarby i ideały, zabezpieczone pod szczerą i potężną opieką św. Stolicy Apostolskiej i w Kościele katolickim, który jak odnowił świat pogański, tak jedynie sam ma siłę utrzymać w tem odnowieniu wszystkie narody.

Bracia Rusini! Oto głos nasz płynący z głębi naszej duszy: „Niechaj nikt z was nie uchyla się od tego obchodu jubileuszowego, od tego tak wdzięcznego, korzystnego dzieła; niechaj weźmie w niem udział, niechaj popiera go moralnie i materyalnie każdy Rusin, w którego piersi jeszcze nie zaumarła miłość dla swej Cerkwi, dla swego obrządku i narodu!

Ten jubileusz naszej trzywiekowej pracy i walki o prawa Cerkwi i narodu ruskiego, wskazując nam na tysiączne niepowodzenia i cierpienia, które Ruś nasza pod opieką św. Stolicy Apostolskiej i Najjaśniejszych Monarchów Austryi szczęśliwie przebyła, niechaj nam doda sił do dalszych prac nad duchowem naszem odrodzeniem, niechaj ożywi nasze serca nadzieją, że ci dwaj szczerzy i potężni opiekunowie nasi jak nas dotąd nie opuścili, tak nie opuszczą nas i nadal, skoro tylko wiernie stać będziemy przy ich sztandarach, skoro tylko mądrze i legalnie będziemy korzystać z konstytucyjnych praw i swobód na podstawie tych tak licznych dobrodziejstw, które odziedziczyliśmy po przodkach naszych i które spłynęły na nas z tronów Namiestników Chrystusowych i Najjaśniejszych Monarchów przesławnej dynastyi Habsburgów. A wiedząc, że tylko w jedności siła, która do celu prowadzi, przejęci upomnieniem Psalmisty, wypowiedzianem pięknemi słowy naszego poety: *Czy szczo kraszcze, łuczsze w świti, jak w jednosty żyty, z bratom dobrym dobro pewne poznat' ne diłyty?* my obchodząc ten jubileusz wspólnie, — wspólnie także, siłami połączonemi zabierzmy się do dalszych zabiegów i prac około rozwoju naszego narodowego życia...

Daj Boże, by te prace nasze były uwieńczone jak najlepszym skutkiem; by ten nasz niezwykły, tak pełen znaczenia jubileusz był przez wszystkich szczerych patryotów ruskich jednomyślnie i radośnie obchodzony; by się przyczynił do powiększenia i wzmocnienia powagi i siły naszej Cerkwi i narodu; by swem potężnem echem odezwał się aż u braci naszych, pozbawionych dziś tych nieocenionych skarbów, które my tu pod ochroną Unii cerkiewnej uzyskali, które cenimy wysoko, a które wspólnemi siłami powiększamy. Daj Boże, by ten nasz jubileusz był zwiastunem i poprzednikiem przyszłego w jednej wierze i pod jednym najwyższym Pasterzem połączenia tych wszystkich, którzy jeszcze nie należą do jego owczarni; by na naszej katolickiej Rusi sprawdziły się czem prędzej owe już nam wiadome prorocze słowa papieża Urbana VIII., by już niezadługo nadeszła ta błoga chwila, którą przepowiada teraźniejszy Ojciec św. Leon XIII. w swej encyklice „Przesławne objawy“ *(Praeclara gratulationis publicae testimonia)*, — zwracając swe oczy na Wschód, skąd dla całego świata weszło słońce prawdy i zbawienia i skąd promienie tego słońca rozeszły się po całej kuli ziemskiej, niosąc wszędzie łaskę bożą i siłę ducha do szlachetnej pracy nad uszczęśliwieniem jednostek i całych narodów...

KOLEGIUM RUSKIE W RZYMIE.

Do wyliczonych w odezwie dowodów szczególnej swej opieki dla ruskiej cerkwi, dołączył Ojciec św. w ostatnich tygodniach jeszcze jeden, nie mniejszej, co najmniej, od poprzednich, doniosłości. Dnia 15 marca podpisał Leon XIII. — jak donosi organ duchowieństwa ruskiego *Duszpastyr* — dekret, ustanawiający osobne kolegium dla czterdziestu Rusinów; na kolegium to przeznaczył Papież fundusz 300.000 franków. Na razie kolegium znaleść ma podobno pomieszczenie w monasterze bazyliańskim, zostającym pod wezwaniem św. Sergiusza i Bakcha. Wespół z 40 Rusinami pobierać ma nauki w nowem *Collegio Ruteno* dwudziestu uczniów innych narodowości słowiańskich, jak chorwackiej, bułgarskiej i t. d.

NIEMIECCY KATOLICY W POZNAŃSKIEM.

W sejmie pruskim padły z ust znanego wroga Polaków, p. Tiedemanna, bardzo ciężkie oskarżenia na polskich kapłanów i poznańskiego arcybiskupa. P. Tiedemann i jego stronnicy wylewali gorzkie łzy nad wrzekomym uciskiem niemieckich katolików w Poznańskiem, zarzucili arcy-

biskupowi, że nie dba o duchowne potrzeby niemieckich swych owieczek; oskarżyli jakiegoś, nie wymienionego z nazwiska, polskiego księdza, że nadużywa spowiedzi do politycznej i narodowej agitacyi. Oskarżyciele nie spodziewali się podobno, z jak wszechstronną, z jak przygniatającą odpowiedzią zarzuty ich się spotkają; inaczej nie byliby chyba z niemi we własnym swym interesie występowali. Ks. Jażdżewski zbił punkt po punkcie, opierając się na urzędowych dokumentach, niegodne insynuacye. Hr. Ballestrem wziął energicznie w obronę arcybiskupa i polskich kapłanów:

„Choćbyśmy nie byli z góry przeświadczeni, że nad duchownemi interesami poznańskich katolików, mówiących po niemiecku, czuwają najsumienniej tamtejsi duchowni zwierzchnicy, to przyszlibyśmy do tego przeświadczenia już z tego powodu, że nigdy jeszcze nie doszła nas żadna skarga ze strony niemieckich katolików z W. Księstwa Poznańskiego, gdy tymczasem ze wszystkich innych stron państwa otrzymujemy liczne zażalenia".

W ślad za swymi posłami zaprotestowali wyborcy; z pojedyńczych gmin i parafij, z biór jeneralnych konsystorzów: poznańskiego i gnieźnieńskiego, posypały się tak liczne protesty i sprostowania, że sam p. Tiedemann zmuszony był oświadczyć, że naturalnie ręczyć nie może za dokładność wszystkich, bardzo pospiesznie zbieranych przez siebie informacyj. Najcięższy cios owym „niedokładnym", a mówiąc prawdziwiej: z gruntu fałszywym, informacyom zadali samiż niemieccy katolicy w Poznańskiem, w zbiorowym adresie, wystosowanym do ks. arcybiskupa Stablewskiego, a pokrytym przeszło 7000 podpisów samodzielnych ojców rodzin:

Stanowczo odmawiamy panu Tiedemannowi prawa opieki, z którą śmie nam się narzucać w sprawach potrzeb naszych religijnych; jesteśmy bowiem pełnoletnimi i obejdzie się bez takiego rzeczowo mało poinformowanego opiekuna; tem bardziej, że sami nigdy się nie narzucamy, i nie mieszamy się do spraw ewangelickiego Kościoła, ani jego pastorów lub też superintendentów. A zresztą uważalibyśmy za rzecz nieuczciwą zboczyć w rzeczach kościelnych z drogi prawem przepisanej

i pozwolić się reprezentować przez innowierców w zgromadzeniu, gdzie zasiadają ludzie o najrozmaitszych odcieniach i przekonaniach religijnych — tak jakobyśmy stali przed synodem jakim.

Nieproszonemu i niepożądanemu adwokatowi naszych spraw religijnych zdaje się Kościół katolicki być „instytucyą świąteczną“ *(Sonntagsinstitut)*, która ma służyć do osiągnięcia aspiracyj narodowościowych. Byłoby to nie „służbą bożą“, lecz „kultem człowieka“.

Dla nas jednak jest dom boży miejscem świętem, na którem korzystamy ze Sakramentów śś., gdzie we Mszy świętej czerpiemy łaskę Chrystusa, gdzie przez słowo boże, nie podlegające żadnym granicom mowy ludzkiej, znajdujemy naukę, pociechę, siłę i otuchę. Jeżeli na jednego duszpasterza przypada kilka tysięcy wiernych, którzy żądają od niego w jednym dniu Sakramentów św., na których intencyę ten kapłan na czczo około południa dopiero Mszę św. odśpiewuje, lub kazanie głosi, to musiałby się on chyba dwoić i troić, gdyby miał w dwóch językach przemawiać w jednym i tym samym kościele.

Nie pozostaje zatem nic innego — chociaż jest to bolesnem — jak uwzględniać liczbę katolików, Polaków i Niemców, przy wygłaszaniu kazań — i tu przyznać musimy, że Niemcy katolicy wszędzie są korzystniej postawieni od Polaków. Radykalną pomoc może tu przynieść jedynie budowa nowych kościołów i większy zastęp duszpasterzy.

Budowy nowych kościołów nie możemy jednak przeprowadzić z powodu ogólnej biedy, a więcej kapłanów uzyskać nie możemy także, gdyż ich jest za mało. Wprawdzie bogobojni dobroczyńcy z wieków dawniejszych postarali się o liczne alumnaty i fundusze stypendyalne, któreby ułatwiały słuchanie teologii, ale w czasach obecnych — nam katolikom, Niemcom i Polakom korzystać z nich nie wolno.

Dlaczego nikt tego stosunku nie skrytykuje? Dlaczego nie starają się o usunięcie tych niedogodności? Czy podszczuwanie Niemców katolików przeciwko ich władzy nie jest w bliższej styczności z ustawą przeciwko przewrotowi, aniżeli rzetelne domaganie się usunięcia tej niesprawiedliwości?

Podziwiamy pieczołowitość Waszej Arcybiskupiej Mości, która mimo to umożliwiła, aby potrzeby Niemców-katolików zaspokojone były, chociaż znajdują się oni często w ogromnej mniejszości. Przyjmij za to Wasza Arcybiskupia Mość nasze podziękowanie, i bądź pewnym, że stoimy przy Tobie w miłości, czci i zaufaniu, jako przy Pasterzu przez Boga nam naznaczonym. Przyjmij także łaskawie zapewnienie, że w uczu-

ciach tych wytrwamy, choćby i niepowołani krytycy mieli się jak najwięcej starać o podkopanie naszego wiernego posłuszeństwa i miłości ku Waszej Arcybiskupiej Mości.

Czy energiczna ta manifestacya, czy cyfry i daty przedłożone przez gnieźnieńskie i poznańskie władze duchowne położą wreszcie koniec judzeniu katolików niemieckich w Księstwie przeciw duchownej swej władzy i polskim współbraciom? Życzyćby sobie tego należało; znając stosunki, spodziewać się trudno, nawet po gwałtownym tuszu, jakiego tym razem nie oszczędzono niemiecko-protestanckim szowinistom. Bądź co bądź ponieśli oni obecnie tak potężną klęskę na całej linii, że przez pewien przynajmniej czas będą musieli zachowywać w swych atakach, jeśli nie większą sumienność, to większą — ostrożność.

Adres niemieckich katolików poznańskich podał okazyę przeróżnym antypolskim i antykatolickim organom do mniej lub bardziej dowcipnych występów. Odpowiedziała na nie wybornie, i właściwe znaczenie i skutki adresu określiła katolicka *Koelnische Volkszeitung:*

Adres 7000 katolików niemieckich archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej, musi wszystkim tym zdjąć łuskę z oczu, którzy może jaką przywiązywali wartość do skarg pana Tiedemanna i towarzyszy na „macosze obchodzenie się“ z katolikami niemieckimi pod względem duszpasterskim. Nigdy klient nie wyparł się swego adwokata w sposób tak zawstydzający, jak katolicy niemieccy wyparli się tych wolnokonserwatywnych patronów.

Widać to po całej prasie fanatyków germanizacyi, jak dotkliwie cios ten dał się im we znaki.

*National-Zeitung* i inne pisma powołują się na resztę katolików niemieckich, którzy adresu nie podpisali i tych uważają za prawdziwych reprezentantów ludności niemiecko-katolickiej w archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej.

Co prawda, to chcielibyśmy widzieć tych katolików, „którzy nie należeli do owych siedmiu tysięcy“. Dlaczego nie występują publicznie, dlaczego nie urządzają wielkich zebrań ludowych i nie stawają po stronie p. Tiedemanna. Byłoby bardzo pożądanem poznać bliżej takich wolnokonserwatywnych szermierzy wiary. Skoro się jednak chowają za płot, to widocznie wiedzą dobrze, czemu to czynią. Jeżeli „katolicy“,

którzy żyją w małżeństwach mieszanych, wychowują dzieci w wierze protestanckiej, lub tacy, którzy od lat wielu zupełnie się trzymają zdala od kościelnego życia, naraz występują z żalami, że w kościołach język niemiecki nie zajmuje odpowiedniego miejsca, to robi to wrażenie wręcz komiczne. Dlatego sądzimy, że *National-Zeitung* napróżno ptaszkom tym każe gwizdać. Nie zaprodukują się ci katolicy wcale, ponieważ o wewnętrzne stosunki kościołów dotąd bardzo mało się pytali.

WYBORY W NITRZE.

Po wyborach w Csakathurn — o których donosiliśmy szczegółowiej w marcowym zeszycie *Przeglądu* — pisały dzienniki: Większych gwałtów wyobrazić sobie nie można. Otóż pomyliły się! Stosunkowo bardzo szczupła większość głosów, która w Csakathurn padła na ministra oświaty dr. Wlassicsa, tak przeraziła rząd, że przy wyborach w słowacko-katolickim okręgu nitrzańskim postanowił zdziwiony świat przekonać, iż w języku panującej żydowsko-protestanckiej kliki, słowo: „niemożliwość“ nie istnieje. Nikt znający miejscowe stosunki wątpić nawet nie mógł, że kandydat partyi „ludowej“, hr. Jan Zichy, ma z góry zapewnioną olbrzymią większość; tymczasem wybrany został podsekretarz stanu w ministeryum spraw wewnętrznych, Emeryk Latkoczy. Jakiemi „fortelami“ — aby dyplomatycznie się wyrazić — został wybrany, tego ciekawy obraz przedłożył w peszteńskim parlamencie cały szereg posłów, naocznych świadków nitrzańskich skandalów. Przeszło 1000 wyborców wprost nie dopuszczono do urny; silne kordony wojskowe powstrzymywały zdążających z okolicy wieśniaków; żandarmi, policyanci, żołnierze trzymali wyborców długie godziny za miastem na deszczu i chłodzie, a następnie nakazywali im się rozejść do domów, a oporniejszych aresztowali za opór władzy. Przewodniczący przy wyborach, głośny dziś w całych Węgrzech Tarnoczy, wyrzucał brutalnie za drzwi każdego, któremu z oczu dostateczna lojalność nie patrzyła.

„Tarnoczy — opowiadał w parlamencie poseł Pazmandy — trzymał w ręku listę wyborców, opatrzoną przy każdem nazwisku odpowiedniemi komentarzami. Z wyborcami, usposobionymi po myśli rządu, szło wszystko gładko i szybko. Lecz oto zbliża

się wyborca z ludowego stronnictwa. Tarnoczy staje naprzeciw niego i pyta: Jak się nazywasz? Jeżeli biedak jedną literę swego nazwiska inaczej wymówił, jak zapisanem było na wyborczej liście, musiał natychmiast lokal opuścić. Przyszła kolej na wyborcę nazwiskiem Sütto. Tarnoczy nie dopuścił go do głosowania pod pretekstem, że wymówił swe nazwisko przez jedno *t*. Kiedy kto z możliwą dokładnością nazwisko swe wymówił, zaczynała się innego rodzaju inkwizycya. —‚Czem się zajmujesz?‘— ‚Gospodarstwem‘. — ‚A chodzisz także do innych na zarobek?‘— ‚Chodzę‘. — ‚Zatem — rozstrzygał prezes — jesteś wyrobnikiem a nie gospodarzem i nie masz prawa do głosu‘. Do stołu podszedł wykształcony młody człowiek biskupi, leśniczy z dóbr Zsere i przedstawił się komisyi jako biskupi strzelec. Prezes Tarnoczy odparł: Zapisany pan jesteś jako leśniczy: strzelec to nie leśniczy; strzelcem może być każdy, bo polowanie nie jest zajęciem, ale rozrywką. — Na mocy tego argumentu, biskupi leśniczy również do urny się nie dostał... Z pomocą takich sztuczek obrabowano przynajmniej 60 procent wyborców z przysługującego im prawa głosowania... Ale i te sztuczki zbyt męczyły pana prezesa. Nakazał więc służącemu, aby prędko sprowadził do lokalu wyborczego trzy opozycyjne gminy, którym wyznaczono stanowisko odległe o dobre pół mili, i ze stanowiska tego nie dozwolono im się na krok ruszyć; służący poszedł, a za trzy minuty wrócił meldując, że nigdzie żadnego wyborcy nie znalazł... W ten prosty sposób całe trzy gminy nie oddały ani jednego głosu“.

Pięciu innych mówców dorzuciło do tych szczegółów mnóstwo innych, równie, a może i bardziej charakterystycznych. O prawdziwości tych szczegółów niepodobna wątpić; sam zresztą rząd pośrednio do nich się przyznał, nakłaniając wybranego w Nitrze Latkoczego do złożenia, z takiemi wysiłkami uzyskanego mandatu, aby w ten sposób przeciąć dalsze, arcykompromitujące śledztwa i wywody. To pewna, że skandal wywołany nitrzańskim „tarnoczyzmem“ — jak dzienniki węgierskie nieprzebierającą w środkach pressyę wyborczą nazywać zaczęły — raczej pomógł, niż zaszkodził młodej, ale bardzo czynnej partyi katolicko-ludo-

wej. Nowej zachęty do energii i wytrwałości w podjętem zadaniu dodał jej list papieski, przesłany na ręce hr. Zichego:

LIST I ALLOKUCYA PAPIESKA.

Zasmuca nas nadzwyczajnie — czytamy w tem piśmie — iż sprawę katolicką w kraju waszym, która od św. Szczepana nieprzerwanie kwitła, wystawiono obecnie na tak liczne niebezpieczeństwa... Dziękujemy wam, żeście wszystkie swe siły wytężyli, aby katolickie uczucia Węgier obudzić i bronić świętej katolickiej sprawy. Tem radośniej wypowiadamy wam Nasze uznanie, że coraz liczniejsi są ci, którzy popierają wasze usiłowania. Szczególnie zaś cieszy Nas dokonane zjednoczenie katolików ku obronie w węgierskim sejmie praw religii i małżeństwa. Tobie, kochany synu, winszujemy serdecznie, iż kierownictwo tego związku objąłeś wspólnie z szlachetnym hrabią Mikołajem Esterhazym, ponieważ właśnie dajecie najstalszą rękojmię, że za waszą przyczyną obudzone nadzieje uchylenia dolegliwości, grożących katolikom, będą spełnione... Całkowicie pochwalamy i przyjmujemy wasze postanowienie, o którem otrzymaliśmy również wiadomości, że dla popierania sprawy katolickiej i nowego stronnictwa założone będzie osobne dziennikarskie wydawnictwo. Zarówno dla ciebie, jak dla wszystkich innych pracowników w tem piśmie, niech będzie zawsze decydującą ta zasada, że nigdy nie należy uchylać się od rad waszych biskupów, ani nadwerężać ich powagi. Również powinniście jak najbardziej troszczyć się o to, iżbyście — jak to już nieraz zalecaliśmy publicystom — w słowach byli umiarkowani, szanowali władze państwowe, działali zgodnie ze zwierzchnością kościelną, zwłaszcza zaś z Apostolską Stolicą. Nieznużenie i bez żadnego zaniedbania pracujcie wszędzie tam, gdzie coś dobrego uczynić możecie dla ojczyzny waszej i dla powagi katolickiego Kościoła!

Pismo papieskie zadało stanowczy kłam podstępnym doniesieniom liberalnych organów, jakoby Ojciec św. z niechęcią i bojaźnią spoglądał na organizujące się w Węgrzech szczerze katolickie stronnictwo. Allokucya, wygłoszona na konsystorzu odbytym 18 marca, położyła ze swej strony raz na zawsze koniec szerzonej uparcie legendzie o przeciwieństwach zachodzących między „światłym“ Papieżem, a „ciemnem“ węgierskiem niższem duchowieństwem, i ulegającym mu, acz niechętnie, episkopatem.

To, czegośmy się obawiali, ziściło się rychlej, niż można było przypuszczać. Tak zwane śluby cywilne wprowadzono na Węgrzech

jako ustawą nakazaną formę małżeńskich związków. Wprawdzie nie zakazano zawierać ślubów podług obrządku katolickiego, ale legalność małżeńskiemu związkowi nadawać ma według ustawy węgierskiej jedynie akt, dopełniony przed urzędem stanu cywilnego. Biskupi uczynili wszystko, co było w ich mocy, aby uchylić zło, które z tego wyniknie dla Kościoła i państwa. W tej sprawie wiernie stało przy nich całe duchowieństwo i z gorliwością zupełną starało się powstrzymać sejm od błędnego kroku i utrwalić go na drodze, którą w rzeczach wiary kroczyli przodkowie. Ta walka o najświętszą i najsprawiedliwszę sprawę okazała się jednak daremną. Zwyciężyli ci, którzy od dawna już usiłowali zdjąć religijne piętno z obyczajów społecznych, a państwo węgierskie wtrącić w odmęt tak zwanych nowych idei. Niemniej przeto koniecznem jest dalej bronić religii, której Węgry zawdzięczają przeważnie siłę swej organizacyi i sławę swego imienia, — i której często z podziwienia godną odwagą bronili od wszelkich nawałnic, kiedy straszliwi nieprzyjaciele bili w to państwo, — i którą wreszcie znaczna część narodu zachowała do dziś w nieskalanej czystości, a walczyła o nią z hartem, jak właśnie trzeba walczyć o najwyższe dobro.

Nie jest dziś Naszym zamiarem szczegółowo tłumaczyć, czem są te węgierskie ustawy. Nasi poprzednicy, w różnych czasach, wyjaśniali to dokładnie, jak prawda tego wymagała, a My sami na innem miejscu wykazaliśmy istotę chrześcijańskiego małżeństwa podług pojęcia wiecznej i niezmiennej nauki Kościoła. Nie pomijamy jednak i tej okoliczności, aby zgodnie z Naszym obowiązkiem wypowiedzieć to, co potrzebne. Ci, którzy powołani są do sądzenia o tych sprawach, przyznać muszą, że niebezpiecznie i niesprawiedliwie jest zmuszać katolików do takiej formy małżeństwa, którą Kościół stokrotnie potępił. Cywilne kwestye, wynikające z małżeńskiego pożycia, należą do władz świeckich; słuszną i sprawiedliwą jest rzeczą, aby one były im zostawione. Natomiast prawo łączenia stadeł należy wyłącznie do Kościoła, ponieważ moc kojarzenia nadał mu Chrystus Pan, odbierając małżeństwu charakter związku fizycznego, albo kontraktu, a podnosząc je do znaczenia sakramentu. Zbyteczna tu jeszcze wspominać o chrześcijańskim dogmacie, ustanawiającym jedność małżeńską i nierozwiązalność tego węzła. Jeśli odrzucone będą te dwa warunki, to zniknie sama podstawa, na której Jezus Chrystus ufundował chrześcijańskie państwo i chrześcijańską rodzinę. Nie dane jest żadnemu człowiekowi bezkarnie łamać boskich przykazań.

DUCH RELIGIJNY W ARMII AUSTRYACKIEJ.

W budżetowej komisyi parlamentu wiedeńskiego poruszyło kilku posłów: br. Morsey, Klun i Kozłowski, ważną, bardzo na czasie będącą sprawę troskliwszego pielęgnowania ducha religijnego w wojsku. Wszyscy mówcy zgodzili się, że niezbędnem jest zaprowadzić pewne reformy w instytucyi wojskowych kapelanów i starać się o pomnożenie zbyt szczupłej ich liczby. Szczególnie złe wrażenie wywołują marsze wojskowe w niedziele i święta. Katolicki żołnierz powinien mieć możność wysłuchania mszy św. w dzień świąteczny; przy dzisiejszych stosunkach wypełnienie tego obowiązku sumienia jest często wprost niemożliwem, a przecież nie przedstawiałoby to zbyt wielkiej trudności, aby kapelani towarzyszyli i na manewry swym pułkom i odprawiali dla nich mszę polową. Dziś zwłaszcza, wobec wytężonych usiłowań partyj przewrotowych, nie można obojętnie spoglądać, czy żołnierz w czasie służby wojskowej zachowa czy straci wiarę, a z wiarą sumienie.

*Ks. Jan Badeni.*

## Z Wiednia.

Misya w kościele św. Szczepana. — Wybory do rady miejskiej. — *Vaterland* o ostatnim liście biskupów galicyjskich. — Odczyt ks. Pawlickiego.

*Tempora mutantur.* Któżby się spodziewał za Józefa II., po jego patentach, iż w starożytnym tumie św. Szczepana odprawiać się będzie misya, i to z taką okazałością, przy najliczniejszym współudziale wiernych. Misya ta, rozpoczęta w sam dzień św. Józefa, gromadziła tysiące katolików koło słynnej kazalnicy, z której przez czternaście dni niezmordowani OO. Jezuici: Abel, Kolb, Forster i Widmann słowo boże z zapałem głosili. Pomiędzy słuchaczami z rozmaitych stanów zauważono również i członków domu panującego. Na konkluzyę misyi, którą odprawił JE. ks. kardynał Gruscha, zebrało się około 50 tysięcy ludu. Jeśli zważymy, że i konfesyonały, w których dwudziestu kapłanów do późnej nocy spowiedzi słuchało, były formalnie oblegane, to istotnie zawołać nam przyjdzie: Bogu dzięki! *Tempora mutantur.* Przez te dnie łaski bożej nowy duch wstąpił do starożytnej świątyni, w której nie brak reminiscencyj józefińskich, bo któż tu o tem nie wie, że owi dwaj

Cherubini wielkości naturalnej, adorujący *Sanctissimum*, w głównym ołtarzu, byli ze szczerego srebra, i że dopiero duch józeiński ich usunął a zastąpił drewnianymi. W katedrze na Wawelu było aniołków, które unosiły trumnę św. Stanisława, za wiele — tu w Wiedniu, były one za wspaniałe, by się nie miały podobać.

*Das Gespräch des Tages* tworzą tu wybory do rady miejskiej. Niektóre dzienniki zwą je Sedanem dla partyi liberalnej, i to nietylko do rady miejskiej, lecz i do Rady Państwa. Wyrażenie to jest trochę przesadne. Faktem jest, że antysemici liczą obecnie 63 mandatów, a liberalni z dzikimi 74. Jeden z dzienników francuskich wyraził się, że na czele partyi antysemickiej stoi kler w Wiedniu. Nie ulega wcale wątpliwości, że tak wyższy jak i niższy kler brał w głosowaniu liczny udział, lecz kierował się przytem zasadami chrześcijańsko-socyalnemi a nie antysemickiemi. Pewnem jest również, że wielu malkontentów z obecnego rządu w radzie miejskiej, z antysemitami głosowało, zwłaszcza że przyłączenie przedmieść do Wiednia, które liberalni przeforsowali, dotąd nie przyniosło żadnej korzyści obywatelstwu, prócz zwiększenia ciężarów. Z początkiem maja rozpocznie nowy magistrat swe urzędowanie, które z wielu względów będzie interesujące.

Wystąpienie episkopatu galicyjskiego obrz. łać. przeciw zgubnej działalności ks. Stojałowskiego komentuje organ katolicki *Vaterland* w ten sposób: Najniebezpieczniejszemi błędami są te, które się pojawiają pod zasłoną prawdy. Dziś, gdy cały świat polityczny socyalizmem się zajmuje, najzgubniejszemi są tak zwane socyalne tezy, co do których socyaliści wmówić czasem naiwnym usiłują, że Kościół katolicki głosił je i nauczał. Pożałowania godni są ci, którzy takich fałszów słuchają, chwytając się środków, które im rozgoryczenie i zgubę przynoszą. Z tego względu obowiązkiem jest czuwających nad prawdą Kościoła przestrzegać lud przed takiemi osobami i czasopismami. W Galicyi starał się ks. Stojałowski od kilku lat wrócić ludowi mniemane prawa przyrodzone, i rozwijał w tym kierunku agitacyę i słowem i czynem. Również i w Wiedniu miał on mowy na paru zebraniach, a niektóre dzienniki katolickie, często w dobrej wierze, bronić go usiłowały. Najprzew. Biskupi galicyjscy czuli się spowodowanymi wykazać owe kręte drogi, któremi ks. Stojałowski lud polski na manowce, pod płaszczykiem religii, sprowadzić usiłował; dlatego list ów pasterski ma doniosłość wielką nawet i poza granicami Galicyi. — Gdyby deputowany do Rady Państwa socyolog, ks. Szejcher, wprzód ten list pasterski był odczytał, pewnoby był w sprawie Stojałowskiego w Radzie Państwa nie wniósł

interpelacyi, bo nie można przypuścić, by profesor seminaryum św. Hipolita (St. Pölten), znany ze swych zasad chrześcijańsko-socyalnych, zastosowanych do nauki Kościoła, miał się identyfikować z nieprzyjaciołmi Kościoła. Zdaje się, że ks. Szeicher jako nieprzyjaciel koalicyi, ma żal do Polaków, i że szedł na lep i tu po probostwach dawniej rozrzuconej mniemanej obrony Stojałowskiego, w języku łacińskim i niemieckim, w której tenże przedstawił swój przedostatni proces jako niesprawiedliwy. List pasterski otworzy teraz niejednemu oczy.

W Towarzystwie Leonowem odbył się w poście szereg odczytów apologetycznych. Ostatni odczyt miał profesor uniwersytetu krakowskiego ks. dr. Stefan Pawlicki, znany tu już dawniej z odczytów o Renanie.

*Ks. K. Rychlik.*

## Z horodeńskiego powiatu.

### I.

Od Kołomyi począwszy, jadąc w południowo-wschodnim kierunku, wjeżdża się bitym krajowym gościńcem w tak zwany „durny kąt", na północ wzdłuż Dniestru się ciągnący. Dlaczego kąt ten tak nazwano, nie wiem, tu lud nie głupszy, jak gdzieindziej u nas, owszem, jak wogóle nasz lud, ma dużo zdolności do wszystkiego, i kąt ten zapadły wydał ludzi, zajmujących w kraju wybitne stanowiska. Podobno nazwano ten kąt tak dlatego, że pierwsze wrazenie sprawia niemiłe, głupio się robi każdemu, kto tędy pierwszy raz przejeżdża. Okolica od Kołomyi do Zaleszczyk jest jednostajna, dołami i pagórkami naprzemian poprzerzynana, istna potężna, długa, zębata piła. Z góry na dół i z dołu do góry toczy się po gościńcu mocno kuty, pocztowy wózek; jedzie się w nim jak po śniegu i grudzie, tak trzęsie niemiłosiernie, siedzący w wózku podróżny chroni obtłuczone należycie boki, i cofa się z respektem, jak może najdalej od ścian wózka, aby nie mieć z niemi najmniejszej styczności. Cały organizm w rucha, za to okolica, jak daleko okiem zasięgnąć, w spoczynku.

Począwszy od Gwoździca, coraz mniej drzew i wody; drogi pozbawione ozdoby zielonego wianka, ciągną się długim białym pasem, nakształt bladej gąsienicy. Rozglądasz się wokoło, patrzysz, zamykasz oczy, i na nowo otwierasz, a tu milami jedno i to samo widzenie prześladuje cię i towarzyszy natrętnie, jak zmora, którą trudno spędzić

z oczu. Kręcisz się niecierpliwie w wozie pocztowym, jak wróbel zamknięty w samotrzasku, podrzucasz się niechętny na siedzeniu, spluwasz niesmacznie, jak po sporym łyku octu i z niechęcią wzdychasz:

— Ach, kiedyż ta nudna jazda się skończy!

Jednostajność tę nużącą, wśród której opływa się obficie chyba w to, że boki są w ustawicznych obrotach, ile razy wóz w jamę zapadnie, lub na ostry szuter zajedzie, przerywają dość rzadko porozrzucane wsie, których dachy słomą kryte kurzą się na wszystkie boki od dymu; pozbawione kominów, mają owe dachy w strzesze jeden lub dwa otwory, któremi dym na zewnątrz się wydobywa — komin prowadzi od ogniska jeno do powały, stąd rozchodzi się dym swobodnie po całym strychu, a dwoma bocznemi owalnemi: otworami na dwór; ponieważ mu tych bocznych ujść za mało, więc buja sobie którędy chce i wychodzi którędy się przepchać może, i którędy mu najwygodniej. Gdy na dworze niepogoda, dżdżysto i mokro, wydobywa się dym z pod rąbków strzech i długiemi płachtami łączy je z ziemią, otacza sinym obłokiem chaty naokoło, tak iż ścian nie widać, ani strzechy, jeno ścielący się dym. Ledwie gość wpatrzy się z pewnem zainteresowaniem w te chaty i dymy, wnet niemile drażnią mu powonienie szeroko i daleko na wszystkie strony rozlegające się wyziewy spalonego nawozu, którego tu na opał używają; podróżny ze wstrętem odwraca głowę od strony, w której się dymi. Spragniony wzruszeń, w momencie tak jest obfitościąi ch zelektryzowany, iż łzy mu w oczach stają. Po przebyciu szczęśliwie osady, którą zamieszkują ludzie, można spokojnie po wrażeniach spoczywać, nic nie dojrzysz jeno słupy telegraficzne i długi biały gościniec, i naprzemian to dół, to pagórek, aż do ostatniej stacyi pocztowej. Kto przyzwyczajony do gór i lasów, ten pierwsze wrażenie przygnębiające odnosi; kto powierzchownie ten zakątek ogląda, nudzi się, doznaje wstrętu; kto gruntownie go bada, znajdzie tu także rzeczy, które mogą obudzić zajęcie. Przypatrzmy się naprzód ludowi — lud, to grunt wszystkiego!

Naprzód ubiór. Chłopi noszą w lecie na głowie słomiany kapelusz, który stroją chłopcy bardzo pięknie i malowniczo w pawie pióra, w kwiatowe wianuszki i gałązki drzew szpilkowych, te bowiem tu są rzadkością, i układają je naokoło przez całą wysokość cylindra. W zimie noszą na głowie czapki, w formie czepków, pod brodą zapinane, suknem lub skórą po wierzchu kryte, brzegi czapek, około głowy i twarzy lisiem futrem obłożone, tworzą kosmatą brodę, coś niby jak u rudego wyjca jak nas to w szkole uczono. Na śmiertelnej pościeli, a raczej na

katafalku, dostaje każdy, choćby jednodniowe dziecko płci męskiej, czarną baranią czapkę na głowę, w tej spoczywa w trumnie i chowa się. Rozmiar czapki z rozmiarem głowy często są w największej niezgodzie — ale to nie bierze się w rachubę. Reszta ubrania: w lecie serdak, to jest czarna, wełniana gunia, zarzucona gdy gorąco na opaszki, a pod szyją twardo spięta; w zimie idzie pod serdak kożuch, w lecie i w zimie przy domowych zajęciach używają mężczyźni i kobiety keptarków (są to kożuszki krótkie, do pasa sięgające, bez rękawów); inne części ubrania robią z domowego płótna — z wyjątkiem „sztanów", spodni, które zrobione są z grubej białej wełny, czasem czarnemi nitkami przeplatanej. Chodaki już całkiem z mody wyszły. Dziewczęta stroją, jak wszędzie, odkryte głowy kwieciem; wszczepiają, wszystkie bez wyjątku, w kosy, które zawsze naokoło głowy okręcają, jakby obręczą, dwa czerwone grube wełniane sznurki, które od uczesanych włosów bardzo pięknie odbijają; w nadzwyczajne uroczystości, np. wesele, robią na głowie dziewczyny bardzo piękną koronę z pozłotki. Osobną ozdobę w lecie stanowią u dziewcząt i niewiast wyszywania w kratki różnokolorowe, na rękawach koszul umieszczane, ciągną się one od ramienia począwszy wzdłuż rękawów, buchasto spadających, są bardzo piękne, trwałe, bo wełna farbowana nigdy tu barwy nie traci. Za spodnicę używa każda z niewiast prostej, wełnianej, brunatnej płachty z czerwonym szlakiem u dołu, u góry przy pasie w rąbki zebranej i do pasa przymocowanej, która ma tę dogodność, że gdy się znosi na jedną stronę, można ją na drugą bez nicowania odwrócić. Z przodu jest ta spodnica od góry do dołu otwarta, dwa przeciwne końce niezeszytej sukni schodzą się na przodzie razem, a dla oszczędzenia jej, podpinają się oba wolne końce w górę i za pas wpinają, bez względu na porę roku. W zimie najpiękniejsze twarze szpeci chustka, którą niewiasty i dziewczęta podwiązują sobie brody, jedne na gołe głowy, drugie na owinięte starannie chustką, nieraz białej barwy; zawiązują pierwszą chustkę, zwykle czerwoną, w guz na czubku głowy, tuż nad czołem, szerszą podstawę chustki pod brodę podkładając, co nadaje im pozór, jakby wszystkie zęby bolały, i szpeci je w zimie, tak jak czapki mężczyzn, zupełnie bowiem są w nich podobni do obrośniętych niedźwiedzi. Przedtem, co bogatsze niewiasty, ubierały się w buty z kolorowej skóry, żółte, czerwone, teraz to z mody wychodzi. Utrzymały się dotychczas kólczyki, które każda niewiasta nosi, choćby najuboższa.

Szczególniejszą troskliwością otaczają ciała umarłych: zmarłe dziewczęta stroją w korony z pozłotki, mężczyzn golą, bardzo schludnie

i czysto trupa ubierają, dopóki ksiądz trumny nie pokropi święconą wodą, ciała w nią nie kładą; dzieciom kładą na palec woskowy pierścień, wszystkim bez wyjątku małą świeczkę woskową w rękę.

Rola nadzwyczaj tu urodzajna, pszenica, lucerna, tytoń, konicz rośnie bujnie, jak las; kukurydza sieje się i dojrzewa, stanowi też najważniejszy produkt, którym potrzeby domowe się opędza. Na niej wypasają bezrogie, takiego pięknego gatunku i tak udatnie, że każdą sztukę można posłać na wystawę. Pastwisk tu mało, bydła rogatego nie trzymają, nabiału dostać trudno, za to trzymają owce i konie do pracy; paszy z roli jest poddostatkiem, szczególniej słomy, łąk za to brak zupełny, słomy huk, całe stogi, wielkie jak chałupy, szerokie jak obronne twierdze, czekają wymłotu z jednego roku na drugi, i u bogatszych zrastają w brogu. Dla obfitości darów bożych lud jest leniwy i do pracy i do myślenia ciężki; nim się ruszy, to robi mu to taki ambaras, jakby był do ziemi przygwożdżony, wiecznie stoi i drzemie, zamyślony o niczem, można go dziesięć razy najechać i przejechać nim się obróci, będzie stać godzinami, bez życia i ruchu; nim zapytany odpowie, trzeba sporo czekać. Kobiety z workami przewieszonemi przez plecy wystawają po drogach i rynku i wytrzeszczywszy oczy stoją bezmyślnie jak mumie. W okolicach Lwowa — takie nieruchliwe egzemplarze nazywają mamałygą. Przebija się ta ociężałość nawet w pieśniach, których melodya jest bardzo przeciągła i przewlekła. Pieśni w kościołach śpiewane przez przewlekłe przeciąganie takiej uległy zmianie, że straciły w melodyi całą piękność swoją i charaktery. Możnaby lud tu porównać do pociągu ciężarowego na linii Jarosław-Sokal, tak bezprzykładnie powolny.

Młodzież ma ochotę do tańca, zbiera się gdziebądź i kiedybądź, z muzyką lub bez muzyki, zawsze na otwartem miejscu i świeżem powietrzu, i kręci się wkoło, monotonnie, ospale, bez życia, niby mucha w mazi; do nabożeństwa nieruchliwa i nieskora, gdy idzie o to, aby choć kilka kroków do kościoła uczynić, ani rusz. Skutek tego jest ten, że o Bogu wie bardzo mało, przyparta jednak przed zamęściem do muru, bardzo łatwo potrafi prawideł wiary się nauczyć, ma bowiem dużo zdolności, ale uśpionych, tak jak jest dużo bogactwa w ziemi ukrytego.

Są tu całe góry kamienia, podobnego zupełnie do trembowelskiego, z którego stawiają płoty i tłuką szuter na drogi; głębiej w ziemi znajduje się gips biały jak alabaster; oba te materyały dadzą się zużytkować, gdy będzie kolej, obecnie korzyści nie przynoszą, bo dowóz do kolei utrudniony, furą dowozić nie opłaci się do dworca kolejowego w Kołomyi jest pięć i pół mili.

Lud w zimie przeważnie darmuje, na robotę do dworu nie chodzi, bo mało płacą, więc w długie wieczory zimowe wyrabiają w domach derki, chodniki na podłogi, worki, bądźto z kolorowych nitek wełnianych, bądźteż grube płótno przeplatają wełną, i na tem czas schodzi do wiosny. Piękne są te wyroby, trwałe, mocne nie do zdarcia; prawda, chcąc kupić, trzeba drogo zapłacić, bo z czystej są wełny, ale też i warto kupić.

Na wiosnę i w lecie czas do pracy, w polu orka, w domu młócą zboże na dworze, bo stodół i boiska tu niema, przygotowują z nawozu paliwo; robią z nawozu placki, te rzucają na ściany płotów, pomieszkań, suszą do słońca i wysuszone na zimę przechowują. Drzewa do budowli i na opał niema; po nawozie, jako materyał do budowy i palenia, służy słoma; słomą zmieszaną z nawozem się opala, ze słomy pomieszanej z błotem buduje się stajnia, a kto biedny, i dom mieszkalny; ze słomy stawia się płot, gdzie jest kamień, tam buduje się stajnie i ogrodzenia z kamienia, a wtedy wieś i każda zagroda wygląda jak twierdzą; inaczej stawia się płot, z badyli słoneczników, słomą spojonych i słomą do podłużnego belka przywiązanych. Ponieważ podstawa gruntu jest gipsowa, drzewo tu słabo się udaje, prędko karłowacieje i koszlawieje, dlatego też mało je sadzą, a drzew owocowych prawie nigdzie nie pielęgnują, chyba po dworach, a to z tej przyczyny, że skoro korzeń natrafi na opokę kamienną, wnet drzewo usycha; opłaciłoby się jednak nawet na te kilka lat, które drzewo wytrzymać potrafii, uprawy się podjąć, ale lud do wymyślenia czegoś nowego nieskory i za ciężki.

Oczywiście, jak wszędzie po wsiach wschodniej Galicyi, tak i tu lud w potocznej rozmowie używa jedynie języka ruskiego, i to nawet po miastach, Polacy *notabene* z ludu, rozmawiają z sobą jedynie po rusku. Tu Ruś górą! więc po wsiach jednego Polaka od drugiego trzeba szukać w odległości przynajmniej kilometra, i to jak się ich znajdzie na jedno gospodarstwo w ilości trzech głów, to bardzo pokaźna liczba, zwykle tu jeden, tam znowu gdzieś jeden, jak wyspy po morzu rozrzucone. Po polsku rzadko kiedy nadarzy się zdybać aby umieli, chyba pacierz, i to nie zawsze, nieraz umieją jedynie ruski. Osadzone pośród Rusinów mazurskie kolonie wynarodowiły się całkowicie, tak, iż prócz typowych twarzy mazurskich nic w nich polskiego nie zobaczysz. Rodzone Mazury: Szkwarek, Jonek, Soliński, Białecki, Zajączkowski teraz twierdzą, iż nazywają się: Szkwarok, Jonok, Sołyński, Biłeckij, Zajaczkiwskij; imiona chrzestne ruskie jak: Iwan, Wasyl, Dmytro, poprzedziły zmianę nazwisk; małżeństwa mieszane Rusinów z Polakami

dopełniły wprawdzie nie formalnego przejścia „na ruskie“, ale gruntownie wpłynęły na żywioł mazurski, tak, iż nawet poważna część Mazurów we wsi, bo prawie połowa, nietylko pozostała bez wpływu na żywioł ruski, ale sama całkowicie się wynarodowiła; obecnie ledwo pozostała pamięć ich polskiego pochodzenia, i to jedynie z używania języka polskiego przy pacierzu. Po wsiach, w których Polacy stanowią mniejszość, obchodzi nawet ludność polska święta ruskie. Nawet pieśni po kościołach śpiewane, uległy wpływowi języka ruskiego, tu rozpanoszonego; więc śpiewają z ruska: „Świentyj Boże, Świentyj mocnyj, Świentyj niesmiertelnyj“ itd., „Gwiazdo morża...“, „Boże wiecznyj, Boże żywyj...“ „Kiedy ranne wstają zorże...“ Jedynie kościół trzyma lud przy jego narodowości, ale wpływu swego odpowiednio nie jest w stanie zaznaczyć: co wieś to cerkiew, a nawet na jedną wieś po dwie, a kościołów bardzo mało; na cały powiatowy okręg śniatyński dwie tylko są polskie parafie, a w horodeńskim jedna parafia polska, trzy, cztery mile odległa od drugiej. W dodatku jest tu w zwyczaju, że pogrzeby odbywają się nie na cmentarzu parafialnym, ale każda wieś grzebie swoich umarłych na miejscowym cmentarzu; nabożeństwo z tej okazyi trzeba odprawić w cerkwi, stamtąd bierze Polak światło, krzyż, katafalk na pogrzeb, lud w ten sposób jednoczy się z cerkwią, ona staje mu się swojską, a od kościoła odzwyczaja, gdyż mniejszą ma z nim styczność; blizkość cerkwi te węzły jeszcze bardziej zacieśnia, stąd też trafiają się polscy parafianie, którzy ledwie raz na rok, i to do wielkanocnej spowiedzi, a więc z konieczności, idą do kościoła; za to wszystko, co umie czytać, chętniej garnie się do kościoła, niż do cerkwi. Wpływ polskiego proboszcza na parafian jest bardzo ograniczony. Opowiadał mi organista, który pięćdziesiąt lat służy przy jednym z tutejszych parafialnych kościołów:

— Zapamiętałem za mej służby w naszej parafii proboszczy sześciu, bardzo gorliwych, ale co z tego; ze wsi przychodzą ludzie do kościoła tylko wtedy, jak mają jakiś interes; na co im tego, mają w miejscu cerkiew! Odwykają od kościoła, a potem trudno im naukę i kazanie wyrozumieć, a już rozmówić się z nimi po polsku, ani rusz. Przychodzi nasz parafianin ze wsi do księdza swego i powiada:

— *Sława Isusu Chrystu! Proszu daty kartoczku, aby nasz* (tj. miejscowy ruski) *ksiendz, dytynu pochowały, bo pomerła.*

Nic to dziwnego—sprowadzenie własnego kapłana połączone z ambarasem i kłopotami, a tu lud „wygodnicki“. Nawet kolenda, która gdzieindziej moralną i materyalną przynosi korzyść, tu ani jednej, ani dru-

giej; jest to ofiara ze strony kapłana, do której nietylko trzeba dołożyć ze swej kieszeni, ale jeszcze w dodatku trzeba się narazić na to, że parafianin na wsi tuż przed nosem księdza drzwi zamknie: tak obcy jest lud dla swego kapłana i obrządku. Robi się co się da jedynie w ten sposób, że pilnuje się młodzież w szkole, i bez względu na liczbę i odległość trzeba pilnować szkoły w dzień zwykły a katechizacyi po kaplicach w niedzielę.

Dawniej jaką taką podporą dla duchowieństwa polskiego były dwory, obecnie pomoc ta upadła, dwory przeszły w posiadanie Żydów, którzy wprawdzie ludu nie psują, a jak szanują swoje przekonania religijne, tak i obcych nie poniewierają, ale swoją drogą, żadnemu księdzu pomagać nie myślą, bo im to do interesu wcale niepotrzebne. Ludowi prostemu w sprawach wiary w głowie niejasno; chodzi do kościoła, do cerkwi, ale bierze też udział i w sąsiednich prawosławnych cerkwiach na Bukowinie, z okazyi prażników, w nabożeństwie. Rusin święci niektóre z głównych świąt polskich, z obawy aby Pana Boga nie obrazić; przed księdzem idącym z wiatykiem nie klęknie, a skoro bez Sakramentu się jedzie, to klęka; w kościele nie wie co robić, gdzie się podziać, rzuca błędnemi oczyma na wszystkie strony, przed każdym obrazem żegna się i klęka.

W stosunku do drobnej hałastry żydowskiej lud tu trzyma się twardo i odpornie, wyzyskiwać się nie daje; pominąwszy jednostki, częściej skarżą chłopi Żydów, niż Żydzi chłopów, i uczą Żydów rozumu.

W ostatnich czasach starali się ruscy radykali lud wiejski wziąć w swoją opiekę, rozruszać, do życia pobudzić, a przedewszystkiem przeciw księżom zbuntować; gdzieniegdzie lud dał się rozruszać, z natury jednak ostrożny, podejrzliwy, surdutowcom nie całkiem dowierza, choć gazety radykalne po cichu czyta; niektórzy przejęli się nowym prądem, zwłaszcza zasobniejsi, ci otwarcie ze swemi zasadami się wyznają, ale takich mało. Na polskich księży ruscy radykali dotychczas się nie rzucili.

— My jeszcze w was trocha wierzymy, — mówią w zaufaniu prowodyrowie radykałów — pracujecie nad ludem uczciwie, szerzycie oświatę, nie zdzieracie; co do religii katolickiej dużo mamy wątpliwości, dlatego w pismach nieraz je poruszamy.

Słuchamy spokojnie tych wynurzeń przyjacielskich z tą niezbitą nadzieją, że po religii i na nas kolej przyjdzie.

Kiedy wspominam o radykałach, nie od rzeczy będzie wspomnieć o jednym charakterystycznym fakcie:

W jednym z tutejszych dworów, który Żydzi w dzierżawie trzymają, służący dopuścił się zniewagi przeciw imieniu Jezusa i Maryi, w słowach bardzo obelżywych; usłyszeli Żydzi i o zniewagę imienia bożego do sądu zaskarżyli.

(Dok. nast.).

*Ks. Rokosz.*

## List pasterski Biskupów galicyjskich a pisma ks. Stojałowskiego.

Kiedy chrześcijanin, kiedy zwłaszcza kapłan, zwracający na siebie uwagę społeczeństwa, stacza się po tej fatalnej pochyłości, której końcem jest odstępstwo od Kościoła i od Chrystusa — jest w tym okresie upadania pewien punkt, w którym przestroga zwierzchników Kościoła jest najpotrzebniejsza i najbardziej na czasie, tak w interesie tego samego który upada, jak i dla dobra chrześcijańskiego społeczeństwa. Gdyby się stoczył ów nieszczęśliwy — co nie daj Boże! — aż do jawnego buntu i zupełnego zerwania z Kościołem, wówczas dla niego już głos Kościoła byłby głosem zupełnie obcym, niezrozumiałym; dla wszystkich zaś wiernych, nawet bez przestrogi Biskupów, jawnemby było, że mają przed sobą apostatę. Ale zanim taka fatalna przyjdzie ostateczność, jest faza przejściowa, w której człowiek już się przeciwko wiecznemu prawu buntuje, a jeszcze się do buntu ani przed sobą ani przed światem nie przyznaje; już naucza przeciwko nauce Kościoła, a jeszcze się na tę naukę powołuje, — zwłaszcza kiedy kościelne otrzymał wykształcenie — szermuje zdaniami Pisma św. i kanonami, — i majestatyczne słowa Boże, wplecione w namiętne wywody, służą w jego ustach i pod jego piórem jako tarany do burzenia bożego porządku świata i Kościoła.

W takiej fazie, jak każdy widzi, głos przestrzegający o tem, że ten człowiek czyli ten kapłan upada, jest potrzebniejszy niż kiedykolwiek. A od kogo ten głos wyjść powinien? Od Biskupów. Taki jest Chrystusowy porządek w Kościele i taka odwieczna praktyka. Biskupi są z ustanowienia bożego pasterzami owczarni Chrystusowej, nauczycielami i stróżami wiary; na to urząd i łaskę mają, aby spostrzegali w rejonie swoim początki złego i przestrzegali wiernych; wiernych zaś religijnym obowiązkiem jest tych przestróg słuchać. Papież, w normalnym porządku rzeczy (abstrahując od apelacyi), wtedy z najwyższą swą powagą wkroczyć winien, kiedy Biskupi miejscowi zanie-

dbali lub nie mogli zła w zarodzie stłumić, i fala przeskoczywszy tamy przez nich stawiane, ogółowi Kościoła szkodę wyrządzić może. Ktoby zaś nie chciał ulegać kierownictwu Biskupów dla tej racyi, że ponad nimi jest jeszcze Papież, tenby zupełnie przewracał Chrystusową budowę; ten występowałby przeciwko całej kościelnej władzy z Papieżem włącznie, bo jeden jest pierwiastek władzy kościelnej i jedna zasada posłuszeństwa Kościołowi należnego. I dlatego bunt przeciwko Biskupom zawiera wirtualnie bunt przeciwko Papieżowi i logicznie (a zwykle też faktycznie) do niego prowadzi.

Wobec tego, zbiorowy List pasterski Biskupów galicyjskich, dający naszemu krajowi taką przestrogę względem pism i działalności ks. Stojałowskiego, jest czynem życia kościelnego wielkiej doniosłości.

Już przed rokiem nieszczęśliwy ten kapłan do tego punktu był doszedł, że Biskupi widzieli się zmuszeni zakazać wydawane przez niego gazety. Powodów było do tego niestety aż nadto. Pisemka te szerzyły ciągle nienawiść między społecznemi klasami, miotały pogardę na klasy przewodnie, nieustannemi obrzucały je skargami, i tą strawą lud wiejski karmiły. Chcemy wierzyć, że celem piszącego nie była nienawiść, lecz zastąpienie posłów z obywatelstwa przez posłów włościan, w dalszym planie polityczne podniesienie ludu i t. p.; ale jakikolwiek był cel, bezwarunkowo środek był zły. Przecież i socyaliści mają cele, które w pewnej części dają się usprawiedliwić, ale dlatego są czynnikiem złym, że złych używają środków, a przedewszystkiem bardzo podobnego szerzenia nienawiści klasowej i wiecznego skarżenia o nadużycia wszystkich władz i wszystkich ludzi zamożniejszych. Socyalistów nic nie krępuje w tej akcyi, jak tylko wzgląd na paragrafy kodeksu karnego, ale ks. Stojałowski wiedzieć musiał, że społeczeństwo nie stoi wyłącznie na paragrafach i żandarmie (jak uczą prawnicy na Kancie wychowani), lecz na podstawach moralnych, na duchowej solidarności, na wzajemnem zaufaniu i życzliwości; więc też kto ten nastrój duchowy składników społecznych targa, ten — chociażby o paragrafy nie zawadził i w sądzie wygrał — jednak podwaliny społeczeństwa istotnie podkopuje. Ks. Stojałowski wiedzieć musiał, że w społeczeństwie chrześcijańskiem te moralne podwaliny są podwójnie święte, bo Pan Jezus je namaścił i umocnił swą życiodajną miłością; więc kto te podwaliny narusza, ten sam rdzeń Chrystusowego dzieła rani.

Nie koniec na tem: społeczeństwo ma czuwającą nad sobą zwierzchność duchowną i świecką. Podkopując jego podstawy, ks. Stojałowski spotkać się musiał z oporem obu zwierzchności, a konsekwentnie toczyć

z obiema walkę. Walczył też z obiema jednakową metodą, tj. rzucając nieustanne skargi na osoby zwierzchników, podrywając ich powagę, podłe podsuwając im cele, a z błotem mieszając podrzędne organa, które wiernie przy nich pełniły swój obowiązek. Jaki skutek musi mieć między wiejskim ludem taka propaganda?! Smutno jest czytać w *Wieńcu* i *Pszczółce* pełne nieuszanowania przemówienia o Biskupach i nawet do Biskupów — smutno czytać obelgi miotane na księży posłusznych swej zwierzchności, przezywanie ich „czarną policyą", podżeganie chłopów do spisywania ich imion i podawania ich redakcyi — ale jeszcze smutniej, jeszcze boleśniej jest czytać w listach włościan, korespondujących do tych pisemek, jak się ten jad przyjmuje w ich sercach, z jaką bezczelnością oskarżają księży, że „samego Ojca św. głos lekceważąc (tak pisze niejaki Starsiak w n-rze 5 *Wieńca)*, z ambon krzyczą na naród (czytający te pisma), zbezczeszczają go, plugawią i rzucają klątwy, a co najgorsza, do takich czynów używają nawet konfesyonałów"! — Jaki stopień obałamucenia ludu zdradza takie dotykanie świętości ambony, sakramentów, takie traktowanie księży uległych Biskupom — tj. prawie wszystkich księży naszego kraju?!... Mój Boże! do czegóż to prowadzi nasz biedny lud?

Taki już był wogóle kierunek tych pism przed przeszłorocznym zbiorowym Biskupów zakazem — ale po zakazie stał się jeszcze zgubniejszym. Zmieniwszy nieznacznie tytuły swych gazetek, kapłan-redaktor pisał dalej jak przedtem, wystawiając sobie, że przez to zadość czyni zakazowi Biskupów i obietnicy danej w Rzymie zaniechania tych pism — zapomniał snać, że w Kościele nie o formę idzie ale o rzecz, nie o paragraf lecz o sumienie.

Nietylko pisał jak przedtem, ale, jak powiedziałem, gorzej niż przedtem. Przeszłego roku jeszcze ks. Stojałowski zajmował raczej stanowisko demagoga niż socyalisty, uderzał na szlachtę jako na kastę, ale walczył także z socyalistami, ludowi tylko polityczne przedkładał programy. Obecnie, pod wpływem swego zapędu i środków jakich używał, przysunął się do socyalizmu, tak blizko — że już doprawdy chwilami granicy nie widać. Spadanie nieszczęśliwego księdza, już dawno rozpoczęte, musiało posunąć się dalej.

Okazyą do tej ewolucyi było wyparcie się go na polu politycznem przez „Związek chłopski". Na wiecu sandeckim Związek, zrażony wieczną polemiką ks. Stojałowskiego z Duchowieństwem, zrywa z nim uroczyście, odbiera jego pismom charakter organu Związku i nowy własny organ zakłada. Jest to dla ks. Stojałowskiego cios śmiertelny.

Ale on, jak Anteusz, po każdym ciosie żywy powstaje — jeżeli nie w tej, to w innej postaci. Związek chłopski z nim zerwał, on zakłada „stronnictwo chrześcijańsko-ludowe“. A że tym razem chłopi hurmem od niego się oddalają, on zbliża się do robotników. Począwszy od 2-ej niedzieli stycznia, *N. Pszczółka* przybiera dodatkowy tytuł: „pismo dla chrześcijańskich klas pracujących“. I nietylko tytuł, ale i treść zaczyna coraz mocniej socyalizmem pachnąć. W artykule wstępnym tegoż n-ru powiada ks. redaktor, że lud „chce dzisiaj nietylko chleba, ale i klucza od śpichlerza — którym jest powszechne głosowanie“. „Chleb mu się najpierw należy, bo on ten chleb wytwarza (słowo w słowo za Marxem). Ale i klucz od śpichlerza nie potrzebuje być w ręku tych, co sobie biorą czelne ziarno a ludowi zostawiają poślad“. I dalej rzuca hasło: Powszechne głosowanie środkiem do rozdzielania chleba tak, aby nikt nie był głodny — z wyjątkiem tych, co nie pracują (tj. burżuazyi). Czego więcej chce Bebel? — W tymże n-rze *Pszczółki* między „Rozmaitościami“, znajdujemy cały szereg historyjek o robotnikach przymierających z głodu, o samobójstwie robotnic z rozpaczy, o nadużyciach policyi... zupełnie tak samo jak w dziale rozmaitości *Naprzodu* i *Nowego Robotnika*, którzy wciąż tą strawą lud roboczy karmią.

Ale jeszcze charakterystyczniejsze są zdania w Liście pasterskim przytoczone i napiętnowane. „Nie jest wolą bożą, aby jeden miał dużo, drugi mało, bo ziemia jest dla wszystkich... nie Bóg, lecz chciwość ludzka sprawia, że jeden zgarta co setki rąk zapracowały... tyle twego co uczciwie zarobisz, wszystko inne równa się kradzieży i jest naruszeniem siódmego przykazania bożego“. Jest to wyraźne postawienie równości mienia, nietylko jako aspiracyi, lecz jako zasady i prawa nieodzownego, i wyraźne potępienie i za kradzież poczytanie wszelkiej własności, oprócz tego co się osobistą pracą zarabia. Jeżeli to nie jest kwintesencyą socyalizmu, to czemże jest socyalizm? — A jak — pytam jeszcze — jak nasi włościanie i robotnicy rozumieć muszą takie zasady przez kapłana-redaktora głoszone?

Ci, którzy do *Wieńca* i *Pszczółki* pisują, do tego doszli, że łżą pisma, łżą kapłanów, którzy ich ostrzegają, że socyalizm grozi wierze, owszem otwarcie socyalistom największe względem ludu zasługi przypisują. Ot np. jak stylizuje te myśli, posługując się frazeologią z *Wieńca* i *Pszczółki* zaczerpniętą, niejaki Adam Klimczak (w dodatku do n-ru 9 *Wieńca*): „A ty *Dzwonku*, ty lizuniu stańczykowski, co mówisz, że socyaliści chcą odebrać ludowi wiarę... toć przecież nieprawda, bo lud

przywyknięty do kapłanów i do Kościoła, i ich (socyalistów) słucha. Ale też umie już odróżnić złe od dobrego. A ty niegodny *Związku* co mówisz, że kto słucha socyalistów, kto się z nimi łączy, ten robi szkodę Kościołowi i sam sobie i swojej ojczyźnie, to nieprawda, bo któż żąda prawa głosowania, ustawy drogowej, łowieckiej, porównania obszarów dworskich z gminami? kto, jeśli nie socyaliści? Precz *Nowy Związku* za siódmą górę, z twoim ulubionym *Krakusem*, na śmiecisko lizuniu stańczykowski!...“ I kończy się ten list przytoczeniem słów ks. Stojałowskiego, które do tych szaleństw imię Boga i powagę papiestwa, niby pieczęć przykładają: „Ufajmy... i nie dajmy się! z nami Bóg, bo z nami Namiestnik boży!“

Nic dziwnego, że po takich awansach ze strony redakcyi *Wieńca* i *Pszczółki* urzędowy organ socyalizmu *Naprzód* czuł się także w obowiązku zbliżenia się do ks. Stojałowskiego, i zwłaszcza z okazyi jego procesu cieszyńskiego ciepło o nim przemówił. A nawet *Przyjaciel ludu*, w którym jeszcze więcej tkwi wstrętu do księżej sukni niż socyalizmu, i który na dawne przymilania się ks. Stojałowskiego, warczeniem odpowiadał, teraz się jakoś dla niego udobruchał; do tego doszło, że w tej chwili p. Stapiński opiekuje się notorycznie *Wieńcem* i *Pszółką*. Takie zbratanie się jest dla nieszczęsnego księdza zasłużoną niestety karą — i oby mu była przestrogą! Nic też dziwnego że Biskupi pod jeden zakaz podciągnęli pisma ks. Stojałowskiego razem z pismami socyalistycznemi *Naprzodem* i *Przyjacielem ludu*.

Więcej jeszcze powiedzieć muszę: działalność ks. Stojałowskiego jest pod jednym względem zgubniejsza nawet od działalności socyalistów — i to pod ważnym względem. Oni przemawiają tylko do namiętności ludu, on idąc w tymże kierunku, potrąca wciąż strunę najszlachetniejszą w duszy ludu, bo strunę religijną. O tyle więc jest mocniejszy i niebezpieczniejszy od nich. Nietylko wciąż się powołuje w swych polemikach na swój charakter kapłański, ale posługuje się świętościami, które kapłaństwo złożyło w jego rękach. Słowa, które Pismo św. mówi bogaczom, aby skarcić ich zbytki i przynaglić ich do miłosierdzia, on predykuje ubogim, aby budzić w nich zawiść i pogardę dla możnych; słowa zaś, któremi Pismo do ubogich przemawia, ucząc ich cierpliwości, pracy, godzenia się z wolą Bożą, podnoszenia myśli do nieba, gdzie ich czeka królestwo — te słowa, które kapłan piszący dla ludu przedewszystkiem powinienby wpajać, w jego pismach są całkiem pominięte. I w taki sposób, z prawdziwych słów Pisma układa się nauka dyametralnie Pismu św. przeciwna (co zresztą nie jest nowiną w dziejach

Kościoła). Ot np. w 3 n-rze *N. Pszczółki*, pisząc do ludu o stajence Betleemskiej, zamiast mówić o pokoju, który zwiastowali anieli, on prawi o krzywdzie, która się ludowi dzieje, że zamiast stać na przodzie, przed mędrcami, stoi na tyłach. — W n-rze 6 *N. Wieńca*, po gwałtownej odezwie, w której z więzienia werbuje chłopów do nowego „Towarzystwa chrześcijańsko-ludowego", aby składali po 50 ct. na jego pisma, kończy rzecz słowami św. Pawła, nazywając się „więźniem Chrystusowym" i świadcząc się, że „ani przeciwko zakonowi ani przeciwko cesarzowi nic nie zawinił". — W n-rze 6 *N. Pszczółki* wprost komentuje psalm IX. „dla pociechy, jak powiada, swoich czytelników pracujących, a przestrogi tych, którzy podejrzewają jego prawowierność". A jak komentuje? Najprzód łaje księży, którzy mówią brewiarz, a na to uwagi nie zwracają. Potem psalm, opiewający o sądzie i sprawiedliwości bożej, tak wykłada, jakoby wyłącznie krzywdy ubogich (a nie także ich grzechy) były przedmiotem tego sądu i jakoby wymiar sprawiedliwości jeszcze na ziemi nastąpić musiał. — W n-rze 8 *N. Pszczółki*, zdając sprawę z zasądzenia swego w Cieszynie, przyczepia do niej słowa Chrystusowe: „Ta jest godzina i moc ciemności. Ale ufajcie Temu, który powiedział: ‚Jam zwyciężył świat'". — W n-rze 8 znów *N. Wieńca*, biorąc assumpt z listów pasterskich o poście, puszcza się na osobliwe tłumaczenie tego przykazania, które od kiedy Kościół Kościołem pewnie nikomu na myśl nie przyszło. Otóż Kościół każe w czasie postu nie jeść mięsa — ale nasz lud cały rok mięsa nie je — co stąd wynika? Chyba to, że Kościół po macierzyńsku postępuje, nie chcąc obarczać ograniczeniem w jedzeniu tych, którzy cały rok lichą i ledwo dostateczną strawę mają, a całe brzemię tej pokuty wkłada na tych, którzy dobrze jedzą. — Gdzież tam! Ks. Stojałowski wyciąga stąd wniosek, że każdy powinien mieć zwykle przez cały rok mięsa do sytości, że taka jest „myśl Kościoła", takie znaczenie tego przykazania, inaczej to przykazanie Kościoła byłoby „przedrzeźnianiem najmniejszych jego dziatek!" Więc (konkluzya) wy Biskupi i księża, którzy predykujecie post, starajcie się o to, żeby każdy miał codzień mięso na stole — to jest wasz obowiązek. A wy wszyscy, którzy dotąd codzień mięsa nie macie, wiedzcie, że się wam krzywda czyni! — Śmiaćby się chciało, gdyby nie była rzecz tak bolesna, jak jest zatruwanie duszy ludu.

Nakoniec, co w Liście pasterskim doskonale jest wyłożone, samej promiennej osoby Ojca chrześcijaństwa czepia się nieszczęsny ks. Stojałowski, nie żeby mu paść do nóg z wyznaniem: *Pater, peccavi*, ale żeby pokryć rąbkiem jego białej szaty swą antykościelną, zganioną

w Rzymie, zakazaną w kraju robotę. W tym sensie usiłuje on tłumaczyć papieskie błogosławieństwo, które się nikomu proszącemu nie odmawia. Do takiej nawet małostki się posuwa, że tytuł monsignora, który mu w imieniu Ojca św. przed rokiem odebrano, uporczywie zachowuje, żeby się bądź co bądź wydawało ludowi, że przecież coś papieskiego w nim siedzi.

Wobec takiego postępowania człowieka kapłańską szatę noszącego, jakżeż stojący na straży Kościoła Biskupi nie mieli ponownie wystąpić i ostrzedz lud, ostrzedz kraj cały, że to nie kościelna robota, nie duch Kościoła, ale duch wręcz przeciwny, od którego chronić się trzeba! Przestroga biskupia już zbawiennie na lud oddziaływa — ci, którzy jeszcze nie przejrzeli, są już nieliczni i — chyba uporczywie ślepi. A czy oddziała też ona kiedy zbawiennie na samego nieszczęśliwego, który się w naszych oczach w bezdeń zapada?... Poznawszy go z dobrej strony przed laty, nie mogę wyrwać z głębi serca reszty przywiązania, które się wówczas zadzierzgnęło. Piszę z bólem serca te smutne rzeczy — bo prawda i obowiązek publicysty względem społeczeństwa mię do tego przynaglają — ale nie mogę się zgodzić z myślą, żeby on już był stracony, nie mogę nie żywić nadziei, że jeszcze nad brzegiem przepaści się zatrzyma.

*Ks. Maryan Morawski.*

Druk ukończony 1 maja 1895 r.

# POSTĘPY PRAWOSŁAWIA W GUBERNII KOWIEŃSKIEJ.

Za czasów byłej Rzeczypospolitej w granicach dzisiejszej gubernii kowieńskiej, pomijając jej południowo-wschodnią część, która geograficznie i etnograficznie należy do Rusi Białej — było kilka cerkwi prawosławnych. Najstarożytniejsza istniała od r. 1510 w Surdegach (pow. wiłkomierski); założył ją Bogdan Szysz-Stawiecki. Prawnuczka założyciela, Anna Szyszanka-Stawiecka, zamężna Biellewiczowa, w zamian starej drewnianej cerkwi, wznosi w r. 1625 murowaną, której w r. 1636 leguje folwark Woździele, jak to stwierdzają akta urzędowe; przy niej od r. 1550 istniał klasztor męski, który unii nigdy nie uznał. Cerkiew i klasztor istnieją dotąd.

Była też cerkiew w Kownie, zniesiona z rozkazu Zygmunta III. w r. 1620-tym. Ostatnią cerkiewką była cerkiew w Kiejdanach; wzniósł ją około 1648—1650 r. książe Janusz Radziwiłł dla swej żony Maryi, Lupulanki z domu, prawosławnej, i zapisem wieczystym zapewnił fundusze potrzebne, ale po r. 1795 upadła ona. Słowem, w początku bieżącego wieku istniała tylko jedna cerkiew w Surdegach, przeważnie dlatego, że posiadała bardzo stary obraz N. Panny, uznawany za cudowny przez filiponów [1]; w r. 1812-tym ze składek prywatnych odrestaurowano ją gruntownie. W r. 1825-tym jenerał-lejtenant Bezobrazow z fundu-

[1] Filiponi — to odszczepieńcy (raskolnicy) kościoła prawosławnego bezpopowcy, podzielający naukę Filipa (filipow. tołka).

szów własnych dźwiga cerkiewkę w Kiejdanach, znajdującą się w ruinach.

Pierwszy ślad rządowej propagandy prawosławia spotykamy nieco wcześniej: już w r. 1824-tym Aleksander I. rozkazał piękny, ale zniszczony kościół pojezuicki w Kownie przerobić na cerkiew parafialną, którą poświęcono w roku następnym. Ale dopiero w kilka lat po upadku powstania Listopadowego rząd energicznie zakrzątnął się w tym kierunku; w roku 1838 poświęcono cerkwie w Nowo-Aleksandrowsku (b. miasteczko Pojeziorosy) i Widzach, zbudowane kosztem skarbu; w r. 1839 cerkiewki unickie w Podubisiu (pow. szawelski), oraz we wsiach pow. nowo-aleksandrowskiego: Kozaczyźnie, Wiesiołowie i Wenusowie, przerobiono na cerkwie prawosławne; pierwszą zbudował w r. 1745 Jan Butler, drugą zaś w 1789 r. Rafał Kwinto, trzecią przerobiono ze zboru kalwińskiego w 1730 r. W r. 1842 kosztem państwa wzniesiono cerkwie w Wiłkomierzu i Rosieniach.

Ogółem było już 9 cerkwi: ośm parafialnych i jedna filialna w Kiejdanach, oprócz 2-ch cerkwi klasztornych, w Surdegach i Pożajściu, gdy N. Synod zażądał od Józefa Siemaszki, arcybiskupa litewskiego, projektu urządzenia w Kownie osobnego wikaryatu prawosławnego [1]. Rozumie się, arcybiskup projekt przedstawił i poparł gorąco; wikaryat założono i zamianowano Platona, ihumena z Wilna, biskupem kowieńskim; na miejsce zaś pobytu wyznaczono mu klasztor w Pożajściu, około Kowna. Jednocześnie też cerkiew parafialna w Kownie uznaną została za katedralną [2]. Rychło atoli okazało się, że klasztor w Pożajściu nie jest miejscem właściwem na rezydencyę biskupią, przeto Siemaszko zaczął starać się o przeniesienie katedry swego wikaryusza do Kowna i w tym celu gorąco a natarczywie [3] domagał się oddania duchowieństwu prawosławnemu kościoła i klasztoru podominikańskich, bo proponowany wraz z kościołem klasztor pofranciszkański był mały i niedogodny; ale starania te spełzły na niczem: 23 maja 1850 r. Mikołaj I. rozkazał kościół pofranci-

[1] Ukaz z dnia 28 kwietnia 1843 r. Nr. 4954.

[2] 26 kwietnia 1844 r.

[3] Podania do N. Synodu $^{4}/_{1}$ 1846 r., $^{10}/_{3}$ 1847 r. oraz $^{2}/_{11}$ 1848 r.

szkański przerobić na cerkiew, gmachy podominikańskie oddać na gimnazyum, pogimnazyalne zaś, duchowieństwu prawosławnemu. W ten sposób katedra biskupia została przeniesioną do Kowna. Kościół pofranciszkański przerobiono na cerkiew, uznaną za filialną [1], podominikański zwrócono katolikom, ale zabrano go w r. 1866-tym; o tem jednak — potem.

Wracam do rzeczy.

Ustanowienie wikaryatu ożywiło propagandę prawosławia, prowadzoną jak zwykle środkami państwowemi; wskutek doniesienia wikaryusza, Siemaszko pisał [2] do N. Synodu, że w Poniewieżu, Szawlach i Telszach duchowni, zamianowani jeszcze w r. 1840-tym, „odprawiają nabożeństwo w cerkwiach, urządzanych czasowo i bardzo niedogodnie w domach prywatnych... wedle naznaczenia policyi *(po otwodu policyi)*, co miejscowej ludności katolickiej daje niezaszczytne pojęcie i o prawosławiu i o opiece nad niem władzy“ — przeto prosił, by w tych miastach wzniesiono na koszt skarbu cerkwie drewniane lub na nie przerobiono istniejące kościoły. Taki też los spotkał kościół popijarski w Poniewieżu, który przerobiono na cerkiew na koszt ministeryum wojny, poświęcono i uznano za parafialną w 1849 r.; nawiasem dodam, że z klasztoru powstały koszary wojskowe. Na tem się skończyło: cerkwie w Szawlach i Telszach wzniesiono dopiero po powstaniu 1863 r., ale sprawy nie zasypiano.

Już w r. 1848 odbyła się pierwsza wizyta kanoniczna; wykazała ona konieczność założenia cerkwi w Antoleptach, „bo około tego miasteczka mieszka przeszło 3000 filiponów i kilka rodzin prawosławnych“, oraz w Bracławiu. Tej „konieczności“ zaradzono w Antoleptach bardzo rychło i prosto: w roku 1851 kościół poklasztorny zabrano na cerkiew! W Bracławiu zaś budowę cerkwi drewnianej ukończono dopiero w r. 1861.

Tu należy nadmienić, że w tym okresie wzniesiono jeszcze dwie nowe świątynie prawosławne: w 1857 roku Kajsarowowa w Zamku Raudańskim, należącym do niej, zbudowała prześliczną

[1] Ukaz N. Synodu z dnia 26 maja 1854 r.
[2] 24 lutego 1844 r. za Nr. 339.

cerkiewkę, tudzież ze składek publicznych wymurowano w r. 1862 cerkiew na cmentarzu prawosławnym w Kownie [1]. Wogóle w r. 1863 było cerkwi: parafialnych 12, filialnych 4, oraz 2 klasztorne.

Po upadku powstania 1863 r. nastąpiła gwałtowna rusyfikacya kraju; do najodpowiedniejszych środków zaliczono rozpowszechnienie prawosławia wraz z kolonizacyą. Zadanie było bardzo trudne i złożone: łatwo złamano zewnętrzne formy potęgi katolicyzmu, bo tu dość było nakazów prawnych i administracyjnych, ale potęga wewnętrzna pozostała czas niejaki nietkniętą... potem zaczęła widocznie chylić się do upadku. Wogóle atoli silne ciosy, zadane katolicyzmowi, wyszły nie na korzyść prawosławia, ale wolnomyślności, która wśród wyższych klas społecznych rozpowszechniła się bardzo szeroko. Prawosławie zaś nie posiadało żadnej siły wewnętrznej [2]. Ze względów politycznych nie można było uciec się do nawracań przymusowych, a zresztą nie było do tego ani najmniejszych pozorów: lud litewski zawsze wyznawał katolicyzm lub kalwinizm... Pozostało więc tylko nadawać zewnętrzne cechy prawosławne krajowi katolickiemu, troszczyć się o wiarę kolonistów, sprowadzanych *dla usileńja ruskoj narodnosti w Litwié*, usilnie propagować prawosławie wśród filiponów i ludu litewskiego... Rzeczywiście cerkwi namnożyło się, otoczono prawosławie potęgą zewnętrzną, blaskiem i bardzo gorliwą opieką policyi i żandarmeryi, oraz nawrócono kilkaset filiponów na t. zw. *Jedinowierje*, ale na tem się skończyło... W ciągu lat 30 przyjęło prawosławie około 150 katolików i jeden kalwin, p. Cerawski, nauczyciel publiczny.

Ale do rzeczy.

Przedewszystkiem kościół gimnazyalny, były podominikański, przerobiono na cerkiew, którą poświęcono w r. 1866; koszta robót wynosiły 15.541 rs. 82 kop., z których 12.500 rub. ofiarowało

[1] Ukaz N. Synodu $^{28}/_{7}$ 1883 r. Nr. 2337 uznał ją za parafialną.

[2] Zrobiono jednak próbę: p. Wolter, docent wszechnicy w Petersburgu, z rozkazu p. Pobiedonoscewa przełożył na język litewski liturgię prawosławną; przekład wydrukowano i rozesłano duchownym, którzy tu i ówdzie zaczęli odprawiać nabożeństwo po litewsku. Chłopi nie poszli: zaniechano. Działo się to w 1889—1890 r.

kowieńskie bractwo prawosławne św. Mikołaja, a resztę zebrano ze składek publicznych. Nabożeństwo w tej cerkwi zawsze odprawia kapelan gimnazyalny; utrzymuje ją ministerstwo oświaty. Wtedy też w całości urzeczywistniono projekt Siemaszki: zbudowano cerkwie w Szawlach i Telszach. Budowa cerkwi w Szawlach kosztowała 25.613 rs. 60 kop., oprócz 5618 rs. 80 kop., użytych na przerobienie domów na lokale dla duchownych; dodam, że domy te w r. 1864 Murawiew samowolnie odebrał kościołowi katolickiemu, do którego należały prawnie. Cerkiew tę poświęcono 7 maja 1867 roku. Budowa świątyni prawosławnej w Telszach ukończoną została dopiero 9 maja 1876 roku. Koszta wynosiły 21.432 rs. 62 kop.; skarb dał 20.937 rs. i 58 kop., resztę zaś zebrano ze składek publicznych. Szczególne ożywienie w sprawie wznoszenia cerkwi prawosławnych przypada na koniec szóstego i początek siódmego dziesięciolecia tego wieku; to ożywienie wywołało prawo z dnia 7 grudnia 1867 roku o budowie cerkwi w guberniach zachodnich. Wedle tego prawa cerkwie wogóle winne być wznoszone kosztem skarbu państwa, ale ich dalsze utrzymanie należeć miało do parafian; jednak w gubernii kowieńskiej utrzymanie cerkwi i duchowieństwa należy do skarbu, ponieważ „parafianie są bardzo nieliczni i bardzo biedni, są to bowiem niemal wyłącznie t. zw. ‚ruscy osiedleńcy' i dymisyonowani żołnierze". W tym czasie wzniesiono cerkwie następne:

W Kownie drewianą, na Zielonej Górze w r. 1871; w powiecie kowieńskim: w Kiejdanach w r. 1869 kosztem hrabiego Czapskiego, który na ten cel ofiarował własną kamienicę, na przeróbkę której skarb wydał 2702 rs. 92 kop., oraz w t. zw. Słobodzie Aleksandrowskiej w r. 1868 kosztem 12.020 rs.

W powiecie rosieńskim: w Rosieniach w r. 1870 kosztem 20.654 rs., w miasteczku Taurogach w r. 1874 z rozporządzenia ministeryum spraw wewnętrznych dla straży pogranicznej kosztem 28.649 rs. i 30 kop., tudzież w Cytowianach w r. 1875; koszt budowy tej cerkwi wynosił 12.000 rs., a w r. 1891 cesarz raczył ją szczodrze obdarzyć.

W powiecie wiłkomierskim: w Wiłkomierzu w r. 1869 w zamian starej cerkwi drewnianej wzniesiono murowaną kosztem

26.149 rs. i 33 kop.; w miasteczkach: Rogowie w r. 1873 dla miejscowych rosyjskich osiedleńców w liczbie 312 osób płci obojga, kosztem 7198 rs., oraz w Uszpolu w r. 1873, kosztem 11.000 rs.

W powiecie poniewiezkim: w miasteczku Birżach w r. 1876; na budowę tej cerkwi ordynat miejscowy hr. Tyszkiewicz dał 4 tysiące rs., skarb zaś 3129 rs. 70 kop.; oraz w miasteczku Poswolu w r. 1870 wzniesiono cerkiewkę drewnianą kosztem 3 tysięcy rs.

W powiecie szawelskim: w miasteczkach: Szadowie w r. 1875 kosztem 7138 rs. dźwignięto cerkiew dla „ruskich osiedleńców“ włości Szawelskiej, Cyranowskiej i Radziwiliskiej, i w Wiekszniach w roku 1875 kosztem 12.000 rs.; na budowę tej cerkwi użyto materyałów pozostałych po zaniechaniu robót około kanału Windawskiego; oraz w miasteczku Chwałojniach w r. 1867 kościół pokarmelitański kosztem 650 rs. przerobiono na cerkiew czasową, a w r. 1869 na stałą; koszta robót wyniosły 5164 rs. i 64 kop.

W powiecie telszewskim: w miasteczkach: Kretyndze w r. 1876 kosztem 30.000 rs. wzniesiono cerkiew dla straży granicznej, a w Szkudach w r. 1887 urządzono w domu prywatnym przyzwoitą cerkiewkę.

W powiecie nowo-aleksandrowskim: w Nowo-Aleksandrowsku w r. 1876 zbudowano cerkiew kosztem 30 tys. rs., oraz we wsi Krasnahorka w r. 1872 stanęła świątynia drewniana, koszta budowy wynosiły 5693 rs. 78 kop. W tym okresie czasu z inicyatywy prywatnej powstało 5 cerkwi, w miasteczkach: Jurborku w 1865 r. kosztem księżnej Wasilczykowowej, ordynatki miejscowej, tudzież w Onikształach ze składek dobrowolnych „ruskich osiedleńców“ w r. 1867 (na wykończenie tej cerkwi rząd dał 2000 r.); w Wiłkomierzu na cmentarzu w r. 1869 wzniósł cerkiew kosztem własnym jenerał Lemtiużnikow; w miasteczku Ucianach w r. 1870 zbudował cerkiew drewnianą Birinkow, komisarz do spraw włościańskich, oraz na stacyi kolejowej Radziwiliszki Towarzystwo Lib. Rom. kolei żelaznej; budowa tej ostatniej kosztowała 14.500 rs.

Wogóle w tym okresie czasu wzniesiono 18 cerkwi kosztem

283.923 rs., a projektowano zbudować następne: w miasteczku Szkudach (koszta budowy 20.138 rs.), we wsi Łuszniewie (pow. nowo-aleksandrowski, 7715 rs.), w miasteczku Rakiszkach (9689 rs.), we wsi Gegobrościach (pow. poniewiezki, 8369 rs.), w miasteczkach Nowe-Miasto[1] (10.160 rs.) i Janowie (9747 rs.), oraz w Kownie dla biskupa; z tych cerkwi wzniesiono tylko dwie: w Janowie w r. 1893 i w Kownie w r. 1892. Budowę ich popiera administracya miejscowa. Wszakże na mocy prawa z dnia 13 czerwca 1890 r. cerkiewno-budowniczy urząd gubernialny został zniesiony, a sprawy niezakończone przesłano do litewskiego konsystorza prawosławnego. Nieco przedtem, bo 17 lutego 1889 r., na mocy prawa z dnia 14 czerwca 1888 r., zniesiono też urząd gubernialny w sprawie zapewnienia bytu duchowieństwa prawosławnego. Wogóle duchowieństwo prawosławne jest zaopatrzone szczodrze; pobiera ono znaczną pensyę od skarbu, posiada też własne lokale i ziemię. Wedle prawa, przy każdej cerkwi jest nie mniej jak 33 dies. gruntu; wogóle do cerkwi należy 4623 dies. ziemi, z których 1472 jest ornej; niektóre posiadają młyny i prawo połowu ryb. Dodam nawiasem, że cerkwiom, zbudowanym po terminie 19 lutego 1861 r., nadawano ziemię z gruntów obywatelskich... b e z w y n a g r o d z e n i a ż a d n e g o, nie zwracając uwagi na wyznanie ich właściciela. Domy dla duchowieństwa prawosławnego zbudowano na koszt skarbu (w miastach), oraz właścicieli ziemskich (bez różnicy wyznania) i chłopów parafian, których zwolniono jednak od wszelkich opłat, zmuszając tylko do zwózki materyałów. Działo się to na mocy prawa z dnia 11 kwietnia 1872 r. Prawo z dnia 14 czerwca 1888 r. orzekło, że szlachta gubernii kowieńskiej, jeśli złoży w dwóch ratach 25.000 rs., na zawsze będzie wolną od wszelkich opłat na utrzymanie lokalów dla duchowieństwa prawosławnego; prawo to orzekło też, że na przyszłość cerkwie nowe będą otrzymywały ziemię, a duchowni pomieszczenia odpowiednie kosztem osób lub instytucyj, starających się o założenie parafij prawosławnych. Wogóle mamy dziś cerkwi parafialnych: w Kownie dwie, tudzież

[1] Pow. rosieński, oficyalnie miasteczko Aleksandrowskoje!

po jednej w Kiejdanach, Słobodzie Aleksandrowskiej, Rosieniach, Cytowianach, Taurogach, Wiłkomierzu, Oniksztach, Rogowie, Uszpolu, Poniewieżu, Birżach, Szawlach, Szadowie, Wiekszniach, Podubisiu, Chwałojniach, Telszach, Kretyndze, Szkudach, Nowo-Aleksandrowsku, Widzach, Antoleptach, Bracławiu i Kozaczyźnie, oraz we wsiach Wiesiołowie i Krasnohórce; filialnych zaś: w Kownie dwie, oraz po jednej w Kiejdanach, Janowie, Rosieniach, Raudanach, Jurborku, Wiłkomierzu, Ucianach, Poswolu, Szawlach, Radziwiliszkach, Nowo-Aleksandrowsku i wsi Wenusowie, czyli razem 28 cerkwi parafialnych, tudzież 14 filialnych, oprócz dwóch klasztornych. Istnieją też w Kownie cerkwie w więzieniu, szpitalu wojskowym i w domu biskupim, oprócz cerkwi 111 pułku piechoty liniowej. Buduje się też olbrzymia cerkiew forteczna. Kaplice istnieją przy gimnazyum w Szawlach, oraz seminaryum nauczycielskiem w Poniewieżu.

Wszystkie te cerkwie stanowią 4 dekanaty *(błagoczyńja)*: kowieński, wiłkomierski, szawelski i nowo-aleksandrowski. Księży prawosławnych w r. 1892 było 31, i biskup, wikaryusz arcybiskupa litewskiego [1]; dyakonów i niższej służby cerkiewnej około 300 osób. Ludność prawosławna wynosiła: w 1845 r. — 18.778 osób (9853 męż., 8925 kob.), w 1853 r. — 23.716 osób (13.418 męż., 10.298 kob.) i w 1861 r. — 29.596 osób, co odpowiednio stanowiło odsetki 1,97 — 2,46 i 2,91 ogółu ludności. Od roku 1864 do 1 (13) stycznia 1893 osiedlono 2087 rodzin „ruskich osiedleńców", czyli około 10.500 osób, przeto wraz z przyrostem naturalnym [2], ale z pominięciem chmary nasłanych urzędników, ludność prawosławna winna wynosić przeszło 52 tysiące osób płci obojga, gdy zaś w rzeczywistości wynosi około 40 tysięcy. Brakuje więc około 12 tysięcy... W ogólności ludność prawosławna bez dopływów zewnętrznych stanowczo zmniejszałaby się wskutek nienormalnego stosunku pomiędzy płciami (na 100 mężczyzn przypada zaledwie 58 kobiet), bardzo wielkiej śmiertelności i t. d. Większa jej połowa zamieszkuje miasta, zwłaszcza Kowno i Szawle; z po-

[1] Prawosławna archidyecezya litewska składa się z gubernij: wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej.

[2] Wedle p. Lipińskiego — 1,01%.

wiatów tylko w rosieńskim i wiłkomierskim przewyższa ona 2% ogółu ludności. Wogóle ludność prawosławna stanowi 2,45% ogółu mieszkańców gubernii kowieńskiej. Składa się ona z garstki właścicieli ziemskich, urzędników rozmaitych, osiedleńców, żołnierzy dymisyonowanych i t. d. Inteligencyi wśród niej prawie nie spotkać: niema ani lekarzy Rosyan, ani adwokatów. Warto tu nadmienić, że do prawosławnej ludności rosyjskiej zalicza się kilkadziesiąt czy więcej osób narodowości polskiej, np. stare, bardzo zamożne rodziny Komarów, baronów von Holsteinów, Wolmerów i t. d., a w przyszłości i Karpiów; dodam tu, że zamieszkałe u nas od lat kilkudziesięciu rodziny rosyjskie spolszczyły się...

Uprzednio nadmieniłem, że kościół prawosławny posiada u nas dwa klasztory: w Surdegach i Pożajściu. Pierwszy z nich istnieje od roku 1550; założyła go Anna Szyszanka-Stawiecka. Z zapisu wieczystego, oblatowanego w grodzie wiłkomierskim w r. 1636, przekonywamy się, że Anna Szyszanka-Stawiecka, zamężna Biellewiczowa, córka czy wnuczka założycielki, w r. 1636 nadaje klasztorowi folwark Woždiele; są ślady darowizn księcia Andrzeja Kurbskiego, który od Zygmunta Augusta otrzymał poblizki Kryniczyn. Klasztor posiadał poddanych, ale uwolnił ich w r. 1791. Ludność miejscowa przywykła do klasztoru i żyje wogóle w zgodzie z mnichami; co prawda ostatni nie odmawiają jej swojej pomocy w chwilach ciężkich, tak np. na wiosnę strasznego 1869 r. mnisi rozdali sąsiednim chłopom kilka tysięcy purów żyta. W klasztorze jest bardzo stary obraz, uznawany za cudowny nietylko przez prawosławnych, ale nawet przez filiponów i katolików. Obraz posiada bardzo dużo wotów. Oprócz obrazu znajduje się sporo wartościowych a starych przedmiotów, np. ewangelia, drukowana z rozkazu kijowskiego, galickiego i całej Rusi metropolity, *pana Joba Boreckogo pri dierżawie korola polskogo i wielikogo knezia Litowskogo, Zygmonta Tretjago, w leto bytja mira 7134,* portret Biellewiczowej i t. d. Mnichów ma 8, jednego braciszka i 4 nowicyuszów. Na utrzymanie rząd daje 1840 rs., ale klasztor posiada około 300 dies. gruntu, 2 jeziora rybne i duży młyn na rzece Ławenie. Niedawno też właściciel ziemski, Jan Białobo-

huszewicz po śmierci swej żony Elżbiety Szyszanki-Stawieckiej [1], darował klasztorowi folwark Jukiszki, zawierający około 150 dies. ziemi; 19 grudnia 1887 r. cesarz raczył zatwierdzić tę darowiznę.

Drugi klasztor prawosławny znajduje się w Pożajściu nad samym Niemnem w uroczej miejscowości. W r. 1667 w październiku założono tam fundamenty kościoła i klasztoru Kamedułów z funduszów Krzysztofa Paca, kanclerza W. Księstwa Litewskiego. Osobnym aktem kanclerz szczodrze obdarzył zakonników, których w r. 1665 było już 12. Kościół budował się w ciągu 45 lat i ostatecznie został poświęcony 15 października 1712 r. Koszta budowy były olbrzymie i wynosiły — wedle podania — 8 beczek złota, ale za to stworzono istne cacko. Kanclerz jakkolwiek hojnie obdarzał klasztor, ale zakończenia budowy nie doczekał się: zmarł 10 stycznia 1684 r.; w 14 miesięcy potem przeniosła się na tamten świat i kanclerzyna. Oboje pogrzebani zostali w kościele. Kazimierz Pac, pisarz litewski, postawił piękny pomnik 10 stycznia 1690 r.; pod tym pomnikiem w sklepie w marmurowych trumnach spoczywały zwłoki małżonków Paców, oraz w trumience srebrnej zwłoki ich synka; były też dwie przepyszne urny kryształowe. W roku 1861 w czasie odpustu skradziono trumienkę srebrną oraz urny; gdy poszukiwania nie doprowadziły do niczego, wówczas archimandryta kazał wejście doń zamurować. W ogólności na każdym kroku spotkać tam można ślady przeszłości: przy wejściu do kościoła napis na pozłacanej tablicy bronzowej głosi pochwałę fundatora, oraz datę poświęcenia; tuż obok tablica marmurowa zawiera indulgencyę, którą papież Benedykt XIV. obdarzył klasztor. Przepyszne freski, któremi są ozdobione ściany, sklepienia i kopuła, zachowano w całości, chociaż nie licują one z prawosławiem. Zachował się też dzwon, zdobyty w r. 1664 przez wojska Jana Kazimierza w Putywlu, jak to stwierdza napis.

Klasztor ten dużo ucierpiał w 1812 r.... Powstanie 1831 r. było kresem jego istnienia: już 5 lutego 1832 r. Mikołaj I. kazał klasztor wraz ze wszystkiem mieniem i kościołem oddać duchowieństwu prawosławnemu, którego delegowani archimandryta

[1] Oboje katolicy.

Platon i duchowny Jakub Szymanowski objęli go w swe władanie. Na utrzymanie klasztoru rząd naznaczył 6440 rs., oraz folwark Pożajście, jurydyki i kamienicę w Kownie. Przerobienie gmachów poklasztornych kosztowało 17.920 rs. Klasztor ten od r. 1840 należy do archidyecezyi litewskiej; 12 lipca 1842 r. uznany on został za miejsce pobytu biskupa wikaryusza kowieńskiego, który z urzędu jest jego archimandrytą. Od tego czasu na różne przeróbki i reparacye wydano około 100 tysięcy rs. ze skarbu państwa. W cerkwi klasztornej pogrzebano zwłoki niecnej pamięci arcybiskupa mińskiego, Antoniego Zubko, odstępcy, a tuż około cerkwi — autora hymnu *Boże caria chrani*, mistrza dworu — Lwowa. W zakrystyi znajduje się złoty krzyż, ważący 1 funt i 68 zołotniki; na nim okazało się 425 brylancików, 331 rubinów, 186 szafirów i ametystów, 19 pereł i 4 granaty; jest to dar Paca. Klasztor dziś posiada około 650 dies. ziemi i dwa domy w Kownie; w ogrodach klasztornych rośnie kilkanaście cyprysów. W roku 1893 — 23 stycznia — cesarz raczył zatwierdzić uchwałę N. Synodu, na mocy której w miasteczku Antoleptach ma być założony klasztor panieński, wraz ze szkołą dla dziewcząt i przytułkiem dla kobiet; roboty rozpoczęto.

Znaczną pomoc w rozpowszechnieniu prawosławia okazuje kowieńskie bractwo św. Mikołaja, założone w r. 1864; wedle ustawy celem jego jest okazywać wszelaką pomoc swoim jednowiercom, oraz troszczyć się o dobry stan cerkwi. W liczbie jego założycieli byli: Murawiew-wieszatiel, Józef Siemaszko, hr. Tołstoj i t. d. Liczba członków w r. 1864 wynosiła 62, 1865—147, 1873—254 i w r. 1893—255. Bractwo swoim kosztem przerobiło kościół podominikański na cerkiew, założyło szkołę bezpłatną pod Kiejdanami w r. 1865 i przy aleksandrowsko-słobodzkiej cerkwi przytułek dla 15 starców prawosławnych. Ale najważniejszym faktem działalności bractwa było otwarcie 3 lutego 1868 r. szkoły dla sierot, na utrzymanie której wydaje się rocznie 2766 rs.; rozumie się, sieroty natychmiast nawraca się na prawosławie, co jednak nie przeszkodziło hr. Tyszkiewiczowej ofiarować na nią 1000 rs. Wogóle szkoła ta otrzymała kilka darów znaczniejszych: kupiecki urząd Moskwy

przysłał w r. 1868 sześć tysięcy rs., ówczesny następca tronu 2142 rs., kupiec Kumanin tysiąc rs. i t. d. Nawet Rada miejska miasta Kowna 3 marca 1886 r. darowała 589 sążni ziemi pod budowę domu dla szkoły. Panowie Szewcow, Brzozowski i Zinowiew, na budowę domu dali 130 tysięcy sztuk cegieł, 2200 rs., cement, wapno i t. d. Budynek szkolny poświęcono 18 października 1887 r. Wogóle bractwo w ciągu swego istnienia na rozpowszechnienie prawosławia wydało około 120 tysięcy rs., a nawróciło nań około 350 dzieci sierot. Wogóle dzieci porzucone albo opuszczone zawsze chrzczone bywają wedle obrządku prawosławnego, w którym wychowują też dzieci, należące do innych wyznań, ale znajdujące się w przytułkach publicznych. Jest to nadużycie, ale nikt dotąd nie wystąpił przeciwko niemu w drodze właściwej. Uprzednio wspomniałem, że po roku 1864 udało się nawrócić na t. zw. *Jedinowierje*[1] kilkaset filiponów. W tym celu sprowadzono misyonarzy, którym udało się nawrócić gminy religijne w Kownie, Nowo-Aleksandrowsku i we wsi Karoliszkach (pow. wiłkomierski); istniejące domy modlitwy przerobiono na cerkwie. We wsi Karoliszkach w r. 1871 zrobił to *nastawnik* (nauczyciel) Dorendow, a skarb dał tysiąc rs. na ukończenie tej roboty. Tak zw. jednowierców w r. 1892 liczono 522 mężczyzn i 478 kobiet; najwięcej ich było w Kownie (280 osób) i Nowo-Aleksandrowsku (100 osób), oraz w powiatach wiłkomierskim (338 osób) i nowo-aleksandrowskim (236 osób); w innych stronach kraju niema ich prawie zupełnie. Korzystają oni z tych samych praw i przywilejów, co i ludność prawosławna, gdy natomiast filiponi nie mają prawa nawet publicznego nabożeństwa; od czasu do czasu policya ściga ich nauczycieli i zamyka domy

[1] Jest to coś w rodzaju unii pomiędzy kościołem prawosławnym, a tymi starowiercami, którzy uznają kapłaństwo; kościół prawosławny uznał i zachował ich odmienne nabożeństwo i praktyki religijne, oraz wybór kapłanów przez zgromadzenie wiernych; ostatni zaś uznali kościół urzędowy wraz z jego hierarchią i obrzędami za prawowierny; oraz zgodzili się, by biskupi prawosławni wyświęcali ich duchownych nauczycieli; ugodę tę zawarto w r. 1799.

modlitwy, niczem nie różniące się od zwykłych. Gdy nad takim domem modlitwy w Poniewieżu przybito krzyż, sam p. sprawnik Spredow raczył go zerwać własnoręcznie i rzucić w błoto. Dopiero od roku 1874 ich związki rodzinne mogą być ulegalizowane: prawo z dnia 19 maja 1874 r. ustanowiło dla nich prawną registracyę ludności i małżeństwa cywilne. Filiponów liczą około 26 tysięcy. W czasach ostatnich z parę tysięcy osób przyjęło bądź sztundę, bądź anabaptyzm, który zaczyna krzewić się w gubernii kowieńskiej, nietylko wśród filiponów i protestantów, ale nawet i katolików na pograniczu kurlandzkiem.

*Jan Witort.*

# KSIĄDZ KAROL ANTONIEWICZ.

## XI.

### Misye w Poznańskiem.

„Czy misye w W. Księstwie Poznańskiem potrzebne?“ Takie pytanie, brzmiące dziś nieco dziwnie wobec ogólniejszego i głębszego zaznajomienia się z istotą katolickiego życia i interesami katolickiego Kościoła, słyszeć można było raz po raz wobec zapowiedzianych, wobec odbywających się już misyj poznańskich; słyszeć można było tak często i z takim naciskiem, tak często i z takiem zdziwieniem pytano: „Na cóż misye w Poznańskiem, przecież tam są katolicy?“ — że poważny krakowski *Czas* uznał za niezbędne, „za obowiązek serca i sumienia“, z wątpliwościami temi stanowczo w szeregu artykułów się rozprawić.

„Zdaniem naszem — pisał *Czas* [1] — niema ludu, któregoby moralności podnosić nie wypadało, a po wypadkach lat ostatnich misye, sądzilibyśmy, właśnie takim środkiem, jakiego użyć potrzeba, to jest najwłaściwszym. Znamy lud Księstwa Poznańskiego i nie czyniąc dla niego wyjątku, nie mniemamy wyrządzać mu krzywdy; wszelako gdy tu niejako o fakt chodziło, nie dowierzaliśmy sobie i zaciągnęli w tym względzie sądu krajowców i doświadczeńszych...“

[1] *Czas* z 10 października 1852 r.

List jednego z owych „doświadczonych krajowców“ maluje, szkoda że w najogólniejszych tylko rysach, ówczesny moralny stan Księstwa, ale i te ogólne rysy wykazywały aż za dobitnie konieczną potrzebę użycia zaradczych, leczących środków:

„Nie myślcie, aby lud tutejszy był tak moralnym, iżby nie było potrzeby zaprowadzenia wpośród niego misyj. Na nieszczęście tak nie jest. Pijaństwo i tutaj jest zakorzenione, a kradzież nie rzadka. Może mniej cokolwiek, niż w innych częściach dawnej Polski, lud poznański nadużywa trunków, ale to prawda, że nadużycie to najszkodliwszą jest jego przywarą, bo nietylko, że niszczy zdrowie i przeszkadza dobremu, a przynajmniej lepszemu bytowi; ale jak świadczą w ogólności akta kryminalne, wszystkie zdrożności i zbrodnie w stanie pijaństwa są zazwyczaj popełniane. Wyobrażenia o własności, o twojem i mojem, są także bardzo niedokładne, a kradzieże wszelkiego rodzaju, na polu, w lesie, w stodole, w śpichrzu i po domach, rozmnożyły się w sposób opłakany... Niedaleko odemnie, w Rawiczu, w domu poprawy, znajduje się około 700 winowajców, w Kościanie prawie tyle, w więzieniach w Lesznie i Wschowie po kilkaset siedzi. W innych częściach Księstwa liczba jeszcze jest znaczniejsza. Dodać do tego należy, że jedna zbrodnia, która dawniej mało się trafiała, dziś aż nadto często się zdarza, tj. podpalania przez zemstę. Zgoła, kto tylko dobrze zna naszą prowincyę, przyznaje z boleścią serca, że moralność ludu znacznie w ostatnich czasach podupadła... Smutny ten stan zawdzięczamy szczególniej nieszczęśliwym wypadkom ostatnich zwłaszcza lat, w których wszystkie złe namiętności ludu pobudzane i eksploatowane bywały w rozmaitych widokach i celach, które wszystkie dążyły do jego zaguby moralnej. Jedyna rzecz na szczęście ocalała, tj. zaród wiary religijnej. Zaród ten na jaw wydobyć, oczyścić i oświecić i tym sposobem rozpocząć moralne i religijne odrodzenie ludu, to jest walnem i zbawiennem zadaniem misyj, odbywanych przez Ojców Jezuitów... Znacie mię, nigdy nie byłem zaciętym stronnikiem tego zakonu, nawet historyczne przeciw niemu miałem uprzedzenia; ale też nie jestem fanatykiem i sumiennie prawdzie hołd oddać muszę,

że nic bardziej potrzebnego dla ludności katolickiej wydarzyć się nie mogło, jak te misye... Natura ludu naszego nie jest zła wcale; przeciwnie, posiada on zalety właściwe słowiańskim szczepom, których nadaremnie szukać gdzieindziej, ale okropnie jest zbałamucony i gnuśnieje w grubej niewiadomości. Na to ratunku niema, jeno w religii, opowiadanej w taki sposób i przez tak żarliwych kapłanów, jak tutejsi misyonarze..."

Pierwsza, „od dawna zapowiedziana, z upragnieniem oczekiwana" [1] misya rozpoczęła się z dniem 1 maja w starożytnej Krobi, dawnej własności a często dawnemi i znowu najnowszemi laty i siedzibie biskupów poznańskich. O misyę tę postarał się gorliwy, proboszcz miejscowy, ks. Masłowski; dopomógł mu niemało w podjętych staraniach i materyalnych kosztach hr. Józef Lubieński [2]. Jak zawsze, przystąpił Antoniewicz do nowej pracy z wielką nieufnością w siebie i ludzkie usiłowania, z nieznającą granic ufnością w miłosierdziu bożem.

„Tak ciężko — pisał z Krobi na dwa dni przed otwarciem misyi [3] — w początku wżyć się w nowe stosunki, bo niedość być, ale trzeba się wżyć w nie, aby coś dla Pana można uczynić. Czterech nas biedaków [4] nędznych na ciele, nędzniejszych na rozumie; cała broń—trochę miłości Boga i bliźniego i tą bronią rozpocząć trzeba walkę z szatanem, który tu bardzo jest mocny. Teraz już jestem spokojny, bom całą sprawę zdał w ręce Bożej Matki, aby sprawę Syna za swoją przyjęła sprawę..."

I znowu, jak zazwyczaj, po kilku już dniach wyrywa się z serca gorliwemu kapłanowi okrzyk wdzięczności, dziękczynienia dla miłosiernego Zbawiciela, kruszącego cudowną potęgą i najzatwardzialsze serca [5]. Krótkie sprawozdanie, niby z pola bitwy, bo jak wśród bitwy każda chwila za tysiące waży:

---

[1] *Przegląd Poznański*, t. XIV, str. 330.

[2] Te i inne szczegóły wyjęte z obszernego zbioru dokumentów, odnoszących się do misyi w Krobi a przechowanych w archiwum tamtejszego kościoła.

[3] Do mgr. Wielopolskiej. 29 kwietnia.

[4] OO. Antoniewicz, Praszałowicz, Markiewicz i Czeżowski.

[5] Do mgr. Wielopolskiej. 6 maja.

„Tu Bóg prawdziwie cuda czyni — lody pękły — miłosierdzie boże świeci jak słońce. Konfesyonały oblężone, i nie przez lud tylko. Pełno osób z wyższego towarzystwa zamieszkało Krobię z Poznania, z Polski i zewsząd... Bóg cuda czyni...“

Obszerniej cuda te opisuje jeden ze wzruszonych słuchaczów [1]:

„Przez dni cztery byłem świadkiem i uczestnikiem tych misyj, które trwały dni ośm, i mogę powiedzieć, że nigdy akt religijny nie sprawił na mnie głębszego wrażenia i wzruszenia, jak to, którego doznałem, patrząc ile pożytków i pociech spłynęło na ten lud, który zewsząd przybywał i tłoczył się, aby czerpać u tego źródła, przez najszczerszy żal i pokutę, poprawę i zbawienie dla siebie. Mimo zatrudnień i prac rolniczych, zwłaszcza w tej porze roku, liczono na tej misyi w ostatnich dniach przeszło 20.000 ludzi, którzy ze wszystkich okolicznych wsi przybywali do Krobi w procesyi, śpiewając święte pieśni i najczęściej mając na swojem czele plebana swego, z krzyżem w ręku. Rzekłbyś — zapewne na daleko mniejsze rozmiary co do liczby, ale nie co do ducha i żarliwości — nowe zebranie w świętym celu zewsząd gromadzące się, jakiem było niegdyś to, które na głos Piotra Pustelnika zbiegło się w XII. wieku w Clermont...

„Misyom tym, jak poprzednim na Szląsku, przewodniczył Przew. Ojciec Antoniewicz, w asystencyi trzech innych Ojców Jezuitów i przy pomocy, co do spowiedzi, licznie przybyłego tutejszego duchowieństwa, na czele którego znajdował się JW. Biskup Dombrowski. Cztery były codzień nauki, dwie z rana, dwie po obiedzie, z których ostatnią, późno wieczorem, miał O. Antoniewicz. W ostatnich dniach, gdy tak wielki był natłok ludzi, że w żaden sposób w bardzo obszernym i wspaniałym kościele krobskim pomieścić sie nie mogli, odbywała się część nabożeństwa i te nauki pod gołem niebem, na obszernym cmentarzu, wpośród którego wznosi się starożytny kościołek, sięgający pierwszych wieków zaprowadzenia chrześcijaństwa w Polsce, a na którym wyryty jest rok 1157. Trudno wypowiedzieć,

[1] *Czas* z 18 maja 1852. Por. *Przegląd Poznański*, t. XIV, str. 330 np.

jak te nauki były dokładne i zbawienne i jak doskonale były wymierzone i zastosowane do pojęcia, wad, przywar i potrzeb duchownych ludu, który je z tak chciwą pobożnością słuchał, iż nigdy niemi dosyć nasycić się nie mógł. Nauki te były zastosowane nietylko do prostego ludu, ale do wszystkich, jakiegobądź stanu; bo zdawało się, że każący Ojcowie przenikali duszę każdego i w najgłębszych i najskrytszych tajnikach serca ludzkiego czytali jak w otwartej książce... Nie uganiając się za żadnym efektem, ani go szukając bynajmniej, nauki te wznosiły się niekiedy same przez się do najwyższej szczytności, zwłaszcza w ustach księdza Antoniewicza...

„...W ciągu misyi landrat kilka razy zjeżdżał do Krobi i za każdym razem zbudował się spokojnem i przykładnem zachowaniem się tylu tysięcy ludzi, na jednem miejscu nagromadzonych. Przewidując mogące wyniknąć nieporządki z napływu ludu tak licznego, wysłał był na ten czas do Krobi dziesięciu żandarmów dla utrzymania porządku. Skoro landrat na koniec misyi przybył, żandarmi zaraportowali mu, że obecność ich okazała się zupełnie niepotrzebną, albowiem w całym tym czasie żaden nieporządek, żadna kłótnia nie zaszła, a nawet ani jednego człowieka pijanego nie zdarzyło im się napotkać. Natomiast możnaby nieskończenie wiele chwalebnych czynów przytoczyć, licznych bardzo zwrotów w pieniądzach i dawniej pokradzionych rzeczach. Na jednym przykładzie się ograniczę. Przed dwoma laty jednemu z gospodarzy krobskich ukradziono jałowicę; w czasie misyi ten sam gospodarz znajduje piękną krowę cielną, przywiązaną w stajni na tem samem miejscu, z którego jałówka była skradziona...

„Po skończeniu misyi w Krobi rozpocznie się nowa w Krzywiniu, później w Kościanie, a może i we więcej miejscach, jeżeli OO. Jezuici tak licznej pracy wydołać potrafią".

Korzystając z kilku dni przerwy między misyjnym znojem w Krobi a w Krzywiniu, Antoniewicz odprowadził bawiącego od pewnego czasu w Poznańskiem prowincyała, O. Baworowskiego, do Raciborza, gdzie w tym właśnie czasie odbywała się z niezmiernem błogosławieństwem bożem polska i niemiecka misya. Do Krzywinia zaprosił misyonarzów — jak sąsiedni, czerwono-

wiejski proboszcz w aktach kościelnych zapisał [1] — „dziedzic dóbr Czerwonawieś i innych, W. Imci Pan Stanisław Chłapowski, wraz z małżonką swoją W. Henryką z Morawskich Chłapowską, prawi i gruntowni wyznawcy wiary Jezusa Chrystusa, gorliwi o chwałę Stwórcy nieba i ziemi... wraz z proboszczem krzywickim IM. ks. Franciszkiem Ponieckim... Dnia 18 maja przybyli do Czerwonejwsi IM. ks. Karol Antoniewicz, prefekt misyi, ks. Szczepan Załęski, ks. Kamil Praszałowicz, ks. Teofil Baczyński, ks. Iwo Czeżowski, ks. Aleksander Markiewicz i także braciszek Jan Plaski. Dnia 19 maja popołudniu o 6 godzinie rozpoczęto dzieło boskie nieszporami i kazaniem, które miał ks. Karol Antoniewicz...“

„Wczoraj — zdaje sam Antoniewicz ‚krótki raport‘, jak się wyraża [2] — zaczęliśmy za pomocą boską sprawę bożą. Ludu tłumy, państwa pełno, Bóg błogosławi. Dziś już musieliśmy się wynieść z kościoła, bo ciasno“.

„Misya w Krzywiniu — czytamy w współczesnej, datowanej z Poznania korespondencyi krakowskiego *Czasu* [3] — nie była tak liczną jak krobska, ale też trudno było tego się spodziewać, bo oddalenie jednego miejsca od drugiego zbyt małe, a czas obecnie właśnie pracy rolnika najwięcej wymagający. Codziennie jednak bywało po kilka tysięcy ludu, a w dwóch dniach, raz w środku, a drugi raz na konkluzyi, mimo że dzień ostatni był dniem powszednim, było niezawodnie do 12 tysięcy. Znów około 8 tysięcy ludzi komunikowało, a opisać szczęście tego ludu, tak kornie a z uniesieniem słuchającego w tak wymowny i żarliwy sposób głoszonego słowa bożego, bardzo trudno. Dziwnie też poetyczny widok przedstawiają miejsca, w których misye się odbywają. Tak nauki, jak i ofiary święte odprawiają się pod gołem niebem, bo niemasz dość wielkich kościołów, by pomieścić pobożnych, a drogi, prowadzące do takiego miejsca, wciąż brzmią pieśniami nabożnemi; co chwila spotyka się liczne kompanie spieszące za sztandarem, starym jak wiara nasza, za obrazem

[1] Notatka umieszczona w *Liber metrices mortuorum Ecclesiae Parochialis Czerwonoviescensis*. Księga ta rozpoczyna się od r. 1835.

[2] Do mgr. Wielopolskiej. Z Krzywinia. 20 maja 1852.

[3] *Czas* z 3 czerwca 1852 r.

N. Panny Maryi Częstochowskiej. W okolicach, gdzie dotąd dwie misye się odbyły, nader było pocieszającym widokiem, jak wszystkie bez wyjątku stany zarówno żywy udział w nich wzięły, jak się w modlitwie łączyły, bo też wszyscy mamy wiele do wymodlenia, do przebłagania".

„Nabożeństwo misyjne ośm dni ciągle trwało[1]; codziennie bywało pięć kazań. Schodził się zewsząd lud nabożny...; duchownych z parafii przybywało codziennie do pomocy od 20 do 24. W ostatnim dniu odbyła się procesya z Najśw. Sakramentem po rynku do czterech ołtarzy, tak jak w Boże Ciało. Po skończonem nabożeństwie w Krzywiniu, lud i duchowieństwo z czterema chorągwiami, białą panien, czerwoną matek, zieloną kawalerów i niebieską ojców i gospodarzów, przeszli w procesyi z Krzywinia do Czerwonejwsi i tu odbyła się benedykcya krzyża postawionego obok cmentarza na pamiątkę odbytej misyi".

Wspaniała procesya, gorące słowa, które pod świeżo wzniesionym krzyżem padły z ust O. Karola, wyryły się — tak tu, jak wszędzie gdzie Antoniewicz wzywał do pokuty, do Boga prowadził — niezatartemi głoskami w sercu, w pamięci tysięcy uczestników. Dziś jeszcze, po czterdziestu trzech latach, pamięć ta się nie zatarła. Dwóch nad grobem stojących starców[2] opowiada z rozrzewnieniem szczegóły misyi; szkicuje, w jakim porządku posuwała się procesya z krzywińskiego kościoła do czerwonowiejskich „gajów"; maluje twarz, postać, sposób mówienia Antoniewicza, jakby przed paru miesiącami nań patrzyli, przed paru tygodniami go słuchali. W inny sposób, innemi słowy, ale wyrażającemi te same uczucia i wrażenia, których doświadczyli młodzi wówczas parobcy, opisał założenie i poświęcenie misyjnego krzyża w Czerwonejwsi, Stanisław Koźmian, jeden z najgorętszych wielbicieli Antoniewicza, na wspólnej literackiej, poetycznej, jeśli nie kaznodziejskiej niwie z nim pracujący, do tych samych zawsze co on dążący celów, ideałów. Poetyczny ten opis, rzucony na papier pod świeżem, potężnem wrażeniem, najlepiej i nam to

[1] Notatka w *Liber metrices mortuorum Ecclesiae Czerwonoviescensis.*

[2] Teodor Nowaczek, zwany zwykle Odorkiem, dawny dworski włódarz, i Józef Szymkowiak, stary borowy.

wrażenie uprzytomnić potrafi; najłatwiej nas przeniesie między tłumy otaczające misyjny krzyż, słuchające z zapartym oddechem gorących słów misyonarza [1]:

Gęstym drzew wieńcem otoczone sioło
Ze wzgórza w niebo pogląda wesoło:
Naokół łany wróżą plon bogaty,
I widać tylko zieloność i kwiaty;
Kwiaty na wzgórzach, po gajach, nad smugą —
Zda się, że wiosna spóźniona za długo,
Darząc za zwłokę te ostatki maja,
Wszystkie swe wdzięki i łaski podwaja,
I w dzień dzisiejszy i w tę włość wybraną
Zbiera wraz całe dziewicze swe wiano.
Słońce też rade z tych gód od zarania,
Leniwie teraz na zachód się skłania,
I choć już ziemię swym kręgiem dotyka,
Ani jednego nie gasi promyka;
Lecz tak porannie sieje światłość całą,
Jakby na odwrót znowu wschodzić miało.
I o dnia końcu wszystko zapomina,
Żadna na gałąź nie wraca ptaszyna;
Wszędzie z nadzieją radość jak o świcie,
Drga, czeka czegoś, wszędzie ruch i życie.

Lecz gdzie są ludzie? — Czy mię oko łudzi?
Życia tu pełno — a pusto bez ludzi.
Żadna na polach nie krząta się praca,
Bydło na nocleg do obór nie wraca;
Żadne po łanach nie wznoszą się głosy,
Nie skrzypią pługi, ani chrzęszczą kosy;
Do chat, do stodół, wszędzie drzwi zaparte,
Tylko na dachu bocian trzyma wartę.
I w tym kościołku, choć otworem stoi,
Pusto i głucho. — Skądże u podwoi,
W oknach, na ścianach, skąd te kwiaty świeże?
Kto zatlił lampę, co ołtarza strzeże?
A ten krzyż nowy i wzniosły przede mną,
Kto go wystawił? — Kto ręką tajemną
Ubrał go w wieńce? Czy z nieba anieli,
Nie widząc ludzi, na dół tu spłynęli,
By po swojemu, wśród ziemi wesela,
Święcie, przeczyście uczcić Zbawiciela?

[1] „Krzyż misyjny w Czerwonejwsi. Wspomnienie 27 maja 1852 r.". Wiersz ten umieszczony był po raz pierwszy w *Pokłosiu*, r. II, 1853, str. 225—234.

Ach! czemuż niema ludzi tu w pobliżu,
By odebrawszy służbę przy tym krzyżu
Wprost od aniołów, już się od tej chwili
Czcić Zbawiciela święcie nauczyli.

Lecz patrz, patrz na wschód, jakiż to z daleka
Tuman w przestrzeni wznosi się, przewleka,
Spieszy w tę stronę, wije się po łące?
Opadł — co widać? — to ludu tysiące
Dążą tu ku nam poważnemi kroki;
Jakby za słońcem ciągnące obłoki
Błyszczą chorągwie, a każda na przedzie
Osobny orszak poza sobą wiedzie.
Już widać dobrze, jak w komże odziani
Pobożnym szykom przywodzą kapłani.
Już śpiew ich słychać i już się do krzyża
Z białą chorągwią orszak dziewic zbliża.
Pierwsze im w niebo obiecane wnijście,
One więc pierwsze stają tu przy Chryście.
Za niemi idzie z chorągwią czerwoną
Matek — miłości męczenniczek — grono.
Dalej młodzieńce, jak gdyby nadzieją,
Zielonym znakiem nad głowami wieją.
I naostatek — z barwy niebieskiemi,
Ojca w niebiesiech zastępcy na ziemi,
Czwartą chorągiew gospodarzy wiodą.
A ziemia pól swych zielonością młodą,
I śnieżnych kwiatów odzieniem dziewiczem, —
A niebo zda się błękitów obliczem
I szkarłatami zachodnich płomieni —
Tło tych chorągwi roztaczać w przestrzeni.

I już porządkiem stoją cztery stany,
A kapłan, w kapę złocistą przybrany,
Krzyż ten wyniosły ku wiecznej pamięci
Odbytej misyi, uroczyście święci.
Zaledwie skończył, a inny z ambony
Wskazuje kapłan na krzyż poświęcony.

„Oto krzyż, bracia! — rzecze kaznodzieja —
W nim nasza wiara, miłość i nadzieja.
On drogoskazem dla ludzi do nieba,
On uczy jak żyć i jak cierpieć trzeba...
Krzyż więc swój kochać, niech się każdy stara,
Miarą miłości jest cierpienia miara;
Ku wiecznej ten się tylko wzniesie chwale,
Kto się prostując w swym bólu wytrwale

I wciąż wzrastając w miłości olbrzyma,
W cierpieniach miarę z swym krzyżem dotrzyma;
Krzyż bowiem każdy, czy krótki, czy długi,
Sięga aż niebios nadmiarem zasługi.
W tej to zasłudze — nasze szczęście, chwała,
W tej to zasłudze rzeczywistość cała, —
Reszta złudzenie. Ot, patrzcie, te kwiaty,
Których przepychem gną się ziemi szaty,
Zwiędną, zmarnieją przed końcem tygodnia;
Zerwie je ręka, zdepce krok przechodnia;
Ale te kwiaty, które krzyż ten wieńczą,
Nie zginą, tracąc swą krasę młodzieńczą,
Bo woń dziękczynną do nieba uniosą,
A ta znów spadnie łask i pociech rosą.
Cierpcie więc, cierpcie, w miłości, w pokorze,
A idąc zawsze po Chrystusa torze,
Nawet cierpienia nie wznoście się pychą,
Dziękujcie głośno, ale cierpcie cicho.
Stańcie pod krzyżem, gdy was świat poniża,
By się uzbroić milczeniem u krzyża.
Stańcie pod krzyżem, gdy was świat wynasza,
A wnet pokorą legnie próżność wasza.
Stańcie pod krzyżem, gdy wam ciemno w duszy,
On was oświeci, wasze łzy osuszy.
Stańcie pod krzyżem, gdy niepamięć ludzi,
Lub pamięć grzechów rozpacz w was obudzi,
A grzechy wasze, choćby win koleją
Były jak szkarłat, nad śnieg wybieleją...
A jak bluszcz polny, przy drodze sierota,
Okryty kurzem, przywalon od błota,
Zdeptany nogą zelżywą człowieka,
Czeka na rosę, na deszcz niebios czeka,
By go obmyły, — i szuka z tęsknotą
Drzewa, by wspiąć się, wzróść nad ziemi błoto, —
Tak dusza moja grzechem przywalona,
I złością świata zdeptana, zraniona,
Czeka na rosę twego zlitowania,
Szuka podpory i pod krzyż się skłania,
By tam złożywszy ciężkich grzechów brzemię,
Mogła do góry wzróść nad lichą ziemię.
Daj, daj, o! Panie! niech się tak miłośnie
Wijąc ma dusza, aż do stóp Twych wzrośnie,
Bo jeśli będzie bez Twojej opieki
Pełzać po ziemi, to uschnie na wieki.
Zlituj się, zlituj!“

Rzewny głos kapłana
Jeszcze nie ucichł, a już na kolana

Lud wszystek padłszy, w prośbie i podzięce
Do Zbawiciela wspołem wznosił ręce.
Spojrzałem na krzyż, i wraz mi się zdało,
Że święte na nim rozwieszone ciało
Nagłą, cudowną objawiło zmianę,
I wkoło światłem nadziemskiem oblane
Zadrgnęło życiem. W cierpiące oblicze
Wpłynęły bóstwa blaski tajemnicze.
Zbawiciel spojrzał na lud swój z wysoka,
Wszechwidzącego głębokością oka;
I gdy się przed nim wszystkie głowy kłonią,
Odkrzyżowaną błogosławił dłonią; —
Naprzód rodzinę u stóp krzyża zgiętą,
Co tu przyzwała to pokutne święto,
Wraz błogosławił aż w dziewiąte plemię, —
Potem na okrąg okoliczną ziemię,
Z której ku Niemu przez świąt tych ciąg cały
Pobożne tłumy codzień przybywały, —
Wreszcie kraj wszystek, cierpiący na nowo,
Którego duszą i sercem i mową
Lud tu zebrany składał cześć i modły,
Co naszych przodków w bój za wiarę wiodły.
A im z kolei szerszą przestrzeń ziemi
Błogosławieństwy Pan zajmował swemi,
Tem krzyż rósł wyżej, aż błyszcząc przecudnie
Z wschodu na zachód, z północy w południe,
W morzu gwiazd tajał.
Wtem skrzydło anioła
Stróża mojego spędziło mi z czoła
Dalsze widzenia zapędy zbyt śmiałe
I tylkom słyszał, jako Pana chwałę,
Odwrotnych tłumów pożegnalne głosy
Coraz to dalej wzbijały w niebiosy,
I tylkom widział, jak ów Chrystusowy
Sługa, co siłą apostolskiej mowy
Wszystkie przed chwilą giął i wzruszał dusze,
Teraz w milczeniu i głębokiej skrusze
Sam padł przed krzyżem, składał korne dzięki
Za łask tak wiele z Zbawiciela ręki,
Płakał, jak gdyby przebaczenia prosił,
Że tak niegodnie chwałę jego głosił,
I zdał się mówić w pobożnym zachwycie:
Zbaw lud ten, Panie! a weź moje życie!...

Krzyż stoi po dziś dzień, otoczony wieńcem drzew, i błogosławi rodzinę, „co tu przyzwała to pokutne święto“, błogosławi

„na okrąg okoliczną ziemię“. Napis, wyryty pod wizerunkiem Chrystusowym: „Pamiątka misyi w 1852 r.“, budzi w wędrowcu tysiące myśli, wspomnień, zniewala go do klęknięcia, gdzie klęczał, modlił się Antoniewicz, do powtórzenia całem sercem jego prośby.

„Pamiętasz na ten wieczór? — pytał Antoniewicz w kilka dni później [1]. — Nie zapominaj o tej błogosławionej chwili, w której niepodobna aby Bóg nie był przemówił do serca twego!...

„Pamiętasz na ten wieczór? Niebo było błękitne i księżyc wschodził — tak na jasnem niebie serca twego łaska boska wschodzić poczyna, bo młoda jesteś, tak jak ten wieczór majowy, i pełno kwiatów w sercu twojem, ale czyż te kwiaty owoc dadzą?

„Pamiętasz na ten wieczór? Kościołek wasz był oświecony, a wśród blasku świec Przenajśw. Sakrament był wystawiony; ale w sercu twojem jaśniej było jak na ołtarzu, boś w tymże dniu przyjęła Pana do serca twego.

„Dopóki ten kościołek rozburzony nie będzie, Pan z niego nie ustąpi, a pokąd kościół serca twego w proch się nie rozsypie, niechaj Pan nie ustępuje z ołtarza serca twego. Czy ma świat tam panować, gdzie Chrystus królował?

„Pamiętasz na ten krzyż kwiatami i lampami przystrojony? a wśród kwiatów i lamp obraz miłości i boleści — Pan i Bóg twój?

„O tak! niechaj Chrystus żyje w sercu twojem wśród kwiatów i lamp, wśród woni cnót i światła prawdy!

„Powstał wietrzyk — i groził lampy pogasić i kwiaty rozwiać. I świat grozi zagasić światło w duszy twojej i rozwiać dobre postanowienia twoje!

„O! strzeż się! zasłoń tę lampę, aby nie zagasła, zasłoń ją pokorą! Pielęgnuj te kwiaty, aby nie zwiędły; polej je wodą łez, rozgrzej je ciepłem modlitwy. O, kiedy spojrzysz na krzyż, zapytaj sama siebie, czyś się zbliżyła do, lub czyś się oddaliła od krzyża tego“.

„Kto was tak widział — pisał w tym samym czasie i pod tem samem wrażeniem [2] — pod krzyżem stojących, ten nie może

[1] Do p. Pauli Chłapowskiej.

[2] Do W. Morawskiego.

zwątpić o przyszłości narodu. Jest jeszcze w nas siła, bo jest i pokora. Jest na czem budować, bo jest kamień węgielny wiary. Jest nadzieja, bo jest miłość. Stara Polska jeszcze żyje! O! tych kilka dni, to mi się wydało, jak epizod z dawnych dziejów, jak obraz prochów grobowych w życie wywołany!"

„Tu w Księstwie — powtarza Antoniewicz ulubioną swą zwrotkę na wyjezdnem z Czerwonejwsi[1] — Pan Bóg cuda czyni. Nie możesz wyobrazić sobie tych łask, jakie na wszystkie stany nie kroplami, ale potokami Bóg zlewa. Pracy codziennie tak się mnoży, że do pisania ani chwilki. Teraz jadę przez Rydzynę do Kościana, gdzie po trzeci raz słowo pokuty zagrzmi..."

Zagrzmiało potężnie, kiedy dziś jeszcze głośnem echem w sercach się odzywa. W starożytnej farze, której dawne piękne pamiątki zwolna dziś z pod pleśni czasu i ludzkiego niedbalstwa pobożne a umiejętne ręce wydobywają, pokażą ci konfesyonał, w którym Antoniewicz spowiedzi słuchał, ambonę, z której przemawiał. Za chwilę wzruszeni dawnemi wspomnieniami osiwiali starcy intonacyę głosu misyonarza będą starali się naśladować; odfotografują w najdrobniejszych szczegółach jego włosy, oczy, ruchy. „Bóg go nam zesłał! — kończą swe opowiadanie. — Co się tu wtenczas działo, tego nikt nie potrafi opowiedzieć. Takiej misyi, takiego misyonarza nie było i nigdy już nie będzie". Te same-to niemal proste opisy, proste a serdeczne wykrzykniki, które słyszeliśmy w Krobi, w Krzywinie, w Czerwonejwsi; z temi samemi spotkamy się w Niechanowie, w Obrze, w Poznaniu, wszędzie, gdzie Antoniewicz choć na parę dni się pokazał. Czy nie najpiękniejsza to, najwymowniejsza, i ostatecznie najtrwalsza w wdzięcznych sercach wyryta oda pochwalna?

Dotąd rząd pruski poważniejszych trudności misyom nie stawiał; co najwięcej domagał się załatwienia pewnych zmudnych i nudnych przedwstępnych formalności. Kościański landrat von Madri, nie wiedzieć czy z własnego popędu, czy, co prawdopodobniejsze, z wyższego polecenia, wydał na kilkanaście dni przed misyą zakaz głoszenia kazań pod gołem niebem na okalającym

[1] Do br. Konopczyny. 9 czerwca. Z Czerwonejwsi.

kościół cmentarzu, wrzekomo ze względów publicznego bezpieczeństwa. Napróżno miejscowy proboszcz, bardzo gorliwy ksiądz Lewandowski, odwoływał się na starożytny, panujący w całem Księstwie zwyczaj mawiania w czasie odpustów kazań pod gołem niebem, „czemu dotąd nigdy władza policyjna się nie sprzeciwiała“; napróżno przedstawiał, jak zewsząd gromadzący się lud boleśnie zostałby dotknięty, gdyby z powodu tego rozporządzenia musiał „z sercem żałosnem do domu powracać“; napróżno użyć próbował pośrednictwa arcybiskupa, apelował do naczelnego prezesa Puttkamera, do ministra wyznań von Raumera; — z Poznania, jak z Berlina przyszły jednobrzmiące rezolucye: „Rząd królewski zezwolić nie może na głoszenie kazań na otwartem polu przez zagranicznych księży; zgadza się jedynie, stosownie do postanowień prawa pruskiego, aby kazania te miane były na placu otoczonym ze wszystkich stron płotem, wysokim co najmniej na ośm stóp“ [1]. Żartowano sobie następnie z tego rozporządzenia w berlińskim sejmie; wywiązała się tam o niem, a raczej z jego okazyi, bardzo długa dyskusya, w którą wciągnięto Jezuitów, Klemensa XIV., polską propagandę i t. p.; głośny już wtedy i wtedy już przywódca katolickich posłów niemieckich, August Reichensperger, nie szczędził rządowi potężnych cięgów z powodu „kościańskich wypadków“ [2]; ale ostatecznie na razie prezydyalne i ministeryalne rozporządzenie niemałą było dla misyi przeszkodą. „Tysiąc przykrości — skarżył się Antoniewicz nazajutrz po rozpoczęciu misyjnej pracy [3]; — landrat po mnie przysyłał. Widać oczywiście, że chcą misye przytłumić“.

Nie mogło ulegać wątpliwości, że rządowe protestanckie koła, zaniepokojone nadzwyczajnem ożywieniem katolickiego ducha, pragnęły z serca „misye przytłumić“; chodziło tylko

[1] Rezolucye, cała korespondencya odnosząca się do misyi kościańskiej, bruliony licznych próśb i uwiadomień przesłanych przez proboszcza do różnych władz duchownych i cywilnych, znajdują się w archiwum kościoła kościańskiego w grubym fascykule, bardzo starannie zebranym i oprawnym, pod wspólnym tytułem: „Akta tyczące się misyi w tutejszym kościele parafialnym kościańskim w r. 1852“.

[2] Urzędowe sprawozdanie drugiej Izby pruskiej z 12 lutego 1853 r.

[3] Do mgr. Wielopolskiej. 15 czerwca.

o wynalezienie odpowiedniego pretekstu. Tymczasem misyonarze wytężali wszystkie siły, aby, korzystając z zostawionego sobie, niedługiego może czasu, jak najwięcej, jak najlepszego nasienia w sercach zasiać. W dzień św. Jakuba, 25 lipca, rozpoczęło się misyjne żniwo w Niechanowie pod Gnieznem.

„Codziennie — pisał „dla wiecznej pamięci“ miejscowy proboszcz ks. Trojanowicz[1] — bywały dwa kazania i dwie nauki, oprócz nauki przy poświęceniu wody, soli, medalików, krzyżyków i szkaplerzy, które codziennie dwa razy święcono. Kazania powyższe i nauki były miane prostym stylem, tak, że je każdy zrozumieć mógł; polski język jednak dobry, prostotą swoją nikogo nie rażący, owszem ujmujący. Kazania bardzo chętnie były słuchane i widać było po wszystkich słuchaczach, że trafiały do serca. Mówcy strzegli się, aby słuchaczów nie przyprowadzić do rozczulenia, jednak widać było u wszystkich słuchaczów łzy spokojne i w cichości płynące, które miłość Boga, bliźniego i żal serdeczny z serca i oczu wycisnął. Ta misya, ile że w czasie żniw, trwała tylko dni cztery“.

„Żywy udział w misyi — czytamy dalej w zapisce ks. Trojanowicza — brał JW. ksiądz sufragan Brodziszewski[2]; przez cały czas odprawiał nieszpory, sumy i wybierzmował 1640 ludzi... Zbiegł się lud z rozmaitych stron, od Bydgoszczy i Inowrocławia. Pierwszego dnia przybyły kompanie: z Gniezna, mająca przeszło 3000 ludzi, z Witkowa do 1500, z Kędzierzyna do 1000; we wtorek zaś przybyła kompania z Czerniejewa, mając około 2000 osób. Znawcy rachowali pierwszego dnia do 8000 ludności; drugiego dnia, dla jarmarku w Gnieźnie, mogło być tylko około 5000; trzeciego dnia było do 13.000; czwartego około 8000. Kościołek[3]

[1] Notatka ta umieszczona w parafialnej księdze pomiędzy dwoma metrykami.

[2] Ks. Wojciech Brodziszewski, mąż wielkiej pobożności i energii, której złożył dowody w czasie sporów wybuchłych między rządem pruskim a arcybiskupem Duninem w sprawie małżeństw mieszanych.

[3] Skromny, drewniany, ale bardzo miły kościołek niechanowski, dokoła wiankiem drzew otoczony, może właściwie pomieścić zaledwie do 400 ludzi. W niedzielę zapełnia się szczelnie kościołek przybranemi wedle dawniejszej mody kobietami, ustrojonymi w czarne, niemieckie surduty męż-

nie był w stanie jednej piątej części zgromadzonych objąć, i dlatego kazania były miewane na cmentarzu, pod jesionem, ze strony zachodniej kościoła stojącym. To drzewo bardzo się na teraz przydało; swojemi rozłożystemi konarami zasłaniało kaznodziejów od upału słonecznego, wiatru i nawet lekkiego dżdżu".

„Na pamiątkę misyi wystawił kolator, Franciszek Żółtowski, krzyż dębowy z napisem: Pamiątka misyi w r. 1852... Kolatorka, Zofia z Zamojskich Żółtowska, sprawiła cztery proporce... Kolator i kolatorka sami w czasie procesyi proporce nieśli".

„Krzyż poświęcił JW. sufragan Brodziszewski. Przy poświęceniu krzyża, powiedział mowę ks. Karol Antoniewicz, Jezuita, bardzo trafiającą do serca i wyciskającą łzy w cichości. Księży przybyłych do słuchania spowiedzi św. było codziennie do trzydziestu... Komunikujących było do 4000 osób... Wody w ośmiu studniach pobliższych brakowało. Misya jak najspokojniej się odbyła, nie widać było pijaństwa, ani kłótni. Najstarsi ludzie nie pamiętają, ani też nie słyszeli w swojej młodości, aby kiedy w tym kościele była misya... Skoro tylko ludek w pierwszej misyi zasmakował duchownie, wnet począł błagać swoich pasterzy o ten pokarm duchowny, nadzwyczajny... Tam gdzie najwięcej obstawano przeciw misyi, potem najwięcej jej pragniono..."

„Zakończyliśmy misyę w Niechanowie — donosił Antoniewicz pod datą 3 sierpnia [1]. — Jak strumień jaki lało się błogosławieństwo boże: lud o dziewięć mil z kompaniami przychodził. Biskup Brodziszewski cały czas był obecny... Szlachta różnej barwy i farby tłumnie się zebrała i wszyscy byli bardzo grzeczni i uprzejmi. Jednem słowem: Bogu niechaj będą dzięki! Po misyi byłem w Gnieźnie, a teraz od dwóch dni w Poznaniu. Jutro mam odebrać list z Baszkowa, a gdy pomyślny, w piątek (7 sierpnia) zaczynamy tam misyę na dziesięć dni, ale ciężko będzie, bo nas tylko czterech... Misya w Poznaniu, w jezuickim

czyznami. Dopiero gdy organy się odezwą, a ze wszystkich piersi popłynie czysta, polska pieśń, czujesz, że jesteś obok Gniezna, dawnej stolicy polskich królów, dzisiejszej jeszcze stolicy polskich arcybiskupów.

[1] Do mgr. Wielopolskiej. Z Poznania.

kościele już zadecydowana; ale musi być jednocześnie i niemiecka. Prosiłem o niemieckich misyonarzy, ale nie wiem, czy dostanę... Z Baszkowa idziem do Szremu, Pleszewa, Grodziska i Poznania, potem do Gniezna i Trzemeszna, i wiele innych miejsc proszą o misyę. Dziwne cuda boże! Ale nas tak mało i tak lichych — oto, co jest najdziwniejszego!..“

Cholera, i w ścisłym z nią sojuszu zostająca, szczęśliwa z nadarzonego wreszcie pretekstu zła wola ludzka, przekreśliły cały, z takim mozołem wygotowany plan przyszłych prac apostolskich. Już niechanowska misya z wielkim trudem przyszła do skutku; baszkowska — o następnych nie mówiąc — nawet się nie rozpoczęła. „Misya w Baszkowie[1] — pisał Antoniewicz zaraz po święcie Wniebowzięcia N. Panny[2] — gwałtownie wstrzymana została, gdyż przy samem rozpoczęciu żandarmi nie dali nam wejść do kościoła i kazali w dwunastu godzinach Baszków i cały powiat opuścić“.

Do rozkazu trzeba było się zastosować, trzeba było powiat opuścić; i tak gdzieindziej wołała inna niemniej zbawcza praca, wzywały inne jeszcze gwałtowniejsze potrzeby. Cholera, srożąca się od pewnego już czasu wzdłuż całej wschodniej granicy poznańskiej, zapuściła w lipcu swe zagony w głąb Księstwa; niebywałe upały, niezaradność przestraszonych i chorych i zdrowych i samychże lekarzów, przyczyniały się niemało do szybkiego jej rozszerzenia. Do pierwszych dni sierpnia łudzono się jeszcze, że cholera przejdzie przez Księstwo, nie pozostawiwszy po sobie głębszych śladów; w sierpniu łudzić się było niepodobna.

„W obecnej chwili — charakteryzuje korespondent *Czasu*[3] usposobienie ludności poznańskiej w smutnej pamięci lecie i jesieni 1852 roku — nad wszystkiem góruje przerażenie, znękanie wywołane epidemią, tak gwałtownie kraj nasz pustoszącą, co wszelkim innym zajęciom na drodze stoi i do wszystkiego innego interes przygłusza. Nie chwila także rozszerzać się nad

[1] Wioska w powiecie krotoszyńskim.
[2] Do mgr. Wielopolskiej. 16 sierpnia.
[3] *Czas* z 10 września 1852 r.

poświęceniem bez granic duchownych naszych, Sióstr Miłosierdzia i wielu świeckich dusz pobożnych i poświęconych; tym Bóg jedynie, a nie pochwały w dziennikach, nagrodzić może... List pasterski arcybiskupa poleca spokój duszy, nakazuje modlitwy publiczne dla odwrócenia plagi Opatrzności, poleca składki na miejsca i okolice plagą tą dotknięte... Z Gdańska i Prus Zachodnich równie smutne wiadomości..."

W dwa dni później wraca poznański korespondent do tego samego przedmiotu[1]: „Cholera wcale nie ustaje, owszem z każdym dniem więcej po kraju się szerzy i tu w mieście wszędzie ofiary wydziera, na wszystkich ulicach i ze wszystkich stanów. Wogóle wszędzie popłoch, przerażenie, znękanie, a w niektórych okolicach prowincyi jeszcze większe jak tutaj, gdzie przecież więcej sił ratunkowych. Dziś jeszcze, mimo łez i trwogi, połowę zaledwie nieszczęścia objąć można; ogrom dopiero, gdy minie epidemia, się wykaże, w nieskończonej ilości wdów i sierót, które zostaną bez opieki i utrzymania":

I znowu po kilku dniach[2]: „Widać, że cały kraj doświadczonym będzie, a ile ucierpiały szczególne osady, to najsmutniejszym przykładem miasteczko Dobrzyca, gdzie w kilku tygodniach każdy trzeci człowiek epidemią był dotknięty, a każdy siódmy umarł... Trudno wyrazić, jak okropne opisy trwogi, spustoszenia czyta się w listach. Materyalne straty będą w kraju nader znaczne, bo przecież w wielu miejscach, nawet rolnych robót nie było kim wykonać..."

„Lud dotknięty epidemią[3], przedewszystkiem garnie się do księży i w pociechach religijnych czerpie wzmocnienie. Ale jakże smutnym jest stan Księstwa w tym względzie! Brak duchowieństwa nigdy tak mocno czuć się nie dał, jak obecnie; znamy ogromne parafie, gdzie proboszcz uległ zarazie, a biedny lud bez pociech religijnych umiera... Potrójna liczba dzisiejszego duchowieństwa jeszczeby nie wystarczyła na potrzebę obecnej chwili..."

---

[1] *Czas* z 12 września.
[2] *Czas* z 16 września.
[3] *Czas* z 21 i 25 września.

Wobec takich klęsk, takich potrzeb, rola żarliwych misyonarzów, kroczących naprzód z hasłem: „Na większą chwałę Bożą!“ — była z góry wskazaną. Nie można było dalej prowadzić rozpoczętego dzieła na zamkniętej przez cholerę, misyjnej niwie; cholera otwierała inne pole do poświęcenia, do pracy, i misyonarze nasi, bez chwili namysłu, z młodzieńczym zapałem rzucili się do bożej orki, przy której ważyć mieli nietylko zdrowie, ale i życie.

„Wyjechałem z Baszkowa — opowiada Antoniewicz początki nowej tej, odrębnego rodzaju misyi [1] — do Szląskowa [2] na noc, chcąc nazajutrz wprost jechać do Wrocławia, aleśmy trafili w samo *centrum* cholery. Wiesz, jaki tu brak księży, lud przerażony, a niema pomocy, więc zostaliśmy przez cały tydzień. W kościołku słuchaliśmy spowiedzi... Raniutko wyjeżdżaliśmy ze Szląskowa do kościołka odległego o pół mili i dopiero po szóstej do domu wracaliśmy. Był to tydzień wielkiej i ciężkiej pracy, ale i wielkiej bardzo pociechy...“

„W środku śmierci wciąż siedzę [3]. Przerwaliśmy misye;... Pan Bóg daleko wymowniejszego przysłał misyonarza, tj. cholerę, która codzień się wzmaga, a w miarę jak ciała umierają, dusze zmartwychwstają na łaskę. Jest coś nadzwyczajnego! W Szląskowie, w samotnym jutrosińskim kościele, słuchaliśmy przez cały tydzień spowiedzi, na śmierć się gotujących... Przerywam, bo co chwila po księdza wołają, a w kościele tłum ludzi do spowiedzi“.

„Palec Boży nas dotknął — pisze w kilkanaście dni później z Jurkowa [4] — bo przyszedł czas, gdzie tyle obrazy bożej wywołało zadośćuczynienie sprawiedliwości Jego. Dzięki Bogu, miłosierdzie boże i teraz więcej niż kiedykolwiek się objawia. Lud przerażony, bo cholera coraz bardziej i gwałtowniej się rozszerza, garnie się do Pana, a praca dziś w dwójnasób większa niż w czasie misyi. Gadać i słuchać trzeba cały dzień... Wczoraj

[1] Do mgr. Wielopolskiej. 16 sierpnia.
[2] Szląskowo albo Śląsków, wieś w powiecie krobskim.
[3] Do ks. Sapieżyny. 16 sierpnia.
[4] Do mgr. Wielopolskiej. 5 września.

w nocy wróciłem z ks. Baczyńskim z Górki, gdzieśmy od szóstej rano do dziewiątej wieczór kołkiem w konfesyonale siedzieli. Jutro jadę do Kościana, gdzie cholera wybuchła; — aż znowu gdzieindziej nie zawołają...“

„Czasem cały tydzień i więcej przeminie, gdzie ani pióra niema czasu umaczać[1]. Żniwo tu ogromne! Śmierć się sroży, na ziemi ubywa ludzi, ale w Bogu nadzieja, że w niebie przybywa. Lud przerażony tłumami ciśnie się do pojednania z Bogiem. Każdy na śmierć się gotuje... Na wszystkie strony wołają i wzywają... Módlcie się, abyśmy w czasie tego wielkiego żniwa jak najwięcej snopków do nieba przesłali...“

„Parafia kościańska — czytamy w korespondencyi przesłanej do *Czasu* przez miejscowego proboszcza, ks. Lewandowskiego[2] — włącznie z oborzyską i bonikowską ma 6000 dusz; przy tak słabych siłach fizycznych[3], byłoby za trudno duchowieństwu tutejszemu zadośćuczynić wszelkim żądaniom. Widząc to, księża Karol Antoniewicz i Teofil Baczyński, ofiarowali swą pomoc przez W. Kajetana Morawskiego z Jurkowa... Ojcowie ci przybyli tu 8 września, w którym to dniu ks. Baczyński celebrował, a ks. Antoniewicz miał kazanie. Od tego dnia, we dnie i w nocy pracują w tutejszej parafii, jużto zaraz z rana o godzinie czwartej jeżdżąc do chorych, już przed i popołudniu w kościele nie opuszczając konfesyonałów, już późno w noc, czasem o godzinie pierwszej po północy odwiedzając w mieście i po wsiach chorych na cholerę. Od dziesiątego bieżącego miesiąca, wzywało pomocy duchownej do 24 chorych dziennie, a umiera od tegoż czasu do 15 osób dziennie. Choroba ta rozszerzyła się i na Kiałczewie; rozpoczęła się i w Kurzejgórze, Bonikowie, Sierakowie i Nacławiu. Przy wielkiem poświęceniu Ojców Jezuitów, starają się i miejscowi duchowni, aby każdy chory katolik w parafiach rzeczonych był opatrzony Sakramentami świętemi!“...

Sam misyonarz opisuje kościańskie znoje w kilku listach

[1] Do ks. Sapieżyny. 5 września.

[2] *Czas* z 2 października. Korespondencya datowana 17 września.

[3] Ks. Lewandowski i wikary jego ks. Tomicki powstali sami dopiero co z ciężkiej choroby.

nakreślonych, podobnie jak poprzednie, pospiesznem, niewyraźnem pismem, w którem znać widoczną walkę ze snem, dopominającym się późnym wieczorem swych praw po całodziennem znużeniu [1]:

„Przyjechaliśmy szczęśliwie z łaski bożej do biednego i kochanego Kościana. Gdzie bieda i miłość, tam się serce wiąże, bo z miłości i boleści tak błogosławieństwo wykwita, jak z cierni róża, a róża i wśród cierni się uśmiecha i serce wśród boleści swobodne być może i m u s i, pamiętaj — m u s i. Tu wciąż dużo umiera, ale więcej przez tę cholerę na duszy ożyło, jak na ciele umarło".

„Wczoraj trzynaście pogrzebów, dziś już ośmiu umarło do południa. Dzięki niechaj będą Bogu, ani jeden nam nie umarł niewydysponowany. Ludu pełno w kościele do spowiedzi, ale niema komu spowiadać, bo zaledwie się siądzie do konfesyonału, już wołają do chorego. O! nie wiem jak Bogu podziękować, że nam najniegodniejszym pozwolił tu pracować. Podziękujcie Bogu za nas, i jeśli wola Jego, proście, aby pokąd ten lud potrzebuje, zostawił nas przy życiu, a potem niech czyni co chce. Żebyście wiedzieli, jak ten lud jest wdzięczny za te małe przysługi co mu czynimy, to aż wstyd, bo my nic nie czynim, tylko to co jest najściślejszą powinnością naszą..."

...„Tyle smutnych, bolesnych, tkliwych miałbym wam rzeczy do powiedzenia... Tu nic się nie polepsza. Dziś od pierwszej w nocy do siódmej rano 17 chorych odwiedziłem. O! biedny, biedny lud! Powiedziałem sercu: milcz! — i milczy, bo inaczej jeśli nie z cholery, to z boleści byłbym umarł. Wezwano mię z kazaniami do Poznania, ale Bóg wie, czy się uda!"

...„Po dziesięć do dwunastu pogrzebów na dzień... My dzięki Bogu jeszcze żyjemy, wśród trumien i płaczu. Straszny Bóg w gniewie swoim, ale nieskończenie dobry w miłosierdziu swojem".

...„Bolą kości już bardzo, ależ i zasłużyły na to. Cały dzień od chorego do konfesyonału, od konfesyonału do chorego, i w nocy niema spokoju. Nie opuścim ludu naszego, pókąd albo Bóg cholerę, albo nas przez nią stąd nie weźmie"...

---

[1] *Przegląd Poznański*, t. xv, str. 221 np.

Do Poznania zaproszono misyonarzów z kazaniami w kościele dominikańskim na nabożeństwie różańcowem; nabożeństwo nie miało mieć nazwiska misyi, obyć się miało bez pewnych przyjętych na misyach ceremonij, aby rządu nie drażnić, ale w gruncie rzeczy od misyi się nie różniło.

„Tu — notował po wielu latach ówczesny towarzysz Antoniewicza, znany nam już dobrze O. Baczyński — po raz ostatni wystąpił Ojciec Karol uroczyście z całą swoją żarliwością. Po drodze oświadczył mi, że musimy głosić całą prawdę bożą, bez wszelkiej ogródki i względu, aby poznano co to są Jezuici i czego chcą. To też zaraz trzeciego dnia kazał mi z nauką o piekle po misyonarsku wystąpić, co było powodem, że nas do policyi wezwano i zapytywano, dlaczego misyę bez opowiedzenia się rządowi odprawiamy. Niemcy tak się przelękli piekła! Lud zaś przez zakaz policyjny tak był w mieście wzburzony, iż przyszłoby było do gwałtu, gdyby jeden z nas ze łzami nie był ludu uspokoił... W policyi wreszcie zakaz cofnięto, a miłosierdzie boże użyło tej okoliczności; od tej chwili inteligencya i kto żył cisnął się do spowiedzi świętej“...

„Łaska boża — dziękował Bogu Antoniewicz [1] — nas wyprzedza i skłania serca ku nam, bo i tu lud tyle nam serdeczności okazuje i wszyscy okazują — a za co? To modlitwa św. Ignacego i ojców naszych w niebie... U nas tu wszystko dobrze. Oświecony Poznań dziewiętnastego wieku słucha zapleśniałych prawd o piekle i dyable, ale słucha i spowiada się, dzięki Bogu! My zdrowi, ale zmęczenie się odzywa; lecz to zdrowo dla Boga zdrowie stracić“.

Korespondent *Czasu* ze swojej strony donosi w części temi samemi prawie słowami, jakby je w listach Antoniewicza podpatrzył [2]:

„Nabożeństwo odprawiające się w kościele dominikańskim, gdzie codziennie misyonarze każą, wciąż równie wielką liczbę pobożnych do kościoła tego ściąga. O porywającej wymowie

[1] *Przegląd Poznański,* t. XV, str. 222.

[2] *Czas* z 13 października. Korespondencya datowana 8 października.

ks. Antoniewicza, *Gazeta polska* poznańska kilka razy wspomniała, *Gazeta* zaś *niemiecka* z pewną drażliwością o tym przedmiocie wspomina... Postępowy Poznań oswoił się z widokiem Jezuitów"...

Misya poznańska zajaśniała prześlicznem światłem; wymowa, poświęcenie, serdeczna miłość Antoniewicza wystąpiły w pełnym blasku; ostatnie to były wspaniałe, rozrzucające wokoło światło i ciepło, promienie zachodzącego słońca! Dobremu robotnikowi należał się wypoczynek, nagroda; śmierć, a za nią nagroda, szybko się zbliżały. Jeszcze niewiele dni, poświęconych — jak poświęcone były poprzednie lata — służbie Boga i ludzi, apostolskiej pracy i modlitwie, a Bóg odwołać miał mężnego żołnierza z pola walki. Zanim go odwoła, przyjrzyjmy się dokładniej już nietylko walce i zewnętrznym jej objawom, ale broni, taktyce, którą wierny Jezusowy „towarzysz" w walce tej się posługiwał; zobaczmy w ogólnym obrazie, jak za Chrystusowe idee walczył słowem, piórem, życiem.

*Ks. Jan Badeni.*

# Z LISTÓW SYBIRSKIEGO MISYONARZA.

(Ciąg dalszy).

„Monotonia petersburska przerwaną była jeszcze przybyciem wracających z rot aresztanckich i drugiej nielicznej partyi z Kowna i Warszawy. Między jadącymi do Tomska znalazłem rodzinę kleryka Błażewicza; składa się ona ze starych rodziców i 15-letniego Antolka, który do naszej kamery wprowadzony, rozpłakał się słysząc rodzinny język. Chłopczyk nauczony dobrze katechizmu, w pobożności ugruntowany, prędko dał się pocieszyć, mianowicie tem, że pod opieką rodziców jedzie. Rzecz niezaprzeczona, że Litwini daleko wyżej stoją pod względem religijnym od Polaków, nawet Litwini w Koronie wyróżniają się pobożnością od swoich braci. Przy robotach w Tule wielu z Koroniarzy z trudnością dawali się zapędzić na Mszę w dni święte, i kapłan jak studentów musiał pilnować, aby się nie zaniedbywali, a nieraz i z impertynencyą się spotkał. W Petersburgu, przechodząc kamery, przypominałem obowiązek słuchania Mszy pod grzechem śmiertelnym, ale wątpię, czym trafił do wszystkich przekonania, bo wielu się zaniedbało. Ma jednak wszędzie Bóg swojej wybranych: pośród wielu klnących siebie i sprawców swoich niedoli, wybrał jednego młodego chłopaka, syna wójta z Lubelskiego, i zesłał nań ślepotę oczu. Teraz po dwóch latach życia w lazarecie, wracał do kraju razem z innymi, i budował wszystkich nadzwyczajną cierpliwością. Chcąc go pocieszyć, przy-

pomniałem cierpienia Chrystusowe, i że w zmartwychwstaniu odzyszcze wzrok utracony. Lecz z jakąż pociechą usłyszałem, że on się nie martwi swojem nieszczęściem, że przez dwa lata nie doznał smutku a opływa w radość wewnętrzną. Podziwiałem i wielbiłem moc bożą tak jawną w tym naśladowcy Tobiasza, który, choć ociemniały, otwarte ma oczy duszne na wszelkie światło nadprzyrodzone. Z jakąż to budującą gorliwością przysłuchiwał się historyi życia Chrystusowego, jak łakomie pożerał pokarm duchowny, i czule zań dziękował, lubo takich karmić już jest wielką nagrodą. Nazajutrz najraniej był w kaplicy. Takich jest Królestwo niebieskie".

Po drodze z Petersburga do Moskwy, przygląda się wygnaniec obcemu krajobrazowi, którego tłem przeważnie lasy, przerywane siołami ze świecącą kopułą. „Po drodze Twer imponuje licznemi wieżami i cerkwiami, ale nic pod tym względem nie równa się z Moskwą, która przedstawia prawdziwy las wież cerkiewnych. Moskwa sympatyczniejsza jakoś i swobodniejsza od Petersburga. Przy wejściu do turmy mile spotkało się ucho z religijnym śpiewem. Znajdowało się tam kilku Litwinów, którzy wieczorne odprawiali nabożeństwo. Tu się człowiek znalazł w swoim żywiole i odetchnął swobodniej. Łóżek tu niema, śpimy na narach, ale za to przestrzeni wiele, wolałbym tu dłużej zamieszkać niż w stolicy. Stąd mają wysyłać dalej 6-go marca... Napiszcie do Tobolska, gdzie za miesiąc być się spodziewam"...

Już dnia 7 marca tegoż roku ks. Dawidowicz pisze z Niżnego Nowogrodu, iż trzy dni tylko zabawiwszy w Moskwie, w dalszą przymusową udał się drogę. „W podróży tej mocno mnie zajęła gotowość tutejszego ludu wspierania więźniów różnego rodzaju. Patrząc oczyma duszy, widziałem w tem dowód chrześcijańskiego miłosierdzia, i goręcej jeszcze się modliłem, by się nad tym ludem spełniły słowa Zbawiciela: *Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.* Z więzienia do kolei pochód nasz trwał dwie godziny. Lubo miałem pozwolenie na najęcie dorożki, dla uniknienia jednak marnotrawstwa i dla zastosowania się do towarzystwa, postanowiłem iść pieszo, lubo pielgrzymka była wcale niewygodna z powodu znacznego już

błota. Szliśmy środkiem ulicy, otoczeni ze wszech stron żołnierzami zbrojnymi w karabiny. Porządek ściśle był przestrzegany, nie godziło się zboczyć na pół kroku od brzękającego kajdanami towarzystwa, żeby się nie narazić na szturchańce kolbą. Cały ten najściślej obwarowany porządek potrafiło mieszać chrześcijańskie miłosierdzie, przed którem wszystkie zawady choć w części się usuwały. Na widok pochodu dzwoniącego łańcuchami, każdy poruszał się widocznie, i albo żegnał się na znak błogosławieństwa, albo się zatrzymywał towarzysząc nam pełnym litości wzrokiem, albo dobywał grosz wdowi i niósł po błocie *nieszczástnomu,* a jeśli miał co do jedzenia, jak np. przekupki, biegł za nami usiłując podać *podajanie.* Przytem rozrzewniające trafiały się sceny. Zbliżamy się np. do rogu ulicy, aż tu młody chłopczyna, nędznie ubrany, je chleb, widocznie co dopiero kupiony za kopiejkę. Co tylko wziął kęs w usta, nagle spostrzega idących więźniów i bez żadnego namysłu zbliża się z wyciągniętą ręką dla podania ostatniego kawałka chleba najbliższemu więźniowi. Żołnierz odtrąca go nielitościwie, a on odchodzi upokorzony, nie domyślając się nawet, że najpiękniejszego w świecie czynu dokonał. Inna babulka aż się w błoto wywróciła, otrzymawszy szturchańca. Inny długiej wysłuchał żołnierskiej łajaniny, zanim mógł uczynić zadość szlachetnemu sercu. Łatwo domyśleć się, jakiego wzruszenia doznała dusza świadka podobnych rzeczy. To też żegnałem każdego serdecznie, życząc stokrotnej nagrody... Wreszcie przybyliśmy do wagonu na godzinę przed odejściem pociągu. Tu dopiero sypnęło się *podajanie.* Obliczyłem, biorąc miarę z własnej porcyi, iż podano do wagonu ze 150 bułek pięciokopiejkowych, około 400 trzykopiejkowych i bodaj 5000 obwarzanków. Należało nas do podziału sześćdziesiąt osób i każdemu tyle się dostało, żeśmy mieli ambaras ze schowaniem. Nazajutrz, przechodząc do etapowej kwatery przez Niżni, jeszcześmy niemało uzbierali, a i do więzienia prócz tego nadsyłają. Błądziłby, ktoby sądził, że sami polityczni więźniowie znajdują współczucie. Więzień każdy to *nieszczastnyj,* który zasługuje na miłosierdzie. Oto jest niezaprzeczony dowód chrześcijańskiego miłosierdzia Rosyan!“

Dalej ksiądz Dawidowicz wspomina, iż jak wszędzie, tak i tam, nie tyle klasy oświeceńsze, lecz średnie i niższe spieszą z jałmużną, że ubodzy ubogim najwięcej świadczą litości. Owszem, dziennikarze usiłują wstrzymać działanie miłosierdzia, wypisując po gazetach, iż „jałmużną zawalone więzienie staje się miejscem powabnem dla wielu, zaczem przez nowe występki torują sobie doń drogę". „Jako więzień mogę być kompetentniejszym sędzią od panów literatów i zaprzeczam prawdy ich dowodzeniom. Chrześcijańskie miłosierdzie nie może być szkodliwe dla dającego, bo stanowi czyn dobry, a każdy dobry czyn podnosi i uzacnia sprawcę, a gdy się na pobudkach nadprzyrodzonych opiera, to i wieczną nagrodę wysługuje w moc bożej obietnicy. W ciągu dwóch godzin, do czterystu chrześcijan dokonało pięknego czynu, nie z żadnych ziemskich pobudek, bo te ustąpiłyby przed srogą pogróżką żołnierzy, ale z chęci niesienia pomocy nieszczęśliwym; może-li to pozostać bez moralnego na społeczność wpływu? Nie może być szkodliwem dla biorących jałmużnę, bo owszem takie współczucie wszystkie szlachetne struny duszy porusza, budząc żal, szlachetne zawstydzenie, chęć poprawy i wdzięczność ku Zbawicielowi, który zapalił w sercach ludzkich miłość i inne szlachetne uczucia. Mogą być nadużycia, które samo to chrześcijańskie dobrodziejstwo w narzędzie zguby zamieniają, ale gdyby Pan Bóg z powodu nadużyć dobrodziejstw swoich przez panów gazeciarzy odmówił im *podajania*, podobnoby z głodu wszyscy nad swemi niechrześcijańskiemi artykułami poumierali...

„Jużci ja rozumiem, że na wszystko patrząc z dobrej, idealnej strony, pokażę się stronnym i ckliwym, ale to mnie nie odstręcza od przyjętej zasady notowania faktów godnych naśladowania. Drudzy mnie wyręczają, podnosząc ujemną stronę, a tak prawda się wyświeca niejednostronnie. Są zapewne ciemne strony ludzkości, które podniesione, możeby przyćmiły światłe, ale pożyteczniej jest modlić się, by Pan Bóg raczył te cienie miłosierdziem swojem rozproszyć, niż przedstawiać je w ohydnym obrazie. I myśmy niegdyś byli ciemnością, pisze św. Paweł, a teraz światłością w Panu. Gdyby na te strony wylał Bóg tak ob-

ficie swe łaski jak na nasze, możeby o wiele nas przewyższono w cnocie".

Ustęp ten najlepiej nam daje poznać tę przejrzystą, słodką duszę kapłańską, w więzach i uciskach nie znajdującą słowa narzekania, jeno dopatrującą się zawsze stron lepszych, światlejszych — szukając takowych „jak w mrowisku — szukają ziarnek kadzidła".

„Stąd wyjadę najdalej 12-go — pisze dalej ks. Dawidowicz — zatrzymamy się króciuchno w Kazaniu, a potem w Tiumeniu. Wielkanoc przeto przypadnie na wozie. Módlcie się, a i nam zawita wesołe *Alleluja*, które tam jest gdzie Królestwo boże, a to w nas jest, wedle zapewnienia Zbawiciela".

Po kilku dniach do tegoż listu dopisuje: „Już 10-ty marca, a dalej nie pędzą, z czegom nie zupełnie rad, bo powietrze wiosenne szybko śnieg spędza i na dziedzińcu naszym masa wody; jadąc za dni kilka Wołgą, możemy pod lód wpaść. Żartuję tylko, bo Wołga o wiele od ludzi względniejsza, nie zechce nas zgubić... Zapomniałem powiedzieć o niespodziance, która mnie spotkała w Moskwie. W wagonie spotkałem owego Żmudzinka, Jana Bukontisa, z którym w Petersburgu, jak mniemałem, na zawszem się pożegnał. Już się sylabizować poduczył, i już pewny jestem, że będzie umiał czytać. Milową odległość do dworca kolei w Niżnym, osładzały dziatki z bułkami i obwarzankami. Straż też nie była tak surowa jak w Moskwie, ale widok biedaków w kajdanach męczących się, brzęk ich monotonny do żywego dojmował swobodniejszym towarzyszom. Prawda, że wówczas własna bieda wydaje się leciuchną, i rzeczywiście nie tak straszną jak się do niej przyzwyczaić. Jedna tylko rzecz straszna i godna największej obawy... Dziś, gdyśmy wypoczęli, zupełnieśmy zapomnieli doznanych trudów, i my Żmudzini tniemy pieśni o Męce Pańskiej, kpiąc z całego świata. Jedno nas frasuje: gdzie spowiedź wielkanocną odprawimy. W Kazaniu projektujemy to zrobić, gdzie ks. Galimski, Żmudzin z Szawlan, mieszka, jeżeli tylko znajdziemy go w domu. Wypadnie tam w czasie Niedzieli Palmowej odpoczywać... Staram się napisać wszystko co się koło mnie dzieje... Złe, wedle zdania filozofów, nie ma rzeczywistości, jest nicością i zaprzeczeniem

dobra, dlatego w każdym razie o złem wolę milczeć, a co dobrego zobaczę, staram się tem z wami podzielić. Dla tej przyczyny nie mogę zamilczeć, że Rosyanie przykładniej od nas poszczą... U nas u wielu zanikło pojęcie o obowiązku posłuszeństwa Kościołowi. Niektórzy rodzice, co mają dziatwę, nie pojmują, że sami są dziatwą Kościoła, którego podkopując powagę, i swoją podkopują".

Ostatecznie, szczupłe zewnętrzne otrzymujemy wrażenia naszego wygnańca, a jednak nie śmiemy skracać wyjątków z jego korespondencyi. Nad inne bowiem echa, stawiamy odgłosy duszy ludzkiej, tkniętej łaską i wydającej podniosłe dźwięki miłości, przebaczenia, żarliwości apostolskiej. Ks. Dawidowicz nie mógł żyć bez apostolstwa. Po więzieniach wyszukiwał, jak to widzieliśmy, katolików; na jednej z dłuższych stacyj sybirskiej pielgrzymki zarządził nabożeństwa wśród zbrodniarzy, acz do tego nie upoważniony. Żandarm czy zwierzchnik więzienny tłumaczył mu, że to nie wolno, a zwłaszcza że dla takiego bydła nie warto, bo i tak nie znają, nie rozumieją nawet prawd wiary. „To ja je im wytłumaczę", podchwycił ks. Dawidowicz, i jakoby przez to samo uprawniony do działania, zabrał się gorliwie do katechizacyi więźniów.

Odtąd listy stają się rzadszemi, niestety! brak nawet wspomnianych w toku korespondencyi. Ani z Permu, ani z Kazania nie odnalazły się przesyłki. Dopiero znów mamy przed sobą list pisany 3 kwietnia 1866 r. z Tugałynia, o dzień drogi od Tiumenia, gdzie zatrzymano na noc pochód wygnańczy, po przebyciu w ciągu dnia pięćdziesięciu dwóch wiorst drogi. „Ostatnim razem pisałem z Permu w Wielki Piątek. Nazajutrz przybyliśmy do powiatowego miasteczka Kunguru; tu mieliśmy Wielkanoc rozpocząć, kupiliśmy 20 jaj farbowanych, ugotowaliśmy kawał wieprzowiny, kupiliśmy pierogów, a to wszystko miało składać nasze święcone. Cieszyliśmy się z doczekanej uroczystości, układając projekta o rańszem wstaniu, by zmówić pacierz i Alleluja przed wyjazdem w dalszą drogę. Ale pomieszano nam szyki, budząc o 1-szej godzinie po północy, choć przyrzekli przed 7-mą nie rugować z miejsca. Daremnie narzekać, ten i ów mruknął na niewczesne rozbudzenie i ubierał się szepcąc paciorek. A tak

pomimo zamiaru czuwaliśmy prawie noc całą z ludem naszym, który literalnie nie śpi, opiewając drogę krzyżową, po długiem pospolicie Wielko-sobotniem kazaniu... Drużyna moja nieco była zdrożona, a ja niemniej źle wyglądałem, bom do 11-tej listy pisał. Na wozie, który nas dalej unosił, mogliśmy się myślą przenosić do kościołów swoich, i tam zwiedzać Groby Pańskie. Grób Pański w Szawlanach i Worniach najżywiej się przypomniał, a was w Wilnie i Kownie, jakobym widział uczestniczących w rezurekcyjnej procesyi. Złe wyszło na dobre, bośmy cztery stacye przebyli prawie do południa, i mogliśmy po wypoczynku dostatecznym jeść smacznie, kaczać jajka i bić, przypominając zabawy w dzieciństwie. A tak braliśmy udział we wspólnej radości, o ile w naszem położeniu możność dozwalała. Wkrótce przekonaliśmy się, że zbyteczne były niektóre zapasy kungurskie, bo *podajanije* dostarczyło nam obficie pierogów, jaj, mleka, twarogu, a dawcy polecali naszym modlitwom zmarłych swoich rodziców i krewnych. Nie tyle z pożytku, ile z dobrego czynu i wiary w czyściec, miła była nam ta jałmużna...

„We środę przedpołudniem wjechaliśmy do Azyi... Ja bez wrażenia przebyłem tak ważny moment w życiu, nieporozumienie z żołnierzem wszystko pomieszało. Po przebyciu góry, nie wiedzieć dlaczego zwanej Ciepłą, nieznacznie wjeżdża się na Ural. Nie takiemi wyobrażałem sobie Uralskie góry, więc daleko zapuszczałem wzrok, wyglądając olbrzymiego pasma, dzielącego Europę od Azyi, jak nas w geografii uczono. Wtem spostrzegam słup po lewej stronie i zapytuję żołnierza, co to jest takiego? ‚*Majak*', odpowiada. ‚Czy nie to granica Azyi od Europy?' ‚O nie, granica daleko', odpowiedział, sądząc że go zapytuję o granicę permskiej gubernii. Rad, że złudzenie nierozproszone, jeszcze z większem natężeniem wyglądam Uralu, alić przychodzi na myśl zapytać, co on rozumie przez majak. ‚Jest to słup – odpowiada — po jednej stronie którego płynie woda na wschód, a po drugiej na zachód'. Zrozumiałem więc, żem grzbiet Uralu, a zatem i granicę Europy już przebył. Doznać wrażenia było za późno, a swobodniej oddychać — po czasie, a do tego nie rozumiem czy warto... Przyzwałem na pomoc wyobraźnię, która mi przedstawiła te

dwie części świata jako dwie łodzie, przewożące młodych ludzi do wieczności. Aż się przeraziła na widok wrzawy namiętności rozniecanych w Europie, i cofnęła się na widok przepaści otwierających się w przyszłości. Dumna ze swej oświaty Europa, dozwala się pismakom natrząsać z Chrystusa, naigrawa się z Kościoła, goni za doczesnem tylko szczęściem. Azya dla braku chrześcijańskiego światła też odrażający przedstawia widok... Nie śmiałem się zapuszczać w porównania, przechodzące moje wiadomości i siły, i zakonkludowałem to wszystko śpiewem z rodziną Błażewiczów: *O Diewe Tiewe*, *Tiewe małoningas*, i psalmem ‚Bóg naszą ucieczką'. Dziś koło 10-tej wjechaliśmy na właściwą Syberyę, przeżegnaliśmy się mijając graniczne słupy, i prosiliśmy o boskie błogosławieństwo na mieszkanie w tej nowej ojczyźnie, jeśli się tak Bogu podoba. Tysiące tu nas poprzedziły w rozmaitych czasach, pomyślałem sobie, dlatego jedziemy utorowaną już drogą, bez troski i smutku. Możebym zdobył się na jakie dalsze dumanie, ale furman, co leciał na złamanie karku, tak dobrze koło mojego łba zawinął biczem, że musiałem poniechać rozmyślań i śniegiem natrzeć siniaka. Otóż, pomyślałem sobie, prognostyk, że mi dobrze będzie na Syberyi, bo kiedy z początku źle, potem musi być dobrze. Prawią, że w Tiumeniu znajdziemy księdza, co daj Boże; w czasie dniówki odbylibyśmy spowiedź"...

W Tiumeniu zatrzymują zesłanych na t. zw. wiosnówkę, zapewne aby przeczekać roztopy i doczekać lepszej drogi. „Zasmuciłem się na razie, uważając to za niepowodzenie, bo mi się szczerze chciało dosięgnąć Tobolska, odwiedzić swoją brać duchowną i puścić się do przeznaczonego miejsca. Ale myśl, że Bóg lepiej ode mnie urządza rzeczy, że starając się o natychmiastowy wyjazd z widoków osobistych, mogę się rozminąć z wolą boską, sprawiła obojętność w woli, która gotową była odstąpić wszelkich projektów i zastosować się do tego co Opatrzność zrządzi. Jakoż po przyjechaniu zupełnie się uspokoiłem, widząc że tu jak najmilej i najdogodniej czas upłynie z wielką dla duszy korzyścią... Jeszcze nie zdążyłem się rozebrać, a już jakiś pan z Podola zapraszał na gotowy obiadek. Żona i córeczka składają jego rodzinę, a ja będę ich stołownikiem. W pierwszej więc chwili spadł

z głowy ciężar względem pokarmu ciała, pozostawało nakarmić daleko bardziej zgłodniałą duszę. Dowiedziałem się, że tu jest jakiś kanonik z warszawskiej dyecezyi, zesłany na mieszkanie, więc pomyślałem: wielkanocna spowiedź niedługo da na siebie czekać. Czyż po upływie dnia dzisiejszego mogę czegoś więcej pożądać? czy pokrzepiony na ciele i duszy mogę czuć brak w czemkolwiek? Zająłem kąteczek na samym brzegu nar, rozłożyłem swoje duchowne książki, manatki swoje, i przylgnąłem do tego miejsca tak, że dobrowolnie za nic nie chciałbym go zmieniać na pałac najozdobniejszy... Tu się mogę modlić, rozmyślać, czytać bez żadnej przeszkody. Owo największe biedy przebyte już, to jest podróż lądowa; dalej wodą popłyniemy... To też trudno mi pojąć, jak się trwożyć, gdy potrzeba z wolą Boga choćby na koniec świata pojechać. Własnej woli trzeba się lękać, bo ułomna i pod najmniejszym ciężarem upada, ale iść za wolą boską nigdy się bać nie trzeba, bo potężna, niezachwiana i przykrości w słodycz zamienia. Wyznaję, że wszystkie troski dotychczasowe moje wydały się malutką fraszką, ale też przyznaję, że z łaski boskiej to miałem, bo sam z siebie nie przestałem być nędznym i słabym. I gdyby łaska boska na chwilę się usunęła, zostałbym przygnieciony od własnej nędzy. Modlitwy to wasze mnie podtrzymują. Mało tu zesłanych, jako na krańcu Syberyi, daleko więcej znajdzie się w Tomsku. Niektóre rzeczy do zadziwienia tanie, np. dywany ogromnego rozmiaru po dwa i trzy ruble. Kupiłem ich kilka, i będę miał czem ustroić przyszłe moje pokoje. W Kamyszłowie, ostatniem powiatowem mieście gubernii permskiej, znalazłem dwóch naszych chorych, Daukszę i Szuksztę. Dość silnie gorączką zdjęci, dla spokojności wyspowiadałem, choć nie widziałem niebezpieczeństwa".

Każdy list kończy się wyrazami czci i przywiązania dla biskupa swego, towarzyszów pracy, zostawionych w kraju przyjaciół i znajomych. Ale „wiosnówka" nie trwa długo, spływają z rzek lody, żegluga się otwiera na sybirskich wodach: na dniu 3 maja pisze ks. Dawidowicz, iż już się zjawił w Tiumeniu statek parowy, i tylko chodzi o zebranie około 400 pasażerów, aby dzień wyjazdu został naznaczony. A już mu pilno do Tobolska się

dostać, choćby dla otrzymania spodziewanych tamże listów. „Te pierwsze wiadomości bardzo pożądane, jak zwykle po rozdziale, i gdybym ujrzał jaskółkę z rodzinnego kraju, wiele, wiele zadałbym jej pytań. Z tego jednak konceptu poetycznego nie wnoście, że tęsknota brać górę zaczyna nade mną, jest to chwilowe usposobienie. Miesiąc ten wiosnówki zeszedł dla mnie jak dwa dni, bom był zajęty ustawicznie pracą, która, choć w porównaniu z dawniejszą była malutką, po zupełnem jednak w ciągu czterdziestu dni próżnowaniu, całego mnie zajęła i nie dozwoliła nudzić się. Spowiedź wielkanocna nie była odprawioną, co z przygotowaniem zajęło dni dwanaście. Przyzwyczajonemu do porządku i karności seminaryjskiej, upokarzającą było rzeczą przekonać się o własnem niedołęstwie, gdy przyszło święte ćwiczenia robić ze świeckimi, między którymi znajdowali się uczniowie uniwersytetu kijowskiego, z ludźmi wogóle dalekimi od pojęć żmudzkiej pobożności. Czyniłem, com za obowiązek uważał i jak mogłem, zostawując resztę Bogu, od którego wzrost zależy. Inny więcej byłby zrobił, a ja i tego nie dokonałem, żeby wszyscy spowiedź św. odprawili. Szacunek dla mojej osoby okazywano wielki; jawnie nie powstawano i nie dysputowano, ale nie chciano jednak zrozumieć najważniejszego obowiązku katolika, obowiązku posłuszeństwa Kościołowi. Z ośmdziesięciu, wyłączyło się dziesięciu, i nie wiem czy przed Zielonemi Świątkami zechcą spełnić swą powinność. Religijne wychowanie dziwnie zaniedbane. Skądinąd rozsądni, zacni ludzie, nic się nie zastanawiają, dlaczego żyją na świecie, jakie mają obowiązki względem Boga i Kościoła. Celem wszystkich spraw — doczesność; interes wieczny zda się nie istnieć dla nich. Ten indyferentyzm najbardziej przerażającem jest zjawiskiem; wolałbym mieć sprawę z zażartym przeciwnikiem, niż z grzecznym indyferentystą. Stan taki zdaniem mojem przypisać należy pierwiastkowemu wychowaniu, w którem dziecko nie słyszy innych pobudek, odstraszających od złego i skłaniających do dobrego, nad słowo g r z e c z n o ś ć. Jaś niegrzeczny, gdy starszych nie słucha, a matula nie wspomni, że trzeba bać się i kochać Boga. Co za potrzeba dziecku głowę obciążać czytaniem i opowiadaniem o Panu Jezusie, o Matce Boskiej i Świę-

tych? Te rzeczy odkładają się na potem, a najpiękniejsze dziecinne lata ubiegają wśród pustych powiastek i pieczołowitości koło ciała. Żadna nauka nie wywrze takiego wpływu, jak w samem zaraniu opowiadanie matki lub pobożnej siostry. Niewinne dzieciątko słucha o niebie z największą rozkoszą i pojmuje lepiej od siedmio-klasisty, bo w jego duszy brzmi harmonia niebieska anielskiej niewinności. Nigdy też tak łatwo nie da się zaszczepić w jego sercu miłość Boga, jak w tej dobie. Dziecko kocha matkę najsilniejszą miłością; jakże mu łatwo tę miłość przenieść na Istotę, o której kochana matka mówi, że jest najgodniejszą miłości. Skoro taką szkołę przejdzie, da sobie radę w dalszem życiu: może zbłądzić, może się rozbić wśród burzy namiętności, ale jest nadzieja, że szukać będzie ratunku i znajdzie go w zasadach matczynych i w środkach przez nią wskazanych...

„Jakże smutno patrzeć na ludzi li tylko ziemią zajętych! na ziemi nie znajdują szczęścia, bo go niema, a o niebie ani myślą, bo to nie warte ich troskliwości. Lecz jakże miło obcować z ludźmi żywej wiary! Jesteś wśród nich jak w domu rodzinnym i zapominasz o wygnaniu. Co wieczór śpiewamy koronkę i pieśni do Matki Boskiej. Nabożeństwo to przenosi mnie do czasów mego dzieciństwa, i kółko nasze z szesnastu osób złożone przypomina wówczas chatę żmudzką. Pobożni staruszkowie Błażewiczowie są żywym obrazem rodziców moich. Stary, poważny, silnej wiary i wielkiej rezygnacyi; stara, pobożna, czuła, przy całem poddaniu tęsknie znosi wygnanie, i na wspomnienie pozostałych dzieci w kraju, rzewnemi zalewa się łzami. Mówi czasem: ‚Wiatr mnie pachnie co z rodzinnej strony wieje; gdybym mogła obrócić się w ptaszynę, poleciałabym, zobaczyła co tam córki porabiają, i znowubym przyleciała. Czemu ja nie jaskółeczka?‘ Było to wczoraj, gdyśmy się do śpiewania koronki zebrali. Módlcie się, nie wyłączając nikogo, by się jedni nawrócili a drudzy w dobrem wytrwali...

„Do ważniejszych wypadków wiosnówki zaliczam spotkanie ze starą Żmudzinką, która przed kilkunastu laty przybyła tu z mężem, a dziś jako wdowa kończy ziemską pielgrzymkę na dobrowolnem wygnaniu. Od dwóch lat nie widziała kapłana,

a teraz spotkała się z takim, co mówi jej językiem — nie posiadała się z radości. Bardzo mnie zbudowała żywą wiarą i pobożnością, o jakiej w tych stronach nie mają pojęcia. Tu dopiero można ocenić dobrodziejstwo religijnego wychowania. Prostaczka, pozbawiona kościoła i środków podtrzymania życia duszy, pełna jednak świeżego zapału i silna miłością Boga. Chłód syberyjskich lodów nie studzi jej rajskich uczuć, ani atmosfera tchnąca materyalizmem nie przytłumia jej pobożności, z daleka tu przyniesionej. Ze łzami powtórzyłem sobie: takich to maluczkich jest królestwo niebieskie. Przeciwnie, zdarzyło się spotkać takich, co tylko imię katolika noszą. Słaba ich wiara, dla braku środków ją podtrzymujących, zniżyła się do zera; nie dają się nakłonić do spowiedzi, nie uczęszczają na Mszę św. Dla nich prawdziwem nieszczęściem jest wygnanie, bo żyją i umierają w zupełnem zapomnieniu o swej duszy. Na nieszczęście, stanowią oni ogół, a wyjątki tylko pocieszają serce kapłańskie. Powiadają, iż liczba mieszkających tu katolików wynosi sześćdziesięciu. Na Mszy św. widywałem do 20 osób zaledwie...

„Odwiedzałem tutejsze mogiły, gdzie znalazłem spoczywających naszych wygnańców, między nimi ks. Aleksandrowicza. Wiedziałem, że w podróży umarł, ale nie wiedziałem, że się tu zatrzymał na wieczną wiosnówkę. Postawione krzyże z napisami wzywają do modlitwy za tymi co nas poprzedzili i oznajmiają wygnańcom krótkość doczesnego wygnania. Zaniosłem święconej wody i pokropiłem ich groby, odczytując kościelną modlitwę i roniąc łzy nad losem ludzkim. Wieczny odpoczynek!“

Dalej opisuje ks. Dawidowicz, jak mu w Tiumeniu skradziono ciepły burnus, czem się niezbytnio smuci, bo od Kirgizów łatwo nabyć tanie futro. Zresztą zawsze gotów do uniewinniania każdego, posiada pewną naiwność, nie przypuszczającą nigdy złej intencyi.

„Maj wszędzie majem — pisze z tiumeńskiej wiosnówki. — Miłe i przyjemne spacery po tych równinach; gdybym miał Edwarda, nie czulibyśmy ciężaru wygnania. Nie wiem dotąd, co się z nim stało. Chodzę pospolicie sam jeden z książką w ręku, słuchając śpiewu skowronka, który ani na jotę nie odstępuje od

nuty, na jaką ciągną nasze skowronki. Widać w jednej szkole uczyli się. W ogólności mało tu ptactwa. Słowika nie słychać. Zresztą ciepło w tej porze nie ustępuje stronom naszym, nawet upał bywa wielki, a jednak z zasiewem nie spieszą się mieszkańcy, bo często w maju śnieg pada i mrozi siewy. Spacerując, przenoszę się do was, i niemasz końca wspomnieniom o wszystkich znajomych, których w samem Kownie sto kilkanaście naliczyłem osób i spisałem w takim porządku, w jakim żegnałem się przy wyjeździe... Nie łudźcie mnie fałszywemi obietnicami, napiszcie otwarcie skoro nadzieja powrotu zniknie, wiecie jak mnie mało obchodzi gdzie kości moje rozsypię. Zresztą, tak mi wszędzie dobrze gdzie mam ołtarz, że nie czuję wygnania, zdaje się, żem o parę mil od domu, takeście wszyscy obecni mojej pamięci i sercu. Ks. Wincenty dał mi pięć tomików *Meditations sacerdotales* ks. Chaignon T. J., za co mu wdzięczny jestem — prześliczne dzieło".

Następny list już pisany z barży, czyli łodzi, płynącej po Irtyszu ku dalszym wygnania kresom. Rybitwa boży i na tych sybirskich wodach próbuje łowić dusze krwią Chrystusową odkupione, bądź pracując wśród towarzyszów swych, politycznych zesłańców, bądź próbując nawet swego wpływu na „cywilnych" czyli pospolitych zbrodniarzach.

„*Barża na Irtyszu,* 17 maja 1866 r.

„Zaczynam pisać na drodze zaraz po wyjeździe z Tobolska, leżąc na narach pod okienkiem, pod którem piętrzą się fale pobielone pianą wzburzonego od wiatru Irtysza. Nigdy sobie tak jasno nie wyobrażałem, że list jest rozmową z nieobecnymi, jak w tej chwili. Listy wasze, pierwsze po wyjeździe z kraju otrzymane, i dwudniowy pobyt w Tobolsku odświeżyły ducha. Z Tiumeniem pożegnałem się bez żalu, cel podróży był daleko i ten wabił do siebie. Nic też przywiązującego kapłana nie posiada to pierwsze na drodze syberyjskie miasto: prawda, ma bogatych mieszkańców, liczne kapitały, konie śliczne do parady, dobrobyt niezaprzeczony, cerkwie ślicznie błyszczące, których liczba do 13 czy 14 dochodzi, ale w miarę materyalnego bogactwa gnie-

ździ się ubóstwo moralne i wstręt obudza. Jużci muszą się znajdować wybrani, uczciwym sposobem zbogaceni i uczciwi, ale liczba takich, wedle twierdzenia jednego, kto tam wie ile zasługującego na wiarę, do czterech się redukuje. Trzebaby jubileuszowego rozpoczęcia nowego życia. Miły jednak był dla mnie ten kątek nar, gdziem czterdzieści dni spędził, gdzie Pan Bóg codziennie prawie pod sakramentalną osłoną obecnością swoją nas zaszczycał, i słuchał tęsknych próśb wygnańców, i pokrzepiał siły do dalszej drogi. Z tym tylko kątkiem żegnałem się z żalem, i wiozę obraz jego w żywej pamięci. Pan dozorca, z prostego żołnierza na ten urząd wysadzony, zasłużył na wdzięczną pamięć za ułatwianie posługi duchownej moim parafianom. Człowiek z wiarą był mi wdzięczny za wpływ duchowny i dozwalał odwiedzać swoich w ostrogu zamkniętych, w każdym razie. Gdyśmy szli na statek, dał swego konia dla odwiezienia mnie ze starostą i czule się z nami żegnał. Zebrało się niemało widzów dla naszego jakoby pożegnania; nie tracąc humoru, śpiewaliśmy wesołe i niewesołe ukraińskie dumy, a po znacznem oddaleniu się od miasta skończyliśmy pieśnią: „Matko, nie opuszczaj nas“. Nie było nam wesoło płynąć po Turze, jakkolwiek piękny był wieczór i piękny widok płynącego statku z dwiema barżami, jedną pod towary, drugą z nami. Cóż nas pocieszyć mogło w tem szybkiem oddalaniu się od rodzinnego kraju? Z przeszłości towarzyszyły nam smutne pamiątki, a ciemna przyszłość nie uśmiechała się nadzieją ziemskiego szczęścia. Wielu miało pozostać w Tobolsku i po długiem więziennem życiu rozpocząć życie wygnańcze, tęskne, nudne i nędzne. Nowy rozdział zbliżał się, i na zapytanie: kiedy się zobaczym, odpowiadał jeden drugiemu: może na Józefatowej dolinie. Jeszcze mi się smutniej zrobiło, gdym posłyszał takie pożegnanie z ust młodziana, który spowiedzi wielkanocnej nie odprawił. A więc wierzy w sąd boży, pomyślałem, czemuż nieszczęśliwy nie lęka się rachunku i zaniedbania obowiązków względem Boga i Kościoła. Człowiek rozkazuje i nie pozwala z siebie szydzić nieposłuszeństwem, czyż Bóg w sprawiedliwości swojej może puścić bezkarnie pogwałcenie praw św. Kościoła?

„Na jednej barży wieźli i cywilnych więźniów w liczbie przeszło 300, nas było 105 politycznych. Widok moralnej nędzy, którą mowa i postępki odsłaniały w całej nagości, boleśnie działał na duszę: pierwszy wieczór i pierwszy dzień byłem niepocieszony i lubo zdawało się panuję nad sobą, nie mogłem ukryć ucisku przed okiem baczniejszych; niewiele weselszy drugiego dnia zbliżałem się do Tobolska i tylko nabożne nucenie świętych pieśni przez Żmudzinów przynosiło ulgę. Jak drogim jest skarbem pobożność naszego ludu, zrozumie każdy, kto się z nim zetknie na wygnaniu; im bardziej niedola go uciska, tem on przemyślniejszy w oznakach swej pobożności, w której czerpie siłę i pociechę. Kiedy ze smutkiem przechadzałem się po pokładzie wśród poniżonego człowieczeństwa, co nie zadawało sobie pytania, po co żyje na świecie, przyszło mi na myśl zobaczyć, co moi Żmudzini robią, którzy nie byli na pokładzie. Wchodzę wewnątrz mieszkania, alić oni jak kurczęta zgromadzone do gromadki, gdy przed burzą się schronią, nucą Koronkę, potem ‚Bądź pozdrowiona' *(Buk paswejkinta Dukte Tiewa Amżinoja)*, potem *O Diewe Tiewe*. Pobożność łączy ich w jedną rodzinę ku wychwalaniu Bogarodzicy, i największem ich pragnieniem zamieszkać blizko kościoła, w towarzystwie swoich, by wspólnie utrzymać życie wiary. Wiara zawsze u niego na pierwszem miejscu, gdy się dopytuje o miejsce nowego pomieszkania: czy jest tam kościół? ksiądz?

„*18 maja.* Będę często przerywał gawędę, raz że nic nie nagli do pospiesznego napisania listu, który dopiero z Tomska może być wysłany, potem dziwnie utrudza pisanie, wschodnim zwyczajem, leżąc. Wyjechaliśmy z Tobolska 16 maja o 6 godz. wieczornej i wciąż oddalamy się płynąc po Irtyszu na północ; w tym kierunku będziemy się posuwać, dopóki się nie spotkamy z Obą, co nastąpi dzisiejszej nocy, i wtedy zwrócimy się ku południowi. Wielka różnica klimatu: zimno tu jeszcze jak w marcu, miejscami śnieg na brzegu leży, i śnieżne chmury, choć niewiele, prószą. Wegetacya jeszcze nie rozbudzona i kraina smutnym wyrazem zdaje się mówić: ‚po co wkraczacie w moje niepowabne państwo? Widzicie jak tu pusto, a i te lasy, z jodły, świerka,

brzozy, nie jak wasze lasy'. Drzewa skarłowaciałe, nierozłożyste, choć stare, niewysokie, smutnie wyglądają. Kaczek, jarząbków i nie wiem jeszcze jakiego ptactwa ma być wielkie mnóstwo, stada kaczek i ja widziałem. Mnie więcej interesuje ten ludek, co tu zamieszkuje: jeżeli wśród lasu cerkwi tak mało zna Chrystusowe dobrodziejstwa, co się z nim dzieje wśród lasów bezdrożnych? Czy słyszał o wesołej nowinie, którą świat cieszy się od dziewiętnastu wieków? Czy mu kto wytłumaczył, jakie skarby wieczne otworzył ludziom Chrystus Pan przez swe cierpienia, i czy on wie, jakim sposobem, łowiąc rybę i ptactwo ku pożywieniu śmiertelnego ciała, ma żywić duszę nieśmiertelną ku żywotowi wiecznemu? Wczoraj byliśmy świadkami rozczulającego widoku: owieczka, szukając pożywienia, zbliżyła się do brzegu rzeki; skubiąc trawkę nie spostrzegła biedaczka, że stoi nad przepaścią. Ziemia nurtami wody podmyta usunęła się pod jej nogami, i bryłami staczała się w głąb rzeki: gdyśmy mijali, owca była zawieszona jeszcze nad przepaścią — brzeg był wysoki na 7 sążni, ona się trzymała w połowie drogi, nie mogąc poruszyć się bez niebezpieczeństwa stoczenia się w przepaść, co chwilę spodziewając się śmierci, patrzyła miluchno na nas, wołając ratunku żałosnym głosem; lecz ratunku nie mogliśmy podać, parowy statek szybko nas unosił i żadna siła nie mogła nas zatrzymać w tem miejscu. Zobaczywszy ludzi na brzegu, zaczęliśmy wskazywać miejsce, gdzie owieczka zawisła — można było podjechać łódką, spuścić na żerdziach owieczkę do łódki i uratować. Szczęśliwa, jeżeli tak się stało. Ten prawdziwy wypadek jest żywym obrazem duszy w niebezpieczeństwie zostającej, tak nasamprzód odezwałem się do obecnych, ale pisząc o położeniu tutejszego ludu, widzę obraz jego pod względem religijnym. Usunięty od dobroczynnego wpływu wiary, żyje w ciemnocie, wyglądając ratunku: może w niedalekiej przyszłości przypłynie kto na łódce i z nad przepaści przesadzi do bezpiecznej łodzi i uratuje. Czytałem artykuł w czasopiśmie przez duchownych redagowanem, wykazujący potrzebę urządzenia misyj dla mieszkańców tych stron, gdzie, jak autor wyznaje, w najopłakańszym stanie zostaje lud dla braku posługi duchownej, a nie można jej urządzić, bo miejscowa władza nie

współdziała, odmawiając pieniędzy na przejazd *swiaszczennika*. Jest więc nadzieja i tu lepszej przyszłości. Tymczasem wolno ubolewać, że nam nie dozwolono zatrzymać się; przy łasce bożej moglibyśmy do łódki owieczki zbierać i ratować. A jest nas trzech katolickich kapłanów na jednej barży.

„*19 maja.* Tiumeń leży nad Turą, a bierze nazwę od małej rzeczki Tiumeńki, wpadającej do Tury, która łączy się z rzeką Tobol, i ta ostatnia daje nazwisko Tobolskowi, ginąc w nurtach Irtysza. Tobolsk pięknie się przedstawia ze strony rzeki, mianowicie część miasta górnego, gdzie prócz chędogo utrzymanych cerkwi, ostróg, i koszary wspaniale odbijają od reszty mieszkań drewnianych, nie tyle gustownych jak w Tiumeniu. Wreszcie o 6-tej godzinie popołudniu barżę naszą sznurami przytwierdzili do pomostu. Jak tylko mogliśmy się zmówić ze swoimi powiedziano nam o egzystencyi ukazu, na mocy którego kara nasza miała się zmniejszyć o jedną kategoryę. Każdy, opierając się na ogólnej wiadomości, skracał sobie lata pokuty lub zmieniał jej rodzaj. Wyprowadzono nas wreszcie dla zwykłego obrachunku na pomost i obwarowano dwoma szeregami żołnierzy, aby znajomi nasi nie mieszali porządku, a i obojętnego narodu tłum był niemały. Mimo to, powitania i rozmowa między nami i tymi co nas tu poprzedzili, szły swoim porządkiem. Zawiadomiono o mojem przybyciu X. A...., którego Opatrzność postawiła na drodze do dalszej Syberyi, by był poradnikiem, opiekunem i łącznikiem między wygnańcami, zwłaszcza nie umiejącymi sobie zaradzić. Spełnia on swoje posłannictwo z właściwą sobie zręcznością, to też byłem pewny, że i mnie weźmie pod swoją opiekę i wszystko ułatwi. Przedewszystkiem chodziło o to, bym mógł dwa dni dniówki nie na barży przepędzić; jak wraz w wigilię Zielonych Świąt przybyliśmy, pobudka opuszczenia wodnego mieszkania nielada. Przy pomocy X. A.... udało mi się wydostać na stały ląd. Dwa dni upłynęły jak w raju, zupełniem zapomniał, żem na wygnaniu. Czytam wasze listy, najpożądańsze wiadomości z W.... i K....; nawet samo zamilczenie niektórych okoliczności było mówiącem. Że wszyscy żyją, ani wzmianki, a więc nikt nie umarł, dzięki Bogu Najwyższemu! Długo trwała

*powierka*, tak że koło jedenastej godziny dopiero przyszliśmy na kwaterę X. A.... Brzezinki po kątach przypominając Zieloną uroczystość, przenosiły do kraju, i pamiątki z upłynionej przeszłości snuły się jak wojsko w czasie przeglądu przed wyobraźnią. Choć było późno, niektórzy kapłani przybiegli dowiadywać się o nowiny z kraju. Wiedzieli, żem dawno z Kowna wyjechał, a jednak, co tam słychać, każdy zapytywał i chętnie słuchał opowiadania o znanych już rzeczach. D.... był chory, i zapraszał serdecznym listem do siebie na kwaterę. Niepodobna było tego uskutecznić zaraz, dla późnej pory, a mieszka w górnem mieście, odlegle od kościołka. Nazajutrz po wypoczynku na łóżku, którego się nie widziało od wyjazdu z Petersburga, pospieszyłem do kościoła na Mszę świętą. Dziwnego się doznaje wrażenia po wejściu do miejsca publicznej modlitwy. W ciągu podróży ukrywałeś się przed okiem straży, chcąc złożyć Najśw. Ofiarę, nietylko muzyki nie słyszałeś, ale i śpiewu trzeba było unikać, by nie wzięto tego rodzaju nabożeństwa za manifestacyę; tu widzisz się upoważnionym do publicznej modlitwy, słyszysz granie i śpiew organisty znanych ci pieśni kościelnych, tłumione uczucie wzbiera, wylewa się, i unosi ku Bogu, przepełniając serce słodyczą, i wszystko coś wycierpiał wydaje się niczem, a dalsza podróż pożądaną. Ponieważ byłem niejako zbiegiem z barży, roztropność kazała kontentować się rannem nabożeństwem, zresztą drugiego dnia już o powrocie do budy trzeba było myśleć i przeto na Sumie nie znajdowałem się. Z powodu jednego ołtarza, kapłani zmuszeni są jeden po drugim wychodzić ze Mszą, i o każdej porze przychodzący mogą słuchać Mszy. Ustawiczna Ofiara Najświętsza i Komunia, choć nie tak częsta, jak po wygnańcach należałoby się spodziewać, czyni nadzieję błogą, że i na te strony wejrzy Bóg miłościwiej, i obfitsze światło Ewangelii rozleje. Nigdy jeszcze Syberya nie widziała i widzieć nie spodziewała się takiej liczby katolickich kapłanów, którzy na rozmaitych miejscach, po więzieniach i wozowniach, na narach i barżach składają Bogu najczystszą ofiarę. Obyśmy tylko zrozumieli czas nawiedzenia Pańskiego!

„Odwiedziłem D....; nie wydał mi się schorzałym, choć jest

cierpiący od niejakiego czasu, i bardzo cierpiący. Długa broda zmieniła fizyonomię. Długie cierpienia moralne, tem bardziej jeśli i fizyczne przystąpią, wprawiają w stan odrętwienia, w którym wszelkie uczucia cicho i spokojnie falują. Jak długiem graniem osłabione struny instrumentu brzmią przytłumionym tonem, w takim stanie wydał mi się D.... Rzewny, cichy, spokojny, zgodny z sobą, pełen dobrych chęci, ale nieco zmęczony, jak ptak, któremu skrzydła podcięto. Szkoda, że nie mogłem się zatrzymać, choć starał się o to usilnie, mogliśmy się odświeżyć dawnemi wspomnieniami, które mnie tak bawiły, że się dziwaczyłem jak dziecko, nie zważając na obecność kilku osób, nawet nieznajomych. Musiałem wreszcie powrócić na barżę, ale tu czekały miłe niespodzianki: twoja sąsiadka K.... przysłała bułkę, ser żmudzki i masła słoiczek na drogę; a pani R.... 15 butelek piwa. Jakże mnie ta troskliwość chwyciła za serce! Ostatnia asystowała naszemu odjazdowi i długo żegnała nas odpływających. A tak pomknęliśmy szybko lecąc na północ, uwożąc wdzięczną pamięć i postanowienie w duszy — polecenia Bogu w niegodnych modlitwach, tobolskich kochanych wygnańców i wygnanek".

(C. d. n.).

*M.*

# PRZEBIEG POJĘĆ RELIGIJNYCH U CHIŃCZYKÓW.

## IV. Najdawniejsze pojęcia religijne w Chinach.

(Dokończenie).

Ludy przedchrześcijańskie pomimo swej wielobożności przechowały wyraźne ślady pierwotnej jednobożności i wzniosłe pojęcia o Najwyższej Istocie. Mówiliśmy gdzieindziej [1] obszernie o jednobożnych pojęciach starożytnych ludów Babilonii i Egiptu, tutaj przytoczymy tylko kilka przykładów, które najbardziej uwydatniają prawdziwość naszego twierdzenia.

Mitologia akadyjsko-sumeryjska jest pełna duchów i bogów. Bogowie byli liczni, każdy z nich nosił odmienne imię i rządził pewnym działem w świecie, jednakże skoro Akadyjczycy mówią o którymkolwiek z nich, przypisują mu przymioty takie, jakie tylko Najwyższa Istota posiadać może. Oto hymn do *Hur*'a:

Panie, książę bogów, który sam jedynie jesteś najdostojniejszym w niebie i na ziemi, ojcze, boże, który oświecasz ziemię, boże działaczu, książę bogów...;... który sam siebie rodzisz [2]... miłosierny, który wszystko urabiasz, który wznosisz swój świetlany przybytek ponad wszystkie istoty żyjące; ojcze, który ponawiasz rodzenie, odrodzicielu, który nadajesz bieg życiu... Ty, skoro objawiasz swą wolę w niebie, duchy niebieskie upadają na swe oblicza. Ty, skoro objawiasz swą wolę na ziemi, duchy ziemskie dotykają ustami prochu... Ty, wola twoja daje istnienie prawdzie i sprawiedliwości, ustanawiając

[1] „Źródła historyczne Wschodu", str. 54—75, 199 i nast.

[2] Wyrażenie to, mówi Robiou, napotyka się często w tekstach egipskich, określa ono pojęcie wieczności Istoty boskiej, nie mającej żadnego pierwiastku poza swoją substancyą. *La marche des idées religieuses,* str. 47.

prawdę pomiędzy ludźmi... Panie, twoje panowanie na niebie, na ziemi; wśród bogów twych towarzyszy nie masz równego. Królu królów, który nie masz sędziego nad sobą, boże niezrównany [1].

Hymn do Silik-Muluk-Chi, asyryjskiego Marduka:

Twoja wola jest najwyższą tajemnicą, którą rozwijasz w niebie i na ziemi. Rozkaż morzu, a usłucha cię; rozkaż burzy, a wnet ucichnie... Panie najświętszy, kto ci dorówna?...

Miłosierny pomiędzy bogami, miłosierny, który przywraca życie umarłym... Podtrzymuje niebo i ziemię, podtrzymuje śmierć i życie... Ty jesteś, który ożywiasz, ty nadajesz pomyślny obrót wypadkom [2].

Zaszczytnie znany ze swych rozlicznych prac egiptolog francuski Robiou pisze:

„W rozmaitych epokach tej historyi, a raczej we wszystkich epokach, znajdujemy w tekstach egipskich wyrażenia odnoszące się do jednobożności; we wszystkich epokach również napotykamy pojęcia mitologiczne; lecz tak jedne jako i drugie nie są jednakowo rozmieszczone, nie są też dosyć jasne. Rozpatrując się w tekstach, przedewszystkiem uderza ta okoliczność, iż w najdawniejszych czasach imię Boga używane było bez żadnych domieszek mitologicznych. A chociaż imię Ozyrysa znajduje się wypisane fonetycznie w bardzo odległej epoce, chociaż osoby składające jego rodzinę, o których późniejsze teksty przytaczają wiele szczegółów, są wspominane na pomnikach IV-tej dynastyi i innych poblizkich, — napotyka się przytem ślady pojęcia, że różne nazwy przedstawiają tę samą istotę. W późniejszych tekstach pojęcie to wyrażone zostało zupełnie dobitnie: osobistości mitologiczne, przedstawione w różnych kształtach, często potwornych, były tylko symbolami bóstwa, wskazującemi własności lub czynności Najwyższej Istoty“ [3].

Podobne pomieszanie pojęć wielobożnych z jednobożnemi

---

[1] Lenormant, *Civilisations primitives,* vol. II, p. 159—169.

[2] Jak wyżej, str. 178—185.

[3] F. Robiou, *La marche des idées religieuses dans l'antiquité.* Ob. *Ann. de phil. chret.,* vol. XVII, p. 54. W dalszym ciągu swej pracy mówi: „Duch ogólny tej religii (egipskiej) w porządku tak moralnym jak i dogmatycznym obniża się coraz bardziej z postępem czasu“.

panowało i gdzieindziej, przypomnimy tu tylko Indye, i to właśnie było powodem, że Max Müller postawił nie bardzo szczęśliwie obmyślaną hipotezę, tak zwanego henoteizmu[1]. Historya późniejszych czasów przynosi nam podobne przykłady. Cyrus, wyznawca jednobożny Aurymazdy, podbiwszy Babilonię, uznaje Bela, Nebo, Marduka, bogów Sumiru i Akadu za swoich[2], modli się do nich, buduje im świątynie, a również, jak wiemy, przyczynia się do budowy świątyni dla Jehowy w Jerozolimie.

Wreszcie to samo dzieje się i dziś jeszcze. Niektóre ludy murzyńskie jakkolwiek przechowały pojęcie Najwyższej Istoty, w praktyce jednakże uznają tylko fetyszów i im składają ofiary. To samo dzieje się wśród rasy żółtej. Kapitan R. C. Temple na posiedzeniu Londyńskiego Towarzystwa Antropologicznego podał do wiadomości, że Karenowie, mieszkający w Birmie, jakkolwiek uznają jednego Boga, oddają cześć tylko stworzeniom[3].

Przykłady i ustępy powyższe dowodzą niewątpliwie, że w wielobożnych pojęciach ludów pogańskich tkwiły i tkwią zabytki pojęć jednobożnych. Otóż to samo dziać się mogło i w Chinach. Szun, inni królowie, wogóle starzy Chińczycy składali jakieś ofiary duchom, ale przytem mogli w Tien i Szang Ti uznawać Najwyższą Istotę, i rzeczywiście ją uznawali.

Pozostaje nam jeszcze wyjaśnić genezę wyrażeń, jakich Chińczycy używali do oznaczenia Najwyższej Istoty.

Wyrażenie Szang Ti przychodzi po raz pierwszy w Szu King, gdzie jest powiedziano, że Szun „składał ofiary Szang Ti". Ofiary takie składali wszyscy cesarze i królowie chińscy i skła-

---

[1] Ob. „Religie Aryów Wschodnich", str. 226 i następ.

[2] *Cuneiform inscriptions of Western Asia,* vol. v, (1881), pl. 35.

[3] „The Karens, like the Nagas, have a personal god, but not apparently an evil spirit. This god, however, having deserted them, is not worshipped; but the spirits inherent in every living thing, and indeed in all the more prominent inanimate things, who have power to harm men are worshipped, because they are active, and the god inactive. There is thus a very interesting practical pantheism within a mystical monotheism". *Journ. of the Anthrop. Inst.*, vol. xvi, p. 369.

dają je po dziś dzień, lecz oni tylko jedynie i wyłącznie. Niema śladu w historyi, żeby lud składał podobne ofiary, co więcej, kroniki najwyraźniej mówią, że to był przywilej cesarski, że cesarze nie dozwalali składać takich ofiar nawet książętom udzielnym. Dalej, nie znajdujemy w pismach klasycznych nic takiego, coby nas uprawniało do wniosku, że lud chiński znał i czcił Szang Ti. Szu King i Szi King wspominają dość często Szang Ti, lecz głównie wtenczas, kiedy przytaczają mowy cesarzy, lub chcą zaznaczyć stosunek Szang Ti do panujących w Chinach, a i w tych razach nie omieszkują nigdy wprowadzać wyrazu Tien, jakby dla wytłumaczenia, w jakiem znaczeniu używają wyrażenia Szang Ti. Stąd zdaje się wynikać, że jedynie panujący w Chinach uznawali w Szang Ti Najwyższą Istotę; czy ten wynik znajduje poparcie w historyi?

Zmarły dopiero co, z wielką szkodą dla nauki, znakomity sinolog i asyryolog Terrien de Lacouperie dowiódł gruntownie, że stara cywilizacya chińska nie była ich własnym dorobkiem, lecz dostała się tamże z Zachodniej Azyi, i była wprowadzona przez Baków. Do jakiej rasy czy szczepu należeli Bakowie, dobrze nie wiadomo, lecz w historyi Chin znajdują się okruchy podań, które pozwalają wyprowadzać prawdopodobne wnioski co do ich pochodzenia. Autor wyżwymieniony pisze[1]: „Z poprzedzającego wnosić możemy, że Bakowie, cywilizatorowie Chin, mieli oczy niebieskie, cerę białą, że nie mieli ani włosów czarnych ani skośnych oczu... Bakowie nie byli liczni i dlatego nie mogli wpłynąć na zmianę cech ludu rasy żółtej". Bakowie tedy należeli do rasy białej; co się zaś tyczy szczepu, tenże sam autor domyśla się, że należeli do szczepu jafeckiego. Otóż, jeżeli zajrzymy do kronik ludów aryjskich Azyi Zachodniej, spostrzeżemy, że religijne pojęcia ludów, które zamieszkiwały niegdyś Medyę i Persyę, uderzające mają podobieństwo z pierwotnemi pojęciami religijnemi w Chinach[2].

---

[1] *Muséon,* vol. XII, p. 58.

[2] Plath wpadł pierwszy na ten domysł, lecz zaznacza go tylko w kilku słowach: „Die alten Perser glichen ihnen darin wohl noch am meisten". *Die Religion und der Cultus der alten Chinesen.* Zw. Abth., S. 961.

Jak wiadomo [1], ludy Medyi i Persyi uznawały Najwyższą Istotę i dawały Jej nazwę *Ahura, Ahuramazda;* otóż, według znaczenia dosłownego tych wyrażeń, nazwa ta odpowiada zupełnie chińskiemu *Szang Ti,* „Najwyższy Rządca".

Identyczność znaczenia tych imion, dawanych Najwyższej Istocie, ma sama w sobie doniosłe znaczenie; a skoro, jak zaraz zobaczymy, atrybuty przypisywane Najwyższej Istocie, wpływ Jej na rządy państwa, Jej troska o dobro kraju i skuteczna działalność są te same w Persyi co w Chinach, temi samemi prawie wyrażeniami są wyryte na pomnikach Achemenidów, jakiemi są wyrażone w księgach klasyków chińskich — wówczas widoczną jest rzeczą, że tak imię jak i pojęcia do niego przywiązane, musiały pochodzić z jednego i tego samego źródła.

I tak, co się tyczy Chińczyków. Książę Czeu, w księdze noszącej tytuł „Ustanowienie rządu", w krótkich słowach streszcza historyę Chin. Ju Wielki, założyciel dynastyi Hia, „wyszukiwał ludzi zdolnych, którzyby starali się o chwałę Szang Ti". Postępowanie Këe, ostatniego z tej linii, nie było prawe, używał on do rządzenia ludzi okrutnych i dlatego nie miał następcy. Państwo zostało powierzone przez Szang Ti Tang'owi, „który szczerze przestrzegał woli Szang Ti". Z czasem na tronie zasiadł Szou, a ponieważ był gwałtownym, „Szang Ti ze swego najwyższego stanowiska ukarał go i powierzył rządy państwa dynastyi z książąt Czeu, którzy wybierali na urzędy ludzi służących z uszanowaniem Szang Ti". Tak samo przemawiali inni królowie i mężowie stanu w Chinach; Legge streszcza bardzo dokładnie zapiski Szu King następnemi słowami, które są najczęściej dosłownem powtórzeniem samego tekstu [2]: „Królowie panują z woli Bożej, a książęta mają rządzić według sprawiedliwości. Wszyscy podlegają Jego prawom i obowiązani są postępować według Jego woli... Wszelka władza od Niego pochodzi. Wynosi na tron jednego, a drugiego strąca z tronu. Posłuszeństwo zaskarbia sobie Jego łaski, nieposłuszeństwo ściąga kary. Obowiązkiem jest króla sprawować rządy

[1] Ob. „Religie Aryów Wschodnich", str. 52 i następ., str. 221 i następ.
[2] *The Chinese Classics,* vol. III, Prolog. p. 193.

sprawiedliwie i z dobrocią, ażeby lud mógł być szczęśliwy. Królowie mają być przykładem dla wszystkich... Jeżeli królowie przeniewierzają się, wówczas Bóg karze ich najprzód zsyłając głód, burze i inne klęski, jeżeli zaś pomimo tego trwają w swej złości, pozbawia ich tronu. Odejmuje im panowanie, a daje innym, godniejszym".

Otóż to samo prawie znajdujemy w napisach perskich, i jako dowód pozwolimy sobie przytoczyć tu ustęp, jaki podaliśmy w innem miejscu [1], a który streszcza pomnikowe napisy perskie: „W ciągu swych zapisek historycznych królowie perscy raz po raz wspominają, że ‚z woli Auramazdy' otrzymali królestwo, że ‚za łaską i pomocą Auramazdy' pokonali przeciwników. Daryusz w napisie Bagastańskim wzywa Auramazdę ‚na świadka', iż mówi prawdę; prosi Auramazdy, ażeby udzielił błogosławieństwa jego godnym następcom, a niegodnym grozi przekleństwem i karami, które Auramazda miał na nich zesłać. W napisie z Nachcze-Rustem błaga Daryusz Auramazdę, ażeby jak dotąd wspierał go swą pomocą, tak i nadal udzielał mu łaski; o to samo w napisie z tejże samej miejscowości prosi i Kserkses. Wreszcie w napisie Bagastańskim zaleca Daryusz, ażeby oddawano cześć Auramazdzie".

Mamy jeszcze coś więcej. Ofiary, jakie składali Chińczycy, są całkiem podobne do ofiar składanych przez Aryów Wschodnich. Widzieliśmy poprzednio, że tak cesarz w swych nabożeństwach do Szang Ti, jak również i lud w nabożeństwach „do przodków" składali na ofiarę mięsiwa i płody roślinne [2], które nie były niszczone ogniem, lecz spożywane w dalszym ciągu przez uczestników w nabożeństwie. Zajrzyjmy teraz do kronik Aryów Wschodnich. Wiemy z Awesty [3], że „ofiary były zwierzęce i roślinne. Mięso z zabitych zwierząt nie było palone, lecz tylko pieczone i rozdzielano je następnie między kapłanów i ofiarujących. Chleb, zboże, kwiaty nie były palone również; na ogień

[1] „Religie Aryów Wschodnich", str. 54.

[2] „Die Opfer bestanden im Allgemeinen aus Thieren, Produkten des Pflanzenreiches und auch menschlichen Kunstprodukten". Plath, *Die Rel. und der Cult. der alt. Chin.*, Zw. Abth., S. 855.

[3] „Religie Aryów Wschodnich", str. 86.

ofiarny wylewano tylko mleko, miód, oliwę i nieco z soku roślinnego, zwanego *Homa*". Otóż, ponieważ przedmioty składane na ofiarę tak w Chinach jak w krajach Aryów Wschodnich były te same, z wyjątkiem Homy, i w ten sam sposób zużytkowywane, a nadto, jeżeli przypomnimy sobie, że ani tu, ani tam nie składano krwawych ofiar z ludzi — wówczas z tego uderzającego podobieństwa obrządków musimy wnosić o wspólnem pochodzeniu.

Mówimy: „z wyjątkiem Homy", lecz i sama Homa nie była obca, zdaje się, Chińczykom.

I rzeczywiście, Chińczycy w czasach najdawniejszych, sięgających na kilkadziesiąt wieków przed naszą erą, uznawali w roślinie zwanej *Szi*, którą pisarze europejscy nazywają *Ptarmica Sibirica*, albo *Achillea millefolium*, przymioty nadzwyczajne. Zapiski z późniejszej doby, jakie klasycy zostawili w Szu King i Li-Ki [1], nie dają nam dobrego pojęcia o tych przymiotach, komentatorowie zaś prawią bajki niestworzone [2]; rzeczą tylko pewną jest, że w jednym okresie historycznym Szi służyła w Chinach do wróżenia. Czy tak było dawniej? — nie wiadomo. W każdym razie pozostaje fakt, potrzebujący wyjaśnienia. Od niepamiętnych czasów roślina Szi uważaną była przez Chińczyków za coś nadzwyczajnego; czemu to przypisać? Własności przyrodnicze tej rośliny nie mogły być powodem takiego wyróżnienia i tej osobliwej godności, do jakiej ją wyniesiono, należy zatem przypuścić, że była symbolem jakiegoś doniosłego zdarzenia. Podobne symbole znane były ludom starożytnym, a takiemi były u Aryów Wschodnich Homa i Soma. Dzięki bogatym dokumentom, jakie nam zostały przekazane w języku zendckim i sanskryckim, mogliśmy łatwo wykazać [3], że symbol Homy albo Somy odnosił

---

[1] *Szu King*, v, ks. iv, 21—31. Plath przytacza wiele ustępów z Li-Ki i innych źródeł. Ob. *Confucius*, iv, str. 41 i następ.

[2] Czu-Hi pisze: „Roślina Szi po stu latach życia wydaje sto łodyg z jednego korzenia i staje się duchowną i rozumną istotą. Wróżenie jest stawianie pytań istotom duchownym... Szi jest używaną pod tym względem dla swej tajemniczej inteligencyi... Sposób dochodzenia przyszłości przez Szi polega na stosownem układzie czterdziestu dziewięciu łodyg, w ośmnastu różnych czasach"... Ob. Legge, *The Chinese Classics*, vol. iii, pag. 335.

[3] „Religie Aryów Wschodnich", str. 86, 102, 233, 263.

się do dziejowego zdarzenia z czasu pierwszych naszych Rodziców. W Chinach brak pod tym względem dokumentów. Sam symbol, otoczony tajemniczym urokiem, pozostał jednak świętym po dziś dzień. Dzisiaj jeszcze roślina Szi uprawianą jest starannie na grobie Konfucyusza, jak zeznaje Legge [1], świadek naoczny. Znaczenie symbolu zostało zatracone. Wobec takich danych, jakkolwiek nie można twierdzić, że chińskie Szi odpowiada Homie i Somie Aryów Wschodnich, jednakże przypuszczenie to jest możebne a nawet prawdopodobne. Symbol Homy wprowadzony był do Chin przez Baków. Bakowie, jak i ich plemiennicy z Zachodniej Azyi, nie rozumieli już dobrze podówczas jego rzeczywistego znaczenia, przechowywali tylko w pamięci jego wybitne rysy, przekazane w spuściźnie po przodkach. Skoro zaś te rysy dostały się do rasy, która zatraciła już była wszelkie stare podania, wówczas łatwo się tłumaczy, że one uległy starciu, a wkońcu zupełnemu zanikowi. Ciekawą wreszcie jest rzeczą, że Chińczycy używali gałązek Szi do wróżenia zupełnie w ten sam sposób, jak, według Tacyta, starzy Germanowie, w tymże samym celu, używali gałązek z różnych roślin i drzew.

Powyższe wywody zdają się przekonywać niewątpliwie, że tak znaczenie dosłowne Szang Ti, jak i pojęcia doń przywiązane zapożyczone zostały z Zachodniej Azyi. Jeżeliby potrzeba było innego jeszcze dowodu, dostarczy go nam sam Konfucyusz.

Konfucyusz, jak wiadomo, był nietylko wielkim patryotą chińskim, ale nawet szowinistą, wykluczył bowiem z Szu King i Szi King wszystkie zapiski, które się odnosiły do Baków, dlatego że byli cudzoziemcami [2], musiał on wiedzieć, że wyrażenie Szang Ti jest obce, skoro miał odrazę do używania tego imienia w swych dziełach. I w istocie, raz tylko jeden używa wyrazu Szang Ti, chyba że przytacza ustępy dosłowne z klasyków,

[1] *The sacred books of the East*, vol. XVI, *The Yi King*, p. 40.

[2] „Confucius n'admit dans le Shu-King aucun document antérieur à Yao et Shun, parceque avant leur époque ceux-ci ne concernaient que des non-chinois... Yao n'était déjà plus étranger qu'à moitié puisque sa mère était une indigène du Sud-Ouest du Shan-si, l'adoption de la civilisation étrangère introduite par les Baks était faite et l'histoire véritablement chinoise commença. Terrien de Lacouperie, *Muséon*, vol. XII, p. 40.

wszędzie gdzieindziej używa tylko wyrazu Tien do oznaczenia Najwyższej Istoty. Uczniowie Konfucyusza i późniejsi pisarze idą w ślady mistrza: w ich dziełach, z wyjątkiem komentatorów, Szang Ti nie przychodzi nigdy. Lecz i dawniejsi pisarze, autorowie Szu King i Szi King, nie sympatyzują widocznie z Szang Ti, używają czasem tego wyrażenia, lecz najczęściej posługują się wyrazem Tien.

Wyrażenie tedy Szang Ti było dla Chińczyków całkiem obce. Rzeczą jest co najmniej prawdopodobną, że Bakowie wprowadzili do Chin wraz z cywilizacyą i swoje pojęcia religijne. Pierwsi królowie Chin byli Bakami, czcili Auramazdę, którego z chińska nazwano Szang Ti, jemu składali ofiary, a tę cześć wraz z obrzędami przekazali tylko swoim następcom na tron. Wszyscy królowie i cesarze chińscy składali i składają ofiary Szang Ti, wygłaszają mowy tchnące jednobożnością, jednakże rzeczą jest prawdopodobną, że pojęcia o Szang Ti zostały od dawna zamglone a raczej zatracone. W III. w. przed Chr. osławionej pamięci cesarz Czin dodał do swego imienia przydomek *Hoang Ti*, który dotąd dawano tylko Najwyższej Istocie; od tego czasu wszyscy inni cesarze dodają sobie przydomek *Ti*. Taoiści przyczynili się również do spaczenia zasadniczych pojęć o Szang Ti, wprowadzili do Chin pojęcia wielobożne i każdemu ze swych bożków przyczepili przydomek Ti i Szang Ti. Takie spaczenie pojęć o Szang Ti było niezawodnie powodem, że Stolica św. postanowiła, żeby do oznaczenia Najwyższej Istoty w języku chińskim, używano wyrażenia *Tien Czeu*, tj. „Pan Nieba".

Wobec przypuszczenia, mającego za sobą bardzo poważne dowody, że tak wyrażenie jak i pojęcie Szang Ti wprowadzone zostało do Chin przez Baków, nasuwa się pytanie, jakie były pojęcia religijne rasy żółtej przed wtargnięciem cudzoziemców?

Widzieliśmy poprzednio, że pisarze klasyczni, Konfucyusz i inni późniejsi, do oznaczenia Istoty Nadziemskiej, nietylko bardzo często, lecz nawet jak ci ostatni, jedynie i wyłącznie używają wyrazu Tien. Te niezwykłe względy dla tego wyrazu tłumaczą

się jedynie tem, że ten wyraz musiał być utarty w kraju i odziedziczony po przodkach. Słuszność tego wniosku potwierdza się tem, że ludy rasy żółtej i z nią spokrewnione używają zwyczajnie wyrazu „niebo“ do oznaczenia Istoty Nadziemskiej: wyrażenia *Tengri*, *Tegri*, *Alba*, „niebo“, w tem znaczeniu używane były w Mongolii i Mandżuryi. Ludy murzyńskie, jak widzieliśmy, często również posługują się tym wyrazem.

Mamy jeszcze coś więcej. Chińczycy nietylko używali wyrazu Tien do oznaczenia istoty duchowej, nadziemskiej, lecz brali ten wyraz w znaczeniu Istoty Najwyższej.

I rzeczywiście. Pisarze klasyczni zamieszczając w jednem i tem samem zdaniu wyrazy Szang Ti i Tien, a często bardzo, miasto Szang Ti wyraz Tien i nawzajem, chcieli przez to dać do zrozumienia, że obadwa wyrażenia są jednoznaczące, a ponieważ Szang Ti, według tego cośmy dowiedli, oznaczało pojęcie Najwyższej Istoty, stąd też i wyraz Tien w pojęciu tubylców chińskich, przed wtargnięciem Baków, w tem samem znaczeniu był używany.

Ten wynik zdaje się nie licować tak z samem nieosobowem wyrażeniem Tien, „niebo“, jak również z danemi, jakie mamy o kulcie pierwotnym w Chinach; otóż trudności te są pozorne, a zarzuty łatwe do zbicia.

Jakkolwiek wyraz Tien, sam z siebie, w znaczeniu dosłownem znaczył „sklepienie niebios“, jednakże nader liczne teksty wskazują, że Chińczycy brali ten wyraz przenośnie i osobowo: teksty, któreśmy tu przytoczyli, są tak wyraźne i przekonywające, iż nie pozostawiają żadnej wątpliwości pod tym względem.

Zarzuty poważniejsze odnoszą się do kultu. Szun, według kronik, oddawał cześć Szang Ti, lecz przytem składał ofiary różnym duchom. Lud chiński w czasach historycznych nie oddawał czci Szang Ti ani Tien, lecz czcił i czci różne duchy po dziś dzień. Czy nabożeństwo Szun'a do duchów przyniesione było przez Baków do Chin, czy też, zastawszy to nabożeństwo w kraju, następcy Baków przyswoili je sobie, ze względów politycznych, jak to bywało gdzieindziej, o tem nic na pewno twierdzić nie można: niema o tem żadnych śladów w historyi.

Drugie jednak przypuszczenie jest prawdopodobniejsze z tego względu, że ta cześć dla duchów zakorzeniona jest w Chinach, istniała po wsze czasy i jest charakterystycznem znamieniem rasy żółtej i czarnej. Otóż, wobec tego przypuszczenia, jak można pogodzić wiarę w Najwyższą Istotę ze czcią oddawaną duchom? Zanim odpowiemy na to pytanie, musimy poznać się bliżej z istotą duchów chińskich.

W języku chińskim duch nazywa się *Szan* albo *Szen*. Według starych klasyków, Chińczycy wierzyli w istnienie duchów większych i mniejszych, niebieskich i ziemskich. Duchy te, z natury swojej, nie miały ciała, były zatem niewidzialne dla oka ludzkiego; posiadały niezwykły rozum i przenikliwość, widziały nietylko wszystkie czynności ludzkie, lecz nawet najskrytsze tajemnice serca. Co więcej, zadaniem tych duchów było wglądać w czynności ludzkie i regulować je. Ponieważ z natury swojej były duchami dobrymi a miały przytem wszelką moc sprowadzenia pomyślności lub klęski na kraj, używały tej władzy do prowadzenia ludzi po drodze cnoty lub odwracania ich z drogi występku. Ażeby sobie zaskarbić względy duchów, Chińczycy oddawali im cześć i składali ofiary. Oto, co nam o duchach przekazały Szu i Szi; jaki zaś był stosunek tych duchów do Szang Ti lub Tien, o tem z żadnej z tych ksiąg dowiedzieć się nie można, a jednakże w tem właśnie spoczywa cały węzeł gordyjski.

Jeżeli sobie przypomnimy mowy, głoszone przez cesarza corocznie w Pekinie podczas nabożeństwa do Szang Ti, kwestya staje się całkiem jasną. Cesarz mówi najwyraźniej do duchów, że „jesteście ministrami Szang Ti“... „Waszem jest zadaniem, według otrzymanej z Nieba władzy i rozkazu, rozciągać opiekę nad każdą miejscowością...“; nie może być tedy żadnej wątpliwości, że cesarz uznaje duchy jako pośredniki między ludźmi i Szang Ti, i jak sami Anglikanie przyznają [1], te duchy należy brać w zna-

[1] „We may not be able to feel much sympathy with the way in which the solstitial services are conducted. We may deplore, as we do deplore, the superstitious worship of a multitude of spirits, terrestrial and

czeniu takiem, jakie Kościół katolicki przyjmuje dla Aniołów i Świętych.

Kwestya tedy byłaby rozwiązana, gdyby nie ta okoliczność, że rytuał dzisiejszy, według którego cesarze chińscy sprawują obrzędy ku czci Szang Ti, pochodzi dopiero z XVI. w. n. e., a stąd nasuwają się wątpliwości, czy te pojęcia o duchach nie były zaczerpnięte z chrystyanizmu. Z tem zapożyczaniem liczyć się musimy, widzieliśmy bowiem, że tak Hinduizm jak i Buddhyzm przyswoiły sobie wiele pojęć chrześcijańskich, Lamaizm zaś szczególnie obficie czerpał nietylko pojęcia, ale przedewszystkiem zewnętrzne obrzędy i praktyki z tego samego źródła. Poszukajmy tedy, jak ta sprawa stała w Chinach.

Jak już wspomnieliśmy, ani Szu King ani Szi King nie dają nam żadnych wskazówek pod tym względem; w Li-Ki jedynie spotykamy raz jeden wyrażenie, które odpowiada całkiem wyrażeniu cesarza, powiedziano tam mianowicie, że duchy są „wysokimi urzędnikami Ti, sługami i klientami Nieba“ [1]. To jedyne wyrażenie nie daje nam jeszcze zupełnego prawa do wniosku, że takie były stare pojęcia Chińczyków o duchach, możnaby bowiem podejrzywać, że jest wtrętem z późniejszych czasów. Poszukajmy gdzieindziej.

Mamy księgę Ji-King, która swą przeszłością sięga bardzo dawnych czasów, treścią zaś swoją wnikając głębiej w istotę przyczyn, nadaje się do naszych poszukiwań. Otóż znajdujemy tam następujące ustępy [2]:

Ruch kolejny biernych i czynnych objawów sprawczych stanowi tak zwany bieg rzeczy... To co jest nieuchwytne w biernych i czyn-

celestial, that finds a place in them; but this abuse does not obscure the monotheism. Those spirits are not Gods, and are not called by the divine name... As well might we argue that Roman Catholicism is not monotheistic, because of the place which is held in it by angels and saints, as that the religion of China is not so because of the inferior worship given in it to various spirits, real or fictious“. Legge, *The Religions of China*, p. 52.

[1] *Li-Ki*, v, fol. 47. Plath tłumaczy: „des Kaisers (Schang-ti) Grossbeamte und des Himmels Diener oder Clienten“. *Op. cit.*, p. 779.

[2] *Yi-King*, Dodatek III, v, VI, par. 24, 32, 10.

nych objawach sprawczych jest Duchem, Szan... Kiedy mówimy Duch, Szan, rozumiemy przez to subtelną obecność we wszystkich rzeczach.

Te Duchy, Szan, noszą w Ji-King rozmaite nazwy: Kan, Sun, Khuan, Khien... stosownie do rozmaitości zjawisk; stosunek ich do Szang Ti określa następujący ustęp [1]:

Ti objawia się w Kan; bierze pełny udział w San; w Li objawiają się nawzajem; wielkie usługi oddaje w Khuan; rozwesela się w Tui; walczy w Khien; wzmocniony jest i uspokojony w Khan; uzupełnia się w Kan.

Powyższe enigmaty tłumaczy Legge [2]: „Paragrafy 8 i 9 opisują działalność przyrody w rozmaitych porach roku, a działalność ta przypisywaną jest Bogu, który jest nazywany Ti, Panem i Rządcą Nieba".

Otóż, ponieważ, z jednej strony, według tego tłumaczenia, opartego na ścisłem badaniu, Szang Ti jest przyczyną sprawczą rozmaitych objawów w przyrodzie, a to samo mniemają komentatorowie, między innymi Liang Jin, wyżej już tu przytoczony; ponieważ zaś, z drugiej strony, według ogólnego twierdzenia Chińczyków, Duchy mają nietylko moc ale i wpływ bezpośredni na objawy zewnętrzne świata, należy zawnioskować, że te Duchy są tylko narzędziami Ti i wykonawcami jego woli. Takie też jest zapatrywanie komentatora wyżej podanego ustępu; Jang Wan-li mówi [3]: „Khuan jest ministrem albo sługą. Ti jest jego rządcą. Rządca wymaga od swego ministra, aby spełniał swą powinność". W tem samem znaczeniu pojmował te Duchy O. Regis, tłumacz księgi Ji-King; oto co pisze [4]: „Chińczycy przez Szan rozumieją duszę, rzeczywistych aniołów i geniusze pogańskie; Chińczycy nawróceni na chrystyanizm używają tego wyrazu do oznaczenia Boga, Ducha św., aniołów i duszy człowieka".

---

[1] *Yi-King,* Dod. v, roz. v, 8.

[2] Legge, *Yi-King,* p. 426.

[3] Tamże.

[4] *Yi-King,* antiquissimus Sinarum liber; dzieło wydane przez J. Mohl'a w r. 1834. O. Le Favre (Faber) tak samo utrzymuje według Plath'a: „Le Favre p. 158 will sie bloss als Diener oder Beamte des Schang-ti ansehen". *Op. cit.*, p. 779.

Jeżeli tedy można zaufać, że komentatorowie wiernie oddali myśl zawartą w Dodatkach, ponieważ te Dodatki sięgają nietylko epoki Konfucyusza, ale prawdopodobnie są jeszcze starsze, wówczas widoczną jest rzeczą, że cesarze w swych mowach nie zapożyczyli sobie tych pojęć z chrystyanizmu, lecz je zaczerpnęli ze swych starych ksiąg.

Na podstawie tego wyniku możemy z wielkiem prawdopodobieństwem twierdzić, że pierwotne pojęcie Chińczyków o Duchach nietylko licowało z ich pojęciami o Najwyższej Istocie, lecz je nawet uwydatniało i wyświecało. Wobec tego, nasuwa się pytanie, czy pierwotne pojęcia religijne tubylców Chin można uznać za jednobożne?

Zdania najwybitniejszych sinologów europejskich są podzielone pod tym względem; podczas gdy Legge przyznaje stanowczo Chińczykom jednobożność [1], Plath stanowczo również im tego odmawia [2]; pomijamy tu innych, a tem mniej nie bierzemy w rachubę apriorystycznego sądu pozytywistów. Skąd ta sprzeczność? i co można pewnego twierdzić o pierwotnej religii Chińczyków?

Sinolog bawarski, jakkolwiek znał gruntownie piśmiennictwo chińskie, nie uwzględniając epok, popełnił wielki błąd w swych badaniach. Pojęcia religijne Chińczyków ulegały z czasem przeobrażeniu. Pojęcia o Tien z najdawniejszych klasyków zostały już spaczone przez pierwszych Taoistów, a w późniejszych czasach zupełnemu uległy przeobrażeniu. Pierwotne pojęcia o Tien dawały niejakie przynajmniej wyobrażenie o duchowności Najwyższej Istoty, późniejsze Tien przemieniło się całkiem

---

[1] „Thus the two characters show us the religion of the ancient Chinese as a monotheism... Five thousand years ago the Chinese were monotheists, — not henotheists, but monotheists". *The religions of China,* pp. 11, 16.

[2] „Der Ausdruck Schang-ti und Thian in den Schriften des hohen Alterthumes, wie man gestehen müsse, nicht ein allmächtiges Wesen, sondern einen oder mehrere Geister bezeichne, dessen oder deren Macht die himmlischen Regionen anerkannten. Diess scheint doch unbegründet und Malan noch jüngst, wie schon früher die Jesuiten, den Schang-ti mit Recht nur von einem höchsten — obwohl nicht alleinigen und ausserweltlichen — Gott verstanden zu haben". *Die Religion und der Cultus der alten Chinesen,* S. 762.

na materyalne: ciała niebieskie, słońce, księżyc, wielka niedźwiedzica i inne konstelacye zostały uosobione i ubóstwione. Ponieważ Plath nie uwzględniał epok a przynajmniej niedostatecznie je rozróżniał w swych badaniach, stąd i wyniki, do jakich doszedł, nie mogą być uważane za prawdziwe.

Za zdaniem Legge'a przemawia nietylko jego naukowa powaga, ale i same źródła historyczne: teksty wraz z komentarzami, któreśmy tu przytoczyli, zdają się rzeczywiście świadczyć, że najdawniejsze pojęcia religijne Chińczyków miały wiele cech jednobożnych. Za tem mniemaniem przemawia również wiara Chińczyków w nieśmiertelność duszy i ich zasady etyczne.

Chińczycy rozróżniają w duszy dwa pierwiastki: *Kwei* i *szân*. Czytamy w „Zbiorze obrzędów", że Konfucyusz pytany o znaczenie tych pierwiastków taką dał odpowiedź: „Wszystko co żyje umrzeć musi, a umierając wraca do ziemi; to jest właśnie co nazywamy *Kwei*. Kości i ciało rozkładają się i stają się prochem polnym. Lecz duch odłącza się i rozwija się wysoko w warunkach świetnej jasności" [1]. Jeden ze znakomitszych uczonych chińskich, Czan Hsiang-tâo, pisze w swym komentarzu: „Ciało i dusza zwierzęcia gasną, i nic z nich nie zostaje. Lecz dusza rozumna nie przestaje być poruszaną, porusza się i zawsze jest". Sam już fakt, że Chińczycy mają obrzędy odnoszące się do zmarłych przodków, dowodzi ich wiary w nieśmiertelność duszy, a modlitwy, jakie towarzyszą tym obrzędom, najwyraźniej potwierdzają to mniemanie. W rytuale dynastyi Ming po kilkakroć stoi: „Dusze ich są w niebie"; to samo wyrażenie zamieszczone jest w rytuale niniejszej dynastyi, a zostało ogłoszone w r. 1826.

Etyka Chińczyków popiera też wniosek Legge'a.

Według antropologów, moralność i religijność są charakterystycznemi znamionami człowieka, istota zaś rzeczy i historya wskazują, że moralność i religia szły zawsze w parze. Zasady etyczne są wypisane na sercu człowieka, a są zarazem prawem bożem. Takie jest pojęcie o etyce w chrystyanizmie, uzasadnione rozumem i wiarą, takie też pojęcie mieli o niej mędrcy greccy i rzymscy.

---

[1] Callery, *Expurgated Record of Rites.*

Zasady etyczne, jako niezbędne w porządku przyrodzonym, są, same z siebie, stałe i niezmienne, jednakże ponieważ podlegały wykładom ludzi, stąd mogły ulegać i ulegały zboczeniom. U wszystkich ludów kapłani byli zarazem nauczycielami moralności, stąd też, jaka była religia taka była i moralność. Obłęd religijny pociągał za sobą spaczenie zasad moralnych. Kiedy pojęcia religijne i sprośne obrzędy Chamitów dostały się do Grecyi a stamtąd do Rzymu, obniżył się i tam również poziom moralny [1]. Sumienni mężowie greccy z poczucia godności człowieka i zdrowych przyrodzonych zasad, mimo groźby nawet śmierci, nie wahali się wystąpić przeciw przewrotnym zasadom, jakie głosili kapłani niemoralnych bogów.

Ścisły związek między religią a moralnością pozwala wnosić, że miarą prawdziwości religii jest czystość i wzniosłość zasad etycznych, jakie ona głosi. Otóż, zajrzyjmy do piśmiennictwa chińskiego, spytajmy klasyków, jak ta sprawa stała w Chinach.

Czytamy w starych kronikach:

Dostojny Szang Ti dał nawet najniższemu ludowi zmysł moralny i dlatego natura jego dobra jest; obowiązkiem jest panującego ułatwić ludowi postępowanie według tych wskazówek [2].

Niebo, powołując do życia mnóstwo ludzi, uposażyło ich darami przyrodzonemi, do których przywiązało pewne prawa [3].

U Konfucyusza znajdujemy:

To co Niebo dało zowie się naturą; zgodność z tą naturą zo-

---

[1] Pieśni Homera nie wskazują nigdzie, iżby się obchodzono po barbarzyńsku z niewolnikiem, tymczasem w czasach późniejszych, kiedy cywilizacya grecka stała na najwyższym szczeblu, niewolnicy brani byli na tortury nietylko w procesach kryminalnych, lecz w zwykłych nawet sprawach, i to nietylko poszlakowani o przestępstwo, lecz sami świadkowie: według istniejącego prawa, aby świadectwo niewolnika mogło być poczytane za ważne, musiało być na nim wymuszone torturami. Postęp cywilizacyi politycznej zrobił ogromny krok naprzód od Solona do Epaminondasa; prawodawstwo a szczególnie sztuki wzniosły się wysoko, lecz cywilizacya moralna nie podążyła za niemi. Robiou, *La marche des idées religieuses*, str. 60.

[2] *Szu King*, IV, ks. III, 2.

[3] *Szi King*, III, ks. III, 6.

wie się drogą obowiązku; uregulowanie tej drogi nazywa się przepisem [1].

Legge na podstawie komentatorów chińskich takie daje objaśnienie tego ustępu: „Człowiek posiada naturę moralną, daną mu przez Niebo albo Boga... a tem samem obowiązany jest prawami z niej płynącemi. Jednakże, ponieważ jest skłonny do zboczenia z drogi obowiązku, według której winien stosownie do swej natury postępować, dlatego mędrcy mają wskazywać te obowiązki i ułatwiać ich spełnienie“ [2].

Chińczycy tedy utrzymywali, że obowiązki moralnego postępowania miały sankcyę Najwyższej Istoty, ich etyczne pojęcia oparte były na pojęciach religijnych. A jeżeli teraz przejdziemy do szczegółów i spytamy pisarzy chińskich o ich zasady etyczne, wówczas znajdziemy, że zasady etyczne, głoszone od najdawniejszych czasów przez mędrców chińskich, były wzniosłe, wprawiały w podziw moralistów i historyków europejskich [3]. Stąd wnieść możemy, że najdawniejsze pojęcia religijne Chińczyków musiały odpowiadać tym zdrowym zasadom etycznym i dlatego etyka Chińczyków przemawia za wnioskiem Legge'a.

Czyż jednak bez wszelkich zastrzeżeń można się zgodzić z wnioskiem Legge'a?

Już to samo, że najdawniejsi Chińczycy nie oddawali czci Tien, lecz tylko duchom, wzbudza słuszne podejrzenie prawowierności. Widzieliśmy wprawdzie, że Chińczycy nie uznawali w tych duchach bożków, lecz czyż można przypuścić, żeby mieli o nich takie pojęcia, jakie Kościół katolicki do nich przywiązuje? Jeżeli weźmiemy na uwagę, że charakterystyczną cechą religijną rasy żółtej i czarnej jest wiara w duchy, wówczas wydaje się rzeczą prawdopodobniejszą, że pojęcia o Najwyższej Istocie w starej dobie były już w Chinach zamglone, okazywały dążności wszechbożne, a przekształciły się wreszcie w wielobożne.

---

[1] *Czung-jung,* I, 1.

[2] *Confucius,* p. 283.

[3] „Les principes moraux professés par les Chinois étaient d'une élévations et d'une pureté extraordinaire pour cette époque si reculée“. Mgr. de Harlez, *Les religions de la Chine,* p. 73.

Nadto, jakkolwiek obrzędy religijne Chińczyków, jak to widzieliśmy, były bardzo proste, patryarchalne, jednakże znajdujemy wzmianki w kronikach, że czasami przy obrzędach pogrzebowych składano ofiary z ludzi. Wprawdzie, według zapisek, wypadki te zdarzały się nie we właściwych Chinach, lecz w księstwach przyległych, jednakże, ponieważ lud tamtejszy należał do rasy żółtej, nie jest wykluczone mniemanie, że ten zwyczaj był ogólny wśród ludów rasy żółtej, a został dopiero wykorzeniony przez Baków.

Rzućmy teraz okiem na cały przebieg pojęć religijnych Chińczyków.

Najdawniejsze pojęcia religijne Chińczyków jeżeli nie były czysto jednobożne, bardzo jednak do nich się zbliżały. Wyrażenie Szang Ti oznaczało niezawodnie Najwyższą Istotę, pojętą bardzo wzniośle, można powiedzieć, całkiem jednobożnie; wyrażenie to jak i pojęcie zostało prawdopodobnie wprowadzone do Chin, wraz z cywilizacyą, przez Baków z Zachodniej Azyi. Pierwsi panujący z rodu Baków zaczęli używać tego wyrażenia i zaprowadzili ofiary składane Szang Ti; wszyscy ich następcy na tron, po dziś dzień, wiernie przechowali ten zwyczaj — lecz oni tylko. Wyrażenie Szang Ti nie upowszechniło się w Chinach; najdawniejsi kronikarze używają go czasem, rzadko jednak, głównie wtenczas, kiedy jest mowa o panujących; pisarze późniejsi, zwłaszcza od Konfucyusza, a również i lud używają tylko wyrazu Tien. Ten wyraz, przed wtargnięciem Baków, musiał być używany powszechnie, pojęcie jednak, jakie tuziemcy mieli o Tien, nie różniło się pewnie bardzo, jeżeli się różniło od pojęcia Szang Ti, skoro w piśmiennictwie chińskiem spotykamy zawsze te wyrażenia w jednem i tem samem znaczeniu. Jeżeli teraz dodamy, że kult oddawany Szang Ti był prosty, patryarchalny, bez żadnych przymieszek bałwochwalskich, jeśli to samo, o ile nas wiadomości doszły, można powiedzieć o kulcie pierwotnym tuziemców, wówczas należy przyznać, że twierdzenie nasze ma za sobą bardzo poważne dowody.

Z czasem dopiero poczyna się wykrzywianie pojęć. Wzniosłe pojęcie o Najwyższej Istocie powoli przeobraża się i zanika, a wreszcie znika zupełnie w sekciarstwie Piśmiennych i Buddhystów, u Taoistów zaś przekształca się w wielobóstwo. Ostatnim wyrazem dzisiejszych pojęć religijnych Chińczyków jest albo zupełna bezwyznaniowość, albo bałwochwalska wielobożność, równająca się z fetyszyzmem.

*Ks. W. Zaborski.*

# PRZEZ CHINY I MONGOLIĘ.

Listy z podróży.

(Ciąg dalszy).

*Kałgan, 24 lipca 1889.*

W Sien-si-fu, a jeszcze bardziej w Kałganie, charakter miasta coraz to bardziej mongolski czyli mandżurski, choć tylko Chińczyków dotąd spotykamy; charakter kraju z małemi odmianami ciągle ten sam — zawsze po dwu stronach, mniej więcej południowej i północnej, dwa wysokie pasma gór; na południowy zachód widać dość znaczne szczyty, środkiem owa niby równina, koryto poprzerzynane poprzecznie stokami gór. Wkoło Sien-si-fu było nieco zieleniej. Teraz przechodzimy przez znaczne, zupełnie prawie nieuprawne pustkowie, granitowe skały, wkoło nich coś, co mi puszczę afrykańską przypomina, ten sam rodzaj żwirowatego piasku twardego z gliną mieszanego, nieurodzajnego. Między Sien-si-fu a Kałganem widać całe pasmo pagórków jasno-żółtych, które zdala robią wrażenie szczerego piasku; kilka godzin przed Kałganem znowu urodzajna gleba się rozpoczyna, wszystko jednak żółtawo-brunatna glina. Wszędzie w polu pracują, grupy po 5 do 6 ludzi skurczonych we czworo siedzi na ziemi i plewi zboże, zdaje mi się pszenicę. Ryżu tu naturalnie ani śladu — za mało wody. Ogromne stada owiec, z niesłychanie szerokiemi, mięsistemi a krótkiemi ogonami, jakich jeszcze nie widziałem. Spotykamy znaczne transporta szaro-srebrzystych i bia-

łych błamów kozich; wszystko idzie do Pekinu. Ruch ciągle na drodze znaczny.

Ku Kałganowi osady coraz rzadsze, zawsze jednak chińskie; kobiety z malutkiemi nogami, co jest najlepszem kryteryum, boć Mongołki i Mandżurki nóg nie łamią, pozostawiają stopę jak ją Bóg stworzył. Nad wieczorem, po silnym acz krótkim deszczu, który nad nami przeleciał, nie mogę dłużej w tej przeklętej lektyce wytrzymać, siadam na osła. Chińczyki gwałt robią, że bramy miasta będą zamknięte; Mongoł i *boy* chiński puszczają się naprzód. Położenie Kałganu zupełnie inne jak sobie wystawiałem. Od zachodu, południa i północy zamknięty wysokiemi górami, które się tu łączą i zamykają koryto, którem jechaliśmy a które na wschód stąd otwarte i widne bez końca. Położenie śliczne, malownicze, widok rozległy na góry. Miasto chińskie długości ogromnej, musimy je całe przejść; stajemy przed bramą, którą przez niesłychaną grzeczność jeszcze dla mnie otwierają. Zajeżdżam jak w dym do Kokowina i Bassowa, handlarzy herbaty. Są to Rosyanie — ani słówka nikt tu innej mowy nie rozumie, jak po rosyjsku i chińsku. Jak mogę język łamię; serbski język bardzo mi się przydaje, jeszcze bardziej jednak słownik francusko-rosyjski, który mi na odjezdnem w Tokio darował Schewitch. — Kolacya dobitna, pokoje europejskie, robią arcydobre wrażenie; świeże mięso, rosół, piwo — niech im Bóg da zdrowie! Śpię godzin 10 bez przerwy i ani wiem, kiedy się robi ósma rano.

Ale *kuždaja ricz maje swoju szatenseitu,* powiedział jeszcze Homer. Pokazuję memu gospodarzowi paszport, wydany mi przez Czungli-Jamen, i list, który mi dano do jenerała tatarskiego, rezydującego w Kałganie, dowodzącego 9-ma czaharskiemi pułkami, rozłożonemi wzdłuż granicy Chin właściwych i Mongolii. Mój *gaspadin* Bassow skrobie się w głowę, kręci nosem i powiada, że tu coś nie *charaszò!* Gdybym miał paszport jako kuryer rosyjski, tak jak Kumany ofiarował się dać, wtedy *wsio charaszò,* ale tu powiedziano w liście do owego jenerała tatarskiego, że ja będę za wszystko płacić. Tu niebezpieczeństwo, że na każdej stacyi będę się musiał użerać o cenę, za którą mnie przewiozą

do następnej. Jeżeli więc mój tatarski jenerał nie zagwarantuje mi, że za naprzód oznaczoną cenę bez targów będą mnie z pośpiechem wieźli, jestem zdecydowany albo jechać pocztą ruską, wielbłądami, albo wracać na Pekin i Amerykę. Nie mogę ryzykować bycia na łasce i niełasce pojedyńczych mongolskich starszych czambulskich. Poczta jednak wielbłądami jest również niemożliwa, bo strasznie powolna: 20 dni z Kałganu do Urgi, a do Kiachty miesiąc z czubkiem! Na moje szczęście przyszła odpowiedź od Tatara-jenerała: z grzeczności dadzą mi wszystko czego chcę, płacić będę co zechcę; kuryer pojechał już zawiadomić dalekie tabory mongolskie o moim przejeździe, Mongoły mają spędzać konie z głębi nieprzejrzanych stepów i czekać na mnie po stacyach. Mój gospodarz twierdzi, że mogę się puścić — więc się puszczę.

*Jeszcze Kałgan, 25 lipca.*

Co to jest uczciwość? Ciekawe to studyum etyczno-psychologiczne (na dworze leje jak z konwi — a ja zły jestem na swego *boya* Chińczyka, który spróbował mię niegodnie oszukać — i dlatego o uczciwości filozofuję). Nader ciekawe byłoby studyum porównawcze o pojęciu, jakie pojedyńcze indywidua, pojedyńcze człony ludzkości mają o uczciwości. W każdym razie panuje w tej mierze najkolosalniejsza rozmaitość. To co w oczach Żyda lub Chińczyka jest uczciwem, przynajmniej względnie uczciwem, to w oczach przeciętnego chrześcijanina jest wprost złodziejstwem. A jednak jest pojęcie ogólne, kardynalne uczciwości, tak jak jest ogólne, kardyualne pojęcie czystości. Tylko, podobnie jak pojedyńcze rasy, według własnej wygody lub stopnia lenistwa, regulują pojęcie czystości, i jedne uważają dobrze wymydlone i wymyte czystą wodą ręce, twarz i nogi za czystość ciała, a drugie widzą tęż czystość w namazaniu nieumytych policzków czerwonym pudrem a szyi białym, i pomazaniu również czerwoną farbą paznogci lub dłoni — podobnie stopniują i zastosowują pojedyńcze rasy uczciwość. Chińczyk, swoje wyobrażenie o uczciwości miaruje według tego, czy ma do czynienia z Chińczykiem

czy z białym, i czy biały mniej lub więcej dokładnie się rachuje lub nie. Powyższą tyradę o czystości wywołała piękność chińska, którą mi mój gospodarz przedstawił. Istotnie zdziwiony byłem, że piękna nawet w naszem znaczeniu twarz się tu znachodziła. Śliczny miała zwłaszcza strój: głowa, długą, pięknie się fałdującą czarną szarfą jedwabną jak turbanem owinięta; we włosach pyszne, stare kolce i ozdoby ze srebra i bursztynu, na rękach i nogach podobne bransolety, szyja i piersi przykryte ślicznemi łańcuszkami filigranowemi, na palcach cudnej roboty srebrne futerały na paznogcie.

Zapomniałem zupełnie w swoim czasie jeszcze w Pekinie zanotować, iż przypadkiem spotkał mnie zaszczyt, niesłychany dotąd w mej karyerze. Oto w chwili gdym był w Pekinie, *Standard* londyński podał był wiadomość, datowaną z Szangaju, że rosyjska fregata wojenna zajęła wyspę zwaną Deer-Island, położoną na południowy wschód od portu koreańskiego Fusan, a to w celu, aby tam, podobnie jak przed paru laty Anglia w Port-Hamilton, założyć stacyę węglaną. Wiadomość ta, powtórzona przez kilka dzienników angielskich, nabrała o tyle rozgłosu w Anglii, iż *Foreign Office* widział się zniewolonym w drodze telegraficznej zażądać przez swego ministra w Pekinie, sir Johna Walsham, wyjaśnień. Ta okoliczność wywołała pewien ruch między strasznie znudzonymi reprezentantami mocarstw europejskich w Pekinie. Poseł rosyjski Kumany najspokojniej w świecie odpowiadał, że ani oficyalnie, ani prywatnie, nic zupełnie o zamiarze lub fakcie dokonanym zajęcia owej wyspy przez Rosyę nie słyszał, że przeto musi rzecz tę za kaczkę dziennikarską uważać. Ketteler, dbały o swą reputacyę, usłyszawszy kiedyś ode mnie, że przez Koreę do Chin przejeżdżałem, i to około 14 czy 15 czerwca b. r., więc właśnie w czasie krytycznym, obsypał mnie rozmaitemi pytaniami, a wreszcie w owym *berichcie* do Berlina powołał się na mnie, jako na świadka niemal naocznego, że w owym czasie, w Fusan, więc w bezpośredniej blizkości wyspy w mowie będącej, nic o takowej okupacyi nie wiedziano. (Niestety, obaj omyliliśmy się — wprawdzie istotnie wówczas w Fusan nikt nic nie wiedział, ale mimo to okupacya była).

Wczoraj wieczorem spacer konny z moim gospodarzem po mieście. Rektyfikuję najpierw to, com wyżej powiedział, jakoby mury i brama, przez którą mnie z grzeczności po zachodzie słońca puszczono, były bramą i murami miasta. Miasto jako takie (wbrew ogólnej regule) murów nie posiada. Brama, przez którą przejeżdżałem, jest to po prostu rodzaj rogatki celnej; tu się kończy rejon celny cesarstwa chińskiego i opłaca się cło wchodowe i wychodowe. Mongolia więc nie leży już w granicach niebieskiego imperyum pod względem celnym. W czasie tego spaceru konstatuję coraz bardziej, że Kałgan należy do ciekawszych miejscowości w Chinach. Tu się widzi w ulicy pełnej charakteru nader oryginalnego, cztery rozmaite typy: Chińczyków, Mongołów, Czaharów i Mandżurów. Mandżura od Chińczyka istotnie na pierwszy rzut oka rozpoznać trudno. Za to Czahary widne na pół mili. Noszą suknie kolorem podobne do mongolskich, brudno-oliwkowe; brud ich przechodzi wszystko co widziane. Noszą warkocz; wielu między nimi ciemnych blondynów; rysy u niektórych zbliżają się bardziej do typu mongolskiego, nieco do typów fińskich zachodnio-azyatyckich ras. Mongoł podobnie jak Czachar ubrany, tylko bez warkocza, łeb golony zupełnie.

Dziś po obiedzie — przy którym regularnie się pojawia jako zupa klasycznie dobra *szczi,* tj. rosół z wołowiny, z kapustą i innemi jarzynami i ogromnemi kawałami sztuki mięsa, pływającemi po rosole — toczy się rozmowa, bo na dwór się puszczać trudno, leje bowiem bez pamięci. Niestety, fatalnie ta konwersacya idzie, bo moje znajomości języka rosyjskiego są minimalne. Wspomniałem kiedyś nazwisko Sanguszków! Mój gospodarz zaraz pyta: czy to ten kniaź Sanguszko, co ma *sáharne zawody,* czyli fabryki cukru? czytał o nim gdzieś i kiedyś. Dziwić się nie przestaję, jak moje specyalnie nazwisko między Rosyanami jest znane, zapewnie z historyi Dymitra Samozwańca i z czasów Katarzyny I.

Deszcz leje, wyjazd niemożliwy; Bóg raczy wiedzieć, kiedy będę mógł ruszyć.

*Cahan-tołohoj, 27 lipca.*

Pogoda! wiatr północny, świeży — więc jazda! W mojej i przynajętej teledze kitajskiej taszczę moje rzeczy; ja konno z *mafu* czyli stangretem moich poczciwych gospodarzy jadę do pierwszej stacyi, gdzie będziemy nocować o 18 wiorst (djable długich) od Kałganu. Chcecie wiedzieć, co to jest telega? Wystawcie sobie przedewszystkiem dwa potężne, niesłychanie ciężkie i mocne koła; na nich na bezmiernie silnej osi i dwóch bezpośrednio z osią złączonych dyszlach, z których każdy ma mniej więcej 25 cm. średnicy, leży pudło z desek, na zewnątrz mazią obsmarowane, na wewnątrz jakimś dreliszkiem obite. Do pudła wejście z dwóch stron przez malutkie drzwiczki, bez stopnia; w drzwiczkach malutkie okienka, i trzecie takież okienko z przodu.

Ponieważ jesteśmy w Kałganie — więc jeszcze w Chinach, gdzie niechętnie widzą wjeżdżające większe zastępy Mongołów — przeto musimy się najpierw wydrapać na płaskowzgórze mongolskie, czyli tych 18 wiorst do pierwszej osady mongolskiej musimy przebyć własnym przemysłem; tam dopiero spada obowiązek wiezienia nas na Mongołów. Ja na byle-jakiej szkapce mego gospodarza, jego *mafu* na pysznym koniku mongolskim, telegi z kozakiem i Chińczykiem ciągnione przez muły — ruszamy — o pół do 1-szej popołudniu po dobrym obiadku i licznych wódkach — do Cahan-tołohoj, 55 li chińskich, 1-szej stacyi. Jedziemy łożyskiem, teraz suchem, jednego z licznych górskich potoków; zwolna się wznosimy w górę. Natura okropna, smutna, pusta, ledwie dwie jakieś nieszczęsne osady mijamy; kamienie, i nic tylko kamienie i skały. Nareszcie jednak stajemy na górze u najdalej wysuniętego, najdawniejszego, wielkiego muru chińskiego. Widok niesłychany, przepyszny. Jesteśmy na wysokości ogromnej; siedzę pod rozwalonym na poły, zupełnie zczerniałym karaułem; u stóp moich ów prastary mur, dziś już kupa kamieni zczerniałych, znaczy zaledwie miejsce gdzie stał mur, przede mną na południe w nieskończonych terasach obniża się teren aż do doliny, w której leży Kałgan. Piękna, zielona dolina, środkiem rzeczką rozdzielona; dalej znowu góry, skały piętrzą się

terasami coraz wyżej aż pod chmury, z których hen, gdzieś za żółtą rzeką, sterczą szafirowe teraz, przepyszne szczyty — to już chyba Himalaje! Ku zachodowi znowu góry czarne, sine, niebotyczne, nagle przerwane gigantyczną rozpadliną — i oko daremnie szuka tu końca; z chmurami zlewa się tu widnokrąg. To Turkestan chiński. Z tą nieprzejrzaną równiną łączy się, tylko nieznacznemi oddzielone spadzistościami, wyżej położone wielkie płaskowzgórze mongolskie. Więc ta równina, niby morze niezmierne, co tu na zachód i północny zachód pomiędzy górami prześwieca, ciągnie się istotnie od bajkalskich i nadamurskich gór, aż poza Chami, aż pod Pamiru niebotyczne ściany. Na wschodzie znowu morze wzgórz, pagórków, wszystko poszarpane, porwane, niespokojne, dzikie, puste, bezleśne — to Mandżurya. Na południowy wschód góry, co nad doliną Pekinu leżą; łatwo je poznać, bo ode mnie aż ku nim prawie nieprzerwany łańcuch, sieć baszt, karaułów, obronnych wież. Tam widnieje Kałgan, znaczny murem swoim albo granicą celną. A na północ? Mrowie przechodzi człowieka — tu bezdeń. Choć nie równina, choć jary i parowy i nawet wzgórza widoczne, ale oko przeszedłszy z tych skał i gór południa, wschodu i zachodu, doznaje na północy wrażenia równiny. To Mongolia. Tu widać gdzieś pod granicą sybirską nieco ku wschodowi kończące się góry Mandżuryi; nieco ku zachodowi świecą piachy — to zapowiedź puszczy Gobi.

Nic równego jak ten widok, nic tak przejmującego w życiu nie widziałem. Wszak prawie trzecią część Azyi miałem u stóp, przed oczami: te dwa kolosy, Chiny i Mongolię. Za Mongolią czuć mimowoli trzeciego: Rosyę „świętą“! A mój kozak sam zachwycony, poczyna opowieść o tym starym, zniszczonym, zębem wieków zjedzonym murze, który „stare kitajskie gosudary“ budowały. A zaraz za tym murem już się zaczynają kurhany, wielki szlak znacząc, jeden z owych trzech, co Mongolię przerzynają i biegną ku północno-zachodowi. Wyznaję, że siedząc tu i patrząc i mimowoli szukając, czy gdzie w tem przestworzu nie ujrzę unoszącego się pana tych światów, szatana, dygotałem jak listek — czy z zimna, czy ze wzruszenia, niech osądzą inni;

ale ci tylko, co umieją na takie kolosy i przestworza innem jak zwykłem okiem turysty spoglądać.

Fotografuję owego prastarego muru kawałek, i ruszam dalej. Raz ostatni jeszcze się oglądam — i niestety, na zawsze żegnam Chiny! — Znowu jeden rozdział podróży skończony. Charakter kraju zmienia się z niesłychaną szybkością. Dotąd jechaliśmy pomiędzy i na stokach tego płaskowzgórza, na któreśmy nareszcie po czterogodzinnym marszu się wydrapali. Tu wciąż jeszcze widoczny ślad muru; w odległościach kilku tysięcy kroków sterczą ciągle kurhany, mogiły, resztki dawnych baszt. Zielono, cudownie; jary, stada, trzody, pyszna alpejska wegetacya. Śnieżka *(Edelweiss)* rośnie masami; zapach w powietrzu niezrównany. O, czemuż to nie można nabrać, zabrać tego boskiego, rajskiego powietrza? Są ludzie, co morskie powietrze tak wysoko cenią; nigdym do nich nie należał. Nad morzem, bardziej jeszcze na morzu nic nie czuć — prócz ostrego niemile powietrza; a jeśli kiedy co czuć, to smród przegniłych roślin i ryb. Tu na tym stepie, w tem morzu zielonem, tu pachnie, tu powietrze cudowne. Dziwnie ten krajobraz Podole przypomina; tylko tu jeszcze szerzej, przestronniej — tu miasto pól ornych i dróg i wsi, jedna tylko łąka; te same jednak jary, rozpadliny, te same od czasu do czasu z pod murawy wyzierające kamienie. Nie dziwię się, że narody koczujące, jak Mongoły, nigdy miast budować, w nich żyć nie chciały. Cóż piękniejszego w lecie, jak żyć wśród tych stepów? Niebo i step — car daleko, Bóg wysoko — i hulaj dusza!

O 7-ej wieczorem zajechaliśmy do rodzaju jakiegoś pałacyku, świątynie chińskie przypominającego, bardzo opuszczonego. To zwykła stacya przejeżdżających znaczniejszych figur. Tu po raz ostatni, przed Urgą, pod dachem się śpi. Przynoszą mi obiad; na złamanym stołku mam siedzieć, na brudnym stole jeść, — a co jeść? Lekka różnica pod względem potraw i podania z obiadkami, którem tak smacznie spożywał u moich poczciwych Moskaluszków w Kałganie — daj im Boże zdrowie! Oto moje *menu:* zupa *(soupe Palestine)* z *tiubozu* czyli z puszki, jakiś rodzaj prażuchy z salcefii; zimne mięso konserwowane i baranina przywieziona z Kałganu, trochę marmulady z puszki i woda, do której mie-

szam nieco *whisky* — przez oszczędność nie piję jeszcze wody sodowej. Ale źle wyrachowana oszczędność! po moim obiedzie słyszę dokładnie, jak mój pan *boy* otwiera i spija najspokojniej moją sodową wodę; przyczem dolawszy nadto koniaku, wraz z kozakiem ucięli się nieco. Wszelkie moje rozkazy, prośby, nawoływania bez skutku zostają; proszę pięć razy o wodę — bez skutku; posyłam, by mi rzeczy przyniesiono — na nic. Nareszcie tracę cierpliwość i wpadam jak orkan między tych błaznów; wszystko się trzęsie, Chińczyk mi do nóg pada, Mongoł *per Siátelstwo* raptem zaczyna traktować. I wszystko się niby naprawia, przynoszą mój worek, z nim książki, atrament, papier i t. d. Więc zaczynam pisać. Ciupa, gdzie piszę, pełniuteńka Czaharów; poczciwe te biedaki sprawują się tak cicho, jak żeby ich nie było; mówią szepcząc. Daję im po kawałku bułki z *pekelfleiszem* konserwowanym, którego mimo apetytu nie jestem w stanie połknąć; wszystko rozumie się pożerają.

### *Czander na stepie, 28 lipca.*

Po smacznem przespaniu się pod namiotem, o 6-tej z rana ruszamy dalej. Wszyscy konno, a mianowicie 6-ciu Czaharów konno do ciągnienia wozu, jeden mandarynik o przezroczystym białym guziku, mniej więcej kapral czy sierżant do komendy, trzy konie wierzchowe, dla mnie i dwóch moich ludzi, więc wraz z rozmaitemi przyczepkami koni jedenaście. Szkapki małe, kościste i żylaste; noga, kopyto jak modele w muzeum, okrutne ogony, szalone grzywy, często jednak od uszu do kłęba strzyżone, tylko przy kłębie zostawiona potężna kępa włosów, by przy wsiadaniu było za co chwytać. Powiedziałem szkapy, bo nie lepiej wyglądają te koniki, często jednak przebija w nich nieco szlachetniejsza krew, może perska lub arabska. Ale co za wytrzymałość tych szkapiąt; niechże to nasze, niech angliki potrafią! Jazda jest w następujący sposób urządzona: wynajmuje się, np. jak ja, za 35 *taelów* (czyli 30 rs.) telegę kitajską; na dwóch dyszlach tego wozu kładą ogromny, gruby pal poprzeczny, przywiązany do dyszlów za pomocą sznurów; na dwóch końcach

pala znowu sznury wolno wiszące. Pod górę znaczną, z której wczoraj zjechaliśmy, musimy się znowu wdrapać, by się na step czysty dostać; tu więc ciągną tę moją telegę, jak zwykle, zaprzężone trzy szkapy. Dopiero na górze, na stepie, podjechali Czahary pod ten poprzeczny pal co łączył dyszle, dwóch z nich wzięło końce pala przed siebie na siodło, trzymając go własnemi udami i kolanami, dwóch innych pociągnęło za sznury umieszczone u końca pala, jeden najstarszy wydał straszny okrzyk, za nim ryknęli wszyscy, konięta się zaparły na zadach i cała ta dziwna kombinacya jeźdźców i telegi ruszyła galopem naprzód.

Nie mogę nie zanotować tego wschodu słońca, na tymże stepie. Coś przecudownego! zwolna cicho słońce wstaje, chce budzić step, ale step obudzony już. Dawno koniuchy wywiedli konie na paszę, bydło właśnie wychodzi; wielkie jakieś i dziwaczne skowronki ruszyły się i świegocą po ziemi. Rosa lunęła na trawy; słońce ją poczyna wypijać, a kwiaty wdzięczne słońcu tysiące woni, kadzideł w niebiosa ślą. Cudownie, wesoło, swobodnie; step taki zielony, taki śliczny! Ruszyłem, mówiąc z Sienkiewiczem, rysią, przodem; szkapa pode mną siwa, wesoła; pod moim cieniem, owym małym mandarynkiem, który mnie ani na krok nie odstępuje, kasztan łysawy, drze jak opętany. Orszak cały z tyłu został, telegi i Czaharów nie widać, spokojnie więc i cicho było wkoło; zdala słyszę śpiew dziki, urywany. Nagle tentent koński coraz bliżej — jak wicher mija mnie jakieś pacholę, leci, by w najbliższej osadzie jeszcze dwa konie dla mnie nagotować. Drugi Czahar po chwili mnie mija — wszystko cwałem — tu nikt inaczej nie jeździ. A słońce weszło tymczasem, step się ozłocił, skowronki pociągnęły ku górze; a ja żałowałem jedynie, że mam tylko dwoje oczu, by patrzeć na to cudo, dwoje uszu, by słuchać tej cichej muzyki stepu, tych zalotów wiatru do kwiatków, co go widocznie nie chcą, bo tak główkami kiwają; tylko jedną pierś, by tym balsamem oddychać! Na prawo i lewo zdala kurhany widne. Czy to mogiły, co kości ludzkie kryją, czy znaki, co pastwiska grodzą, czy też szlaków ślady? nie wiem. Nikt tego powiedzieć nie umiał.

Znowu słychać śpiew, śpiew daleki, cichy, dziki, po rosie

do mnie płynie, a na kurhanie bliziutko, nie bojąc się mnie wcale, orzeł przepyszny siedzi, dziwi się i cieszy pięknością nieba, ziemi i powietrza, słucha śpiewu Czahara. Mój Boże! czemuż ze mną ni Brandta, ni Sienkiewicza, ni Malczewskiego niema? Chciałem w rozpaczy powiedzieć już, że i na Pola zgodziłbym się; ale nie — strach przed profesorem Tarnowskim usta mi zamknął.

Tentent szalony z tyłu słychać jak grzmot daleki — to moja telega. Walą cwałem, czasem truchtem, trochę stępo — i znowu cwał się zaczyna. Czahary, ile razy pociągną mocniej, ile razy wóz wyżej na kamieniu skoczy, tyle razy miauczą i piszczą — aż się serce raduje; tak samo pewnie miauczały (co u nas rykiem zwano) owe hordy, co przed pięcioma, trzema i dwoma stuleciami nasz kraj nachodziły.

Pierwszą stacyę przelatujemy jak wiatr. Konie zmieniają — wio dalej! Od zachodu leci ku nam straszna, czarna chmura, grzmi i łyska, wnet leje jak z cebra. Ja buch do mojej telegi; w mgnieniu oka ulewa przedpotopowa — istne jezioro przed nami. Nagle cała historya staje; po osie stoimy w wodzie, deszcz coraz lepiej leje, ugrzęźliśmy. Czahary sześć czy siedm razy próbują ruszyć, pod pal podjechać, wszystko nadaremno, konie się przewracają, Czahary jak gruszki w wodę lecą. Mija parę chwil długich; nareszcie ulewa ustała, wypogadza się — wyciągnęli jako tako telegę z bagienka, w które wpadła, i ruszyliśmy dalej, zapadając na nocleg jak można najwcześniej, bo mokre stepy i gęste kałuże utrudniają bardzo jazdę. Wieczorem spisuję nazwy stacyj głównych, gdzie zatrzymywaliśmy się. Niech nikt sobie jednak nie wystawia, że te stacye to może osady z domami i ulicami. Nie. Część stepu np., gdzieśmy najpierw mieniali konie, nazywa się Czeczertai, tam stały dwa czy trzy namioty z wojłoku szarego, sznurami związane i do ziemi przymocowane. Druga część stepu, wkoło której o tej porze roku koczują te właśnie czambuły czaharskie, nazywa się Jagastai; tam drugi raz zatrzymaliśmy się. Trzecia, Miangai.

Kiedy to piszę, wkrada się mój kozak *buriata* do mego namiotu — na konwersacyę. Tłumaczy mi, że tak jechać jak my,

tj. w sześć koni przy teledze, czyli w sześciu jeźdźców, którzy równocześnie telegę ciągną, nazywa się *po urtownoj*, czyli hurtownie, tj. szybko, więc bardzo elegancko. Aby co chwila mnie nie nudzono, oddaję jemu mój *pioł*, tj. ów paszport jenerała czaharskich pułków z Kałganu. Kozak opowiada, że następna wielka figura, z jaką mieć będziemy do czynienia, będzie *Zargaczej Ambow*, tj. starszy wojskowy komendant czaharski w Sajrussu. Mamy tam stanąć za dni parę, jeżeli wszystko dobrze pójdzie. Drugą dopiero noc przepędzając w namiocie, gdzie sobie obecnie dość mile siedzę i piszę, przy świecy naturalnie swojej, mimowolnie wpadam na koncept, że gdyby mnie chciano na tamten świat wyekspedyować, to nietrudneby miano zadanie. Prawie wszędzie popod ścianami namiotu można przeleźć, a śpiący zwykle snem sprawiedliwych karauł — straż moja osobista u wejścia — nie na wieleby się przydał. Mój tapczan, na którym mi łóżko układają, stoi wprawdzie na podwyższeniu z poduszek wojłokowych i na środku, więc nibyto na miejscu bezpieczniejszem — za to, jak deszcz, to przez klapę u szczytu namiotu, którą dla powietrza każę otwierać, leje bez przeszkody na mnie.

### *Wśród mongolskich stepów, 29 lipca do 2 sierpnia.*

Niedziela, 29-go, wyjazd z Czander rano o 5-tej. Pięć stacyj (od godziny 5 do $7^1/_2$ — od 8 do 10 — od $10^3/_4$ do $12^1/_4$ — od $2^1/_2$ do 5 — od $5^3/_4$ do $7^1/_2$); jazda ostatnia szalona = 80 li — kłus, galop, malutkie kawałki stępa. Konie nadzwyczajne; mój ostatni, *kazienny*, wałach brudno-gniady, prosto z paszy, a wali pode mną 80 li kłusem i galopem w niecałe dwie godziny. Próbuję siodła chińskiego: drewniane, skórą lub futrem obciągnięte — niepraktyczne i niewygodne. Od Kałganu ujechaliśmy 440 li w dni $2^1/_2$. Z rana była jeszcze ta sama piękna trawa, potem się kończy a zaczyna grunt piasczysty miejscami, piasek jak pustynny, żwirowaty. Mijamy często małe jeziorka, dalej jedno wielkie; około południa przechodzimy w pagórki, bryły kamienia nawalone między trawą, ogromne, dzikie. Dalej pagórki znowu się zmniejszają (muszą być podobne do pagórków w Sa-

harze), stożek obcięty, bryły kamieni, pomiędzy niemi ciągle jednak najśliczniejsza murawa. Kończymy dzień w kraju falistym. Kierunek jazdy — zachód; ku wieczorowi — północny zachód.

Zwierzyna widziana ciągle; dwa gatunki kaczek, krzyki, duże dubelty, kulony, czaple szare z czarnym kołnierzem, jedna poszarpana pewnie przez orła, przepiórek kilka. Wczoraj 5 czy 6 sztuk zajęcy w trawach spłoszyłem (może to króliki?) W południe znowu dwa orły na 40 i 15 kroków zjechane, kruk (kolos) na 10 kroków, antylopy 5 sztuk widzianych na 500—600 kroków, niesłychanie płoche, jasno-żółtawo-cieliste, jedna parka, reszta pojedyńcze sztuki.

Zapadłszy na nocleg w ślicznej, bogatszej widocznie części stepu, bo namioty porządniejsze, konie lepsze, stada owiec liczniejsze, trawy bujniejsze — poznać miałem, w tej pierwszej, już nie czaharskiej ale czysto mongolskiej osadzie, chwalebny obyczaj mongolski dodawania przejezdnemu straży honorowej w postaci — jak ją nazwał mój kozak — *karaułskiej djèwoszki*. Ubrana w kożuch barani, bo noce już bardzo chłodne, ma za zadanie usługiwać, psy i ludzi od namiotu odpędzać, głównie zaś korzuchem, skleconym tylko z niewyprawionych skór baranich, drobiazg wszelaki od gościa odganiać. Korzuch i nadobna, acz nieco kanciata w ruchach i głosie dziewoja, pachną gwałtownie, przypominając capa w październiku. Zrobiwszy porządek zewnątrz z psami, które tu pełnią rozmaite funkcye policyi miejscowej, weszła napowrót do namiotu, i zawinąwszy się w swój korzuch, legła jak długa na poprzek wejścia, czyniąc przejście wprost niemożliwem. Zagrzane w namiocie zapachy, buchły chmurą ku mnie. Na szczęście byłem okrutnie zmęczony i śpiący, i mimo blizkości korzucha zasnąłem niebawem jak kamień. — Nawiasem notuję, niech żyje wanna moja gutaperkowa i herbata, a po nich papieros! Po takim dniu na koniu spędzonym, w takim skwarze, cóż to za używanie!

Teraz dopiero zauważyłem, że jechałem prędzej, niż Mongoły myślały że pojadę, bom tu, w tej osadzie mongolskiego plemienia Czahrynów, dognał kuryera, który przede mną jako kwatermistrz leciał. Wszędzie dotąd na moje spotkanie i przy-

witanie występowali starsi wiekiem i urzędem. Tu zastałem ich w negliżu, tj. do pasa obnażonych, leżących na trawie i popijających kumys. Na mój widok zrobiło się zamieszanie nie do opisania. Ponieważ jechałem ledwie 100 kroków przed moją telegą, więc gdy dwóch jeźdźców ciągnących telegę, tyluż do zmiany, dwa konie rezerwowe dla mnie, cztery dla moich ludzi — gdy cały ten tabun wpadł między stada pasących się baranów, one pierzchnęły ku namiotom, wprost na leżących *sub jove* honoracyorów — i teraz rozpoczęło się wzajemne przeskakiwanie i przewracanie, tumult, krzyk i bek fantastyczny! Przed zaśnięciem, wtedy właśnie, kiedy moja dama honorowa psy odpędzała, wyszedłem przed namiot. Było już późno, wszystko spało. Cóż to za noc! Noc gwiaździsta, spokojna, przejrzysta na takim stepie!

*Poniedziałek,* dzień ciężki, gorąco. Wczoraj przesadziłem, przemęczyłem się. Dziś tylko trzy stacye robię; dostaję mleka świeżego! Wieczorem znowu kąpiel, ale zmęczenie szalone. Pejzarz kamienisty, trawy pod nogami mniej. Razem zrobiliśmy około 300 li, już między Charczynami. Wieczorem inspekcya zapasu wody sodowej — jeszcze 46 butelek. Czy wystarczy? zobaczymy. Stacya nazywa się Szarahada — żółta góra.

*Wtorek,* do południa trzy stacye = 150 li. Upał, jeść niepodobna; Bogu dzięki jest dobre mleko krowie. Strzelam do antylop, stado 40—60 sztuk; na 120—150 kroków dwa strzały, niestety, zgórowałem. Kozły antylop z rogami, kozy i cielęta bez rogów. Jadę w teledze dla bólu w boku, który od wczoraj mnie męczyć poczyna — nie na wiele to się przydaje. Pejzarz zupełnie się zmienił: płasko, równo jak na stole; rano spotkaliśmy ogromny, aż hen po sam widnokrąg od nas biegnący wał, mniej więcej 10 metrów u podstawy szerokości mający. Zdziwiony nadzwyczaj, zatrzymuję całą karawanę, pytam coby to takiego było. Długa chwila minęła nim zrozumiałem. Jest to jeden z trzech wielkich szlaków mongolskich, który stąd się poczyna a ciągnie aż do serca Azyi, w centrum chińskiego Turkestanu. Usypany rękami ludzkiemi, zapewne jeńców wojennych. Stanica, gdzie się zatrzymujemy, zowie się Bułtaj — znaczniejsza od innych, ale co najbardziej tu dziwi, to że stoją tu prawdziwe, murowane

i bielone domy, i to aż trzy czy cztery. Musiały kiedyś, a może i teraz służyć hanom za mieszkanie.

Wieczorem zapadamy na nocleg w puszczy; tym razem prawdziwa puszcza, a raczej pustynia, ale jakże piękna, jak cudowna! Nawpół żywy jestem, przejechawszy 120 li konno w skwarze niewidzianym; słońce chciało nas spalić — ale Bogu dzięki nie spaliło. Za to tu tak uroczo! Opuściwszy czwartą stanicę, spotkaliśmy tabun, który dla dworu cesarskiego posyłał któryś z książąt mongolskich; mimo bólu w boku jechałem konno, bo w teledze w tym upale wytrzymać nie można. Pustynia się aż iskrzyła od skwaru — wciąż widzę wkoło na widnokręgu a często i bliżej jeziora — cieszę się, że będzie woda; jadę i jadę, przede mną coś w dali czernieje — pytam — to stado wielbłądów na paszę puszczone — ale gdzież to stado? jadę i jadę galopa, kłusa, widnokrąg końca nie ma, zda się na miejscu stoję, nie ruszam się, mimo że koń biały od potu i piany; niecierpliwię się, rozpacz mnie ogarnia — dwie godziny mijają, ja wciąż pędzę, by to stado dognać... Było rzeczywiście stado, ale o mil Bóg wie wiele — a ja widziałem *fata morgana*. Tu równina bez końca, niezmierna, pusta; nareszcie pytam, wieleż jeszcze do stanicy następnej — 6 li — ale tych 6 li bez końca. Jako prawdziwy nowicyusz w rzeczach wielkich, prawdziwy Europejczyk, nerwowy i o małym widnokręgu, do rozmiarów lilipucich Europy przywykły, szamotam się, nerwuję, gniewam, rzucam — wobec tego przestworza, które mnie swą nieskończonością przygniata. Do jakiegoś celu dobiedz, coś dogonić — jedyną moją myślą i życzeniem — szukam za jakimś rzeczywistym, nieurojonym przedmiotem poza sobą — jedyną rzeczywistością na tym bezdennym obszarze była moja telega i wiozące ją poczciwe Mongoły. Na nich skrupić całą moją złość karła postanowiłem, i jak gdyby te biedaki winne były temu, że ich kraj taki nieskończony, zaczynam krzyczeć i bić! Dostało się pierwszemu z kraja; gdym palnął raz i drugi nahajem, mój *boy*, Chińczyk, miał pierwszy raz w życiu myśl dobrą; siedząc w teledze, gdziem go zamiast siebie umieścił, woła do mnie: „Panie, ten człowiek jest bardzo ubogi“... Ochłonąłem — daję rubla poczciwemu Mongołowi na odszkodo-

wanie batogów, biedak czołem w ziemi ryje, by mi swą radość i wdzięczność okazać. Ale nareszcie dojechaliśmy; wieczór, spokój, namiot, mój materac, herbata, chłód. Siadam przed namiotem i patrzę. Ależ bo i patrzeć było na co! Słońce już zaszło, ozłociwszy cudnym żarem różowo-złocistym kącik firmamentu. A z poza krańca stepu wychylił się miesiąc — taki miły, cichy, sierp z brzuszkiem na prawo, więc pierwsza kwadra. Wszystko się do snu układa, wszystko cichnie i zamiera — tylko tam daleko, wielbłądzica przy wodzie, od cielęcia swego odłączona, żałośnie, tak smętnie, przeciągle woła za dziecięciem swojem. Potem cichy, stłumiony słychać głos modlących się Mongołów w którejś z jurt sąsiednich. Poczem wszystko cichnie — sen zmorzył i żałość matczyną i głos nabożnych — księżyc już ku horyzontowi się skłania, zostają tylko te pyszne, błyszczące jak brylanty najcudniejsze gwiazdy, i step, puszcza bezmierna. Panie, Tyś łaskaw, żeś mi pozwolił tych cudów być świadkiem! — Przejechaliśmy dzisiaj 330 li (blizko 200 wiorst rosyjskich).

*1-szy sierpnia;* więc szczęśliwie dziesiąty miesiąc moich wędrówek skończony, jedenasty się zaczyna. Ochoty dalibóg już na dalsze wędrówki, dalsze po świecie włóczenia się nie mam! Zmęczenie okropne — pędzę, Bóg wie dlaczego tak pędzę — a raczej wiem, bo mnie mój zły duch, ten kozak Mongoł tak pędzi; a dlaczego on tak pędzi, nietrudno zgadnąć, wszak do domu wraca. Nic już jeść nie mogę, żyję mlekiem i to mlekiem z wodą sodową, z kakaem, mlekiem z herbatą, i wreszcie wodą z *fruit Salt.* Dnie nadto bywają męczące, gorące — noce za to cudowne! Zawsze ten żar nad zachodem, co go zaszłe słońce zostawiło, nad niem sierp srebrny, wyżej strop niebios ciemnolazurowy, zasiany miliardem iskrzących się gwiazd; to nade mną, a wkoło mnie kilka jurt, z których chwilami migoce światło ognisk (niestety gnojem końskim ci ludzie palą), słychać półgłosem prowadzone rozmowy — kilka wielbłądów, konie puszczone na trawę, pochrapują wesoło — poza tem puszcza, step i step, bez miary i końca step. A wietrzyk taki był dziś milutki, tak łagodnie, cichutko muskał i całował po twarzy, tak przepraszał, że przez dzień słońce nas tak srodze spaliło, a jemu chłodzić

nas nie dało — tak wszystko to poetycznie, błogo mnie usposobiło, że wpełzam do jurty mojej, skradam się ku butelce sodowej wody, otwieram, chwytam manierkę — pół na pół, *half and half* — i buch do gardła jednę, potem drugą szklanicę — i o zgrozo! podpiwszy sobie, zacząłem pisać, by te cuda co mię otaczają w pamięci uwiecznić.

Spałem jak zabity. Dziś, Bogu i Matce Najświętszej dzięki, dzień lepszy; nie jadę konno, bo w boku boli; wiatr silny, świeży wieje, temperatura więc nadzwyczaj miła; łupnąwszy dwie stacye, 120 li, obiaduję. O 1-ej z południa ruszymy dalej. Zdrowie nieco lepsze, od dwóch dni znowu pierwszy raz z apetytem jadłem. Piszę w jurcie; w kącie zwinięty we czworo, w całem tego słowa znaczeniu, siedzi Mongoł. Biedaka przydzielono mi, jak zwykle, jako *karaulnego*. Ni młody, ni stary, któż zgadnie wiek takiego stworzenia, spalonego, wysuszonego słońcem, wiatrem stepowym? Zmęczona, chuda twarz; oczy jeno błyszczą, a śledzą za każdym ruchem moim, chcąc zgadywać myśl, życzenie. Gdy mi obiad przynieśli — ohydy, które on za najlepsze w świecie przysmaki uważa: ryż z baraniną jeszcze drgającą, bo napół żywą — oczy te biedne jeszcze bardziej błyszczeć poczęły, tak patrzały w mój talerz, jak nieboszczyk Tantal na ową butelkę szampana patrzał, którą złośliwi bogowie nad nosem mu zawiesili. Ale ja chyba lepszy od bogów heleńskich — dzielę moją porcyę, dodaję szklankę herbaty, kawał chleba jak kamień twardego, poczem tytoniu w fajkę mu nakładam. Gdy skończył, patrzę na te oczy, od lat wielu zapewne tak słodko i szczerze się nie uśmiechnęły, jak w chwili, gdy na jedno kolano padłszy, dziękował mi.

Strasznie nędzna tu ludność, biedna okrutnie. Od dziś rana jedziem co prawda przez wyjątkowo ubogie, opuszczone krainy. Step już tu pustynią prawdziwą; trawa rzadka, twarda, kwaśna; bydła niewiele; kamień i piasek ledwie trochę tą trawą przykryte. Kamień brzydki, szaro-czarnawy, widok smutny, rozpaczliwy prawie; ale konie, czem głębiej w pustynię, tem lepsze — ledwie śmiem to twierdzić, a jednak fakt to niezaprzeczony. Wzrost $14._2$ do $15._2$; wytrzymałość, chody niesłychane. Gdy koń

w biegu się znuży, pętają mu nogę, jednę przednią do zadniej, i zostawiają po prostu wśród drogi na pustyni; wczoraj tak dwa zostały. Wczoraj też pierwszą prawdziwą trzodę wielbłądów spotkałem; teraz moje kufry na wielbłądach jadą.

Największych niespodzianek zbliżyła się chwila. Jadąc przez śliczny, jak na Mongolię niesłychany swą głębokością parów, porośnięty cudnej zieloności murawą, spostrzegam dziwo nad dziwy, oczom wiary nie daję: drzewo, potem drugie i trzecie i dziesiąte. Małe, karłowate, biedne, ale drzewa prawdziwe. Naturalnie zatrzymuję całą karawanę, wołam kozaka, podjeżdżam pod owo drzewo, patrzę, oglądam; zowią je, jak twierdzi mój kozak, „limowina"; małom się dowiedział. Kora w gęste, niewielkie prostokąty pomarszczona, liść wykrojony, nieco agrestu liść przypominający. Schodzę z konia, wyciągam z telegi książkę z notatkami, wyłażę znowu na konia, staję w strzemionach, wyciągam jak mogę rękę i chcę urwać choć dwa listki — wtem kozak mój, *boy* Chińczyk, cała karawana wydaje jeden wielki przeraźliwy okrzyk; kozak jak opętany przyskakuje do mnie i ryczy: *bariń nielzia!* Nie wiedziałem, że karą śmierci zagrożone jest jakiekolwiek choćby najmniejsze uszkodzenie tych drzew, i to jeszcze ponoś z czasów Kublejhana datuje się ten zakaz, święcie przestrzagany. Widząc kilka innych takich samych drzew opodal, zrozumieć nie mogłem, dlaczego tak szalenie się o nie obawiają; zrozumiałem dopiero dowiedziawszy się, że temi drzewami wyznaczony jest trzeci z rzędu wielki szlak, idący ku południo-zachodowi, więc jest wprost ku Europie. Drzew tych istnieje zaledwie kilkaset sztuk. Szlak bowiem, dla nader nieprzyjaznych dla porostu drzew warunków, znaczony jest grupami po kilka w odległościach ogromnych. Listka więc nie zerwałem i po dziś dzień nie wiem, jakie to były te nietykalne drzewa. Na wspomnienie jednak o owej karze śmierci, mimowolnie żałuję, że podobnych ustaw niema u nas w Galicyi, np. na Podolu; możeby choć w XX. wieku nareszcie udało się tam drogi drzewami obsadzić! — Sądząc po tem, że przedwczoraj jeden, dziś drugi spotkałem początek szlaku, wnosićby wypadało, że byłem tu w punkcie centralnym, skąd się rozbiegały szlaki, a więc

i armie Tamerlanów i Dżingishanów — a jednak stolica tych wielkich wojowników była gdzieindziej, na północny zachód od miejsc, przez które przejeżdżam.

Imiona dziś przebytych stacyj: Toile i Chute; w pierwszej nocleg, w drugiej obiad, względnie przeczekanie południowego skwaru. — Dziwne koleje człek w takiej podróży przechodzi; prawdziwie raz pod wozem, raz na wozie; raz słońce piecze, raz deszcz leje, bo niezbadane są wyroki Pańskie. Dlaczego po godzinach, dniach istnej posuchy moralnej, braku kompletnego myśli, uczucia, przychodzi deszcz formalny myśli, uczuć, łez? Do wczoraj byłem tak zmęczony, że prócz wykrzykników: kiedyż dojedziemy!? po jakiego djabła wpakowałem się w tę podróż!? kiedyż znowu cośkolwiek napić się będzie można? — nic w duszy ni w sercu nie postało. Dzisiaj wypocząłem nieco, nie opuszczając prócz wieczorem telegi; dusza nareszcie się obudziła.

Dziś 2-go lipca, św. Alfonsa Liguorego, czytałem o jego powiedzeniu: nie trać w życiu czasu — *nulla dies sine linea* na drodze cnoty! Mimowolnie stawia się przed oczy pytanie, a czy istotnie się postępuje według tej rady? Zanotować jeszcze muszę, że nocy poprzedniej miałem okropny sen; widziałem ojca kochanego chorym, i od tej chwili wśród puszczy i samotności myśl straszna, okropna mnie dręczy. Teraz dopiero uczułem, jak strasznie sam jestem w tej puszczy, jak okropną jest absolutna niemożność skomunikowania się z tymi, którzy sercu najbliżsi. Czarne myśli trapiły mię bardzo. Dopiero po przyjeździe do domu dowiedzieć się miałem, czy było co prawdy w tych złowrogich przeczuciach (istotnie było).

(Dok. nast.).

*Paweł Sapieha.*

# NA DRODZE ŻYCIA.

## SEN.

Śniło mi się raz — kiedy? nie pomnę — że przede mną wznosiła się góra, szczytem chmur sięgająca, stroma, skalista, gdzieniegdzie tylko zielenią drzew umajona. W głębokich jarach potoki z głuchym łoskotem pędziły po łożu z kamieni; wielkie głazy o dziwacznych kształtach przedzierały ziemi skorupę, a okiem niezmierzone przepaście otwierały swą otchłań pod nogami przechodnia. Mgły i tumany leżały w rozpadlinach, wiatr dziko szarpał drzewami, a wśród chmur rzadko kiedy wyglądał blady słońca promyczek. Tylko sam wierzchołek góry tonął w jasności: biła odeń zorza, niby pierwsze brzaski wschodzącej jutrzenki, a w tej świetlanej łunie mienił się i błyszczał kolorami tęczy gmach przecudnej budowy, strzelający w górę tysiącem wież białych, przejrzystych jakoby koronka z promieni. Nad tą świątynią niebo było czyste, a u stóp uśmiechały się kobierce kwiatów i zieleni dźwięczącej świegotem ptasząt. Wielki spokój i dziwna błogość wiały od tych jasnych murów; zauważyłem wszakże, iż gmach jeszcze skończonym nie był: niektóre części dawno już zda się powstały, przy drugich jacyś niewidzialni z tak daleka robotnicy pracowali jeszcze.

Od stóp góry do szczytu wiła się droga ciężka, przykra, najeżona kamieniami i cierniem, poszarpana przez wody potoków, ginąca nieraz wśród cieni pomroku lub zwieszająca się tuż, tuż nad przepaścią. Straszny był to zaiste gościniec! Co chwila nowe niebezpieczeństwo czyhało na zgubę wędrowca: tu zawrót głowy,

tam jakaś mgła złowroga, lawina śniegu lecąca w urwiska, o krok dalej ława ruchomego piasku rozpalonego jakimś podziemnym żarem, dalej jeszcze burza, wicher, pioruny — straszny gościniec!...

A gdy zmordowany pielgrzym przystawałby choć zaczerpnąć powietrza w zdyszane piersi — wraz poczynały olśnionym oczom jego uśmiechać się tuż obok murawy jak szmaragd zielone, kwiatów pełne, wabiące krzewami o owocach złocistych. Lecz biada temu, który się dał skusić ułudnym powabom, który opuścił skalistą ścieżkę: zaledwie nogi jego dotknęły murawy a dłoń ku owocom sięgnęła, już przed nim błotna, bezdenna roztwierała się przepaść, kwiaty oplątywały go długiemi jak węże zwojami, dusiły zatrutym wyziewem, owoce w proch zabójczy rozsypywały się w ustach — nieszczęsny ginął marnie, bez śladu, a po jego zniknięciu łąka śmiała się znowu i świeże wabiła ofiary.

Po tej zaś drodze postępowały tłumy ludzi różnego wieku, płci, stanu, języka; szli spiesznie ku jasnej świątyni, która od czasu do czasu błyskała wśród chmur jak przewodnia gwiazda. Szli, lecz jakże wielu zostawało w pół drogi! Jednych zdradliwe pochłaniały łąki, drudzy niebacznie spojrzawszy w przepaść, zawrotem porwani zostali w głąb, inni znów pośliznęli się na skale i stoczyli w rwące potoki... Najliczniejszymi atoli byli ci, co strudzeni, zniechęceni, postradawszy ufność i wiarę, usiedli przy drodze i nie mieli odwagi powstać; gnuśni, strupieszali tracili powoli ludzkie kształty i zamieniali się w głazy, pleśnią mchu porosłe.

Przypatrywałem się bacznie tym tłumom i dostrzegłem, że każdy pielgrzym niósł kamień na barkach. Dziecko czy starzec, mąż czy niewiasta, każdy uginał się pod podobnym ciężarem, nierównym jednak co do rozmiarów i kształtu. U jednych był to głaz prosty, u drugich marmur drogi rzeźbiony misternie, u niektórych mienił się barwami tęczy lub sino żarzył jak próchno. Byli tacy, u których zdał się lekkim, bo postępowali raźnie i ochoczo; u innych zaś ogromny i ciężki okrutnie. Ci szli powoli zgarbieni, zalani potem, często padając wśród drogi — ale ich

nie nęciła zatruta murawa ani mieli czas spojrzeć w czarne dno przepaści, a choć ich ciężar na chwilę przygniótł do ziemi, przecież dźwigali się z trudem i znów szli dalej.

Dziwne zaprawdę sceny rozgrywały się na tej drodze: bywali litościwi, którzy nietylko swój ciężar, ale i brzemię słabszego brata nosili. Czasem cała rodzina pielgrzymowała pospołu, jednocząc siły, aby zadaniu wydołać; czasem znów wśród rodziny jeden tylko niósł brzemię za wszystkich, a ci wkoło niego postępowali swobodnie, na jego barki cały trud zwaliwszy. Chwilami z pośród tej ciżby wyrywał się głos buntem wezbrany: to jeden z onych wędrowców klnąc własny los rzucał się w przepaść wraz ze swoim głazem; słychać było stuk głuchy, jak się staczał po skalistych ścianach i kędyś ginął w ciemności. Wonczas widziałem, jak wielkim smutkiem oblekały się lica jasnych robotników tam — przy świątyni u góry; widziałem, jak w łonie zorzy jeden promień gasnął i miejsce puste zostawało na zawsze w murach świętego gmachu. Z tych to bowiem kamieni, które ludzie z śmiertelnym znojem aż na szczyt dźwigali, tworzyły się ściany świątyni, wznosiły ku niebu przejrzyste wieżyce, sklepiły lekkie arkady i stroiły w koronki z marmuru.

Wśród wędrownego tłumu, dwóch młodzieńców najżywiej uwagę moją zajęło. U obu w oczach błyszczała myśl wielka i wielkie nadzieje; zda się, że nie ciężyło im brzemię, gdyż szli niemal wesoło, przesadzając zapory, unikając zdradnych łąk, przechodząc bez zawrotu nad brzegiem przepaści, byle dalej, byle wyżej! W objęciach nieśli dwa posągi białe z gwiazdą geniuszu nad czołem, i zrozumiałem dlaczego kroczyli tak lekko: same bowiem skrzydła kamienne posągów unosiły ich w górę. Aliści nagle przed nimi na drodze zjawiła się postać poważna:

„Stójcie!“ wyrzekł głos spokojny lecz rozkazujący. „Jam jest posłaniec niebios, ten, którego bezrozum ludzki zwie Przeznaczeniem — stójcie! Nie wam nieść dalej skrzydlate posągi — trud ten jest innym sądzony. Wy bierzcie proste brzemię cegły i kamienia i idźcie z Bogiem do celu!“

Straszny ból okrył oblicze młodzieńców, rozpaczliwym ruchem przycisnęli do piersi posągi.

„Wola Boża!“ powtórzył głos.

Wtedy dwie łzy spłynęły po licach jednego z pielgrzymów; raz jeszcze spojrzał w natchnioną postać kamiennego geniusza i złożył go kornie na ziemię. A potem wziąwszy na barki wstrętne brzemię cegły, szedł dalej schylony i cichy. Szedł, tylko w oczach zgasła mu radość, boleść wyryła się zmarszczkami na czole i zachwyt, co go niósł w górę, uleciał. Drugi atoli, słysząc rozkaz, dumnie wzniósł głowę: „Cóż to? — zawołał — ja mam się wyrzec mych marzeń złotych? Toć w duszy mojej tli iskra z nieba i z niej arcydzieło stworzę! Mamże się wyprzeć mego ideału i rzuciwszy go dźwigać tę grubą cegłę, którą lada robotnik tak samo nieść potrafi? O nie! jam nie stworzony do tak podłej pracy; tego ode mnie Bóg żądać nie może, gdyż Sam ten ogień święty w mem łonie rozpalił — raczej zginąć niż się poniżyć!“

I poszedł dalej, ściskając namiętnie swego białego geniusza... „Który z nich dojdzie?“ — myślałem.

Pierwszy, milczący, zamknięty w sobie szedł nie skarżąc się na trudy i znoje. Smutną twarz jego powoli przyoblekał wyraz spokoju, oczy coraz częściej wznosiły się do szczytu, kędy wśród zorzy promieniał cudowny gmach: im wyżej, tem jaśniej przyświecał biednemu pracownikowi, lejąc mu w serce otuchę. Aż wkońcu i w tem sercu zrobiło się jasno; młodzieniec zrozumiał, iż na wzniesienie owej górnej świątyni cała ludzkość się składa, ale że w oczach Boskiego Mistrza każdy kamyczek w pokorze ducha zniesiony tyle jest wart co najpiękniejsze rzeźbione marmury. Spieszył więc i ani już czuł ciężkiego brzemienia; cel był tak blizko, parę kroków jeszcze! Przebył je i stanąwszy w progu złożył swój ciężar u stóp niebiańskiego Mistrza. Ale, o dziwo! każdy przezeń przyniesiony kamień, każda cegiełka błyszczały teraz jak kryształ i w lot je rozchwycili śnieżnopiórzy anieli i unieśli tam w górę, kędy już zaokrąglał się łuk kończącego się sklepienia. A młodzieniec odetchnął całą piersią, z oblicza jego znikły wszelkie ślady cierpienia, schylona postać wyprostowała się i szlachetniała w oczach, aż stała się cała promienna, a wtedy padł. Zobaczył w tej chwili, że stoi wobec Wielkiego Mistrza, który kierował całą budowlą, a od którego oblicza pro-

mieniał majestat niewysłowiony, zachwycający duszę. Młodzieniec padł na kolana, wołając: „Panie! czemu zawdzięczam, żem w drodze nie zbłądził?“

A Pan mu odrzekł łagodnie: „Zaparciu się siebie, mój synu!“

. . . . . .

A cóż się stało z drugim wędrowcem? — myślałem — lecz gdy wzrok mój odszukał go znów wpośród tłumu, straszną spostrzegłem w nim zmianę. Ogień rozpaczy tlał w błędnych oczach, śmiech szyderstwa wykrzywiał usta. Nie biegł już jak wpierw lekko i swobodnie, wlókł się raczej zgarbiony, jakby przygniecion całym ciężarem posągu. A i ów posąg biały też się przeistoczył: zczerniały, z połamanemi skrzydłami, nie nosił już natchnionej postaci geniusza, ale się zdał jakąś larwą piekielną z szatańskim wyrazem tryumfu i złości. Wędrowiec szarpał się i pasował z tą zmorą, usiłując ją zrzucić z zakrwawionych ramion — daremnie! Za każdym wysiłkiem posąg coraz głębiej wpijał się w jego ciało, gniótł do ziemi, ostatki życia wysysał. Wreszcie nieszczęsny stanął u brzegu przepaści:

„Przeklęta chwila, kiedym się narodził!“ — zawołał z dziką rozpaczą. „Przeklęta chwila, kiedym ci uwierzył, maro zwodnicza, że na twych skrzydłach w niebo ulecę! Przeklęta bądź i ty na wieki, boś mnie do piekła zawiodła!“...

I z bluźnierstwem na ustach skoczył w otchłań ciemną, a za spadającym zagrzmiał głos groźny:

„Duszo stracona! wzgardziłaś prawdziwym celem życia: próżność nazwałaś ideałem a zarozumiałość cnotą. Więcej sobie wierzyłaś niż Bogu i zbłądziłaś...“

Tu się ocknąłem. Sen mara — Bóg wiara! ale i we śnie może się znaleść przestroga.

*T. P.*

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

## Z piśmiennictwa krajowego.

**Chrystyanizm i czasy obecne.** *Ks. bisk. Bougaud.* Tłum. z francusk., wydane staraniem ks. P. Skolimowskiego. Tom I.: Wiara i niewiara.

Zrobiło się wreszcie to, o czem od dawna marzyłem, do czego szukałem a nie znajdowałem ochotnika: pomnikowe dzieło ks. biskupa Bougaud'a wydaje się po polsku.

Poważnego dzieła apologetycznego jest u nas gwałtowna potrzeba. Kiedy tłumaczono u nas, między 50-tym a 60-tym rokiem tego wieku, Nicolasa „Filozoficzne badania o Chrystyanizmie", były one bardzo na czasie. Od tej epoki, choć same nic nie straciły z swej wewnętrznej wartości, straciły jednak w pewnej mierze kontakt z kierunkiem umysłów dzisiejszych i wpływ na te umysły. Duch dzisiejszy, zwróciwszy się w stronę badań doświadczalnych i historyi, stał się dziwnie mało podatny na czysto rozumowe i filozoficzne wywody, jakkolwiek ścisłe i logiczne. Za to wrażliwszy jest na wnioski opierające się na historyi, na doświadczeniu, zwłaszcza na tak zwanych najnowszych rezultatach nauki. Powołując się na fakcik odkryty roku przeszłego, więcej mu się robi wrażenia i łatwiej przekonywa, aniżeli opierając się na wielkich faktach od kilku tysięcy lat znanych. Jest w tem zapewnie trochę płochości, ale darmo, taki już jest ten duch dzisiejszy i takim go brać trzeba, chcąc do niego trafić.

Już daleko bardziej w tym duchu nowożytnym pisana jest pięciotomowa Apologia Chrystyanizmu Hettingera; i wielka szkoda, że swego

czasu nie została spolszczona; byłaby niemało krajowi przyniosła pożytku. Ale teraz już i Hettinger jest trochę stary — ma z jakie lat 20 — i kwestye przyrodnicze, czasem i historyczne, których dotyka, dziś już trochę odmieniły swą fizyognomię. Bougaud ma nad nim tę korzyść, że jest późniejszy; a choć są inni jeszcze nowsi, to jednak nie pod każdym względem równie odpowiadają praktycznym potrzebom naszym. Tacy jak Mir, Dhuillet de St. Projet, de Bonniot i t. p., ściślej niż Bougaud roztrząsają zarzuty ze strony nauk przyrodniczych podnoszone, ale ciaśniejsze mają ramy, nie obejmują jak on całości nauki wiary. Niemieckie znów apologetyki, jak Schanza i Gutberleta, są zanadto szkolnie uczone, aby mogły się stać u nas łatwo popularne; Weiss wprawdzie nie grzeszy szkolną surowością, a zaleca się szczególnie tem, że na pierwszy plan wysuwa najaktualniejsze kwestye socyalne i społeczną misyę chrystyanizmu, ale jest znowu zanadto obszerny, a przytem niekompletny: poza socyalne i literackie kwestye prawie nie wychodzi. Więc i wobec nowszych utworów, wybór dzieła ks. biskupa Bougaud'a, dla przywłaszczenia go naszej literaturze, da się usprawiedliwić.

Plan tego dzieła jest dobrze pomyślany. Tom pierwszy traktuje o religii w ogólności, o jej prawdzie i potrzebie dla człowieka i dla społeczeństwa. Tom drugi przedstawia Boskiego Założyciela chrystyanizmu, Pana Jezusa: najprzód roztrząsa gruntownie autentyczność Ewangelii, potem życie Zbawiciela skreśla, wreszcie wnioski o boskiej jego osobie wyciąga. Trzeci tom roztrząsa samą zawartość nauki Chrystusowej, czyli „Skład Apostolski“: więc znowu najprzód krytyczną historyę Składu, potem dogmata Trójcy, stworzenia, upadku pierworodnego i odkupienia. W czwartym tomie opisany jest wspaniale Kościół, jego życiowy organizm i funkcye wśród ludzkości. Nareszcie tom piąty przedstawia „Życie chrześcijańskie“, tj. stronę życiową nauki katolickiej: więc wiarę, cnotę, modlitwę, tudzież sakrament pokuty, Eucharystyę, wkońcu los duszy zagrobowy.

W wykładzie tych prawd wskazane są ich źródła w Piśmie św. i w historycznych chrystyanizmu pomnikach, główne błędy i zarzuty przeciwne są po drodze, dobrze, wogóle mówiąc, zbijane; wreszcie — co jest najwybitniejszym przymiotem tego dzieła — okazuje się w niem piękność i głębokość tych prawd, ich odpowiedniość do wymagań duszy i potrzeb ludzkości, jakieś urocze światło oblewa wszystko. Ks. bisk. Bougaud jest niestety zanadto kaznodzieją w swej książce. Już Hettinger nim jest za wiele, a Bougaud jeszcze więcej. Jednakże nie

trzeba się zrażać jego retoryką i egzaltowaniem się niekiedy przesadnem, bo przekonać się łatwo, że pod tem kryje się, nie czczość — jak to niekiedy bywa — ale rzecz gruntowna i logiczny pochód. — My Polacy bardziej przyzwyczajeni jesteśmy do prostoty stylu niż Francuzi, i zwykłe ich dzieła, przetłumaczone zbyt wiernie na nasz język, robią nam wrażenie pewnej napuszystości, której w oryginale nie mają. Tem bardziej, chcąc takie dzieło spolszczyć jak „Chrystyanizm i czasy obecne“, należałoby eliminować ten balast retoryczny, należałoby też wypuścić ustępy, zbyt wyłącznie do Francyi się odnoszące. W takim razie zmniejszyłoby się dzieło, może o trzecią część, ale wieleby zyskało na wartości dla nas. Prawda, że toby wymagało ze strony tłumacza daleko większego nakładu pracy i innych warunków.

Tłumaczenie polskie, które mamy przed sobą, jest po prostu wiernym przekładem z francuskiego. Nie daje nam więc tej „transpozycyi“, o którejby można marzyć, ale jednak daje nam rzecz bardzo cenną: samo dzieło Bougaud'a w naszym języku. A język, mimo ścisłości tłumaczenia, jest dobry, poprawny, płynny, więcej odsadzony od francuskiego wzoru, niż to wogóle bywa w naszych tłumaczeniach. — Są jednak miejscami i co do języka i co do oddania myśli mniejsze uchybienia. W naukowych kwestyach niewłaściwy zdarza się dobór wyrazów; i tak: samorodztwo nazwane jest raz „generacyą nagłą“, drugi raz „generacyą doraźną“, trzeci raz nawet „własną wolą generacyi“ (to ma oddać: *génération spontanée).* Czemu nie powiedzieć zamiast tego wszystkiego, po prostu „samorodztwo“?

Obecnie wydany tom pierwszy jest, według mego zdania, słabszy od następujących. Stanowisko autora w pewnych kwestyach z naukami przyrodniczemi powiązanych, jest już trochę zadawnione. Przytem więcej może jest w tym tomie retoryki i więcej rzeczy specyalnie Francyi dotyczących, niż w częściach następujących. Znajdą i w nim niewątpliwie czytelnicy niemało światła — o naturze Boga i człowieka, o bolesnym dramacie niewiary a wspaniałości i dzielności religii — znajdą i niemało pokrzepienia, ale jeszcze więcej spodziewać się mogą po tomach, które przyjdą. Jest to książka wskazana dla wszystkich, którzy kształcąc się w naukach, w religii też odpowiednio kształcić się potrzebują. A któż u nas tego kształcenia się nie potrzebuje? Jedni mają do walczenia z wewnętrznemi trudnościami, drudzy z zewnętrznemi zaczepkami — i ci i tamci potrzebują wyjaśnienia tych trudności; jedni kochają swą wiarę — i dlatego łakną wszystkiego co ich bliżej

z nią obznajamia; drudzy jej nie kochają — głównie dlatego, że nie znają jej prawie; i ci właśnie najwięcej potrzebują takich książek, któreby ich o prawdach i pięknościach tej wiary pouczyły.

*Ks. M. Morawski.*

**Egzorty do młodzieży szkolnej.** *Ks. Feliks Józefowicz.* Tomów dwa. Lwów 1893—1895.

W literaturze naszej od dawna czuć się dawał brak dzieł kaznodziejskich, zastosowanych do pojęć i potrzeb kształcącej się młodzieży. Znamy, i prawie na palcach policzyćbyśmy mogli te skromne, anonimowe przeważnie wydawnictwa, jakie czasami pojawiały się u nas, a że nie odpowiadały ani celowi swemu ani wymaganiom czytelnika, najlepszy w tem dowód, iż o nich mało wiemy i bez rozgłosu spoczęły gdzieś w kurzu księgarskich czy bibliotecznych półek. Szukać powodów tego zjawiska, nie nasze to dziś zadanie, ale to pewna, iż ten brak na tem polu wybitniejszych dzieł nie najlepiej świadczy o tem, jak słowem bożem karmiono u nas młodzież.

Dziś stosunki nasze pod tym względem poprawiły się znacznie. Księża katecheci pojmują zdrowo i poważnie wielkie a doniosłe w następstwa swe zadanie, obowiązki swoje traktują seryo, egzorty mówią przeważnie z pamięci — a wiemy, jaki potężny i większy wpływ ma wygłoszona choćby słabsza, ale z życiem i ciepłem nauka, nad elaborat najwzorowszy, odczytany chłodno i jednostajnie.

Jako owoc tego właśnie nowego zwrotu ku lepszemu, pojawiły się już dwa spore tomiki egzort do młodzieży szkolnej ks. Józefowicza. Tom I. obejmuje nauki okolicznościowe, tom II. egzorty adwentowe, świąteczne i pasyjne. O ile pamiętamy, przyjęte one były nadzwyczaj przychylnie, krytyka wogóle wyrażała się o nich jak najlepiej, a przyznajemy i my to dziś otwarcie, nie czyniono tego tylko dla zachęty autora do dalszych publikacyj, ale z przekonania szczerego o rzetelnej i istotnej wartości tych egzort. Nim o nich własne wypowiemy zdanie, dla uzasadnienia naszych zapatrywań musimy kilka słów wprzód powiedzieć o warunkach nauk przeznaczonych dla młodzieży szkolnej.

Wogóle rzeczą jest znaną, iż łatwiej do ludu, do dojrzałych słuchaczy przemawiać, niźli do pokolenia dopiero dorastającego. Nie można go całego j e d n a k o w o traktować, ani mierzyć normą naszych pojęć i zapatrywań. Są tam serca jeszcze niewinne, nieskalane, są inne czasem zbrukane grzechem, skrzywione wcześnie zakorzenionemi nało-

gami, zachwiane nawet niewiarą i sofisteryą. Pod względem uwagi, przenikania wywodów, materyał to strasznie wybredny i niewyrobiony. Trzeba się więc i do jego pojęć i potrzeb, i do zakresu wiadomości zniżyć, nadewszystko zaś należy zrozumieć, czem można skutecznie uwagę młodzieży podtrzymać, jaką drogą trafić do jej przekonania. Z tego właśnie powodu przyjęty jest zwyczaj przemawiania osobno do niższego i wyższego gimnazyum, czem zasadniczą stawia się różnicę między treścią i celem egzort. Inne warunki zależą od daru wymowy, praktyki i pracy kaznodziei.

Wobec tych kilku uwag powiemy najprzód, iż pod względem treści, egzorty ks. Józefowicza odpowiadają swemu przeznaczeniu, jakkolwiek szkoda wielka, iż autor dokładnie nie rozróżnił nauk, dla wyższych i niższych klas. Są one proste, przystępne, nacechowane miłością i troską o tę młodzież, dla której są przeznaczone.

Wyczerpują materyał z zakresu życia młodzieży, uderzają w głośne jej błędy, podają środki dźwigania się. Mamy tylko jedno co do treści do powiedzenia. Zdaje się nam, że nie we wszystkich egzortach ta obrana materya odpowiada potrzebom słuchaczy, i że dużo pozostało rzeczy praktyczniejszych, aktualniejszych, które po prostu w nich pominięto. Być może, iż autor w tomie III. egzort niedzielnych braki te uzupełni — ale nam się zdaje, że dla każdego katechety drogowskazem do tego rodzaju wyboru materyi był i będzie O. A. Doss T. J. w swem niezrównanem dziele: *Gedanken und Rathschläge.*

Co do formy tych przemówień, to na ich pochwałę powiemy, że mają ton i sposób przemawiania zastosowany wogóle do młodzieży. Niema wyszukanego stylu, jest prostota, jest wdzięk naturalny, niema rozwlekłości i czczej gadaniny, wszystko obliczone i sprowadzone do najpotrzebniejszych tylko słów. Zdaje się nam jednak, iż tych egzort tak jak są napisane, wyjąwszy jednej lub drugiej, absolutnie wygłosićby nie można. Wyglądają one raczej formą na ascetyczne odczyty — do kazania podobne nie są. Brak im życia i ciepła, brak tego żywiołu, którym uwagę i skupienie młodego słuchacza się podtrzymuje, wykład jest za jednostajny, rzadko urozmaicony przykładem, porównaniem, zwrotem praktycznym do młodzieży; a i to co ma ją przekonać, powiedziane jest w formie niewystarczającej, za krótkiej. Dzieciom należy prawdę przedstawić jasno i zrozumiale; ogólniki, dopowiedzenia zostawmy mędrszym, należy być krótkim, nie rozwlekłym, to prawda, ale *obscurus fio* horacyuszowskie ma tu wielkie zastosowanie. Dziatwie

nie tyle może w oczy wpada i do przekonania trafia logika wywodów, ile perswazya oparta na motywach działających na wyobraźnię i serce.

Być może, iż egzorty te w przeważnej swej części były tylko czytane, i to je cokolwiek usprawiedliwia — ale w każdym razie daleko im jeszcze do formy, jaką się skupia uwagę młodzieży, trafia do ich przekonania i nagina wolę ku dobremu. Autorowi życzymy na tem polu powodzenia szczerze, a te usiłowania przyjmujemy sercem wdzięcznem, bo wdzięczność należy się i uznanie sumiennej pracy, a owocem takiej właśnie pracy są wydane dotąd dwa spore tomy egzort do młodzieży.

*A. B.*

**Katalog rozumowany książek dla dzieci i młodzieży.** Wydany z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem, imienia d-ra Józefa Mianowskiego. Warszawa 1895.

Od dawna, od bardzo dawna czuć się dawała potrzeba katalogu, któryby wskazywał rodzicom, opiekunom, nauczycielom, jakie książki dawać mogą śmiało do rąk wychowywanym przez siebie dzieciom, kształcącej się pod okiem swem młodzieży. Ułożyć taki katalog (naturalnie, mówimy tu tylko o książkach polskich) dobry, a o ile można wyczerpujący, to rzecz tak trudna, że choćby przy pierwszej próbie siły zamiarowi nie sprostały, możnaby — jeśli gdzie i kiedy, to w tym wypadku — z całą słusznością zastosować przysłowie: *In magnis et voluisse sat est.* Katalog, który mamy pod ręką, daje nam więcej niż ładne, ale bezpłodne *voluisse.* Wydany w Warszawie, mógł mieć na względzie tylko te polskie książki, które do Warszawy mają dostęp, i z tego powodu, rzecz prosta, nikt mu nie może uczynić zarzutu. Trudniej wyrozumieć, dlaczego zupełnie są pominięte książki pobożne, życiorysy Świętych i t. p.; przecież nie brak — i w Warszawie — takich życiorysów, które są i dostępne i odpowiednie dla dzieci i młodzieży, o wiele nieraz odpowiedniejsze i pożyteczniejsze, niż niejedna z książek, nad któremi wydawcy dość stosunkowo długo się rozwodzą. Na poszczególne oceny (439 odrębnych książek i książeczek) możnaby się w wielkiej części zgodzić; powtarzamy: w wielkiej części, bo czasem trudno myśli się opędzić, że wydawcy za wiernie trzymali się jeśli nie tekstu, to przewodniej myśli dawnych katalogów wydanych przez Karłowicza i Dygasińskiego, za wielką wagę przykładali np. do ocen umieszczanych w *Ateneum.* Czy dlatego może nikt z wydawców na „Katalogu“ podpisać się nie chciał, czy nie śmiał?

Dwa spisy ocenionych książek według treści i według wieku czytelników, niemało ułatwiają korzystanie z Katalogu. Nie wątpimy, że niezadługo pokaże się potrzeba nowego wydania. Prosimy wtedy, właśnie dlatego, że tak bardzo wielką potrzebę tego rodzaju katalogu uznajemy, a wespół z nami proszą bardzo liczne matki, ojcowie, nauczyciele, o większą jeśli nie dokładność, to wszechstronność; o usunięcie bezimienności, w tego rodzaju książce wprost niemożliwej i niezrozumiałej. Społeczeństwo nasze ma chyba tem większe prawo domagać się spełnienia tych postulatów, że Katalog nie jest tylko kupieckiem, nie jest prywatnem lub partyjnem przedsiębiorstwem, ale opłacony jest groszem publicznym.

**De Ecclesiis, Collegiata, Seminario clericorum scholisque academicis quondam Olycensibus** — rozprawa drukowana w czterech z kolei programach petersburskiej Akademii duchownej, za lata szkolne: 1890, 1891, 1892, 1893.

Niestrudzony, a teraz mitrą biskupią ozdobiony, rektor Akademii duchownej w Petersburgu, ks. Franciszek Albin Symon, wydaje corocznie program tejże akademii. W programach tych podaje na wstępie spis profesorów, plan nauk, wykładanych alumnom tejże akademii, spis tychże alumnów, podzielonych na cztery kursa, a wreszcie wykaz magistrów i kandydatów teologii, którzy te stopnie w ciągu roku szóstego otrzymali [1].

Oprócz tych cennych bardzo wiadomości, znajdujemy w programach akademii rozprawy, pisane po łacinie przez ks. Rektora, a jedną z nich, przedstawiającą dzieje wydziału teologicznego w uniwersytecie wi-

[1] Oprócz J. Magnif. ks. Rektora, który wykłada Nowy Testament, czytają: adjunkt, ks. Adam Ako, introdukcyę i archeologię; księża profesorowie: J. Cieplak dogmatykę, J. Dawidowicz teologię moralną, L. Gawroński pastoralną, A. Retke prawo kanoniczne, B. Kłopotowski historyę kościelną i patrologię, F. Drzewiecki filozofię, J. Pranajtis liturgię i język hebrajski, L. Mueller język łaciński i grecki.

Nadto wykładają: literaturę rosyjską Mikołaj Pietrowicz Nekrasow; „ojczystą“ historyę Rudolf Ignatiewicz Menżyński; język russki A. Chiżniakow; język francuski H. de Bourdais.

Język łaciński jest wykładowym w akademii, literatura i historya wykładane są w języku rosyjskim. Alumnów liczyła akademia w roku szkolnym 1892/3 sześćdziesięciu czterech. Jedenastu opuściło zakład ze stopniami magistrów. Dodatkowo wydrukowano w programie na ten rok ustawy *(regulae)*, ułożone przez ks. Rektora, a zatwierdzone przez metropolitę arcyb. mohilowskiego, ks. Gintowta, w 1886 roku.

leńskim, omawialiśmy swego czasu w *Przeglądzie Powszechnym*. Obecnie mamy przed sobą rozprawę tegoż dostojnego autora, w której opisuje dzieje kolegiaty w Ołyce i z nią połączonego seminaryum duchownego i szkół akademickich, które tworzyły kolonię akademii w Zamościu.

Kolegiata ołycka ma tem większe znaczenie, że pod koniec XVII. wieku, kiedy Kijów wraz z Księstwem Czernichowskiem przeszedł w ręce Moskwy i wszystkie kościoły katolickie zostały zniszczone, a biskupowi wraz z kapitułą dostęp do Kijowa wzbroniony, wtedy kolegiatę obsadzano kanonikami kijowskimi i w ten sposób przyczyniła się do ratowania ginącej dyecezyi. Dzieje to prawie wcale nieznane, i przedmiot prawie nietknięty w naszej literaturze, bo oprócz wzmianek pobieżnych Łukaszewicza, Balińskiego i kilku prac Jerzego Steckiego, ogłoszonych w *Przeglądzie Powszechnym* r. 1887 — nic prawie o tem nie mamy. Pisał podobno wiele o Ołyce ks. Alojzy Osiński, pierwszy rektor Akademii duchownej w Wilnie i prałat kolegiaty ołyckiej, ale pisma jego nie zostały drukiem ogłoszone i przepadły bez śladu. Tem większą przeto ma zasługę autor, że na to pole zwrócił pracowitą uwagę. Pobudzony zaś został do tej pracy w ten sposób, że wakacye r. 1888 spędzał w Ołyce u jednego, jeszcze tamże dzisiaj pozostałego prałata, wspaniałej i bogatej niegdyś kolegiaty ołyckiej; a zamiast odpocząć po pracy — do czego miał słuszne i sprawiedliwe prawo — wziął się do wertowania starych i zakurzonych dokumentów i papierów kościelnych. Rezultat tej pracy podaje w trzech, wyżej już wspomnianych programach, słownikowego formatu, na 385 stronach ścisłego druku, do czego dodał jeszcze 23 stron dokumentów.

Najważniejszem źródłem, którem się autor posługiwał, jest Kronika Ołycka, nieznanego autora, który rozpoczął swe roczniki r. 1648 po łacinie i kontynuował przez lat 30. A ponieważ to były czasy, które słusznie „potopem“ nazwano, przeto i kronikarz nadał swym rocznikom znaczący tytuł: *Dies humiliationis Poloniae et anni, quibus insolita vidimus mala ab a. D. 1648 ad a. D. 1678, per annos 30 simplici stulo (sic) expressi.* Kronikę tę odnalazł ks. biskup Symon wśród innych papierów, wszytą pomiędzy fol. 82—164. — Kronikarz opowiada zdarzenia rok za rokiem, ale wplata też opowiadania, tworzące pewną całość, mianowicie bunty kozackie. Nadał też takim ustępom osobny tytuł: *Rebelliones et seditiones Kozakorum, qui vulgo nominantur militia Zaporoviensis, sub quatuor regibus Polonorum, id est Stephano, Sigismundo III., Vladislao IV. et Joanne Casimiro.* — Opisuje więc bunt Jana Podkowy r. 1586 za króla Stefana, bunt Kosińskiego r. 1593,

bunt Nelawajki 1596 za Zygmunta III. i drugi za tegoż króla bunt Doroszeńki 1625, oraz trzeci za tegoż króla, Tarasa r. 1630. Następuje bunt Kozaków w czasie elekcyi Władysława IV. r. 1633, przy której domagali się prawa elekcyi, a wreszcie wywołany przez Pawluka bunt r. 1637.

Dostojny autor nie ogranicza się jednak na samej tylko tej jednej kronice. Drugi bowiem znalazł jeszcze rękopis, jak się zdaje ks. Mokrzeckiego, najpierw wikaryusza a następnie kanonika w Ołyce, który zapisywał skrzętnie dokumenta, odnoszące się do fundacyi kościoła i kolegiaty, i czynił rozmaite zapiski historyczne. Posługiwał się nadto nasz autor wizytami kanonicznemi, które, począwszy od biskupa Gembickiego (1641), odbywali tu proboszczowie kapituły z urzędu swego i biskupi łuccy, jak Lezeński i Witwicki. Zresztą narzeka autor na nieład, panujący w archiwum, wpośród którego pojedyńcze porozrzucane papiery musiał z pod pyłu wygrzebywać.

Z tego szczupłego materyału odtworzył autor dzieje kolegiaty i szkół akademickich w Ołyce, aż do jej zupełnego upadku r. 1842. W opowiadanie swoje wplata mnóstwo szczegółów, odnoszących się do dziejów dyecezyi łuckiej i kijowskiej, które świadczą o wielkiem obczytaniu w odnośnej literaturze. Najlepszym tego dowodem są częste przypiski, w których powołuje się na katalogi biskupów i prostuje daty i szczegóły mylnie podane przez odnośnych autorów. To też rezultatem niniejszej pracy nazwać można poprawny katalog biskupów łuckich, który autor podaje w programie na rok szkolny 1892/3.

Miasto Ołyka wzięło nazwę od rzeczki tegoż imienia, nad którą zostało założone, ale dzieje jego rozpoczynają się dopiero głośnym w XV. wieku właścicielem jego, Janem Gasztoldem „Białym“, który tutaj r. 1460 pierwszy kościół z drzewa zbudował. Właściwym wszelako założycielem Ołyki jest głośny z dziejów rewolucyi kościelnej w Polsce, Mikołaj „Czarny“ Radziwiłł. Przejąwszy się za granicą herezyą luterską, szerzył ją też w dobrach swoich, które po kądzieli przeszły na Radziwiłłów. Wiadomo, że założył na przedmieściu Wilna, Łukiszkach, pierwszy zbór luterski w swoim pałacu, a ludność Wilna starał się wabić „czapką i papką“, bo wyprawiał wspaniałe uczty dla tych, którzy z miasta na luterskie nabożeństwo do pałacu przybywali. A chcąc im fawor pański jeszcze bardziej okazać, zaprowadził osobny obrządek w przyjmowaniu komunii, i to siedząco. Ta nowość jednak była nawet luterskim ministrom niemiła, tak że jeden z nich wyniósł

się od dumnego księcia, który wedle zasad luterskiej wiary, panem się być mienił niezależnym w swoim kościele.

Niebawem jednak poczęła ludność katolicka przychodzić do zastanowienia i jaki-taki pomiarkował się przecież, że za garnki egipskie wiary sprzedawać się nie godzi. Nie dziw, że kaplica zamkowa poczęła coraz bardziej świecić pustkami. Wtedy szwagier królewski (przez Barbarę Gasztoldową), „Czarny“ Radziwiłł, potrafił wymódz na Zygmuncie Auguście, że mu wyjątkowo pozwolił urządzić nabożeństwo w pośrodku Wilna i to w namiocie. Ale z namiotu tego powstał następnie murowany kościół, w którym nabożeństwo heretyckie odbywało się aż do czasów Władysława IV.

Każdy zrozumie, że i w dobrach swoich starał się „Czarny“ Radziwiłł szerzyć luteranizm. To też pobudowawszy z nowa całą Ołykę, która została właśnie pod ten czas zniszczona pożarem, i wystawiwszy murowany zamek, nie dziw, że i luterską kaplicę zbudował na przedmieściu Zaliszcze, które następnie od tejże kaplicy Luterowszczyzną przezwano. Wnet też dla łaski pańskiej poczęli mieszkańcy Ołyki przyjmować luterskie wyznanie, a liczba ich tak się szybko wzmogła, że r. 1550 zburzyli katolicki kościół, przez Gasztolda zbudowany.

Ale zmienny humor pański nigdzie może jaskrawiej się nie pokazał, jak właśnie w Ołyce, bo już po trzech latach sprzykrzył sobie „Czarny“ Radziwiłł naukę Lutra i do Kalwina zwrócił swe serce (1553). Wtedy też i Ołyczanie musieli zmienić swe gusta i niebawem kalwinizm wziął w Ołyce górę nad luteranizmem. Panował też odtąd zwycięsko przez lat przeszło 30 (1588). Jednakże śmierć księcia, którego innowiercy „apostołem Litwy“ zwali († 1565), była śmiertelnym ciosem dla herezyi, tem bardziej, że wszyscy jego synowie powrócili na łono Kościoła. Jest to tem dziwniejsza, że stryjeczny brat „Czarnego“, zwany „Rudym“, będąc opiekunem wojewodziców, pilnował ściśle tego, żeby w wyznaniu kalwińskiem byli wychowani. Ma w tem nieocenioną zasługę nasz Piotr Skarga T. J., który najstarszego wojewodzica (1570) nawrócił. Drudzy poszli jego śladem.

Najmłodszy z braci, Stanisław, „Pobożnym“ zwany, został dziedzicem Ołyki, a usposobienie jego tak było powszechnie znane, że ministry kalwińskie nie czekali aż wróci z pobożnej pielgrzymki do Rzymu i Kompostelli, lecz zawczasu z Ołyki się wynieśli. Nie inaczej też postąpili sobie mieszkańcy, których „Czarny“ Radziwiłł zniewolił do dwukrotnego zmieniania wiary. Kalwinizm stracił szybko wyznawców

swoich w Ołyce, a kościół na nowo wyrestaurowany i rekoncyliowany oddany został katolikom (1588).

Od dziejów skromnego miasteczka robimy teraz dygresyę do historyi dyecezyi łuckiej, do której Ołyka należała. Opłakany stan tej dyecezyi opisuje dostojny autor żywemi barwami, właśnie w chwili, gdy jej rządy obejmował (1588) jeden z najznakomitszych biskupów polskich, Bernard Maciejowski. Katedra w Łucku była opuszczona, tem bardziej, że biskupi przy niej wcale nie rezydowali, tylko w Janowie na Podlasiu. Ani seminaryum duchownego nie miała, ani nic z tego co życie duchowne i ład podtrzymuje, tj. dziekanów, wizyt pasterskich i t. d. Nic dziwnego przeto, że była zupełnie bezbronna wobec napaści heretyków, którzy mieli na usługi szkoły, drukarnie i t. d., a kościoły katolikom jedne po drugich wydzierali.

Maciejowski wziął się od razu do pracy, przybrawszy sobie do pomocy dawnego swego nauczyciela O. Herbesta, Jezuitę, a dyecezyę wizytował tak gorliwie, że nie dał sobie nawet przerwać podróży pasterskiej wezwaniem nuncyusza Hannibala z Kapuy, który go naglił, aby wracał niezwłocznie do Krakowa. Pod koniec r. 1589 odbył synod dyecezyalny w Brześciu, którego akta wydane zostały przez ks. Leona Chodyńskiego. Dopiero rozkaz królewski odwołał pasterza od dyecezyi, wypadło mu bowiem jechać do Rzymu z obedyencyą do papieża Sykstusa V. od nowoobranego króla Zygmunta III. Wiadomo, że papież Sykstus V. umarł w czasie pobytu Maciejowskiego, a obrany po nim Urban VII. żył bardzo krótko. Maciejowski więc złożył jeszcze obedyencyę Grzegorzowi XIV. i dopiero w r. 1591 mógł wrócić do Polski.

W następnym roku widzimy go w Ołyce; tutaj bowiem poświęcił, odnowiony przez księcia Stanisława „Pobożnego“, kościół katolicki, ale akt fundacyjny, wystawiony przez księcia, uznał za niedostateczny i dopiero po 5-ciu latach nowy dokument zatwierdził. Z ciekawych dat tego aktu fundacyjnego, który autor przytacza w całej rozciągłości, przytoczymy tylko niektóre.

Dochody proboszcza opierały się na gruntach i na dziesiątej kopie ze wsi Turczyn, oraz na czynszu, który płacili mieszczanie, zaścianki i „dworzyszcze“, po jednym i po dwa grosze z łanu. Nadto miał meszne, drzewo opałowe i t. d. Z tych jednakże dochodów zobowiązany był proboszcz utrzymywać 4 mansyonarzy i kościelnego. Pierwsi brali 50 złp., a drugi 17 złp. rocznie. Oprócz tego mieli mansyonarze wspólny stół u proboszcza i mieszkanie. Za to przepisywał też dokładnie akt fundacyjny obowiązki proboszcza i mansyonarzy oraz kościel-

nego. Mianowicie zobowiązani zostali duchowni do odprawiania nabożeństwa w chórze. Tak samo opisano dokładnie obowiązki i dochody bakałarza i organisty, który miał prawo propinacyi z uwolnieniem od podatku t. zw. „kapczyny"; nadto kalkanisty, którego sam organista musiał żywić, wreszcie grabarza i t. d. Niebawem też stanął w Ołyce szpital Św. Ducha (1593), hojnie udotowany przez „Pobożnego" księcia. Do jego przywilejów należało łowienie ryb „watą", w środy, piątki i soboty, w wigilie, oraz przez cały Wielki Post, na stół ubogich, w wielkim stawie. Drugi przywilej nadawał szpitalowi prawo pobierania od „zwaryczów", tj. wożących sól, po 5 topek soli (5 tolpas). Chirurg, ustanowiony przy tymże szpitalu, miał łan gruntu wolny od podatków i pobierał 30 złp. rocznie.

Troskliwość „Pobożnego" księcia nie ograniczała się jednakże na samej służbie bożej i dźwiganiu dobrych obyczajów, lecz pomyślał także o podniesieniu dobrobytu i przemysłu swoich poddanych. Wydał więc osobny „wilkierz", który autor w całości przytacza. Są tu niezmiernie mądre i praktyczne przepisy, odnoszące się do bezpieczeństwa publicznego, święcenia niedzieli i świąt, nawet lichwy żydowskiej, któreby dzisiejszym ustawodawcom za wzór służyć mogły. Niedarmo więc dobrego księcia „Pobożnym" zwano, a kiedy umarł w drodze do Rzymu na wielki jubileusz r. 1599, zostawił powszechny żal po sobie.

W ślady ojca poszedł młodszy syn, który przeżył starszego brata, Albert Stanisław, a tak był pobożny, że nawet w literaturze ascetycznej zyskał sobie imię. „Wilkierz", wydany przez tegoż księcia dla Ołyki, ściągnąłby nań dzisiaj nazwę nieubłaganego antysemity, nietylko bowiem ograniczał liczbę domów, które wolno było Żydom w mieście stawiać, a zbyt wyniosłą bóżnicę kazał zniżyć, ale wydał nadto różne przepisy, ograniczające ich handel, przekupstwo i lichwę. Między innemi przepisano, że każdy Żyd, spotkawszy księdza idącego do chorego, winien na znak dzwonka zdjąć czapkę i usunąć się z drogi.

Proboszczowie ołyccy, których autor kolejno wymienia, piastowali równocześnie inne godności kościelne przy katedrze łuckiej. — Jeden z nich, ks. Stanisław Udrycki, był nawet sufraganem łuckim, którą to godność właśnie wtedy biskup Andrzej Lipski fundował. Tak samo następca jego, ks. Franciszek Zajerski, był sufraganem łuckim (1622). Znaczy to prawdopodobnie, że w Ołyce nie rezydowali, a przez to samo omijano główny cel fundacyi, w której książę „Pobożny" wyraźnie zastrzegł, żeby proboszcz koniecznie przy kościele rezydował i zrzekł się wszelkich innych beneficyów. Mianowicie ostatni

ze wzmiankowanych proboszczów, ks. Zajerski, którego fundacya wielkiej doniosłości będzie nas jeszcze więcej zajmowała, służył trzem biskupom za wikaryusza jeneralnego (Maciejowskiemu, Gomolińskiemu i Szyszkowskiemu), a za liczne usługi miał też liczne od nich beneficya, aż wreszcie i probostwo ołyckie do innych mu przydano. Autor twierdzi wprawdzie (I, 47), że mimo rozlicznych swoich zajęć nie zaniedbywał ks. Zajerski kościoła w Ołyce, czego dowodem ma być wizyta tegoż kościoła, zaraz po objęciu probostwa — prawdopodobnie przez tegoż proboszcza — podjęta, ale ta wizyta służy właśnie za dowód, że pod nieobecność proboszcza rozdrapane zostały dochody szpitala i że w parafii panował „głód słowa bożego". Dlatego też spotykamy się z nowym urzędem w Ołyce — wice-proboszcza, który ma obowiązek kazania i katechizacye odbywać.

Ten niedostatek służby bożej był też powodem, że książę Albert Stanisław nosił się zrazu z myślą założenia w Ołyce klasztoru OO. Dominikanów, i rzeczywiście na początek dwóch zakonników tamże osadził: ale ani zapis ten nie doszedł do skutku, ani postanowienia wykonać się całkowicie nie dały, zwłaszcza, że sam ks. Zajerski, jak się zdaje, był przeciwnym osadzeniu Dominikanów w Ołyce. Skończyła się więc sprawa na tem, że książę wypłacił Dominikanom odczepnego 12.000 złp., z których Dominikanie krakowscy wzięli 11.000 pod warunkiem, że będą utrzymywać czterech młodzieńców w swoim klasztorze i zwać ich osobno „alumnami Radziwiłłowskimi". O wypełnieniu tej fundacyi nic jednak nie wiemy.

Skoro ten plan się nie udał, począł książę nosić się z myślą utworzenia kolegiaty w Ołyce, wyjednawszy już poprzednio dla proboszcza *usum pontificalium*. Kolegiata miała się składać z proboszcza, 4 kanoników, 8 wikaryuszów, kleryka dla posług w zakrystyi, oraz kapelana, któryby proboszczowi asystował do Mszy św. pontyfikalnej. Dochody proboszcza miały pozostać w niczem nie uszczuplone, a dla kanoników i wikaryuszów wyznaczona została osobna dotacya. Również obowiązki członków kolegiaty zostały dokładnie opisane, mianowicie obowiązek duszpasterstwa przekazany został zastępcy proboszcza i 8 wikaryuszom, kanonicy mieli przytem obowiązek słuchania spowiedzi.

Akt fundacyi zatwierdzony został r. 1631 przez biskupa łuckiego Achacego Grochowskiego, i w ten sposób kościół w Ołyce wyniesiony został do godności pierwszorzędnej kolegiaty *(collegiata insignis)*. Proboszcz uwolniony został i nadal od obowiązków parafialnych, a oprócz prawa używania insygniów biskupich i pontyfikalnej celebry, miał wła-

dzę wizytowania własnego kościoła, korrekcyi kleru, oraz dawania aprobaty do słuchania spowiedzi. Pierwszy przywilej był wielce dla kolegiaty zgubny, bo godność proboszcza piastowali odtąd prawie zawsze duchowni, którzy w Ołyce nie rezydowali, a nawet biskupi łuckiej dyecezyi nie wahali się z czasem dochodami z tejże prepozytury zasilać swoich dochodów, przyczem o rezydowaniu w Ołyce nie mogło być oczywiście mowy. Sprawiedliwość jednak wyznać każe, że ks. Zajerski, pierwszy proboszcz ołyckiej kolegiaty, stał się prawdziwym jej dobrodziejem.

Książę Albert Stanisław powziął bowiem myśl wybudowania murowanego kościoła, obok dotychczasowego drewnianego, ale — chociaż pan możny — nie zawsze miał potrzebną gotówkę w kasie, i kto wie, jakby się była budowa długo wlokła, gdyby nie to, że ks. Zajerski, który właśnie w tym roku umierał, mając już 80 lat wieku, zapisał na koszta budowy 70.000 złp. Jemu też zawdzięcza kolegiata ufundowanie osobnej kanonii zwanej „Zajerską“, o której później obszerniej powiemy. W ten sposób budowę nowej kolegiaty można było rozpocząć. Teraz też otrzymał stary, drewniany kościół osobnego duchownego, a w nowej kolegiacie urosła ich liczba do dwudziestu. Było bowiem 4 prałatów, 4 kanoników, 8 wikarych i 4 psałterzystów. Przeczuwał jednak książę Albert, że liczba ta może się stać illuzoryczną przez kumulacyę beneficyów, która w Polsce, nawet po soborze Trydenckim, nie ustała, i dlatego w nowej ordynacyi z r. 1637 wyraźnie przepisano prałatom i kanonikom przysięgę, że żadnego innego beneficyum, któreby im przeszkadzało w rezydowaniu przy kolegiacie ołyckiej, nie przyjmą. Zobaczymy, że i ta ostrożność na nic się nie przydała, chociaż ordynacya zatwierdzoną została przez króla Władysława IV., prymasa i biskupa dyecezyalnego.

Kolegiata ołycka nabrała jednak jeszcze większego znaczenia przez to, że przy niej zostało teraz założone seminaryum duchowne i szkoły akademickie. Wspomniany już kilkakrotnie pierwszy tejże kolegiaty proboszcz, ks. Zajerski, zapisał cały swój majątek na tę fundacyę. Kierowało nim szlachetne pragnienie przysporzenia sług winnicy Pańskiej, zwłaszcza, że w dyecezyi łuckiej, jakeśmy widzieli, wcale nie było seminaryum duchownego. Organizacya tego zakładu naukowego miała być wzięta ze seminaryum sandomierskiego, dla którego statuta były ułożone przez ks. Leopoldowicza. Ten piękny czyn ks. Zajerskiego wykonał szczerze książę Albert Radziwiłł, i wybudowawszy dom dla kolegium i seminaryum, wszedł w porozumienie z rektorem Akademii zamojskiej,

Hieronimem Kołakowskim. Kolegium ołyckie miało bowiem być kolonią tejże akademii. Jej przysługiwało prawo odtąd przysyłania profesorów i prezentowania dwóch kandydatów na kanonie profesorskie, ilekroć wakowały. Akt fundacyi zatwierdzony został w Warszawie r. 1638.

Tak więc zyskał kraj nową szkołę, która mogła była przynieść wielkie korzyści, gdyby była zawsze należycie prowadzona. Niestety, z pracy dostojnego autora dowiadujemy się szczupłych o niej szczegółów, mianowicie nie wiemy, ilu te szkoły liczyły uczniów, natomiast tyle jest widoczna, że bywały tu chwile wielkiego zaniedbania. Tak samo połączone z temi szkołami seminaryum duchowne nigdy nie było kwitnące, a liczba alumnów dochodziła tylko do ośmiu — i to w najlepszych czasach.

Ponieważ majątek, zapisany przez ks. Zajerskiego, nie starczył na więcej, przeto liczbę profesorów w Ołyce oznaczono na pięciu. Pierwszy z nich miał wykładać Pismo św., drugi logikę lub retorykę, trzeci poetykę, czwarty analogię, piątym zaś miał być dotychczasowy bakałarz szkółki parafialnej. Sam ten rozkład nauk wskazuje, że w szkole tej wykładano przedmioty akademickie, ale nie pomyślano o należytem do nich przygotowaniu uczniów, czyli że przychodzili ze szkółki parafialnej wprost do wyższych wykładów. Zobaczymy też następnie, że młodzież nie była do nich dostatecznie przygotowaną, co wywoływało zmiany w urządzeniu i narzekania na kierownictwo zakładu. — Kanonie kolegiaty miały też służyć za utrzymanie profesorów i dlatego zastrzeżono, że jeden z profesorów musiał być koniecznie kapłanem, aby mógł zajmować miejsce w kapitule jako prałat-scholastyk, drugie po kustoszu. Drugi zaś z profesorów musiał mieć przynajmniej niższe święcenia, aby jako kanonik profesor zajmować miejsce w kapitule, czwarte po kanoniku penitencyarzu, który miał sobie powierzoną pieczę nad starym drewnianym kościołem, obok kolegiaty.

Ze szkołą, którą dlatego zwano akademicką, że była w łączności z Akademią zamojską, bo takiego tytułu używały wszystkie szkoły, zakładane przez Akademię krakowską, połączony został alumnat, czyli konwikt, dla młodzieńców, pragnących się poświęcić stanowi duchownemu, których liczbę oznaczono na ośmiu. Wiek potrzebny do przyjęcia przepisano 20 rok życia, a wiadomości szkolnych wyznaczono tyle, żeby kandydat był zdolny słuchać retoryki i teologii moralnej, czyli czyli t. zw. *casus conscientiae*. Klerycy zobowiązani też byli do uczestniczenia w chórze, mianowicie w dni świąteczne, i do odprawiania *officium de Beata*. Stół wspólny mieli razem z profesorami. Do rzędu

tych ostatnich przybył jeszcze następnie kapelan, czyli ekonom zakładu, który zaliczał się także do gremium kanoników. Jako taki, był przełożonym wspólnego stołu i zobowiązany był składać co sobotę rachunki prałatowi scholastykowi i kanonikowi profesorowi, a corocznie przedkładać rachunki całej kapitule kolegiaty ołyckiej. Kanonię tę zwano od fundatora „Zajerską".

Organizacya tego zakładu doznała pewnej zmiany już po roku (1639) przez biskupa łuckiego, Andrzeja Gembickiego, który zmienił następstwo kanoników w kapitule o tyle, że prałata scholastyka zwolnił od obowiązku nauczania, ale w to miejsce zamianowany został osobny kanonik teolog, jako czwarty z rzędu, podczas gdy kanonik profesor, albo filozof, dzierżył miejsce siódme, a kanonik ekonom „Zajerski", czyli prowizor kolegium akademickiego, otrzymał miejsce ósme, to jest ostatnie. Po czterech jednakże latach przybyła jeszcze kanonia t. zw. misyonarska, i ta była ostatnią.

Pierwszym z profesorów, który zakład nowy urządził i zorganizował, a zarazem piastował urząd kanonika kaznodziei, był ks. Jan Łaski, ale ten już w pierwszym roku istnienia szkół rozstał się z tym światem. Pierwsi zaś, którzy nauczycielskie prace sprawiali, a których nazwiska autor w aktach i dokumentach, rozrzuconych w bezładzie, potrafił odszukać, byli: Łukasz Bolamowski, którego pamięć uczcił książę Albert marmurową tablicą w kolegiacie; Jan Bytomski, nauk wyzwolonych i filozofii doktor; Jakub Ozimkiewicz i Jakub Ignacy Karwocki.

Dzięki hojnemu zapisowi proboszcza kolegiaty, ks. Stanisława Łozy, dokończono wreszcie budowy wspaniałej kolegiaty murowanej, w renesansowym stylu, która przetrwała wiekowe burze i do dziś imponuje swoim ogromem. Dwie potężne wieże o latarniach otwartych, zdobią ten kościół, a na jednej z nich umieszczone dzwony zwołują wiernych na nabożeństwo. Zegar, umieszczony na wieży, przestał już od dawna wybijać — smutne dzisiaj — godziny. Front główny zdobią różne posągi z ciosowego kamienia. Dwie kaplice o sześciu oknach kończą chór, umieszczony w głównej nawie. Do prezbiteryum dobudowane są dwie zakrystye. Posadzka jest marmurowa i kamienna. Pod nią znajdują się groby książąt Radziwiłłów.

Książę Albert kochał całem sercem kolegiatę ołycką i dlatego uroczyste poświęcenie kościoła (r. 1640) połączył ze swojemi zaślubinami z drugą żoną, Krystyną Lubomirską. Mnóstwo też panów duchownych i świeckich zjechało na tę uroczystość, a jako piękna i trwała tego dnia pamiątka została fundacya, którą książęca para uczyniła na

posag dla 12 panien. Corocznie odtąd kolegiata ołycka miała z tejże fundacyi wypłacić sześciu szlachciankom, idącym zamąż, po 500 złp., a sześciu mieszczankom po 100 złp. Jak zaś dalece rozmiłowany był książę Albert w ozdobności służby bożej, świadczy to, że nakupował do kościoła ogromne mnóstwo drogocennych naczyń. Urósł też skarbiec kościelny do tego stopnia, że kiedy z powodu zaburzeń wojennych (1667) trzeba go było wywieźć do Gdańska, dziesięć skrzyń kutych zaledwie go objąć zdołało. Osobny dekret papieża Innocentego X., który wyjednał książę, groził ekskomuniką za samo wypożyczenie naczyń kościelnych ze skarbca, dla którego warowny sklep wymurowano. Ale bezbożni klątwy kościelnej się nie boją — i czego nie uroniono przez długie lata, to rozkradli złodzieje, których dostojny autor, chociaż piszący w Petersburgu — po nazwisku wymienia.

Jedna tylko myśl zdawała się niepokoić księcia, tj. że jego kolegiata podupadnie, jeśli proboszcza nigdy nie będzie miała. Widział bowiem na własne oczy, że nowy proboszcz, sławny na całą Polskę lingwista, Marcin Tryzna, który tak doskonale językiem greckim władał, że posłom greckim w imieniu króla Zygmunta III. w ich własnym języku odpowiadał, miał, oprócz opactwa wąchockiego, kanonię i dwa probostwa w dyecezyi wileńskiej, a w dodatku jeszcze teraz probostwo w Ołyce otrzymał (1640). Że taki proboszcz nie mógł dbać o kolegiatę i nie mógł mieć starannej pieczy o służbę bożą, było aż nadto jasne. Pragnął przeto książę uczynić probostwo w Ołyce jak najdonośniejszem, aby samo przez się starczyć mogło. Zapisał więc testamentem 80.000 złp. na powiększenie dochodów proboszcza, byle innego beneficyum poza Ołyką nie miał. Daremne pragnienie! Nieszczęsny przywilej kumulacyi, za którego potrzebą dla Polski sam nawet Hozyusz w Rzymie przemawiał, udaremnił pobożne chęci księcia Alberta, a właśnie to, że probostwo w Ołyce było hojnie wyposażone, czyniło je tem bardziej pożądanem, tak że odtąd nawet biskupi po nie sięgali.

Zaraz po Tryznie (1643) otrzymał je biskup Jan Zamoyski, który miał bakowską dyecezyę na Multanach. Po jego rezygnacyi dostał probostwo w Ołyce sufragan łucki, Mikołaj ze Secina Krasicki. Musiało to gniewać księcia, że Ołyka nigdy nie widziała proboszcza, tem więcej, że pod nieobecność tego, który miał z urzędu władzę nad duchowieństwem, zakradały się nieporządki. Wyliczył też książę w memoryale, przesłanym kapitule, 26 nadużyć, których pragnął naprawy. Pomiędzy innemi czytamy, że studenci akademii nie śpiewają w kościele, chociaż biskup przepisał w wizycie ustanowienie osobnego kantora, któryby

kleryków uczył śpiewu. Podczas gdy dawniej brzmiał kościół od śpiewu, teraz zaległa głucha cisza. Widocznie też i profesorów brakowało, bo książę poleca upomnieć Akademię zamojską, żeby corychlej przedstawiła kandydatów, w przeciwnym zaś razie należałoby ich z Krakowa sobie uprosić.

Poruszony tem energicznem wystąpieniem księcia, zabierał się sufragan Krasicki do naprawy złego, gdy wtem burza kozackich wojen wstrząsnęła krajem i nie oszczędziła także Ołyki. Dwa razy nawiedzone zostało miasto czernią kozacką. Między wielu innymi zamordowali Kozacy pięciu księży i organistę; zburzyli ołtarze, znieważyli obrazy i święte relikwie, a cerkiew ruską na Zawrociu spalili. Ludność tułała się po lasach, a kościół stał opustoszony, bo kanonicy i reszta księży, którzy uciec zdołali, wrócili dopiero po dwóch latach tułaczki. Ale też teraz, jakby burzą odświeżone zostało powietrze, zapanowało nowe życie w kolegiacie ołyckiej, a sufragan Krasicki dokładał wszelkich starań, żeby naprawić dawne niedostatki i świeże klęski. To też czytamy, że ustanowiony został nowy kanonik prokurator szkół akademickich, i kościół począł znowu odbrzmiewać pobożnemi śpiewami, w czem klerycy gorliwie dopomagali.

Odtąd też ustanowiony został notaryusz kapituły, Stanisław Mokrzecki, który prowadzi porządnie księgi kościelne i zapisuje zdarzenia, a chociaż nieraz małoznaczne miesza z ważniejszemi, to przecież nasz autor korzysta z nich skrzętnie do uzupełnienia następnych dziejów kolegiaty.

Niestety, już następnego roku (1651) napadli ponownie Kozacy pod wodzą Pyłypki z kilkuset Tatarami Ołykę. Załoga zamkowa, złożona zaledwie z 200 ludzi, wytrzymała wprawdzie czterodniowe oblężenie zamku, ale dowódca zamkowy, Lasocki, sam spalił oba przedmieścia, Zawrocie i Zaliszcze, dlatego, że domy służyły napastnikom za osłonę. Wreszcie odparci ze stratą, wynieśli się Kozacy z okolic Ołyki na wieść o zbliżaniu się chorążego koronnego, Aleksandra Koniecpolskiego. Zdaje się przeto, że ten napad krótki, na krótko tylko przerwał służbę bożą w kolegiacie, a sesye kapitulne, regularnie odbywane, dowodzą, że oprócz proboszcza, inni prałaci i kanonicy stale w Ołyce przebywali.

W następnym też roku (1652) objął miejsce dotychczasowego proboszcza, Krasickiego, nowy sufragan łucki, ks. Mikołaj Aleksander Ramułt, wikaryusz jeneralny tejże dyecezyi, a przytem jeszcze prałat kolegiaty jarosławskiej i proboszcz ostrogski. Przy tylu urzędach i go-

dnościach, nie mógł oczywiście myśleć o rezydowaniu w Ołyce. To też, składając przepisaną przysięgę, opuścił w niej niewygodną klauzulę, obowiązującą do rezydowania lub rezygnowania z innych godności i beneficyów. Wszelako około kolegiaty zasłużył się ks. Ramułt dobrze, a przedewszystkiem zajął się gorliwie sprawą szkół akademickich. Prałatem scholastykiem instytuował Jana Czechowicza, magistra nauk wyzwolonych, doktora filozofii i obojga praw, który nauki odbywał w Krakowie, a w Zamościu wykładał poezyę i historyę. Temu więc powierzył ks. sufragan Ramułt zarząd szkół akademickich i seminaryum w Ołyce. Tak samo kanonię profesorską obsadził klerykiem, Stanisławem Lewnickim. Przedewszystkiem jednak użalano się wówczas na zaniedbanie śpiewu kościelnego, i autor przytacza list biskupa Gembickiego do rektora Akademii zamojskiej, w którym żąda koniecznie, żeby rektor ustanowił w Ołyce nauczyciela śpiewu, choćby tenże był bez akademickiego stopnia, dlatego, że nauka śpiewu całkiem podupadła.

Ale niedługo miał trwać nowy rozkwit służby bożej w Ołyce, bo tegoż jeszcze roku (1652) rozproszył duchownych i całą ludność Ołyki strach przed Chmielnickim, który nowy bunt podniósł. Znowu więc na całe trzy lata ustała służba boża, a nieszczęśliwa ludność, kryjąc się po lasach, zwracała oczy na Lachowice, dokąd zwieziono wszelkie kosztowności z całej Litwy. To też opiece Matki Boskiej Lachowickiej zawdzięczano waleczny opór oblężonej przez Chmielnickiego twierdzy. Na domiar złego zapanowała w kraju zaraza (1652), która w Ołyce zabrała jednego z profesorów szkół akademickich, Grzegorza Skrzyńskiego. O drugim profesorze, Marcinie Ziętochowskim, czytamy w tym czasie, że się rozmaitych dopuszczał wykroczeń, tak, że scholastyk Czechowicz domagał się nań kary z całą surowością prawną. Przyczyniło się do zwolnienia dyscypliny w szkołach i to niezawodnie, że proboszcz kolegiaty, sufragan Ramułt, zmarł w tym czasie (1654), i że prepozytura w Ołyce przez kilka lat wakowała. Dopiero nowy proboszcz, ks. Suchyński (1656), usiłował zaprowadzić jaki-taki porządek i profesora Ziętochowskiego, chociaż zrazu upomnienia jego lekceważył, ojcowskiem sercem do upamiętania doprowadził.

Temu to proboszczowi zawdzięcza też Ołyka nową kaplicę, wystawioną przezeń „w mur pruski“ na cześć Matki Boskiej Loretańskiej. Przy kaplicy zbudował zakrystyę i mieszkania dla dwóch księży, którzy tu codziennie roraty mieli odprawiać. Hojny zapis pobożnego prałata przeznaczał proboszczowi tejże kaplicy 300 złp., a wikaremu

150 rocznej pensyi. Przytem wyznaczył testator 80 złp. dla trzeciego księdza, jakiego deficyenta, któryby siedmiu chłopców uczył śpiewu i elementarnych nauk. W razie, gdyby takiego starego księdza nie było, miał być nauczycielem jaki świecki człowiek. Wreszcie dla zakrystyana swojej kaplicy, która też od niego nazwę „Suchyńskiej“ otrzymała, przeznaczył 30 złp.; dla kucharki, która dla wspólnego stołu miała gotować, 40 złp.; na kuchenne i domowe sprzęty 20 złp. Na wspólny stół przeznaczył 500 złp., oprócz warzyw, które ze wsi na stół iść miały.

Powstał więc nowy konwikt na mocy tego zapisu, a troskliwość pobożnego fundatora szła tak daleko, że osobny fundusz zapisał nawet na to, aby chłopcy mieli ubranie. Każdy chłopiec dostawał dwie suknie wierzchnie, białego koloru. Jedna miała być robiona nakształt sutanny, druga miała być nakształt togi z długiemi rękawami. Nadto mieli na zimę dostawać kożuszki; pończochy, buty, cztery koszule, trzy pary spodni i kołdry na łóżka. Wreszcie pamiętał fundator o łaźni i chirurgu, na co przeznaczył 130 złp.

Ale i o studentach szkół akademickich nie przepomniał ks. Suchyński, bo i dla nich przeznaczył fundusz 300 złp. „na papier“, żeby za to śpiewali Litanię loretańską. Dla profesora zaś tychże szkół zapisał 6 złp. z warunkiem, żeby miał mowę w czasie dorocznego nabożeństwa za jego duszę.

Niestety, gorliwy ten proboszcz żył tylko rok jeden, ale przeżył pobożnego księcia Alberta Radziwiłła, który umarł w Gdańsku (1656). Pan ten przepisał sobie sam pogrzeb i kazał się ubrać do trumny w szkaplerz, a krzyż i różaniec dać do ręki. Przepisał, żeby go do grobu nie wiozły konie, tylko żeby go nieśli ubodzy, za co im stypę pogrzebową wyprawić kazał. Zabronił spraszać gości na pogrzeb, tylko zwołać jak najwięcej ubogich i księży. Testament tego księcia, który dostojny autor obszernie streszcza, jest pięknym pomnikiem jego prawdziwie chrześcijańskiej duszy. Prosił, aby w roku jego śmierci zwolniono poddanych przynajmniej od połowy czynszu, a duchowieństwo zaklinał, aby pamiętało o jego duszy. Mianowicie do Jezuitów w Pińsku, których „jako nową latorośl“, za pomocą bożą, tamże osadził, prosił *veluti secundogenitos filios in Christo*, aby mu odpłacili po śmierci równą miłością w modlitwach. — Wszelako z pogrzebem księcia czekać musiano dwa lata, bo ciała do Ołyki przewieźć nie było można.

Tymczasem też na dyecezyę łucką spadły smutne lata sieroctwa i opuszczenia. Po śmierci biskupa Andrzeja Gembickiego, który umarł

w Krakowie (1654), zgasł już po roku jego następca, Jan Zamoyski, a trzeci z kolei biskup, Jan Stefan Wydżga, chociaż po roku już mianowany (1655), dopiero po dwóch latach mógł objąć rządy dyecezyi. Wojna szwedzka trzymała go bowiem, jako sekretarza królowej, przy dworze królewskim. Zaledwie też pod koniec roku 1657 odbył uroczysty ingres i z Janowa dwa listy pasterskie wydał, a już niebawem na dwór królewski wracać musiał. Tem większa jego zasługa, że w tak krótkim czasie zaradził najgwałtowniejszej potrzebie szkół akademickich w Ołyce. Mianował bowiem profesora świeckiego, Andrzeja Szulimierskiego, *alias* Kigler, a kanonię profesorską obsadził Krzysztofem Sideckim, doktorem filozofii i profesorem tegoż przedmiotu w Akademii krakowskiej.

Wszelako nominacya sama niewiele sprawiła wobec tego, że profesorowie nie mieli co jeść. Dobra kapitulne były bowiem przez Szwedów spustoszone, a czego nie zabrał wróg, to wzięło wojsko nasze. Nawet tacy dłużnicy kapituły ołyckiej, jak książę Czartoryski na Klewaniu, nie mogli się uiścić z zaciągniętych długów, a jedna z dłużniczek kapituły, Zofia Stanisławska w Hruszwicach, zarzekała się w liście do kapituły (1658), że dobra jej tak są zniszczone „przez nieprzyjaciół Krzyża, a bardziej jeszcze przez swoich panów wojaków“ — iż nawet nie ma porządnej sukni, aby się pokazać w kościele. — Nie dziw, że narzekali profesorowie i alumni seminaryum na niedostatek, aż doszło do tego, że czterej profesorowie: Andrzej Szulimierski, Grzegorz Brzozowski, Jan Gembicz i Łukasz Gąsiewski, chcieli naprawdę szkoły porzucić i z Ołyki się wynieść. Zatrzymywał ich jak mógł scholastyk Czechowicz i starał się wszelkiemi sposobami wydusić czynsz z dóbr szkolnych Ludzina i Ambukowa, ale arendarze sami nic nie mieli.

(Dok. nast.).

*Ks. Chotkowski.*

## Z piśmiennictwa zagranicznego.

**Katholische Dogmatik** in 6 Büchern (4 Bden). *Herman Schell*, Dr. der Theol. u. Phil., Prof. d. Apologie an d. Universität Würzburg. — Paderborn. F. Schoeningh. 1889—1893.

Na czele pierwszego tomu wypisane słowa: „Ja jestem A i Ω, początek i koniec, który jest, był i będzie, Wszechmocny“ (Apoc. 1, 8),

wskazują nam krótko a dobitnie cel i zadanie całego dzieła: przedstawienie całej nauki Kościoła w jasnem świetle wiary w jednego Boga. Prawda jest tylko jedna; a skutkiem tego pojęcia nasze — tak czysto rozumowe, jak i z Objawienia wzięte — tem więcej zyskają na prawdziwości i treści, im lepiej mnogość i rozmaitość jednostek łączą w jednolitą harmonijną całość, w jeden obraz. Dopóki obfitej rozmaitości — czy to w organach Objawienia, czy też w objawionych naukach samych — nie zdołamy w organiczną jedność połączyć, dopóty rozumienie nasze o Bogu podobne do znajomości pojedyńczych głosek alfabetu... bez treści, dopóty znajomość Pisma św. będzie zasłoną zakrywającą nam serce i oczy (II. Cor. 3). Im dokładniej zaś poznamy harmonijny związek wszystkich poszczególnych nauk pomiędzy sobą i z odwiecznem ich źródłem, Bogiem w Trójcy Św. jedynym, w tem jaśniejszem świetle stanie nam całe Objawienie. W każdym dogmacie objawia nam się Bóg: a jak z nieskończonej doskonałości boskiej rodzi się Słowo (Λόγος) i pochodzi Duch Św. (Πνεῦμα), tak samo więc w każdym dogmacie objawia się nieskończona prawda (λόγος), która... dla swej niezmienności jest dogmatyczno-konserwatywnym elementem,... a dla niezgłębionej swej treści zarazem źródłem nowego życia (πνεῦμα) i apologetyczno-postępową potęgą chrystyanizmu.

Już te trzy zasadnicze myśli, konsekwentnie przeprowadzone, wyróżniają Dogmatykę profesora Schella ponad inne nowsze opracowania tego samego przedmiotu, tem więcej, że jego głęboki samodzielny umysł umiał całemu dziełu nadać charakter oryginalny. Nawet ci recenzenci, którzy na niektóre zapatrywania i wywody prof. S. się nie zgadzają, chwalą jednogłośnie oryginalność, a często genialność jego szerokich poglądów, głębokość myśli wyrażonych w odpowiedniej przedmiotowi, wzniosłej i szlachetnej, a nieraz nawet poetyckiej formie.

Z wyżej podanych myśli wynika, jako pierwsze znamię charakterystyczne naszej dogmatyki, jej tendencya apologetyczna, dążąca do udowodnienia, że objawiona nauka jest rzeczywiście owem życiodajnem πνεῦμα, czyli że posiada wielką praktyczną doniosłość dla życia umysłowego i etycznego, socyalnego i religijnego. Autor walczy nie po don-kiszotowsku z fikcyami własnej swej wyobraźni, lecz z rzeczywiście podniesionemi zarzutami nowoczesnej filozofii, których wyczerpujące zestawienie i bystre rozwiązanie nam podaje. Uwydatnia się to głównie: w nauce o Bogu — przeciw zarażonej kancyanizmem krytycznej filozofii, pozytywizmowi i realizmowi; w nauce o źródłach Objawienia, o Odkupieniu, Łasce i środkach do niej — przeciw protestantyzmowi

i jego zarzutom; w nauce o Trójcy Św., o Eucharystyi i poszczególnych Sakramentach o Kościele i Czyścu — przeciw oryentalno-schyzmatyckiej ortodoksyi. — Ze stanowiska apologetycznego, które mimo ostrej polemiki, mianowicie przeciw fanatycznemu protestantyzmowi, nigdzie nie uniemożliwia tendencyj pojednawczych, koniecznie — chcąc być w sądzie sprawiedliwym — na całe dzieło trzeba się zapatrywać. Z powołania od wielu lat studyami apologetycznemi zajęty, poznał prof. S. smutną niedolę całej „wyemancypowanej", bądź wrogiej, bądź obojętnej względem chrystyanizmu, cywilizacyi, która blichtrem swych pozytywnych rezultatów, więcej zjednała sobie zwolenników, nawet w kołach katolickich, niż się domyślamy. Otóż aby i najwięcej oddalonych nie zrażać i nie utrudniać im pojednania z prawdą objawioną, zbliża się S. w swych zdaniach nieraz aż do ostatniej dozwolonej granicy. I cóż w tem w zasadzie zdrożnego? Wszakże na polu teologii moralnej, sformułowany w probabilizmie kierunek tej samej trzyma się maksymy. A jeżeli podobne zniżenie wymagań i uwzględnienie ludzkiej słabości uważa się za dozwolone tam, gdzie przychodzi się liczyć z nizkiemi uczuciami, z chęcią używania, chciwością i t. d., czemuż w takim razie tej samej miary nie mamy stosować do najszlachetniejszej dążności natury ludzkiej, do jej żądzy prawdy? Wzgląd ten może nam wytłumaczy zbyt ostre nieraz w treści i formie sądy S. o sentencyach teologicznych, utrudniających, jego zdaniem, pojednanie dzisiejszej wiedzy z dogmatem. Tak np. wytyka tym wszystkim, którzy wobec nowoczesnych zarzutów, z obawy przed trudem i niebezpieczeństwem samodzielnej umysłowej pracy, powołują się tylko na wszechmoc i wolę boską *(Deus ex machina)*, że tym sposobem nietylko zaczepionego dogmatu nie bronią, lecz przeciwnie całe Objawienie wystawiają na śmieszność i podkopują wiarę w Boga. Jak niegdyś O. Nobili w Indyach przybrał na się ubiór i przyswoił sobie sposób myślenia i mowę Braminów, aby właśnie miarodawcze i wpływowe warstwy narodu chrystyanizmowi pozyskać, tak samo zbliża się S. do nowoczesnego sposobu myślenia w pojęciach i wyrazach.

Orzeczeń Kościoła ściśle się trzymając, a resztę na podstawie nowoczesnej astronomii, fizyki, psychologii, częściowo nawet metafizyki poddając samodzielnej krytyce, dochodzi często autor do rezultatów, które zdziwiają niekiedy nowością, ale którym piętna bogatego a wszechstronnie wykształconego umysłu odmówić nie można. Nie uwzględnia wprawdzie ta apologetyczna dogmatyka wszystkich teologicznych kontrowersyj, za to jednak uwydatnia wzniosły charakter religijny i głę-

boką treść filozoficzną chrystyanizmu, za to oddaje się porównawczym badaniom chrystyanizmu i katolicyzmu z innemi religiami tak pod względem wymagań teoretyczno-naukowych, jak i potrzeb praktyczno-socyalnych i osobistych. Dumna z swego ogromnego postępu teraźniejszość zmusza do pokornego uznania, że już święte księgi zamierzchłej przeszłości zawierają wszystkie te głębokie myśli i wzniosłe ideały, któremi ona jako swojemi samodzielnemi zdobyczami się szczyci; przy wykładzie pojedyńczych tajemnic św. pokazuje, że objawiona nauka nie jest „skamieniałym bożkiem“ dawno minionych wieków, lecz przeciwnie: że już najstarsze świątynie niebiańskiego Słowa są zdolne nietylko objąć, ale także uświęcić najwznioślejsze myśli i dążności ducha ludzkiego! Już pierwsze słowa Jehowy o naszych prarodzicach wypowiedziane: „Uczyńmy człowieka na obraz i podobieństwo nasze: niechaj panuje... nad całą ziemią“, dowodzą dobitnie przeciw dzisiejszym zarzutom misyę postępu i cywilizacyi chrześcijaństwa. Coraz głębsze wnikanie w przyrodę, coraz rozumniejsze zużytkowanie wszystkich jej ukrytych skarbów i sił, coraz silniejsze i szersze zapanowanie człowieka nad wszechświatem, aby zeń tak jak i z siebie uczynić obraz i podobieństwo światowładnego Rozumu i Dobroci: oto cel i zadanie ludzkości wśród ziemskiej pielgrzymki — według słów Objawienia!

Może nie wszystkie zdania prof. S. przetrzymają surową krytykę, w każdym razie jednak już w tem samem, że jego Dogmatyka i w kołach profanów, a nawet akatolików wielkie budzi zainteresowanie, jest dowód, że metoda jego nie pozostaje bez pewnych owoców. W każdym razie tej, że tak powiem, umysłowo-homeopatycznej metody autora potępić nie można, chociaż allopatyczna, według znanych słów Grzegorza W.: *contraria contrariis, calida frigidis, frigida calidis sanantur*, byłaby może bezpieczniejszą. Można mu zarzucić, że w ważnych punktach od zdań przyjętych i nawet powagą św. Tomasza usankcyonowanych odstępuje; ale przyznać mu trzeba, że zamiast zręcznie Anioła szkoły wymijać, jak wielu czyni, postępuje z otwartością i wyraźnie wypowiada, że „niema przecież w Kościele katolickim ani nauczyciela, ani zakonu, ani szkoły teologicznej, których imię lub naukę możnaby z prawdą katolicką albo duchem kościelnym zidentyfikować“.

Przebijająca w całej dogmatyce wysoka spekulacya nie przeszkadza jednak, by i praktyczna teologia, a mianowicie homiletyka i katechetyka, mogła z niej korzystać. Autor bowiem nie zniżając albo pospolitując treści Objawienia, zręcznie wykazuje, jak każdy dogmat nietylko dla teoretycznej nauki, lecz także dla praktycznego religijnego życia i ascezy

jest źródłem zasilającem słabą naturę ludzką — a nie, jak nam zarzucają, probierzem tylko siły wiary. Mianowicie z nauki o Trójcy Św., Sakramentach i z Eschatologii, teologia praktyczna wiele może zużytkować, rozprowadzając rzucone tam myśli.

Chociaż na ostatniem miejscu, ale nie jako ostatnią zaletę tej dogmatyki wymienić nam należy znakomite zużytkowanie Pisma św. Znajdujemy tam nietylko kilka wyrwanych ze związku miejsc z mniej lub więcej dowolnemi objaśnieniami, lecz biblijne dowody dogmatów i ważnych zdań teologicznych przedstawiają nam w logicznym związku całą naukę Pisma św., stosującą się do owego zdania. Przez takie zestawienie miejsca klasyczne w prawdziwem dopiero ukazują się świetle i zyskują na sile argumentacyjnej. Starego Testamentu może nikt dotąd w takim stopniu w dogmatycznych dowodach nie uwzględnił, jak S.; żałować jednak należy, że autor opuścił często prawie zupełnie egzegezę.

Jeżeli apologetyczna strona dogmatyki Schella zasługuje na wszelkie uznanie, nie można tego samego o ściśle dogmatycznej powiedzieć. Starożytna teologia stawiała sobie za maksymę znane słowa: „wierzę, abym rozumiał"; maksyma zaś prof. S. wydaje się nieraz zupełnie przeciwną: „rozumiem, bym mógł wierzyć". Normą dla spekulacyi teologicznej są nietylko wyraźne orzeczenia Kościoła, lecz także ogólnie przez Ojców i teologów przyjęte zdania. I tendencya apologetyczna przeciwnej zasady nie może uniewinnić; kto chce utrzymać fortecę, musi także i mniejszych fortyfikacyj bronić. Niektóre zdania prof. S., uderzające oryginalnością pomysłu — chociaż może dla nauki Kościoła nie są niebezpieczne — pozostaną zapewne, właśnie dla braku łączności z przeszłością, pomysłami jednostki. Wytrawny teolog rozpozna wprawdzie prawdę od fałszu i najskrajniejsze nawet zdania prof. S. zgodnie z nauką Kościoła zdoła zrozumieć, początkujący jednak mógłby z tej dogmatyki nietylko o jednem lub drugiem zdaniu fałszywego nabrać pojęcia, lecz wogóle błędne otrzymać wyobrażenie o całej starożytnej teologii, której błędy autor w porównaniu z ogromnemi jej zasługami przesadnie wytyka.

Po tych ogólnych uwagach przechodząc teraz do specyalnych, z góry zastrzedz nam wypada, że ani miejsce, ani przedmiot nie pozwala na wyczerpujące zestawienie treści lub tylko oryginalnych prof. S. poglądów, gdyż treść dogmatyki każdemu znana, a oryginalnością odznaczają się nawet te traktaty, które najdokładniej już są unormowane i do spekulacyi najmniej się nadają, jak np. nauka o Sakramentach.

Trzeba nam się ograniczyć na podkreśleniu zasadniczych i wskazaniu najmniej pewnych zdań prof. Schella.

Pierwsza „książka“, podzielona na trzy „tematy“, poucza nas o źródłach Objawienia; całą tę część tak pod względem treści jak i formy można nazwać świetną i do najlepszych z całego dzieła zaliczyć; mianowicie sześć dowodów konieczności dwojakiego organu Objawienia (t. I., str. 24—93) i naukę o boskiej inspiracyi (I. 98 ss.). Druga książka zawiera traktat o istnieniu i przymiotach Boga; trzecia — naukę o Trójcy Św. Dla dokładnego poznania stanowiska prof. Schella obydwie te części trzeba razem objąć. Wyprzedza je jeszcze temat o możliwości i sposobach poznania Boga, potem dopiero następuje nauka o jego istnieniu i istocie. Prof. Schell nie trzyma się tutaj zwykłej metody, lecz na mocy właściwego sobie poglądu [1] o poznawaniu Boga, łączy naukę o istocie i przymiotach boskich z świetnemi i wszystkie zarzuty uwzględniającemi dowodami jego istnienia, wywodząc z każdego dowodu odpowiednie przymioty boskie. Prócz zwykłych i powszechnie znanych dowodów, znajdujemy tutaj gruntowne rozprowadzenie ideologicznego (I., 345), noetycznego (I., 348) i oryginalny religijno-mistyczny dowód z tkwiącego w duszy ludzkiej poczucia własnej słabości i potrzebnej nam „wyższej“ pomocy, z uczucia tęsknoty za zbawieniem i pojednaniem, oraz z nadziei ostatecznego zwycięstwa dobrego nad złem (I., 404—413). Po każdym dowodzie rozumowym, który przy odrobinie dobrej woli musi mocne przekonanie o istnieniu Boga wywołać, następuje jako potwierdzenie biblijny. Wzruszającemi słowy przedstawia nam S. skutki ateizmu (I., 412).

Już na wspomniane wywody prof. S. o przyrodzonem i nadprzyrodzonem poznawaniu Boga nie wszyscy się godzą; inni znowu ganią jego metodę wykładania przymiotów boskich w połączeniu z dowodami jego istnienia; najwięcej jednak i najostrzejszych przeciwników znalazła jego nauka, że Bóg istnieje z siebie *(a se)*, ponieważ sam jest swoją przyczyną *(Deus causa sui)*. . w ten jednak sposób, że wszelkie przejście z możliwości w rzeczywistość jest wykluczone *(omni transitu*

[1] Według prof. S. sposób poznania Boga z samej przyrody istnieje tylko w abstrakcyi, ponieważ nadprzyrodzone „światło oświeca każdego człowieka przychodzącego na świat“ (I., str. 194 s.); z drugiej jednak strony zwalcza on także zdanie, przypisujące człowiekowi wrodzone pojęcie Boga (I., str. 199 s.), twierdząc pomimo tego, że poznanie istnienia Boga odpowiada dokładności, z jaką poznajemy jego istotę *(Wesen* — a nie *Beschaffenheit)* (I. str. 199).

*ex potentia in actum excluso);* podczas gdy dotychczasowa teologia nie podawała wogóle żadnej właściwej przyczyny *(causa)* istnienia Boga, lecz tylko tłumaczyła istnienie Boga jego istotą *(Deus ratio sui)* [1].

„Nie pojęciem jakiegobądź odwiecznego faktu, jak twierdził Lotze — pisze Schell — ani postulatem odwiecznej istoty o jakiejkolwiek duchowej i nieskończenie doskonałej naturze (Kant, Weda, egipscy mistycy), ani też pierwszą zagadką — czy to w materyalistycznem, panteistycznem lub pozornie teistycznem znaczeniu — ani nakoniec kabalistycznem pojęciem bóstwa jako nicestwa, podobnem do buddystycznej Nirwany, wytłumaczymy istnienie świata, — lecz tylko pojęcie takiej odwiecznej istoty, która w całem tego słowa znaczeniu zawiera w sobie powód swej i świata egzystencyi, i która najzupełniej jest swoją i świata przyczyną, *causa sui et mundi*, która jest wiecznem urzeczywistnieniem siebie samej *(ewige Selbstbegründung, Selbstverwirklichung)* i czasowem urzeczywistnieniem świata *(zeitliche Weltbegründung)*, wieczną w swej istocie i działaniu“ (I. 230). Taka istota może być tylko duchem, „gdyż nie materya, lecz duch jedyny za pomocą rozumu z jedności może wymyśleć, a za pomocą woli urzeczywistnić obfitą rozmaitość. Bezwzględnie samodzielna istota musi zresztą nietylko rozumem, lecz i wolą być obdarzona, gdyż jestestwo istniejące z siebie *(ens a se)* musi i z siebie działać *(agens a se);* działać zaś z siebie nie jest czem innem jak chcieć. Absolutnie samodzielna istota jest więc absolutnym rozumem i absolutną wolą... lecz w ten jedynie sposób, że jej światła myśl i święta wola — nawet logicznie — nie następuje dopiero po czysto metafizycznym, a dlatego ciemnym, fakcie istnie-

[1] Myli się zdaniem naszem dr. Schell, jeżeli przypuszcza, że dotychczasowa teologia brała wyraz *ratio sui* w znaczeniu „tłumaczenia“, czyli racyi logicznej. Odróżniała ona doskonale *rationem logicam* (powód myślny) i *ontologicam* (powód rzeczowy), i mówiąc, że Bóg jest *ratio sui* albo *a se,* rozumiała zawsze przez to, że Bóg jest rzeczowo powodem swego bytu, że istnieje wewnętrzną mocą swego bytu *(vi perfectionis sui esse).* Wolała zaś dotychczasowa teologia nazwać to „racyą“, „powodem“, aniżeli „przyczyną swego bytu“, bo przez przyczynę rozumieją zwykle ludzie: to co jest powodem bytu czegoś drugiego, czyli w pojęciu przyczyny tkwi odrębność między *causam* a *causatum* — której oczywiście w Bogu niema. Dr. Schell zaś, wprowadzając tu wyraz „przyczyna“, musi z niego wyeliminować wspomnianą odrębność; zaczem nic innego w tem pojęciu nie zostaje, jak tylko co się mieściło w starem *ratio sui*, należycie zrozumianem. Cała więc jego innowacya schodzi, naszem zdaniem, na zmianę wyrazu, i to niefortunną. *(Przypisek Redakcyi).*

nia: przeciwnie, owa istota dlatego jest światłą i świętą, ponieważ jej istnienie nie jest tylko dokonanym faktem, niezrozumiałej dla niej samej, metafizycznej konieczności, lecz ponieważ sama jako myśl z logiczną koniecznością swej nieskończonej prawdy i substancyi, a jako wola z etyczną koniecznością nieskończonej swej dobroci i doskonałości odwieczne swe istnienie i istotę powoduje *(begründet)* i urzeczywistnia" (I., 236). Bóg istnieje zatem z siebie i przez się *(a se et per se)* na mocy swej istotnej prawdziwości i świętości, z logiczną i etyczną, a świadomą siebie koniecznością (I., 230).

Taki jest wykład nauki o Bogu według naszej dogmatyki. Naszem zdaniem jest to spożytkowanie danych w Objawieniu o Trójcy Św. wskazówek już w nauce o jedności Boga. W rzeczy samej też traktat o Trójcy Św. u Schella jest dalszem przeprowadzeniem powyższych podstaw. „Trójca Św. jest danem nam przez Objawienie objaśnieniem, jak Bóg z siebie istnieje" *(Trinität ist die von der Offenbarung erklärte Aseität Gottes,* II., 21) — oto najcharakterystyczniejsze z tej części zdanie, które tak samo z orzeczeniem IV. soboru Lateraneńskiego (zob. II., 28) jak i z charakterem tajemnicy tego dogmatu (II., 24) można pogodzić.

Przeciw wyżej podanym wywodom prof. Schella dwa głównie podniesiono zarzuty: najpierw, że pojęcie istoty, któraby sama w sobie miała przyczynę swego istnienia, jest logicznie niemożliwem *(Innsbrucker Zeitschrift für kath. Theol.,* 1894, III). A potem, że z podobnej nauki wynika panteizm (dr. Glossner w *Commers Jahrbuch für Phil. u. spekulat. Theol.,* t. V., p. 227 i 369). Otóż zarzuty te zdają nam się na tem głównie polegać, że recenzenci tłumaczą sobie Schella *Selbstverwirklichung, Selbstbegründung...* jako rodzaj procesu teogonicznego, jako przejście z potencyi w akt, z nicestwa lub idealnej tylko możliwości w realną rzeczywistość, chociaż przytoczone zdania Schella podobne rozumienie jak najdobitniej wykluczają. Ale i rzecz sama nie wymaga takiego tłumaczenia; z pojęciem przyczynowości nie łączy się bowiem tak koniecznie przejście z potencyi w akt, jakby się z krytyki d-ra Glossnera zdawać mogło; czego dowodem tajemnica Trójcy Św. (Ojcowie greccy nazywają Ojca „przyczyną Syna").

Z następującego w czwartej książce traktatu o Stwórcy i stworzeniu wymieniam tylko tłumaczenie hexaemeronu (II., 262—275), konsekwentne przeprowadzenie wszechprzyczynowości boskiej względem grzechu (II., 148—166), bardzo obszerną i oryginalną angelologię, w której Schell na podstawie swego pojęcia o Bogu i czysto duchowej isto-

cie zwalcza zdanie przypisujące aniołom pojęcia wrodzone. Ta sama fundamentalna zasada przebija w piątej książce, w traktacie o Słowie wcielonem, mianowicie w tłumaczeniu filozoficznej możliwości Wcielenia (III., 66 s.), dalej w Chrystologii, zaprzeczającej Chrystusowi w stanie ziemskim błogosławionego widzenia Bóstwa (III., 105 ss.). W Soterologii skłania się S., po dokładnem objaśnieniu patrystycznej teoryi odkupienia i scholastycznej zadośćuczynienia, ku teoryi pojednania, uwydatniającej — mianowicie przeciw dzisiejszym zarzutom — więcej etyczną stronę (III., 205—236). Prześlicznym jest dalej ustęp o „królewskiej potędze Chrystusa w stanie poniżenia“ (III., 236—251). Rzecz o „łasce“ różni się trochę terminologią od innych opracowań, odznacza się zaś tem, że w niebywałej dotąd krótkości przedstawia nam wyczerpująco cały system katolicki z jednej, a naukę protestancką z drugiej strony. Tak samo jak już w nauce o współdziałaniu boskiem (II., 142 s.), okazuje się prof. S. i tutaj, w nauce o predestynacyi i reprobacyi, zwolennikiem fizycznej nawet predeterminacyi, a ostrym przeciwnikiem molinizmu (III., 325—329), którego pojęcie wolności ludzkiej uważa za racyonalizmem zarażone. Rzecz o Kościele jest tylko naszkicowana i najsłabszą pewnie partyą całego dzieła; tak samo wpleciona weń nauka o Sakramentach wogóle.

W ostatniej (III-go tomu 2-giej) części mamy „teologię siedmiu Sakramentów“ i Eschatologię. Jest tu niemało zdań, którym nie ważymy się cenzur dawać, ale na które niełatwo jaki teolog się zgodzi; jak np., że niemowlęta umierające bez chrztu, przez swe cierpienie męką Chrystusową uświęcone, zyskają niebo (III$^2$, 472—481); tudzież, że konsekracya przez wezwanie Ducha Św. (ἐπίκλησιν) w grecko-schyzmatyckim kościele jest ważną (III$^2$, 539—548); że chrzest udzielany przez św. Jana miał charakter sakramentalny (III$^2$, 448—450); że mycie nóg miało dla Apostołów znaczenie chrztu (III$^2$, 465); i t. p. Łagodność czasem daleko idąca autora, np. w określeniu różnicy pomiędzy żalem doskonałym i niedoskonałym (III$^2$, 585—592), w twierdzeniu, że Ostatnie Pomazanie gładzi nawet bez atrycyi grzechy śmiertelne (III$^2$, 637) i w wielu zdaniach w Eschatologii—wiąże się w jego myśli z pojęciem o istocie grzechu śmiertelnego, zależącej nie tyle na mniejszej lub większej skłonności ku stworzeniu *(conversio ad creaturam)*, jak głównie na rozmyślnem i zupełnem odwróceniu się od Boga *(aversio a Deo)* w pozytywnem znaczeniu (III$^2$, 745 ss.). Skądinąd, nieskończenie święty majestat boski uwydatnia się bez wątpienia o wiele

lepiej w Eschatologii prof. S., niż we wielu innych nowszych dogmatykach, a to głównie skutkiem trafnego objaśnienia istoty i psychologicznej genezy grzechu.

Takie są nasze wrażenia, powstałe przy studyum Dogmatyki prof. Schella. Dla uzupełnienia ich dodamy, że strona historyczna nieraz trochę za mało uwzględniona, że brak systematyki na „podręcznik“— mianowicie dla początkujących teologów. Z tem wszystkiem, mamy niewątpliwie przed sobą pracę niepospolitego umysłu, a z przebijającej w całem dziele gorącej miłości prawdy widać iście podniosłego ducha autora. Każdy teolog znajdzie w tej Dogmatyce nietylko naukę Kościoła, przedstawioną w nowem, iskry świętego zapału rzucającem świetle, lecz zarazem zapozna się gruntownie z nowoczesną filozofią i otrzyma najskuteczniejszą, bo z własnego jej obozu wziętą, a w ogniu wiary zahartowaną broń przeciwko jej zarzutom.

Kończymy to sprawozdanie życzeniem, którem sam autor pięknie kończy swe dzieło: „Niechaj Duch Prawdy boskiem swem błogosławieństwem użyźni w tem dziele wszystko co służy prawdzie, a wyniszczy wszystko co z nią niezgodne“.

*M. W.*

**Barrabas,** a dream of the worlds tragedy, by *Mary Corelli.*

**Powstań.** Przez *Mrs. Stuart Phelps* i *Mr. Ward.* Tłumaczone na polskie i wydane w Warszawie.

„Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno!“ uczy nas przykazanie, i przepis ten mimowolnie na myśl przychodzi wobec coraz częstszych obecnie powieści osnutych na tle Ewangelii. Źródła tego prądu możnaby dopatrzeć może w sławnem dziele Renana, który przekręciwszy według własnej fantazyi tekst Pisma św., spoufalił z nim umysły, czyniąc zeń rodzaj historycznego romansu; romans historyczny zaś dawno już określił pewien Francuz jako: *l'histoire fausse d'un personnage vrai.* Książki tego rodzaju — o ile dotyczą rzeczy świętych— są tem drażliwszej natury, że poruszają najgłębsze, najżywotniejsze struny naszego serca, że umysł chciwy wszystkiego co nadziemskie a wieczne, daje się łatwo porwać poetycznemu natchnieniu, szuka w powieści tego, co mógłby tylko znaleść w modlitwie, i nieraz w uniesieniu nie dostrzega błędów, w jakie go autor, bezwiednie może, za sobą prowadzi. Są temata, których człowiek nie powinien dotykać inaczej jak na kolanach, tak jak pono Fra Angelico malował swoje Madonny.

Wogóle katolicy są wstrzemięźliwsi w tym względzie; protestanci

za to, widocznie nienasyceni suchą a chłodną strawą własnej religii, szukają jej dopełnienia w ewangelicznych powieściach. Trudnoby im to brać za złe, gdyby z Ewangelią obchodzili się uczciwie i rzetelnie, nie profanując jej przymieszką najtrywialniejszych szczegółów lub namiętności, a wreszcie nie używając jej za pozór do wycieczek przeciw katolicyzmowi i wszelkiemu rodzajowi duchowieństwa. Mamy obecnie przed oczami dwie książki angielskie, takie, jakie matki nieraz ze zbytnią łatwością w młode ręce oddają, jakoby zamorski język i jasna okładka Tauchnitza były dostateczną niewinności rękojmią. Obie książki — a z tych jedna już w polskim przekładzie — były mi zalecone przez osoby pobożne, dusze czyste, które schwyciły tylko w przelocie zawarte w nich piękno, a wszelkie zło przeoczyły; zważywszy jednak, że są na świecie natury bardziej złemu wpływowi dostępne, czuję się w obowiązku uprzedzić czytelników o tem co zawierają te dzieła.

Jedno z nich pod tytułem: *Barrabas — a dream of the world's tragedy — by Mary Corelli*, jest dwutomową powieścią o bardzo wysokim nastroju. Bohaterem jej jest ów Barabasz, o którego wyzwolenie w miejsce Chrystusa Pana Żydzi szturmowali do Piłata; tematem — same dzieje sądu, ukrzyżowania i zmartwychwstania; książka pełna cudnych opisów, najwznioślejszych uniesień, a zarazem grubych błędów, umyślnych fałszów i aż do śmieszności posuniętych wybuchów nienawiści przeciw Rzymowi a raczej Kościołowi rzymskiemu. Znaleść przy opowiadaniu męki Pańskiej sposobność do podobnej kontrowersyi — to prawdziwa sztuka, której nie każdy dokaże; dokazała jej wszakże Marya Corelli, jakoby w odwrotny sposób chciała dowieść prawdy francuskiego przysłowia, że *tout chemin mène à Rome.*

Pierwsze rozdziały są arcydziełem: W brudnem, cuchnącem więzieniu jerozolimskiem pokutuje od 18-tu miesięcy Barabasz, oskarżony o podniecenie buntu, o kradzież i zabójstwo. Zbrodnie te wszystkie popełnił w istocie, opętany miłością pięknej Judyty, córki bogatego lichwiarza Iskariota a siostry Judasza. Do ciemnicy więziennej wdziera się szparą wązka pręga światła, a jaskrawość jej razi oczy i drażni aż do rozpaczy nieszczęsnego więźnia. Po drugiej stronie lochu, za kratą, jęczy i złorzeczy zbrodniarz drugi, czyniąc z więzienia przedsionek, nie już śmierci lecz piekła. Dnia poprzedniego zapomniano o nich i nie przyniesiono posiłku; rozwścieczeni bólem, gorącem i głodem obaj skazańcy okutemi rękami sięgają ku sobie przez kraty i walczą jak potępieńcy. Nad ranem poczet rzymskich żołnierzy wyprowadza Barabasza i wiedzie przed sąd. Biedak nawpół-nagi, zgłodniały, omdlewający

od nagłego zetknięcia z powietrzem, budzi się słysząc ze zdumieniem głos tłumu wołający własne jego imię; otoczony strażą, staje w obrębie sądowym, lecz tu wszelkie osobiste uczucia w nim milkną na widok jaśniejącej przed nim postaci innego Oskarżonego, postaci górującej wzrostem, pięknością, potęgą i niewymownie słodkim majestatem ponad cały trybunał, i całą czerń żydowską, „zdającej się wciągać w swoje białe szaty wszystek blask świtającego poranku". Opis Pana Jezusa w książce cudowny, zepsuty jednak dwukrotną porównawczą wzmianką o Apolinie. Opis przebiegu sądu też dobry, ale zbyt długi, gdyż zajmuje dwie trzecie pierwszego tomu. Piłat przedstawiony jako zbyt mądry— dostrzega bowiem nietylko niewinność, ale i boskość Chrystusa; jest jednak tylko słabem narzędziem w rękach starszyzny żydowskiej; wije się z boleści w poczuciu dokonywającej się zbrodni, ale jej zapobiedz nie może. Nie znać tu jakoś władzy prokuratora rzymskiego nad ujarzmioną Judeą — ale to jeszcze nic; Piłat, nasłuchawszy się niemal obelg od arcykapłanów, obmywa ręce i... własnoręcznie, na miejscu, biczuje Chrystusa Pana, poczem przerażony aureolą światła od postaci Jego bijącą, woła z rozpaczliwem uniesieniem: *Ecce Homo!* i pada zemdlony u stóp Zbawiciela. Lud tymczasem wrzeszczy „ukrzyżuj!"—a piekielnym głosom przoduje głos kobiecy, na którego dźwięk, Barabasza zimny dreszcz przejmuje. To głos złotowłosej Judyty! Ona to, uwiedziona przez arcykapłana Kaifasza, stała się wszystkiego złego sprężyną: jej brat, Judasz, to piękny, szalony młodzieniec, zarazem bożyszcze i utrapienie rodziny. Od roku przystał do uczniów Nazarejczyka i przed tygodniem wraz z Mistrzem swoim powrócił z tryumfem do Jerozolimy. Judasz nigdy nie zdradził, a raczej zdradzić nie chciał — tylko siostra wymogła na nim, aby dla przekonania wszystkich o boskiej mocy Jezusa, moc tę wystawił na próbę, wydając Go w ręce kapłanów. Judasz zwierzył się z całym planem Piotrowi i za jego wiedzą i zgodą zamiar wykonał. Przejrzał dopiero w chwili pojmania na głos czułej wymówki z ust Mistrza. Wtedy wpadł w rozpacz i rzuciwszy pieniądze kapłanom, uciekł. Dlatego próżno Piłat pytał o niego na sądzie i uważał zniknięcie jego za jeden dowód więcej fałszywości oskarżeń.

O tem wszystkiem jednak czytelnik dowiaduje się później (ciekawość bierze, skąd się dowiedziała Marya Corelli); obecnie cała uwaga skupia się około osoby Chrystusa, a następnie i Barabasza. Ten, przerażony niesłusznością wyroku, którą gwałtowna, zdziczała ale w gruncie prawa jego natura w całej pełni odczuwa, usiłuje w głos protestować przeciw krzykom ludu, lecz żelazem okuta pięść rzymskiego żołdaka

zamyka mu usta. Wtedy jedno spojrzenie Zbawiciela oblewa go morzem miłości i biedny, pokutujący zbrodniarz gotów jest życie oddać za skazanego, boską mocą uwieńczonego młodzieńca. Ale sąd się kończy, Chrystusa uprowadzają, a Barabasz uwolniony wychodzi wśród wiwatów tłuszczy. Jacyś znajomi otulają go w płaszcz, karmią i poją, on jednak opuszcza ich, aby iść do nieznanego przed chwilą a już dziwny wpływ na niego wywierającego człowieka. Jest to Melchior, postać zagadkowa, mędrzec znający wszystkie arkana przyszłości i przeszłości i, jak się wkońcu okazuje, jeden z trzech króli przybyłych do Betleem ze Wschodu, który ujrzawszy boską Dziecinę zrzucił koronę i pozostał w Judei, śledząc każdy szczegół dzieła odkupienia. Ten Melchior jest dla autorki arcywygodnem narzędziem: zjawia się wszędzie jak *Deus ex machina*, jest w poufałych stosunkach zarówno z Panem Bogiem jak z Tyberyuszem, a mądra mowa ust jego służy wybornie do wygłaszania proroczych żalów nad sfałszowaniem dziejów Chrystusa przez Ewangelistów i skrzywieniem Jego nauki przez uczniów. Trzeba to wszystko czytać, chcąc poznać, do jakich aberracyj pycha rozum ludzki doprowadzić może; a winić w tem należy nie samą autorkę, ale błędny kierunek a raczej zupełny brak kierunku myśli wielu jej współwyznawców, wyrzuconych z bezpiecznej drogi wiary na manowce własnej woli i własnej wyobraźni.

Prowadzony przez Melchiora, Barabasz przebywa za Panem Jezusem drogę krzyżową aż na szczyt Golgoty; tu również jak przy ukrzyżowaniu opisy mniej więcej wierne a bardzo piękne: wszystko co dotyczy osoby Chrystusa traktowane z najgłębszą czcią. Piękna Judyta strojna i wesoła, otoczona orszakiem wytwornych wielbicieli i kobiet, witana z uszanowaniem przez arcykapłanów i innych dostojników, urąga śmiechem cierpieniom Zbawiciela; w chwili jednak, gdy uniesiona piekielnym szałem z bluźnierstwem na ustach pod sam krzyż podbiega— pada grom, ciemności okrywają ziemię, a dumna niewiasta strącona w pył wije się jak robak po ziemi. Tak ją znajduje Barabasz i wtedy odgrywa się scena miłosna — na tem miejscu co najmniej wstrętna — scena pokusy, w której Judyta usiłuje kochającego ją człowieka uwieść i uprowadzić za sobą. Ale napróżno! Barabasz pokusę odpycha i z drżeniem śledzi w ciemnościach za oddalającą się dziewczyną, która raz jeszcze ukazuje mu się na tle błyskawicy nakształt krwawego szatana. Dalszy ciąg znów bardzo piękny, pominąwszy to, że łotr nawrócony przed Panem Jezusem umiera. Postać Najśw. Panny cudna, naszkicowana tylko, a taka jak Ją najgorliwszy katolik rozumie! Gdy już wszystko spełnione, Melchior bierze znów towarzysza za rękę i zmusza

do oddalenia się z Golgoty. Po drodze natrafiają na człowieka niemal zarytego w ziemię z boleści — to św. Piotr. Wezwany przez nich powstaje i głośno wyznawa swe winy; czyni to jednak z taką dzikością uczucia, z taką mieszaniną poniżenia i pychy, że niepodobna tu nawet ze względu artystycznego nie zarzucić błędu autorce. On jeden wie, że Judasz się powiesił, niemal u wrót Ogrojca, na górze Oliwnej i teraz wszyscy trzej idą po jego zwłoki. Judasz *notabene* podniesiony o całe niebo ponad Piotra, bo rzekomo śmiercią swoją odkupił swą winę, a „na pobłądzeniu Piotrowem wzniesie się cały gmach błędów w przyszłości". Słowem, w myśli p. Corelli jeden Judasz z całego grona Apostołów porządnie się znalazł. Ciało jego niosą do domu Iskariota, gdzie Judyt na widok jego wpada w obłąkanie. To znów rozrzewnia nad jej losem serce autorki; na pocieszenie zsyła jej jasnowidzenia, niemal objawienia: widzi np. wielki krzyż ognisty nad martwą skronią Judasza, wśród szału swego boleje nad tem co uczyniła. Tymczasem Józef z Arymatei idzie do Piłata, ale Piłat chory, w gorączce ma też objawienia, nie chce w śmierć Chrystusa uwierzyć i śmieje się z Józefa, że ten myśli o zamknięciu w grobie Tego, który jest samem światłem i życiem. Żona Piłata, Justitia, zwierza nam się ze snów swoich; w pierwszym z nich widziała niebiosa otwarte i chwałę Syna człowieczego; w drugim, o dziwo! zburzenie gromem z niebios rzymskiego Kościoła, a w trzecim samobójczą śmierć męża. Wszyscy tedy mają objawienia prócz Apostołów i Kaifasza—ci traktowani niemal na równi, bo są kapłanami, tj. tyranami ludzkiego sumienia, rwącymi dusze od Boga do piekła, uosobieniem chciwości i kłamstwa.

Cudownym za to jest opis grobu i Zmartwychwstania, rozrzewniającym szczegół o biednym staruszku Samarytaninie, który błaga straż rzymską, aby mu dozwoliła drżącemi rękami dotknąć się otworu grobowca, bo wnuczka jego, dzieciątko, które „Nazarejczyk" przed kilku dniami właśnie pobłogosławił, obecnie umiera, a „młody Prorok", chociaż po śmierci, jedyny ocalić je zdoła. Setnik Galbus lituje się nad nim i wiara dziadka uzdrawia dzieweczkę. W Barabaszu za to nowo nabytą wiarę zachwiał sam zgon Zbawiciela; noc Zmartwychwstania spędza on czuwając z daleka ukryty i widzi niewypowiedziane jasności na niebie, widzi całą ziemię okrywającą się kwiatami, i aniołów spływających z obłoku — a jednak, podobnie jak żołnierze omdleniem rażony, po obudzeniu mieni to wszystko snem tylko. Później widzi samego Chrystusa, słyszy głos Jego przemawiający do Magdaleny, a wątpi jeszcze, przypuszcza teraz, że śmierć na krzyżu była tylko omdleniem,

z którego skorzystano, aby ocalić życie ukochanego Mistrza. Powątpiewanie to jednak dręczy go śmiertelnie, cała dusza rwie się do prawdy i nieba. Spotyka i wypytuje uczniów, ale ci nie przekonani dotąd słowami niewiast, smucą się jeszcze i odpowiedzi nie dają. Znajduje ją wreszcie Barabasz w Nazarecie u żyjącego dotąd Józefa (!); tu widzi znów jaśniejącą postać Chrystusa, wskazującą mu drogę ku Jerozolimie. Powraca tedy posłusznie, ale u bram przytrzymany pod oskarżeniem, iż to on wykradł ciało „Nazarejczyka“, a następnie usiłował zamordować Kaifasza (co w istocie uczyniła obłąkana Judyta), wtrącony jest napowrót do lochu, skąd go niedawno jeszcze zbrodniczy wyrok ludu wyzwolił. Teraz zapowiedź śmierci krzyżowej napełnia go radością, dla niego śmierć nie istnieje, skoro ją przed nim Syn Boży zwyciężył na krzyżu. Usypia zatem spokojnie i budzi się, aby nagle skonać w więzieniu wśród niebiańskich rozkoszy boskiego widzenia.

O jakieżby to wszystko było piękne, gdyby z książki wyrwać można szpecące ją absurda! Chciałoby się tę pełną potężnego talentu istotę wziąć i nauczyć, nauczyć katechizmu i historyi świętej, zmusić do uważnego przeczytania Ewangelii i Aktów apostolskich; poprosić, aby nas nie raczyła wieściami, jakoby św. Józef był wdowcem, obdarzonym kilku dorosłymi synami, a Matka Boska istotą niewiadomego pochodzenia, prawdopodobnie Egipcyanką; aby nie kazała nam słuchać dzwonów odzywających się ze wszystkich wież Jerozolimy, lub zegaru miejskiego, głoszącego północ przerażonej ludności; ażeby nadewszystko oszczędziła nam bluźnierstw, do których ją rozigrana wyobraźnia pobudza. Do tych bluźnierstw autorka sama widocznie się nie poczuwa: pod odmalowanym przez nią obrazem Najświętszej Panny mógłby się każdy *sodalis* podpisać; postać Chrystusa zaś otoczona jest takim blaskiem boskości, narysowana z taką czcią i miłością, że ona sama przynęca do doczytania książki, którąby się inaczej już od połowy pierwszego tomu z oburzeniem rzuciło. Miłość ta — może odblask wrażeń dziecinnych — błąka się jeszcze widać po zakątkach duszy lub umysłu Maryi Corelli; i kto wie? — może kiedyś sprowadzi ją na mniej błędne tory. Obecnie nic nas dziwić nie może u autorki wykładającej w innem swem dziele rodzaj „religii elektrycznej“, której dziś nie myślimy na tem miejscu rozbierać.

Czas nam przejść do drugiej powieści na tle Ewangelii. Niestety! tu jeszcze gorzej! Jeżeli bowiem „Barabasz“ czyni nam wrażenie, jakobyśmy słuchali przepysznych organów, na których mistrz niewprawny

mąci harmonię fałszywemi akordami — to w „Powstań“ przychodzi zatykać uszy przed dźwiękami zwykłej, ulicznej katarynki. Złożyło się na tę muzykę aż dwóch autorów: mrs. Stuart Phelps i mr. Ward. W przedmówce pocieszają nas, że nie mieli zamiaru pisać parafrazy Ewangelii, ale tylko skorzystać z jej tła dla pomnożenia chwały bożej. Prosta sprawiedliwość nakazuje krytyce nadmienić ten ustęp, aby uwolnić powieściopisarską parę od oskarżeń o złą intencyę. Od innych zarzutów wszakże trudnoby ich obronić. Chcąc uprzystępnić postać Chrystusa, obniżyła ją niemal do roli, jaką bogowie Olimpu odgrywają w pieśniach Homera. Główne tło stanowią przygody miłosne, opisane drastyczniej a zwłaszcza rozwlekłej aniżeli w Illiadzie, z tą nadto różnicą, że w chwilach niebezpieczeństwa zjawia się nie Zeus lub Afrodyta, ale Pan Jezus, aby ratować zakochaną parę.

Najważniejszą osobistością jest Łazarz z Betanii, zamieszkały z dwiema siostrami, jak w Ewangelii; z Marty jednak zrobiono sekutnicę, wdowę po Szymonie Trędowatym, a z Maryi dziewicę anielską, niezdolną nawet do pojęcia ziemskiego uczucia: o jej poprzednim pobycie w Magdali autorowie zapomnieli zupełnie. Łazarz, faryzejczyk a przytem jeden z koryfeuszów ruchu religijnego, wznieconego przez nauki „młodego Rabbi“ (Pana Jezusa), zakochuje się w córce arcykapłana Annasza, ale że jest tylko budowniczym a ona księżniczką, stosunek ich musi pozostać tajemnym. Piorunującą miłość dla pięknej Zahary ostudza w sercu Łazarza „przyjaźń“ dla Mistrza, do której wszakże jawnie się przyznaje. Za tę połowiczną wierność odbiera sowitą nagrodę: raz bowiem, gdy wpośród burzy widzi przed sobą tonącą Zaharę a sam odrzucony przez fale wije się bezsilny na brzegu, naraz pojawia się Pan Jezus i krocząc po wzburzonych bałwanach, ocala dziewczynę i zostawia ją u nóg jego zemdloną. Przy końcu epizod jeszcze patetyczniejszy: zakochani obrali na miejsce spotkania podziemne przejście między świątynią Jerozolimską a pałacem Annasza; Annasz jednak odkrywa intrygę i pewnego dnia, przekonany że Łazarz sam jeden jeszcze znajduje się w podziemiu, każe u obu końców zamknąć wejścia i puścić z sztucznych wodociągów gwałtowny prąd wody, by cały korytarz zalać. Biedacy znów toną zamknięci jak w grobie, w ostatecznej grozie — wszakże Łazarz wzywa pomocy Pana Jezusa — i w tejże chwili wody ustępują napowrót do głównego zbiornika. Annasz zabiera córkę, a Łazarza zemdlonego każe jak zdechłego psa na gościniec wyrzucić, w skutku czego młody budowniczy wpada w ciężką niemoc i umiera. Tu następuje scena wskrzeszenia, poczem Łazarz żeni się

z Zaharą, która tymczasem z domu ojca uciekła. Sam „młody Rabbi“ błogosławi nowożeńcom, którzy po ślubie wynoszą się gdzieś za granicę.

Treść główna zatem arcybanalna; na jej tle wszakże rysuje się kilka ładnych epizodów, jak np. historya ślepego od urodzenia młodzieńca, który zapominając o sobie, po dwakroć prosi Chrystusa o pomoc dla chorej i nieszczęśliwej przyjaciółki lat dziecinnych. Wybornym jest typ faryzeusza Malachiasza, istnego pęcherza nadętego fałszem i pychą a przejętego instynktową niemal nienawiścią do nowej nauki. Zawiść ta zamienia się w wściekłość, gdy Pan Jezus cudownie uzdrawia sparaliżowaną córkę jego Ariellę. Za to opis samego cudu jest słaby; Chrystus wydaje się jakimś potężnym znachorem, ale nie Bogiem: potrzebuje bowiem wytężenia swych własnych sił dla zwalczenia natury. O ile w powieści o Barabaszu postać Chrystusa opromieniona jest taką chwałą niebiańską, że pod nią znika niemal natura człowiecza, o tyle tu przeciwnie natura boska niknie zupełnie pod ludzkiej nędzy powłoką. W Barabaszu cała myśl, cały interes skupia się około wielkiej idei Odkupienia; nawet wśród przykrej sceny Barabasza z Judytą szala waży się jedynie między uratowaniem lub zatratą duszy kuszonego człowieka. Tutaj zaś chodzi tylko o to, czy się „rybeńki“ pobiorą lub nie pobiorą; a dlaczego ma im Pan Bóg do tego pobrania cudami pomagać, tego dalibóg odgadnąć niełatwo. Trudno także odgadnąć, dlaczego Pan Jezus tak szczególną przyjaźnią zaszczyca owego Łazarza, żadną wybitną nie obdarzonego cnotą, ani dlaczego już po nawróceniu Zahary przyjaźń ta stanowi między małżonkami duchową zaporę, poza której obręb Zahara nigdy wniknąć nie śmie. Nas uczono, że miłość boża jest najsilniejszą spójnią chrześcijańskiego małżeństwa, ale widać, że człowiek codzień czegoś nowego nauczyć się może...

Napróżno w książce szuka się nazwiska tłumacza. Radzilibyśmy mu wszakże, aby na przyszłość — inne obierając wzory — nie przestał tłumaczyć. Styl jest prawie wszędzie jasny, płynny i obrazowy; język, krom niektórych wyrazów i zwrotów, poprawny i czysty. Nie należało wprawdzie nazwać „chłopcem“ poważnego stanowiskiem i godnością Łazarza, ani „dzieweczką“ 26-letniej Arielli; są to jednak usterki drobne wobec trudności zadania, jakie tłumaczom przedstawiają tego rodzaju angielskie powieści.

Nakoniec raz jeszcze powtarzam, iż inni mniej surowo osądzili oba te dzieła. Błędy ich przyjęto z uśmiechem pobłażania, nie bacząc, jaki wpływ takie książki wywrzeć mogą na umysły młode, nieuzbrojone na walkę z pobożnie przedstawianemi fałszami. Uniewinniający po

części fakt, że książki te były napisane przez protestantów, jest tu obojętnym. Anglikanie bowiem, zarzucający cały świat kieszonkowemi bibliami, i mający zawsze pod piórem albo na ustach jakiś tekst z Pisma św., powinniby przecież być obznajomionymi z tym tekstem i nie poświęcać go dla swych romansowych zachcianek. Zaprawdę, żartować nie można z przykazaniem: Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno!

*T. W.*

**Włochy.** Poezye liryczne *Jana Wazowa*. Sofia 1894. (Италия. Лирически стихотворения отъ Ивана Вазовъ. София 1894).

Włochy!... Ileż sama ta nazwa budzi w duszy obrazów czarodziejskiego piękna przyrody, lazurowego, żadną chmurką nieskalanego nieba, przecudnej zieleni, zachwycających górskich i nadbrzeżnych okolic, ile wspomnień z epok przysypanych już kurzem stuleci, gruzami zwalisk, lecz niezatartych w ludzkiej pamięci! Z drugiej zaś strony mimowoli nasuwają się na myśl niezliczone dzieła pędzla lub pióra, poświęcone uroczej tej krainie,

. . . . . wo die Citronen blüh'n,
Im dunkeln Laub die gold'nen Orangen glüh'n.

Większa bowiem część wybitniejszych nowożytnych artystów i poetów z całej Europy musiała choć raz odetchnąć włoskiem powietrzem, sięgnąć okiem w głąb katakumb, pokołysać się trochę na weneckich lagunach, lub na modrych falach neapolitańskiej zatoki. Do tych ostatnich należy i p. Wazow, najwybitniejszy współczesny bułgarski poeta, którego reminiscencye z pobytu we Włoszech wyszły obecnie z pod prasy pod przytoczonym powyżej tytułem.

Zaledwie pieśniarz bałkański znalazł się na ziemi ojczystej Dantego, Tassa, Boccaccia i Petrarki, natychmiast wrażliwa, południowa jego natura ulega do pewnego stopnia włoskiemu wpływowi. Pod wpływem tym, na samem niemal czele swych utworów kreśli on śliczny wiersz, naśladujący zupełnie pod względem formy i charakteru znaną *canzonę* neapolitańskich rybaków *Santa Lucia*. Wiersz ten nosi tytuł „Noc“ (Нощь) i brzmi jak następuje:

| | |
|---|---|
| Księżyc jaśnieje, | Луна-та свѣти |
| Cicho tam w górze, | Тихо отъ горѣ, |
| Okręt się chwieje | Корабъ-тъ плува |
| Na wód lazurze, | По сине море. |

| | |
|---|---|
| Pieśń się w przestrzeni | Пѣсень оглася |
| Rozpływa błogo, | Тезъ пущинаци |
| Wśród nocnych cieni | И ме възнася: |
| Śpiewaj, załogo! | Пѣйте, моряци! |
| Morze tak lśniące, | Вълни-тѣ гладки |
| Niby zwierciadło; | Кат' огледало; |
| W sny czarujące | Въ сънища сладки |
| Wszystko zapadło. | Сичко заспало. |
| Niebo się jasne | Небе-то плува |
| Odbija w fali; | Въ свѣтли-тѣ бездни; |
| Piosnki swe własne | Морфей царува: |
| Śpiewajcie dalej! | Пѣйте, любезни! |
| W tę kryształową | Въ тазъ ношь кристална, |
| Noc Morfeusza | Нѣкждѣ въ бдѣнье, |
| Gdzieś mnie wspomina | Душа страдална |
| Zbolała dusza, | Мисли за мене. |
| I myśli moje | Бури бълнува |
| Tam ku niej płyną, | И мень — въ чужбина — |
| Jak fal tych roje, | Тя споменува; |
| Śpiewaj, drużyno! | Пѣйте, дружина! |

Widok niezmierzonego obszaru wód, stykającego się w oddali na krańcach widnokręgu z roziskrzonem od gwiazd niebem, skłania poetę do wielu pięknych i poważnych refleksyj. Tak naprzykład pieśniarz zadaje sobie pytanie, dokąd dąży fala, obłok, orzeł, a wreszcie miłość ludzka, i jako cel, jako jedyny przedmiot tego uczucia wskazuje Boga. Powoli też w jego utworach coraz smętniejszy, a zarazem wznioślejszy przebija się nastrój. Ziemia dla niego jest obca, morze zbyt posępne, pragnie więc duszą oderwać się od świata i ulecieć do nieba, gdzie nie dochodzi zgiełk ludzki, westchnienia i łzy. Takiż sam mniej więcej kierunek cechuje jego rozmowę z powiewem wiatru:

Zefirze ożywczy, co muskasz wód tonie
I morskie bezbrzeżne przeźrocze,
Skąd bierzesz chłód miły i rajskie te wonie,
Te jęki i pieśni urocze?
— Mnie morze miłego udziela wciąż chłodu,
Z niebiosów jam rajskie wziął pienia,
Czarowne swe wonie czerpałem ze Wschodu,
A z ziemi ten jęk i westchnienia [1].

[1] Зефире приятний, ти вѣчно кръстосвашъ
Простори-тѣ морски безкрайни, —
Отъ дѣка тозъ хладъ благовонний доносвашъ —
Тезъ стонове, пѣсни омайни?

Również piękny jest wiersz pod tytułem „Echo“ (Екове-тѣ), odznaczający się pod względem treści wielką rzewnością i głębokim smutkiem, pod względem zaś formy nader kunsztowną budową. W wierszu: „Latarnia morska“ (Фаръ) zasługuje na uwagę bardzo trafna i zręcznie uchwycona analogia, pomiędzy nieprzenikniona ciemnością nocną, a duszą bez wiary.

Widocznie jednak tylko morze tak posępnie usposabiało poetę, stanąwszy bowiem na lądzie, stopniowo się rozwesela i z *moll* na *dur* nastraja swą lutnię. Przedewszystkiem grzeczność nakazuje mu powitać pięknym wierszem gościnną a u z o ń s k ą ziemię, nietylko w imieniu własnem, ale też i w imieniu malowniczej swej ojczyzny, którą prześliczne krajobrazy włoskie częstokroć mu przypominają. Niektóre zabytki starożytności w Rzymie wywołują z ust poety rozmaite uwagi, wypowiedziane z historycznego stanowiska, na które niekoniecznie zgodzićbyśmy się mogli, ale natomiast arcydzieła sztuki, jak naprzykład rzeźba Buonarotti'ego, przedstawiająca Mojżesza, obraz „Pocałunek Judasza“ i pomnik wzniesiony dla Torquata Tassa, bardzo pięknie przemawiają do jego duszy. Wogóle jednak poezye p. Wazowa tem większą artystyczną posiadają wartość, im bardziej są podmiotowe, im głębiej sięgają w sferę uczuć ludzkich, które prześlicznie umie on odtwarzać.

Niekiedy też pierwiastek refleksyjny lub liryczny ustępuje miejsca mniej lub więcej ostrej satyrze, najbardziej zaś udatnym i charakterystycznym z utworów tego rodzaju jest następujący:

W uroczym Neapolu przyjęto nas najmilej:
Gospodarz w rękawiczkach, a nawet fraku nowym,
Zapytał o nazwiska i skądeśmy przybyli,
By skrzętnie to zapisać w albumie pamiątkowym.

— Z Filipopolu obaj przybyliśmy, mój panie. —
— *Signore* z Filadelfii? — rzekł Włoch jak na przekorę. —
— Z Filipopolu — mówię. — *Voi siete Americani?* —
— Nie, myśmy Bułgarami, powtarzam ci, *Signore.*

Zacząłem mu więc mówić z niezwykłym mi zapałem
O ziemi mej ojczystej, o ślicznym jej Bałkanie...

---

— Хладъ-тъ упоителний зехъ отъ море-то,
Отъ страстний Въстокъ — аромата,
Ефирна-та пѣсень приехъ отъ небе-то,
Въздишки-тѣ зехъ отъ земя-та.

Po wyjściu hotelisty jednakże usłyszałem,
Jak mówił sam do siebie: — Tak, tak, Amerykanie![1]

Jak widzimy, na szereg utworów, opiewających włoską krainę, złożyły się poezye o nader różnorodnym charakterze, świadczącym o wielostronnym talencie ich autora. Z wyjątkiem nielicznych ustępów, w których rytm trochę utyka, wszystkie te poezye pod względem formy są bez zarzutu, gdyż jak rzeźbiarz glinę, tak p. Wazow swój wiersz umie nagiąć swobodnie do najrozmaitszych kształtów. Z tego też powodu cykl utworów, oznaczony ogólną nazwą Italia, zaważy kiedyś bardzo dodatnio na szali poetyckiej jego twórczości.

*Tytus Sopodźko.*

## Z pism czasowych.

### SS. Eucharistia.

W marcu b. r. ukazało się we Lwowie nowe czasopismo religijne pod tytułem: *SS. Eucharistia,* mające być organem dla kapłanów polskich, należących do Towarzystwa adoracyi Przenajśw. Sakramentu. Towarzystwo to, założone przez Francuza O. Eymarda a aprobowane przez Leona XIII., liczy już obecnie przeszło 33.000 członków, rozrzuconych po całym świecie, między nimi 70 biskupów i 2 kardynałów. Celem Towarzystwa jest zbliżenie kapłana do Chrystusa w Przenajświętszym Sakramencie, a co za tem idzie, ożywienie kultu Najśw. Sakramentu w społeczeństwie. Pomiędzy warunkami przyjęcia jest zło-

[1] Въ Неаполъ хубавий приехѫ ни отлично
Гостилникъ-тъ въвъ фракъ, съсъ ганти, съ почитанье,
Какви, отдѣ сме ний любезно ни попита:
Въ регистра пожела да впише имена ни.

»Отъ Филипополи!» казахъ му равнодушно.
— Отъ Филаделфия? — *Signore,* извинете:
Отъ Филипополи! — Voi siete Americani?
— Не! Българи сме ний! Да, Българи сме, клетий!

Азъ станахъ вир—вода додѣ да му расправѫ
За наша-та земя, народность и Балкани...
Най—послѣ, убѣденъ, гостилникъ-тъ излѣзе,
Като мълвеше пакъ: »Si, si, Americani!»

żenie jakiejś rocznej kwoty, najmniej 1 złr., za co otrzymuje każdy z członków bezpłatnie co miesiąc wzwyżwzmiankowane czasopismo — do którego ciekawych po resztę informacyj odsyłamy.

Czasopismo samo nie ma wielkich pretensyj. Ma to być „rozmównica“ dla tych, którzy się tą sprawą interesują; redakcya będzie tylko porządkować materyał, który jej będzie od kapłanów, w określonym przez cel stowarzyszenia temacie, nadsyłanym.

Daj Boże, aby to pobożne stowarzyszenie, a z niem i czasopismo jak najszerzej się między naszym klerem rozkrzewiało. Jednobyśmy mieli do życzenia. Już w tych dwóch numerach, które pod ręką mamy, strona stylistyczna jest silnie zaniedbana, a co gorsza, spotyka się tu i ówdzie ustępy zredagowane dość słabo. Takie np. „Rozmaitości“ w n-rze 2-gim nie nadają się chyba do druku. Wprawdzie omawiany miesięcznik ma być pewnym rodzajem poufnej rozmowy, ale rozmowa, jeżeli ma zrobić jakieś wrażenie, musi być w poważnym tonie utrzymaną.

## Pochodnia.

Z radością, ale i z nietajoną obawą powitaliśmy nowe czasopismo, dla polsko-katolickich robotników przeznaczone a zatytułowane płomiennym wyrazem: *Pochodnia*. Stanowisko katolickiego redaktora w kwestyi socyalnej jest doprawdy tak trudne, że nikt nas chyba o pesymizm nie posądzi, gdy się przyznamy, iż mimo że redaktora p. Czajkowskiego z niejednej dobrej strony znaliśmy już z dawniejszych publikacyj, z niedowierzaniem czekaliśmy, rychłoli *Pochodnia* zagaśnie, albo, co gorsza, czy nie roznieci pożaru. Dzisiaj, gdy już szósty numer (oprócz dwóch okazowych) tygodnika opuścił prasę, *Pochodnia* staje się zjawiskiem, godnem szerszego zainteresowania. Nie przesądzając przyszłości, dziś zaznaczamy tylko ogólnikowo, że redakcya gazety prowadzoną jest w dobrym duchu i odpowiednio do wytkniętego celu. Mnóstwo najaktualniejszych kwestyj ze świata robotniczego jest tu poruszonych, jak o prawie wyborczem, o strejkach, o ruchawkach socyalnej demokracyi. Ta ostatnia odbiera na łamach *Pochodni* silne cięgi.

Cena *Pochodni* jak na nasze stosunki nie wysoka; we Lwowie roczna prenumerata wynosi 3 złr., na prowincyi 3 złr. 60 ct. [1]. Powtarzamy: na nasze stosunki, bo sama w sobie cena, to niestety! dla kie-

[1] Prenumeratę posyłać należy pod adresem: Drukarnia W. A. Szyjkowskiego. Lwów, ul. Kopernika 5.

szeni bardzo wielu chętnych czytelników wprost niemożliwa. Ale cóż robić? wydawcy, mimo najlepszej woli, zapomnieć nie mogą, że w Austryi wisi nad każdem popularnem pismem straszny miecz — stempel.

**Wiek młody.** Dwutygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży. Lwów 1893 i 1894.

Trudno zaiste wyobrazić sobie coś bardziej uroczego, jak widok rozpromienionych dziecięcych twarzyczek, pochylających się ciekawie nad świeżo otrzymanym numerem „naszej gazety". Któż nie zauważył, z jaką niecierpliwością oczekują mali i dorastający prenumeratorowie poczty, mającej im przynieść upragnione czasopismo, z jaką radością wyciągają po nie ręce, z jaką ochotą wytężają całą zdolność myślenia młodocianych swych główek nad odgadywaniem szarad, zadań i t. p. Nie ulega też wątpliwości, że w każdej rodzinie, prenumerującej takie czasopismo, daje się prędzej lub później dostrzedz dodatni wpływ, jaki wywiera ono na moralny i intelektualny rozwój młodego pokolenia.

Na brak czasopism tego rodzaju społeczeństwo nasze bynajmniej uskarżać się nie może. Oprócz *Przyjaciela dzieci* i *Wieczorów rodzinnych*, wychodzących w Warszawie i czyniących istotnie tyle dobrego ile im na to cenzura rosyjska pozwala, mamy parę takich wydawnictw w Poznańskiem, *Anioła Stróża* w Gdańsku, Lwów zaś aż trzema poszczycić się może. Z pomiędzy tych ostatnich, ze względu na staranny dobór i opracowanie artykułów, a nawet na stronę ilustracyjną, nic nie pozostawiającą do życzenia, palmę pierwszeństwa należy przyznać bezwarunkowo *Wiekowi młodemu*. Wprawdzie niektórzy mogliby nam zarzucić, iż redakcya jego z łatwością może zaspokoić choćby najbardziej wygórowane wymagania, gdyż pod względem wysokości prenumeraty przewyższa inne podobne czasopisma, wychodzące w Galicyi; lecz zarzut byłby to niesłuszny. Niewielka stosunkowo nadwyżka w prenumeracie pozostaje w ścisłym stosunku z większym nieco formatem i daleko staranniejszemi, a zatem kosztowniejszemi, niż w innych czasopismach ilustracyami, nie zdoła zaś wpłynąć na ogólny nastrój, kierunek i dążności tego wydawnictwa, a zwłaszcza na serdeczny, przyjacielski ton, z jakim redakcya zwraca się zawsze do młodych swych czytelników.

Kształcenie dziatwy i młodzieży za pomocą rozrywki na dobrych katolików i pożytecznych obywateli kraju, oto cel, jaki sobie wytknęło każde chyba czasopismo, przeznaczone dla dorastającego pokolenia. Różnica polega na tem tylko, jak się każde z nich z zadania

tego wywiązuje, a przez to o ile umie stać się pomocniczym czynnikiem w wychowaniu. Co do *Wieku młodego*, to potrafił on sprostać należycie swemu przeznaczeniu i na każdej karcie składa tego dowody. Miłość Boga, rodziny, ojczyzny, ludzkości, oraz wszystkiego, co dobre, piękne i szlachetne dźwięczy tam nieprzerwanie, jak jeden i ten sam motyw w rozmaitych waryantach, lśni, jak nić złota wśród różnobarwnej tkanki, tętni zaś tak silnie, jaśnieje tak żywo, że z pewnością w każdem młodocianem, niezepsutem serduszku znajdzie swój oddźwięk i odblask. Śliczne zwłaszcza są niektóre utwory wierszem, dla których wiara nasza święta dostarczyła osnowy, jak naprzykład: „Przed obrazem Matki Boskiej“, „Alleluja“, „Modlitwa wiosenna wygnańców“. „W Boże Ciało“, gdzie biedny pastuszek, sierota, patrząc na Przenajświętszy Sakrament, niesiony procesyonalnie, „znalazł Tego, który garnie opuszczone dziatki“, „Ptaszki Maryi“, „W szkolnym kościółku“, „U żłóbka“ i wiele innych. Najpiękniejszym z nich atoli jest „Nowy Rok w Niebie“, który swą treścią przypomina nieco „Zachwycenie“ i „Błogosławioną“ Lenartowicza, rzewnością zaś, pięknością i prostotą mimowolnie chwyta za serce. Oto w noc noworoczną Matka Boska, „siedząca na szafirów tronie“, wysyła na ziemię aniołków, dając im rozmaite polecenia. Jeden z nich musi zanieść roślinom kawałeczek tęczy na kwiaty i okruszynę niebieskiego chleba na ziarnka, drugi ma nakarmić i otulić wszystkie ptaszki, dźwiękiem zaś niebiańskiego hymnu natchnąć je do śpiewu. Trzeciemu każe Najświętsza Panna spłynąć cichutko powietrzem do maleńkich dzieci i zasiać w ich sercach zaród cnoty:

Niechaj rosną, niech się krzewią
Te zasiewy raju,
Niech się staną dźwignią nową
Ludzkości i kraju.
. . . . . .

Ostatniemu zaś Matka Boska mówi:

Spójrz na ziemię, a serduszko
Pewnie cię zaboli;
Nawet dzisiaj w szczęścia chwili
Ile tam niedoli!

Ile w noc tę noworoczną
Gorzkich łez się kryje,
Ile westchnień bólem głuchym
O jej mroki bije.
. . . . . .

Więc gdzie tylko pierś samotna
Swoim bólem gada,
I gdzie tylko w cieniach świeci
Twarz rozpaczą blada...

Tam leć spowić chore serce
Różanemi snami,
Niechaj dzisiaj się przynajmniej
Noc nie poi łzami.
. . . . . .

I poleciał jak jaskółka
W powietrze różowe,
Jakby lekko wiatrem zwiane
Piórko łabędziowe.

Trudnoby naprawdę znaleść piękniejszy wyraz na uwielbienie cudownej Opatrzności Bożej i macierzyńskiej dobroci Bogarodzicy. Dodać zaś należy, że ilość takich utworów, opromienionych głębszą myślą religijną, jest wcale pokaźna, bo każdy niemal numer *Wieku młodego* podaje swym czytelnikom trochę tak zdrowego duchowego pokarmu.

Mniej okazale przedstawia się szereg utworów patryotycznych, chociaż i pomiędzy niemi znajdujemy kilka prawdziwych klejnocików poezyi, jak naprzykład prześliczny „Powrót taty“ Staleckiego, osnuty na posępnem tle styczniowego powstania.

Mimowoli zagadaliśmy się o poezyi, poświęcając jej może więcej miejsca, niż na to rozmiary recenzyi pozwalają. Postaramy się więc być zwięźlejszymi w ocenianiu artykułów, skreślonych prozą, z których najbardziej na wyróżnienie zasługują powieści historyczne, a mianowicie: „Święta Kinga“, „Wiejskie pacholę“ i „Mały kniaź“, odznaczające się wielką plastyką w odmalowaniu charakteru osób i danej epoki. Niemałą też wartość posiadają „Opowiadania białej babci“, czerpane systematycznie z historyi polskiej i przeplatane dla urozmaicenia licznemi epizodami z dziecięcego życia, jakby żywcem uchwyconemi z natury. Takiż sam talent obserwacyjny charakteryzuje powiastki Nagody, pod tytułem „Wielkie cele“ i „Spełnione marzenia“, w których rolę bohaterów odgrywają różnorodne typy uczącej się młodzieży, wogóle tak miłe i sympatyczne, że mimowoli każą się domyślać, iż autorka całem sercem pokochać musiała młodzież wprzód, niż ją w taki sposób scharakteryzowała. „Rozmowy Broni z rodzeństwem“ i „Edzio czarodziej“, zaznajamiają młodych czytelników z wielu tajemnicami z dziedziny nauk przyrodniczych, a zwłaszcza fizyki i chemii, zaś w „Latarni czarnoksięskiej wujaszka“ przesuwają się przed ich oczyma rozmaite kraje wraz ze swymi mieszkańcami, ich zwyczajami, obyczajami i innemi ciekawemi szczegółami. Nie braknie też artykułów, poświęconych spostrzeżeniom nad swojską naszą przyrodą, a przeważnie nad królestwem zwierzęcem i jego walką o byt, traktowanych bądź poważnie, bądź też w sposób zupełnie popularny, zastosowany do najniższego poziomu pojęć, jak naprzykład „Wrażenia młodego zajączka“. Znajdujemy również trochę podań ludowych o pisankach, o listkach osiki,

o krzywodzióbie i t. p., pozwalających sięgnąć okiem do tej skarbnicy, w której lud „składa swych myśli przędzę i kwiaty swych uczuć". Wreszcie do rzędu poważniejszych artykułów zaliczyć należy życiorysy ś. p. ks. kardynała Dunajewskiego, Kościuszki, Lenartowicza i Matejki, tudzież zajmujące listy z wystawy lwowskiej, skreślone przez jednego ze starszych czytelników *Wieku młodego*. Niepodobna zresztą wymienić wszystkich mniej lub więcej obszernych prac, wyszłych z pod pióra osób, znanych po większej części w naszej literaturze pedagogicznej, jak naprzykład pp. Parylaka, Libańskiego, Staleckiego, Siemiradzkiego, oraz pań: Jasieńskiej, Sleczkowskiej, Rudnickiej, Lettnerówny, Strawińskiej i samej redaktorki, pani Zofii Mrozowickiej. Wszystkie te artykuły, powiastki, komedyjki i bajeczki, chociaż różnorodne pod względem treści, tchną zawsze piękną i szlachetną tendencyą, oraz zrozumieniem i odczuciem duchowych potrzeb młodych czytelników.

Wogóle po sumiennem rozpatrzeniu się w zawartości *Wieku młodego* dochodzi się do przekonania, że czasopismo to, traktowane podług zasad chrześcijańskiej pedagogii, odpowiada najzupełniej swemu celowi, stanowiąc dla młodzieży również przyjemną, jak i pożyteczną lekturę. Z tego też względu powinno ono się znaleść w każdej polskiej rodzinie, która zdaje sobie należycie sprawę z pięknych słów, służących za godło *Wiekowi młodemu:* „Jakie dziś dzieci, takim będzie naród".

*H. Sopodźko.*

# SPIS RZECZY

## Artykuły naukowe i literackie.


Stronica.

Wielki poeta chrześcijański z IV. wieku. I. II. Przez *ks. Władysława Czencza T. J.* . . . . . 1 205

Ksiądz Karol Antoniewicz. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.*:

IX. Na gruzach Krakowa . . . . . 27

X. Misye na Szląsku . . . . . 180

XI. Misye w Poznańskiem . . . . . 334

Rozszerzenie podstaw konkurencyi kościelnej. Przez *prof. Stanisława Starzyńskiego* . . . . . 44

Przez Chiny i Mongolię. Listy z podróży. Przez *księcia Pawła Sapiehę* . . . . . 76 248 395

Z listów sybirskiego misyonarza. Przez *M.* . . . . . 96 357

Przebieg pojęć religijnych u Chińczyków. IV. Najdawniejsze pojęcia religijne w Chinach. Przez *ks. W. Zaborskiego T. J.* . . . . . 161 376

Podania z Szczepanowa, rodzinnej wioski św. Stanisława. Przez *d-ra Karola Mátyása* . . . . . 233

Postępy prawosławia w gubernii kowieńskiej. Przez *Jana Witorta* . . . . . 321

Na drodze życia. Sen. Przez *T. P.* . . . . . 414

Stronica.

## Przegląd piśmiennictwa.

### Z piśmiennictwa krajowego:


Rzecz o roku 1863. St. Kożmian. T. II. Część druga. *(A. Szarłowski).* . . . . . 116

O naczyniach i sprzętach eucharystycznych. Studyum archeologiczno-liturgiczne ks. Corblet. Spolszczył i wiadomościami swojskiemi uzupełnił ks. A. Brykczyński, członek Komisyi arch. i Komisyi sztuki Akad. Umiej. (Z 3-ma stylowemi rysunkami). *(Ks. H. P.).* . . . . . 122

Wielkie bankructwo umysłowe. Rzecz o nowoczesnym skrajnym sceptycyzmie naukowo-filozoficznym. Z dodaniem studyum: Koniec wieku XIX. pod względem umysłowym. Charakterystyka znamion szczególnych. Ks. Władysław Michał Dębicki. *(S. K.).* . . . . . 125

Trzy doby dziejów naszych. Margert. Obrazy sceniczne. *(Ks. A. B.).* . . . . . 128

Pisma Jordana (Juliana Wieniawskiego). Tomów 6. *(Dr. A. M. Kurpiel)* . . . . . 129

Paweł Popiel jako pisarz. St. Tarnowski. *(F. M.).* . . . . . 267

Prawo zwierząt. Studyum socyologiczne. Przez d-ra Bronisława Łozińskiego. *(S. K.).* . . . . . 269

Akta Rzeczypospolitej Babińskiej. St. Windakiewicz. *(F. M.).* 273

Życie i dzieła Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów (Ozimków) na tle stosunków ówczesnego Lwowa. Heck Korneli Juliusz. Część pierwsza *(L. M. Dziama).* . . . . 274

Pierwsze utwory Mickiewicza naśladowane w literaturze galicyjskiej. Wilhelm Bruchnalski. *(L. M. Dziama)* . . . 277

Zbawienie zapewnione przez nabożeństwo do Maryi. Przez O. Mayet, ze Zgromadzenia Marystów. *(M.).* . . . . . 279

Chrystyanizm i czasy obecne. Ks. bisk. Bougaud. Tłumaczenie z francuskiego, wydane staraniem ks. P. Skolimowskiego. Tom I.: Wiara i niewiara. *(Ks. M. Morawski T. J.)* . 419

Egzorty do młodzieży szkolnej. Ks. Feliks Józefowicz. Tomów dwa. *(A. B.).* . . . . . 422

Katalog rozumowany książek dla dzieci i młodzieży. Wydany z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem, imienia d-ra Józefa Mianowskiego . . . 424

De Ecclesiis, Collegiata, Seminario clericorum scholisque academicis quondam Olycensibus — rozprawa drukowana w czterech z kolei programach petersburskiej Akademii duchownej, za lata szkolne: 1890, 1891, 1892, 1893. *(Ks. Chotkowski)* . . . . . 425


### Z piśmiennictwa zagranicznego:


Zmarłej matce. Poświęcił Ryszard Katalinić-Jeretow. (Mrtvoj Majci. Posvetio Rikard Katalinić-Jeretov). *(H. Sopodźko).* 132

Quatre portraits de femmes. Épisodes des persécutions en Angleterre. Par la Comtesse R. de Courson. *(M.).* . . . 135

Stronica.

Der glaciale und tertiäre Mensch. Von Dr. Bayberger in Kaiserslautern. Himmel und Erde. *(J. N.)*. . . . . 138

Le Vatican, les Papes et la civilisation. Par Georges Goyan, André Pératé et Paul Fabre, anciens membres de l'école francaise de Rome. *(*)*. . . . . 280

Vie de M. de Cissey. Par M-me L. Bastien. *(F. M.)*. . . . . 283

Szkice Jana Tomaszycza. (Crtice Ivana Tomašića). *(T. Sopodźko)* . . . . . 288

Thier-Ethik. Darstellung der sittlichen und rechtlichen Beziehungen zwischen Mensch und Thier. Preisschrift von Ignaz Bregenzer, Landesgerichtsrath. *(S. K.)* . . . . . 290

Katholische Dogmatik in 6 Büchern (4 Bden). Herman Schell, Dr. der Theol. u. Phil., Prof. d. Apologie an d. Universität Würzburg. *(M. W.)*. . . . . 439

Barrabas, a dream of the worlds tragedy, by Mary Corelli. — Powstań. Przez Mrs. Stuart Phelps i Mr. Ward. Tłumaczone na polskie i wydane w Warszawie. *(T. W.)* . . . 448

Włochy. Poezye liryczne Jana Wazowa. (Италия. Лирически стихотворения отъ Ивана Вазовъ). *(Tytus Sopodźko)* . . . . 456

Z pism czasowych:

SS. Eucharistia . . . . . 459

Pochodnia . . . . . 460

Wiek młody. Dwutygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży. *(H. Sopodźko)* . . . . . 461

## Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

### KWIECIEŃ.

Sprawy Kościoła: Węgierska walka kościelna. — Rozprawy w sejmie pruskim. — Nowy wniosek Centrum. — Program Rudiniego. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* . . . . . 141

Argon, nowo odkryty składnik powietrza. Przez *J. Nuckowskiego T. J.* . . . . . 149

Nowe wyjawienia z łona masoneryi. Przez *ks. A. Boca T. J.* . 156

### M A J.

Sprawy Kościoła: Trzechsetletnia rocznica Unii Brzeskiej. — Kolegium ruskie w Rzymie. — Niemieccy katolicy w Poznańskiem. — Wybory w Nitrze. — List i allokucya papieska o sprawach węgierskich. — Duch religijny w armii austryackiej. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* . . . . . 292

Z Wiednia: Misya w kościele św. Szczepana. — Wybory do rady miejskiej. — *Vaterland* o ostatnim liście biskupów galicyjskich. — Odczyt ks. Pawlickiego. Przez *ks. K. Rychlika* 305

Stronica.

Z HORODEŃSKIEGO POWIATU. I. Przez *ks. Rokosza* . . . . . 307

LIST PASTERSKI BISKUPÓW GALICYJSKICH A PISMA KS. STOJAŁOWSKIEGO. Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.* . . . . . 314

## CZERWIEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Banffy-Kalnoky-Agliardi. — List apostolski do angielskiego ludu. — Niemiecka ustawa „przewrotowa". Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* . . . . . 465

Z HORODEŃSKIEGO POWIATU. II. Przez *ks. Rokoszu* . . . . . 473

KORESPONDENCYA REDAKCYI. (Ważne dla współpracowników *Przeglądu Powszechnego*) . . . . . 480

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: KS. M. MORAWSKI T. J.